

BEKSINSKI

Dzień po dniu kończącego się życia

BEKSINSKI

Dzień po dniu kończącego się życia

z WIESŁAWEM BANACHEM

ROZMAWIA

JAROSŁAW MIKOŁAJ SKOCZEŃ

**DZIENNIKI
ROZMOWY**

MD

Wybór i opracowanie
Dzienniki - Wiesław Banach
Rozmowy - Magdalena Jaworska

Redakcja
Magdalena Jaworska
Katarzyna Szajnar

Projekt okładki
pioTR grzegorzewSKI (www.strefadizajnu.pl)

Zdjęcia i grafika na okładce
Archiwum Muzeum Historycznego w Sanoku

Zdjęcie na okładce
Piotr Szymczak

© copyright by Mawit Druk 2016
© copyright by Muzeum Historyczne w Sanoku

Wydanie I
Warszawa 2016

ISBN 978-83-61443-11-7 (oprawa twarda)
ISBN 978-83-61443-15-5 (oprawa miękka)

Druk i oprawa
CPI

Od wydawcy

Trzymają Państwo w rękach książkę, w której chcieliśmy przedstawić Zdzisława Beksińskiego takim, jakim był naprawdę. Publikujemy w niej obszerne fragmenty dzienników artysty z lat 1993 - 2005, w których bardzo szczerze, z charakterystycznym dla siebie poczuciem humoru i ironią opisuje otaczającą go rzeczywistość – ludzi, którzy przy nim byli i sprawy, które go zajmowały. Nie ucieka także od spraw trudnych i bolesnych - pisze o śmierci, przemijaniu, samotności, chorobie. Niejako uzupełnieniem dzienników jest rozmowa z wieloletnim przyjacielem artysty, Wiesławem Banachem, który ze swojej perspektywy, ale z ogromną dozą zrozumienia i empatii, opowiada o życiu, twórczości, rodzinie, rozterkach, światopoglądzie malarza. To właśnie jemu Zdzisław Beksiński powierzył cały dorobek swojego życia – zarówno artystycznego jak i prywatnego. Dorobek, dzięki któremu chciał trwać jak najdłużej, długo po swojej śmierci. Wiesław Banach był dla niego gwarantem, że świat o nim nie zapomni... Praca nad książką była, dla wszystkich zaangażowanych osób, niesamowitym przeżyciem. Ze względu na wiele emocjonalnych wątków tej historii, opowiedzianych przez świadka i powiernika tajemnic artysty, staraliśmy się do minimum ograniczyć prace redakcyjne. Nie zostały im poddane fragmenty dzienników oraz wypowiedzi przepisane z taśm wideo. Chcieliśmy zachować autentyczny styl malarza, aby ludzie, którzy go znali, mogli niemalże usłyszeć jego głos.

Dziękujemy dyrektorowi Muzeum Historycznego w Sanoku, historykowi sztuki, Wiesławowi Banachowi za poświęcony czas i niezwykle zaangażowanie w powstanie książki. Dziękujemy również pracownikom Muzeum, w szczególności Dorocie Szomko-Osękowskiej i Dariuszowi Szuwałskiemu.

Osobiście Zdzisława Beksińskiego poznałem w 2000 roku. Współpracowałem wówczas z wytwórnią fonograficzną SPV Poland i postanowiliśmy, że przy wydawaniu płyty *Legendary Pink Dots*, na okładkach pojawiają się grafiki Zdzisława Beksińskiego. Co ma Beksiński do tego zespołu? Zdzisław może mało, ale jego syn Tomasz bardzo ich lubił i często prezentował w swoich programach radiowych w Trójce. Chcieliśmy w ten sposób uczcić pamięć tego wspaniałego dziennikarza muzycznego.

Na pierwsze spotkanie ze Zdzisławem Beksińskim szedłem z duszą na ramieniu. Nie wiedziałem, czego się spodziewać i jak potoczy się nasza rozmowa. Po dokładnym wypytaniu mnie przez domofon na dole – kim jestem, do kogo i w jakiej sprawie przychodzę (a byliśmy przecież wcześniej umówieni) – zostałem wpuszczony na klatkę. Krótka jazda windą i znalazłem się pod pancernymi drzwiami. Raz jeszcze zostałem dokładnie obejrzany okiem kamery, potem drzwi otworzyły się i zobaczyłem milego, starszego pana w kraciastej koszuli i krótkich spodenkach (w mieszkaniu było bardzo gorąco, stąd ten strój gospodarza). Wchodząc do przedpokoju, zobaczyłem po prawej stronie kuchnię, następnie mały pokój komputerowy, a na wprost pracownię malarską. Po lewej stronie był mały salonik, sypialnia i łazienka. W tym właśnie saloniku odbyliśmy naszą pierwszą rozmowę. Zdzisław Beksiński ucieszył się z naszej propozycji i obiecał przygotować odpowiednie grafiki do wykorzystania na okładkach płyt LPD. Później szybko wydaliśmy wspomniane płyty. Beksiński był bardzo zadowolony z końcowego efektu wizualnego. Tak rozpoczęła się nasza znajomość, która trwała kilka lat. Przez ten czas udało mi się przeprowadzić z nim kilka wywiadów do radia i do czasopism. Udało się też wydać album z grafikami Beksińskiego dla Polskiej Akcji Humanitarnej – tysiąc ponumerowanych albumów, a na pierwszych kilkudziesięciu egzemplarzach autograf złożył sam mistrz. Udało nam się również zorganizować w Warszawie wystawę grafik, połączoną z konkursem na tytuły do zaprezentowanych prac. I tu, z czego najbardziej się cieszę, Beksiński zgodził się wręczyć osobiście nagrody laureatom

(oczywiście nagrodą były grafiki z autografem mistrza). Pamiętam promienny uśmiech twórcy oraz szczęście i wzruszenie u zwycięzców. Dopiero z dzienników dowiedziałem się, że jak to u Beksińskiego, nie bardzo był zadowolony z tego wyjścia z domu. Ze Zdzisławem Beksińskim przeprowadziłem wiele rozmów, takich na luzie, przy coli, którą uwielbiał, i tych poważnych wywiadów do radia czy prasy. Za każdym razem miałem wrażenie, że wszystko co mówił, jest głęboko przemyślane i nawet w najbardziej banalnych wypowiedziach czułem, że nie rzuca słów na wiatr. Jeżeli mówił o swoich obrazach, to tylko w kontekście problemów z kupującymi: o chętnych, którzy chcieli dostać coś za darmo, albo za małe pieniądze lub o dziwnych zamówieniach, np. od biskupa, który prosił, żeby namalował świętego. Beksiński odmówił twierdząc, że może zamiast świętego wyjść mu jakaś np. kura, czy coś podobnego (tego oczywiście biskupowi nie powiedział). Opowiadał mi też o tym, jak w latach 50., gdy pracował w Autosanie, malował święte obrazki, które były sprzedawane przez majstra na okolicznych bazarkach. Artysta podejrzewał, że po dziś dzień ludzie modlą się do obrazów, nie mając pojęcia, że ich autorem jest Zdzisław Beksiński. O tym, że nie żyje, dowiedziałem się 22 lutego 2005 roku. Został zamordowany dzień wcześniej – tak się składa, że w moje urodziny. Nie mogłem zrozumieć i do dzisiaj nie pojmuję, jak mogło do tego dojść. Zdzisław Beksiński w mej pamięci na zawsze pozostanie pogodnym, ciepłym człowiekiem o wielu zainteresowaniach i wielkim umyśle. Człowiekiem, który kochał życie.

Jarosław Mikołaj Skoczeń

Moją pracę przy tej książce dedykuję Mamie, Tosi i Czarkowi, Edycie i Krzysiówi, Basi i Staszku.

Szczególnie podziękowania kieruję do Marcina Piotrowskiego.

Dziękuję również: Markowi Krajewskiemu, Emilowi Chrzanowskiemu, Alkowi Skirmunttowi, Anji Kornatowskiej, Waldkowi Oleksiakowi, Rafałowi Mandes, Basi i Łukaszowi Milewskim, Sławkowi Skłodowskiemu, Sławkowi Męczyńskiemu, Tadeuszowi Popławskiemu, Norbertowi Pyffel, Pawłowi Klimiuk i Arturowi Kotwicy.



21 lutego 2005 roku.

Jak pan dowiedział się o śmierci Zdzisława Beksińskiego?

Następnego dnia rano, telefonicznie, od burmistrza Sanoka. Zadzwoił do mnie i powiedział, że podobno Beksiński został zamordowany. Prosił, żeby nikomu nie mówić, bo to nie jest pewna wiadomość. Uznałem to za kompletną, niewiarygodną bzdurę. Kto miałby zamordować Beksińskiego? Wydało mi się to absolutnie nieprawdopodobne. Pewnie ktoś puścił głupią plotkę, która dotarła do burmistrza. Natychmiast chwyciłem za telefon, wykręciłem numer Beksińskiego w przekonaniu, że zaraz usłyszę jego głos i będę musiał wymyślać jakiś pretekst, dlaczego dzwonię. Nie powiem mu przecież, że podobno został zamordowany.

Telefon odebrał szwagier artysty i okazało się, że niestety jest to prawda. A potem, krok po kroku dowiadywałem się, co się wydarzyło. Wyglądało to mniej więcej tak: zabójca (syn człowieka, który od lat pracował u Beksińskiego wykonując różne przeróbki i naprawy w mieszkaniu), ze swoim młodszym kuzynem, pożyczają od ojca samochód. W drodze do Warszawy przyszły morderca mówi, że jedzie zabić Beksińskiego. Tamten się śmieje i uznaje to za żart. Krążą gdzieś po Walbrzyskiej, nie mogą zdecydować się, żeby wejść na górę. W pewnym momencie kuzyn mówi, że od początku wiedział, że tamten nie odważy się tego zrobić. To najprawdopodobniej sprowokowało bandytę. Był to dla niego jakiś impuls, który ostatecznie zdeteminował dalszy, tragiczny bieg wydarzeń.

Jadą na miejsce, zatrzymują się pod blokiem. Morderca dzwoni domofonem i mówi, że przyjechał z ojcem, Beksiński go wpuszcza. Wjeżdża na trzecie piętro. Beksiński otwiera i pyta o ojca, na co uzyskuje odpowiedź, że ten został na dole i za chwilę przyjdzie. Dopiero za drzwiami mówi, że przyjechał pożyczyć pieniądze. Beksiński wyjmuje telefon i dzwoni do

jego ojca. Ojciec jest w łazience i nie odbiera telefonu. W tym momencie młody człowiek wyciąga nóż, rzuca się na Beksińskiego, zadaje siedemnaście pchnięć nożem, które kończą życie artysty.

W tym czasie ojciec bandyty wychodzi z wanny i oddzwania do Beksińskiego. Ponieważ nikt nie odbiera, dzwoni na telefon domowy, także bezskutecznie. Zaniepokojony dzwoni do szwagra Beksińskiego, z którym był w kontakcie i mówi, że coś się chyba panu Beksińskiemu stało, bo nie zdążył odebrać od niego telefonu, a teraz tamten nie odpowiada. Postanawiają pojechać i sprawdzić, czy nic się nie stało.

Tymczasem kuzyn bandyty, który został na dole i pilnował, czy nikt nie idzie, wchodzi do mieszkania. Razem z mordercą zaciągają ciało na balkon, znajdujący się przy pracowni. Przeszkadza im krew w przedpokoju i na korytarzu, więc biorą mop i zaczynają ją wycierać. Potem włączają muzykę i plądrują mieszkanie. Zabierają trochę płyt i dwa aparaty cyfrowe. W międzyczasie do zabójcy dzwoni jego ojciec, który pożyczył synowi samochód i prosi, aby natychmiast wracał. Gdy tak się staje ojciec mordercy odbiera auto i jedzie do Beksińskiego. Wraz ze szwagrem idą sprawdzić, co się stało.

Drzwi były pancerne, Beksiński jednak zostawił ściankę w przedpokoju, którą łatwo można było zburzyć, na wypadek gdyby zgubił klucze. Gdyby tak się stało, zapasowy klucz miał znajdować się właśnie w tej ściance, którą mógłby przebić pięścią i sięgnąć po klucz. Tak sobie to wykoncy-pował, jednak klucza jeszcze nie zdążył tam schować. Ojciec mordercy, który był złotą rączką u Beksińskiego, doskonale o tym wiedział, gdyż sam to budował. Wybijają ze szwagrem dziurę na tyle dużą, aby przez nią wejść. Wchodzą do środka i widzą kałużę krwi. Myślą, że artyście coś się stało, zabrało go pogotowie i jest gdzieś w szpitalu. Jedyne to przychodzi im do głowy. Wychodzą na klatkę i zastanawiają się, co robić. Spotykają sąsiadkę, która pyta, czy na pewno wszystko sprawdzili. Wracają, sprawdzają balkony. Znajdują ciało.

Policja..., prokurator...

Ojciec mordercy zabezpiecza dziurę w ścianie tak, aby policja i prokuratura mogły zaplombować mieszkanie. Szwagier ustala z policją, że zostanie pilnować mieszkania, aby następnego dnia można było dalej zabezpieczać ślady.

Pana pierwsza reakcja na tą tragedię?

Poprosiłem, żeby z nikim mnie nie łączyć. Z jednej strony bałem się, że za chwilę zacznie się nieprawdopodobny jazgot medialny, zaczną do mnie wydzwaniać, wypytywać. Z drugiej strony musiałem dojść do siebie, nie mogłem się z tym pogodzić. Zupełnie absurdalny mord. Jak sobie wyobrazić przyczynę, dla której ten delikatny człowiek, który nigdy nie zrobił nikomu żadnej krzywdy, został w brutalny, bestialski sposób zamordowany? Kto i dlaczego mógł zamordować tak wspaniałego człowieka? Nie mogłem uporać się z makabrycznością tego faktu, brakiem motywu, dla którego mógł zostać zabity. Potem zaczęły się telefony praktycznie z całej Polski i te wszystkie bzdury – co Pan na to? Na to nie było żadnej odpowiedzi. Nic konkretnego nie wiedziałem, a wstrząs był tak duży, że w ogóle nie miałem ochoty na ten temat rozmawiać.

Musiał pan jednak podjąć pewne działania...

Policja, wchodząc do tego mieszkania, na regale zauważyła kopertę z napisem „testament”. Zabezpieczyli ją, otworzyli i dowiedzieli się, że jedynym spadkobiercą Zdzisława Beksińskiego jest Muzeum Historyczne w Sanoku. Pojawiły się jakieś głupie pomysły, żeby najpierw wzięło to Muzeum Narodowe w Warszawie, a dopiero potem my. Muzeum Narodowe odpowiedziało, że nie będzie się w to bawić, co było zresztą zrozumiałe. Sama inwentaryzacja zajęłaby im wiele dni. Zaczęły się telefony czysto formalne. Proszę przyjechać jak najszybciej, musimy dokonać przekazania mieszkania, trzeba zrobić inwentaryzację i wszystko przewieźć, ponieważ mieszkanie nie będzie pilnowane.

Pierwszy wyjazd – dwa samochody, maksymalna ilość moich pracowników, aby wszystko sfotografować i po kolei spisać. Na klatce schodowej dziennikarz na dziennikarzu, usiłują wejść do środka, zrobić jakieś zdjęcia. Dwa auta z dorobkiem Beksińskiego jadą do Sanoka, a w Panoramie pada informacja, że z mieszkania Zdzisława Beksińskiego właśnie wyjeżdża, do muzeum w Sanoku, transport z obrazami. Gdyby ktoś chciał na nas napaść, miał pełną informację gdzie i kiedy powinien to zrobić.

Była sroga zima i wszystko wydawało się nierzeczywiste.

Najbardziej bolesne były jednak wtedy przeróżne wypowiedzi i komenta-

rze. Rzecznik policji, który się zastanawia, czy to nie było specjalnie zainscenizowane samobójstwo i inne wierutne bzdury, które nas niezmiernie raniły. Jakieś satanistyczne historie, że pod wpływem jego twórczości ktoś zwariował. Domysły, które w żaden sposób nie korespondowały z naturą Beksińskiego. Po jakimś czasie musiałem napisać artykuł, który przeciwstawiał się tym rewelacjom i pokazywał właściwy obraz Beksińskiego:

Brutalne zamordowanie Zdzisława Beksińskiego wywołało szok nie tylko u tych, którzy go znali osobiście, ale poruszyło serca i wyobraźnię większości sanoczan. Dla wielu podobnym wstrząsem było to, co na jego temat powiedziano w mediach.

Robiono z niego schizofrenika, homoseksualistę, sadomasochistę, kreatora własnej śmierci, satanistę, samotnika nie lubiącego ludzi, wizjonera, który przewidział, a wręcz sprowokował swoją twórczością zbrodniarza. Podobnie jego malarstwo, w sposób nie mający wiele wspólnego z rzeczywistością, jednoznacznie określano jako okrutne, przepelnione śmiercią itp. Te obrzydliwości głosili nie tylko wyzuci z poczucia jakiegokolwiek przyzwoitości redaktorzy, ale także niektórzy malarze czy psychologowie.

Na szczęście wielu dziennikarzy rezygnowało z potęgowania sensacji i uczciwie przekazywało prawdę, jak choćby w Tygodniku Sanockim, Nowinach i sanockiej Telewizji Kablowej, za co jestem im bardzo wdzięczny. Powtórzmy więc jeszcze raz: Zdzisław Beksiński był normalnym, bardzo przyzwoitym, dobrym człowiekiem. Odgrodził się dość szczelnie od tzw. świata artystycznego, nie brał udziału w życiu artystycznym i stąd określano go samotnikiem. Był otwarty na drugiego człowieka, kontaktowy, rozmowny, dowcipny i bardzo inteligentny. Razem z żoną stanowili idealne, nierozłączne małżeństwo. Jak wielu osobom pomógł – nigdy się już nie dowiemy, ponieważ w swej, aż nadmiernej, skromności w żaden sposób nie dopuszczał innych do tego rodzaju tajemnic.

Był głośnym, wybitnym artystą, ale wobec innych tego nie okazywał. Widzieliśmy raczej niepewność, co do własnej wartości, no i narzucającą się nieśmiałość. Nie chciał nikogo zranić ani zgorszyć, choć jego wypowiedzi, a także sztuka, wykraczały poza utarte poglądy. W dyskusjach bywał przewrotny i niejednokrotnie prowokował rozmówców, przyglądając się z ciekawością ich reakcjom. I jak każdy z nas miał swoje problemy rodzinne i metafizyczne, z którymi nie mógł się uporać, tworząc nieraz zastępcze

modele, by nimi się podierać. Podobnie w sztuce – jeśli prowokował – to głównie w młodzięcym okresie, w Sanoku. Zapewne chciał jakoś zaistnieć i dawne rysunki, a także wczesne obrazy okresu fantastycznego bywały drastyczne i ponure. Chciał jednak, by nie były traktowane wprost, ale z przyzwyczajeniem oka i denerwował się, że tak nie są odbierane. Później jego sztuka stawała się, coraz bardziej świadomie, poszukiwaniem piękna, nielatwego i na pewno obciążonego smutkiem odczuwania przemijalności życia. (...) Nigdy w jego sztuce nie było okrucieństwa czy agresji, nie ma w niej widoków dostarczanych nam ciągle przez media – rozlanej krwi, fizycznego bólu czy śmierci. Była natomiast tajemnica, i za nią, oraz swoiście pojmowane piękno, winniśmy mu być wdzięczni.(...)

(Tygodnik Sanocki, Nr 11, 18.03.2005, s. 6)

Pamięta pan, w jakich okolicznościach poznał szczegóły tej zbrodni?

Szczerze mówiąc, nawet nie pamiętam. Ojca mordercy aresztowano, sytuując go w kręgu podejrzanych. Wykonywał różne prace u Beksińskiego, więc ten mu ufał. Osobiście poznałem tego człowieka jakiś czas wcześniej, mam w głowie jego obraz, ale nie mam żadnego zdania o nim. Syna nigdy nie widziałem. Po tym wszystkim świadomie chciałem jak najdalej odsunąć się od działań policji i prokuratury. Nie miałem po prostu na to siły. Identyfikacji zwłok na szczęście podjęła się pani Puchalska, za co jestem jej ogromnie wdzięczny. W innym razie ja musiałbym to zrobić. Nie chciałem też uczestniczyć w procesie, było to dla mnie zbyt bolesne – rozdrapywać wszystkie makabryczne szczegóły tego, co musiało się tam dziać.

Sprawca przyznał się do tej zbrodni?

Dowody były niezbite. Pierwszym tropem, który zaprowadził policję do mordercy był mop, którego użyto do starcia podłogi. Policja pytała znajomych Beksińskiego, czy wiedzą, gdzie Beksiński trzymał mop. Oczywiście nikt nie wiedział. Pan też był w mieszkaniu u Beksińskiego – wszędzie drzwiczki, schowki, zakamarki – nic nie stało na wierzchu. Zresztą żaden morderca nie szukałby mopa, wziąłby cokolwiek innego. To im podsunęło myśl, że musiał to zrobić ktoś, kto dobrze znał to mieszkanie, kto tam sprzątał. Kto bez zastanowienia go stamtąd wyjął. Sprzątała matka

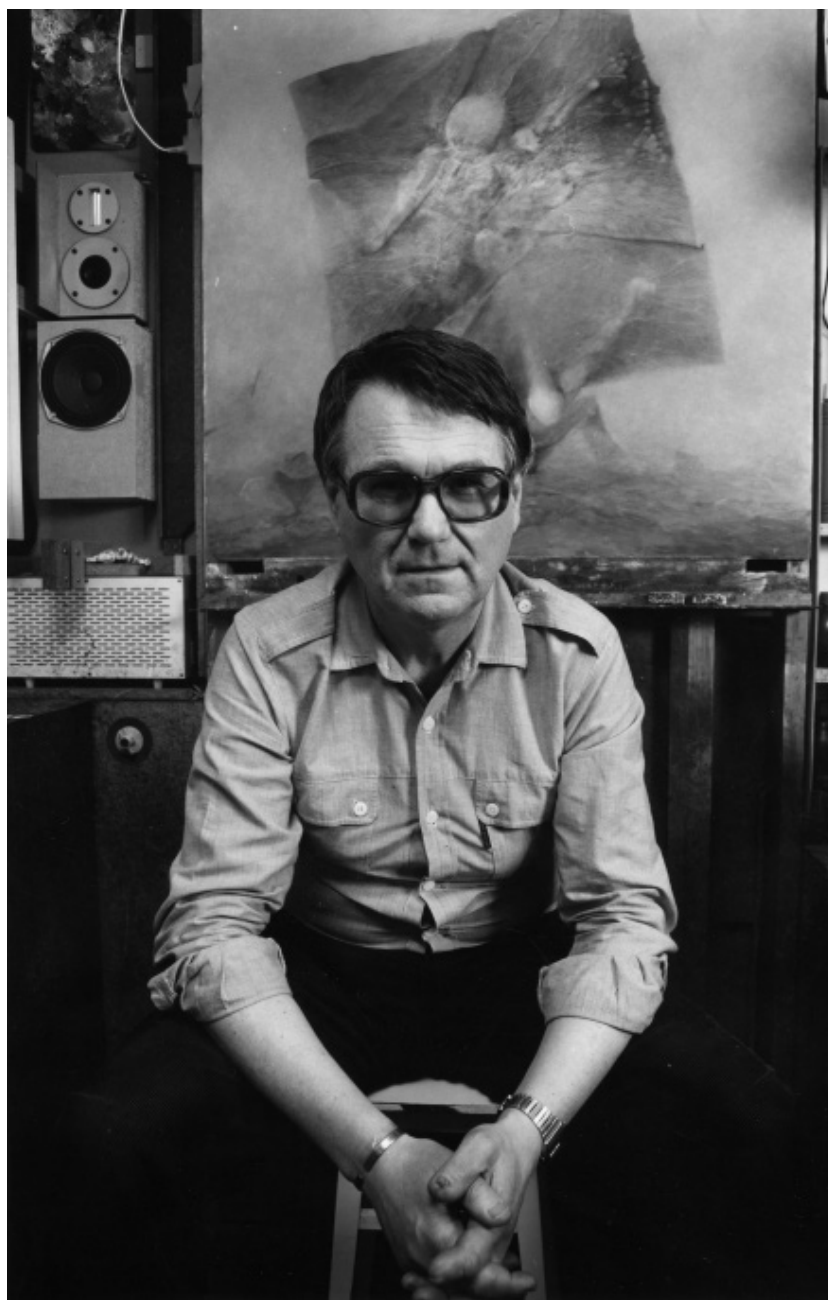
mordercy i pomagali jej córka i syn. Kiedy policja wpadła na ten trop, natychmiast pojechała do ich mieszkania i znalazła ślady – jakiś zakrwawiony ręcznik, płyty, ślady krwi w samochodzie. Zapis komórki także nie pozostawiał wątpliwości. Kiedy ojciec dzwonił do syna, komórka była zlokalizowana przy ul. Wałbrzyskiej.

Pancerne drzwi, kamera. Czy Beksiński bał się, że ktoś może próbować zrobić mu jakąś krzywdę?

Myszę, że zabójstwa się nie bał, w ogóle nie przychodziło mu to do głowy. Paniecznie bał się kradzieży. Stąd ta kamera zaraz przy pancernych drzwiach. Pamiętam jak kiedyś przyjechał do nas i opowiadał, że w nocy ktoś zadzwonił do drzwi z prośbą, aby go wpuścić, bo miała miejsce awaria hydrauliczna i natychmiast trzeba coś sprawdzić. Oczywiście nie wpuścił, powiedział, że jest noc i niech przyjadą w dzień. Rano sprawdził w administracji osiedla i dowiedział się, że nic takiego nie miało miejsca. Była to, zatem jakaś próba napadu, włamania. Podobna sytuacja, o ile pamiętam, powtórzyła się jeszcze raz, czy dwa. Nie myślał jednak w kategoriach zagrożenia życia. Choć niejednokrotnie zdarzało się, że ktoś w nocy dzwonił do ich mieszkania. Nigdy nie otwierał, ale skłoniło go to do tego, żeby zainstalować kamerę. Tyle tylko, że tego tragicznego dnia, w kamerze zobaczył chłopaka, którego dobrze znał i któremu ufał. W przeciwnym razie nie wpuściłby go do mieszkania. Doskonale Pan wie, jaki w tej kwestii był ostrożny.

8 sierpnia 2000

Dzielni ludzie z firmy zajmującej się wideofonami rozwalają w tej chwili żelazne drzwi do mojej samotni, osadzając tam minikamerę, która w ich opinii jest koreańskim cudem świata i czymś, co pozwoli mi na nieco więcej niż odróżnienie człowieka od niedźwiedzia stojącego na tylnych łapach, co było górną granicą możliwości kamery umieszczonej w nich do tej pory. Wraz ze zgrzybieniem narasta w człowieku lęk przed napadem. Wprawdzie do moich drzwi nie dzwoni dzwonek częściej niż raz w tygodniu, ale Jaroszewicz omylił się tylko raz w życiu i to wystarczyło. I tak zapewne kiedyś się omyłę i to, co uznam za nieszkodliwą starszą panią w futrze, okaże się być niedźwiedziem, który uciekł z cyrku i zadzwonił do moich drzwi.



Zdzisław Beksiński w swoim mieszkaniu, Warszawa 1987 r.

Zaczęliśmy dość przewrotnie, od końca historii. Wróćmy jednak do pewnej chronologii. Pamięta pan, jak to wszystko się zaczęło? Jak poznał pan Zdzisława Beksińskiego?

Pierwszy raz z nazwiskiem Beksiński zetknąłem się w grudniu 1972 r. Byłem wtedy studentem pierwszego roku historii sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W ferie zimowe pojechałem do domu, do Kościana, i przy okazji odwiedziłem Muzeum Narodowe w Poznaniu. Trafilem na wystawę sztuki współczesnej, pokazującą sztukę krajowych ośrodków: Krakowa, Warszawy, Poznania, Gdańska. Były tam prace różnych artystów i wśród nich jeden, zupełnie osobno, podpisany: Zdzisław Beksiński – Sanok. Nazwa miasta rzuciła mi się w oczy, ponieważ pochodziła z niego moja dziewczyna. Sam obraz mnie nie zachwyił, ale nazwisko autora zapamiętałem. Po powrocie na uczelnię spytałem ją o niego. Okazało się, że nie tylko artystę zna, ale jej rodzina jest z nim w bliskich kontaktach. Obiecała, że kiedy odwiedzę Sanok, pozna mnie z nim. Latem 1973 r. tak się rzeczywiście stało. Była to moja pierwsza wizyta w tym mieście.

Razem z moimi przyszłymi teściami wybraliśmy się do Beksińskich. Mieszkali w starym, wzniesionym przez Mateusza Beksińskiego (pradziadka artysty), pokrytym blachą niby dworku z wieloma zakamarkami. Każdy, kto tam bywał, zwłaszcza wieczorową porą, miał pod powiekami klimat tego domu. Nawarstwiała się tutaj pokolenia. Wtedy, kiedy ja tam byłem, mieszkali tam Beksińscy z Tomkiem w wieku szkolnym oraz pani Stanisława – matka Zdzisława.

Drzwi otworzył nam Zdzisław Beksiński. Dobrze znali się z moim przyszłym teściem, Tadeuszem Turkowskim, więc spotkanie odbyło się w ciepłej, wręcz rodzinnej atmosferze. To za sprawą pani Zosi, która była niezwykle serdeczną i gościnną osobą.

Pamięta pan, o czym wtedy rozmawialiście?

Pamiętam korytarz, w którym gościa witaly rzeźby – główki, czaszki, co stwarzało dość niezwykle klimat, wносиło coś niepokojącego. Potem duży pokój i obrazy, które wisiały absolutnie wszędzie, natychmiast przykuwając uwagę. Widać to na starych fotografiach. Mam taką cechę, że najpierw widzę obrazy, a potem ludzi dookoła. Wpatrywałem się więc

w obrazu, zanim zaczęła się nasza rozmowa z Beksińskim. Artysta, który miał przed sobą studentów historii sztuki, rozpoczął od prowokacji. Postanowił nam udowodnić i pokazać, że wszystko, czego nas uczono i co związane było z klasycznym widzeniem historii sztuki, należało zweryfikować. Rozpoczął od wywodu na temat malarstwa jednego z najlepszych polskich artystów – Piotra Michałowskiego. Beksiński zaczął nas szokować stwierdzeniami, że Michałowski w ogóle nie potrafił malować koni, że popełniał mnóstwo błędów rysunkowych. Usiłował zburzyć przekonanie, że Michałowski był zarówno dobrym malarzem jak i rysownikiem. W nas wszystko się gotowało, ale słuchaliśmy cierpliwie, choć oczywiście się z nim nie zgadzaliśmy. Beksiński ignorował, albo celowo pomijał to, co było istotą malarstwa Michałowskiego. Teraz rozumiem, że było to coś więcej, niż tylko prowokacja. Jego ówczesne myślenie o sztuce szło w kierunku precyzji, nawet wierności fotograficznej. Zupełnie nie myślał językiem syntezy malarskiej. Uwielbiał Grottgera, czyli rysunek fantazyjny, fotograficznie precyzyjny w określaniu formy. Naśladował go, uczył się na jego przykładzie rysować, a potem stał się fotografem, gdzie precyzja oddania przedmiotu jest automatyczna. Dorastał do takiej formy rysunku, żeby poradzić sobie z kształtem maksymalnie realistycznym, w jego nierealistycznym świecie. Jeżeli w jego nierealistycznych obrazach pojawiał się koń, musiał być precyzyjnie namalowany. Michałowski był dla niego malarzem niedokładnym, który upraszczał sobie pracę, syntetyzując formę przedstawienia konia, na którą Beksiński nigdy by sobie nie pozwolił. Zupełnie inny trop w sztuce, zupełnie inne myślenie, a przy tym sprowokowanie nas do refleksji, czy ta klasyczna historia sztuki faktycznie powinna wyglądać tak, jak uczą jej na studiach. Nie przekonał nas ani wtedy, ani później. Już po śmierci artysty natrafiłem na kasetę magnetofonową, chyba z lat 90., na której przekonywał kogoś w podobny sposób jak nas w 1973 r.

Podjął pan polemikę z jego twórczością? Pierwszy obraz, ten w Poznaniu, przecież pana nie zachwycił?

Podczas tamtej wizyty ani słowem nie wspomnieliśmy na temat jego sztuki. Beksiński zresztą tego nie znośił. Jeżeli ktoś przyszedł do niego i powiedział: Zdżisiu, jaki ładny obraz, to Zdżisiu się wewnątrznie wście-

kał i potrafił ten obraz natychmiast przemalować. Jeżeli obraz był ładny, zwłaszcza w oczach profanów, to był to sygnał, że powinien coś w nim zmienić. Ponadto Beksiński miał poczucie, że dyskusja na temat jego sztuki niewiele daje. Uważał, że jeżeli popełnia błędy i je dostrzega, to znaczy, że nie potrafi sobie z nimi poradzić. Jeżeli zaś ich nie dostrzega, to taka rozmowa tym bardziej jest stratą czasu. Jedną z nielicznych osób, z którymi Beksiński rozmawiał na tematy artystyczne, był Tadeusz Turkowski. Były to rozmowy czysto warsztatowe, z nikiem potem już takich rozmów nie prowadził. Mój teść był dla niego głównym źródłem informacji – jak przygotować podobrazie, jakich farb używać, czego, z czym nie mieszać itd. Beksiński był znakomitym samoukiem, ale tym doświadczonym starszym kolegą, który wprowadził go w tajniki warsztatu, był właśnie mój teść. Beksiński podpatrywał farby, pędzle, wszystko, o czym się nie mówi, ale czego trzeba się nauczyć. Zaslugą mojego teścia jest to, że Beksiński tworzył taką techniką jak monotypia. Zobaczył jak on to robi, spodobało mu się i wykorzystał to w swojej twórczości. To była druga połowa lat 50. i do początku lat 60. uprawiał monotypię.



Zdzisław Beksiński w swojej pracowni, Sanok 1962 r.

Nie było między nimi rywalizacji?

Nie mogło być. Mój teść z nikim nie rywalizował. Był cudowną osobą, życzliwą ludziom i światu. W każdej sytuacji konfliktowej wycofywał się i uznawał pierwszeństwo kogoś innego. Beksiński też był delikatny, więc nie mogło być między nimi żadnej konkurencji, zawiści. Sukcesy Beksińskiego cieszyły mojego teścia, który skrzętnie zbierał wszystkie wycinki prasowe o koledze. Beksiński, jeszcze w czasach sanockich, napisał recenzję z wystawy Tadeusza Turkowskiego, czasami wykonywał dokumentację fotograficzną jego prac, a nawet sfotografował kiedyś Boży Grób w kościele farnym, który zaprojektował i wykonał mój teść. Pisał o tym, z charakterystycznym dla siebie, poczuciem humoru: *Byłem wtedy jakoś ubrany na czarno, chyba w golfie i kurtce. Wchodzę ze statywem na ambonę, bo stamtąd miałem najlepszą perspektywę i widzę, że wszystkie oczy ludzi siedzących w ławkach są zwrócone na mnie. Słyszę taki szum i dochodzą do mnie słowa: to jest ten nowy ksiądz, który przyszedł do parafii.*

Wiem też, że odbywały się między nimi liczne rozmowy, których treści nigdy już niestety nie poznamy. Na przełomie lat 50. i 60. obaj byli zafascynowani malarstwem Paula Klee i obaj usiłowali wtedy wyciągnąć z jego sztuki korzyści dla siebie. Zresztą podobnie fascynowała ich twórczość Picassa. Do końca życia darzyli się wielką sympatią i życzliwością.

Można powiedzieć, że pana teść był mistrzem dla Beksińskiego?

W tamtym okresie tak. Nawet można powiedzieć, że był jedynym mistrzem. Tutaj na gruncie sanockim był jeszcze jeden malarz – Bronisław Naczas – z bardzo dobrym warsztatem malarskim, mieszkający niemal po sąsiedzku. Beksiński u niego bywał, ale Naczas nigdy nie stworzył własnego malarstwa, zawsze malował na zamówienie. Nie kreował własnej wizji malarskiej, malował raczej prace o wysokiej rzemieślniczej wartości. Mój teść szukał swojej wizji. Beksiński uczył się warsztatu przy człowieku bardzo życzliwym, gotowym przekazać mu całą swoją wiedzę.

Czy ktoś jeszcze, w okresie sanockim, miał wpływ na twórczość Beksińskiego?

W muzeum w Sanoku pracował pan Romuald Biskupski, wybitny historyk sztuki, który był z Beksińskim zaprzyjaźniony. Mieli przyjacielskie

kontakty, ale Romek nigdy nie napisał żadnego tekstu o Beksińskim, nie zorganizował też żadnej wystawy. Rozmawiali ze sobą dość twardo i rzeczowo – zepsuleś obraz, zobacz, co tutaj zrobiłeś. To był jedyny człowiek, który mógł krytykować jego twórczość. Beksiński potrafił jeszcze raz przemyśleć, a nawet przemalować obraz, zgodnie z sugestiami pana Romka. Pamiętam konkretny obraz, w ugrowej gamie, pokazujący kłusujące się konie. Beksiński wrzepił, w ten bardzo zharmonizowany olej, sierp księżycy. Romek mu uświadomił, że tym księżycem zepsuł ten całkiem udany obraz. Beksiński go posłuchał i zamalował nieszczęsny księżyc. To przynajmniej jeden przykład, kiedy posłuchał rady Biskupskiego. Beksiński chyba nigdy się nie przyznał, że bardzo cenił tego wrażliwego i mądrego kolegę.



Tadeusz Turkowski, fot. Zdzisław Beskiński

Czy pierwszymi recenzentami jego twórczości byli członkowie rodziny? W notatkach Beksińskiego jest ciekawa wypowiedź na ten temat: *gdybym hodował kury, to ludzie zaczynaliby rozmowę ze mną od „no i jak tam twoje karmazyny: mnożą się, znoszą jajka?” oraz proponowałoby obejrzenie kurnika. Po jakimś czasie by się zmęczyli powtarzaniem ceremonii, która z założenia miałaby charakter wyłącznie towarzyski. Tak naprawdę to gównu wszyscy siebie nawzajem obchodzimy i takie pytania to tylko forma. Dlatego rodzina, która już zobojętniała, nie zadaje kretyńskich pytań. Mnie już nikt nie pyta o to, co maluję – chyba tylko dalsi znajomi. Najbliżsi nie zauważyliby nawet gdybym vis a vis nich, ustawił potężnej wielkości obraz z gołą wypiętą dupą i napisem „pocałujcie mnie gdzieś”.* To zarówno dobrze jak i źle, bo oczekujemy zainteresowania, ale drażni nas raczej nie jego nadmiar, lecz jego stereotypowość i wyraźnie towarzysko uprzejmościowy charakter.

Jest to jednak wypowiedź dopiero z ostatnich lat. W okresie sanockim żona z dużym przejściem towarzyszyła przemianom, które w jego twórczości następowały. Były rysunki i obrazy, których nie cierpiała, ale były i takie, które koniecznie chciałaby zatrzymać w domu na zawsze. Tomek od dzieciństwa pytany był, co tatuś namalował. Słyszymy to na najstarszych taśmach z lat 60. Później oczywiście uległo to zmianie. Nastąpił chyba jakiś proces przyzwyczajania się do powstających w pracowni nowych obrazów. Żona bardzo rzadko wypowiadała się na temat tego, co malował, chyba że wyraźnie się to jej podobało lub nie. Na szczęście nie interpretowała. Jest jednak bardzo ładne nagranie, chyba z połowy lat 80. Pani Zosia mówi o obrazie przedstawiającym postać siedzącą na ławce. Zwraca się do Dmochowskiego, żeby ten obraz został u nich w domu – *bo ta kobieta na ławce jest tak zmęczona jak ja, widzę w niej siebie* (cytuję z pamięci). Myślę, że tego typu skojarzenia, lub skojarzenia przewrotne, w których lubował się sam Beksiński, pojawiały się w tym mieszkaniu od czasu do czasu. Syn bardzo cenił jego obrazy wtedy, gdy miały charakter mistyczno-fantastyczny. Gdy potem zaczęły powstawać samotne postacie i głowy, wypowiadał się w stylu, *że stary robi teraz dzieła przypominające portret pamięciowy złodzieja narysowany przez przekupkę z bazaru Różyciego*. Nadmiernie subtelny w określeniach to on nigdy nie był.

Interpretacjom przez osoby trzecie Zdzisław przysłuchiwał się trochę,

jak streszczeniom snów – każdy odsłania w nich własną podświadomość. Mam jednak wrażenie, że większość rodziny nie oglądała tego, co robił. W ich opinii został sklasyfikowany jako malarz, więc czasami padały pytania „co tam robisz ostatnio?”, ale jak mawiał, *chyba nikt nie ma w sobie na tyle siły, by podnieść dupę z fotela i przejść dziesięć metrów do pracowni*. Zresztą nie miał o to do nich żalu.

W kwestii recenzji pamiętam, kiedy po wystawie, którą zrobiłem w Częstochowie, młodzież jednej z klas wysłała mu swoje recenzje. Beksiński bynajmniej ich nie zlekceważył. Odpisał, że zaskoczyła go tak szeroka skala interpretacji. Nie czytałem tych recenzji, ale zapewne było w nich mnóstwo emocjonalnych i naiwnych stwierdzeń, dość odległych od tego, co Beksińskiemu byłoby bliskie. Natomiast sam fakt zainteresowania, niewątpliwie sprawił mu przyjemność. Zachował się list mailowy przysłany do mnie, który przesałem dalej do Częstochowy:

Moi drodzy! Muzeum Historyczne w Sanoku przekazało mi kopie Waszych prac, napisanych po obejrzeniu mojej wystawy w Częstochowie. Bardzo dziękuję. Zaskoczony jestem wysokim poziomem szeregu tekstów. Osobiście jednak nie myślę o obrazach w sposób literacki. Malarz powinien „widzieć” i – jak sądzę – nie musi rozumieć tego, co widzi. Podobnie jak to, co zachwyca nas wizualnie w naturze, nie zaczyna zachwycać bardziej wtedy, gdy zostanie objaśnione. Piękne obłoki nie staną się piękniejsze, gdy dowiemy się, że stanowią kondensat pary wodnej załamujący lub odpowiednio odbijający promienie słoneczne. Podobnie chyba – jeśli idzie o obraz – to byłbym szczęśliwy gdyby budził zachwyt bez konieczności interpretowania. Istnieje bowiem komunikowanie się przy pomocy słowa i komunikowanie się za pośrednictwem obrazu lub dźwięku, ale – moim zdaniem – nie powinno się przekładać jednego na drugie, czyli literatury na obraz, a obrazu na tekst. Bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe, jest opowiedzenie utworu muzycznego i podobnie trudno jest chyba z obrazem. To tak jak opisać smak czekolady komuś, kto nigdy nie miał jej w ustach. Reasumując: obrazy są do oglądania, a reszta jest milczeniem. Tym niemniej tworzenie impresji literackich ewokowanych konkretnym przeżyciem plastycznym, jest prawem każdego, kto umie pisać, tak więc Wasze teksty traktuję, jako takie impresje i są one doskonale napisane. Dzięki nim dowiedziałem się, jak bywa postrzegane to, co robię, a to jest bardzo dla mnie istotne. Wszystkiego dobrego. Dziękuję.

Czy nieustanne myślenie o śmierci, przemijaniu, miało jakieś podłoże w wydarzeniach z dzieciństwa? Z jakiej rodziny pochodził Zdzisław Beksiński?

Artysta wielokrotnie w wywiadach i listach wspominał swoje dzieciństwo i młodość. Idąc za notatkami, wyglądało to tak:

Trudno mi przywołać moje dzieciństwo i młodość. Kiedy to było? Nie znosiłem szkoły, ale wykonywałem polecenia rodziców. Do głowy by mi jakoś nie wpadło, by się sprzeciwiać. Nawet studia odwalilem takie, jakie mi wybrał ojciec, który lękał się, że zostawi mnie na tym świecie bez fachu w rękę – to rozumiałe. Gdy ojciec zmarł odczułem, zapewne nieświadomie, że jestem wolny i nie muszę już wykonywać jego poleceń. Było to nieuświadomione, bo bardzo ojca kochałem, ale ex post tak to widzę. Tym niemniej malując sobie w domu, musiałem, przez całe lata, pracować mniej lub bardziej dorywczo – to tu to tam, bo skąd miałem brać forszę? Przez pewien czas pracowała moja żona. Pomagała nam także, ze swej emerytury, moja matka. Byłem, jak dziś widzę, niezgorszym kawalkiem sukinsyna, że ją do tego zmuszałem. Nie wiem, czego oczekiwała ode mnie moja żona. Pewnie kupiła mnie takiego, jakim byłem, ale moja matka oczekiwała zapewne na finansowy sukces i jak myślę, przeklinała przez lata całe moment, w którym zaszczerpiła mi ambicje artystyczne, bo to ona mi je zaszczerpiła tyle, że zapewne inaczej to sobie wyobrażała, niż to było. Chciała mieć syna artystę, ulubieńca kobiet, a miała nieudacznika, który nie dawał sobie rady z utrzymaniem domu. Otoczenie widziało to wszystko jeszcze inaczej. Byłem chyba postrzegany jako zakąła rodziny, która przez całe pokolenia produkowała ojców miasta, społeczników, radnych, filary lokalnej społeczności i ja miałem początkowo wszystkie drzwi otwarte, do momentu, gdy się przekonano, że wolę pacykować zamiast zasiadać w gremiach i kierować Nawą. Potem oczywiście to się zmieniło. Napisały o mnie gazety, pokazała mnie telewizja, a za Komuny znaczyło to bardzo wiele, gdyż gazety były trzy, a program telewizyjny docierał do Sanoka jeden. Wystąpienie tu lub tam nobilitowało i wyróżniało: „musi coś znaczyć skoro pokazuje go Telewizja z Warszawy”. Dziś jestem w Sanoku postrzegany, jako chluba miasta. Muszę wpisywać się do ksiąg pamiątkowych, a ludzie pytają czy mogą się ze mną sfotografować.

Była to rodzina, która jak na prowincję galicyjską, zrobiła oszałamiającą

kariere. Mężczyźni brali udział w Powstaniu Listopadowym (Mateusz Beksiński i kuzyn Walenty Lipiński), rozwijali przemysł, kształcili swoje dzieci, które zawsze zajmowały wysokie stanowiska. Ojciec i dziadek to były osobistości w Sanoku. Stąd pewien kompleks Zdzisława, czuł się – jak mawiał – nieudacznikiem.

Ostatnia wojna nie przyniosła tej rodzinie jakichś drastycznych przeżyć, nigdzie nie ma śladów tragedii. Poza Zdzisławem, któremu urwało kawałek kciuka i palca wskazującego, kiedy bawił się niewybuchem. W czasie okupacji mały Beksiński robił zdjęcia żołnierzom i wozom bojowym, naprawianym w sanockiej fabryce (założonej niegdyś przez jego pradziadka Mateusza) – powojennym Autosanie, w którym po studiach przez kilka lat artysta pracował. Ani w jego życiu, ani w życiu jego rodziny, w czasie wojny nie wydarzyło się nic traumatycznego. Zatem wojna nie wykształciła w nim obsesji śmierci i nieustającego myślenia o przemijaniu.

Wydaje mi się, że miało to inne podłoże, zupełnie niezwiązane z wydarzeniami rodzinnymi. Jest to jakiś charakterystyczny rys jego osobowości. Beksiński o śmierci rozmyślał niemalże od dziecka. Z jednej strony był wesołym, pogodnym człowiekiem, z drugiej nosił w sobie dramat przemijania, borykania się z sensem czy bezsensem życia, z niemożnością znalezienia odpowiedzi na to, co dalej. Beksiński wikłał się w rozważania na temat śmierci właściwie od początku. W jego sztuce ten motyw przewija się niemalże bez przerwy, począwszy od prac, które znalazły się w teście złożonej na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. Na ASP dostał się z bardzo dobrą oceną, na studiach nigdy się jednak nie pojawił. Jego marzeniem było zostać filmowcem, reżyserem, na co nie zgodził się ojciec. Została architektura, bo rozsądek podpowiadał, że trzeba mieć konkretny zawód, że z czegoś trzeba żyć. Po drugie z tego, co zaczynało się dziać po wojnie jasno wynikało, że w nowej rzeczywistości nie będzie marginesu wolności na to, żeby film stał się własną kreacją. To go przekonało. Ojciec mówił, że jak skończy architekturę, dopiero wtedy może sfinansować mu studia w szkole filmowej.

W czasie studiów i krótko po nich powstało mnóstwo rysunków, które ukazują okropności wojny. Powstaje pytanie, czy w okresie powojennym okrucieństwa wojny nie dotarły do niego głębiej, niż w czasie okupacji, ponieważ wtedy ujawniano morze zbrodni niemieckich okupantów.



Zdzisław ze swoimi rodzicami Stanisławą i Stanisławem, Sanok 1939 r.

Wydaje mi się jednak, że te rysunki były reakcją bardziej na rzeczywistość okresu stalinowskiego niż na okropieństwa wojny.

Jak była okupacja hitlerowska, to ja byłem dzieckiem i zawsze żeśmy sobie wyobrażali, że to się skończy naszym zwycięstwem. Natomiast stalinizm to miało być coś, co będzie trwało już do końca świata. Co było efektem porozumień jałtańskich. Wierzyliśmy, że tak świat będzie wyglądał i to było nieporównywalnie bardziej beznadziejne od okupacji hitlerowskiej. Ja się zgodziłem, że po prostu zostanę wyrobnikiem architektonicznym i jak coś będę robił, to dla siebie do zabaw. O ile mi pozwolą, o ile nie będzie tak daleko sięgającej inwigilacji, że będą sprawdzać, co się robi w domach. Tak to wyglądało z mojej perspektywy. Ja zarzuciłem wszelką nadzieję na jakiegokolwiek pozytywne rozwiązanie.

(spisane z taśmy magnetofonowej nagranej podczas wywiadu Antoniego Adamskiego w dniu 25 czerwca 1999 r. w Sanoku).

Myślę, że w ten sposób tworzyło po wojnie bardzo wielu artystów. Ci najważniejsi, jak Wróblewski czy Cwenarski, doszli do wyrazistej formy opowiedzenia tego, co się z nimi dzieje. Zapłacili za to cenę najwyższą. Władza żądała sztuki realistycznej o socjalistycznych treściach – pogodnej i wesołej, która chwali nowy świat, a nie opowiada o wojennym czy

powojennym dramacie człowieka, o kolejkach, biedzie, nędzy, rozpaczy. Beksiński robił wówczas to samo, co inni. Ten element koszmaru wojny nie jest w jego sztuce tak obecny jak element zdławienia, lęku, świata, w którym nie ma światła, nie ma nadziei. Wtedy jeszcze rysował do szuflady. Tysiące małych szkiców, których nikomu nie pokazywał. Potem duże kartony, które pretendowały do pokazania na wystawie, często skrzętnie podpisywane, z datą nawet czasami dzienną. Wtedy zrodziła się w nim pewna świadomość własnych możliwości plastycznych. Jeszcze tego nie pokazywał, ale sztuka stawała się kanałem uwalniania emocji, ukazywania tego, co go otacza. Oczywiście nadrzędną w stosunku do tego wszystkiego okaże się wkrótce fotografia artystyczna.

Mówiąc o uwalnianiu emocji, mam na myśli psychiczne podłoże osobowości, która drąży temat śmierci, przemijania, lęku, sensu życia. Nie ma tu jednak charakterystycznych symboli – szkieletu z kosą, z klepsydrą. Jest natomiast człowiek w rozpaczliwej kondycji. Pojawiają się druty kolczaste, przesłuchania, rozstrzeliwania, więzienia, jakaś pijaczka, ale także jazzmani – nietolerowani przez ówczesną władzę. Dochodzimy wreszcie do okresu, kiedy powstają obrazy abstrakcyjne – tam pojawia się, bez żadnych atrybutów śmierci, totalna destrukcja, rozumiana jako niemożność poradzenia sobie z tym, kim się jest. Niemożność zdefiniowania swoich celów. Jest to wątek, obecny w twórczości Beksińskiego niemalże od pierwszego do ostatniego dzieła.

Jakiś lekarz próbował wyjaśnić mi sytuację tych przynajmniej trzech kolejnych pokoleń Beksińskich: Stanisława, Zdzisława i Tomasza, dopatrując się w nich skłonności do depresji. W kolejnych pokoleniach ta depresja narastała. U Zdzisława kanałem ratunkowym była sztuka, wszystko można było tędy wypchnąć i można było żyć na co dzień pogodnie, powiedziałbym nawet radośnie. Natomiast u jego syna Tomka nie było sztuki, nie było tego wentyla bezpieczeństwa. To było bezsensowne borykanie się z codziennością. W dzieciństwie nawet próbował malować. Pamiętam jakiś jego obraz, identyczny jak Zdzisława, tylko dużo gorzej namalowany, bo techniki trzeba się przecież nauczyć. Zdzisław wielokrotnie mówił, że dwóch artystów w rodzinie to byłoby za dużo i że absolutnie Tomek nie powinien być malarzem. Być może Tomek posłuchał ojca, a być może nie rozwinęła się w nim potrzeba malowania. Obaj zresztą na pewno

dostrzegali niebezpieczeństwo, że syn może stać się podróbką ojca. Prawdopodobnie obydwaj obawiali się, że Tomek nie będzie w stanie stworzyć własnego widzenia sztuki. Dlatego bardzo szybko zrezygnował. Znalazł inne przyjemności, którymi niestety nie był w stanie dać upustu temu, co go faktycznie dręczyło. Myślę, że gdyby ta potrzeba wyrażania swoich emocji poprzez sztukę, malarstwo, rzeczywiście w nim tkwiła, to nikt by mu nie przeszkodził, a zapewne ojciec, mimo obaw, pomagałby mu w rozwoju talentu.

Depresja ojca Zdzisława – Stanisława Beksińskiego – była jeszcze do opamowania i on sobie z nią radził. Zdzisław ze swoją zapewne sam nie dałby sobie rady, ale wszystko zostało uwolnione w sztuce, w twórczości. Dlatego tak zdecydowanie nie pasuje osobowość Zdzisława do jego twórczości, tak straszliwie się klóci. Każdy, kto przyjeżdżał do Sanoka, nie mógł zrozumieć, że ten inteligentny, błyskotliwy, pogodny człowiek maluje takie obrazy. Natomiast u Tomka ta depresja jeszcze bardziej była pogłębiona, zamieniała się w autoagresję. Tak to mogło wyglądać, ale oczywiście nikt nie robił badań i właściwie nie sposób byłoby postawić właściwą diagnozę.

Jaki zatem był Zdzisław Beksiński naprawdę?

Gdy myślę o jego prawdziwej naturze, przypomina mi się rozmowa z jego matką w Warszawie. Było to pod koniec lat 70., gdy próbowała mi pokazać, kim tak naprawdę jest Zdzisek, jak o nim mawiała. Miała świadomość, jak on się zakłamuje, jak nie chce przyznać się do tych bardzo ludzkich, normalnych, ciepłych odruchów. Dawała mi przykłady różnych przypadków życiowych, w których Zdzisio pomagał ludziom. Chciała pokazać jego prawdziwą twarz. Gdyby Zdzisław to usłyszał, obróciłby w kpinę, w żart, ale nigdy nie przyznałby się do tego, że zrobił coś z dobrego serca. Zawsze kreował się na kogoś innego. Spotkania ze znajomymi były pełne zabawy, gry. Podczas spotkań towarzyskich, jeszcze w Sanoku, przebierali się, zakładali maski, fotografowali. Uprawiał te wszystkie maskarady, aby się zasłonić. Żeby nigdy nie rozmawiać poważnie na temat tego, co ma w głębi serca. Zdawał sobie sprawę, że tworzy wokół siebie absurdalną otoczkę. Była to dla niego świetna maska, dzięki której nikt nie mógł za głęboko do niego dotrzeć. Wolał zrobić z siebie kretyna, oblewając się ketchupem przy jedzeniu wielkiego hamburgera, aniżeli

pokazać swoje prawdziwe uczucia. Udawał wesołego i rozbawionego po to, aby nikt go nie spytał, co naprawdę czuje, co naprawdę przeżywa. Po śmierci żony i syna czuł się naprawdę bardzo samotny, ta samotność bardzo mu doskwierała. Tego w mediach, przed żadnym dziennikarzem, nigdy by nie powiedział. Jest taki piękny list napisany 26 listopada 2000 r., a więc po śmierci żony i syna, do zaprzyjaźnionej z nim, jeszcze w czasach sanockich, historyczki sztuki pani Jadwigi Malinowskiej, który przytaczam tutaj w całości:

Dzięki za życzenia. Przypomniałaś mi, że mam coś takiego jak imieniny i to już za parę dni. Czas przelatuje teraz obok mnie i niby stale coś się dzieje, ale odbieram to jak przez szybę. Oczywiście maluję nadal i mam nadzieję, że może coś jeszcze uda mi się dobrego namalować, ale moja wydajność jest coraz mniejsza. Moje wystawy dzieją się niejako poza mną. Wystawy obrazów organizuje Banach ze zbiorów Muzeum, a wystawy fotomontaży komputerowych rozmaici organizatorzy, bo ja tylko nagrywam im płyty z pracami i daję za darmo (postanowiłem nie zarabiać na pracach komputerowych, mimo iż mam do nich taki sam stosunek jak do obrazów, bo nie umiem sprecyzować pojęcia oryginału, traktuję to więc jako zabawę starszego pana i udostępniam płyty z nagraniami prac każdemu, kto o to poprosi). Teraz dwie kolejne małe wystawy najnowszych obrazów będą mieć w Częstochowie w galerii Lonty'ego i potem w Gliwicach, w maleńkiej galerijce przy firmie komputerowej. Są to wystawy robione raczej dla przyjaciół, którzy są posiadaczami tych galerii. Poza tym wydawany jest album z moimi pracami komputerowymi dla celów Polskiej Akcji Humanitarnej. Reklamy o tym usłyszysz zapewne w radio i zobaczysz w TV. Z trudnością przyszło mi wykręcić się od wystąpienia w TV z tekstem: „Zapraszam państwa do nabycia mego albumu i tak dalej...”, podobnie jak z trudem wykręciłem się od sfotografowania na rzecz jakichś chorych dzieci w stroju „bohatera mego dzieciństwa”. Doradzano mi Myszkę Miki lub Kaczora Donalda, ale powiedziałem, że moja edukacja literacka w dzieciństwie rozpoczęła się od „120 dni Sodomy” i „Zbrodni miłości” Markiza de Sade, a przedtem jeszcze niania, która molestowała mnie seksualnie w kołysce, czytała mi Pitigrillego – nie wiem więc, za co mam się przebrać. To wszystko i tak na nic, bo głąb, który do mnie w tej sprawie dzwonił, nie znał żadnego z tych nazwisk. Ilość kompletnych idiotów w tej chwili jest wręcz przerażająca

i odnoszę wrażenie, że za Komuny nie było z tym aż tak źle. Nauczyłem się cenić samotność i jakoś pozbierałem się oraz żyję w sytuacji, która jeszcze w połowie 1998 była dla mnie czymś wręcz niewyobrażalnym. Pewną zaletą samotności jest także brak poczucia odpowiedzialności. Może uda mi się umrzeć na stojąco, ale trochę się tego obawiam, że jednak nie. Niestety upadła koncepcja wymiany mieszkania Tomka za kawalerkę na styk z moim mieszkaniem (gdzie myślałem o umieszczeniu w razie kłopotów ze zdrowiem jakiejś pielęgniarki), bo ci ludzie wycofali się, twierdząc, że nie odpowiada im ostatnie piętro, ale ja myślę, że dowiedzieli się o samobójstwie i są przesądni. W takiej sytuacji umebuję mieszkanie po Tomku i w razie czego tam umieszczę pielęgniarkę. Na razie jednak jestem sprawny, więc jest to planowanie perspektywiczne. Do Sanoka może wpadnę w lecie, gdyż jest to jedyna pora roku, w której od biedy mogę znieść przemieszczanie się w przestrzeni. No to tyle. Pięknie pozdrawiam i do zobaczenia w Sanoku.

W tym późnym okresie pisząc czy rozmawiając z osobami, do których ma zaufanie, już nie musiał używać masek.



Zofia, Tomek, Zdzisław Beksiński, Sanok 1971 r.

Wierzył w swój talent?

To też nie jest proste, jak wszystko u Beksińskiego. Z jednej strony od dzieciństwa zachowuje różne rzeczy – zdjęcia, listy. Biega z kamerą i nagrywa się w przeróżnych sytuacjach. Zostawia po sobie dzienniki, notatki, napisane wcześniej próby literackie. Nie niszczy tego wszystkiego, jakby z przeświadczeniem, że może jest genialny i wtedy każda rzecz może być ważna, że warto ją po sobie zostawić. Zatem z jednej strony poczucie wyjątkowości na pewno w nim tkwiło. Z drugiej strony absolutna niewiara, że to, co robi, jest komukolwiek do czegokolwiek potrzebne i że może mieć to dla kogoś jakiegokolwiek znaczenie. Kiedy mu mówiłem, że na jego wystawie było dziesięć tysięcy widzów, patrzył na mnie z niedowierzaniem i twierdził, że to niemożliwe. Co ludzi może w tym interesować? Malował dla siebie, tylko nieliczni mogą widzieć w tym coś ciekawego, ale w szersze zainteresowanie trudno mu było uwierzyć. Naprawdę wątpił w to, że jego sztuka jest cokolwiek warta. Te dwa oblicza Beksińskiego bardzo często odczuwałem na własnej skórze. Czasami dzwonił i nieśmiało mówił, że ma odłożone kolejne obrazy, ale nie wie, czy byśmy chcieli wziąć, bo może mamy ich już za dużo. Tak nie zachowuje się artysta, który wierzy w swój geniusz, przed którym prowincjonalne muzeum powinno paść na kolana. Tak postępuje skromny człowiek, który nie chce robić kłopotu, nie wie, czy nam się jego prace podobają i czy chcemy mieć je w zbiorach. Jak zwykle dwa bieguny. Nie ma, zatem jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Z reguły artyści muszą być przekonani o swoim geniuszu, bo jak tworzyć bez wiary w to, co robią? Muszą wierzyć w swoją sztukę. U Beksińskiego z jednej strony działa ten mechanizm, z drugiej on nieustannie wątpi w swój talent. W zapiskach, które pozostawił, pisze o tym tak:

Lennon powiedział przy jakiejś okazji coś, jak mi się wydaje, sensownego. Streszczało się to do stwierdzenia, że talent trzeba sobie wmówić, a następnie weń uwierzyć. Rzecz jasna, narzuca się pytanie, czym w takim razie „prawdziwy” twórca różni się od grafomana. W moim wypadku nie widzę różnicy poza poziomem inteligencji i wrażliwości. Bardzo wysoko cenię grafomanię, bo jest w stanie wypełnić nam tą iluzję rzeczywistości, której każdy artysta tak boleśnie doznaje. Niestety większość ludzi to durnie, o czym doskonale wiedzą politycy, gdy dochodzi do kupowania głosów,

a więc też większość grafomanów to durnie i ta ich grafomania też jest taka jak oni sami. Rzecz więc w tym, by nie być durniem i by odnaleźć tę enklawę, w której potrafimy się jako tako poruszać – nie zrealizowalbyśmy się w szachach, tenisie, body building, a nawet w śpiewie – mógłbym jednak pisać, gdyby nie dysleksja. Reszta jest ciężką pracą, która jednak działa na nas jak butelka wódki na skazańca.

Okres fantastyczny był źle przyjęty przez krytyków, ale dobrze przez widzów. Czy Beksieńskiego to męczyło?

Oczywiście. Był tak zmęczony napadami krytyki, że chciał, aby jego wystawę nazwano wystawą obrazów, a nie wystawą malarstwa. Broniąc się rozpaczliwie mówił, że to jest zupełnie nieważne, jak coś jest namalowane. Ważne jest to, że on przekazał swoją wizję. Może to w ogóle nie nazywać się obrazem. Niech to będzie inną formą, żadne kryteria malarские niech nie będą stosowane. To była jego osobista opowieść o tym, co w sobie nosił. Uważał, że jeżeli komuś ta opowieść nie pasuje, nie mieści się w kategoriach malarstwa, to on to szanuje. Mówił, że można patrzeć na to, co robi, jak na środek zastępczy za niewynaleziony aparat do fotografowania snów i marzeń. Jeżeli działa aparat, to fotograf się nie koncentruje na tym, czy plama jest dobrze położona i czy kolory dobrze ze sobą współgrają. Opowiada swoją wizję. Jeżeli od strony malarskiej jest niedoskonała, trudno. Uważał, że ma obowiązek wobec siebie, a nie wobec odbiorców jego sztuki. Nie usiłuje nikogo zadowolić estetycznie. Takie wtedy było jego podejście. Myślę, że brało się to z bezradności. Był opluwany, wyszydzany, ktoś w jakiejś książce pokazał jego obraz, jako przykład kiczu. Oczywiście bolało go to. Próbował wymknąć się klasycznej ocenie sztuki wobec swoich prac, aby po prostu być wolnym. Dajcie mi spokój, robię swoje, jak się komuś podoba to dobrze, a jak nie to trudno. Było to dosyć dramatyczne. Wiedział, że jeśli podda się tej presji i zejdzie ze swej drogi, to już nigdy nie będzie w sztuce szczery. Może zniszczyć w sobie coś, co jest autentyczne. Oczywiście nie jest prawdą, że nie dążył do tego, by obraz był dobrze namalowany, jednak kryteria, w jakich to oceniał były dalekie od tych, którymi posługiwali się krytycy sztuki. Szybko przyjęło się określenie „Beksieński to kicz”, które jeszcze i dzisiaj można usłyszeć. Nie oznacza to przecież, że nie miał świadomości tego, że nie wszystko

mu się udaje, że są też słabe prace. Zawsze jednak chodzi o te udane, o te dobre. W jednej z rozmów, którą przeprowadzałem z Beksińskim, zarejestrowanych na taśmie wideo 11 marca 1987 r., prezentowanej podczas wystawy w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie, tak o tym mówił:

No to był gdzieś okres, powiedzmy od początku lat 70., czy drugiej połowy lat 70., to ja tak robiłem – mianowicie – jakbym mniej uwagi zwracał na samo malarstwo. To znaczy ma to być rodzaj kolorowego slajdu. Zresztą tu jest (wywiad był nagrywany w jego mieszkaniu w Warszawie, gdzie na ścianach wisiały obrazy wybrane przez żonę artysty, które dzisiaj znajdują się w Muzeum Historycznym w Sanoku) chyba obraz w dużej mierze z tego okresu. Rodzaj kolorowego slajdu, w którym istotą jest to, co zostało namalowane, a nie jak zostało namalowane. Oczywiście dzisiaj nie idzie wyłącznie [o to] jak coś zostało namalowane, gdyż tak radykalnie nie zmieniłem punktu widzenia. Tym niemniej bardziej przechyliłem się w kierunku wyrażania tego w inny sposób. Czyli sama materia malarska, moim zdaniem, przynajmniej jest dzisiaj w dużo większym stopniu przedmiotem mojej pracy i to długotrwalej nad obrazem, niż to było w latach 70., gdy malowałem te obrazy, które pan tak uprzejmie nazwał gładko malowanymi, a ja uważałem, że nigdy nie potrafię uzyskać tej gładkości. Ale malowałem je szybko i rzeczywiście założone było, że to ma być szata, to ma być korona, to ma być drzewo. Dzisiaj nie jest to tak jasne dla mnie. Dzisiaj to ma być coś takiego, co ja widzę, czego nie potrafię nazwać za bardzo.(...) Gdy widzę stary obraz, to mam rozmaite podejście do niego. Jeżeli on stale wisi u mnie w mieszkaniu, to ja z nim jakoś żyję i po pewnym czasie widzę go inaczej i on jest punktem wyjścia do czegoś, co jest całkowicie inne. Natomiast, jeśli on po prostu z domu wybył i ja go nagle spotykam po dziesięciu latach, to czasem, jeśli się go pozbyłem na zasadzie tej, że to był bardzo kiepski obraz – nagle myślę: o Boże on był dużo lepszy od tego, co w tej chwili maluję i szkoda go było sprzedawać. Ale jak widzę większą ilość starych moich obrazów, to raczej odczuwam coś wręcz przeciwnego, że naknociłem taką ilość siana. A miałem ostatnio możliwość obejrzenia ogromnej ilości nie tyle obrazów, co reprodukcji, bo fotograf ze starych negatywów robił wszystko, co kiedykolwiek sфотографowałem. Jak zacząłem to przeglądać, to byłem załamany, że naknociłem taką ilość obrazów, których w ogóle nie powinienem był namalować, albo powinienem spalić

zaraz po namalowaniu. Wtedy widzi się właśnie pewne stereotypy, które są jakby nachalne. Po pewnym czasie wyparowało z nich to, co człowiek dawniej w nich widział, a teraz ogląda jakby ktoś obcy na to patrzył i myśli sobie, to nędzne obrazy. Właściwie to wszystko należałoby wyrzucić albo namalować raz jeszcze, ale całkiem inaczej, albo się od tego odciąć. Dzisiaj nie istnieje już taśma z tą rozmową, ale na szczęście zdołałem ją wówczas przepisać. Tego *przechylenia się*, o którym mówi artysta, wielu krytyków w ogóle nie dostrzegало. Mam wrażenie, że są tacy, którzy do dzisiaj tego nie widzą. Ale wróćmy jeszcze do tamtych czasów. Na szczęście Beksiński miał jednak kilku wiernych krytyków. Na przykład Wojciech Skrodzki, który zrobił niezwykle manewr z wystawą w Warszawie. Zaproszonych zostało dwudziestu pięciu krytyków, którzy mieli wybrać dwudziestu pięciu najlepszych malarzy na 25-lecie PRL-u. Skrodzki, mając dwadzieścia pięć głosów, dwadzieścia cztery oddał na Beksińskiego. Inni krytycy nie oddali ani jednego głosu na Beksińskiego, mimo to Beksiński uzyskał największą ich ilość. Ku oburzeniu innych znalazł się na tej wystawie obok Kantora czy Nowosielskiego. Zawrzało. Nagle ten „kiczarz” znalazł się wśród najlepszych. Beksiński nie przywiązywał do tego wagi, miał świadomość, jak do tej sytuacji doszło, ale jednocześnie słysząc wściekłość pozostałych krytyków, miał niesamowitą frajdę. Zrobiło się o nim głośno, może w sensie trochę negatywnym, ale przy okazji tej wystawy mówiono tylko o Beksińskim. To zwracało uwagę widzów.

Raz po raz wspomina pan o maskach, które zakłada...

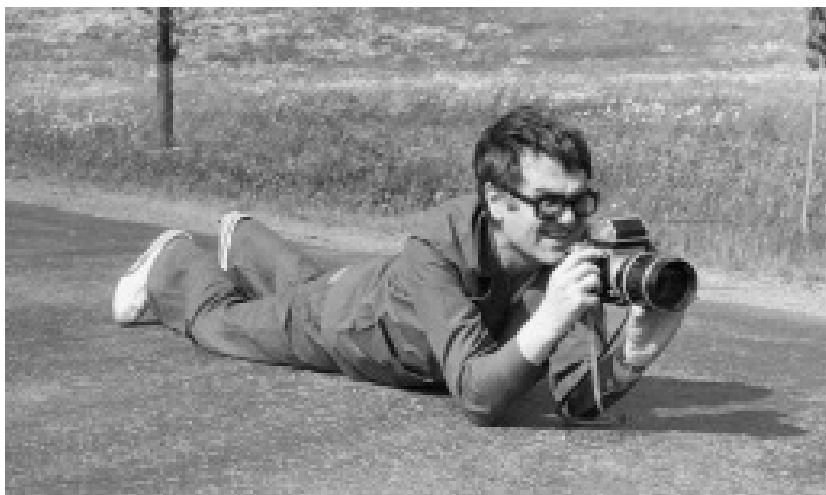
Sama sztuka jest niemalże ze swej natury maską. Z jednej strony odsłania to, co artysta sam chciał pokazać, z drugiej obnaża i mimowolnie ukazuje jakąś tajemnicę o nim. Wróćmy na chwilę do tej naszej rozmowy sprzed prawie trzydziestu lat:

W Sanoku są rozmaite obrazy – lepsze i gorsze. Ja starałem się wepchnąć zawsze to, co uważałem za najlepsze do muzeum w Sanoku, ale jaki miałbym stosunek dzisiaj? Rzeczy, które uważałem wtedy za dobre, dzisiaj mam jakby inny stosunek. Na przykład ten cały okres twórczości slajdowej był w moim rozumieniu także twórczością i parodystyczną, i persyflazową. Ludzie nigdy w tym persyflażu nie widzieli i widzieli właśnie bezpośrednio, bez żadnego zmrużenia oka czy jakiegoś pastiszu... Jak ja

dzisiaj na to wszystko patrzę, to myślę sobie, tu nie widać tego persyflażu. Nie widać, że ja do tego ustawiałem się z dystansem, że szereg rzeczy było robionych po prostu w formie maski. Ja to odczytuję w sposób bezpośredni i odczytane w sposób bezpośredni wygląda strasznie naiwnie, co mnie dzisiaj razi. Ja jestem dzisiaj osobą bardziej skrytą niż byłem wtedy. Oczywiście wtedy się również skrywałem. Mówiłem pewne rzeczy w sposób przesadny, czy w sposób połączony z pastiszem i persyflażem, po to, żeby za tym się ukryć. A dzisiaj prawie to wszystko opadło i pozostała sama naiwność. Tak mi się przynajmniej dzisiaj wydaje.

Wróćmy do początków, myśli pan, że dobrze się stało, że nie skończył Akademii Sztuk Pięknych?

Byłbym szczęśliwy, gdyby Beksiński przeszedł przez Akademię. Wydaje mi się, że stracił bardzo dużo czasu, żeby dojść do pewnego poziomu warsztatowego. Akademia nieco by go uwrażliwiła na sprawy, na które sam nie zdołał się uwrażliwić. Samo mozolne studiowanie natury, w swoim nieskończonym bogactwie, uwrażliwia każdego twórcę i rozszerza wyobraźnię. Z drugiej strony może zdusiłaby coś, co jest absolutnym mistrzostwem Beksińskiego? Akademia dawniej skupiona była na sprawach warsztatowych. Beksiński nigdy nie miał żadnych korekt, nigdy nie miał przy sobie kogoś, kto by mu powiedział – zobacz, ta ręka jest źle narysowana. Był znakomitym samoukiem, miał świetnie przeanalizowane, jak powinien wyglądać klasyczny, dobrze zbudowany obraz i doskonale wiedział, co robi, kiedy zrywał z tradycyjnymi zasadami. Szedł w kompozycje, które nagle celowo traciły swój właściwy układ, coś wychodziło z obrazu w sposób zamierzenie nieporadny. Potem celowo źle komponował swoje rysunki, właśnie po to, żeby się wylamać ze sztywnych ram, aby dodatkowo zadrażnić, aby ta wizja była jeszcze bardziej drastyczna, dramatyczna. Potem uzna to za absurdalne. Uzna, że to nie ma sensu, że starzy mistrzowie wiedzieli, co robią, że była to mądrość absolutna. Burzenie tego było związane z awangardowym podejściem i on to robił, usiłował wychodzić poza utarte ramy, potem zauważył, że to donikąd nie prowadzi, nie pozwoli stworzyć głębszego dzieła sztuki, że trzeba wrócić do kanonicznych form tworzenia.



Zdzisław w roli fotografa, lata 60.

Może gdyby skończył ASP nie byłoby fotografii?

Być może nie byłoby na to czasu, bo wcześniej zacząłby wypowiadać się jako malarz.

Odszedł od fotografii dlatego, że sprzęt, który miał, nie dawał mu możliwości tworzenia tego, co chce. Nie został reżyserem, bo nie mógłby realizować swoich pomysłów tak, jakby chciał. Z tych dziedzin, w których nie mógł pokazać się do końca, po prostu zrezygnował?

Pewne ograniczenia czuł także jako malarz. Chciałbym namalować węża, mówił, ale nie stać mnie na pracownię, w której będzie wąż i będę mógł obserwować jak światło załamuje się na jego skórze, jaką energię ma skurcz jego ciała. Mogę to sobie tylko wyobrazić i zrekonstruować. Nie stać mnie na modela, na scenografię, na odpowiednie oświetlenie, żebym mógł pracować tak, jakbym chciał. Moje malarstwo przypomina pod pewnym względem nastawianie ostrości w lustrzance, czyli przechodzenie od nieostrzych plam, warstwa po warstwie, aż do ostrego obrazu. W trakcie tej pracy bardzo często zdarza mi się retuszować, przekształcać lub nawet w znacznym stopniu zmieniać koncepcję. Nigdy nie robię precyzyjnego szkicu, który potem miałbym realizować. Taka metoda jest dla mnie równoznaczna z samobójstwem. Odczułbym to jak kolorowanie

rysunku, ale wiem, że wielu wybitnych malarzy maluje w taki właśnie sposób, każdy więc ma swój. Klasyczny sposób tworzenia polega na tym, że dręczy nas jakiś temat, jakaś myśl, którą chcemy ukazać. Siadamy i próbujemy ją namalować. To jest taki stereotypowy proces twórczy. Nosimy w sobie jakąś ideę i szukamy odpowiedzi, jak to przez siebie prze-filtrować, wysublimować, jak z tego może powstać dzieło, które trafi do kogoś i kogoś poruszy. Taki proces zupełnie nie istniał u Beksińskiego. Czasem odwoływał się do snu, ale prawie nigdy nie malował snu, gdyż ten jest rzeczywistością dynamiczną, dzieje się, zmienia. Jakieś obrazy z tego snu mogły najwyżej inspirować jego rysunek. Sen trzeba byłoby przenieść na martwy, statyczny obraz, ale nie da się tego zrobić w sposób wiarygodny. Sen, bowiem, pokazuje na przykład, że jakaś postać idzie, ale gdybyśmy mieli ją namalować, okazałoby się, że nie wiemy, czy to była blondynka czy brunetka; czy była w czerwonej czy czarnej sukni. Akcja tego sennego wydarzenia była ważniejsza niż te szczegóły. Natomiast obrazu, bez dopowiedzenia pewnych szczegółów, nie da się sformułować. A więc jeżeli sen był podstawą czegoś, to tylko urywkowo i czasami. Natomiast ten proces nachodzenia wizji był zupełnie spontaniczny, przy malowaniu obrazu, niejako w przerwie.

Pewnym mankamentem malarstwa (rozmowa z dnia 11.03.1987 r.) jest to, że ono jest nieruchome. Ja nawet dlatego myślałem o tym, żeby kręcić filmy, bo tam jest możliwość (...) dramaturgii. Więc, oczywiście wszystko – nie tylko sen. Każda rzecz, którą się namaluje, a która ma już odnośnik czy w marzeniu, czy w rzeczywistości, to zawsze musi być przetłumaczona na język środków malarskich. I oczywiście słusznie pan zauważył, że w trakcie malowania obrazu, już sam fakt położenia farby, już naznaczenia czegoś, co już jest konkretnie i co się jakby nie zmienia, wpływa później, na to, co się (...) dalej buduje, tak, że ta wizja początkowa, sen czy jakieś marzenie ulotne, które stało u źródła rozpoczęcia w ogóle malowania obrazu, staje się coraz mniej istotne, a coraz bardziej to, co zostało na obrazie namalowane, powoduje dalsze zmiany, uzupełnienia, no i niejednokrotnie na końcu jest całkowicie inny obraz. Ja należę do tych, którzy nieustannie tam grzebią, przemalowują. Początkowo usiłowałem się bardzo dokładnie trzymać wizji pierwotnej. Uważałem to za jakąś nieuczciwość, że ja (...) zobligowany jakimś tam maźnięciami, całkiem przypadkowymi, nagle zaczynam nie chcieć

tego, co namalowałem poprzednio, a chcieć czego innego. To tak jakbym nie sam malował, tylko coś za mnie malowało. No, ale mój Boże, wizja to także przyszła do głowy, tak jak głosy do Joanny d'Arc, przecież ja tego nie zaplanowałem. Nagle coś zobaczyłem. No to dlaczego, jak zobaczyłem drugi raz po godzinie, a jeszcze trzeci raz za tydzień, nie mam prawa zmienić? A jeśli wolę to, co zobaczyłem później, aniżeli to, co widziałem przedtem? I jeszcze jeden cytat, z 25 czerwca 1999 r., podobnie tłumaczący problemy zależności wizji i malowania:

To jeden z ostatnich obrazów, który został namalowany (chodzi o obraz A8 z 1999). Więc ten obraz, który nam przedstawia w jakimś zdeformowaniu Madonnę z Dzieckiem, postać z dzieckiem. Na początku tu było zwierzę z głową w tym miejscu. Na tle tego stała postać męska, czy jakaś tam postać, bo ja płci zazwyczaj nie określam, i to malowałem chyba z tydzień. I zaczęło mnie to męczyć. I pewnego ranka, jak wstaję, to myślę sobie, przecież tu są ramiona, jakby tylko głowę zwierzęcia wyrzucić to będą ramiona, a tu gdzie jest postać, to jest głowa. Więc szybko to przerobiłem na głowę, tę postać zamalowałem i przerobiłem na ramiona i było popiersie. Coś znowu pracowałem nad tym dwa dni i popiersie zaczęło mnie razić symetrią. Więc myślę: rozbiję symetrię w ten sposób, że wetnę tu głowę jedną, tę podetnę i zrobię z tego dwie głowy. Zrobiłem dwie głowy i tu się prosiło o dodanie rąk i zrobiła się z tego jakaś deformacja postaci z dzieckiem, która się jakby kojarzy z Madonną z Dzieckiem. No więc co ja miałbym niby chcieć przez to przekazać, jak zaczęło się od konia a skończyło się na tym.

Najbardziej mi chodzi o kształt. Trudno to w słowach ująć, bo ja widzę pewien kształt, tak jak na przykład miałem tę postać (chodzi o obraz AA z 1996), którą żeśmy dzisiaj oglądali, gdzie jest obraz sfotografowany w dwóch wersjach. Pytają mnie, gdzie jest ta druga wersja tego obrazu. Nie ma, bo ja po prostu zamalowałem obraz po sfotografowaniu, gdyż mnie raził jednak, ale ja tego w słowach nie jestem w stanie przekazać. Po przemalowaniu jest to niby ten sam obraz, zresztą on wisi na zamku, ale nogi zostały namalowane inaczej, bo bardziej mi harmonizowały, bo wydawało mi się, że forma jest w tej chwili bardziej konsekwentna. Trudno powiedzieć, żeby kształt coś sugerował, jest to po prostu postać leżąca, męska albo raczej postać żeńska leżąca, która w jakimś sensie nawiązuje do rzeźb Henry Moore'a, bo są tam jakieś elementy z rzeźb Henry Moore'a, który wywarł

na mnie jakiś wpływ. Ja czasem pewne rzeczy od pewnych ludzi wziąłem i od Henry Moore'a coś tam wziąłem na pewno i nie będę się tego wypierał. Wziąłem zresztą od wielu innych, bo każdy zresztą skądś bierze, bo samo malowanie już jest faktem sztucznym. Bo nie leży w naturze ludzkiej produkowanie rzeczy, które mają kształt prostokątny i wieszak z tyłu, bo to jakiś przypadek doprowadził nas do robienia tego. Jest to wynik tradycji.

Beksiński często malował serie prac – jak zaczynał malować postacie siedzące na krześle, to podobnych obrazów stworzył kilka. Szukał pewnych wariantów, namalował coś, co nie do końca mu odpowiadało, ale jednocześnie inspirowało, aby przedstawić to samo w inny sposób. Jeden obraz rodził koncepcje powstania następnych.



Obraz A8, 1999 r.

Myśli pan, że malował następny obraz, bo nie był zadowolony z poprzedniego, czy miał nową wizję?

Już widział dalej. Najbardziej było to dostrzegalne, kiedy pojawiły się kserokopiarki. Wtedy najlepiej można było uchwycić proces jego myślenia. Postanowił narysować zdeformowaną kobietę. Rysował, ale nie wiedział, dokąd ten rysunek dalej go zaprowadzi, więc zatrzymywał się, kserował. Dawało mu to możliwość poprowadzenia rysunku całkiem inaczej. Następnie wracał do poprzedniego i obok kobiety pojawiał się na przykład pies, a dalej fragment architektury. Dochodził jednak do wniosku, że powinno to pójść w innym kierunku, wtedy wracał do kserokopii i prowadził na niej zupełnie coś innego. Jego wizja była cały czas dynamiczna. Podczas malowania, jeżeli zmieniła mu się koncepcja, nie mógł już nic odwrócić, zetrzeć farby, wymazać. Musiał to kontynuować. Nie chodziło o to, że się nie zrealizował w jakimś obrazie, ale o to, że możliwości potraktowania tego, co się w nim rodzi, były bardzo różne, uważał, że warto przechodzić z jednej koncepcji do drugiej.

Wychodząc od jednej myśli, widział wiele rozmaitych możliwości. Pod powiekami pojawiał mu się jakiś błysk, na tej podstawie robił rysunek, notował elementy, bo za chwilę to widzenie mogło zniknąć, mógł o nim zapomnieć. Następnie robił obraz impresjonistyczny z żywymi kolorami, potem coraz bardziej go precyzował, uzupełniał coraz głębiej. Kiedy jakiś fragment kompozycji nie pasował, zamalowywał go i wprowadzał coś innego, aby uzyskać to, co chciał. Najważniejsza była forma, kolor był zawsze drugorzędny. Nie myślał kolorem tak jak Tycjan, czy inni wielcy koloryści, myślał o formie. Miało to zapewne swe źródło w fotografii, tej tradycyjnej, czarno-białej, gdzie kolor jeszcze nie odgrywał takiej roli. Nie można było ustawić na czarnym tle czerwonej sukienki i popatrzeć czy to współgra czy nie. Było czarne i białe i w tym pojawiała się postać, która miała jakąś siłę ekspresji. Chciałoby się nawet powiedzieć, że sporo obrazów Beksiańskiego było rysowanych czy malowanych niezależnie od tonacji. Najważniejsze było zdefiniowanie formy. Kolor mógł tę formę zaburzyć. Nagle nie wyjdzie coś kolorystycznego i okaże się, że ten kształt, który nas angażuje, został rozbity przez jakąś głupią plamę, niewłaściwego koloru, położoną obok, która miała być tylko elementem tła.

Cały czas był uwikłany w jakieś ograniczenia. *Technicznie prawie wszystko*

mogę, ale pewnych rzeczy nie mogę zobaczyć i zweryfikować. A więc dążenie do sugestywnej formy uzyskiwanej bardziej za pomocą tonów, półtonów, a więc walorowo, kolor gdzieś na dalszym planie uzupełnia dopiero całość:

To nie było chyba jakoś zamierzone (rozmowa z dnia 11.03.1987 r.). To po prostu tak wyszło. Nie wiem. Niewątpliwie malowałem przez pewien czas w taki sposób i to do dziś mi zostało, że najjaśniejsze malowałem w ostatniej chwili. To się chyba bierze stąd, że we wszystkich moich obrazach, jakie by nie były, trudno jest znaleźć takie, które miałyby ujednolicony walor, żeby były całe w skalach szarości. Ja zawsze chcę (mieć) jakiś punkt odniesienia, który musi być albo absolutną bielą, albo bardzo jakimś jasnym kolorem. I drugi punkt odniesienia, który musi być absolutną czernią albo też bardzo ciemnym kolorem. To się wzięło chyba z fotografii i ideofotografii, bo wiadomo było, że w stosunku do rzeczywistości, czy nawet ekranu komputera rozpiętość tonalna, nawet błyszczącego papieru, jest ograniczona i nie znajdzie się tylu punktów przeniesienia, punktów pośrednich, ile ich w rzeczywistości oko widzi. Dlatego człowiek starał się ich uzyskać maksimum. Wiadomo było, że w fotografii musi być chociaż jeden punkt czystego białego papieru i drugi punkt absolutnie maksymalnej czerni, jak w czarno-białej fotografii. I to mi tak mocno się zakodowało, że chyba dzisiaj na obrazie, który jest jeszcze bardziej ograniczony niż fotografia, staram się także uzyskać maksymalną rozpiętość walorową.

W ostatnich latach życia, Beksiński używał do tworzenia rysunków komputera. Rysował na papierze lub bezpośrednio na tablecie, a potem te rysunki przetwarzał komputerowo (nazywał te prace rysunkami modyfikowanymi komputerowo). Pomagało mu to cyzelować formę, przemieniać ją, udoskonalać – przekształcając w kierunku jakiegoś ideału, który w sobie odnajdywał. Jakby to było dziś, pamiętam naszą rozmowę w pracowni komputerowej. Beksiński pokazuje mi swoje najnowsze prace na monitorze i wydruku. Wszystkie są czarno-białe. *Ale teraz chciałbym panu – mówi w pewnym momencie – pokazać kolorowe próbki. Nie jestem jednak pewien ich wartości. Nie wiem czy nie zatracają tej czystości formy. Jeszcze ich nie drukuję jako prac zamkniętych, skończonych. Nie wiem, czy warto. Czy w ogóle iść w tym kierunku?* Byłem wówczas przekonany, że te monochromatyczne prace są dużo lepsze i w tym go utwierdzałem. Po

śmierci artysty, z jego oryginalnego zapisu cyfrowego zaczęliśmy drukować również te kolorowe. Zauważyłem ich zupełnie odmienne walory, ich smak, estetykę. Dziś nie odradzałbym mu definiowania wizji w kolorze, ale wtedy, gdy porównywaliśmy te prace na monitorze, wydawały mi się znacznie słabsze.

Nie wierzę do końca, że mówił szczerze, że pewnych rzeczy nie może zobaczyć i zweryfikować. Bardzo wierzył w swoją wyobraźnię, być może było to asekurowanie się.

Mówimy o dwóch różnych rzeczach. Jeżeli widzi Pan czarnego kruka, to on czerń namalował tak, jak ją sobie wyobrażał. Ale wolałby go zobaczyć w świetle padającym z prawego górnego rogu. Czy przypadkiem nie będzie jakichś innych refleksów, które mu to ubogacą? O to chodziło! Nie o to, że on musi mieć przedmiot, żeby namalować jego prawdopodobny kształt, chodziło o rozwiązanie czysto malarskie.

Wróćmy jeszcze do cytowanej rozmowy z 1978 r. Pytałem go między innymi o to, czy są jakieś bariery, z którymi w malarstwie nie może sobie poradzić, czy musi z czegoś zrezygnować:

Rezygnuję z bardzo wielu ilości rzeczy i założę się, że wszyscy na świecie mają te swoje bariery techniczne. Jedna to będzie polegająca na lenistwie. Na przykład malowanie budynku z rzędem identycznych okien, powiedzmy czterestu i to w trzech piętrach, jest rzeczą, którą potrafię zrobić, tylko chyba bym oszalał, jakbym to musiał zrobić. Wobec tego wolę wymyślać coś, że na przykład każde okno będzie inne, albo w ogóle, że nie będzie budynku, tylko będzie drzewo. Jest wtedy więcej zabawy przy malowaniu. Te bariery techniczne są oczywiście... Niesłychanie trudno pewne rzeczy namalować z wyobraźni, szczególnie, jeżeli człowiek specjalnie nie oglądał tych rzeczy nigdy dokładnie. Są to powiedzmy fale, fale morskie czy coś takiego. Nie są bynajmniej tak proste do namalowania z wyobraźni, aczkolwiek byłyby proste, gdyby można to było namalować z modelu. Otóż, jeżeli ja fale udrażniam na jakiejś postaci fantastycznej i jest to równocześnie jakaś fantastyczna tkanina, to nie mógłbym tego zobaczyć, bo niby jak. Więc tu mam gigantyczną ilość problemów. Już pomijam takie sprawy, że gdyby tę tkaninę namalowaną rozprostować, to najprawdopodobniej nie miałyby żadnego sensownego kształtu, bo to są wymyślone rzeczy. Ale również, w jaki sposób

namalować tkaniny, żeby się różniły – to jest atlas, a to jest len, a to jest jeszcze coś innego. Bez modelu to jest prawie niewykonalne. To znaczy można to zrobić za drugim razem. Jeżeli za pierwszym razem malowałem kilka tkanin z modelu, to za drugim razem już bez modelu wiedziałbym, co należy traktować tutaj jako wyróżnik rodzaju tkaniny. Więc wiem, że moje obrazy są w wielu miejscach, powiedzmy, zrobione z tego samego rodzaju surowca, z tego samego rodzaju plastiku. Jakaś maszyna wypuściła i tkaniny, i ciało, i trawę, i drzewa z tego samego rodzaju plastiku tylko rozmaicie pokolorowanego. I to jest to, co wyróżnia obraz malowany z wyobraźni od obrazu malowanego z natury. Są rzeczy wreszcie, z których ja rezygnuję świadomie, chociaż umiałbym je namalować, bo już tam opanowałem ten sposób, na przykład włosy. Z kolei włosy, nie leżą absolutnie jakby w ramach tej struktury i faktury malarskiej, którą sobie przyjąłem za swoją własną. Trzeba by było zastosować inną technikę malowania no i to wtedy by raziło, jako coś przyklejonego do obrazu. Musiałbym cały obraz malować inną techniką od początku do końca, która znowu nie byłaby techniką, która jakby najbardziej w duszy gra. Wobec tego z pewnych rzeczy się rezygnuje dlatego, że one się nie dadzą w danej technice namalować.

To, co mówi tutaj artysta, nie wyczerpuje jeszcze niezwyklej złożoności obrazu pojmowanego tradycyjnie, który na dodatek nie odzwierciedla rzeczywistości, tylko ilustruje jakieś fantasmagorie. Malować tkaniny i materie tak, jak to robili weneccjanie, Rembrandt czy ukochany Vermeer w fantazjach i iluzjach, to rzecz chyba niewykonalna. A jednak zastanawiał się nieraz: *może by trochę popracować z modelu i to niekoniecznie z człowieka, ale także tkaniny, to potem rzutowałoby na malowanie z wyobraźni tak, by sztruks odróżniał się od brokatu... w końcu zapamiętuje się układy i cienie. Chodzi przecież także o kierunek padania światła, który również jakoś porządkuje kompozycję i uwiarygodnia przekaz. We wczesnych pracach Beksiński usiłował zachować kierunek padania światła, potem coraz bardziej z tego rezygnował, mając świadomość, że nawet światło maksymalnie rozproszone posiada jakiś kierunek, a tylko cienie są nieostre i mniej kontrastowe. Tyle, że nadmierna konsekwencja w tym zakresie, nie jest absolutnie czymś gwarantującym artystyczny sukces. Osobiście np. nie jestem w tym zakresie konsekwentny.*

Wspominał pan, że Beksiński nagrywał się podczas pracy. Oglądał pan te filmy?

Wyglądają one mniej więcej tak: pusty obraz, Beksiński siedzi, zarysowuje podstawowe formy, wyłącza kamerę. Następnego dnia filmuje, jak kładzie kolor. Następnego dnia maluje na przykład psa, który wychodzi z panem. Z tyłu pojawia się lawka. Potem jakiś następny etap i komentarz typu: *właśnie spieprzyłem obraz*. Jeżeli coś mówi, to są to jakieś skromne uwagi. Kamera rejestruje wszystko, co dzieje się na obrazie i jest to ciekawy proces. Zastanawia się, co może decydować o tym, że się nagle zepsuje tę pierwotną wizję, że się zrobi ten krok w niewłaściwym kierunku i wypadnie poza to, co było istotne.

Jak wyglądała jego pracownia?

Z biegiem czasu zmieniała się tak, jak zmieniała się jego sztuka. Klimat domu w Sanoku, a później mieszkania w Warszawie, zawsze tworzyło to, co wisiało na ścianach. Było w tym coś niezwykłego. Wszyscy, którzy tam bywali, dostrzegali, że to miejsce jest absolutnie wyjątkowe. Drugiego takiego nie było nigdzie. Dramatyzm jego sztuki, kontrastował z osobami, które tam mieszkaly i były dowcipne, uśmiechnięte, rozmowne, serdeczne, gościnne. Rodzinna atmosfera, a dookoła obrazy, które wywołują niepokój i wprowadzają w dziwną fascynację. Uwolniona wyobraźnia, mroczne rekwizyty w wygodnym, dobrze zorganizowanym mieszkaniu, w którym wszystko było pod ręką. Olbrzymi kontrast. Wiele osób było zdumionych, wchodząc do środka. Nastrój tego sanockiego mieszkania zapamiętali wszyscy, którzy tam bywali. W czasopiśmie *Fotografia* z 1966 r. jest bardzo piękny opis Janusza Garzdeckiego, który warto tutaj powtórzyć:

Najpierw: literackość tej atmosfery. Coś z Bruno Schulza: miasto u stóp Karpat, parterowy dom, do którego dociera się wąskim pasażykiem między dwoma murami, odsunięty od ulicy. Za drzwiami najpierw weranda drewniana, z niej strome schody wiodące do dziko rozrośniętego ogrodu. Z werandy drzwi drugie, wejściowe. Dom przedziwny, pełen komóreczek, schowków, przejść zawitych i myślących ścian podwójnych. W nim wielki pokój i przylegający doń malutki tworzą pracownię Beksińskiego. Przerazliwie technicyzowaną: cztery magnetofony, mikrofon na trójnogu, wzmac-

niacze, cały system głośników i płatanina przewodów – Beksiński jest także amatorem elektroniki, sam konstruował te urządzenia, służące do komponowania muzyki konkretnej, do nagrywania mówionych listów do przyjaciół i odtwarzania nagrań big-beatu, jedynej muzyki, którą jak mówi uznaje. Cały środek pokoju zajmuje dziwnie rozbudowane biurko – rysownica z dodatkiem, odgałęzieniami i systemem lamp. Na ścianach gęsto: w paru rzędach rysunki i obrazy, przetykane fotografiami; nad drzwiami i gzymsem okiennym płaskorzeźby z gipsu patynowanego, szeregi rzeźb – kształtów obłych jak pobrązowiałe ze starości trupie czaszki – przyśrubowanych do półek, do szafy, metalowe rzeźby pod ścianą, metalowa nadnaturalnej wielkości rzeźba siedzi na biurku, u jej stóp schówek na klisze heliografii, przy drzwiach schnie ze dwadzieścia obrazów olejnych w różnych fazach wykończenia, dwudziesty pierwszy na sztaludze. Tematyka może wywołać szok u odbiorcy: obsesyjne, powtarzające się motywy śmierci, tortur, okrucieństwa – wiele rysunków i rzeźb Beksińskiego to daleko przetworzone i przestylizowane struktury kostne czaszki, obsesyjnie przemieszane z nimi motywy seksualne. Coś z Buddenbroków: cztery pokolenia mieszkały w tym domu.

Ten opis nie tylko pokazuje pracownię, ale może przede wszystkim emocje, które towarzyszyły przychodzącym tam ludziom. Wrażenie było tak silne, że autor w oglądanych pracach widzi tortury i okrucieństwa, których w twórczości Beksińskiego nigdy nie było. Kiedy ja tam bywałem, pracownia wyglądała już nieco inaczej. Na ścianach wisiały wyłącznie najnowsze obrazy, które w większości mamy dzisiaj w zbiorach muzeum. Pracownia i mieszkanie warszawskie miały już odmienny, od sanockiego, charakter. Tej atmosfery już nie dało się powtórzyć. Małe pokoje w bloku, wszystko stechnicyzowane, perfekcyjnie rozplanowane, by dało się funkcjonować bezszumowo – jak mawiał mistrz. Pracownię możemy dzisiaj oglądać w sanockim zamku, bo niemalże bez zmian przenieśliśmy ją do Galerii Beksińskiego. W Warszawie, podobnie jak wcześniej w Sanoku, pośrodku stało biurko – stół, zwany przez nich *święty stół*, by można było przy nim pisać i rysować. Doszły elektroniczne gadżety, czajnik bezprzewodowy itp. Przy ścianach były szafki. Takie, jakie można było kupić w połowie lat 70. minionego wieku. Lampy kreslarskie do oświetlenia sztalugi i stołu przywiózł jeszcze z Sanoka. No i oczywiście sprzęt nagłaśniający oraz setki kaset i płyt, najpierw winylowych, potem kompaktowych. Na ścia-

nach i na półkach wisiały ostatnio namalowane obrazy. Za sztalugą stały przygotowane podobrazia różnych formatów. I właśnie za sztalugą było przejście na balkon, który z czasem zabudował, uzyskując pomieszczenie techniczne, w którym mógł naprawiać sprzęt, przycinać listwy, ustawiać świeżo zagruntowane podobrazia.



Beksiński w pracowni, Sanok 1976 r.

Mówiliśmy już o waszym pierwszym spotkaniu. Czy gdy znajomość zacieśniła się łatwiej było z nim rozmawiać?

Zdzisław cały czas snuł swoje wątki. Nieustający monolog na temat tego, co go w danym momencie interesowało. Jeżeli na przykład niebawem miała odbyć się jakaś wystawa, wszystkie jego myśli i rozmowy krążyły wokół tejże wystawy. Co zadziwiające, nie zastanawiał się nad obrazami, które się na niej powinny znaleźć, ale były to komentarze typu – jak ci kretyni zabierali się za pakowanie obrazów? Czy oni nie wiedzą, że należy

oddzielić jeden obraz od drugiego? Bądź opowiadał, że ramy trzeszczą jak trumna (to dotyczyło okresu sanockiego), a to dlatego, że zamawia je w zakładzie pogrzebowym Jayki, ponieważ tam mają najlepszego stolarza. Nigdy to nie był wywód sensu stricte merytoryczny o sztuce, układzie kompozycyjnym prezentacji, czy o samych obrazach.

Beksińscy starannie dobierali sobie przyjaciół?

Niestety, w świecie, który otaczał Beksińskiego, im droższe były jego obrazy, z tym większym chamstwem się spotykał. Jak zarobić na Beksińskim? Jak za darmo wyciągnąć coś od niego, żeby to potem sprzedać? Beksińskiego to bardzo bolało. Darując komuś obraz, chciał, żeby ten ktoś go miał, a nie zarabiał na nim. Beksińscy mieli na szczęście wielu przyjaciół. W Sanoku prowadzili otwarty dom, do którego przyjeżdżało bardzo wiele bliskich im osób. Mieli też sprawdzonych przyjaciół w samym mieście, żeby wymienić panią Jadwigę Malinowską, Janinę Lewandowską, Romualda Biskupskiego, Annę i Tadeusza Turkowskich, panów Rudaka, Kaszyckiego... W Warszawie częstym gościem bywał sanoczanin, architekt, starszy kolega artysty, który podczas studiów opiekował się młodym Zdzisławem – Tadzikiem, Tadeusz Barucki. Odwiedzał ich Tadeusz Nyczek, Henryk Waniek, Wiesław Ochman, ojciec i syn Dobrzyccy, pan Wiśniewski i wielu, wielu innych.

Ma pan jakiś jego obraz?

Nie mam. Ani obrazu, ani rysunku, ani nawet grafiki komputerowej. Po wyjeździe z Sanoka dał obraz moim teściom. Miał chyba poczucie, że powinien im coś sanockiego zostawić. Przeważnie zaprzyjaźnieni artyści wymieniają się nawzajem pracami. Na tej właśnie zasadzie Beksiński przywiózł swój obraz Turkowskim i nie oczekiwał rewanżu, co jakoś dawał do zrozumienia – o ile dobrze pamiętam – bo przecież ani obrazu Tadeusza, ani gobelinu Anny nie miałyby gdzie w ciasnym mieszkaniu warszawskim powiesić. W archiwum Beksińskiego jest zachowany film z datą 4 maja 1991r. Beksińscy jadą wtedy do Sanoka. Jednym z głównych powodów jest przekazanie Turkowskim obrazu, namalowanego jeszcze w Sanoku, w 1976 r., (często reprodukowanego) – brama i takie mózdzki, które giną gdzieś w rozległej perspektywie. Beksiński nagrywał

wówczas wyjazd, drogę, a nawet fragmenty rozmów kamerą VHS i po latach miło jest przypomnieć sobie, choć skrawki tego spotkania.

Ja nigdy nawet nie sugerowałem, aby mi coś podarował. Chciałem żeby między nami była absolutnie czysta sytuacja, nie było żadnej interesowności. Być może dalby mi jakiś obraz, ale odnoszę wrażenie, że on do końca nie był pewien, czy ja w ogóle tę sztukę akceptuję. Faktycznie, miałem krytyczne podejście do twórczości Beksińskiego, nie byłem wielbicielem tego malarstwa, widziałem jego słabe strony. Oczywiście widziałem też to, co w tym jest dobrego.

Najzarliwszym obrońcą malarstwa Beksińskiego był mój teść, malarz o diametralnie innych potrzebach estetycznych niż Beksiński. Bywały takie rozmowy, w których nie najlepiej oceniałem świeżo zakupiony obraz, a teść perswadował mi, jak to jest świetnie namalowane, pokazywał zalety tego, co wspólnie oglądaliśmy. Echa tych dyskusji do Beksińskiego nie docierały, mimo że mój teść odwiedzał go w Warszawie. Myślę jednak, że Beksiński miał poczucie, że w Sanoku, w muzeum są ludzie, którzy racjonalnie oceniają jego obrazy. Tutaj nie ma hysterii w żadną stronę. Nie jesteśmy ani wrogo nastawieni do jego sztuki, ani nie usłyszy tanich pochlebstw. Nigdy zresztą bezpośrednio nie komentowałem tego, co robi. Jedyny raz, po przywiezieniu z Warszawy i wypakowaniu skrzyń, nie wytrzymałem, zadzwoniłem do niego i powiedziałem mu, co sędzę o tych znakomitych obrazach, które wówczas nam dał. Był to jeden jedyny raz, kiedy powiedziałem, że są absolutnie niezwykle i jestem wstrząśnięty tym, co przywieźliśmy. To starczyło. Dalej nie trzeba było się zapędząć. Przerwałem tę znowę milczenia na temat jego sztuki, ponieważ były to obrazy, które moim zdaniem należą do najlepszych w jego dorobku i naprawdę mnie poruszyły.

Beksiński musiał się strasznie męczyć nie wiedząc, co pan myśli o jego obrazach.

Mówił, że niektórzy chwalą jego sztukę, bo co mają powiedzieć. Bał się, że między nami też pojawi się taka sztuczność. Albo powiem coś nie-szczerze, że mi się podoba. Albo powiem, że mi się nie podoba, a on mi będzie musiał się z tego tłumaczyć. Byłoby to niezręczne dla obu stron. Wiadomo, że jeden obraz wychodził lepiej, inny gorzej, inny wcale nie

wychodził. Był dojrzałym artystą i doskonale zdawał sobie z tego sprawę, nie oczekiwał komentowania jego sztuki. Był ciekaw, co ja o tym myślę, tak jak ja byłem ciekaw, co on myśli na temat wystaw, które robię. Nigdy nie powiedział na ten temat ani jednego słowa. W moich notatkach pod datą 31 marca 1988 r. odkryłem taki opis: *Wczoraj o godzinie 13. odbył się w Sanoku pogrzeb Stanisławy Beksińskiej, matki Zdzisława, zmarłej 27 marca w Warszawie. Beksińscy bardzo się z nią mężczyli, gdyż biedaczka leżała już kilka lat sparaliżowana. Byłem na pogrzebie, gdzie oboje Beksińscy, bez Tomka, odprowadzali matkę. Na cmentarzu zamieniliśmy kilka słów. Dziś w południe wpadli do muzeum. Pokazywałem Beksińskiemu „Ukrzyżowanie”, na którym ujawniła się druga belka. Raczej to zignorował. Potem poszliśmy do jego galerii, którą filmował swoją wideokamerą. Nic się nie wypowiedział. Natomiast pani Zosi wystawa się bardzo podobała. Mówiła, że mogłaby tu zamieszkać. Ponieważ właśnie wybierali się z wizytą do nas do domu, zaproponowałem im, że pojadę z nimi i pokażę im drogę. Oglądali z dużym zainteresowaniem dom. Potem siedzieliśmy i rozmawialiśmy, głównie o sprawach rodzinnych. Opowiadali dokładnie przeżycia z babcią. Beksiński wspominał, jak za dziecięcych lat jeździł do Poronina, do swojego wujka, który malował. Wujostwo prowadziło tam jakiś pensjonat i w martwym sezonie zapraszali tam malarzy kapistów. Pamiętał, że bywała tam Hanna Rudzka Cybisowa. Już wówczas nie lubił takiego malarstwa i robiło to na nim wrażenie paćkaniny. Sam wolał wylizane ilustracje do Tarzana, a nie tego rodzaju malarstwo. Pytałem się, jakie wrażenie robi na nich dzisiejszy Sanok. Nie byli zachwyceni. Miejsce po domu jest raczej smutne i pani Zosia nie może go odżałować. Byli wzruszająco serdeczni. Beksiński oglądał obrazy taty i niektóre z nich sobie przypominał. Słoneczny wiosenny dzień, ich biały ford escort stojący przed naszym domem, Beksiński z wideokamerą – to mały obrazek z przyjazdu Beksińskich po 11 latach.*

Pani Zosia reagowała spontanicznie i chętnie artykułowała swoje odczucia, Zdzisław może tylko w rozmowach między nimi. Nigdy też nie powiedział nic o tekstach, które pisałem w różnych katalogach. Kiedyś tylko skonstatował, że nie zdawał sobie sprawy, że w tym swoim gadaniu nie jest aż tak chaotyczny. Pozbierałem różne jego wypowiedzi, usystematyzowałem je i zamieściłem w katalogu. Beksiński to przeczytał i uznał, że

jest w tym jakaś konsekwencja. Tylko tyle. O tym, że nie podobał mu się wstęp do pierwszego albumu, dowiedziałem się dopiero z dziennika.

Wiedział pan, że pisze dzienniki?

Trudne pytanie. Wydaje mi się, że gdzieś w rozmowach, dawno temu mówił, że coś sobie notuje. Kiedy po śmierci Beksińskiego znaleźliśmy dzienniki w komputerach, nie byłem zaskoczony. Miałem wrażenie jakbym jakoś o tym wiedział.

Nie bał się pan ich czytać?

Nie, dlaczego, absolutnie. Przecież wiadomo, że każdy na dany temat ma swój własny pogląd i to chyba jest najcenniejsze. Beksińskiemu przecież nie musiało się podobać wszystko, co robię, piszę, czy przy różnych okazjach mówię. Uznawał i liczył się z tym, że ktoś może mieć zupełnie inne widzenie spraw niż on. Jeżeli jesteśmy szczerzy i nie mówimy nic złośliwie, nie robimy żadnych świństwerek, to czego tu się bać?

A gdyby po tylu latach znajomości odkrył pan, że napisał o panu coś niepochlebnego?

Miałby prawo, nie byłoby mi przykro. Mam do siebie dystans. Jeżeli ktoś powie, że zrobiłem coś kiepskiego, to raczej pozwala mi to na głębszą refleksję, może nawet na korektę. W końcu robię tak, bo nie potrafię lepiej, ale szanuję, że ktoś może tego nie akceptować.

A gdyby pan przeczytał, że zawiódł Beksińskiego?

To byłoby raczej niemożliwe. Dużo rozmawialiśmy. Byłem bardzo mocno nastawiony na wszelkie sygnały z jego strony i na pewno, z krytycznej rozmowy na mój temat bym się nie wycofał. Gdyby sprowokował mnie do rozmowy na jakiś temat, to bym mu szczerze powiedział, jakie mam zdanie. W dzienniku pisał, że nie podoba mu się wstęp do pierwszego albumu wydanego przez BoSza – ja całkowicie się z nim zgadzam. Napisałem taki szkolny, uczniowski tekst. Wymagania wydawcy były takie, że należy wyjść z założenia, że Beksiński nie jest znany wszystkim i trzeba jakoś go przedstawić. Zatem czytanie oczywistości na swój temat musiało go wkurzać. Z drugiej strony wydawca wychodził z założenia, że książka

ma trafić także do rąk profanów, którzy nic nie wiedzą. Trzeba zrobić alfabet – niewygodna sprawa. We wstępie do drugiego tomu „Beksiński 2” miałem pełną swobodę. Pamiętam to do dziś – wracam samochodem z pracy i kiedy dojeżdżam do domu dzwoni komórka. Był to Zdzisław, powiedział mi, że tekst do drugiego albumu jest świetny. Byłem zdumiony, ale jednocześnie ten telefon bardzo mnie ucieszył. Ja raz puściłem farbę na temat tego, co myślę o jego obrazach, on raz skomentował moją pracę. Wiem, że kilkakrotnie, gdy żyła żona, jeździli oglądać zorganizowane przeze mnie wystawy. Stąd chyba zrodziło się przekonanie, że robię to mniej więcej zgodnie z jego widzeniem sprawy, bo w ostatnich latach, wszystkich zainteresowanych zrobieniem wystawy, odsyłał do mnie. Na szczęście nie stworzyliśmy żadnej sztucznej bariery między nami, mieliśmy czysty, bezinteresowny układ, bez kłótni czy sztucznych owacji. Często jest tak, że artyści po zrobieniu wystawy zostawiają jakieś swoje prace organizatorom uważając, że tak wypada. Zdzisław, na szczęście, nigdy nie podarował mi żadnego obrazu, do muzeum owszem. To sprawiło, że nie pojawiły się między nami żadne niezręczności.



Zdzisław Beksiński, Sanok czerwiec 1999 r.

Kupował pan obrazy od Beksińskiego?

Kupowałem obrazy dla Muzeum Historycznego. Beksiński dla nas zawsze miał niższe ceny, pytał ile możemy zapłacić.

Muzeum dyktowało ceny?

Nie, nigdy. Beksiński miał świadomość, na co nas stać, a na co nie, więc propozycje były przez niego dostosowane do naszych możliwości. Mnie się wydają, że on, mieszkając jeszcze w Sanoku (może już od wczesnych lat 70.), uważał, że właśnie to muzeum powinno go najlepiej reprezentować, dlatego od początku wybierał dla nas najlepsze obrazy. Po biedzie, jaką tutaj w Sanoku klepał w latach 60., miał świadomość, że pieniądze są ważne, by mógł wreszcie spokojnie tworzyć, ale nie najważniejsze. Tu się splata wiele spraw. Chciał, by jego obrazy miały wysoką cenę na rynku, to dawało jakieś poczucie bezpieczeństwa. Tworzył, bo był to sposób na życie, *forma egzystencji* – jak mawiał. A jednocześnie była w nim jakaś potrzeba przeniesienia swojego życia poza granicę śmierci. Wiedział, że tego jednak nie zdoła przeskoczyć. Mawiał: *Jednak muszę próbować. To jest to samo, co wspinaczka. Trudne do werbalizacji, ale to w nas tkwi i pieniądze nie stanowią motywacji, chociaż komu one nie są potrzebne i wszelkie zakłamywanie się nie ma sensu. Żeby żyć, a więc kupić sobie to czy tamto, muszę sprzedać obraz, żeby sprzedać obraz, muszę go mieć, żeby mieć muszę go namalować. Nie jest to jednak równie silna motywacja jak ta wymieniona poprzednio. Gdyby nikt mi nie płacił, a nawet gdyby za to wsadzano do mamra, ukrywałbym się i zarabiałbym inaczej, by w ukryciu móc tworzyć. W każdym razie tak było dawniej. Teraz w ogóle motywacje i to jakiegokolwiek są u mnie o wiele słabsze, a najsilniejsze jest umiłowanie świętego spokoju. W jakimś sensie określa nas też i to, co chcemy za swoje pieniądze mieć. W moim wypadku 90 procent tego, o czym marzę, na co zarabiam i co kupuję, służyć ma, poza zaspokojeniem elementarnych potrzeb, do twórczości, ale bynajmniej nie twierdzę, że jest to cel szczególnie godny naśladowania, bo każdy ma swoje preferencje. Po prostu tak siebie odbieram. Poza tym wszystkim mnie osobiście bardzo cieszy, jeśli realizuje mi się coś w moim odczuciu fajnego i jeśli udaje mi się to zrealizować.*

Dużo czasu poświęcał na malowanie?

Gdy mieszkał jeszcze w Sanoku, opowiadał, że pracował bez przerwy od godziny 8 rano do 23. Gdzieś około pięćdziesiątki zaczął kończyć pracę około 17-18. Pod koniec życia, jak mówił, pracował sobie na luzie: a to do kogoś zadzwonię, a to coś zjem. Już mi się nie bardzo chce zasuwać jak zegareczek. Regularne lenistwo. Myślę, że tak wygląda proces obumierania. Kiedyś wynajdywałem sobie jakieś roboty niezwiązane z malowaniem, a to jakiś nowy stół mający usprawniać pracę, a to uchwyt do kamery, a to nowa instalacja Hi-fi. Tomek kpił, że są to roboty mające usprawiedliwić nieróbstwo i tak w istocie było. Teraz nie chce mi się nawet usprawiedliwiać nieróbstwa. Niby przed kim. Przed Bogiem? No, ale nie jest ze mną do końca źle, bo moi rówieśnicy po śmierci żon, codziennie – już około godziny 16, montują warsztat i rozstawiają narzędzia do spożywania alkoholu, bo właśnie ma przyjść kolega, by razem pooglądać w CNN Afganistan, pełniący obecnie rolę międzynarodowego spotkania extra klasy na boisku. Myślę sobie tak, że póki czas mam wypełniony i nie nudzę się, to jeszcze nie jest źle, a czy zostawię po sobie jeszcze sto rysunków więcej, nie ma już żadnego znaczenia. Na dodatek łatwo się już męczę.



Zdzisław z Tomkiem na tle domu w Sanoku, koniec lat 60.

Miał jakieś inne, nazwijmy to, „przyzwyczajenia”?

Był przede wszystkim niesłychanie ostrożny i przewidujący. Ponadto uwielbiał wszelkie nowinki techniczne, zwłaszcza w zakresie skanerów, dyktafonów, aparatów fotograficznych. Kupował niemalże każdy nowy model. Używał naczyń jednorazowych, bo jak mówił: *brzydzą się pić ze szklanki, z której ktoś pił. No i mam problem, bo przed pół godziną z tej szklanki, która stoi w kuchni, pił jakiś pieprzony Zdzisław Beksiński. Nie znam faceta. Żył przed pieprzoną pół godziną w tym właśnie pieprzonym mieszkaniu i pił z tej pieprzonej szklanki. Mówiąc prawdę, to się go brzydzą i szklankę należałoby umyć. No, ale umył ją facet nazywający się też Zdzisław Beksiński, który tu był przed minutą. Umył swymi – być może brudnymi paluchami. Cóż więc robić? Kupować i trzymać w zapasie coraz to nowe szklanki? No i znalazłem rozwiązanie. Używam jednorazówek.*

W 1977 r. Beksiński, po decyzji władz miasta o rozbiórce rodzinnego domu, zdecydował się opuścić Sanok. Wybór padł na Warszawę.

Wróciłbym tu do swoich notatek z 30 lipca 1982 r., które przypomnially mi również i ten wątek:

Wczoraj powróciłem z Warszawy, byłem przedwczoraj u Beksińskiego razem z Pawłem Turkowskim. Przyszliśmy punktualnie o piątej i otworzył nam drzwi mistrz. Poprosił prosto do swojej pracowni. Byłem tam już poprzednim razem i zastałem ją taka samą. Jest z pewnością za mała na jego potrzeby. Usiedliśmy, za chwilę przyszła pani Zosia, bardzo miła. Chciała nas poczęstować obiadem, ale byliśmy już najedzeni i skończyło się na herbacie. Tematów, które poruszaliśmy, było wiele. Jego nie obchodzi specjalnie sprawa bojkotu czy kolaboracji. (pamiętajmy, że jest to czas stanu wojennego). Wystawiać nie chce, bo tego nie lubi, nie ma na to najmniejszej ochoty. Poza tym nie ma rzeczywiście wielu obrazów, a wśród tych, które ma, brakuje interesujących. Niewiele ostatnio malował. Pokazywał gdzie schną obrazy, gdzie chowa listwy i swój mały warsztat, narzekając, że nie może malować większych formatów. (...) Teraz siedzę w pokoju, patrzę na zawieszony na ścianie obraz Beksińskiego (chodzi o obraz AA80 z 1980 r., który przywiozłem dla muzeum). W poniedziałek zaniosę go do muzeum. Obraz jest wspaniały. Ciągle jestem pod jego urokiem. Oglądam go w różnym świetle przy różnej porze dnia. Strasznie chciałbym go zatrzymać.

Nastrój, przestrzenność, fragmenty, znakomite malarstwo. Wracając jednak do wizyty, znów Beksiński narzekał, że nie może malować większych formatów. Żalował starej pracowni w Sanoku. Starł się w Warszawie załatwić jakieś osobne mieszkanie na pracownię, ale mu się nie udało. Wspominał o tym jak gdzieś w początku lat 70. chciał przekazać swoje rysunki, rzeźby, zdjęcia Muzeum Historycznemu w Sanoku. Dyrektor Zajac, tłumacząc się brakiem miejsca, nie chciał ich przyjąć. Do przekazania skłoniło go to, iż miano burzyć jego dom. Nie doszło wtedy do tego. Miał wówczas mieszkać w Sanoku w bloku. Z przejęcia omal nie dostał ataku serca.

Już nawet nie pamiętałem, że ta pierwotna koncepcja władz miasta pochodziła z początku lat 70. Wtedy nie byłoby go stać na kupno mieszkania w Warszawie – stąd ten stan przedzawałowy. Ale z roku na rok sytuacja się poprawiała. Sprzedawał coraz więcej i stopniowo podnosił ceny. Gdy władze miasta wróciły do koncepcji rozbiórki jego domu, zaczął szukać możliwości przeniesienia się do Warszawy. Okazało się to realne w 1976 r. Beksiński stawał się coraz bardziej znany i być może, że w Sanoku ktoś się zreflektował, że wyburzenie jego domu nie jest najlepszym pomysłem. Kiedy się już wyprowadził do Warszawy, to w Sanoku wpadli na pomysł, żeby nie burzyć domu, tylko zrobić tam jego muzeum. Beksiński wpadł w panikę: Panie Wiesławie, to jest drewniany budynek. Nikt nie będzie tego pilnował. Nie daj Boże, że wybuchnie pożar, to spalą się moje najlepsze obrazy. Nie miałem wtedy żadnego przełożenia na władzę, ale zapewniałem go, że obrazów z muzeum nie wypuścimy. Ta koncepcja na szczęście upadła i w końcu dom rozebrano. Wracam jeszcze do tej notatki. Przyjechałem do Beksińskiego, żeby dokonać jakiegoś zakupu. Beksiński pokazał mi to, co ma, a było tego zaledwie kilka obrazów. Między nimi taki krzyż zwieńczony anteną telewizyjną. Widział, że nic mi się nie podoba. Męczył się podobnie jak ja. Cóż, powiedzieć mu, że nic się nie nadaje do muzeum? Zgroza. W korytarzu wisiał obraz przedstawiający głowę – wieżowiec o kodowej nazwie AA80, ten, który dzisiaj jest znakiem rozpoznawczym naszego muzeum. Należał już do tak zwanych *zwierząt domowych*, a więc nie do sprzedania. Może już wybrała go nawet pani Zosia. Mimo to spytałem nieśmiało, czy nie można byłoby go wziąć. Zobaczyłem ulgę w jego oczach i głęboki oddech. *Ależ oczywiście, niech pan go weźmie.* Zakończyła się ta krępująca sytuacja.

Pamięta pan moment wyjazdu Beksińskich z Sanoka?

1 sierpnia 1977 roku zacząłem pracę w muzeum. Był to ostatni miesiąc Beksińskich w Sanoku, w ich rodzinnym domu. Mieszkanie w Warszawie było już gotowe, zostało tylko parę rzeczy do przewiezienia. Zacząłem pracę i dyrektor wysłał mnie do Beksińskiego, żebym przyniósł obraz kupiony przez muzeum – taką czarną wysoką górę na brzegu morza z trzema małutkimi krzyżami podświetlonymi białym światłem – jeden z ostatnich namalowanych w Sanoku (AA77). Przyniosłem go pod pachą, nie był nawet opakowany, bo nie było już w co. Sześć innych obrazów (abstrakcje z lat 50.), które tamtego dnia również przyniosłem do muzeum, były przez autora подарowane. Tę dużą kolekcję obrazów abstrakcyjnych, reliefów, rzeźb i fotografii, których nie przyjęło nasze muzeum, przekazał wcześniej do Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Przed wyjazdem do Warszawy Beksiński zrobił wielkie ognisko, w którym palił wszystko, co uważał za słabe i nie chciał żeby po nim zostało. Mieszkanie pozostało puste. O ile pamiętam, jeszcze jakiś czas mieszkała tam matka artysty, pani Stanisława, zanim ostatecznie przekazano klucze miastu.

Mimo utraty domu, Beksińscy nie obrazili się na Sanok?

Odwiedzali Sanok dosyć regularnie. Przyjeżdżali własnym samochodem – zawsze prowadziła pani Zosia. Beksiński nigdy nie zrobił prawa jazdy. Początkowo zatrzymywali się w hotelu „Pod Trzema Różami”. Niezbyt im się tam podobało, więc gdy zaczął funkcjonować Hotel Jagielloński, naprzeciwko ich dawnego domu, zawsze dostawali apartament, z którego widzieli potok i ich dawny ogród. Pani Zosia była tak sentymentalnie nastawiona, że chciała niemalże dotykać przeszłości, była ona dla niej rzeczą mityczną, natomiast Zdzisław cały czas mówił, że nie jest sentymentalny, że jego to w ogóle nie rusza.

Pani Zofia była z Sanoka?

Pani Zofia pochodziła z Dynowa, ale w Sanoku spędziła – jak mówiła – najszczęśliwszy okres życia. Pełna rodzina, dom, koledzy, koleżanki, takie normalne, bliskie kontakty. Świat do nich przyjeżdżał. Wydawało się, że w Warszawie będzie lepiej, bo ten świat jest na miejscu, ale okazało się, że ten świat nie ma czasu. Bo kiedy ktoś zdecydował się pojechać do sław-

nego Beksińskiego do Sanoka, to przyjeżdżał na dwa, trzy dni, mieszkał u nich i wtedy było miło i serdecznie. Umówienie się w Warszawie okazało się jednak znacznie trudniejsze.



Zofia Beksińska z Tomkiem, początek lat 60.

Czy jeżeli skończyłby się komunizm, nie musiałby martwić się o zakupy, o leki dla teściowej, Beksiński wybudowałby dom i został w Sanoku?

Nie. Budowa domu przekraczała jego wyobrażenia. Wiadomo było, że tak jak przy urządzeniu mieszkania w Warszawie, musiałby się zaangażować w każde głupstwo, w każdy detal. On nie potrafił odpuścić takich rzeczy, wszystkiego musiał dopilnować, na wszystkim się przecież znał. Każdą rzecz musiałby przemyśleć, omówić, dopracować, często wyrysować na karteczce. Dwa lata z życia artystycznego byłyby wyjęte. To było niewyobrażalne. Wyprowadzka do bloku była znacznie prostsza, nie wiązała się z koniecznością rezygnacji z malowania. W czasie, gdy wykańczali mieszkanie w Warszawie, malował w Sanoku, jeździli do Warszawy przygotowywać mieszkanie, wracali – malował.

Myślałem, że chodziło też o postrzeganie ludzi. Męczyło go to, że jak gdzieś był i krzywo spojrzal na Zosię, lub ktoś tak to tylko odebrał, to pół Sanoka mówiło, że Beksińscy się rozwodzą. Przeszkadzało mu bardzo, że nie jest anonimowy.

Stawał się coraz bardziej znany, więc to było oczywiste, że tak będzie. Z tą anonimowością ma pan sto procent racji. Mówił, że nawet Warszawa jest na tę anonimowość za mała, bo jakby mieszkał w trzydziestopiętrowym wieżowcu w Nowym Jorku, to z nikim by się już nie znał, a tutaj nadal ludzie go rozpoznawali. Z drugiej strony on tych ludzi lubił i oni też go lubili. Jednak ta anonimowość była swego rodzaju świętością. Potem, po jego śmierci, różni sąsiedzi podchodzili do nas, gdy pakowaliśmy obrazy i wspominali, jaki to był przesympatyczny człowiek, jak potrafił zagadać w sklepie, pogłaskał pieska. Nie było tak, że on w tym bloku był zupełnie anonimowy. Jednak na pewno był większy dystans. W Sanoku wszyscy się znali, wiadomo było, co słyhać u Beksińskich. Im był sławniejszy, tym bardziej się nim interesowano, tym więcej o nim mówiono. To, że od tego uciekał, to jedna sprawa. Jednak to, że był rozpoznawalny, sprawiało mu też przyjemność. Pamiętam taką historię. Beksiński dostał od Zosi polecenie, żeby wyremontować grobowiec. Podjął się tego po jej śmierci, a ja mu w tym trochę pomagałem, wożąc go wszędzie. Kiedyś na cmentarzu przechodziliśmy obok grupy robotników i nagle słyszymy za plecami – ej ty, to ten sławny Beksiński. Popatrzyłem na jego twarz i zobaczyłem ten

ledwo uchwytny grymas zadowolenia, że jest tak rozpoznawalny. Więc z jednej strony pragnął być anonimowy, ale z drugiej to, że robotnicy, którzy w życiu nie byli na żadnej wystawie, znają go, sprawiło mu przyjemność. Tutaj w Sanoku był rozpoznawalny nie tylko przez tych, którzy zajmują się sztuką, pracują w muzeum, ale także przez zwykłego, szarego człowieka, po którym by się tego nie spodziewał. I jeszcze jedna sprawa zamykająca klamrą ten temat. Kiedy była msza święta pogrzebowa w dwumilionowej Warszawie w kościele św. Brata Alberta i św. Andrzeja Apostoła wewnątrz bynajmniej nie było wypełnione, a ludzi reprezentujących świat artystyczny trudno było dostrzec, natomiast w czterdziestotyśycznym Sanoku wydawało się, że tłumy nie zmieszczą się na cmentarzu.

Czy była kiedyś taka rozmowa, że po śmierci żony i syna może czas byłoby wrócić do Sanoka?

Nie. Jakikolwiek ruch w tej materii wiązał się ze stratą czasu na budowę domu i przeprowadzkę. Ponadto jego miejsce było w Warszawie, był już przyzwyczajony do mieszkania tam, był z tym miastem związany. Dlaczego miałby w nim nie mieszkać? Miał tam zresztą swoje drobne wariac-twa polegające na tym, że jeździł po sklepach ze sprzętem, bo usłyszał, że pojawił się jakiś nowy gadżet elektroniczny albo aparat fotograficzny. Chciał natychmiast go obejrzyć, może kupić. Czasem jechał do sklepu po coś innego i wychodził z aparatem cyfrowym. Nie robił już wtedy artystycznych zdjęć, ale fotografia wciąż go bawiła. Tak samo było ze sprzętem komputerowym. W Warszawie miał dużo większe możliwości niż na prowincji – sklepy ze sprzętem, lepszych fachowców. Jaki wybór nowinek technicznych miałby w Sanoku? Nie miał żadnej motywacji do tego, żeby się przenieść. I do kogo? Starsi koledzy byli już prawie niesprawni, albo już nie żyli. Ponadto to Zosia była związana z Sanokiem. Zdzisław nie był sentymentalny. Chciał być pochowany w Sanoku, w grobowcu, ale to wszystko. Mieszkanie tutaj nie wchodziło w grę. Sanok to już tylko cmentarz, nic więcej. A Warszawę jednak polubił.

Często odwiedzał go pan w stolicy?

Nie potrafiłbym podać dat, nie zawsze, jeżdżąc do Warszawy, spotykałem się z Beksińskim. Po pierwsze dlatego, że bardzo szanowałem jego czas.

Doskonale wiedziałem, że tacy ludzie, którzy przyjeżdżają do Warszawy i chcą się z nim spotkać zabierają mu to, co jest dla niego najcenniejsze, czyli możliwość malowania przy dziennym świetle. Po drugie, jak już jechałem, to sam tego czasu miałem niewiele. Za każdym razem, gdy chciałem go odwiedzić, starałem się uprzedzić go telefonicznie i umówić się na konkretną godzinę, żeby nie dezorganizować mu dnia. Nigdy się nie spóźniałem. Jak przyjeżdżałem trochę wcześniej, to spacerowałem alejkami koło bloku, by przyjść punktualnie. Nie cierpiał, jak się ktoś spóźniał i marnował mu w ten sposób czas. Ja też nienawidzę, jak się ktoś spóźnia i tutaj go doskonale rozumiałem.

Blok, winda na 3 piętro, otwarte drzwi, w których stoi Beksiński z nieśmiałym uśmiechem, zapraszając do środka – to widok, który utkwił mi w pamięci na całe życie.

Mieszkanie było małe, babcie zajmowały dwa pokoje. W tym, gdzie miał pracownię komputerową, spali i przyjmowali gości. Przyjeżdżałem do niego zobaczyć, co nowego w jego sztuce, ale oczywiście nic nie komentowałem. Oglądałem obrazy, a on oglądał mnie, jak oglądam. Obserwował moje reakcje, ale nigdy nie zapytał, to był nasz kod. Po latach, po śmierci Zosi, kiedy do niego przyjechałem, zapisał w dzienniku: *Był u mnie Banach, oglądał obrazy, długo oglądał tego pędzącego konia, zostawię ten obraz dla Sanoka. Dla mnie było to coś bardzo wzruszającego, bo to pokazuje, jak on mnie obserwował przy oglądaniu. Jak się liczył z tym, co ja myślę na temat jego sztuki.*

Nie jestem pewien, ale sądząc z notatki, to być może po raz pierwszy odwiedziłem go dopiero 17 listopada 1979 r., a więc aż dwa lata po ich przeprowadzce. Chyba, że wcześniejszy pobyt zatarł mi się w pamięci. Notatka wygląda tak:

Wczoraj pojechałem do Beksińskiego. Trafiłem tam z niemałym trudem. Zastąpiłem tylko matkę Zdzisława, przyjęła mnie bardzo gościnnie i pokazywała te obrazy, które jeszcze pozostały. Niedawno skończyła się jego indywidualna wystawa w Kolonii. Posłał tam, jak mówił, dwadzieścia obrazów i ponad dwie trzecie sprzedał. Pozostałe nie wróciły jeszcze. Ostatnio nic nie namalował, bowiem jeszcze w poprzedni poniedziałek, albo raczej w noc z niedzieli na poniedziałek 4/5 listopada, jego syn Tomek próbował popełnić samobójstwo. Odkręcił w mieszkaniu gaz, jednak podczas otwie-

rania lodówki coś tam musiało zaiskrzyć i nastąpił wybuch. Tomek jest aktualnie w szpitalu z głęboką raną na plecach i ze skaleczoną ręką, także zachodzi obawa, czy będzie w pełni sprawny. Pani Beksińska seniorka pokazała mi dwa wczesne obrazy Zdzisława, jeden jeszcze z czasów szkolnych. Pierwszy bodajże obraz olejny przedstawia kościół franciszkański od dołu namalowany już strasznie solidnie i precyzyjnie w tonacji stalowoniebieskiej. Drugi rysunek pastelami przedstawia ojca Beksińskiego – zrobiony był taką impresjonistyczną metodą i świadczył o dużych możliwościach autora.

Pani Stanisława opowiadała mi historię rodu Beksińskich, jak to dwaj kuzyni Beksiński i Lipiński uciekli do Galicji z zaboru carskiego po upadku powstania listopadowego, jak uczyli się we Lwowie zawodu kotlarskiego, a potem osiedli na stałe w Sanoku. Mówiła też, że nie żał jej Sanoka, że w Warszawie zaaklimatyzowała się bardzo dobrze, podobnie jak Zdzisław. Tylko Pani Beksińska i Tomek nie mogą się z tym pogodzić. Wreszcie wrócili Beksińscy. Byli u Tomka w szpitalu. Beksiński pokazywał mi swoją pracownię: dość duży pokój rozwiązany maksymalnie. Sztaluga przy oknie. Beksiński mówił, że musi teraz malować mniejsze obrazy, bo większe się nie mieszczą i musiałby przesuwac stół. Pokazywał mi kilka obrazów w jego sypialni. Rozmawialiśmy na temat przechowywaniu jego obrazów u nas w muzeum. Zauważyłem też na jakimś obrazie wpiętą fotografię Papieża. Beksiński na żadną wystawę nie ma ochoty, nawet u nas, w Sanoku.

Jeszcze kilka notatek odgrzebanych w starych papierach. Niestety, nie wszystkie pobyty u Beksińskich skomentowałem. Wiem, że notowałem coś w komputerze, ale na jakimś etapie padł dysk i wraz z tym wszystko przepadło. Zostały zaledwie takie okruchy:

28 styczeń 1988 r.

Okolo 15. zadzwoniłem do Beksińskiego, który mnie bardzo serdecznie zaprosił i zaraz pojechałem na Kabaty tramwajem. Najpierw rozmawialiśmy z panią Zosią, która zresztą fatalnie wygląda. Od spraw rodzinnych przeszliśmy do artystycznych. Nowe obrazy wydały mi się niezłe, bardziej malarskie.

5 październik 1991. Warszawa.

Pojechałem tramwajem do Beksińskich. Otworła mi pani Zosia w szlafroku. Przeprosiłem, że niespodziewanie, bez zapowiedzi przychodzę. Beksiń-

ski malował. Pani Zosia poprosiła mnie do pokoju i zaczęła opowiadać o kłopotach ze zdrowiem męża. Po chwili przyszedł Beksiński niezmiernie wychudzony, wymizerowany. Opowiadał o pobycie w szpitalu i wyjmowaniu kamienia jakąś sondą. Żartował o kolejnych cięciach i że coraz bardziej przypomina postacie ze swoich obrazów.

26 październik 1996.

Wieczór spędziłem u bardzo serdecznych państwa Beksińskich. Nie byłem tam już dawno i przyznać muszę, że z olbrzymią ciekawością oglądałem najnowsze obrazy artysty. Aktualnie w Galerii Alicji i Bożeny Wahl w Warszawie prezentowana jest wystawa najnowszych prac Zdzisława Beksińskiego. Podczas ostatniej mojej rozmowy z artystką, w październiku tego roku, wracał ów wątek, iż miłośnicy jego sztuki są rozczarowani obrazami z ostatnich kilku lat. Woleliby widzieć nadal owe fantastyczne pejzaże. Niebezpieczeństwo robienia ciągle tego, co się podoba, co się dobrze sprzedaje, jest olbrzymie i zatrzymało wielu artystów w ich naturalnym rozwoju. Beksiński wydaje się być skoncentrowany przede wszystkim na materii malarskiej i fantastyka zmuszająca do tworzenia iluzyjnych głębi byłaby zapewne w tej koncepcji przeszkodą. Ukazujące się w sztucznym świetle pracowni i mieszkania ostatnie jego obrazy malowane jakby kłębówiskiem kolorowych linii, działały subtelną wąską gamą barwną. Może za kilka lat uda nam się w Sanoku je zaprezentować.

21 sierpień 2000.

Wczoraj pojechałem do Warszawy do Beksińskiego, który przekazał muzeum obrazy należące do pani Zosi oraz rzeźby, główki z lat 60. Rozmawialiśmy głównie o testamencie. Jak zabezpieczyć, by cała spuścizna artystyczna po śmierci artysty trafiła do muzeum. Mówiliśmy także o dodruku albumu i ewentualnej korekcie prac.

Zatrzymywał się pan u niego?

Nigdy u niego nie mieszkalem, bo nie miałem takiej potrzeby. To były te szczęśliwe czasy, kiedy między Sanokiem a Warszawą było połączenie z wagonami sypialnymi. Przyjeżdżałem do stolicy o siódmej rano, miałem cały dzień na załatwienie spraw i nocnym pociągiem wracałem do Sanoka. Nie było potrzeby żebym tam nocował. Sporą część czasu na rozmowy zabierała pani Zosia. Dla niej przyjazd kogoś z Sanoka był

świętem. Wypytywała o wszystko i wszystkich. Ostatnie nasze spotkanie, krótko przed śmiercią pani Zosi, to było coś niesamowitego. Kupiła specjalnie na tę okazję pączki. Może wiedziała, że widzimy się po raz ostatni. W tamtym momencie, byłem dla niej uosobieniem Sanoka i tych szczęśliwych lat, które tam przeżyła. Ja już spieszyłem się na pociąg, ale staliśmy przy otwartej windzie, a pani Zosia prosiła, żebym jeszcze został, że to jest jeszcze ten dotyk Sanoka. Prosiła, żeby jeszcze o kimś jej opowiedzieć, kogoś sobie przypominała, jeszcze może o dzieciach, może o moim szwagrze Pawle, jeszcze może o kimś z muzeum... Czegoś takiego Zdzisław nigdy nie miał.

Wiedział pan, że pani Zosia jest chora i że to może być pożegnanie?

Tak, wiedziałem. Przyjechali do nas na krótko po tym, jak dowiedzieli się, że jest chora. Siedzieliśmy w ogrodzie, rozmawialiśmy. Pani Zosia mówiła, że teraz mogliby może trochę spokojniej pożyć, mieliby więcej czasu dla siebie. Nie mieli już pod opieką całkiem od nich zależnych starszek – matki i teściowej. Koło Tomka kręciła się jakaś dziewczyna. Może wreszcie mieliby jakiś oddech, a jej przyszło umierać. *Lekarze mówią, że mam przed sobą jakieś dwa lata życia i niestety, trzeba się będzie pożegnać.* Potem rozmawialiśmy o tym, że podobno w Niemczech, za jakieś duże pieniądze, można zrobić operację, ale niesie ona za sobą ryzyko, że do końca życia będzie sparaliżowana. Zosia stanowczo mówiła, że woli umrzeć niż być ciężarem dla nich – dla Zdzisława i dla Tomka. Szkoda, że nie zachowały się żadne notatki z tego spotkania z Sanokiem. Potem była jeszcze jedna rozmowa w naszym ogrodzie, pożegnalna. Było to 17 lipca 1998 r. Chciała przede wszystkim rozmawiać o Sanoku, o znajomych, o tym, co się tutaj dzieje. Gdzieś podczas tej rozmowy przeszła obok nas moja córka Krysia. Pani Zosia zareagowała spontanicznie – *Zdzisiu, zobacz jaka ona piękna!* – w tym okrzyku odczytałem jakąś tęsknotę za życiem, za młodością, jakiś żal, że już trzeba umierać. To było smutne pożegnanie – spośród nas wszystkich jeszcze tylko ja jeden miałem się z nią spotkać raz w Warszawie.

Jak Beksiński odbierał chorobę żony?

To głównie on rozmawiał z lekarzami. Kiedy pojawiła się możliwość operacji,

doskonale rozumiał Zosię, gdyż sam też nie podjąłby takiego ryzyka. Oboje żyli śmiertelną chorobą, przyjmowali ją jako realizm życiowy. Nie ma sensu się nad tym zastanawiać. Nie ma wyjścia, trzeba się z tym pogodzić. Trzeba to zaakceptować. Z drugiej strony było to dla niego straszne. Miłość do Zosi to była miłość w pełnym tego słowa znaczeniu. Życie samotne znakomicie sobie potem ułożył, ale gdyby umiał przedłużyć jej życie, to byłoby to absolutnie bezcenne. Wiedział, że pustki, która pozostanie po Zosi, nie da się już niczym zapelnąć. Byli zgranym małżeństwem, Zosia uzupełniała wszystko to, czego jemu brakowało. Zarówno w prozaicznych codziennych zajęciach, ale też w ogromnej dawce ciepła i czułości, jakimi go obdarzała. Był to ich dramat, ale Zdzisław nie będzie się wyplakiwał. Skoro trzeba umrzeć, to trzeba umrzeć. Nie będziemy się nad tym rozczulać. Tak musi być i trzeba się do tego jakoś przygotować. To była jego postawa. Nie było w niej hysterii, naiwnego pocieszania się nawzajem.



W ogrodzie, Sanok lata 60.

Staral się wspierać żonę?

Właściwie nie wiadomo, kto kogo bardziej wspierał. To Zosia Zdzisława pocieszała i przygotowywała na swoje odejście. Wszystko mu wypisała, zrobiła cały spis, jak ma żyć, kiedy robić pranie, gdzie zanieść, jak się prasuje, jak przygotować jedzenie. Przygotowywała go do samotnego życia, uczyła go jak sobie z tym wszystkim poradzić. Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, kto bardziej przeżywał tę chorobę, tę wizję nieuchronnej śmierci. Kiedy człowiek się pogodzi z tym, że musi umrzeć, druga osoba wie, że będzie musiała żyć sama, to są trudno uchwytnie sprawy. Wspólnie przeżywali ten dwuletni dramat oczekiwania na najgorsze. Owszem, Beksiński robił sobie wyrzuty za swój liberalizm w stosunku do drugiej osoby. Po śmierci Zosi mówił: *jaki ja byłem głupi, że pozwoliłem jej palić. Ten tętniak aorty był bowiem niewątpliwie jakimś skutkiem tego, że paliła. Gdybym ją wtedy poprosił, gdy byliśmy młodzi, żeby rzuciła palenie, zrobiłaby to bez żadnego problemu i dzisiaj by jeszcze żyła*. On nigdy nie palił, ale ponieważ był tak tolerancyjny, liberalny w poglądach, że jak Zosia paliła, to nie zabraniał jej tego. Po jej śmierci robił sobie takie właśnie wyrzuty. Po latach widział, że akceptowanie wszystkiego, zarówno w wychowaniu Tomka, jak i w stosunkach małżeńskich, w imię wolności drugiej osoby, nie jest niczym dobrym.

Czy byliście panowie przyjaciółmi?

Jest to pytanie, na które nie ma odpowiedzi. Definicji przyjaźni jest tak dużo i tak różnorodnych, jak różnorodne są losy ludzkie. Nigdy nie ośmieliłbym się nazywać tego przyjaźnią. Był to raczej układ polegający na pełnym zaufaniu, spontanicznej sympatii i poczuciu, że można Banachowi powierzyć wszystko i że się na tym człowieku nie zawiedzie, że się nie rozczaruje. Nie chciałbym wchodzić w definicje.

Duże słowo – przyjaźń. Z Beksińskim nie rozmawiało się o sprawach osobistych. Jednak wiedział, że w każdej sytuacji może na mnie liczyć.

Ale nie byliście panowie per ty?

Byliśmy przez pan. To mi pomagało do końca. Nie znosiłem jednak, kiedy zwracał się do mnie per dyrektor. Staral się tego nie robić. Panie Wiesławie – Panie Zdzisławie – to była nasza forma rozmowy. Nie wyobrażałem

też sobie, abyśmy byli po imieniu. Po pierwsze byłem z pokolenia jego syna, a po drugie to mi oczyszczało pole. Żadna poufalskość, poklepywanie się po plecach, nie wchodziło w grę. To był układ idealny. Nie zmieniłbym go, nawet gdyby żył i moglibyśmy się dalej spotykać. Myślę, że on czuł dokładnie tak samo.

Z jakiegoś powodu to jednak panu chciał wszystko zapisać w testamencie.

Rzeczywiście była taka rozmowa z Beksińskim, w Warszawie. Powiedział, że wszystko chce w testamencie zapisać na mnie. Odpowiedziałem, że nie ma takiej możliwości, że wszystko musi przekazać sanockiemu muzeum. Narzekał, że nie jest ono dla niego gwarantem, że był już dyrektor, który nie wziął jego prac. Bał się, że jeżeli zapisze wszystko muzeum, jego sztuka trafi gdzieś do piwnicy, spleśnieje, zmarnieje i nikt jej nie będzie mógł oglądać. Musiałem go zapewnić, że to jest możliwe wszędzie, ale już nie w Sanoku. W tym mieście będzie zawsze najważniejszą postacią i ktokolwiek będzie dyrektorem, jego sztuka zawsze będzie zajmowała naczelne miejsce. Jest bardzo wiele osób, które będą o niego walczyć. Dopiero wtedy dał się przekonać i w testamencie zapisał wszystko Muzeum Historycznemu w Sanoku.

Dlaczego nie przyjął pan testamentu, tylko zgodził się na przekazanie obrazów muzeum?

Byłoby to niewyobrażalne technicznie. Musiałbym to zdeponować w muzeum, jako moją własność, płacić od tego wszystkiego podatki, by w końcu i tak i tak przekazać wszystko tej placówce. Beksiński mi kazał zniszczyć to, co uznaję za słabe, a więc gdybym jeszcze dopełnił tego ustnego testamentu i zniszczył te prace, które uważałem za słabe oraz zbyt osobiste materiały, co by ludzie powiedzieli? Co by pan powiedział? Gdybym cokolwiek zniszczył albo był o to podejrzany, nikt by mi tego nie wybaczył, nigdy. To absolutnie musiało przejść drogę urzędową. Nie spodziewaliśmy się, że zginie tragicznie. Beksiński miał umrzeć w sposób naturalny, jako sędziwy starzec. Myślał, że albo zaśnie w wannie, albo w łóżku. Nikt nie przewidywał, że do mieszkania wejdzie policja i prokurator. Dlatego testament był spisany i wisiał na szafce w pracowni. Każdy,

kto tam wchodził, widział kopertę z napisem „testament”. Po jego otwarciu sprawa była jasna – obrazy przyjęło muzeum, ja je reprezentuję i o nie dbam, dopóki jestem dyrektorem. Mój następcą z całą pewnością także będzie dbał o tę spuściznę.

Gdyby pan to przyjął, pewnie nie byłby pan tym uśmiechniętym dyrektorem?

Nie wiem, czy bym w ogóle był... czy bym psychicznie dał sobie radę. Przecież do zinwentaryzowania i przewiezienia wszystkiego do Sanoka nie miałbym nawet prawa używać pracowników, czy środków muzealnych. Nie, to był absurdalny pomysł i na szczęście Beksiński się z niego wycofał.

Miał pan moralne prawo, żeby to wszystko przyjąć.

Nie miałem. Moim moralnym obowiązkiem było to wszystko zachować w muzeum, a nie zarabiać na spadku po Beksińskim.

Pamięta pan ostatnie spotkanie ze Zdzisławem Beksińskim?

Był to listopad 2004 r. Byłem w Warszawie, wraz ze współpracownikami, na wystawie Mieczysława Janikowskiego i „Transalpinum” w Muzeum Narodowym. Będąc w stolicy, chciałem odwiedzić Beksińskiego. Nie mogliśmy pójść tam wszyscy. Wziąłem więc dwie młode koleżanki, żeby go poznały, bo od dawna mi zależało, żeby moi pracownicy znali go osobiście. Za każdym razem, gdy było to możliwe odwiedzałem go z kimś z muzeum. Chodziło mi, po pierwsze, żeby udowodnić mu, że nawet kiedy mnie zabraknie, wszyscy będą tak samo jak ja traktować jego sztukę. Po drugie inaczej patrzy się na człowieka i jego twórczość, kiedy zna się go osobiście. Zależało mi na tym, żeby młodzi pracownicy mieli wiedzę o Beksińskim z własnego doświadczenia, a nie tylko z książek. Poszliśmy więc do niego we troje. Mając przed sobą dwie młode dziewczyny, był przeuroczy, żartował w taki sposób, żeby je wprowadzić w zakłopotanie. Myślę, że w pamięci zachował im się obraz dowcipnego, sympatycznego człowieka. To było nasze ostatnie spotkanie. Potem nie byłem już w Warszawie. W międzyczasie było jednak całe mnóstwo rozmów telefonicznych. Ostatni raz zadzwonił na krótko przed śmiercią. Był moc-

no spanikowany, chciał się poradzić, a właściwie wyzalić. W Częstochowie było przygotowywane Muzeum Beksińskiego, ze zbiorów Piotra Dmochowskiego. Beksiński tego muzeum bardzo nie chciał. Pytał mnie w kółko, co on ma z tym zrobić. Podkreślał, że w Częstochowie są znakomici artyści, a miasto wydaje dwa miliony na jakiegoś Beksińskiego z Sanoka, który z Częstochową nie ma nic wspólnego. Będzie mu wstyd tam pojechać. Strasznie się czuł z tym, że zamiast na kolegów malarzy, którzy tam mieszkają, oni wydają pieniądze na niego. Był bardzo zdenerwowany. Tłumaczyłem mu, że nie ma na to wpływu, nie zabiegał o to, że w tym kraju nikt nie myśli o artystach, galeriach, muzeach, więc niech się cieszy, że cokolwiek będzie zrobione. Powiedziałem mu też, że pracujemy nad dokumentacją, rozpisujemy przetarg na projekt rozbudowy zamku w Sanoku i że powstanie nowe skrzydło, w którym będzie miał galerię z prawdziwego zdarzenia. Wtedy jakoś się uspokoił. To była nasza ostatnia rozmowa. Kilka dni później został zamordowany.

Jakby pan podsumował znajomość ze Zdzisławem Beksińskim?

Z perspektywy czasu wydaje mi się, że od początku nasza znajomość miała cel, którego wtedy nie znaliśmy. Mam na myśli to, iż stałem się wykonawcą ostatniej woli Zdzisława Beksińskiego, po niespodziewanym, tragicznym finale jego historii, o którym rozmawialiśmy na początku. Sama znajomość zaś to był związek dwóch osób, które mają do siebie zaufanie. Stąd jego testament, rozmowy, które prowadził tylko ze mną, ta kolekcja, która tutaj trafiła. Najważniejsza dla niego była troska o to, żeby obrazy nie trafiły byle gdzie. To jest ta więź, która nas łączyła.

Myśli pan o Beksińskim w kategoriach życia wiecznego?

Modłę się za niego, nawet w jego intencji została odprawiona gregorianka. Mam nadzieję, że to dobro, które w nim było, Pan Bóg obróci również na dobro życia wiecznego. To tylko nadzieja, bo przecież tego nie wiemy, ale było w nim wiele dobra, bardzo dużo życzliwości dla innych. Mnóstwo dowodów na to pojawiało się po jego śmierci. Bardzo pozytywnie odbierano go jako człowieka. Nawet pani w hotelu z sympatią o nim opowiadała. Cichy, skromny, ale jak trzeba było pomóc, to Zdzisław pomagał. Zdzisław nie odnalazł drogi do Chrystusa, ale jej szukał. Szukał przez

dobro. Umysłem nie był w stanie jej odnaleźć, ale poprzez dobro, chyba tak.



Młody Zdzisław, I Komunia Święta, 1938 r.

Był człowiekiem niewierzącym?

Zdzisław został wychowany w rodzinie katolickiej, matka była bardzo religijna, jak czyta się jakieś jej teksty, refleksje o życiu, to niemalże mistyczka. Ojciec podchodził z dystansem do religii. Krąży taka rodzinna anegdota, kiedy do umierającego ojca rodzina chce przysłać księdza, ten odpowiada, że idzie na spotkanie z Panem, więc po co mu teraz sługa. Czyli taki dystans do Kościoła w męskiej linii istniał. Ale nie można powiedzieć, że ojciec był niewierzący. To jest jego sposób układania sobie spraw z Kościołem, ale generalnie jest to nawet jakieś wyznanie wiary.

Jednak idzie do Pana. Zdzisław, wychowany w atmosferze religijności, staje na różnych pozycjach w różnych okresach życia. Od bardzo wrogich, kpiących, po jakąś głębszą refleksję, a nawet sympatię. Rzadko zdarza się, że ktoś przeczyta całe Pismo Święte – Stary i Nowy Testament. Zdzisław przeczytał. W tych naszych rozmowach czułem, że istnieje w nim pojęcie Boga, ale nie ma w nim żadnego poziomu religijności. Rozum mu podpowiada, że jest bardzo prawdopodobne, że Bóg istnieje, może nawet cień nadziei w tym Bogu pokłada. Jest taki zapis w dzienniku: *Był u mnie Banach, rozmawialiśmy o wierze, było to bardzo interesujące, tylko Banach z jasno określonej pozycji człowieka wierzącego, a ja właściwie z jakich?* I na to nie odpowiada. Byłoby prościej rozmawiać z ateistą. To też wiara, tylko z odwrotnym wektorem. Trzeba uwierzyć, że Boga nie ma, tak jak trzeba uwierzyć, że Bóg jest. W związku z tym pojęcie Boga było u niego jakoś głęboko osadzone, tyle tylko, że nie było żadnej transmisji z tym Bogiem. Jedna z tych rozmów kończy się pytaniem – *Panie Wiesławie, a co będzie jak Bóg nie dotrzyma swoich obietnic?* W taki sposób nie jest w stanie powiedzieć ateista. Nie ma Boga, żadnych obietnic, stajemy się garstką popiołu i tyle. W jednym z wywiadów na pytanie o nadzieję odpowiada: *Jestem skrajnym pesymistą, ale żywię nadzieję na to, że się mylę.* Z drugiej strony jest cała masa wypowiedzi absolutnie agnostycznych. Ale to też jest element jego gry. Ponieważ nie wiem, kim jestem, ponieważ wszystko można podważyć, a więc jak dzisiaj się określę, to jutro będę podważał to, co wczoraj o sobie pomyślałem. Nie ma rzeczy pewnych, stabilnych, nie umiem odpowiedzieć na podstawowe zagadnienia, więc po co odpowiadać? Jeżeli się określę, to za chwilę pojawi się we mnie coś, co to zweryfikuje. Widzimy go w różnych wypowiedziach, sprzecznie podchodzącego do tych samych zagadnień.

W 1977 r. była przygotowywana wystawa przez Teatr Stu w Krakowie, odbywała się ona w lecie, byliśmy tam wcześniej ustalać pewne sprawy i chyba pierwszy raz widziałem Beksińskiego takiego wściekłego na organizatorów, którzy wymyślili nazwę wystawy „Kocham piekło”. Tłumaczył mi, że on nie kocha piekła, nie chce mieć z tym nic wspólnego. Był oburzony, że próbują zrobić go w coś, z czym on się kompletnie nie identyfikuje. Organizatorom wydawało się, że jest to doskonały chwyt marketingowy. Ale Beksiński chciał absolutnie odżegnać się od wszel-

kich skojarzeń, jakie mogą się nasunąć pod wpływem takiego tytułu. Było to niezgodne z jego stanem wewnętrznym. Ludzie, którzy obecnie chcą wykorzystać jakieś jego obrazy do celów satanistycznych, obrażają artystę. On tak nie myślał. Świat satanistyczny postrzegał jako coś złego i wrogiego. Był człowiekiem noszącym w sobie poczucie dobra, doskonale rozumiał dobro i nigdy nie zadeklarowałby się w kierunku świata zła. Miał w sobie poczucie przyzwoitości, przywiązania do wartości. Kiedyś w internecie pojawiła się informacja o jego śmiertelnym wypadku i wybudzeniu ze śpiączki oraz innych sensacyjnych bzdurach, które niby miały tłumaczyć jego twórczość. Odpowiedział na to dziennikarce: *Sam widziałem tę stronę w internecie. To wszystko jest wysrane z palca. Nie byłem nauczycielem matematyki, nie miałem wypadku, nie byłem w komie, nie wędrowałem po odległych rejonach piekieł. W jednym z wywiadów – po przeniesieniu się do Warszawy w 1977 roku, odpowiadałem na pytanie, dlaczego wyprowadziłem się z prowincjonalnego i cichego rodzinnego miasta Sanok do hałaśliwej Warszawy. Odpowiedziałem żartem, że ciszy nie cierpię i gotów jestem włączyć odkurzacz, by nie słyszeć ciszy. Po prawie 30 latach ten odkurzacz wrócił do mnie jak bumerang poprzez odległe rejony piekieł. Ten odkurzacz to jedyna informacja, którą można udokumentować.*

Bóg mu nie dawał żadnych gwarancji, że na pewno jest i to mu burzyło jego świat?

To, że nic nie jest pewne, było dla niego nie do zniesienia. Na nic nie ma wpływu, nikt mu nic nie zapewni, niczego nie udowodni. Często drążyłem z nim temat na przykład sumienia, dobra – był człowiekiem, który doskonale rozumiał dobro, był jakby z natury rzeczy dobry. Wybierał dobro w przeróżnych rozwiązaniach, a więc to poczucie dobra, przyzwoitości, przywiązania do wartości on w sobie nosił. W kwestii Boga i religii zastanawiał się, że może jest to sprawa tylko i wyłącznie kultury, wychowania. Nie ma dowodu na to, że jest coś więcej poza tym przekazem kultury, która tak społeczeństwa uformowała, że zabicie czy okradzenie kogoś jest czymś złym. Może to wcale nie odpowiadać na to, że jest Bóg, że jest ta wyższa rzeczywistość, która zapisuje w nas obraz dobra i zła. Może to być wyłącznie proces wychowania, socjalizacji. Oczywiście nie sięga dalej, nie zadaje pytania, dlaczego ten obraz wychowania ludzko-

ści tak się właśnie ukształtował. Założenie, że może to być tylko wynik wychowania, już daje mu argumenty, że nie mamy nic stałego. To, co najważniejsze, wymyka się z rąk. A więc pozostaje ostatecznie z wątpliwościami. W jednym się zgodzaliśmy: Bóg jest albo Go nie ma. Nie istnieje coś pośrodku, jakaś zastępcza forma półbogów, które świat współczesny nieustannie sobie produkuje. Albo jest On bytem absolutnym, kimś nie do pojęcia, albo nie ma Go wcale. Bóg nie jest wytworem umysłu człowieka. To, że religie tak czy inaczej go nazywają i widzą tylko pewne atrybuty, to jest zupełnie odrębna rzecz. W tej kwestii byliśmy absolutnie zgodni. Albo jedno albo drugie. Jak również to, że istnienie Boga nie jest zależne od tego, czy ktoś w Niego wierzy, czy nie. Mogą być tylko różne drogi zbliżania się do Boga, poznawania Go. Natomiast nie ma trzeciego wyjścia. Taki neopoganizm obaj, i on i ja, odrzucaliśmy na starcie. Bóg wymyślony przez nas nie może istnieć. Tutaj między nami nie było rozdźwięku. Kwestia tylko, za czym się opowiadam. Czy za tym, że Boga nie ma, czy że Bóg jest? Jeżeli Beksiński powiedział, że Boga nie ma, za chwilę zaczynał się wahać i mówić, że jego stwierdzenie, że Boga nie ma, jest równie absurdalne jak to, że Bóg jest. Jeżeli nie ma Boga, czyli nie ma dalej żadnego życia, jesteśmy tylko dziwacznym wybrykiem natury obdarzonym samoświadomością, który wraz ze śmiercią biologiczną zamyka wszystko. Wtedy nasze życie jest totalnym nonsensem. Dlatego tak bardzo chciał przetrwać w obrazach. To jednak też było dla niego jakimś bezsensem. Zastanawiał się, na ile można przetrwać w obrazach. Mawiał tak: *Niech Pan popatrzy. Światło emitowane z tej gwiazdy zostało wysłane kilka tysięcy lat temu. Przecież moja sztuka nie jest w stanie przetrwać nawet tego odcinka czasowego, który potrzebny był, żeby światło przebyło drogę pomiędzy tą gwiazdą a nami. Więc moja twórczość to też jest po prostu absurd. Nie jestem nawet w stanie utrwalić się w obrazach, bo ta sztuka też za chwilę przestanie istnieć.* Było w tym jakieś poczucie dramatu, że jeżeli nie ma życia po śmierci, to wszystko jest nonsensem, jeżeli nie ma Boga, to wszystko jest absurdem. Jego zabawa w sztuce jest tylko jakąś naiwną, dziecięcą i nieudolną próbą przetrwania dłużej, aniżeli śmierć biologiczna. Ale tylko chwilę dłużej. Spytałem go, czy kiedy jest sam, w kompletnej ciszy, czy rozmawia z Bogiem. Odpowiedział, że nie, nie prowadzi żadnego wewnętrznego dialogu z Bogiem. Jest

to element pokazujący jego niereligijność. Z całą pewnością Beksiński był człowiekiem niereligijnym. Nie odrzucał całkowicie możliwości istnienia Boga, może nawet Bóg w jakimś sensie był obecny w jego życiu, ale nigdy nie odnalazł do Niego drogi. Był ochrzczony, przyjął pierwszą komunię, w Krakowie wziął ślub kościelny, ochrzcił syna. Pamiętam jak mówił po śmierci syna, że dał na mszę za Tomka, bo jeżeli (a więc znowu warunkowo) Bóg jednak istnieje i mogłoby to pomóc duszy, to nie może tego zaniedbać. Którąś z naszych rozmów zakończyłem myślą, że czas płynie tak szybko, że niedługo spotkamy się po tamtej stronie i dokończymy naszą dyskusję, tylko wtedy już będziemy wiedzieć. Uśmiechnął się i powiedział – *mam nadzieję*.

Po śmierci Tomka i Zosi ta kwestia nabrała zupełnie innego wymiaru. Nie mógł sobie wyobrazić, że Tomek nie istnieje, że Zosia nie istnieje. Twierdził, że oni gdzieś muszą być. To było głęboko wpisane w jego naturę, w poczucie jakiejś ciągłości. Kiedyś przyjechałem do niego, a on już w przedpokoju mi mówi – *niech Pan mnie źle nie zrozumie, nie jestem jakiś nawiedzony, ale niech Pan popatrzy. Ta fotografia Tomka w ramce spadła. No niech Pan mnie nie uważa za wariata, ale może Tomek próbuje się ze mną jakoś skontaktować, może on jednak jakoś istnieje?*

Podobnie było z Zosią. Proszę posłuchać cytatów z jego notatek, jak bardzo unaoczniają jego rozterki:

Obraz Zosi leżącej w kuchni i patrzącej na mnie, nie może mi zejść z oczu, ale jest tak, jakby ulegał jakiemuś otorbieniu. Pamiętam go, ale nie widzę już tak dokładnie jak przed kilkoma dniami. Chyba reakcja obronna organizmu. Mam dziś głowę ociężałą, ale nie boli i zastanawiam się, że już przez tydzień nie boli ani głowa ani ramię. Prawie jak nożem uciął. Czyżby ten tydzień wolny od bólu był „znakiem” danym przez Zosię? Zawsze prosimy umierających o „znak”. Jakiż znak mogą nam dać, skoro jeśli „są”, to najprawdopodobniej równie oddzieleni od nas, jak my od nich. No, ale może istnieje jakaś szansa, może to jest „nieświadome”, chociaż trudno mówić w tym kontekście o świadomości czy nieświadomości. Oczywiście istnieją dziesiątki racjonalnych wytłumaczeń, a to napięcie psychiczne po śmierci żony, a to uczulenie alergiczne na żonę, a to podświadoma chęć zabrania jeszcze za jej życia choć części jej cierpienia na własne barki (to było zresztą u mnie życzenie świadome i również irracjonalne), a to statystyczny przypadek,

prawo wielkich liczb, tym niemniej jest też i wytłumaczenie irracjonalne, a ja nie cenię racjonalizmu nadmiernie wysoko. (28.09.1998 r.);

Zadzwoił reminder z zawiadomieniem o imieninach Malinowskiej. Gdy go wyłączyłem, usłyszałem, że kończy dzwonić coś jeszcze (identycznie). Chyba po prawej. Co na Boga?! W pozostałych SF-R20 nie ma zapisu na reminderze, a zresztą sprawdziłem wszystkie notatniki i nawet wymienilem baterie w jednym z nich, bo akurat już nie działały. Jest jeszcze jeden palmtop, który nosiłem dawniej w kieszeni, mocno sfatygowany, ale nie mam pojęcia, gdzie go szukać. Na pewno nie na biurku po prawej. Już raczej w kieszeni jakiejś starej kurtki. Tam na pewno nie było remindera, ale mogło być nastawione budzenie na godzinę 8. Są oczywiście liczne zegarki, ale ich dzwonienie jest bez porównania słabsze i w innym rytmie. Zresztą są zamknięte w szufladzie. Może to znowu ten znak, którego domagałem się od Zosi. Kiedyś wieczorem myślałem, że nie przekonałby mnie żaden znak, bo zawsze znajdę racjonalne wyjaśnienie, ale gdyby np. w komputerze przedstawilo się coś samo w oprogramowaniu, to byłby zapewne ten znak, o który mi idzie. Czy to nie było właśnie to? Nie miałem złudzenia słuchowego na pewno! (15.10.1998 r.);

Jeśli można dokonać na koniec roku i na koniec wieku podsumowania, to chyba dobrze się stało, że umieramy w mojej rodzinie w tej kolejności. Gdybym odszedł pierwszy, a teraz umarł Tomek, to dla Zosi byłoby to nieporównywalnie cięższe przeżycie niż dla mnie. Nie można sobie nawet wyobrazić jej cierpienia i zagubienia. Gdybyśmy umarli oboje w dowolnej kolejności, to Tomek sam, chyba nie dałby sobie rady ze swym życiem i światem realnym. Tak jak się stało, stało się najsprawiedliwiej i nie można uważać, że Bóg się na nas wziął. Ja mam najgrubszą skórę i ja zostałem na deser. Boję się cholernie przyszłości, ale wiem, że ją udźwignę. Oczywiście mogliśmy wszyscy żyć jak szczęśliwa rodzina z filmu, a Tomek mógł nie mieć problemów, ale czy nasze problemy, mimo ich ciężaru, były aż tak nie do zniesienia w porównaniu z problemami innych ludzi, o których się czyta? (31.12.1999);

Rano ciemności. Temperatura plusowa 1,7°. Spałem dobrze, ale mam bardzo niepewne krzyże i w każdej chwili może mnie łupnąć postrzał. Dziś o godzinie 12 jest identyfikacja ciała i boję się tego momentu. Coraz bardziej prześladuje mnie wspomnienie tego jak leży i widzę jego biedne

wychudzone ramiona i jakiś żal przepelnia mnie do tego stopnia, że boję się bym nie dał przedstawienia. To wreszcie tylko ciało. Piszę ciało, a nie zwłoki, bo to drugie określenie bardzo zawsze raziło Zosię. No cóż: dziś Tomek przestanie istnieć w sensie materialnym. Czy istnieje gdzieś w innym sensie? Boże, gdybym to wiedział... co to znaczy „istnieć”. Oglądać przez kilkadziesiąt lat ten film, który nazywamy życiem? Jeśli wykluczyć nasze wyobrażenie czasu, to wszystko, co nie istnieje, ma jednak jakiś byt poza czasowy, ale przecież nie o taki byt nam chodzi. My chcielibyśmy nadal oglądać film. Tomek jednak mówił i pisał, że tego właśnie nie chciał. Czy on i Zosia odeszli do nicości? Zosia jakby się ode mnie oddaliła. Czy „była” tu tylko dlatego, że był tu jeszcze Tomek? Czy też jeszcze wróci. Może wrócą razem? Bardzo potrzeba mi ich „obecności”. To myślenie magiczne. (3.01.2000 r.). Czytając te teksty trudno nie nabrać wątpliwości, co do tego, iż ich autor jest niewierzący.

Jaki miał stosunek do Kościoła, jako instytucji?

Określiłbym go, jako życzliwie obojętny. Księża gdzieś zawsze byli „na orbicie” jego domu i zaprzyjaźnionych domów. Postrzegał ich, jako czarno ubranych wesółych facetów, którzy służyli do wspólnej gry w brydza i wspólnego biesiadowania. Zaprzyjaźnieni żydowscy komuniści z kolei służyli do wspólnej gry w tenisa i wycieczek kajakowych, zaś endecy i legioniści należeli po prostu do najbliższej rodziny, więc brali udział zarówno w biesiadowaniu, jak i we wspólnych wycieczkach kajakowych. Politykę postrzegał, jako coś, co ludzi nie różni w większym stopniu niż marka palonych papierosów lub stosowanej wody po goleniu. To była prowincjonalna burżuazyjna rodzina, a na jej orbicie występował ksiądz, aptekarz i sędzia, tak jak w dawnych francuskich filmach.

Potem, gdy już poszedł do szkoły, był raczej z dystansem oceniany przez katechetów, mimo iż bardzo się starał. Msze go nudziły, ale z religii chciał być dobry. Opowiadał kiedyś, że na lekcję religii mieli znaleźć dowody na istnienie Boga. Po intensywnym kilkudniowym zastanawianiu się, doszedł do wniosku, że takim dowodem jest ból zęba. Rozumował tak, że zgodnie z teorią ewolucji gatunki z bolącymi zębami miały mniejsze szanse na przetrwanie, a mimo to przetrwały. Niestety, ksiądz oczekiwał czegoś innego. Czegoś w stylu panteistycznego zachwyty nad pięk-

nem stworzenia w stylu „któż jak nie Bóg i tak dalej”. Powiedział potem zaprzyjaźnionej pani, że Beksiński to dobry chłopak, ale tępy. Potem inny już katecheta był jego pierwszym recenzentem. Ponieważ były to inne niż dziś czasy i w kiosku nie było PLAYBOYA, to umiejętność sprawnego rysowania wykorzystywał między innymi na uzupełnienie tych braków. Niektóre rysunki dostały się w ręce księdza, który z ambony w trakcie rekolekcji wielkanocnych zagrział: „jest tu taki jeden między wami, który robi takie odrażające rysunki”, wszystkie ławki zaczęły trzeszczeć jak w koszmarnym śnie i wszyscy zaczęli się odwracać w jego kierunku, a ksiądz z ambony kontynuował „zaprawdę powiadam ci synu: ty umrzesz, a twoje ohydne dzieła mogą przetrwać i nadal gorszyć będą całe pokolenia...” dalej już było o kamieniu młyńskim i o tych, co siądą po prawicy Pańskiej, a on z czeluści piekielnych prosić będzie o kroplę wody na zwilżenie warg. Potem opowiadał: *jakby na to nie spojrzeć, dobrodziej poznał się na mnie i była to najbardziej pozytywna recenzja, jaką miałem w życiu. Niestety, nie dożył momentu, gdy moją wystawę w Muzeum Archidiecezji otwierał prymas Glemp. Uznałby to zapewne za kreć działaność szatana. Jakiś sędziwy teolog powiedział tak zresztą w szpitalu zaprzyjaźnionemu ze mną anestezjologowi, który mi to potem powtórzył: „w obrazach Beksińskiego jest Szatan i źle się stało, że Prymas otwierał tą wystawę”.*

Był taki okres około 2000 roku, kiedy z niepokojem obserwowałem, jak Beksiński ma coraz większe kłopoty z pamięcią. Za każdym niemal kontaktem osobistym czy telefonicznym opowiadał te same historyjki. Kiedy ostatni raz przypominał dykteryjkę o katechecie, nie mówił tego ironicznie. Miałem dziwne wrażenie jakby lęku – *a jeżeli ksiądz miał rację?* To jest właśnie Beksiński, z całą mieszaniną niepewności, lęków, ironii... groteski. Tworzył sobie alternatywne do życia pozagrobowego rozwiązania. W moich notatkach z datą 15 maja 1999 r. znalazłem taki zapis: *Rano zbudził mnie Antek, każąc podejść do telefonu. Dzwonił Beksiński. Jest w Sanoku i chce się zobaczyć. Umówiliśmy się na jedenastą i rzeczywiście mniej więcej o tej porze przyjechał taksówką z cmentarza, gdzie doglądał wykonania grobowca. Rozmowy na różny temat, ale zawsze główną osobą jest Beksiński. Przywiózł dwa ładnie wydane katalogi z jego zbiorów. Rozmowa o czasie, którego właściwie nigdy nie doświadczamy. „Nawet jakby podzielić sekundę na milionową część, to właściwie nigdy*

nie przeżywamy jej w czasie teraźniejszym, zawsze coś już minęło lub coś dopiero będzie”. W tym swoim bezsensownym światopoglądzie właściwie jest nadal poza wiarą. „W przyszłości będą świadomość zapisywać na odpowiednich nośnikach. Ciało się zużyje, ale świadomość będzie mogła działać w innym ciele”. Oczywiście z detalami opisywane sprawy komputerowe, możliwości używania komputera do grafiki czy twórczości komputerowej. To wszystko właściwie, co powtarza się w jego wywiadach. Przypnie muszę, co już od dawna zauważyłem, że często się artysta powtarza, opowiadając różne historie. Mówiliśmy również o jedzeniu, o tym jak się żywi gotowymi produktami. Raz po raz wracała Pani Zosia. Ostatnim razem, 17 lipca 1998 roku, byli tu razem. Siedzieliśmy w ogrodzie i rozmawialiśmy o różnych rzeczach.(...) W czasie naszej dzisiejszej rozmowy przyszła burza. Odwiozłem go do hotelu, żeby nie szedł po deszczu. Miał zjeść obiad i się przespać, a popołudniu wybiera się do pani Janiny Lewandowskiej i Romka Biskupskiego. Jutro rano wraca taksówką. Przyjedzie tu jeszcze raz w czerwcu, kiedy zakończą prace z grobowcem. Na otwarciu wystawy nie będzie. I jeszcze jedna notatka z 23 maja 2000 r.: Dzień spędzony z Beksińskim, który od wczoraj jest w Sanoku. Przyjechał pilnować wykończenia grobowca. Był przed południem w muzeum. Filozofowaliśmy metafizycznie chyba przez dwie godziny. Jego podejście do życia jest jednak niezmiennie takie samo. „Świat tak naprawdę nie istnieje. To wszystko dzieje się w naszym mózgu. Prawdziwy świat jest dla nas niedostępny”. Oczywiście Beksiński nie jest durny i w gruncie rzeczy do końca w to nie wierzy. Pojęcie Boga osobowego chyba ma, natomiast jest z dala od jakiegokolwiek religii. Poszliśmy także na zamek, bo chciał widzieć wystawę taty Turkowskiego i nawet niektóre obrazy bardzo mu się podobały, zwłaszcza portret dziewczynek: Krysi i Ani. Przyjechałem z nim do domu i długo rozmawiał z tatą. Oczywiście to on generalnie jest mówcą. Odwiozłem go na cmentarz, gdzie robotnicy pracują nad grobowcem.

Jeżeli był człowiekiem niereligijnym, skąd motyw krzyża, który nieustannie przewija się w jego twórczości?

Kolejny szeroki temat. On ucinał rozmowę na ten temat, mówiąc tak: Krzyży namalowałem i wyprodukowałem innymi technikami zatrzęsienie. Jest to jeden z moich podstawowych tematów, ale nie wynika bynajmniej

z pobożności ani ze związków z kościołem i religią. To temat, który dominuje u mnie od wczesnej młodości. Mimo mnogości krzyży na moich obrazach, nie są to jednak krzyże chrześcijańskie i nie symbolizują odkupienia.

*Ani to nie jest kpina czy pogarda z religii czy z chrześcijaństwa, ani to nie jest wyznanie wiary. Ja właściwie nie wiem, skąd u mnie się to bierze, ale krzyż jest w mojej sztuce od początku, niemalże od dzieciństwa. Jest mi po prostu niezbędnie potrzebny, nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego. Jest w nim jakaś ekspresja, jest w nim jakaś tajemnica i prawdopodobnie, dlatego nieustająco wraca. I jeszcze taka wypowiedź spisana z magnetofonu w Sanoku 25 czerwca 1999 r. podczas wywiadu Antoniego Adamskiego: *Ja nie jestem człowiekiem pobożnym ani religijnym. To możemy już odrzucić na bok, całą tę ścieżkę. Mimo że maluję ukrzyżowania, krzyże, katedry, takie różne inne rzeczy, to nie jest to wyznanie wiary. Natomiast katedra robiła na mnie wrażenie, oczywiście Notre Dame, bo ona się jakby tu narzuca. Ludzie zaczynają interpretować i interpretują najczęściej, posługując się ścieżką symboliczną, że jeżeli skrzydła to anioł, jeżeli anioł to coś tam, jeżeli ptaki to coś tam. A jeżeli kolor niebieski to tam niebo – Madonna, zielony – nadzieja. Jest to obce dla mnie, bo ja nie myślę tymi kategoriami. Ja nie lubię czegoś przedstawić przez coś. Raczej chcę oddać pewną atmosferę, nastrój i chciałbym, żeby obraz się podobał, tak jak się podoba powiedzmy poemat symfoniczny, żeby już być najbliżej czegoś, co oddaje napięcie, a nie posiada treści rzeczywistości przekładalnej na słowa.**

Ostatni obraz, który skończył w dniu śmierci, nie przedstawia, co prawda, namalowanego krzyża, ale fałdy blachy wyraźnie układają się w kształt krzyża. To jest jakby podsumowanie jego twórczości. Nie spodziewał się, że ten obraz będzie ostatnim obrazem, ale tak się stało. Jego pożegnanie z tym światem, ten jego łabędzi śpiew, to jest pożegnanie właśnie krzyżem.

Nabieram przekonania, że może jego sztuka to jest cały czas rozmowa z Bogiem albo o Bogu. Albo zadawanie sobie pytania czy jest Bóg.

To jest dziwne, ale Beksiński na to odpowiadał dwoma cytatami. Jeden to wracanie ciągle do tego fragmentu opowieści z Procesu Kafki o odźwiernym, który stoi przy drzwiach, za drzwiami widać blask. Beksiński twierdził, choć nie jest to dopowiedziane przez Kafkę, że tymi

drzwiami wchodzi się tylko w jedną stronę. I trochę podobnie jak Kafka, Beksiński zatrzymał się przed tymi drzwiami. Opowiada o sobie samym stojącym w tym przedsionku, razem z innymi ludźmi, ale nigdy nie odważa się zadać sobie pytania, co to za światło bije zza tych uchylonych drzwi. To jedna z jego odpowiedzi na pytanie, czy Bóg istnieje.

Druga dotyczy psalmu 23 – *choćbym szedł ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną*. Zdzisław mówił, że ten fragment psalmu już w dzieciństwie zrobił na nim gigantyczne wrażenie i trwa to tak do dzisiaj. Mówi o tym, że przez całe lata poprzez muzykę usiłował zrozumieć te słowa o ciemnej dolinie i tłumaczył sobie m.in. z psalmów w języku czeskim do utworu Antoniego Dvorzaka, z innych języków, których nie znał, żeby coś więcej wyjaśnić na temat tej ciemnej doliny. Przytacza inne tłumaczenia, wedle których jest to dolina śmierci. Wydaje mi się, że tak jak w przypadku Kafki tutaj jest podobna sytuacja, on się zatrzymuje na penetracji tej ciemnej doliny, nie ma odwagi zrobić kroku dalej. Nie idzie te dwa wersety dalej, gdzie ten psalm staje się bardzo optymistyczny. Przejdziesz przez tę ciemną dolinę, zła się nie ulęknie, *bo ja jestem z Tobą*. Mówi to Bóg do człowieka.

Być może gdyby popatrzył dalej, musiałby się opowiedzieć za albo przeciw. Może uznalby, że to jest absurd – nie ma tam żadnego światła i w ogóle nic nie ma, albo odwrotnie, że może jednak COŚ jest i może warto się temu przyjrzeć. Próbował się z tym uporać, mówiąc, że wiele jego obrazów jest metafizycznych, ale on tą metafizykę chciał widzieć inaczej, aniżeli widzą to mistycy chrześcijańscy, a więc jakoś intuicyjnie. Ale jak? Tego już nie był w stanie zdefiniować. Być może była to kwestia mieszania tego przeżycia mistycznego z grą wyobraźni. Trudno powiedzieć. Ale zwróćmy uwagę, że nigdy nie uciekał na przykład w alkohol czy narkotyki, co pozwoliłoby mu zbliżyć się do jakichś stanów przynajmniej pseudomistycznych. Przez jakiś okres interesował się filozofią zen, usiłując tą drogą pogłębić swoje wewnętrzne widzenie, ale szybko z tego zrezygnował, podobnie jak z drogi kościoła katolickiego. Miał poczucie, że ktoś go prowadzi, a on nie może dać się nikomu prowadzić. Uprawiał medytację transcendentalną, ale szybko doszedł do wniosku, że to nie jest jego, że ktoś nim steruje. To nie jest to, czego szukał. Na stare lata ten problem stał się zarazem prostszy i głębszy. To już nie był czas na jakieś

eksperymenty z Jungiem czy z ezoteryką. Być może zadawał sobie pytania, czy nie powinien się określić? Niewątpliwie nosił w sobie jakiś niepokój, o czym mówiliśmy wcześniej, cytując jego różne wypowiedzi. Był w końcu chrześcijaninem, został wychowany po katolicku. Nie był związany z Kościołem, ale to wszystko gdzieś w sobie nosił. Próbował znaleźć jakieś proste wyjście. Ale to mu się chyba nie udawało. Są pewne charakterystyczne momenty, które pokazują jego dwoistość. Matka jest bardzo religijna, mimo tego, że Zdzisław nie jest religijny, rozumie, że trzeba ją zawieźć do kościoła, trzeba sprowadzić księdza. To samo z mamą Zosi. Gdy jednak przychodzi ksiądz, artysta zamyka się w pracowni, udając, że go nie ma, żeby tylko nie musieć z nim rozmawiać. Gdyby był tak naprawdę niewierzący, pewnie przynajmniej podkpiwałby z tego. Zofia pochodzi z rodziny wierzącej i wiedząc, że niedługo umrze, wyraźnie deklaruje, że chce mieć pogrzeb katolicki. Wszystko to jest zrealizowane. Po śmierci Zosi zadzwonił do mnie i poprosił, żebym załatwił z Franciszkanami pogrzeb żony. Jeżeli mówimy o jego śmierci, to właściwie niczego nie zastrzega. Zróbcie, jak będziecie uważali. Może być to pogrzeb katolicki. Rodzina pani Zosi zażyczyła sobie, aby został pochowany z różańcem odłożonym dla niego przez żonę i tak się stało.

Kiedy czytamy jego maile pisane do Liliany Śnieg-Czaplewskiej, czy Piotra Dmochowskiego, widzimy tam obraz człowieka zdecydowanie niewierzącego. Czyżby przed nimi nie chciał odsłonić niepokojów, które nosił w sercu?

Czy Beksiński bał się śmierci?

Nie bał się śmierci w sensie fizycznym, bo racjonalnie do tego podchodził. Jak można się bać czegoś, co jest nieuniknione? Umrzemy i koniec, więc nie ma sensu tego rozważać. Nie ma sensu się nad tym zastanawiać. Bał się biologicznego procesu umierania, choroby, cierpienia. Mawiał, że jego rodzina jest długowieczna, więc może się długo męczyć zanim umrze. Bał się starości, zniedołężnienia. Z drugiej strony chciał żyć wiecznie. To, czego naprawdę się bał i co najdramatyczniej ukazuje w sztuce, to możliwość, że po tamtej stronie nie ma niczego i ten niepokój, który dostrzegamy w jego sztuce, jest lękiem przed nicością. Tego się bał. Jeśli byłby pewny, że po śmierci spotka się z Zosią i Tomkiem, że to życie w innej

postaci będzie trwale dłużej, śmierć byłaby dla niego nadzieją, szansą na kontynuowanie miłości, na kontynuowanie tego dobra, jakim była jego rodzina. Tej pewności nie miał, raczej miał przekonanie, że wszystko się kończy razem z biologiczną śmiercią, a pewne jest tylko to, że wszyscy umrzemy. Reszta to być może tylko rojenia i wyobrażenia ludzi.

Wracając do wiary i niewiary. Czy nie sądzi Pan, że on został w tym przedśmionku dlatego, że nie miał go kto przeprowadzić?

Na tym to polega. Mówiliśmy o tym, że bał się jakiegokolwiek sterowania sobą. Na tych wszystkich drogach, które prowadziły do Boga, zawsze stali jacyś ludzie. Myślę, że miał poczucie, że sam do tego nie dochodzi, tylko jest przez kogoś sterowany, ktoś go popycha, w związku z tym nie będzie tego robił. W kościele katolickim są jakieś zasady, które ktoś ustalił i których trzeba się trzymać. To było dla niego nie do zaakceptowania. Oświecony mnich buddyjski tak samo. Nikt go nie może prowadzić, powinienem sam wybierać. Było w nim jakieś nadmiernie rozbujale poczucie wolności. Nikomu nie można zaufać, ponieważ w ten sposób ogranicza się sferę wolności.

Może całe życie czekał na to, żeby ktoś go przeprowadził i szukał? Oповідаł pan o wielu próbach.

Mam wrażenie, że on nie tyle szukał jakiegoś pośrednika, co sam chciał do tego dojść. Poszukiwał jakiejś furtki, którą sam sobie otworzy. Ja bym powiedział, że nie mógł nikomu zaufać, bo być może ten ktoś sam jest w błędzie, więc jak może próbować poprowadzić jego? Bóg może posługiwać się kimś innym, człowiekiem, słowem, które do człowieka mówi, objawieniem. Może to też rozumiał, bo w późnych latach życia miał pokusę, by wpuścić do siebie księdza idącego po kołędzie i z nim porozmawiać. Bał się jednak kompromitacji – ksiądz każe mu się pomodlić, a on nie umie.

„Po co mi sługa jak idę do Boga?” Myślę, że słowa jego ojca wywarły na nim jakieś olbrzymie wrażenie.

I tak, i nie. Mimo wszystko ojciec miał normalny katolicki pogrzeb. Mimo wszystko ten ksiądz, o ile dobrze wiem, w końcu przyszedł i doszło do

tej spowiedzi przedśmiertnej, do ostatniego namaszczenia. Ale Zdzisław wybierał swoją drogę. Jest taki zapis w dziennikach, gdzie bardzo szczerze Zdzisław o tym pisze: *kiedy umarł mój ojciec, a bardzo kochałem swoich rodziców, to poczułem jakąś straszliwą ulgę*. Czyli ten autorytet przestał już działać. Już był wolny. Uwolnił się od tego myślenia, co na to powie ojciec, ale to zarazem obrazuje, że on szedł własną drogą, która nie była kontynuacją tego, co otrzymał od ojca, a nawet – jak często mawiała jego matka – *Zdzisek był zawsze w poprzek*.



Zdzisław Beksiński we własnym mieszkaniu

Zarówno w dziennikach jak i w korespondencji Zdzisława Beksińskiego pojawia się pani Puchalska. Kim była dla Beksińskiego?

Myślę, że to była wreszcie pierwsza i jedyna osoba, która po śmierci Zosi w jakimś sensie mu odpowiadała. Przynajmniej częściowo rekompensowała brak Zosi. Zaczęło się banalnie, kiedy miał problemy z bólem kręgosłupa. Kolega jego syna doradził mu masaż i polecił mu panią Puchalską, która miała się tym zająć. Wydaje się to być wręcz nieprawdopodobne, bo Beksiński nie znosił dotyku kogokolwiek. Podać rękę i to wszystko. Jeżeli go ktoś poklepał po ramieniu, to się wzdrygał. Tutaj musiał poddać swoje ciało masażom. Musiał przełamać barierę, która głęboko w nim tkwiła. Być może przełamanie tej bariery w jakiś umiejętny sposób przez panią Puchalską pozwoliło mu nawiązać bliższe kontakty, nawet chciałyby się powiedzieć uczuciowe. W dziennikach widać wyraźnie jak ta znajomość ewoluowała. Najpierw odpowiadała mu od strony organizacyjno-psychologicznej. Widział ją w roli księżej gospodyni, bo w takim celu kupił mieszkanie obok. Miała to być osoba, która będzie się nim zajmowała, kiedy on będzie już stary i niedołężny. Potem sam sobie tłumaczył, że ona nie może, bo pracuje, ma rodzinę, więc to nie wchodzi w grę. Z czysto użytkowego podejścia więc między nimi stała się bliższa, choć jej charakter trudno określić. Ta kobieta stała się osobą, która wypełniła jakąś pustkę, samotność. Lubił, kiedy przychodziła, bardzo przeżywał jej chorobę, bardzo się o nią niepokoił, odwiedzał ją w szpitalu. Zajmował się nią jak kimś naprawdę bliskim. Być może mogłaby wypełnić miejsce po pani Zosi, tego nie wiemy i już nigdy się nie dowiemy. Niewątpliwie zawiązała się między nimi nić przyjaźni. Beksiński nigdy o tym nie mówił, nigdy nie wspomniał o pani Puchalskiej. Nigdy nie poznałem jej osobiście. To, co o niej wiem, wiem wyłącznie z dzienników. Dobrze, że na te późne lata w jego życiu pojawił się ktoś zaufany i mu oddany. Na pewno mu to bardzo pomagało.

Co pan sądzi o relacji z Piotrem Dmochowskim?

To jest dosyć skomplikowana relacja. Dmochowski pojawił się, jako wielbiciel Beksińskiego, w sytuacji szalejącej w kraju hiperinflacji, kiedy Beksiński czuł się zagrożony od strony ekonomicznej. Nie wiedział, czy będzie w stanie utrzymać rodzinę, mieszkanie, pewien poziom życia,

do którego wszyscy przywykli. Ponadto być może trzeba będzie pomagać Tomkowi, z którym nie wiadomo, co dalej. Nagle pojawia się ktoś, kto absolutnie wierzy w jego geniusz, niemalże pada przed nim na kolana, chce jego sztukę lansować we Francji. Co więcej, obiecuje mu stały dopływ pieniędzy w twardej walucie, a w czasach szalejącej hiperinflacji daje to poczucie stabilizacji. Ponadto obiecuje, że wylansuje jego sztukę nie tylko we Francji, ale na całym świecie. Jego obrazy będą miały właściwą rangę, także finansową. Beksiński w to wchodzi. Wydaje mi się, że bardzo polubił Piotra Dmochowskiego, choć trudno sobie wyobrazić bardziej sprzeczne charaktery. Czytając ich korespondencję, opublikowaną przez Dmochowskiego, widać wyraźnie różnice. O czym innym mówi Beksiński, a co innego odpowiada Dmochowski. Kompletnie nie mogą się zrozumieć i to powoduje narastające pretensje. Szczytem wszystkiego staje się opublikowanie, bez uzgodnienia z artystą, książki „Zmagania o Beksińskiego”. Zosia była tą książką załamana. To było publiczne pranie rodzinnych brudów. Wychodzą sprawy Tomka, które bardzo ich boją, które z trudem dzielą nawet z najbliższymi. Zosia cierpi niesłuchanie i cały czas mówi Zdzisławowi, że należy zerwać te kontakty, że to, co zrobił Dmochowski, jest nie do przyjęcia. Tomek zniecierpliwiony Dmochowskiego. Książki nie przeczytał, nie zadał sobie trudu. Pokazał całkowicie czerwoną kartkę. Sytuacja zmienia się także od strony ekonomicznej. Okazuje się, że nowy przelicznik walutowy nie spełnia już swojej roli. Beksiński swoje obrazy może sprzedawać w Polsce za lepsze pieniądze. Z wielkiej światowej kariery nic nie wyszło. Nie udało się wylansować jego sztuki na Zachodzie. Żadne muzea amerykańskie, japońskie czy niemieckie nie chcą kupować obrazów. Dmochowskiemu udaje się sprzedać pewną liczbę dzieł za dobrą cenę Japończykom, co Beksiński skwitował, że pewnie chcieli sobie wyprać pieniądze. Nie uważał tego za coś, co będzie skutkowało stworzeniem rynku na jego dzieła w Japonii. I oczywiście miał rację. Dmochowski próbował wypromować tę sztukę z pełnej zyczliwości, z pełnym zaangażowaniem, z poczuciem ogromnego uznania dla wielkości talentu Beksińskiego. Robił to bezinteresownie. Uważał, że jest to genialny artysta. Chyba nikt inny tak nie cenił sobie twórczości Beksińskiego, jak Dmochowski. Dzięki temu artysta go w pewien sposób lubił, ale jednocześnie w pewnym okresie

po prostu nie mógł go już znieść. Umowę trzeba było zerwać. Wolał odżalować pięćdziesiąt obrazów, które zgodnie z umową musiał za darmo oddać Dmochowskiemu i być wreszcie wolnym człowiekiem. Jednocześnie myślę, że chciał udowodnić marchandowi, że świetnie sobie bez niego poradzi.

Kiedy umarła Zosia i Tomek, te kontakty się odnawiają. Wypalą fajkę pokoju, ale ich relacje już nigdy nie będą na zasadzie jakiegokolwiek zależności Beksińskiego od Dmochowskiego. Nie będzie już żadnej umowy, ani żadnego wpływu na sztukę. Będzie mu sprzedawał obrazy, będzie lubił z nim korespondować, chociaż cały czas widać w tej korespondencji, że nijak nie mogą się dogadać. Jednak do końca pozostanie ta nić sympatii. Do samego końca Dmochowski będzie osobą w jakimś stopniu bliską Beksińskiemu. Odwiedzał go, regularnie pisywali do siebie. Beksiński był niezwykle urażony jego książką i bardzo przeżył jej opublikowanie, ale zarazem potrafił powiedzieć, że właściwie nikt inny tak prawdziwie nie odmalował jego portretu, jak zrobił to Dmochowski w tej książce. Miał do siebie spory dystans, lubił przypatrywać się sobie samemu. Jeżeli ktoś pisał coś o nim, lubił zastanawiać się, czy przypadkiem ten ktoś nie ujawnia czegoś, z czego nawet on sam nie do końca zdaje sobie sprawę.

Czy myśli pan, że w korespondencji z Dmochowskim był absolutnie szczerzy, czy jednak trochę prowokował?

Bardzo trudno jest to zrozumieć. Trzeba uświadomić sobie, że te dwie osobowości to są dwa pociągi, które jadą po zupełnie innych torach. Nie odbieram tego, jako prowokacji. Według mnie ta różnica w mentalności, w podejściu do różnych spraw jest tak niewiarygodnie duża, że oni inaczej myślą niemalże na każdym kroku. Nie doszukuję się tu absolutnie żadnej manipulacji. Nigdy nie wszedłem w żadną współpracę z Dmochowskim, jakby na podobnej zasadzie. Mimo sympatii do niego wydaje mi się, że nadajemy na innych falach. Zawsze uważałem, że Dmochowski robi różne dobre działania dla Zdzisława i jego twórczości i za to należy mu się głęboki szacunek, ale nigdy nie zrobiłem z nim żadnych wspólnych projektów, ponieważ obawiałem się, że tak samo rozmijałbym się z nim w działaniach, w ocenie różnych rzeczy, jak rozmijał się z nim Beksiński.

Czytając tę korespondencję, chwilami naprawdę można odnieść wrażenie, że oni po prostu sobie celowo dokuczają.

Wydaje mi się, że nie był to wynik złośliwości ani po jednej ani po drugiej stronie. Może za wyjątkiem momentów, kiedy czuli potrzebę odreagowania. Porównalbym to do zakochanego w sobie, ale całkowicie niedobranego małżeństwa.

Pan Piotr Dmochowski, po śmierci Zdzisława Beksińskiego, pozwał muzeum do sądu?

Tak. Sprawa wyglądała w ten sposób, że chciał kupić od Beksińskiego dwa obrazy, o czym pisali do siebie w mailach. W międzyczasie Beksiński został zamordowany. Dmochowski wystąpił do muzeum z wnioskiem, o sprzedaż tych obrazów po ustalonej z Beksińskim cenie. Ani cena nie wchodziła w grę, ani sprzedaż obrazów. Byłoby to złamanie prawa. Trwałoby postępowanie spadkowe i nie było żadnych podstaw prawnych, żeby zbyć jakiegokolwiek muzealia. W myśl ustawy o muzeach było to po prostu niemożliwe. Jest odstępstwo prawne, kiedy można zrobić to za zgodą ministra, celem nabycia innych dzieł do kolekcji. W tym jednak przypadku nie wchodziło to w grę. Dmochowski upierał się, że była to już formalna umowa sprzedaży, którą spadkobierca ma obowiązek respektować. My odpowiadaliśmy, że nie było żadnej umowy i sprawa trafiła do sądu. Dmochowski przedstawił to, jako umowę. Muzeum przytoczyło przykłady, z jego własnej korespondencji, kiedy po otrzymaniu zdjęcia obrazu od Beksińskiego zachwycony Dmochowski pisał, że chce go koniecznie kupić, żeby go zostawił dla niego i jak przyjedzie do Warszawy to zapłaci i go zabierze. Dalsza korespondencja świadczy o tym, że przyjechał i jednak obrazu nie kupił, bo albo mu się w oryginale nie spodobał, albo nie miał pieniędzy. Więc jednak obie strony nie uważały tej korespondencji za wiążącą. Jeżeli nawet były to umowy, to sam je w przeszłości wielokrotnie łamał. Umowa przecież obowiązuje obie strony. Ponadto w Polsce, według ówczesnego ustawodawstwa, korespondencja mailowa nie miała mocy prawnej.

Przegrał sprawę, odwołał się do wyższej instancji, gdzie zapadł taki sam wyrok. Przy okazji wyszła sprawa, że jeden z obrazów, które są u Dmochowskiego, jest własnością Zdzisława i przy najbliższym pobycie

w Warszawie miał go Beksińskiemu oddać. Pomyłka w liczeniu owych pięćdziesięciu obrazów, związanych z zerwaniem umowy pomiędzy artystą i marchandem jeszcze w latach 90. minionego wieku. W związku z tym my od razu złożyliśmy pozew o zwrot tego obrazu. Zaraz na pierwszej rozprawie, Dmochowski, chcąc przekonać sąd do swojej dobrej woli, obraz oddał. Zachował się bardzo elegancko, nie wnosił pretensji. Żądał umożliwienia zakupu obrazów, na które umówił się z Beksińskim. Sprawa dla nas była oczywista, nie rozumieliśmy, dlaczego odbył się ten proces. Dmochowski jest prawnikiem z dużym doświadczeniem, powinien był wiedzieć, że sprawa jest przegrana. Nie rozstaliśmy się jak wrogowie, rozstaliśmy się grzecznie. Dmochowski uznał ten wyrok i nadal mamy całkiem sympatyczny kontakt.

Kiedyś wspominał pan, że Beksiński był apolityczny, ale można wywnioskować, że był antykomunista.

Oczywiście. Komunizm to była sprawa, która go gnębiła od początku. Te prace, które powstały jeszcze w latach 40., 50., te druty kolczaste, rozstrzeliwania, przesłuchiwanie, nie były tylko reakcją na wojnę. Były także, a może przede wszystkim, reakcją na stalinizm. Na to, że wszyscy mają związane ręce, na wszechobecną ludzką nędzę. Był to jego osobisty manifest przeciw temu, co się działo. Podobnie, w napisanych w pierwszej połowie lat 60. opowiadaniach, wielokrotnie kpił sobie z systemem. Był jednocześnie realistą. System był ohydny, nie chciał mieć nic wspólnego z komuną. Zdołał sobie jednak załatwić meldunek w Warszawie za obraz. Jednak nie wyobrażam sobie, że to on osobiście chodził do jakiegoś decydenta z obrazem pod pachą. Miał mnóstwo ludzi, którzy mogli mu pomóc, ale przecież to zameldowanie w Warszawie, możliwość kupienia mieszkania, ktoś musiał mu załatwić. Sam nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Kiedyś wrobili go w jakieś odznaczenie, które miał odebrać w Warszawie, natychmiast odpowiedział, że go nie przyjmie. Potem zresztą było tak samo. Kiedyś doszło do niego, że chcą mu nadać tytuł honorowego obywatela Sanoka. Było to akurat lato, byłem gdzieś na urlopie daleko poza miastem, kiedy zadzwonił zdenerwowany Zdzisław i prosił żebym go ratował, żebym coś z tym zrobił. Przecież nie będzie przyjeżdżał do Sanoka i publicznie występował. Uspokoilem go, że zała-

twię tę sprawę. Zaraz po powrocie zadzwoniłem do kogoś z władz miejskich i poprosiłem, żeby dali sobie z tym spokój, bo zrobią mu przykrość, wtedy się wycofali.

Bardzo się cieszył, kiedy pojawiła się Solidarność. Bardzo to z żoną przeżywali w nadziei, że wreszcie coś się w tym kraju zmieni. Solidarność, Okrągły Stół, pierwsze wolne wybory. Szybko jednak zaczyna komentować słabości tego, co się w kraju dzieje. Nie szedł w ciemno za nikim. Pozbyliśmy się komunizmu, ale to, co chłopcy robili w różnych urządach, też mu się nie podobało. Bierze udział w pierwszych wyborach prezydenckich. Ma z tym pewne problemy, przewrotnie o tym mówi, że został zmuszony z powodu *idioty Tymińskiego* na głosowanie na *jakiegoś durnia Wałęsę*, ale głosuje. Potem ma dylemat, na kogo głosować. Patrząc, co się dzieje, absolutnie nie był w stanie opowiedzieć się po żadnej ze stron. Z natury rzeczy miał poglądy liberalne. Chciał być po stronie zdroworozsądkowej, tylko gdzie nie popatrzył, tam widział przekraczanie granic zdrowego rozsądku. Co najwyżej w sposób żartobliwy wypowiadał się na tematy polityczne, potrafił wszystko ironicznie skomentować. W czasie wyborów prezydenckich, kiedy było siedemnastu kandydatów, komentuje Hannę Gronkiewicz-Waltz, jako jutrzemkę wolnej Polski, *wschodząca gwiazda, czyli towarzysz Stalin schodzący pod olchą*. Jego komentarze były precudowne. Śledził to wszystko, ale jakby z biegiem czasu coraz mniej go to interesowało i w rezultacie chyba w ogóle przestał uczestniczyć w wyborach. Uważał, że jak chcą, to niech się wybierają sami.

Nienawidził imprez oficjalnych?

Po pierwsze nie chciał być od nikogo zależny, nie chciał żadnych nagród, stypendiów, branie udziału w konkursach byłoby dla niego horrorem. Nie jest przecież koniem wyścigowym i nie ma zamiaru z nikim wygrywać. Nagród czy odznaczeń za dorobek artystyczny też nie przyjmował. Jak to? Wreszcie robi to, co chce robić, a ktoś jeszcze chce mu dawać nagrody? Niby dlaczego i po co? Miał zdrowe kapitalistyczne podejście, jak klepał biedę, to on klepał biedę i nikogo nie będzie prosił o pieniądze. Jak zarabia, to on chce zarabiać i sam sobie poradzić, a nie być na garnuszku władzy, jakiegokolwiek. Było to dla niego niewyobrażalne, nie do przyjęcia. Odwiedzali go w Sanoku panowie z tajnych służb. On skrupulatnie

wszystko nagrywał, ponieważ sam się obawiał, czy czegoś nie chlapnie, chciał to potem spokojnie przesłuchać. Niestety, nie zachował tych taśm, dzisiaj byłyby to bezcenne materiały. Dla ówczesnej władzy był to jakiś dziwoląg, który nie chodzi ani na pochody, ani do kościoła, nie wiadomo, co w tej pracowni robi. Musiał budzić zainteresowanie SB. Jego poglądy bywały czasami zastanawiające. Były to koncepcje czysto teoretycznego typu, co by było, gdyby Hitler wygrał wojnę. W Niemczech w końcu zwyciężyłaby demokracja, odsunęliby Hitlera od władzy i może byłyby normalnym krajem, tylu ludzi by nie zginęło i dzisiaj funkcjonowałibyśmy jak wtedy RFN (to były czasy komuny) – miał skłonności do wyobrażania sobie alternatywnej historii – nie byłoby zniechęconego komunizmu. Chciał żyć w normalnym kraju.

Bywał gdzieś czasami, na spotkaniach z widzami?

Beksiński, już po śmierci Zosi, dwa razy się przełamał. Po wydaniu pierwszego albumu nie umiał się wykręcić z udziału w promocji. Wtedy przyjechał po raz pierwszy do Sanoka, żeby spotkać się z publicznością. Było to bardzo wzruszające spotkanie. Kosztowało go to bardzo dużo, przede wszystkim przez poważne problemy gastryczne, którymi był cholernie zdenerwowany. Niemniej jednak był niesłychanie uroczym rozmówcą. Ludzie zadawali mu pytania z sali. Znakomicie się potrafił w tych pytaniach odnaleźć, odpowiadać z dowcipem, z całym swoim osobistym urokiem. Promocja drugiego albumu znowu wymusiła jego kontakt z widzami. Przyszły takie tłumy ludzi, że nie mogli zmieścić się w sali zamku i połowa z nich stała w sali obok. Był tym przerażony, a zarazem ujęty. Wiedział, że było znakomicie, ale zarazem wyszła z niego skromność. Kiedy odwoziłem go do hotelu, pytał się w taki sposób zupełnie dziecięco szczerzy i nieśmiały: *Panie Wiesławie i jak było?* Człowiek z takim dorobkiem, z takim miejscem w sztuce był onieśmielony swoimi dawnymi znajomymi z Sanoka. To nie było spotkanie z profesorami na ASP lub krytykami sztuki, tylko spotkanie ze zwykłymi ludźmi, a on nieśmiało pyta, jak to wszystko wyszło. To też pokazuje jego normalność, skromność, a w jakimś sensie również niewiarę w to, że jest kimś ważnym. Zachowała się jakaś moja notatka na ten temat z dnia 12 czerwca 2002 r.



Z Wiesławem Banachem na promocji albumu „Beksiński 2”, Sanok 2002 r.

Wczorajszy dzień był dniem z Beksińskim. Promocja albumu „Beksiński 2” na zamku stanowiła niewątpliwie ważne wydarzenie w dziejach miasta. Beksiński przyjechał samochodem razem z Wiesławem Ochmanem. Wyjechali z Warszawy dość późno, bo o 10-tej i przyjechali tutaj na styk na 17-tą. Ja przeżywałem męki, bo do zamku przyszły nieprzeliczone tłumy, które nie mogły zmieścić się w sali parteru /dawnej sieni zamkowej/. Zrobiliśmy nagłośnienie następnej sali i jakoś to zdało egzamin. Otwierałem sam, potem mówił o albumie Bogdan Szymanik, wreszcie Wiesław Ochman i potem były pytania do Beksińskiego. Rozmowa była żywa, dowcipna, znakomicie się w to wszystko włączał Ochman. Trwało to godzinę, a potem następną godzinę podpisywanie albumów. Jeszcze telewizja, dziennikarze. Potem pojechaliśmy do Czarnej, do ośrodka Nafty, gdzie zaprosił nas dyrektor Waldemar Wójcik. Zabraliśmy ze sobą Janusza Szubera. Dobre jedzenie i miła atmosfera, której głównym sprawcą był Ochman, trwała prawie do północy. Dałem sygnał do powrotu mając w wyobraźni, że obaj bohaterowie muszą być bardzo zmęczeni. Dziś rano Beksiński był znów w muzeum, podpisywał albumy i udzielał wywiadów. W południe z Czarnej przyjechał

Wiesław Ochman. Chodziliśmy po muzeum oglądając wystawy. Zdumienie moje było spowodowane reakcją Beksińskiego. Zachwalał Turkowskiego Ochmanowi, niezwykle podobał mu się „Akt” Axera. Podziwiał obraz Gijbarta Sybilli. Ochman obiecał przekazać do zbiorów obraz Krystyny Łada Studnickiej. Rozstaliśmy się w miłej atmosferze. Spotkanie było niezwykle mile.

Na koniec naszej rozmowy chciałbym poruszyć temat chyba najtrudniejszy, mianowicie relacje Beksińskiego z synem.

Szczerze mówiąc, nie chciałbym w ogóle mówić na temat Tomka. W końcu znałem go tylko z nielicznych spotkań. Chyba bardziej nawet przez opinie państwa Beksińskich.

Ale może chociaż krótka refleksja?

Po śmierci Tomka Beksiński poprosił, żebym przyjechał do Warszawy zastanowić się, co z tego, co pozostało po Tomku, zachować, co komu rozdać itd. Wtedy, w mieszkaniu Tomka, Beksiński opowiadał mi rzeczy, których nigdy wcześniej od niego nie słyszałem. To był taki wieczór zwierzeń, rodzaj spowiedzi. Opowiadał mi, że jego ojciec, Stanisław Beksiński, wychowywał go na wyważonego Anglika. Nie można było głośno się śmiać, nie wolno było pokazywać emocji, trzeba było mieć dystans do wszystkiego. Był wychowywany przez swojego ojca w sposób autorytarny, na twardego faceta. Młody Zdzisław, który próbował się usamodzielnąć, robił wszystko, co kazał mu ojciec. Kąpiel w zimnej wodzie, sport, ćwiczenia fizyczne, tenis. Musiał robić wszystko, czego tak naprawdę nienawidził. Było mu to narzucane od dzieciństwa, a on się z tym źle czuł. Miał jednocześnie poczucie, że jego ojciec ma bardzo silną osobowość. To była jakaś dramatyczna różnica osobowości. Nadwrażliwe dziecko z jednej strony i niezwykle silny ojciec z drugiej. Silny charakter ojca go przytłaczał, powodował jakieś stłamszenie w Zdzisławie. Matka, wierzyła w niezwykle talent Zdzisława, była przekonana, że zostanie wielkim artystą. Talent prawdopodobnie odziedziczył w męskiej linii. Jego ojciec, a także dziadek, mieli zdolności plastyczne. Po dziadku zostało kilka zaprojektowanych budynków w Sanoku, po ojcu trzy rysunki, trzy portrety, które pokazują świetny warsztat. Jak wiele lat później powie Zdzisław:

ojciec rysował dużo lepiej niż ja sam. Wydawało mu się, że jest gorszy. Nosił w sobie jakiś kompleks niższości. Starał się jednak udowodnić, że jest sprawny. Nie było to proste, inni grali lepiej w piłkę czy w tenisa, szybciej biegali itd. Wielokrotnie później powtarzał, że sztuka była dla niego rekompensatą za to swoje „nieudacznictwo”.

W momencie, kiedy ma zostać ojcem, nie chce powtórzyć błędów swego ojca. Podchodzi do wychowania własnego syna dokładnie odwrotnie. Od dzieciństwa traktuje go jak partnera. Tomkowi wolno wszystko, jedynie nie wolno mu przeszkadzać ojcu w pracy. Tomka można wziąć na niedozwolone filmy do kina, bo traktuje się go jak dorosłego. Z Tomkiem rozmawia o wszystkich sprawach, które wcale nie są potrzebne dla dziecięcego ucha. Gdzieś w materiałach dźwiękowych zapisanych na taśmach, pojawia się taka rozmowa ojca z synem: syn jest już po trzydzieste i zarzuca ojcu, że gdyby dostał od niego w dupę, to wiedziałby, co mu wolno, a czego nie wolno. *Tak mnie chowałeś, że ja do dzisiaj nie wiem, gdzie biegnie granica, której nie powinienem przekraczać.* Oczywiście później, w dorosłym życiu Tomka, rodzice widzieli już jego niedostosowanie społeczne, jego wściekłość na różne bzdurne trudności, na które napotyka każdy człowiek, a które Tomka doprowadzają do załamania lub szału. Próbują mu tłumaczyć, że takie jest życie i trzeba się do pewnych rzeczy dostosować. Tomek, który już wtedy prawie z niczym sobie nie radził, dla którego prawie każda osoba wydawała się być wrogiem, ograniczającym mu to, co sobie wymyślił, uświadomił sobie, że jest to wina takiego sposobu wychowania przez rodziców w tym wczesnym okresie życia, że to właśnie dało takie rezultaty.

Beksiński niepokazujący uczuć. W tej rozmowie ze mną po śmierci Tomka tłumaczył się, że taki pewnie był wobec syna. Był ojcem zaangażowanym w życie swego syna, ale niepotrafiącym przekroczyć pewnej naturalnej bariery, która jest potrzebna w rodzinie. Kontakt fizyczny – wtedy kiedy Tomek był małym dzieckiem – był dla niego czymś niesłychanie trudnym. Brakowało spontanicznych reakcji. Naprawdę go bardzo kochał, ale nieraz robił krok do tyłu, wycofywał się, żeby za bardzo nie odsonić uczuć, nawet wobec własnego dziecka. Ojciec podobnie wychowywał Zdzisława i on nie uważał się przez to pokrzywdzony. Ten wzorzec, który otrzymał od ojca, takiego dystansu do syna, w jakimś stopniu po-

wtarzał wobec własnego dziecka. Na pewno było mnóstwo reakcji podświadomych, które przecież wszyscy, w większym czy mniejszym stopniu, powtarzamy po swoich rodzicach wobec własnych dzieci i jednocześnie to, co nas najbardziej dotykało w dzieciństwie pragniemy wyeliminować w stosunku do własnych dzieci. Zdzisław był wychowywany w rygorze, miał wyraźnie wyznaczoną granicę, co chłopcu w danym wieku wolno, a czego nie wolno. Nawet dorosłemu człowiekowi, ojciec siłą autorytetu kazał iść na takie a nie inne studia. Mimo że syn miał inne pragnienia, najczęściej słuchał ojca. Nie ucieka od tego. Wyraźna granica wyznaczona w procesie wychowania była dla Zdzisława czymś oczywistym. Z drugiej strony, kiedy się już uniezależnił od ojca, pragnął – przynajmniej w teorii (widzimy to w licznych wypowiedziach) – złamać wiele z tych ojcowskich zasad. W stosunku do Tomka wybrał więc całkowicie odwrotną metodę wychowania. Nie zdawał sobie zupełnie sprawy, że Tomek ma inną wrażliwość niż on sam i jego metody mogą nie być trafione.



Zdzisław z Tomkiem, Sanok sierpień 1973 r.

Czy to nie jest tak, że traktowanie go od początku po partnersku, miało na celu to, żeby chłopak szybko wydoroślał i żeby sobie radził w życiu, a przyniosło skutek odwrotny?

Na pewno o to chodziło. Beksiński uważał, że rygor, w którym był wychowywany to jest coś najgorszego, że człowiek musi mieć poczucie wolności. Myślał, że dając synowi pełną swobodę wyborów, doprowadzi do sytuacji, z której wyrośnie drugi Zdzisław Beksiński, umiejący znakomicie funkcjonować w społeczeństwie, ale nie będzie musiał przechodzić przez wszystkie stresy, przez które on przechodził. Nie będzie musiał kąpać się w Sanie, jak tego nie chce, nie będzie musiał uprawiać sportu, jak mu to nie sprawia przyjemności, nie będzie musiał robić codziennych rzeczy, które on musiał robić, a których kiedyś i tak życie by go nauczyło. Ta spowiedź w mieszkaniu Tomka, to właściwie była jakaś próba zrozumienia i jakby wytłumaczenia się. W jakimś sensie Zdzisław czuł się winny, że Tomek przez całe życie parł do samobójstwa. Miał poczucie, że gdzieś popełnili jakieś błędy wychowawcze i ta rozmowa była taką próbą wytłumaczenia się przed kimś, do kogo ma zaufanie, kto na dodatek również jest ojcem. Myślę, że poniekąd chciał też usprawiedliwić się przed samym sobą. Może ważne było dla niego głośne wypowiedzenie tego, że kochał syna, chciał żeby inaczej się ułożyło, ale nie potrafił go wziąć i tak naprawdę serdecznie przytulić. Ale ojciec Zdzisława zapewne również miał z tym trudności, więc powielając te same błędy, nie spodziewał się, że mogą przynieść fatalne skutki. To był jego monolog, który w tym pustym, koszmarnym mieszkaniu Tomka, wtedy wieczorem płynął z jego wnętrza. Czyli na pewno miał świadomość, że chciał jak najlepiej, ale nie udało mu się, w czymś zawinił, ale inaczej nie potrafił. Może też chciał usłyszeć, jak to widzi ktoś z zewnątrz? Staralem się mu wytłumaczyć, że samo obwinianie się nie ma zupełnie sensu. To nie jest tylko kwestia większych czy mniejszych błędów wychowawczych. Wszyscy rodzice popełniają jakieś błędy, a przecież każdy człowiek, niezależnie od tego jak został wychowany, odpowiada za swoje życie i je kształtuje. Nie zostaje pozbawiony prawa wyboru.

Każdy z nas ma chyba problemy z obiektywną oceną własnych działań i każdy z nas ma jakąś sferę, w której nie rozpoznaje swoich błędów i to chyba jest niezależne od poziomu inteligencji. Hodujemy w sobie

przekonanie, że coś, co myślimy lub robimy, jest słuszne. Inni widzą, że tak nie jest, ale to do nas nie dociera. Zastanawiam się, czy nie zawążyła na tym całym wychowawczym procesie filozofia Beksińskiego. Myśl o tym, często powracającym w jego wypowiedziach bezsensie wszystkiego, w końcu bezsensie samego życia zmierzającego do nicości, w tym dziwnym solipsyzmie – ciągłych wątpliwościach czy w ogóle istniejemy, czy nie jesteśmy tylko wytworem myśli naszych lub nawet czyichś. Sam o tym mówił, że jest ulepiony wyłącznie z wątpliwości. Czy może kształtować się chęć życia, wola życia, bez rozwijania w sobie i innych nadziei? Ta jego łódka, która płynie do wodospadu... Obawiam się, że Zdzisław mógł nie rozumieć, że dzielenie się z dzieckiem, a potem młodym chłopakiem, poczuciem bezsensu życia, może przynieść takie owoce. Chyba starał się jakoś przekonywać Tomka, że życie mimo wszystko jest piękne, ale zarówno w sztuce jak i niezliczonych wypowiedziach snuł swój pesymizm, a może nawet tragizm. Zdzisław ciągle powtarzał opowieść o wodospadzie, którą usiłował Tomka przekonać do normalnego życia: *Ty i ja, wszyscy płyniemy do wodospadu. Ty chcesz płynąć na kaktusie a ja chcę siedzieć w wygodnym fotelu. I tak czeka nas ten sam wodospad, więc po co jeszcze siedzieć na kaktusie?* Nawet już sama taka refleksja jest w gruncie rzeczy przepelniona jakimś katastrofizmem, wobec którego jesteśmy bezradni. Jedyna rada, jaką słyszał Tomek od ojca: *Lepiej jednak przeżyć życie pływając w kremie truskawkowym niż w gównie lub w worku z pająkami* (to druga wersja łódki i wodospadu) – czy mogła zbudować nadzieję? Zdzisławowi to wystarczało i jakoś dawał sobie radę, ale Tomek niewiele mógł z tego skorzystać.

Myśli pan, że zrozumiał to dopiero po śmierci Tomka?

On się z tym borykał na innej płaszczyźnie nawet w dziennikach, opisując, co takiego Tomek uczynił dzisiaj itd. na zasadzie takiej, że trudno to zrozumieć, że przecież dorosły człowiek powinien mieć jakiś osąd tego, co robi. Beksiński generalnie miał olbrzymie poczucie winy w rozmaitych sprawach, więc tym bardziej w tym wypadku musiał się wewnętrznie bardzo męczyć, ale nigdy nie słyszałem żeby to werbalizował. Taka autorefleksja pojawia się jeden jedyny raz, w tym pustym mieszkaniu, po śmierci Tomka. Potem widzimy się bardzo często i nigdy do tej rozmowy

nie wracamy. To, co chciał powiedzieć, zostało powiedziane.

Zajmował się małym Tomkiem?

Miał swoje fobie, ciekawe czy one były tak do końca prawdziwe, czy przez niego wykreowane, kreowane lub przynajmniej wypielęgowane. Każdy z nas czegoś nie lubi, wszyscy się przed czymś bronimy. Czasami jednak życie wymaga od nas niesamowitego samozaparcia, przełamania do czegoś, do czego czujemy fizyczne obrzydzenie lub strach. W muzeum są zachowane nagrania, na których Zdzisław mówi, że on tego dziecka – noworodka – w życiu nie przewinie, kupy do ręki nie weźmie. Na pewno nie przełamał się do fizycznej pomocy, to spadło na kobiety. Z tym jednak każda matka sobie poradzi, nawet jeżeli ojciec nie będzie się angażował. Do pomocy chętna była też pani Stanisława, matka Zdzisława. Wydaje mi się, że on nie tknął się zmiany pieluszek, nigdzie to nie jest potwierdzone, ale pod tym względem myślę, że był konsekwentny. Jednak to w żaden sposób nie wpływało na kształtowanie charakteru Tomka. Natomiast wydaje mi się, że w tej rodzinie absolutnym priorytetem była sztuka i to na pewno miało swój wpływ zarówno pozytywny, jak i negatywny. I jeszcze to, co powiedziałem wcześniej, do czego przyznał się w tej wieczornej rozmowie w mieszkaniu Tomka, że on tak naprawdę nie potrafił dać mu ciepła, przytulić tak jak to robi każdy rodzic. Ale to nieprawda, że tego zupełnie nie robił. Nawet stare fotografie pokazują, jak opiekuje się małym Tomkiem, bawi się z nim, rozmawia. Zapewne także go przytulał, choć sam tego nie pamiętał. Miał jednak odczucie, że robił to w sposób niedostateczny bądź niedostatecznie ciepły. Natomiast traktowanie go od dziecka jak partnera, któremu nie stawia się prawie żadnych granic, było fatalne. Dziecko musi wiedzieć, co mu wolno, musi znać granicę, której nie może przekroczyć, a jeżeli ją przekracza, to ponosi konsekwencje. Natomiast Zdzisław, bojąc się powtórki tego, co sam przeżywał jako dziecko, otwierał zbyt szeroki margines tolerancji. To narastało wraz z wiekiem i stawało się coraz bardziej niebezpieczne. Na pewno jednak Tomek miał poczucie, że jest kochany i to nie tylko przez matkę, ale także przez ojca. To była normalna, kochająca się rodzina i dziecko wychowywało się w poczuciu, że rodzice je kochają. Tego typu błędów nie popełnili. Natomiast zarzut dorosłego już Tomka, że nie stawiano mu

żadnych barier, że nie wiedział, co mu wolno, a czego nie, był słuszny. Tomek w tym buncie dorosłego człowieka wobec metod wychowania mówił szczerze, mówił prawdę. Co wcale nie zwalniało go z odpowiedzialności, bo skoro widział, jakie błędy zostały popełnione, to powinien spróbować wyciągnąć wnioski i jakoś to w sobie zweryfikować. Mnie osobiście bardzo bołą te uproszczenia, które pojawiają się od dawna w ustach różnych komentatorów sugerujących, że winę za tragedie Tomka ponosi Zdzisław – swoją obojętnością i brakiem uczucia. Nawet pani Grzebałkowska w swojej książce użyła takiego sformułowania: „Zdzisław Beksiński nigdy nie uderzył swojego syna. Zdzisław Beksiński nigdy nie przytulił swojego syna”. Nawet jeśli od strony marketingowej wydaje się to być zgrabnym zabiegiem, rzeczywistość jest czymś niesprawiedliwym i krzywdzącym. Niby prawda, a jednak fałsz. To poczucie miłości między synem i ojcem było. Zdzisław mógł w rozpaczy po śmierci syna sam się oskarżać, ale to ferowanie wyroków przez innych, jest po prostu nieprzyzwoite.



Zdzisław z małym Tomkiem, Sanok 1959 r.

Myśli pan, że Tomasz żył w cieniu sztuki ojca?

Wszyscy żyli w cieniu sztuki Zdzisława. Niezależnie od tego, czy ona przynosiła sukcesy i konkretne korzyści materialne, czy nie. Sam Beksiniński niejako żył w cieniu swojej twórczości, powiedzmy – swojej misji. Na pewno stworzyło się coś takiego, co było obciążeniem dla wszystkich, że sztuka jest najważniejsza. Pani Zosia oddała się całkowicie do dyspozycji sztuki. Poświęciła się całkowicie, żeby Zdzisiu mógł spokojnie tworzyć, żeby mógł skupić się tylko na malowaniu. Wierzyła, że jest wielki i genialny, choć nigdy tak tego nie definiowała wobec innych, bo wyglądałoby to przecież żałośnie. Miała jednak głębokie, wewnętrzne poczucie jego wielkości. W związku z tym wszystko, co Zdzisiu mówił również miało wielką wagę. Jeżeli zatem uważał, że tak powinna wyglądać koncepcja wychowania dziecka, to należało to jakoś zaakceptować. Wydaje mi się, że pani Zosia podporządkowywała się nieustająco.

Tomek niewątpliwie był z ojca dumny. A jednak oddalali się od siebie. Beksiniński opisał swój sen, w którym mały Tomeczek zjeżdża sankami do potoku pod lód i oddala się od ojca coraz bardziej. Ojciec próbuje go ratować, biegnie za nim, ale nic już nie można zrobić. Beksiniński mówi, że to właściwie jest symbol ich stosunków. *Tak naprawdę było, z roku na rok coraz bardziej się od siebie oddalaliśmy i w żaden sposób nie mogłem mu pomóc.*

Jest jeszcze inny aspekt wpływu sztuki Zdzisława na małego Tomka, najtrudniejszy do uchwycenia. Wyobraźmy sobie pracownię Beksinińskiego w Sanoku, powstające tysiące szkiców, mroczne rysunki z lat 60. rysowane czarną kredką, węglem, czarno-białe z dominacją ciemnego tonu, z oblażącymi skórą, zdeformowanymi twarzami, postacie w gestach, skurczach agonii, o chorobliwej erotyce, świat niesamowicie przytłaczający, i dziecko, które bez przerwy biega i ma te rysunki dookoła. Na pewno w jakimś sensie dotykał go ten pesymizm, skrajna depresja bijąca z tych prac. Były one właściwie wszędzie – leżały na podłodze, wisiały na ścianach, stały na sztaludze jako kolejne prace. Zachowały się taśmy, na których nagrane zostały rozmowy, próby podpytywania Tomka, co on widzi na tych rysunkach czy obrazach. Tu jest jakaś pani, ale czemu ta pani wyskakuje z okna? Opowiadają sobie o tych pracach i samo w sobie jest to niegroźne, może nawet oswajające to, co się na tych rysunkach dzieje, ale

ja mam takie wrażenie, że w jakiś sposób mogło się to odbić na psychice dziecka. Pamiętam, kiedy w 2006 r. zrobiłem w Muzeum Narodowym w Gdańsku wystawę Beksińskiego i w jednej z sal były wyłącznie rysunki z połowy lat 60. Sam czułem się w tej sali mało komfortowo i obserwując zwiedzających, zauważyłem, że oni bardzo szybko z niej wychodzili. Dawka tej ponurości płynąca zewsząd była tak duża, że nie do udźwignięcia. Zadaję sobie zupełnie niefachowe pytanie, jak odbierało to dziecko, które przez całe lata dorastało w takim otoczeniu. Czy jego psychika mogła ulec zmianom pod wpływem tego, co widziało? Tego nie wiem i chyba to jest nie do zbadania w chwili obecnej. Psycholog dziecięcy może by na to pytanie sensownie odpowiedział. Czy sztuka może być aż tak potężna, aby zmieniać psychikę człowieka? Nie wiem, niech to pozostanie opatrzone znakiem zapytania. Na pewno wiele z tych „trudności” znakomicie rekompensowała reszta rodziny – mama, babcia. Pani Zosia była bardzo ciepłą osobą, a więc i ciepłą matką. Może przestańmy się wymądrzać i przejdźmy na chwilę do pracowni mistrza Beksińskiego w Sanoku. Jest lipiec 1966 r., Tomek ma 8 lat (spisane z taśmy magneto-fonowej):

Tomek – Ten pan bardzo wesoly, z dziobem.

Zofia – Wesoly ten pan jest???

Zdzisław – Wesoly pan z dziobem.

Zofia – Może... jakiś taki pogodny sadysta, tak?

Zdzisław – Musiałabyś mu wyjaśnić, co to jest sadysta.

Tomek – Tu jakiś pan, co mu gęby nie widać, tylko sam biust.

Zofia – Ni to pan, ni to pani...

Zdzisław – Tutaj też pani jakaś dziwna...

Tomek – Tutaj taki duszek jakiś. Jakaś pani z grzybem na głowie. Tu zwierz się do pana dobiera. Tu też pani jakaś na krzyżu wisi.

Zofia – To jest straszne, po tym też wyskoczyłabym przez okno.

Zdzisław – Jeszcze „Wniebowzięcie”.

Tomek – I tu pani, co z trumny do nieba wyjeżdża.

Zofia – To też – wyskoczyć przez okno.

Zdzisław – No dalej to już też są takie do wyskoczenia przez okno (śmiech). Lepiej zawsze selekcję pokazywać.

Zofia – A taka pani, która była a już jej nie ma, tylko zostały sutki...

Co to jest?

Zdzisław – A więc to się nazywało „Lady Makbet”, ale...

Zofia – Ale tutaj nie ma makabryczności, nie ma tej jakiejś krwawości.

Zdzisław – Widzę u ciebie wyraźną niechęć do cielesności, która się chyba objawia właśnie tym, że zostały szaty a cielesność znikła.

Zofia – Jej już nie ma, tylko właśnie zostały sutki.

Tomek – A to, co to jest?

Zdzisław – To też jest właśnie z takich jakichś straszności. Wiara, nadzieja i miłość. Czyli tu są połączone symbole: kotwicy, krzyża i serca, więc...

Zofia – Gdzie serce? Ja nie widzę...

Zdzisław – Jest klatka piersiowa otwarta i tam jest troszeczkę to zdeformowane, no, ale...

Zofia – Tak, ale jakoś mi to serce zupełnie nie ten...

Tomek – Biust... tylko widać miejsce gdzie był... takie kropki.

Pan X – A tam u góry z tym psem czy wilkiem?

Zofia – Zadumana...

Zdzisław – To jakaś taka dziewczynka z pieskiem...

Zofia – Dziewczynka?

Zdzisław – ... czeka, co jej św. Mikołaj przyniesie. Ona jest bosa...

Pan X – Piesek taki chudy.

Zdzisław – A tu jest taki pan z takim chłopczykiem. Chłopczyk chce zjeść pomarańczę, zębami złapał za stół i czeka aż pan mu zaraz pstryknie palcem i pomarańcza polecą.

Zofia – Widzisz ten palec? I wpada w paszczę chłopczykowi.

Tomek – A to, co to?

Zofia – Zawieszony mężczyzna.

Zdzisław – Właśnie, który sobie jakoś tak siedzi.

Tomek – A to na górze?

Zdzisław – To na górze to jest taka pani powiązana sznurkami.

Pan X – A to jest fotografia, tak? To rzeczywiście powiązane sznurkami...

Zofia – Czy po to, aby ją sfotografować tak się ją powiązało sznurkami?

Zdzisław – Ona tak stale chodziła.

Zofia – Skąd znalazłeś taką panią? (śmiech).

Pan X – Tamten też mi się podoba.

Zofia – Ten na lewo, relief?

Pan X – Tak. To też jest relief?

Zofia – W którym momencie relief przestaje być reliefem?



fol. Zdzisław Beksiński, Gorset sadysty, ok. 1957 r. (modelką jest Zofia Beksińska)

Myśli pan, że Tomek miał takie poczucie, że ojciec zawsze mu pomoże, że może na niego liczyć?

Oczywiście i liczył na ojca, a ojciec zawsze był gotowy do pomocy. Tomek nieustannie zasypywał go różnymi swoimi problemami, a Zdzisław jak tylko mógł, to je rozwiązywał. Po śmierci żony zapytał mnie, czy byłaby możliwość zdeponowania w muzeum pewnej ilości prac, bo... *jakbym nagle umarł, a Tomek znalazł się w kłopotach, to mógłby obraz wycofać z depozytu i sprzedać*. Zdzisław ze swoją troską o syna wybiegał nawet daleko do przodu.

Czy wie pan, co było w ostatnim liście Tomka do ojca?

Trochę, dzięki temu, co zrelacjonował mi Beksiński. Brzmiało to mniej więcej tak: musisz mi na to pozwolić, proszę cię nie ratuj mnie, podjąłem taką decyzję, nie chcę dłużej żyć. Ostatecznie Tomek zrobił to, o co go Zdzisław prosił wcześniej, kiedy pani Zosia była chora. Błagał go, by póki matka żyje, nie próbował się zabić, bo to ją zabije. Po śmierci matki był list do ojca, w którym Tomek oświadczył, że skoro mama nie żyje, to już chyba nie będzie miał nic przeciwko temu, aby mógł odejść wtedy, kiedy będzie chciał. Zdzisław odpowiedział listem. Użył wszystkich argumentów, żeby go powstrzymać, przekonywał go, że jest mu bardzo potrzebny. List pożegnalny stanowi dopełnienie tej rozmowy. Tomek pisze, że ojciec musi się z tym pogodzić, to jest jego decyzja, chciałby żeby go nie ratowano. Potem są sprawy testamentowe, między innymi ta, która wydaje się być jedną z najważniejszych. Tomek życzy sobie, aby wszystkie obrazy, подарowane mu przez ojca, przekazać do Muzeum Historycznego w Sanoku. Powraca wyspa owego mitycznego Sanoka, gdzie tak naprawdę był szczęśliwy. Był to jednak zafalszowany obraz, jaki często mamy myśląc o dzieciństwie. Ale nawet w tej ostatniej woli jest to zapisane, aby te obrazy trafiły właśnie tutaj, do Sanoka, dla sanoczan, do miejsca gdzie czuł się szczęśliwy on i jego matka. Wszystko to spieprzył ojciec decyzją o przeprowadzce do Warszawy. Do tego Sanoka już nie było powrotu, tak jak nie ma powrotu do dzieciństwa. Kiedy się wraca do kolegów z dzieciństwa, jako dorośli już człowiek, to nie są to ci sami ludzie, którym on imponował, którym miał do zaoferowania nowe płyty, z którymi dzielił się tym, co było dla nich ważne w tych młodzieńczych latach. Teraz to

są ludzie, którzy mają już własne rodziny, problemy, szukają pracy. Do pewnych rzeczy po prostu nie da się wrócić. Tomkowi się tylko wydawało, że ten mityczny Sanok wciąż istnieje. Jednak wyprowadzka z Sanoka to rzecz, której ojcu nie mógł do końca wybaczyć.

Czy ten list się zachował, czy Zdzisław Beksiński go zniszczył?

Zniszczył wszystko. Tomek zostawił po sobie całą masę kaset. Beksiński zastanawiał się przy mnie, co z tym zrobić. Z jednej strony, jak mówił, był to zapis całego żalu Tomka i szkoda to niszczyć. Z drugiej strony byłoby jednak lepiej, aby nikt nigdy już do tych taśm nie dotarł i ich nie odsłuchał. Przyznaję, że radziłem mu je zniszczyć. Zawartość tych taśm była dla Zdzisława niesłychanie bolesna. Tomek odślaniał się w całej wewnętrznej, psychicznej paranoi. Dlatego Zdzisław wiedział, że jeżeli coś takiego pozostawi, to obraz Tomka będzie bardzo smutny, wręcz rozpaczliwy. Zdecydował się je zniszczyć. Na szczęście nie spadło to na mnie, ja już nie mógłbym tego zrobić, jeżeli z całą zawartością trafilyby do muzeum, jako spuścizna po Zdzisławie. Ta sprawa jest na szczęście zamknięta i już nigdy się nie dowiemy, co na tych nagraniach było.

Czy pan słuchał tych taśm, przynajmniej w jakiejś części?

Nie, nawet bym nie chciał. Wydaje mi się, że były to tak osobiste sprawy między nimi, że nie daj Boże, aby coś takiego się zachowało i wyszło na zewnątrz. Pod powiekami mam obraz Tomka, jako sympatycznego licealisty, bardzo przyjaznego, pełnego fantazji, żarliwie dyskutującego o muzyce, o swoich gustach i upodobaniach muzycznych. I niech tak zostanie. Po co miałbym dźwigać balast jego duchowych i psychicznych rozterek? Beksiński zrobił to, co powinien zrobić ojciec. Mimo bólu, że rozstaje się z tym zachowanym na taśmie głosem syna.

Wydaje się, że w jakimś sensie, był na śmierć syna przygotowany. Myśli pan, że tak było?

Beksiński samobójstwem Tomka był strasznie przygnębiony, bardzo to przeżył. Zadzwoił tutaj, do Sanoka, ale tylko do pani Lewandowskiej, prosząc ją, żeby mi przekazała tę tragiczną wiadomość. Sam już nie

miał sił dzwonić. Wtedy dopiero ja do niego zadzwoniłem i konkretnie zapytałem, czy mógłbym mu w czymś pomóc. Poprosił, żebym przyjechał i pomógł w organizacji całej ceremonii.

Tomek zażyczył sobie, żeby go spalono, a prochy rozsypano z jego balkonu. Nie było to prawnie dozwolone, a ponadto wykraczało poza możliwości psychiczne ojca. Syn chciał świeckiej ceremonii, w związku z tym trzeba było ustalić sprawy związane z pogrzebem. W tekście, który zostawił ojcu pisze, że ma nadzieję, że już się nie obudzi, czyli, że ma nadzieję, że nie ma żadnego drugiego życia, że śmierć definitywnie zamyka wszystko i człowiek przestaje istnieć. Można powiedzieć, że miał odwrotne potrzeby niż ojciec, który możliwość przetrwania, istnienia po śmierci, uważał za coś absolutnie elementarnego. Tomek chciał przestać istnieć.

Kiedy przyjechałem do Beksińskiego, nie potrafił mówić o niczym innym, jak tylko o tym, jak to wszystko wyglądało. Potem całą tę historię powtarzał w filmie. Tomek chciał uspić jego czujność, uspokoić go. Przyszedł, poprosił ojca, aby nagrał mu filmy na wideo i powiedział, że jest bardzo zmęczony i chce przespać całą wigilię. Prosił, aby go nie budzić, nie dzwonić, dać mu odpocząć. Zdzisław myślał, że wszystko jest w porządku, że święta miną spokojnie. Tomek sobie odpocznie, nic się nie będzie działo. Dopiero koleżanka Tomka, telefonami wzbudziła w nim wątpliwości. Nie bardzo wiedział, co robić. Włamywać się po raz kolejny?

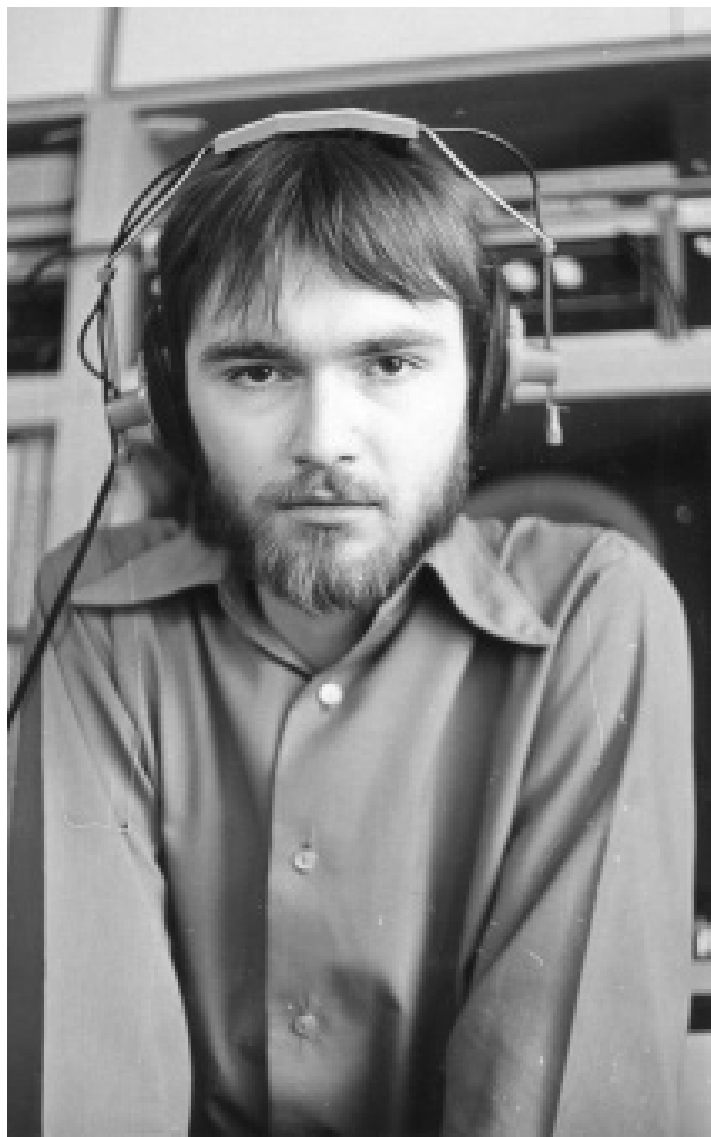
Znamy tę historię, kiedy też bodajże w Święta Bożego Narodzenia, włamywał się do mieszkania Tomka. Świadkiem zajścia byli inni mieszkańcy. Wszyscy sąsiedzi słyszeli, że coś się dzieje, wychodzili na korytarz. Biedny Zdzisław przy nich rozwaliał zamek, wchodził do środka, po czym pół klatki słyszało, jak syn go beszta, że nie daje mu spać. Miał więc opory przed tym, aby zareagować natychmiast i znowu zrobić publiczny skandal. Przecież Tomek poprosił, by dać mu odpocząć. Nie chciał wywoływać kolejnej awantury. Z drugiej strony czuł niepokój. Po poprzednim włamaniu miał zapasowe klucze i zaczął ich szukać. Nie było ich jednak tam, gdzie być powinny. Nie mógł ich znaleźć, niepokój zaczął narastać. Znalazł je dopiero rano, jednak kiedy wszedł do mieszkania syna, było już za późno. Tomek nie żył, był już zimny.

Całą historię opowiedział potem w filmie. Użył tam niesłychanie niefortunnego stwierdzenia, że poczuł ulgę. Było to często cytowane i wyko-

rzystywane przeciwko niemu. Trzeba sobie jednak wyobrazić, spróbować zrozumieć to ciągle, niesłychane napięcie, lęk, w którym przez lata żyli razem z żoną. Całe życie syn szantażował ich samobójstwem, a oni robili wszystko byle go tylko nie zdenerwować. Po awanturze Beksiński nieraz wchodził na dach swojego bloku, aby sprawdzić czy u Tomka świeci się światło, czy widać jakiś ruch. Tak wyglądało całe ich życie. Życie w ciągłym napięciu, że Tomek sobie coś zrobi. W chwili, gdy przyszedł wtedy do syna, sprawdził mu puls i stwierdził, że już nie żyje, poczuł psychiczną ulgę. Skończyła się ta wieczna szarpanina, ciągła kontrola, czy z Tomkiem wszystko w porządku. W danej chwili to przyniosło ulgę. Mówił o tym, jakby na zewnątrz całego tego wydarzenia. Jednak narastał w nim ból, poczucie totalnego osamotnienia i jakieś poczucie krzywdy, którą Tomek mu wyrządził. To wszystko w nim było. Ta rozpacz, że odszedł, to było coś, co pozostało w nim do końca życia. Ten żal, ten ból, te sprzeczne uczucia – tak to wyglądało. Jeżeli w filmie zobaczymy ten jeden aspekt – *poczułem ulgę po śmierci syna* – można pomyśleć, że go nie kochał. To nieprawda. To był tylko wyraz zmęczenia psychicznego. Często w naszych rozmowach wracało jego pragnienie, *żeby oni jeszcze żyli, albo żeby przynajmniej Tomek jeszcze żył, przychodził do niego*.

Na jego oczach zmarła żona. Kiedy dopchał się do drzwi i wszedł do kuchni, Zosia jeszcze przez chwilę żyła. Po śmierci Tomka pozostała totalna pustka. Nie wiedział jak sobie z tym wszystkim poradzić. Widzieliśmy Zdzisława, jako człowieka normalnie funkcjonującego, śpiącego dowcipami, opowiadającego zabawne dykteryjki, ale jego życie zawisło już tylko pomiędzy jedną i drugą pracownią. Wszystko to, co w sobie miał mógł wyrzucić, pokazać w obrazach. To był chyba też taki motor wewnętrzny, który pozwalał mu żyć. Gdzieś pod koniec życia, jego kolega zadał mu pytanie – *daczego ty jeszcze malujesz?* Patrząc racjonalnie, mógłby „już być na emeryturze”. Pieniądzy miał dosyć, wszystko zabezpieczone, nie musi się wysilać. I oczywiście Beksiński pisze o tym w dzienniku, przytacza to pytanie i nie potrafi na nie odpowiedzieć. Myślę, że malował, ponieważ to uzasadniało jego rację życia i pozwalało mu wyrzucić z siebie to wszystko, co gdzieś tam w nim zalegało. Także i ten nieprawdopodobny żal, ten olbrzymi ból, że nie ma Zosi, nie ma Tomka. Skończyło się coś, co było jego naturalnym otoczeniem, środowiskiem, które kochał

i które porządkowało jego życie. Póki żyli, nie był samotny. Nawet kłopoty, które miał z Tomkiem, chyba w jakimś sensie byłyby lepsze aniżeli to, że odszedł.



Tomasz Beksiński

Pogrzeb...

Tomek jasno mówił – żadnego pogrzebu kościelnego nie chce. Najlepiej, żeby go spalić i rozsypać prochy z balkonu jego mieszkania. Miał pogrzeb świecki, błazeński. To był problem dla wszystkich, bo Tomek zażyczył sobie pochowania w Sanoku. Jak tu sprawić niekościelną ceremonię pogrzebową w Sanoku? Trzeba kogoś znaleźć. Musi być jakaś ceremonia. To jest niesamowita pułapka. Pierwsza część pogrzebu była na Wólce Węglowej w Warszawie, gdzie wszystko było przygotowane do świeckiego pogrzebu. Ktoś tam coś powiedział, jakaś muzyka to wypełniała, a potem wzięliśmy urnę i co z nią zrobić, skoro w Sanoku ma być pochowana? Pojechaliśmy do mieszkania Tomka. Cały czas trzymałem tę urnę, a Zdzisław „trząśł” się, żebym jej przypadkiem nie upuścił. Następnie należało pojechać do Sanoka i odprawić jakiś pogrzeb. Nie przychodziło mu to do głowy, żeby po prostu poprosić o otwarcie grobowca i wstawić tam urnę. Ktoś z kolegów Tomka znajduje faceta od takich świeckich uroczystości. Kaplica cmentarna wypełniona po brzegi, pogrzeb ma się zacząć o 12. O 12:15 nikogo nie ma, nic się nie dzieje. Nagle wielki szum, ludzie się gwałtownie rozstępują i widzimy coś, co wywołuje u wszystkich atak śmiechu. Wchodzi facet, który wygląda jak połączenie rektora, sędziego, arcybiskupa i nie wiem jeszcze kogo. Trochę o takim demonicznym wyglądzie. Monstrum nieprawdopodobne. Zaczęła się ceremonia. Wyglądało to tak, jakby to było godzinne kazanie. Ponieważ pogrzeb był świecki, więc facet mówił tak, żeby nijak nie zahaczyć o religię. Ale jak tu mówić żeby nie przywołać pozytywnego obrazu i nadziei na życie po śmierci? Może ten Tomek gdzieś tam żyje? Więc była to cała masa cytatów od Seneki po Maryłę Rodowicz. Beksiński siedział na ławce ze spuszczoną głową, cały się trząśł ze śmiechu. To była taka błazenada. Monthly Python w najlepszym wydaniu. Ja się gryzłem po ręce, żeby nie ryknąć śmiechem na głos. Nie mogłem spojrzeć na kolegów z muzeum, bo wszyscy stali i się trzęśli. Śmiech potrafi być zaraźliwy i przy tym napięciu, które przeżywaliśmy, niewiele brakowało, by cała kaplica wypełniła się śmiechem. Proszę sobie wyobrazić taki pogrzeb. Był on zresztą bardzo kontrastowy. Bo jak celebrians przestał gadać, to zabrali głos koledzy Tomka, czytali wspomnienia o nim i sytuacja stała się dokładnie odwrotna. Wszyscy byli wzruszeni, Beksiński miał lzy w oczach. Nie mógł

powstrzymać wzruszenia, słuchając tych dobrych słów o swoim synu. Potem znowu ruszyła ta bufonada. Trzeba było przenieść urnę do grobowca. Nakazał więc wszystkim podchodzić, dotykać urny, kłaniać się i tak dalej. Zaczyna się robić cyrk, komedia, która trwała aż do grobowca, tam już na powietrzu można się było jakoś skryć, żeby nie wybuchnąć śmiechem. I tak wyglądał ten nieszczęsny pogrzeb Tomka.

Ten człowiek od ceremonii zarabiał w ten sposób pieniądze, zresztą jakąś kosmiczną sumę za to wziął. Uważał, że zrobił świetną imprezę. Co dziwniejsze potem dochodziły do mnie jakieś głosy, ludzi chyba mniej zorientowanych, którzy stali poza kaplicą – jaki był cudny pogrzeb Tomka, *to to był, arcybiskup to prowadził czy kto?*

Po pogrzebie musiałem pojechać do Rzeszowa. Gdy byłem w drodze, zadzwonił Beksiński, dzieląc się wrażeniami i tym, że nie mógł opanować śmiechu na widok tego faceta. Dziękował za wszystko. Ruszał w drogę do domu...

Czy myśli pan, że Beksiński czuł się przegrany?

Nie wydaje mi się, aby miał poczucie klęski. Tomek popełnił samobójstwo, ale jednak była to rodzina bardzo się kochająca. Kłopoty z Tomkiem im później, tym bardziej potęgowały się, ale on Tomka bardzo kochał. W jakimś sensie chyba czuł, że jest ważny także dla niego. Natomiast, jeżeli chodzi o małżeństwo, to było ono niemalże wzorcowe. Zosia stała się coraz słabsza, coraz mniej wydajna i coraz mniej mu pomocna – wcześniej to przecież ona to życie domowe organizowała. Pewnie byłoby dla niego lepiej, gdyby umarł wcześniej niż jego żona. Gdyby jednak mogła żyć, mogła być przy nim, byłoby to dla niego rzeczą zupełnie bezcenną. Zatem jeżeli chodzi o to zwykle, codzienne życie, to absolutnie czuł się zrealizowany. Odniósł sukces nadzwyczajny, miał wspaniałą żonę, przy której bez skrupowania mógł robić to, co chciał i miał kogo kochać. Mógł malować i z tego żyć. A więc miał luksus robienia tego, co lubił i jeszcze utrzymywał z tego rodzinę. Gdyby musiał, tak jak wcześniej, pracować w Autosanie i po godzinach dopiero tworzyć, odczuwałby to jako swój osobisty dramat. Więc w sensie życia codziennego nie mógł czuć się przegrany. Jeżeli zapytalibyśmy go o to, czy osiągnął sukces artystyczny, to by pewnie powiedział, że nie. Owszem, obrazy się sprzedawały,

był rozpoznawany, jego nazwisko w mediach coś znaczyło, ale tak naprawdę miał świadomość, że większość krytyków, muzeów uważa to, co on robi za kicz. Kiedyś o tym rozmawialiśmy. Kiedy powstała nowa kompozycja sztuki nowoczesnej w muzeum we Wrocławiu, muzeum w Poznaniu dobudowało skrzydło i tam pojawiła się również nowa koncepcja sztuki XX wieku. Ani we Wrocławiu, ani w Poznaniu nie było żadnej pracy Beksińskiego. On miał poczucie, że to jest sztuka, która będzie łatwiej czytelna później, kiedy nie będzie już walki o to, co w sztuce jest nowoczesne. Wycofanie się do tradycyjnej sztuki praktycznie odsunęło od niego krytyków, którzy go wcześniej uwielbiali jako fotografa, świetnego abstrakcjonistę i drastycznego ekspresjonistę. W momencie, kiedy zaczęły powstawać obrazy tzw. fantastyczne, wszyscy okrzyknęli to jako kicz. Beksiński miał tego świadomość, nosił w sobie poczucie niedoceny.

Czy samotność zaczęła mu doskwierać dopiero po śmierci najbliższych?

Mamy dwa aspekty samotności. Jeden, jako nadzwyczajne poczucie metafizycznej samotności. Świadomość, że jeżeli nie ma Boga – przyczyny sprawczej, to ta metafizyczna samotność jest nie do zniesienia. Jesteśmy całkowicie osamotnieni i wszystko, co jest przed nami to nieistnienie. Taka samotność była dogłębnie odczuwana przez niego od młodych lat. To chyba ona, przede wszystkim, była motywem sprawczym takiej właśnie sztuki i ona najbardziej mu doskwierała.

W codziennym życiu, póki miał rodzinę, absolutnie nie był samotny. Z żoną rozmawiał na każdy temat, kochał ją, była obok niego. Ustalali wspólnie różne sprawy. Kiedy jej zabrakło, został Tomek. Miał do kogo zadzwonić, Tomek go odwiedzał. Po śmierci Tomka został sam. Absolutnie sam. Odczuwał to, jako wielką pustkę, nie miał z kim porozmawiać. Niby ciągle ktoś dzwonił, różne kobiety zagadywały go przez pół dnia, wiele osób odwiedzało go. Mimo to, w głębi serca, czuł się bardzo samotny.

niedziela, 27 czerwca 2004

Rano pochmurno, ale sucho. Temperatura około 14 stopni. Krzyże tak jak wczoraj. Wygląda na to, że ustabilizują się na dłużej na poziomie pod-ostrym. Dałoby się z tym żyć. Wczoraj przez cały dzień czulem się kiepsko, byłem dziwnie osłabiony, a wieczorem zgaga, ćmienienie w brzuchu

oraz sraczką połączyły się razem. Malowałem, ale w zasadzie najwięcej się pokładałem na tapczanie i podrzemywałem. Nie wiem jak będzie dziś.

Koszmarne dni. Czasami samotność wręcz mnie dusi. Do kogo zadzwonić? Nie ma już prawie nikogo. Poza Zosią nikogo chyba nie było. A czy ona „była”? Może to tylko moje wyobrażenie? Tkwią przy sztalugach. Przysłacza mnie świadomość, że jestem tylko biedną małpą, która ryje coś tam na ścianach jaskini. Dla kogo? Po co? „Boże, gdybym z grzmiącej fali jedno ziarnko choć ocalił!”.

niedziela, 19 grudnia 2004

Rano ciemności. W nocy spadło odrobinę śniegu. Temperatura około 0.

Pojechałem około godziny 11 na giełdę komputerową i kupiłem 2 razy po 100 CDR Verbatim, po 88 zł za paczkę, czyli po 88 groszy za sztukę. Za taryfę w obu kierunkach zapłaciłem 2x20 zł, same płyty niezwykle przez te ostatnie lata potaniały. Są nieomal za darmo. Trochę zmarzłem, więc wlałem do wanny. Potem zjadłem na obiad jakiś gówniany gulasz z puszki. Połowę wyrzuciłem. Nie do zjedzenia. Czy naprawdę tak trudno w sensie technologicznym, zrobić do puszki coś smacznego? Zbliża się godzina 18 i maluję przy świetle elektrycznym. Obraz idzie w nie najgorszym kierunku i co ważniejsze szybko, ale odczuwam zadziwiająco samotność. Nie czułem się tak od dawna. Jakby nagle wszyscy ode mnie odeszli. Przecież nic się nie zmieniło i od lat jestem sam i w zasadzie wczoraj czy przed tygodniem czy przed miesiącem było tak samo jak dziś, ale dziś samotność dosłownie mnie przysłacza. Skąd się to bierze? Nawet malowanie jest takie jakby przez sen. Jakby mi już na niczym nie zależało.

DZIENNIKI

22.3.1993

Rozmawiałem wczoraj z Henrykiem na temat filmu Greenawaya „Księgi Prospera”, który on widział w Warszawie, w trakcie spotkania z reżyserem, pod koniec ubiegłego roku. Henryk zachwycał się wizualną stroną filmu, zrealizowaną podobno (w definicji HD-TV) na komputerze i potem przefilmowaną, twierdząc, że nie kontrolowana czy też rozbuchana wyobraźnia, wywołuje w nim pewne opory percepcyjne. Że wręcz „za dużo tego”. Rozmawiając dziś z Tomkiem na temat zamówienia kasety z tym filmem, zdałem sobie sprawę, że dla mnie w filmie (tzw. artystycznym) liczy się tylko to, co widzę, a nie to, co wiem. Czyli że oczekuję przekazu wizualnego. Przekaz semantyczny zawsze w moim odczuciu składa się z komunalów, w przeciwnym wypadku jest po prostu nieczytelny. Przekaz wizualny przemawia w sposób bezpośredni, bez tego idiotycznego: „co to znaczy”.

29.3.1993

Myślę, że moja pedanteria albo raczej chęć „wymęczenia” obrazu rozmaitymi, częstokroć pozornymi zmianami w trakcie malowania, wynika z jakiegoś drobnego zafascynowania w okresie dzieciństwa. Przed wojną, gdy miałem nie więcej niż 9 lat i rysowałem wiele, ale błyskawicznie, bez męczenia i poprawek, Jędrzek Kosina, z którym się bawiłem i który był ode mnie trochę starszy, narysował w zeszycie „mapę Europy” (jak dziś sobie uzmysławiam, niewiele ona przypominała Europę), pokolorował ją akwarelami i co kilka dni „udoskonalał”, pogrubiając granice państw, co powodowało, że papier się marszczył, a linie granic, nie zawsze idealnie pokrywające się z poprzednio narysowanymi i pomalowanymi, nabierały cech wypracowania i wymęczenia. Musiało mi to zaimponować w takim stopniu, że do dnia dzisiejszego, wirtuozeria niewiele dla mnie znaczy. Imponuje mi natomiast narośnięte farbą i sprawiające wrażenie nieudolności „wymęczenie”. Dotyczy to też muzyki: Grave i Largo brzmiące tak, jakby czołg pełen ołowiu i oblepiony butaprenem, wygrzebywał się z wysiłkiem z bagna, należy do ulubionych przeze mnie form ekspresji.

1.4.1993

Przeglądając terminarz z roku ubiegłego, natrafiłem, pod datą 11 czerw-

ca, na dwa zdania, nad którymi nadal chciałoby się pomyśleć:
Nazwać coś, to oddalić się od istoty rzeczy nazwanej.
Nazwać coś, to rozminąć się z tym, co się nazwać usiłowało.
Należałoby to wszystko lepiej sformułować.

5.6.1993

Miałem zamiar w interwale zawartym pomiędzy 1 i 4 czerwca, zaimpregnować 10 formatów 98x132 oraz 4 formaty 88x92, jak też pokryć od tyłu białą emalią ftalową 6 formatów 73x87, zaimpregnowanych jeszcze w Sanoku. Po zaimpregnowaniu 10 dużych i jednego quasi-kwadratu, skończył się bezbarwny lakier, który miałem w zapasie jeszcze z roku 1986 i trzeba by było rozpieczętowywać karton z nowym, kupionym w 1992 lakierem, by zaimpregnować zaledwie trzy pozostałe kwadraty, więc (mając jeszcze pewien zapas zaimpregnowanych i zagruntowanych akrylem kwadratów) zrezygnowałem. Zajęło mi to czas do obiadu, czyli do około 12:30. Do godziny ca 21 impregnowanie wyszło na tyle, że można było pokryć na białą tyły 10 dużych i jednego quasi-kwadratu, co trwało od ca 21 do ca 22:30. Na drugi dzień wysprzątałem (nie myjąc podłogi), co zajęło czas od rana do około południa przed obiadem. Byłem potwornie słaby, co trwało przez dwie doby i myślę, że wynikało to nie tyle z pogody lub zmęczenia, co zatrucia się farbą, mimo, iż drzwi na pole były nieustannie otwarte. Uwaga: Przygotowanie frontu pracy, czyli wyniesienie z pracowni wszystkiego, rozebranie zabudowy stołu, zabezpieczenie szafek, kopiarek i części stołu folią, wyniesienie i ustawienie blatu do gruntowania, jak też przygotowanie formatów, po wyjęciu ich ze schowka, wykonałem dzień wcześniej po południu i wieczorem, co zajęło czas od około 15:30 do około 19.

6.7.1993

Od kilku dni obserwuję ciekawy mechanizm, jeśli idzie o moje nadciśnienie: Owóz powstaje sytuacja, która wskazywałaby na współzależność najedzenia się i skoku ciśnienia. Miałem już uregulowane ciśnienie i przed kilku dniami zjadłem na kolację zapiekankę (ściślej mówiąc, obzarłem się) i piwo i zaraz miałem podwyższone ciśnienie, co przypisywałem alkoholowi, ale utrzymało się ono i na drugi dzień. Teraz od

dwóch dni obzerałem się wieczorem (przy telewizorze) lodami truskawkowymi i bakaliowymi z Zielonej Budki i ciśnienie zaczyna niebezpiecznie iść w górę. Dziś w nocy śmiła mnie już głowa. Około 6 nad ranem, gdy dokonałem pomiaru, miałem 164/108-70, więc wraz z proszkami od bólu głowy, wziąłem 1 adalat i około godz. 7, miałem już 116/75-82 ale czuję się osłabiony i w ogóle podle. Pogoda też okropna; nad ranem lało. Głowa nadal śmi ale teraz chyba ze zbyt niskiego ciśnienia. Basia przepisała mi nowy lek o nazwie, której nie mogę przeczytać z recepty (Isoptin 240?) i poleciła odstawić Sectral, zmniejszyć Enap do 2x2,5 i przejść na ten nowy lek ale na razie zrobię po swojemu, czyli odstawię lody i zobaczymy co będzie...

Nie jest wykluczone, że skok ciśnienia po zjedzeniu lodów czy też zapiekanki można wyjaśnić tym, że organizm zatrzymuje wtedy wodę (cukier, białko etc.) i ta zwiększona ilość wody jest przyczyną kłopotów. Waga moja wzrasta wtedy od 1 do 2 kg i spada z powrotem w ciągu dwóch dni gdy wracam do wikt uboższego.

1.8.1993

Wczoraj kupowaliśmy po południu telewizor dla Tomka. Zapisuję gwoździ pamięci, bo jak zwykle było to przejście szarpiące nerwy i powodujące stres.

3.8.1993

Jutro przyjdzie fotograf z PLAYBOY'a, by zrobić reprodukcje z czterech acryli do jakiegoś głównianego tekstu literackiego. Zawdzięczam to temu, że Andrzejowi Pągowskiemu, który jest redaktorem graficznym PLAYBOYa, podobały się przed laty moje obrazy i jeśli wierzyć jego słowom, wywarły na niego duży wpływ, a także temu, że wiedziałem o tym, iż Pągowski ma doświadczenie w pracy graficznej na komputerze, bo robi to od lat, oraz że PLAYBOY (jak mi powiedziano w Madlandzie) pracuje na Macintoshach. Spowodowało to, że on chce w PLAYBOYu umieścić reprodukcje dwóch moich acryli, oraz to, że byłem tak uległy, iż zgodziłem się na zreprodukowanie ich do równie głupiego i niekoherentnego tekstu. Nie wiem jakie były jego motywacje ale moje były jasne: wyrąbać sobie ścieżkę do pirackich kopii programów dla Macintosha, które by

mi pozwoliły na dalszą edukację bez ponoszenia horrendalnych kosztów, tak abym wreszcie doświadczalnie ustalił, co chcę, a co mogę (aktualnie dostępnym oprogramowaniem) uzyskać, gdy już wejdę i o ile wejdę w „prawdziwy” komputer.



Zdzisław Beksiński

18.10.1993

Zmatowałem dziś 10 formatów 98x132, 6 formatów 73x87 oraz jeden 88x92. Zajęło mi to czas od godz. ca 9 rano do ca 12 w południe, plus kąpiel do 12:30. Wymieniałem papier ścierny co dwa duże formaty. Równocześnie w kuchni pracował facet układający tapety, który pospieszał mnie, gdyż chciał potem na korytarzu rozwijać tapety. Jutro będziemy doprowadzali kuchnię do porządku, a wieczorem zdemontuję blaty w mojej pracowni i pojutrze do południa pogruntuję wszystkie formaty acrylem. W czwartek będzie można przystąpić do generalnych porządków...

Zbliża się już 18, a tapetowanie jeszcze w lesie. Na razie połowa kuchni, a zostały jeszcze drzwi do hollu i jedna strona drzwi do mojej pracowni... Zosia poszła do Tomka, który buduje od dwóch dni półkę na płyty kompaktowe i prosił ją by mu pomalowała fragment ściany za półką.

16.3.1994

Przed jakimś czasem udzieliłem wywiadu facetce z pisma URODA (Ewa Awdziejczyk). Wyglądała na bystrą, więc mówiłem bez specjalnych ograniczeń jeżeli idzie o poziom. Rozmowa jest zresztą nagrana na DAT. Gdy jej mąż przyszedł, by wykonać mi zdjęcie do wywiadu i przyniósł tekst do autoryzacji, to właściwie nie było czego autoryzować. Było to grzeczne wypracowanie, w którym na dodatek wsadzono co najmniej trzy zdania z jakichś moich starych wywiadów, tak jakby nie było dosyć materiału nowego. Nie poprawiłem ani jednego przecinka, bo i tak by to niczego nie dało. Miejmy nadzieję, że nikt znajomy, czy też z jakichś powodów ważny, tego nie przeczyta ani nie zacytuje...

Wczoraj po długich telefonach wstępnych i jednej wstępnej wizycie osoby prowadzącej (Marta Ostrowska), byłem od godziny 21 do ok 23 w radio ZET na rozmowie, która w zamierzeniu miała być wymianą zdań między kilkoma „twórcami” branż rozmaitych. Zostałem połączony (w propozycji) z Bardinim i Bajorem. Zażartowałem, że zestaw wzięty jest z komputera, bo nie było plastyka na „Ba”, więc został wybrany na „Be”. Chyba w związku z tym, zmieniono zestaw i miał być (wg następnego telefonu) Wajda. Już nie żartowałem, by niczego nie zmieniali,

choć dosyć łatwo narzucała się myśl, że reżyser, który chciał być malarzem, rozmawiać będzie z malarzem, który chciał być reżyserem. Niech będzie. Niestety rzeczywistość przeszła me oczekiwania. Pojawił się Zapasiewicz z żoną i Barbara Wachowicz, oraz kilku śpiewających młodzieńców, którzy wprawdzie mienili się być moimi entuzjastami, ale nie wiedziałem kto jest kto. Okazało się, że program nie ma jeszcze formuły, a miało być na luzie. Po tym, że Zapasiewicz mówił do prowadzącego „odpręż się Tadziu” (czy Władziu), a Wachowicz mówiła do prowadzącej „Martusiu”, zorientowałem się, że w istocie biorę udział w debiucie tzw. utalentowanej młodzieży i tylko ja jeden nie wiem co tu się dzieje, bo inni przyszli z grzeczności lub koleżeństwa statystować. Mikrofonów było cztery, czyli mogli ze sobą rozmawiać tylko podłączeni, inni robili tzw. szum. Nie było żadnego luzu. Przynajmniej dla mnie. Wachowicz roztkliwiała się patriotycznie, więc mimo, iż byłem podłączony, nie miałem możliwości włączenia się do „pieśni o Kościuszcze”. Gdy rozmawiano z Zapasiewiczem, mogłem się włączyć ale nie miałem mikrofonu. Tak więc gdy doszło do mnie, odpowiedziałem, udając luz, na kilka kwestii, które znam już na pamięć, bo ze sto razy na nie odpowiadałem i potem wyłączyłem się do końca. Sikać mi się ciągle chciało jak cholera, więc trzy razy wychodziłem na tyle dyskretnie, na ile się dało, do toalety po krętych schodkach przy estradzie. Wróciłem wymęczony, bo denerwowałem się cały dzień w oczekiwaniu. Nigdy więcej!!!

3.4.1994

Pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych ponury jak nigdy, siąpi non stop deszcz, niebo jak brudna ścierka, a na dodatek jesteśmy przybici, bo Zosia miała wczoraj wieczorem stłuczkę i czeka nas zapewne kłopotliwa i kosztowna reperacja wozu. Gdy odwoziła Tomka do Radia, a raczej gdy wracała, stuknęła ją od tyłu, przy skręcie z Puławskiej na Wałbrzyską, jakaś idiotka, która nie wyhamowała na czas i winę zwała na poślizg (jaki ?!). Zosia zdenerwowała się i nawrzucała babie ale nie wzięła (do polubownego załatwienia, gdyż PZU natychmiast i jej i nam obetnie zniżkę za bez wypadkową jazdę) ani jej parametrów, ani nawet numeru wozu, tak więc gdy okaże się, że naprawa prócz kłopotów, pociągnie za sobą wydatki na nowe części, to będziemy za nie musieli płacić sami.

Między innymi dlatego zawsze chcę z nią jeździć, bo Tomek oczywiście nie miał pojęcia, że i jak to się załatwia i podobno nie włączył się w ogóle, a nawet nie wyszedł z wozu. Być może nie będzie kłopotów, ale tylny zderzak jest nieco przesunięty i wygląda na to, że i niektóre blachy poszycia z tyłu, są nieco przesunięte, gdyż zderzak pociągnął je za sobą. Być może da się to naciągnąć, ale być może, że jakieś plastikowe uchwyty na wewnętrznej stronie zderzaka, zostały pourywane i w takiej sytuacji będzie trzeba kupować nowy zderzak, a to wyniesie najmniej 10 milionów, jeśli nie dwa razy tyle. Sam zderzak jest trochę porysowany (facetce, podobno, rozbiły się oba reflektory!) ale nie ma to większego znaczenia. Najgorsze jest to odkształcenie na obrzeżu tylnego kufra, które - być może - przeniosło się też na obie boczne ściany. Na postronnie oko (np. Hosera) wygląda, że nic się nie stało ale ja widzę te odkształcenia... Zostawić tego in statu quo nie można, bo przy ewentualnym, nowym uderzeniu, rozleci się już cały kufer, gdyż zderzak, być może, trzyma tylko na słowo honoru. Święta więc mamy zepsute.



Góry Słone, lata 60.

7.4.1994

Po spisaniu uszkodzeń wozu w PZU i po uzupełnieniu zeznania podatkowego na ulicy Kujawskiej, pojechaliśmy w ulewnym deszczu do Zamku Ujazdowskiego, by zobaczyć wystawę „ANTYFOTOGRAFIA”, w której też brałem udział. Przytłoczony kłopotami z wozem, załatwianiem emerytury, zbliżającym się przyjazdem Dmochowskiego, a wraz z nim nieuniknionymi sporami, zapomniałem o niej, aliści dziś jakaś facetka z „Rzeczypospolitej” ma przeprowadzić ze mną na ten temat wywiad, to wreszcie nie wypadalo bym nie wiedział co tam wisi...

Przygnębiające wrażenie oglądania własnych zwłok. Zestawy fotograficzne poprawiane w ramki! Gdyśmy je w Gliwicach wieszali, wbiło się na ukos, od tyłu w płytę pilśniową gwoździki. Potem, gdy po mym wyjeździe pokaz likwidowano, porzucano „na chama” plansze jedna na drugą, tak że gwoździki, których nikt nie wyciągał, podrapały fotografie. Byłem wtedy wściekły zaś Jurek radośnie gdał, jak podniecona kura, że „tak musi być”, teraz pewnie zajmuje się tym konserwator...

Co do rzeźb to Lady Mackbet ucierpiała najbardziej. Powykrzywiane nogi, przegięta w bok głowa. Pies ma tylko jakieś odpryski w pysku i lekko zgięty koniec ogona. Najlepiej zniosły składowanie (zapewne w budynkach Klasztoru w Lubiążu) rzeczy mniejsze. Z napisem „Heliografie” i „własność Lewczyńskiego”, wisi kilka reprodukcji moich monotypii, które w oryginale miały format A3 i znajdują się zapewne w czyimś posiadaniu, być może Dmochowskiego.

Dobrze że już to mam za sobą...

8.4.1994

Wczoraj udzielałem wywiadu dla „Rzeczypospolitej” i jak zwykle, w momencie przyjscia dziennikarki, która ten wywiad przeprowadzała, włączyłem ukryty magnetofon. Jej magnetofon okazał się zepsuty, a kasetę którą dysponowała, na tyle (na oko) kiepska, że obawiałem się ją włożyć do magnetofonu Technics (który połączony jest w szereg z magnetofonem ukrytym i po włączeniu nagrywa to samo), by nie uszkodzić „Microprocessor Logic Control”. Tak więc skorzystaliśmy z mojego dyktafonu przy biurku ale w nim (jak się potem okazało) były wyladowane baterie i nic się nie nagrało (pewnie od połowy). Minęła już ponad godzina i teraz

rozpacz: co robić, czy nagrywać powtórnie, więc po chwili wahania przyznałem się, że nagrywam to co nagrywam i zrobiliśmy z tego kopię ale było mi głupio.

Zatem na przyszłość:

1. Zawsze zawiadomić na wstępie osobę przeprowadzającą wywiad, że robię u siebie kontrolne nagranie.
2. Korzystać w miarę możliwości od razu z Technicsa, aby potem nie tracić niepotrzebnie czasu na kopiowanie. Te dziennikarskie magnetofony prawie zawsze są do dupy. Jeśli czyjaś taśma okaże się całkowitym szajsem, pożyczyć do tego celu swoją (rotacyjną).

21.7.1994

Zaczynam prowadzić notatki codzienne w komputerze, bo w notatniku elektronicznym CASIO jest coraz mniej miejsca. Być może istnieje dla Macintosha specjalny program dla takiego celu ale obawiam się, że otwiera się o wiele wolniej niż Prosty Edytor i dlatego będzie trudniej dostępny. Tutaj z kolei będzie problem z podzieleniem i szukaniem ale myślę, że zrobię tak, iż ponieważ notatki nie będą długie, to poszczególne dokumenty Prosteo Edytora nazwę miesiącami roku i będę je potem sukcesywnie uzupełniał, korygował ortograficznie i potem przeszukiwał tak jak to robię w terminarzu. Notatki nie mają mieć charakteru pamiętnika lecz informatora, który ex post pozwoli na przypomnienie sobie co było w danym dniu. Nie wiem czy dla ułatwienia przeszukiwania nie trzeba będzie dawać krótkich śródtytułów, czy wystarczy tylko daty.

1. Około godziny 12 przerobiłem na olej obraz 277=UE który od kilku dni pilowałem jako acryl. Będzie to nadal, jak w acrylu, popiersie z rozkrzyżowanymi ramionami en face, w formacie 88x92, monochromatyczne, malowane umbrą naturalną (próbuję nową Talensa - do tej pory robiłem Rowney'em), błękitem indantrenowym, umbrą paloną (Georgian Rowney'a) i bielą tytanową. Być może jutro dodam czerń słoniową. Na razie podmalowałem z użyciem sykatywy. Nie mogłem sobie rady dać z acrylem, zresztą ciągle coś mi przerywało. Zacząłem z tą myślą, że liczne przerwy, które spowoduje wyjazd po panią Notariusz i oczekiwanie

na rodzinę z Dynowa, sprzyjają acrylowi lub acryl sprzyja im, ale wyszło inaczej... Teraz nie bardzo mam co zrobić z popołudniem, bo podmałowka wysycha.

2. Późnym popołudniem byliśmy w Megasamie i potem w BILLI (z przerwą na szaczkę po czereśniach, która uniemożliwiała mi poruszanie się), aby kupić nieco jedła w związku ze spodziewanym przyjazdem rodziny z Dynowa w sprawach spadkowych. Jeśli nie przyjadą lub jeśli są wegetarianami, sami będziemy to musieli zjeść, co mnie przeraża, bo ostatnio jadam ostrożnie i staram się utrzymać własną nadwagę w granicach przyzwoitości. Poleciał przeszło milion. W ogóle leci milion za milionem... Teraz kopiuje dla Tomka pożyczony film, potem Dziennik TV i co wieczorne wgapienie się w ekran. Kupiłem jakiś szprycer i mam nadzieję, że jutro nie będzie mnie bolała głowa. Mrozi się w zamrażarce.

Myszę od kilku dni o dwóch sprawach, które dziwnym trafem uzupełniają się wzajemnie. W niedzielę Paweł Hoser opowiadał jakiś sen i dziwił się na ile wyobraźnia mogła logicznie wyprowadzić z siebie ciąg faktów. Ja przypomniałem sobie jakiś sen, w którym trzaśnięcie drzwi w trakcie przeciągu, skojarzyło mi się z wystrzałem armatnim ale przedtem długa historia w której chyba było i przygotowywanie armaty i inne dodatki, doprowadziła do momentu, który mnie obudził. Nie można sobie prosto wyjaśnić w jaki sposób (jeśli sen trwa w czasie rzeczywistym lub zbliżonym) może powstać antycypacja zjawisk, które dla śpiącego są nieprzewidywalne. Druga sprawa to rozmowa przed dwoma dniami z synem Turlejskiej, który opisywał jednostkę chorobową, w której człowiek nie jest w stanie przypomnieć sobie rzeczowników, a doskonale pamięta przymiotniki, czasowniki i budowę zdania. Potwierdza to moje domniemania, że język jest czymś nad wyraz sztucznym, na podobieństwo baletu lub jeżdżenia po linii na rowerze. W związku z tymi dwiema sprawami zastanawiam się czy nie można by było, upraszczając ad absurdum, przyrównać pracy mózgu do pracy komputera i jego dwóch pamięci: RAM i Hard Dysku. Jeśli śnienie odbywa się na obszarze „RAM” w sposób wielowątkowy i chaotyczny, to istnieje potencjalnie olbrzymia ilość możliwości dla każdej śnionej historii. Kora mózgową działa na zasadzie Hard Dysku, czyli zapisuje, w momencie obudzenia, tylko jedną, dającą

się ująć w kategoriach racjonalnych historyjkę i traktujemy ją potem jako wspomnienie snu. Przypominam sobie sprzed paru lat sen dwutorowy którego treści nie pamiętam już ale konfabulując, można by ją ująć tak, że np. jedząc obiad, wyglądam przez okno i patrzę na basen, w którym pływa wielka, złota ryba. Pragnąc ją złapać, wychodzę przez okno i wskakuję do wody ale ryba jest właściwie kotem, zmoczonym wodą i tonącym, więc wydobywam go na brzeg, wtedy kot mnie drapie w rękę i się budzę, bo np. zaswędziała mnie ręka, czy też komar mnie uciał. Pamiętałem jednak i drugi wariant, w którym kot mówi ludzkim głosem i jesteśmy na strychu, skąd kot skacze i wpada do basenu, a ja za nim, aby go uratować, ciągnę dalej bez zmian. O ile pamiętam samą ideę snu, to on nawet był dłuższy: Historia, którą śniłem w pewnym momencie rozdzieliła się i dwiema, całkowicie innymi drogami, doprowadziła do tego samego finału, w trakcie którego zbudziłem się. Model, w którym praca mózgu dzieliłaby się na „RAM” i odpowiadający korze mózgowej „Hard Dysk”, który zapisuje tylko jeden wariant nieskończonej ilości historyjek (które istnieją tylko równolegle i potencjalnie, jako worek faktów i obrazów), który zapamiętujemy jako marzenie senne, po części wyjaśniał by takie rozdzielenie.

Godz. 22:30, głowa boli, mimo iż nie wypilem szprycera. To chyba telewizja tak działa.

22.7.1994

Wczorajszy zapis był nietypowy i chaotyczny. Poza tym zbyt obszerny. Jeśli tak dalej pójdzie, to potem odszukanie czegokolwiek, będzie wręcz niemożliwe. Tak więc wpadł mi pomysł, by notować tylko telegraficznie informacje typu: „malowałem to, a to”, „przyszeli ten i ten i siedział przez 2 godziny”, „zatkał się zlew” etc. zaś wszelkie dłuższe notatki przesuwać pod hasło ANEKS z datą. Ewentualnie sygnalizować je telegraficznie z odnośnikiem „vide Aneks”. Myślę, że to się jakoś dotrze w ciągu pierwszych 2 miesięcy i może przyjdą jakieś lepsze pomysły uporządkowania. Optymalną rzeczą byłby specjalny program, ale obawiam się, że takowy nie istnieje. Przy okazji spytam jednak w sklepie.

Wieczorem tego samego dnia: Chyba to wszystko jest bez sensu. Przecież przez cały dzień nic się nie dzieje! Malowałem, dodałem nieco nowych

kolorów i tyle. Do Tomka przyszedł robotnik do zadaszienia balkonu, który robiono w ubiegłym tygodniu. Dzwoniła Ewa z Dynowa, że przyjadą w niedzielę o 12:50 i tak jest co dzień. Dam temu spokój. Rozważania mnie nie pociągają. Przynajmniej na razie...

23.7.1994

Od kilku dni plama na prawym oku jakby się zmniejszała. Zmieniała kształt i jest otoczona jakby przezroczystymi bańkami. O odcień ostrzej widzę. Budzi się nadzieja, że z czasem może zmniejszy się jeszcze bardziej lub nawet zniknie?

Około godziny 16:30 skończyłem obraz 277=UE. Format 88x92. Nie jest to dzieło mego życia, czegoś mu brakuje, jakiejś dominanty albo formalnej albo kolorystycznej ale ciągle mi coś przeszkadzało, teraz dla odmiany przyjedzie na kilka dni rodzina z Dynowa w sprawach spadkowych, więc od jutra do (zapewne) środy włącznie i tak i siak nie będę mógł pracować. Za półtorej godziny, około 19 ma tu wpaść Nyczek z żoną, którzy wracają z urlopu nad morzem. Kiedy to my będziemy mogli wyjechać na urlop? Zapewne już nigdy.

W związku z przyjazdem rodziny, Zosia robi non stop w kuchni. Swoją drogą za bardzo się przejmuje. Ja albo bym ich wszystkich brał na obiad do restauracji albo zamawiał z restauracji obiad do domu. No ale jest i babcia i będzie z nimi dwuletnie dziecko. Babcia nie zjadłaby niczego z restauracji, dziecko zapewne też nie. Tym niemniej nie przesadzałbym z tym odżywianiem. Na nic już wtedy nie ma czasu...

24.7.1994

Dalem wczoraj N. obraz 98x132 z 1994 (256=DC). Trzeba go jeszcze pogelować, podpisać i oprawić. Obiecał nie publikować i nie zezwolić nikomu na fotografowanie, nie sprzedawać za mego życia i w ogóle trzymać dla siebie. Ramy mają mu zrobić w pracowni teatralnej według mego rysunku. Tyle, że potwornie mi się dziś nie chce projektować kształtu i robić rysunku. Jestem w ogóle wyżęty na samą myśl o trzy lub czterodniowym pobytku rodziny. Jak zwykle dla mnie problem wiąże się z wydalaniami i siusianiem w nocy. Będą musiał łać do słoika i rano dyskretnie

wylewać. Boże jak ja nie cierpię teraz gości w tym ciasnym mieszkaniu... Dla Zosi z kolei problem wiąże się z przeciwną stroną, czyli z jedzeniem. Co podać, komu podać, jak podać i kiedy znaleźć czas na zrobienie. Nawzajem nie doceniamy cudzych problemów.

Aha. Nyczek chce gdzieś publikować artykuł na temat moich kseroksów i potrzebuje do tego celu pewnej ich ilości kseroksów z kseroksów. Ma je Dmochowski. Zaproponowałem, by sam napisał do Dmochowskiego, bo ten reaguje na moje listy jak byk na czerwoną płachtę i już sam nie wiem co mogę, a czego nie mogę i w jaki sposób mogę lub nie mogę do niego pisać by nie wybuchal jak purchawka!

25.7.1994

Godz. 22:30. Dzień pełen wysiłku. Zosia wykończona. Był upał i przez wiele godzin krążyliśmy po mieście rozpalonym (tak, że karoseria parzyła rękę) samochodem, by pokazać je od strony sklepów i domów handlowych. IKEA w Jankach, Elektroland, wieczorem Panorama, w międzyczasie to i owo. Wymieniając forszę w kantorze w Panoramie, po raz drugi czy trzeci zetknąłem się z tym, że odmówiono przyjęcia całkiem dobrych banknotów pod pozorem, że są zniszczone. Nie były nowe ale nie były też zniszczone. Przedtem, już raz odmówiono, bo podobno wyraz twarzy Franklina nie był taki jak ma być (idiotyzm). Podejrzewam, że boją się brać banknoty z dawniejszej emisji, z okresu zanim jeszcze istniała technika wprasowywania paska i mikrodruku. W pierzynie mam sporą ilość takich banknotów. Muszę przetestować od tej strony kantory i jeśli to prawda, trzeba będzie znowu wszystko wsadzić „po kawalku” na konto A, z którego je (w panice że system bankowy w Polsce się zawali) wycofałem, po rewelacjach pani Gronkiewicz-Waltz.

29.7.1994

Powinienem napisać do Chyczyńskiego i zrobić szkic profilu ramki dla Nyczka ale przeraźliwa pustka w mózgu, wywołana upałem, powoduje, że za nic się nie biorę. Byliśmy około 12:30 w IKEA w Jankach, bo Tomek potrzebował lampy na balkon. Kupiliśmy tam też jakiś badyl dla Anki. Za jakąś godzinę jedziemy tam z życzeniami imiennowymi. Imienniki Anki były w środę ale u nas był wtedy Dynów. Zawieziemy badyl, dwie

butelki wina gazowanego w lodzie i ciacha. Wino kupiliśmy wczoraj wieczorem w BILLA gdy odwoziliśmy Tomka do radia. Ance nie wolno jeść słodczy ani pić bąbelków, bo cudotwórca zakazał, ale na nic innego nie mam pomysłu, a Zosia siły, by jechać. Dotknięcie karoserii parzy palce. Próbowałem rano przystąpić do malowania, ale na razie skończyło się na próbach. Przyznaję, że nawet dla mnie jest nieco za ciepło, mimo iż fakt, że nie ma chmur, zawsze mnie cieszy.



Mały Zdzisław, 1935 r.

30.7.1994

Kończę pracę przy obrazie o 14:30, mimo iż mi dobrze idzie, bo nie dają jakoś rady. Noce koszmarnie gorące i nie można spać. Nie mogę się doczekać ranka, przeszkadza szumiący non stop wentylator koło łóżka, natomiast teraz chce mi się cholernie spać, a poza tym jestem słaby i coś mnie kłuje powyżej serca po lewej. Od rana zresztą byłem jakiś „sercowy”, chociaż o 11:40 ciśnienie miałem niskie 112/78 puls 68. Poza tym, gdy się stoi na podłodze bosą nogą, to nogi szybciej się męczą...

1.9.1994

Około godz. 13 miał przyjść facet do pomierzenia balkonu pod montaż żaluzji. Jest już prawie godz. 16 i nikogo nie ma. Pewnie równie terminowy jak K., na którego też czekam już od wtorku. Może to i dobrze, bo pod wpływem argumentów Tomka, myślę, by zrobić zasłony z jakiejś tkaniny. Do 30 bm, Dmochowski ma uregulować należność we Frankach, po podstawowej cenie i bez doliczania współczynnika inflacyjnego za 10 obrazów, czyli po 8.400 Fr. Poza tym za trzy w dolarach, po cenie podstawowej, zaniżonej do tego poziomu jak w kwietniu, czyli po 1.350.-\$. Zobaczymy czy się wywiąże, czy znowu coś wymyśli, bo obawiam się, że coś wymyśli, by zapłacić tylko część, lub zapłacić jeszcze niższą cenę, lub nie płacić teraz w ogóle. O ile jednak zapłaci, tak jak się zobowiązał, to zaraz zainstalują za to klimatyzację, by na przyszły rok nie było takich problemów, jakie były obecnie. Szczególnie idzie o kuchnię, w której Zosia gotuje się razem z obiadem, i o sypialnię. Mam też ochotę na OPTIMUSA z procesorem PENTIUM 90 i monitorem 21 cali (NEC). Zależne to jest jednak od tego, ile kosztować będzie klimatyzacja, którą potraktuję priorytetowo. Gdyby jednak coś wykombinował, z czego by miało wynikać, że nie zapłaci nawet tego, do czego się zobowiązał, to klimatyzację jednak skreślę.

(I chyba skreślę też Dmochowskiego.)

Facet od żaluzji przyszedł dopiero około godz. 18. Podjęliśmy „jedynie słuszną” decyzję, by zrobić żaluzje pionowe, z materiału najmniej przezroczystego i bez deseniowego. K. ma zrobić deski osłonowe z płyty wiórowej laminowanej. Pojedziemy jutro rano do IKEA po takie płyty,

o ile w ogóle obecnie są w handlu. K. ma jutro robić u Tomka, więc chyba dam radę z nim się jakoś umówić, by było to przed 2000 rokiem.

3.9.1994

Około południa skończyłem olej 281 = LR. Postać stojąca, w czymś w rodzaju sukni, głowa czerwono brązowa. Jedyna widoczna ręka w kolorze niebieskawym, dwa zgeometryzowane krzyże: biały i czarny, poza tym czerń i biel z tym, że pod spodem była imprimatura acrylowa bardzo kolorowa i położona grubo. Pierwszy od dłuższego czasu lepszy obraz. Od dłuższego już czasu (może ze dwa tygodnie) mam jakieś wędrujące wyżej i niżej bóleści po prawej, ale nie jest to wątrobka, tylko jakby ból od wzdęcia lub od jakiegoś wysięku. Nasila się przy ruchach i oddechu. Może na czas jakiś wrócić do Ursofalku?

4.9.1994

Około godz. 3 w nocy, z soboty na niedzielę, alarmujący dzwonek do drzwi. Wieczorem nie mogłem zasnąć, wierciłem się do około 1 w nocy, była burza i krótki ulewny deszcz, wreszcie zasnąłem, ale gdy około 3 wstałem, by się odlać, to wracając z WC miałem początki bólu głowy i myślałem nawet o wzięciu panadolu. Położyłem się i zaraz ten dzwonek. Ponieważ około 23 wieczorem odwieźliśmy Tomka na nocny program do Radia, byłem niemal pewien, że to on, bo np. zgubił klucze, czy coś w tym rodzaju. Byłem o krok od otwarcia drzwi, ale gdy patrzyłem zaspanym okiem przez ten cholerny wziernik, umieszczony na wysokości pępka (dla krasnoludków), wydawało mi się, że widzę jakiegoś niższego faceta, ubranego na niebiesko:

O co chodzi.

Hydraulik.

(Tu już nie pamiętam jak zareagowałem)

Pan nie zwywał hydraulika?

Nie!!!

Stuknęły drzwi do windy ale nie popatrzyłem (zresztą przez ten wizjer niewiele bym zobaczył) czy był ktoś z nim, czy nie. Przed domem nie było żadnego wozu z pogotowia wodociągowego. W dziale technicznym spółdzielni, na pewno o tej porze nikt nie pracuje. Muszę spytać jutro

dozorczyni (w niedzielę jej nie złapię), czy była jakaś awaria w bloku, czy nie. Nie słyszałem, by dzwonił wyżej lub niżej.

MUSIMY odzalaować forszę i kupić elektroniczny wizjer, nawet jeśli ryzykowalibyśmy, że dzieci uszkodzą plastikową kamerę przykręconą na zewnętrznej stronie drzwi. Można ją podobno obudować metalem. Jaroszewicz omylił się raz w życiu i otworzył drzwi. To może być potrzebne tylko ten jeden jedyny raz w życiu.

W rezultacie znowu jestem niewyspany, bo potem nie mogłem przez dwie godziny zasnąć, mimo iż wziąłem panadol i ból głowy ustąpił. Nie wiem nawet, czy warto zaczynać nowy obraz. Mam zamiar spróbować teraz czarno-białej roboty w acrylu, czegoś o czym już wspominałem, co miało by wyglądać, jak bardzo wielki rysunek tuszem.

5.9.1994

Robię ten obraz czarnym acrylem i równocześnie rozważam, nie wiem już który raz, kupno komputera w standardzie PC. Myślałem o OPTIMUSie jako o najtańszym, polskim, bez cla i dużych narzutów, aliści jest kilka problemów: Docelowo myślę stale o grafice, a to wymaga dużego monitora 21", scannera, drukarki, tabliczki interaktywnej i pióra świetlnego, nie wspominając o programach. Połowa z tego będzie musiała być sprowadzona zza granicy lub kupiona w innych firmach. W sumie nadal nie będzie to tanio, jeśli nawet o wiele taniej niż Macintosh czy też Power Macintosh. Nie wiadomo też, na ile okaże się, że rezultaty nie będą na miarę wydatków. Tak więc w tej chwili, przyszedł mi pomysł, zresztą już nie pierwszy raz, by nabyć Notebook OPTIMUS (lub inny w granicach ca 2.000.-\$) i potraktować ten nabytek jako wkład edukacyjny w inny standard, którego jeszcze nie znam. Dodatkowo miałbym rozwiązana sprawę przepisywania z CASIO wszystkich danych i ewentualnego ich wydruku. Oczywiście musiałbym nabyć interfejs CASIO za ca 3 miliony. Mógłbym też, dzięki konwerterowi plików, komunikować się między Notebookiem, a Macintoshem. No i opanować to wszystko tak jakoś, by mieć to w małym palcu i na przyszłość wiedzieć co i jak. Zaletą Notebooka jest też i to, że nie zajmie pół pokoju, z czym musiałbym się liczyć, kupując OPTIMUSA PENTIUM z monitorem NEC 21". Musimy więc podjechać z Zosią na ulicę Wynałazek, gdzie podobno jest sklep OPTIMUS, by

zorientować się na ile reklama z „Gazety Wyborczej”, prawdziwie podaje ceny i czy nie dochodzą jakieś narzuty.

6.9.1994

Dozorczyni informowała się w administracji i nikt z soboty na niedzielę nie przyjmował zgłoszeń dla hydraulików i żaden z dwóch hydraulików dyżurnych, nie wychodził do awarii. A więc była to próba napadu.

7.9.1994

Około godz. 15 był u mnie (zapowiedziawszy się telefonicznie) Stanisław Borowski (od szkła), którego już znałem poprzednio, wraz z synem i jakimś galerzystą niemieckim z San Francisco, który koniecznie chciał nabyć jakiś mój obraz. Galerzysta pod tytułem Siegfried Ehrmann robił też fotografie, które obiecał przysłać. Niestety nie mogłem nic sprzedać, a z Dmochowskim oni nie chcieli nawiązywać kontaktu. Podobno go nie znają ale myślę, że mieli już jakieś „doświadczenia” z Panem Piotrem i woleli obejść go z daleka. Byli u Wahl ale były tam dwa moje nie najlepsze obrazki, które facet sfotografował, więc mogłem ocenić. Oba dosyć stare, jeden własność Elżuni Turlejskiej. Poradziłem, by dali ogłoszenie do gazety, a może znajdą coś sensowniejszego, bo facetowi te się nie podobały.

Obrazy sfotografowane, o ile nie przyśle fotografii, to na pewno: 281=LR (staliśmy na jego tle) oraz być może: 269=BK (był na stelażu nad gierownicą, obrócony w stronę świętego stołu), 267=FX (był na stelażu nad NP-1010). Być może na jakimś zdjęciu miganie też, co jest bardzo mało prawdopodobne 273=WU, bo leżał na stelażu nad NP-1215).

11.9.1994

Dopiłowałem 282=XO. Głowa syntetyczna z profilu. Miejmy nadzieję, że inni też zobaczą tu głowę. Myślę, że wprawdzie nic nie wyszło z planów acrylowych ale zamalowany cienko olejem acryl, rysowany uprzednio wieloma czarnymi liniami, daje bardzo fajną fakturę późniejszego i można to wielokrotnie wykorzystać. Jutro spróbuję robić w ten sposób inny obraz olejny. Ten obecnie namalowany, nie jest chyba dziełem mego życia ale nie jest też zły...

Myślę przez cały czas o tym, kiedy wreszcie będę mieć forszę na notebok lub komputer OPTIMUS, tym niemniej, jeśli trzymać się pisemnego zobowiązania Dmochowskiego, to „wczesna jesień” może oznaczać interwał pomiędzy 21 wrześniem, a 21 październikiem, a więc później niż sądziłem. Zobaczmy.



Młody Zdzisław z rodziną, Sanok

12.9.1994

Od wczoraj mam narastające poczucie, że jako tzw. artysta, wypadam z obiegu. Chodzi o grafikę komputerową. Coraz wyraźniej widać, że możliwości tego medium będą rosły w olbrzymim tempie, a już teraz są ogromne. Od dwóch już lat, mam zamiar „wejść” z twórczością w komputer ale, jak widzę, na zamiarach się skończy. Decyduje tu kilka czynników. Po pierwsze, drugie i trzecie decydują pieniądze, których nie mam pod dostatkiem. Przed kilku dniami, nagrałem z niemieckiej telewizji, program na temat Petera Gabriela. Okazuje się, że ma wielkie, prywatne studio, w którym pracują nad realizacją jego (i nie tylko jego) pomysłów, programiści i filmowcy, a nade wszystko jest tam miejsce do pracy i sprzęt wartości (na oko) kilku milionów dolarów. Co ja mogę: Mogę wydać kilka, w najlepszym razie kilkanaście tysięcy dolarów, z zamiarem komputerowego fotomontażu, bez gwarancji sukcesu i gwarancji, że kupiłem to co właśnie kupić należało, a za taką sumę nabędę najwyżej dolną granicę amatorskiego sprzętu średniej klasy. Bo przecież nie wystarczy sam komputer, lecz potrzebne by były: programy, karty rozszerzające, skaner, drukarka (najdroższy element zestawu), dodatki takie jak tabliczka interaktywna, pióra świetlne etc. etc. Za co to wszystko (i u kogo?) nabyć, gdzie ustawić, kogo prosić o pomoc w konfiguracji, u kogo zgłaszać reklamacje, gdy wystąpią błędy (np. drukarka będzie robić elektroniczne poziome lub pionowe smugi, tak jak to robi moja, gdy np. zastosuję zmniejszenie wydruku). Teraz, jeśli Dmochowski zapłaci mi wreszcie zaległe od trzech kwartałów pieniądze, będę mógł nabyć notebook OPTIMUS, czyli krajowy składak niewiadomej jakości i próbować się na nim podkształcić w zakresie PC, gdyż w zakresie Macintosha mam już wystarczającą „podgatówkę”, tyle, że na „wejście” w Macintosha nie będzie mnie stać - wszystko jest trzy razy droższe niż w PC i na terenie Polski pięć razy trudniej osiągalne. Informacje na temat Macintosha są też wrywkowe. W pismach branżowych w Polsce, jest zwykle 150 stron o PC i ze dwie, trzy małe, na kilka linijek dziennikarskie wzmianki na temat Macintosha. Mógłbym od razu wejść w OPTIMUSA z monitorem 21” i procesorem PENTIUM ale byłby to grzmot na pół stołu, który najprawdopodobniej okazałby się nie tym jeszcze o co chodzi (to też krajowy składak który może być skrajnie awaryjny), a przez rok ćwiczeń, wypychał

by połowę powietrza z mego pokoju. Na dodatek Notebook kupię na stosunkowo małe pieniądze i jak sądzę zamknę się w około 3.000.- dolarów plus jakieś oprogramowanie i być może potem jakiś skaner. Za większego grzmota, od ręki musiałbym wydać ponad 7.000.- dolarów, co przy moich dochodach, jak na cele tylko edukacyjne, jest za wiele.

A ile jeszcze lat mam przed sobą? Dwa czy dziesięć? Nie mogę też szastać zaoszczędzonymi pieniędzmi, bo muszę zostawić sporo Zosi, która może być równie żywotna jak babka Stankiewiczowa, a przecież nie może żyć w nędzy. I tak, to co jej zostawię, pochłonie w 90% dewaluacja i inflacja dolara.

Co więc i jak zrobić? W domu nie sposób na ten temat rozmawiać, bo Zosia komputer uważa za zabawkę i potrafi na ten temat wyłącznie ironizować (zresztą obok istoty rzeczy, której nie dostrzega), z Tomkiem w ogóle nie da się rozmawiać, on zna wyłącznie monolog. Dla moich kolegów sprawa w ogóle nie istnieje. Mają jeszcze mniej forsy niż ja, a poza tym nie dostrzegają tego, że malując obrazy, stajemy się anachroniczni jak starcy, którzy przeżywają miniony czas.

Kupiłem kilka pism komputerowych (przed rokiem kupowałem już i pożyczałem „ENTER” i „PC Kurier”) aby zorientować się nieco w tym, co z wyposażenia jest do kupienia za przystępną cenę i gdzie. Pismo „CHIP” wydało mi się najbardziej interesujące w sensie informacji, które pomogłyby mi w opanowaniu PC. Zamówię zaległe numery i zaprenumeruję na rok.

15.9.1994

Mieliśmy stłuczkę albo raczej otarcie się. Po skończonej pracy około godz. 17, pojechalśmy po Ftalak bezbarwny i biały do zbliżającego się impregowania podobrazy. Chciałem też zajrzeć do sklepów z elektroniką przy Różanej, czy jest tam już do nabycia elektroniczny barometr, o którym czytałem we WPROST. Zosia wskoczyła na chodnik przy Puławskiej, a gdy się wycofywaliśmy, ja patrzyłem w prawo, czy coś nie zajedzie i ona też w prawo. Miejsce po lewej było wolne ale w międzyczasie, gdy patrzyliśmy w prawo zajechała tam błyskawicznie Sierra. Zosia jej nie widziała i wgniotła jej drzwi uszkadzając sobie zderzak i drapiąc lekko przedni

blotnik. Trudno zdecydować kto był winny, bo w momencie gdy zaczęła się cofać to Sierry po lewej, jeszcze nie było widać ale facet musiał manewr wjeżdżania na chodnik zrobić błyskawicznie, tak że w oświadczeniu winę przyjęliśmy na siebie. Facet, który prowadził, mówi że nie widział u nas świateł cofania, a więc wsteczny bieg Zosia musiała włączyć, gdy już był po naszej lewej stronie. Ale w ogóle był strasznie szybki. Gdy Zosi przytrafi się coś podobnego, to z nerwów natychmiast zaczyna tracić orientację. Nie wiedziała czy ma skrócić w lewo czy w prawo. Wołam więc do niej: skrócić prawo i jedź do przodu! Ale go znowu zaczepię! Nie bój się! Więc ona skręca w prawo, włącza pierwszy bieg, a tu facet już parkuje po naszej prawej stronie, jeszcze sekunda i była by go znowu stuknęła, tyle, że z przeciwnej strony. Nawet nie spostrzegłem kiedy wyjechał z jednej i wjechał z drugiej strony. Nam zajmuje to czas na rozglądanie się do tyłu, czy ulica pusta, manewrowanie kierownicą, powolne wycofywanie z chodnika, a on JUŻ był po przeciwnej stronie. Ta różnica w szybkości (na nim my z kolei musieliśmy sprawiać wrażenie, że po prostu stoimy w miejscu), była przyczyną otarcia się. Ot kłopot. Znowu tracimy jakiś procent zniżki za jazdę bezawaryjną. Zosia się buntuje, że jest za stara na prowadzenie wozu, ale przecież Kamil wielokrotnie miał stłuczki, Emil też, nawet gdy był młodszy. Bożena też. Zresztą Zosia też poprzednim wozem otarła się z innymi ze dwa razy na mieście (raz ze swojej winy), zaczepiła o Wartburga na parkingu, wreszcie w ub. roku stuknęła tego chłopca, który przebiegał jej szosę. Wypadki tego typu są po prostu nieuniknione.

20.9.1994

Nareszcie po robocie. Jestem nieludzko spierdolony, a najbardziej dało mi w kość przenoszenie dziś zapasu płyt pilśniowych ze schowka na balkon, co zrobiliśmy w nadziei, że leżąc na płask, nie będą się tak silnie deformować i być może, choć w niewielkim stopniu, się wyprostują. Impregnując teraz, miałem wrażenie, że deformacja ustępuje po wpływie nasycania lakierem, nieco wolniej, niż było to w czerwcu, stąd mógłby wynikać wniosek, że na skutek pionowego składowania, ulega ona utrwaleniu, gdyż w czerwcu impregnowałem płyty, niedługo po ich wykonaniu. Na dodatek, w trakcie pracy, walnąłem się wczoraj w nos, podrzucając płytę

pilśniową do góry, tak iż myślałem, że już złamałem nos, aliści skończyło się na otarciu górnej wargi i stłuczeniu nosa.

Zapisuję ku pamięci, chociaż to samo zapisałem już w CASIO:

17 bm: od godz. 20:45 do godz. 22:30 wyniesienie gratów, demontaż stołu i obklejenie regałów folią.

18 bm: od godz. 8:05 do 14:00 obklejenie podłogi gazetami (ca jedna godzina), wydobicie płyt ze schowka i zaimpregnowanie 10 formatów 98 na 132 oraz 12 formatów 98 na 98 (w trakcie tego obiad przez kilka minut). Wyszło 9 puszek po 1 L lakieru ftalowego, odrobinka została. Po godz. 14 kąpiel i potem przenoszenie chłamu do pracowni, potem trochę poleżałem i zasnąłem, potem pojechaliśmy do Komorowa. Na noc włączyłem kaloryfer olejowy, bo na polu zimno.

19 bm: Rano w pracowni potworny smród, wyciskający łzy z oczu. Poskładałem całość, przewietrzyłem mieszkanie, wyłączywszy kaloryfer. Na dodatek nieustannie zimno. Po dokonaniu codziennych zakupów, od godz. 8:47 do 13:45 pokryłem białym lakierem wszystko, z tym że Zosia musiała donieść jeszcze lakier, bo kupiłem puszki 0,8 l, o czym przekonałem się dopiero w trakcie pracy. Wyszło 9 puszek 0,8 l, plus odrobina ze starej puszki, napoczętej już przez K., do pomalowania balkonu. Po godzinie 13:45, zjadłem obiad i przeniosłem chłam do pracowni i włączyłem zaraz kaloryfer olejowy. Z grubsza oczyściłem podłogę w korytarzu i poskładałem gazety, jakimi była wyścielona. Przespałem się trochę i pojechaliśmy do serwisu, odebrać radiomagnetofon dla babki, bo miał być (w ramach reklamacji) naprawiony na dziś wieczór. Po jego przywiezieniu, Zosia schowała zastępczy, który grał przez te trzy dni i dała znowu stary. Wieczorem, ponieważ babka spała, ustawiła autorewers na odtwarzanie ciągle. Potem w nocy, około godz. 01, okazało się, że zapomniała go wyłączyć i zapierdalał w kółko. Wszedłem do pokoju babki i wyłączyłem, ale nie mogłem już potem przez parę godzin zasnąć.

20 bm, czyli dziś rano, nie było już w pracowni tak cholernego smrodu, bo widać pomogło wcześniejsze włączenie kaloryfera. Za to na polu rekord zimna i deszcz. Poskładałem wszystko na regałach, pownosiliśmy graty, zdjęliśmy folie i całą resztę, co zajęło czas od godziny 8:00 do 9:45. Potem zaczęło się przenoszenie arkuszy na balkon, po uprzednim uporządkowaniu balkonu, co z parą minutową przerwą na obiad, zajęło czas

do godziny 13:00. Potem Zosia zaproponowała, że umyje podłogę, a ja małodusznie na to przystałem, bo po noszeniu płyt, ledwie już stałem na nogach. Wlażłem do wanny, umyłem głowę, a potem wałnąłem na wyro i spałem do około 16. Ledwie dałem radę się podnieść, bo musiałem odpowiedzieć na terminowy list. Wszystko mnie boli. Nawet kark, nie wspominając o ramionach.

Wydaje się że już przestało śmierdzieć ale teraz wieczorem około 19:15, gdy piszę te słowa, czuję że w oczy mnie gryzie. Niezbyt mocno, ale jednak.

21.9.1994

Wczoraj przed spaniem, wydobyłem po raz wtóry poskładane już formaty i rozstawiłem je w pracowni, po czym włączyłem kaloryfer olejowy. Dziś rano śmierdziało dosyć mocno, ale już prawie nie gryzło w oczy. Ramiona cholernie mnie bołą po wczorajszym noszeniu, ale jakoś dałem radę, by powtórnie poukładać wszystko na regałach.

Godz.15: Nadal śmierdzi, chociaż już nie gryzie w oczy. Nic dziś nie robiłem. Odpisałem na zaległe listy, załatwiałem zakupy. Chyba znowu na noc, rozłożę płyty na całą pracownię...

22.9.1994

Wczoraj około godz. 20, po uprzednim telefonie, przyszła żona Jacka Jerki, bo „miała pewną sprawę”. Nie znalazłem ich do tej pory, ale okazało się, że są w identycznej niemal sytuacji jak ja. Też spisali umowę, która powoduje, że jej mąż dostaje nerwicy na wieść, że przyjeżdża ich agent, bo jest to osoba wypisz, wymaluj taka jak Dmochowski. Tym agentem jest jakaś squaw z Francji, która podobnie jak Dmochowski, pochodzi z Polski. Pod każdym względem sytuacja podobna tyle, że oni w razie zerwania mają dać 6 obrazów, a nie 50 jak ja i mają w umowie klauzulę, że po roku jej trwania może być renegotjowana. Minął ten rok i oni chcieliby się wykręcić, a ponieważ jej mąż obciążył ją właśnie szczytnym zadaniem reprezentowania własnych interesów, a sam tylko maluje (bo załamany jest po śmierci syna), to ona była właśnie u adwokata, który wyśmiał całą umowę i pokazał jakie są furtki do jej zerwania. No cóż:

Gdyby u mnie realia wyglądały w ten sposób, czyli możliwość renegocjacji i tylko 6 obrazów odstępnego, to chyba bym umowę renegocjował (marzę o zerwaniu swojej, głównie dlatego, że umowa nie daje mi żadnej możliwości, najmniejszego nawet ruchu - wszystko ma trwać niezmiennie, na wieki wieków amen). Oni jednak mają na utrzymaniu czwórkę dzieci (adoptowanych?), nie mają rezerw finansowych, nie za bardzo mogą podskakiwać. Po długiej rozmowie, wyszła około godz. 22, z myślą, że jednak nie będą zrywać, tylko spróbują renegocjować (deszcz lał i było ciemno, więc odprowadziłem ją do taksówki). Opisałem jej rozmaite doświadczenia z Dmochowskim i radziłem nieco babę nacisnąć i renegocjować, a nie zrywać, bo nie bardzo jest w tej chwili alternatywa. Płaci im mniej więcej tak jak Dmochowski mnie w ramach ryczałtu, tyle, że oni nie mają ryczałtu, tylko baba daje im 600 dolarów przy odbiorze obrazu i drugie 600 po jego sprzedaniu. Z Dmochowskim też się zetknęli, bo był u nich i oferował im po 500 dolarów od obrazu.

Wieczorem, około godz. 20, przyszedł Dariusz Gorczyca z Krakowa, ze swoją siostrą (potem dołączył ich kolega, który ich dowiózł). Zapowiedzieli się przedtem telefonicznie, gdyż otwierają w Krakowie Galerię i chcieliby wystawić tam, między innymi, jakieś moje rysunki z użyciem kserokopiarki, do ewentualnej sprzedaży. Ponieważ Nyczek po zamknięciu swej galerii, zwrócił pewną ilość rysunków, które tam były do sprzedaży, dałem im teczkę do wyboru i zabrali 6 sztuk, po 4.500.000.- ale małą mam nadzieję na to, by cokolwiek sprzedali. Sympatycznie się rozmawiało, pokazałem im trochę nowych obrazów, które (o ile im wierzyć) bardzo się podobały. Zrobili dwa wspólne zdjęcia, na tle regałów z płytami, bo nie chciałem, by fotografowali nowe obrazy.

Zaraz po ich wyjściu, około godz. 22, zadzwonił Dynów, że Janek Stankiewicz będzie w sobotę, z jakąś wycieczką emerytów (jako pomocnik) i zechce się odłączyć i wpaść do nas. Zosia już teraz zaczęła kombinować, co będzie na obiad...

Dzwoniłem poprzednio do Pacury i rozmawiałem z jego żoną, by ponagliła go w sprawie zakończenia montażu żaluzji na balkonie. Gdy zadzwoni, trzeba się będzie umówić albo na jutro, albo dopiero na poniedziałek.

23.9.1994

Zasłony nareszcie powieszono. Zadzwoił i przyszedł przed południem. Zrobił nieco za krótką, może jeszcze obwiśnie, a jeśli nie, to przed montażem osłon, poproszę K., by obniżył o centymetr, półtora, karnisz. Nadal, mimo telewizyjnej zapowiedzi ocieplenia i przejaśnienia, zimno jak cholera i ciemno jak cholera. Zacząłem wczoraj olej 284=CA: Drzewo według starego szkicu, według którego, namalowałem już raz, przed paru laty, obraz, który nawet został zreprodukowany na pocztówkach. Teraz mam inną wizję tego samego (w układzie) tematu. Zobaczymy co z tego wyjdzie.

Przyszła też przed chwilą przesyłka od Dmochowskiego, z jakimś katalogiem materiałów malarskich, który firma, sprzedająca wyroby LUCAS, wysłała podobno na moje nazwisko do Galerii i listem, w którym Dmochowski obiecuje uregulować zaległe pieniądze, ale jak wynika pośrednio z treści, dopiero pod koniec października lub w początkach listopada. Dobre i to, chociaż stanowi to już ponad pół roku opóźnienia, w stosunku do jego propozycji wstępnej, zaakceptowanej przeze mnie, jeszcze na przełomie roku. Podobno Poznań i Wrocław odmówiły robienia w 1995 roku mej wystawy, gdyż mają przeładowany program, a Pałac Sztuki w Krakowie, zażądał tak wysokich opłat, że Dmochowski wystawi tylko ok. 40 nowych prac w Centrum Kultury (?), co chyba jest sensownym rozwiązaniem. Pałac Sztuki (podobnie jak Zachęta), z racji wysokich stropów i dużych sal, był najgorszym rozwiązaniem z możliwych. Każde inne jest lepsze. Nalega podobno BWA w Katowicach i Bielsku-Białej ale w Bielsku-Białej, to chyba nie ma sensu wystawiać. Dmochowski pisze, że w wypadku, gdybym chciał wystawiać coś z nowo namalowanych prac, to muszę sam zrobić ramy, bo on finansowo nie wydzieli. Taki miałem zamiar. Muszę jednak dokładniej uzgodnić, wykonywane przez niego wymiary ram na Kraków, gdyż zależy mi, by te 40 obrazów, to było KONKRETNE 40 obrazów, a do tej wybraliśmy tylko w przybliżeniu i z pewnym nadmiarem.

24.9.1994

Janek zadzwonił około 11:15, że będzie czekać pod kościołem x. Popieluszki. Byliśmy tam 11:50. Okazało się, że autobus będzie na niego czekał

pod Warszawską Nike około 13:45. Właściwie zdążyliśmy zaledwie przyjechać do nas chwilę, porozmawiał z babcią, obejrzał mieszkanie, zjadł szybki obiad i już jechaliśmy z powrotem. Okazało się jednak, że byliśmy o wiele za wcześnie, bo w rezultacie cała wycieczka emerytów wróciła ze zwiedzania Starego Miasta około 15:05. Tym niemniej już jest po gościach. w związku z tym robota mi dziś rano denne szła, bo oczekiwałem i popsulem obraz.

Kupiłem wczoraj w mieście miesięcznik „Pani”, w którym było coś o mnie, o co w liście prosił Dmochowski i odpisałem na list myśląc, że będę to miał już z głowy, a wysłę wraz z „Panią” w poniedziałek, ale potem, w nocy, przyszło mi na myśl, że ośmielałem się tam dawać rady i spowoduję znowu zadrażnienia, tak więc dziś rano list zmelłem na maszynie do mielenia dokumentów i napiszę raz jeszcze nową wersję.



Artysta na wycieczce, 1950 r.

25.9.1994

Od miesiąca (chyba) zauważyłem na prawym oku, w lewym rogu, a dziś także u góry, ostro ograniczone ciemne, przeźroczyste zaplamienia, o dużym stosunkowo obszarze. Nie zawsze są widoczne i sądzę, że zależy to od ciśnienia barycznego (z wczoraj na dziś spadło). Czasem widzę je po pracy, gdy się położę, czasami rano gdy się przebudzę, tak jak dziś. Wydaje mi się, że na raz widać tylko jedną z tych plam, gdy chce się zobaczyć drugą, to pierwsza znika z pola widzenia. Zostawiają też po sobie powidok. Chyba to oko powoli pokrywa się zaćmą, czy czymś w tym rodzaju. Co robić, jeśli nie ufa się lekarzom? Natomiast plamka na środku, raz jest większa, raz mniejsza, czasami prawie w ogóle zanika. Raz bardziej przeszkadza, a raz mniej. Te plamy z boku, w ogóle, jakby nie przeszkadzały w widzeniu, może dlatego, że są na boku, natomiast plamka na środku, zakłóca mi ostrość widzenia przy czytaniu, co kompensuje lewe oko, ale to jednak przeszkadza.

27.9.1994

Dziś duże plamy na oku, były (po obudzeniu), szczególnie wyraźnie widoczne. Po wstaniu, jakby zanikały. Teraz, po śniadaniu nie umiem ich odszukać.

Wczoraj wieczorem zapowiedzieli się kolejno:

1. K. do wykończenia balkonu na środek około południa, czyli na jutro.
2. Monika Skarżyńska, która pisze lub już napisała pracę magisterską „Elementy groteski w obrazach Beksińskiego”, na piątek, około godz. 18. Ma oddać pożyczone materiały i coś jeszcze uzgodnić.
3. Na niedzielę, około południa, zapowiedziała się na reponderze jakaś Anna Maria Schmidt z Wiednia i myślę, że to jest siostra Krzysztofa, męża Alinki. Przyjeżdża zapewne po obraz Grota, którego od lat nie możemy się pozbyć. Byłoby wspaniale, gdyby udało się również coś zrobić z tym cholemym arrasem, samowarem i zbiorem znaczków, które od ponad 12 lat, wypierają 1% przestrzeni z naszego mieszkania!

28.9.1994

Mała plamka w centrum oka, dziś rano była prawie niewidoczna. Duże plamy były słabiej niż wczoraj widoczne i wydaje się, że pojawiają się

wtedy, gdy przez chwilę leży się na wznak.

Przez noc porozstawiałem w pracowni i podsuszyłem jeszcze świeżo zaimpregnowane podobrazia, włączywszy kaloryfer olejowy, bo wydawało mi się, że wczoraj, nieco bardziej było je czuć. Być może, to też zależne jest od ciśnienia i pogody.

1.10.1994

Przeczytałem rano, przed rozpoczęciem pracy, wywiad opracowany przez Skarżyńską. Wydaje się fajny, z tym, że jest ogromna ilość drobnych nieścisłości lub przekłamań, które będą jednak musiał usunąć, bo gdyby kiedyś to opublikowała, to wtedy byłyby jaja. Dała dwie wersje wywiadu: Spisaną z taśmy, oraz opracowaną przez siebie, w której, podobno, nieco zmieniała chronologię. Czytałem na razie tą wersję drugą. Mam zresztą nagrania obu tych wywiadów, ale nie chce mi się ich przeszukiwać, tak więc posłużę się, w miarę możliwości, wersją pierwszą, gdy będę poprawiać wersję drugą. Już teraz przypominam sobie, że za współczesny przykład postawy romantycznej, podałem jej Mishimę, a ona napisała, że nie widzę obecnie postaw romantycznych. Zobaczymy. W wielu miejscach widzę, że nieścisłości wzięły się z niezrozumiałości nagrania lub złego usłyszenia. Może nie wiedziała jak się pisze lub kto to był Mishima? Na razie jednak, muszę zabrać się do malowania.

Napisałem do Dmochowskiego z prośbą, by wysłał na jej adres katalogi, gdyż rozmawiałem z nią o tym. Ona też ma napisać, gdyż nie wspominałem jej, że sam napiszę. Myślę, że Dmochowski zniecka nie wścieknie się znowu, chociaż z nim nigdy nic nie wiadomo: może uznać to za oczywiste, lub za powód do obrazy, wytykany mi potem, przy każdej rozmowie przez kilka lat!

2.10.1994

W nocy o godz. 0:09 telefon od Tomka. Zgasiliśmy światło o godz. 23. Miałem wrażenie, że nie mogę zasnąć. W pewnym momencie okazało się, że cholernie mnie boli lewa ręka w przegubie. Chyba od niewłaściwego ułożenia w łóżku... Zacząłem martwić się, że utrudni mi to rano pracę i dobrze, że to nie prawa, ale równie dobrze może się to stać z prawą i co wtedy zrobić. Nagle słyszę, że ktoś gada głośno na parkingu. Pewnie ktoś

przyjechał taksówką i gada z taksówkarzem. Ale to chyba głos Tomka? To po co by gadał z taksówkarzem, przed blokiem, w nocy, na całe gardło? Chyba gada u nas w kuchni. No, ale jak mógł wejść do domu, skoro zasunąłem zasuwę na drzwi? Wszystko ucichło, ale nadal myślę, na wpół obudzony i nagle olśnienie: Reponder w pracowni! Gadał coś na reponderze, a ja nie usłyszałem dzwonka telefonicznego. Może coś się stało? Typowe myślenie babci Beksińskiej pt. „co się stało”. Biegnę do pracowni, reponder miga, włączam i dowiaduję się (telefon jest z Radia, gdzie Tomek ma nocny program), że w programie pierwszym przesunęły się terminy emisji i w związku z tym film „Robocop”, będzie emitowany nie od godziny 23:45 (jak wg jego polecenia zaprogramowałem) lecz za około 20 minut, od momentu, w którym Tomek zadzwonił i jeżeli nie przeprogramuję, to potem końcówka się nie zmieści. O Kurwa mać! Przecież widzieliśmy ten film przed laty! Przecież to raczej gówno! Czy należało mnie budzić w środku nocy? Patrzą i rzeczywiście wideo pracuje, włączam telewizor i rzeczywiście zamiast filmu idą ostatnie Wiadomości. Ponieważ film nagrywać się miał na kasecie jako drugi, nie miałem już zdrowia szukać miejsca na kasecie, w którym zaczęło się nagrywanie, tylko wywaliłem kasetę, wsadziłem inną, nacisnąłem nagrywanie i poszedłem usiłować zasnąć, co było oczywiście prawie niemożliwe. Czyli znowu dzień na straty, bo nie będę mógł wydajnie pracować, gdyż czuję, że jestem niewyspany. Na szczęście okazało się, że ta boląca ręka mi się przyśniła. Po prostu gdy zadzwonił telefon, spałem, śniąc, iż nie mogę zasnąć.

3.10.1994

Obejrzelśmy wczoraj ten film i okazało się, że Tomek go tłumaczył, więc pewnie chciał, bym ten film zobaczył. To wyjaśnia powód dzwonięcia w nocy. Rzecz jasna, że widziałem go na kasecie przed paru laty. Zosia nie widziała.

Siedziałem wczoraj nad korektą wywiadu. Skarżyńska zrobiła dość nieczytelny (usterki techniczne, aliteracje) maszynopis, z pojedynczym odstępem! Zrobienie nawet małej korekty jest prawie niemożliwe! Poprawiam pisownię nazwisk i usuwam tylko ewidentne nonsensy, nie pracując w ogóle nad gramatyką i stylem. Skoro mówię tak chaotycznie, to już niech tak zostanie, ale jak mogę coś poprawić, skoro nie ma miej-

sca, by to wpisać? Kupię dziś czerwony cienkopis, by poprawki rzuciły się w oczy. Pierwszą, wstępną korektę, zrobiłem na kserokopii z jej ksero. Pani Schmidt była wczoraj wieczorem, z kuzynką, u nas. Mamy ją dziś zawieźć do konserwatora, około godz. 13, a o godz. 12: 30 będzie nas oczekiwała przed kościołem Zbawiciela. Znowu niewiele namaluję. Mam szanse popracować tylko do południa.

6.10.1994

Zabrałem się do acrylu 286=PX, ale niewiele zrobiłem, bo zabawiałem się ciągle nowym programem. Od dwóch, trzech dni, jakby początki kataru. Także pokasływanie. Chciałbym zaaplikować sobie szczepionkę przeciw grypową, ale w takiej sytuacji jest to chyba ryzykowne. Na polu zimno jak cholera.

7.10.1994

Nie mogłem spać już od godz. 5 rano. Zażyłem proszki od bólu głowy. Na dworze mgła i plus 0,1° C. Wstałem wreszcie przed godz.7, Zosia jeszcze sobie leży. Pukam w komputer. Trzeba dziś umówić się na przegląd Toyoty po 10.000 km. Obym tylko nie miał początków zaziębienia i kataru, bo coś na to wygląda. Poza tym, od około tygodnia, lub nawet dłużej, mam uczucie lechtotania w głębi gardła lub w tchawicy i stale pokasłuję. Około godz.11 ma przyjść madame Schmidt pożegnać się.

8.10.1994

Hoser pokazał mi wczoraj wieczorem w POLITYCE artykuł, w którym napisano, iż na aukcji w Krakowie mój obraz poszedł za 190.000.000 zł. Ponieważ aukcję prowadziła firma POL-SWISS, to jest to kolejne zagranie Dmochowskiego. Nie zauważyłem tego poprzednio, bo od dwóch dni wolne chwile spędzałem przy komputerze. POLITYKA dała się nabrać, lub artykuł też jest zdalnie sterowany. Oby tylko nie nabrali się na to w Urzędzie Skarbowym... Piotr działa według mnie bez najmniejszego sensu i marnuje tylko pieniądze, których potem brak, by mi zapłacić, bo cała para poszła w gwizdek. Jeżeli w Polsce powstanie rynek sztuki, to nie tędy droga. Jest to zamykanie sobie drogi, bo masa obrazów jest po ludziach i one zatkają - jak mu już pisałem - galerie, o ile tylko udałoby się

je sprzedać. Ale się nie uda. Obraz Turlejskiej leży już przeszło pół roku w Galerii Alicji Wahl i nic. Nie jest to rzecz jasna najlepszy mój obraz, ale Dmochowski też dał na aukcję, obrazy (moim zdaniem) słabsze. Morduję ten acryl, ale ciągle przerabiam, bo nie idzie mi.

9.10.1994

Nad ranem jakiś idiotyczny sen: Dmochowscy przyjechali i Piotr majstruje coś w mojej pracowni. Właściwie nie wiadomo, co robi, ale nie nie wydaje mi się dziwne, a wszystko realistyczne. Jak to się stało, że nie zapowiedział przyjazdu i że przyjechał w terminie, którego ze mną nie uzgodnił? Panika, że zobaczy obrazy, które pragnę ukryć, stojące na półkach, ale widzę, że niczego istotnego, co bym pragnął ukryć, tam nie ma. Jakimś trafem wszystkie istotne obrazy, są pod spodem. Tym niemniej z jego słów pośrednio wynika, że był tu już wczoraj (pod moją nieobecność?). Czy grzebał w obrazach?, co niepokoi mnie, ale dziwnym trafem, nie tak bardzo. Myślę też, że skoro przyjechali już w październiku, to chyba przywieźli nareszcie zaległą forszę. Biorę kamerę, by na wszelki wypadek zarejestrować sytuację i to, co było na wierzchu, ale przez okular widzę tylko jakby światło żarówki, coś tam nagrywam, ale stale jest zbyt mało światła: Dmochowski oświetla to i owo, jakimiś przenośnymi czy przegubowymi lampami, ze zwykłymi żarówkami, więc zaczynam zapalać silne lampy, ale w niektórych brak żarówek, lub są wkręcone słabe (echo wymiany żarówki, w Zosi pokoju, wczoraj wieczorem - nie chciała kontaktować), więc wchodząc na stół, wkręcam inne, ale nie bardzo mogę je znaleźć i kiepsko mi to idzie. Patrzą znowu na obrazy, a Dmochowscy wraz ze mną, są jakby za jakimś ogromnym stołem, na którym leżą chyba grafiki. W pokoju, oświetlonym elektrycznie, nie ma chyba w ogóle okien. Na półce, nad dużą kserokopiarką, na wierzchu, zasłaniając inne, oparty jest obraz, który (jak uświadamiam sobie dopiero po przebudzeniu) z początkiem lat siedemdziesiątych, sprzedany został, na pierwszej wystawie w Niemczech, a stał stale na regale w mojej sanockiej ciemni. Jakoś mnie to nie dziwi, natomiast męczy mnie to, iż nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy u licha go tam postawiłem, bo przecież na wierzchu stał wczoraj poziomo obraz, który właśnie chciałbym ukryć, namalowany w ubiegłym miesiącu. Na ścianach, jakieś moje stare grafiki, wyglądają na drzeworyty,

na półkach już poprzednio widziałem stare, duże rysunki i jakieś ciemne obrazy, których de facto, w ogóle nigdy nie namalowałem, ale we śnie, nie zdaję sobie z tego sprawy. Myślę, jakby to fajnie, gdyby to był tylko sen, ale niestety nie jest, bo wszystko wydaje mi się potwornie realistyczne. Dmochowska wyciąga rękę i zaczyna przerzucać jakieś małe obrazki, które leżą, na szafie obok regału, a stoi ta szafa (pokój w ogóle zrobił się wielki i wysoki jak sala) tam, gdzie mam w rogu pracowni, schówek. Zwracam jej uwagę, że nie wolno oglądać tego co jest ukryte i że nie było takiej umowy, ale ona nagle, jak małpa, wydostaje się na regał (sufit jest chyba na cztery metry nad podłogą) i zaczyna zaglądać, odchylając je, na duże obrazy, które tam leżą (identycznie, jeśli idzie o topografię, jak na regale nad dużą kserokopiarką). Z dołu, ale też z jakiegoś podwyższenia, chcę jej to uniemożliwić, ale ona twierdzi, że musi obejrzeć, więc przytrzymuję ręką, by ich nie mogła odchylić (są wiotkie, jakby malowane na grubym tekstylnym chodniku), mocujemy się i wołam, że w takim razie, jeśli zajrzy, to ja zrywam umowę (co już jest gestem rozpacz, w sytuacji, która wymyka się spod kontroli, po prostu brak mi innych argumentów) i budzę się... Jest godzina 7 rano, za pół godziny wstawanie. Pogoda okropna. Już przed tym, około godz. 5 rano, wziąłem panadol, głowa ćmi nad prawym okiem. Dzień jak co dzień.

Przy śniadaniu, Zosia spytała mnie, co pisałem w pracowni i wyjaśniłem, że zapisywałem sen. Dla kogo to robisz? Hm! Oczywiście dla siebie, tak jak wszystko. Nikt w tym domu nie potrafi obsłużyć komputera. Nikt nie potrafi obsłużyć notatnika elektronicznego CASIO. Nikt nie potrafi obsłużyć video i zobaczyć tego, co nagrałem kamerą. Poza posprzątaniami, upraniem i ugotowaniem Zosia nie ma zamiaru nauczyć się nic. Gdy incydentalnie trzeba coś nagrać na kamerze (a bardzo chciałbym mieć permanentną dokumentację, na której występowałbym sam) muszę za każdym razem długo prosić, po czym tłumaczyć jak dziecku każdy ruch. Tomek potrafi tylko to, co sam robi, oraz zaznaczyć z gazety programy TV, które powinienem nagrać. Jeśli nawet na dyskietkach, czy w notatniku, zostawiłbym jakieś istotne informacje, to nikt, nigdy ich nie odczyta, bo zawsze brak chęci, by nauczyć się to robić, co zajęłoby przeszło pół godziny cennego czasu, a nigdy nie ma czasu.

Na wszelki wypadek, zostawiłem jednak w części „otwartej” komputera i notatnika opis i hasła, na które otwiera się część tajną notatnika, gdzie są wreszcie istotne informacje i partycję w komputerze, gdzie nie zapewne istotnego nie ma, ale są choćby te notatki, które robię. Może to ktoś, kiedyś, oprócz mnie, przeczyta, o ile nie będzie akurat podłogi do umycia, lub nagrań do wynotowania z gazety. O ile oczywiście będzie wiedział, jak brzmiało moje przezwisko ze szkoły.

Przez niemal cały dzień leje deszcz i teraz dopiero okazuje się, że wszelkie uszczelnienia na balkonie są iluzoryczne. Przecieka nie tylko na oknach, które można by zakręcić na amen, na plastelinie i wietrzyć przy użyciu klimatyzacji, którą mam zamiar zamontować, gdy wypłaci mi się Dmochowski, ale chyba także gdzieś na suficie. Przesiąka chyba z balkonu od sąsiada. Jednym słowem trzeba będzie powtórnie wnieść zapas podobrazii do schowka u Stankiewiczowej, bo arkusz folii, który oddziela je od podłogi, może okazać się nie wystarczający, gdy lunie silniejszy deszcz. Deszcz dziś nie jest intensywny ale ciągły. Ciekaw jestem jak jest teraz z tym u Tomka. Na myśl o konieczności ponownego manipulowania podobraziami, robi mi się niedobrze.

Po dłuższej obserwacji sądzę, że być może nie tylko deszcz przecieka, ale też ściekają skropliny wodne z szyb.

10.10.1994

Byliśmy dziś około godz.14 (w sumie, przez prawie półtorej godziny) u pani Anny Koniecznej w Pałacu Prymasowskim, w sprawie ewentualnego dodatkowego wyliczenia do mojej emerytury. Poza tym Zosia chciała się dowiedzieć, czy sama ma jakieś prawa emerytalne. Okazało się, że w razie mojej śmierci, jako wdowa, uzyska 80% mojej emerytury, więc i tak nic więcej nie uzyskałaby sama. Wypłynęła też, poruszona przez Zosię, sprawa emerytury Tomka. Według Koniecznej, Tomek powinien zdobyć zaświadczenie z TV, o tym jakie filmy tłumaczył i kiedy były emitowane, a w oparciu o to, być może uda się jej zdobyć dla niego Ubezpieczenie Twórców, na które wpłacać będzie mógł składki. Byłoby to genialne, gdyby oczywiście Tomek, zechciał załatwić sobie zaświadczenie. Już to widzę! Zosia mnie chciała obciążyć koniecznością rozmowy

z nim, ale chyba tylko po to, by było potem kogo obwinić za niepowodzenie przedsięwzięcia. Niech sama z nim o tym rozmawia. Ja to poprę, ale sam, pierwszy, rozmawiać nie będę. Jest też ewentualność, by ubezpieczyć go w firmie amerykańskiej indywidualnie, tyle, że firma (jak to firma) może zbankrutować. Podobno ZUS w najbliższym czasie, przejdzie na indywidualny rozrachunek, niezależny od budżetu państwa i wtedy na pewno uruchomi ubezpieczenia indywidualne, na żądanie. Ja bym jeszcze na to poczekał, o ile nie wypali sprawa zaświadczenia.

12.10.1994

Napisał wczoraj Dmochowski, pouczając mnie między innymi, jak mam oprawiać, bo moja technika robienia otworu na pasku płyty pilśniowej „nie zdała egzaminu”. Jest to akurat przykład na to, co niejednokrotnie mu opisywałem: że PT użytkownicy eksponując czy pakując obrazy, zawsze wybiorą najbardziej idiotyczne rozwiązanie, ze wszystkich teoretycznie możliwych. Otwór w pasku płyty pilśniowej miał i ma służyć wieszaniu obrazu NA ŚCIANIE W DOMU, a nie na wystawie i niejednokrotnie mu o tym mówiłem. Jest dlatego z tyłu, by przysłonić punkt zawieszenia, o ile tynk został w tym miejscu uszkodzony na skutek borowania dziury. Sam pasek zaś ma na celu przeniesienie naprężeń z listwy górnej na dolną, po to, by cienka rama nie ulegała odkształceniu. Do celów ekspozycji zawsze wbijałem dwa małe gwoźdźdiki po bokach ramy i nie wyjmowałem ich w ogóle, chyba że obraz definitywnie kończył swą ekspozycyjną karierę. Na otworach w pasku z płyty pilśniowej wiszą u mnie w domu obrazy już około 20 lat i nic się nie dzieje. Nie mogę mu tego, w tej formie napisać, bo znowu się obrazi...

Podmalowywuję acrylem kwadratowy olej 287=FQ i notuję dla pamięci, że trzeba zawsze położyć lawkowcem jeszcze jedną warstwę bieli acrylowej flow, gdyż grunt GESSO SPECIAL na ostro zmatowanym podobrazii, stanowi zbyt szorstką powierzchnię. Cholernie źle się pracuje. Próbuję równocześnie odpisać Dmochowskiemu, ale jeszcze nie wiem czy list wyślę.

17.10.1994

Tomek wyjechał wczoraj, około południa, do Krakowa i wraca dziś przed godz. 22. Wczoraj, gdy go odwieźliśmy, pytałem kiedy wróci i prosił, by po niego wyjechać.



Tomek z Mamą, 1963 r.

19.10.1994

Znowu noc zimna, rano jeszcze mróz $-1,4^{\circ}$, ale pogoda słoneczna. Czuję się od rana podle. Tak jakby początki kataru. Nie wiem jak będzie z tą szczepionką. Poczekam jeszcze na cieplejszy moment, chyba że katar się rozwinie, lecz w takiej sytuacji zrezygnuję. W TV zapowiadają ocieplenie. Skończyłem wczoraj obraz i wezmę się dziś za następny.

Rozmyślałem ciągle o kupnie Notebooka. Chyba kupię jednak OPTIMUSA, bo jest najtańszy. Na razie chcę to traktować jako edukację. W tym celu sprowadziłem już wszystkie zaległe numery CHIP i zaprenumerowałem na najbliższy rok, bo wgląda mi, że z tego pisma najwięcej się o PC dowiem. Innego źródła nie mam.

W dzisiejszym numerze WPROST, na ostatniej stronie, reklama nowych notebooków OPTIMUS, z wydajniejszymi procesorami. Super! O rany! W takim razie trzeba będzie się znowu zastanawiać, gdyż nie umiem podjąć decyzji, która i tak będzie, z perspektywy czasu, zła. A jaka będzie cena, tego na razie nie wiem. Wiele rzeczy bym posiadał, gdyby nie to, że zawsze zbyt długo się zastanawiam, czy mnie stać. Choroba ubogich? Przy tak długim zastanawianiu się i przy nieustannym postępie technicznym, zawsze jest się do tyłu, bo zanim podejmę decyzję, powstaje coś lepszego lub też podejmuję ją pięć po dwunastej, gdy rzecz o której marzyłem, okazuje się przestarzała. Tak było z komputerem, na którym to piszę i tak byłoby z notebookiem, o którym od dłuższego czasu myślałem. No, ale ten nowy będzie na pewno cholernie drogi i znowu zacznę się zastanawiać. A potem, gdy już będę o krok od kupna, znowu ukaże się coś lepszego. Czy muszę mieć najlepszy, skoro i tak jest tylko do edukacji? Czy w ogóle duży komputer nie byłby tańszy i lepszy od super notebooka? Tyle, że obawiam się o bóle głowy, w związku z emisją ekranu i nie bardzo jest go gdzie postawić, skoro nie miałby być narzędziem stałej pracy, a tylko edukacji. Przykład kserokopiarek, które obecnie bezużytecznie wypychają powietrze z pokoju, jest tu ostrzeżeniem.

Późnym wieczorem, około godz.21, włączyli grzanie. Łeb mnie boli.

20.10.1994

Spadek wartości USD w stosunku do DM, który nieprzerwanie trwa od kilku już lat, w roku bieżącym przyspieszył, a od paru dni, USD osiągnął już dno. Dziś wart jest prawie 1,5 DM. Jak tak dalej pójdzie, to okaże się, że nie wiadomo po co, odkładałem pieniądze, z myślą o zabezpieczeniu Zosi, bo i tak będzie się musiała (gdy się przekręcę) utrzymać za 80% mojej emerytury, gdyż wszystkie dolarowe oszczędności, mogą spaść do poziomu lira lub dinara.

Pod wieczór katar się rozrasta. Smarkanie, z nosa się zaczyna lać. Biorę ciągle Enteric Coated. Chciałbym jutro, pojutrze i w niedzielę nie wychodzić z domu, ale Zosię tak boli noga (od maści na odciski, ma poranione palce), że będę musiał jednak rano pójść po zakupy. Tomka nie ma nawet co prosić. Najgorzej, że to utrudnia, lub wręcz uniemożliwia pracę, a poza tym na pewno przerzuci się za kilka dni na gardło. Ze szczepionką, nie ma nawet co zaczynać.

21.10.1994

Po powrocie z zakupów, nie będę już wychodził. Katar coraz silniejszy. Może uda się jutro w ogóle nie wychodzić, gdyż kupiłem więcej bułek, by starczyło do poniedziałku. Pogoda piękna, ale zimno i zimny wiatr.

Dziś minęła „wczesna jesień”, zadeklarowana przez Dmochowskiego, jako ostateczny termin wypłacenia zaległej forsy. W swej naiwności i w swych planach, datowałem ją na 30 września. Zobaczymy, do kiedy to w rzeczywistości potrwa. I tak będzie później twierdził, że wywiązał się „przedterminowo”, chociaż według umowy sprzed dwóch lat (odsuwającej płatność na kwiecień 1994), miał mi płacić jeszcze w kwietniu. Wystarczy, że za tydzień czy dwa napisze, że w związku z trudnościami, wypłaci forszę dopiero 20 grudnia, a potem (w wyniku np. wcześniejszego przyjazdu) wypłaci ją 18 grudnia. Od tej pory, po wieczne czasy, będzie się to już nazywało, że wypłacił się „jak zwykle przedterminowo”. Tak już przecież było w latach poprzednich.

22.10.1994

Nadal czuję się nędznie. Na dodatek Enteric Coated szkodzi mi jednak

na przewód pokarmowy: mam sraczkę i bóle w brzuchu. Od wczoraj wziąłem już tylko raz, dziś rano około godz. 5:30. Wczoraj próbowałem przez jakąś godzinę czy dwie pracować, ale nie było to wiele warte. Dziś chyba nic nie będę robić i nie wyjdę ani dziś ani jutro z domu. Pogoda ciągle wspaniała, ale zimno jak cholera. Dzwonił wczoraj wieczorem i nagrał się (oglądaliśmy film i nie chciało mi się przerywać) jakiś facet z Rzeszowa (Mariusz Mika), że zakładają w Rzeszowie pismo kulturalne „by rozruszać środowisko” (już ja to widzę) i że chcieliby przeprowadzić rozmowę ze mną. Będzie dzwonić jeszcze jutro. Może zaproponować mu pytania i odpowiedzi w liście lub listach? Nie mam już siły na poprawianie tych cholernych wywiadów, które właściwie trzeba by zawsze przepisywać od nowa.

Wbrew zastrzeżeniom, pracowałem jednak przez parę godzin nad obrazem acrylowym i skończyłem go około godz.15. Katar ciągle ostry. Obecnie Zosia wietrzy mieszkanie, po wylaniu przeze mnie kibla babuni, a ja schowałem się w swojej pracowni.

23.10.1994

Rano: Katar przerzuca się na uszy i na gardło. Od wczoraj, przez całą noc, narasta lechotanie i napady kaszlu. Nie mogłem zasnąć, ssalem NITROFURAZON i CHLORCHINALDIN. Katar, jakby o odrobinę gęściejszy. Pogoda się pogarsza, ale równocześnie pojawia się ocieplenie. Rano na dworze +5,9°. Nie wiem już, co robić? Może Zosia ma rację i należy wleźć do barłogu? Ale co na Boga, będę przez cały dzień robił? Nie mam nawet nic do czytania.

Godz.9: Katar i kaszlanie coraz silniejsze. Dołączyły się napady kichania. Zużywam chusteczkę za chusteczką. Włazę jednak do łóżka.

24.10.1994

Przez cały wczorajszy dzień leżałem. Rano po godz. 9, (chyba po zażyciu Enteric Coated) wystąpił nagły, dosyć silny ból, jak przy ataku wątrobowym. Trwał ca 30 do 60 sekund Obróciłem się na lewy bok i minął. Przed południem dużo spałem, potem do wieczora czytałem

jakieś brednie (Ludlum). Wieczorem zacząłem się pocić. Stan podgorączkowy. Noc koszmarna. Ze względu na pocenie się, spaliśmy przy zamkniętym oknie i otwartych drzwiach do innych pokojów. Nie mogłem zasnąć do godz. 2 lub dłużej. Potem było już lepiej, teraz z rana znowu ataki kaszlu i smarkanie. Zostaję dziś w łóżku. Wczoraj wieczorem dzwonił Mika i umówiliśmy się roboczo na sobotę rano ok. godz. 9, z tym że ma jeszcze w piątek zadzwonić i potwierdzić, bo nie wiem jak ze mną będzie. W rezultacie zaakceptowałem rozmowę, bo twierdził, że rozmowa pozwala przekazać, naturalny sposób wyrażania myśli przez indagowanego. Nie napawa mnie entuzjazmem mój naturalny sposób, szczególnie że mam już doświadczenia, co z tego wyjdzie po „wyprostowaniu”.

Leżę non stop do wieczora. W tej chwili Zosia wietrzy, bo w pokoju śmierdzi jak w stajni. Ja też cały śmierdzę. Trzeba mieć końskie zdrowie, by chorować. Czuję się potwornie wymęczony łóżkiem. Inna rzecz, że gdy byłem naprawdę chory, przed dwoma laty na wątrobę, to leżenie mnie tak nie męczyło. Jednym słowem łóżko tylko wtedy, gdy jest się chorym ciężko! Przebrnąłem przez kretyńskiego Ludluma, zaliczyłem „Doktora Strangelove”, który okazał się przeciętnym gównem - po ekstazach Tomka i Shawna spodziewałem się raczej czegoś w rodzaju Vonneguta. Inna rzecz, że oni rozpływali się nad filmem Kubricka, a nie nad książką. Teraz przegryzam horror „Miasteczko Salem” Stephen Kinga, rzecz zaskakująco dobrze napisaną - wyobrazałem sobie książki Kinga (może pod wpływem filmów) jako coś w rodzaju Ludluma, tymczasem to całkiem przyzwoita literatura, masę obserwacji amerykańskiej prowincji, charakterystycznych postaci... Fajnie się to czyta. Jutro jednak wstaję, przynajmniej ubiorę się i będę polegiwał, ale i spróbuję coś zrobić.

25.10.1994

Wstałem i staram się uaktywnić. Przyszedł wczoraj list od Jurka, w sprawie zaświadczeń do emerytury. Jak widać z niego to chyba w 1956 nie byłem jeszcze (jak mi się wydawało) przez cały rok członkiem ZPAF, a tylko od września, ale Jurek pisze, że Rudak mógłby mi wystawić zaświadczenie, iż od 1954 byłem członkiem PTF i oni w ZPAF zaliczą mi

to do okresu pracy twórczej. Napisałem więc teraz do nich obu.

26.10.1994

Wczoraj wieczorem, odstawiłem Enteric Coated i wykąpałem się. W nocy miałem dwa czy trzy cholerne napady kaszlu, ale poza tym czuję się już OK. Z nosa się już nie leje, tylko w gardle stale łechoce, ale mniej niż przedwczoraj. Biorę syrop. Zosia przygotowała mi poduszkę na tapczanie, ale chyba wezmę się już do pracy. Najpierw jednak odpiszę parę słów Oli, bo kartka od niej, leży tu już od ponad tygodnia, a potem spróbuję coś malować. Pogoda denna, ale nieco jaśniej niż było wczoraj. Do końca tygodnia, po zakupy chodzić będzie Zosia.

Godz. 14:20. Próbuję od dłuższego czasu zabrać się do pracy i nareszcie zacząłem acryl z twarzą z profilu. Mam jakby kilka możliwości startu i jedną z nich jest ta twarz, która w założeniu ma być w tej samej serii, co trzy acrylowe twarze, poprzednio namalowane: Rzeźbiarska bryła, z małą ilością detali. Mam jednak jeszcze dwie inne serie w głowie: Jedna (już rozpoczęta trzema ostatnimi olejami) to podmalowywanie wyraźną siatką czarnych i białych linii acrylowych i potem praca w oleju, tak, aby te linie częściowo pozostawić widocznymi. Tło byłoby neutralne. Druga to siatka linii wraz z tłem i wyodrębniona postać lub twarz malowana (być może bardziej jaskrawo) olejem, ale tak by siatka w większości została widoczna. Pozwoliłoby to na większą ekspresję. Na razie wziąłem na warsztat acrylic, bo jestem jeszcze słaby i chciałbym czegoś, po czym pojedę utartym szlakiem, trochę jak po asfalcie. Nie miałem też siły gelować obrazów przed rozpoczęciem następnego, tak jak to sobie postanowiłem i jak robiłem od dłuższego już czasu.

Przyszedł nowy wymiar emerytury, wyliczony w ZUS w odpowiedzi na pismo, które wniosłem 11 bm. Moim zdaniem albo nie doczytali tego pisma do końca, albo przyjdzie jeszcze jeden, uzupełniający wymiar (w wyniku sprostowania błędu popełnionego poprzednio przy naliczaniu), albo ja z tego nic nie rozumiem. Emerytura wzrosła mi o mniej niż 100.000 zł, a policzyli raptem o jeden rok więcej niż było poprzednio, mimo iż była podstawa do policzenia o 5 lat więcej. Wygląda na to, że

zaliczyli tylko to, co było w książeczce ubezpieczeniowej z czasów pracy w budownictwie, a nie policzyli w ogóle tych 4 lat, których poprzednio omyłkowo nie zaliczyli (z mego stażu pracy jako plastyka). Trzeba chyba będzie, jeszcze raz wnieść pismo, ale najpierw muszę skonsultować się z Konieczną, co uczynię po Zaduszkach, bo miała jechać na Zaduszki do Krakowa. Może zresztą tak ma być, a może policzyli oddzielnie z książeczki, a oddzielnie przyjdzie poprawienie poprzedniej omyłki w wyliczeniu stażu jako plastyka? Jeśli idzie o takie grosze, to w ogóle szkoda czasu, który poświęcamy na to bieganie. Tym niemniej nikt nie wie, jaka będzie przyszłość. Może w ogóle na tym tylko zostaniemy? Na Dmochowskiego nie można liczyć jak na pewniaka, bo gdy np. straci forszę, to i tak wszystko padnie. Dolar spadł tak nisko, że uwierzę już teraz, iż jego spadek w przyszłości może być wręcz nieograniczony. Może tak ma być, abyśmy zostali na starość bez pieniędzy?

Dozorczyńni przyniosła pismo, że od 1 listopada czynsz wzrasta do 2.384.800 zł.

Wieczorem dzwonił dobrodziej z Rzeszowa, że 9 listopada przyjedzie ktoś od Stowarzyszenia Brata Alberta do „pana profesora” i czy dalbym „rysunczek” na aukcję na rzecz biednych i czy chciałbym przyjechać na spotkanie. Od spotkania się wykręciłem, rysunczek obiecałem. Będą też u „profesora Starowieyskiego” i „profesora Stasysa”. Hundertzwanzig Professoren...

27.10.1994

Nie mogłem wczoraj zasnąć. Kotłowałem się do godz. 2:30, tzn. na pewno dłużej, ale ostatni raz spojrziałem na zegar o tej właśnie godzinie. Jestem dziś rano, kompletnie zeszmacony. Nie wiem czy potrafię pracować. Gardło ciągle lechoce, ale poza tym jest ogólnie już dobrze.

Tak sobie teraz pomyślałem, że Dmochowska przywiezie mi forszę w okolicy Zaduszek, bo chyba w związku z Zaduszkami będzie w Polsce. Tak więc już chyba za dni kilka. Stale lękam się, że Piotr coś wyglówkuje, by mi nie płacić, lub odwlec jeszcze termin zapłaty, lub wymyślić jeszcze jakiś trick. Chyba już jednak za późno na instalowanie klimatyzacji, co odkładałem do momentu otrzymania forsy. Trzeba będzie poczekać do

wiosny.

Godz: 14:00. Na wszelki wypadek pozasłaniałem obrazy na stojakach, chociaż jest to już klasyczna paranoja: obawiam się, by nagle Dmochowscy nie pojawili się w progę, jak w tym śnie sprzed dwóch czy trzech tygodni. Pojutrze ma tu być Mika z Rzeszowa w sprawie wywiadu, więc i tak trzeba będzie coś odsłonić. Myślę, że i tak najpierw zadzwoni Dmochowski z Paryża i zapowie żonę, potem zadzwoni ona z Polski i umówi się na termin, lub u Nalewajków. Na Okęciu boję się przejmować gotówkę.

28.10.1994

Znowu nie mogłem zasnąć, chociaż nie tak długo jak w dniu poprzednim. Nie kładłem się wczoraj ani po południu ani wieczorem, więc nie wiem, co się dzieje. Dziś nad ranem, znowu śnił mi się Dmochowski, który przyjechał i wparował do środka bez zapowiedzi, w momencie, gdy moje stare obrazy, wydobyte na okazję demonstrowania ich komu innemu (Mika?), rozścielone były, po całej mojej pracowni (jakaś w ogóle inna i dziwna pracownia). Wśród nich też ten sam duży obraz, co w poprzednim śnie, sprzedany jeszcze z Sanoka w Karstadt. Wiedziałem, że to on, ale wyglądał całkiem inaczej. Wszystkie obrazy zresztą, płynnie się zmieniały i w ogóle takich nigdy nie malowałem. Ktoś (chyba Tomek) wnosił z zalepca, bez mojej zgody, jakieś inne, nieznanne, podobno stare. Rano nos zatkany, kaszlę, ale nie jest chyba generalnie gorzej. Pogoda pochmurna.

Do zmroku piłowałem ten sam acryl z twarzą z profilu.

Godz.18:45. A więc moje najgorsze przewidywania się sprawdzają. Przed chwilą z Paryża dzwoniła Dmochowska, że będzie jutro około godz. 21 na Okęciu z „częścią” pieniędzy, które mi przekaże, a Piotr ma do mnie na ten temat napisać z wyjaśnieniami. Jak widać, Dmochowski chyba bał się sam do mnie zadzwonić. Boże mój! Miał być zgodnie z umową kwiecień, potem „nie wcześniej niż wczesną jesienią” (ale w domyśle, nie później), potem „w ciągu dwóch najbliższych miesięcy” od 3 września, a teraz (gdy właśnie miną te dwa najbliższe miesiące), będzie „część”, nie pyta-

lem nawet jaka. Już widzę, że trzeba będzie coś wymyślić na przyszłość, bo nic nie wskazuje na to, by miało być lepiej, skoro nawet tak małych pieniędzy i to po okresie nieomal trzyletniej przerwy (dwa lata i cztery miesiące zgodnie z umową, plus pół roku zwłoki) nie jest mi w stanie zapłacić. To czym na Boga zapłaci, za nieco więcej niż rok od dziś, gdy pod koniec grudnia 1995 minie następny termin i będzie minimum 24 obrazy do zapłacenia i słowo daję: nie dam ich już za tak zaniżoną cenę jak dałem obecnie (bez rewaloryzacji i z wysysanym z palca współczynnikiem inflacyjnym). Czy znowu na te pieniądze czekać będę dodatkowy rok? Chyba nawet półtora lub dwa! Ekstrapolując: nasza spółka zawali się chyba finansowo za dwa lata, niczym były ZSRR i nie będzie czego zbierać, ani za co żyć, ani, co gorsza, z czym startować gdzie indziej. Dobrze jednak robię, że ukrywam obrazy dla siebie. Należy przemóc wyrzuty sumienia, bo inaczej stracę wszystko i to nie tylko za grosze, ale za darmo, a Zosia w perspektywie, zostanie pensjonariuszką jakiegoś darmowego domu starców, na samym dniu społecznego upadku.

Okolo 21:30 zadzwonił, tak jak byliśmy umówieni, Mariusz Mika. Przyjdzie jutro okolo godz. 9 rano. Przygotowałem już sprzęt do nagrywania, ale od razu mu się przyznam, że nagrywam, aby nie było równie głupiej sytuacji, jak z wywiadem dla „Rzeczpospolitej”. Wydobyłem niektóre obrazy z ukrycia i zrobiłem okolicznościową dekorację.

29.10.1994

Znowu nie mogłem zasnąć i kotłowałem się przez przeszło 2 godziny. Nie wiem, co się dzieje. I ten ból głowy co noc, od przeszło dwóch lat! Nieustannie w nocy tankuję się paracetamolem. Dziś też. Muszę go odstawić. Ból nie jest aż tak silny. Może wstawać, gdy nie mogę spać i coś robić? Czekam na tego Mikę. Znowu słaby deszcz, ciemno i ponuro. Pewnie nie skończę jak zamierzałem acrylu, lecz będziemy musieli, po wyjściu Miki, pojechać na Okęcie, bo jeszcze na tym nowym terminalu w ogóle nie byłem i zobaczyć przy świetle dziennym, czy w ogóle jest tam szansa na zaparkowanie. Trzeba było Dmochowskiej zelgać, że leżę w łóżku. Zresztą do poniedziałku miałem nie wychodzić...

Po rozmowie z Miką, który przybył z punktualnością kwarcowego zegarka i był sympatycznym młodzieńcem o orientacji katolickiej, (moje nagranie, o którym go uprzedziłem, trwało około 2 godz. i 20 minut, on też nagrywał na reporterskim Panasonicu), pojechaliśmy na Okęcie, by zorientować się jak jest z parkowaniem. Dawny parking, pozostał bez zmian, tylko dojazd do niego jest via nowe „przyloty”. Będzie kawałek do dojścia na piechotę, ale myślę, że moje zaziębnienie to zniesie, o ile do godz. 21, pogoda się nie pogorszy.

Mimo senności i ponurej pogody, około godz. 15:45, dopiłowałem jednak do końca acryl 289=BW. Nie jest to dzieło mego życia. Denerwuję się przed spotkaniem z Dmochowską. Na pewno dostarczy mi też list od Dmochowskiego. Denerwuję się, przewidując to, co mógł wygłótkować. Może niesłusznie, może niepotrzebnie. Obawiam się jednak, że tym razem zmusi mnie do postawienia na wokandzie sprawy rozwiązania umowy, bo zaczynam podejrzewać, że nie zechce mi w ogóle zapłacić za te obrazy we Frankach, argumentując tym, że umowa daje mu takie prawo, ale nie nakłada na niego takiego obowiązku. Jeśli tak postawi sprawę to zerwę umowę, nawet tracąc wszystko co stracić będąc musiał. Może dzięki temu odzyskam spokój?

Znowu przed godz. 18 pozakrywałem wszystkie obrazy. Ja chyba kompletnie głupiej lub traktuję to jako zabawę z cieniem.

30.10.1994

Byliśmy wczoraj na Okęciu. Odebrałem od Dmochowskiej, która pojawiła się nawet wcześniej niż zapowiedziała, list i pieniądze („brakuje tam 50 \$”, powiedziała) oraz informację, że będą tu na Boże Narodzenie. Z tej zapowiedzi domyśliłem się, że będzie to 4.000 \$, za 3 dodatkowe (od stycznia 94 do kwietnia 94) obrazy „ryczałtowe” (bo należało się 4.050.-), oraz że resztę płaconą frankami, dostanę na Boże Narodzenie. Nie otwierałem listu wieczorem, nie chcąc się denerwować przez noc tym, co Dmochowski wymyślił, bo obawiałem się, że jednak coś wymyślił. Teraz rano po śniadaniu, otworzyłem i krew mnie załala, bo wymyślił jeszcze coś innego niż przewidywałem: Przyjadą na Boże Narodzenie

i otrzymam należność we frankach, tylko za 5 obrazów, a za następne 5 otrzymam „prawdopodobnie dopiero wiosną”. PRAWDOPODOB-NIE!!! Uzasadnia to wydatkami, jakie miał na ramy w związku z nadchodzącymi wystawami w Polsce. PRZECIEŻ WIEDZIAŁ O TYCH WYSTAWACH PRZED ROKIEM, GDY USTALALIŚMY WARUNKI PŁATNOŚCI! NIE SPADEŁ MU Z NIEBA!

Dmochowska podobno, jak zrozumiała ją Zosia, wpadnie tu do nas w czwartek po Zaduszkach. Mnie się wydawało, że mówiła, iż będą tu na Boże Narodzenie. Tak czy siak, nie z nią powinienem na ten temat rozmawiać, tylko napiszę jednak do Dmochowskiego cierpki list. Ciekaw też jestem, jak wyobraża on sobie płacenie w następnej turze za najbliższy rok z kawalkiem. Czy też zwlekając przez rok lub nawet dłużej, do ostatniej chwili utrzymywać mnie będzie obietnicami, a za pięć dwunasta powie „przykro mi ale nie mam forsy”. Określenia „przykro mi” rzecz jasna nie użyje. Teraz też nie napisał choćby „przepraszam”. Cham zawsze zostanie chamem.



Zofia, fot. Z. Beksisński, lata 50.

Bardziej kaszlę. Zdaje się, że wczorajsza eskapada na lotnisko nie wyszła mi na zdrowie.

Godz. 11:30.

Odpisałem Dmochowskiemu. Dałem do przeczytania Zosi i ona uważa, że dobrze napisałem. Zobaczmy, jaka będzie reakcja. Nie wiem, czy list wysłać pocztą, czy też czekać na to, że Dmochowska do nas w czwartek przyjdzie. Poczta odszedłby jutro i może byłby w Paryżu wcześniej. Podanie przez Dmochowską, w nie zaklejonej kopercie, miałyby ten plus, że przeczytałaby to, co tam piszę, bo mam wrażenie, że Dmochowski ukrywa przed nią, bardziej niewygodne dla siebie, moje listy. Chyba jednak wyślę pocztą, bo inaczej zacząłbym coś zmieniać, a praktyka dowiodła (listy z przełomu lutego i marca br.), że pierwsza wersja jest lepsza, niż wersja wielokrotnie wygładzana. Poza tym, ona może w czwartek do nas nie przyjść, a list wysłany pocztą odejdzie już jutro. Rozboliła mnie od tego głowa i nadal coraz silniej kaszlę. Rezygnujemy z cmentarza. Bez sensu jest kilkugodzinne kotłowanie się na zimnie i mżawce.

Przerobiłem jednak list do Dmochowskiego. W jednym miejscu byłem niecisły, jeśli idzie o daty. W interpretacji Dmochowskiego (nie odbiegającej stylem od interpretacji Falandysza), mogłoby to się stać: „jaskrawą nierzetelnością, ocierającą się o celowe fałszowanie danych, co całkowicie z punktu widzenia prawnego dyskwalifikuje, treść dokumentu” i tak dalej i tak dalej. Jakość i styl okazjonalnego, pseudo prawniczego belkotu, który potrafi on wyrzucać z siebie, jak nadepnęta purchawka, jest mi doskonale znana.

Myślę ciągle nad tym, jak mam postąpić i właściwie to mógłbym Dmochowskiemu zaproponować zawieszenie umowy, podobnie jak określa to jej punkt 18, tyle że z nieco innych powodów i bez powoływania arbitrów, po prostu za obopólną zgodą. Zgodnie z jego interpretacją (wyartykułowaną w liście z 20 kwietnia 1992), której zaperzony bronił w trakcie swego pobytu w Warszawie, ja z umowy czerpię wyłącznie korzyści, a on wyłącznie obciążenia. Zawieszenie na okres, w którym nie będzie mieć pieniędzy, pozbawiłoby tylko mnie korzyści, natomiast jego wybawiłoby z kłopotów, bo korzyści przecież żadnych nie ma. Ja mógłbym przez czas

jakiś poczuć się człowiekiem wolnym. Do rozważenia.

Godz. 23:30. Jeszcze raz podretuszowałem list do Dmochowskiego. Jutro jedziemy z Tomkiem wybierać mu odsetki z banku i kupować dla niego tapczan (zadzwoił pt: „chciałbym...”), więc list nareszcie wrzucę. Najgorsze, że z moim gardłem jest kiepsko.

31.10.1994

Znów nie mogłem spać. Na pewno do godz. 3 nie spałem, a potem na wpół spałem. Rano zbudziłem się około godz. 6. Jeszcze raz podretuszowałem list do Dmochowskiego i dałem teraz Zosi, by go (idąc po zakupy) wrzuciła do skrzynki, bo w przeciwnym razie przerabiałbym jeszcze z pięć razy. Deszcz siąpi non stop, poza tym wiatr, ale trochę cieplej. Gardło lechoce przez całą noc i teraz. Jeśli sklepy nie będą dziś pozamykane, to pojedziemy po godz.13, kupować tapczan dla Tomka i wybierać odsetki z jego konta. Boże, czy choćby odsetek nie może sobie wybrać sam? Już raz to z nim przeciwczyłem. Tyle umiem co i on.

Nie chciałem się w czwartek widzieć z Dmochowską, bo w sposób nieunikniony, doszłoby do rozmowy, na temat tego, co napisałem w liście. Myślę, że można przez telefon zelgać, iż leżę ponownie w łóżku. Poprzednio na Okęciu powiedziałem, że dopiero wstałem. Zresztą lichy wie czy po dzisiejszym lataniu po mieście nie położę się naprawdę...

W związku z niewypłacalnością Dmochowskiego, skreślam w dniu dzisiejszym wszelkie marzenia na temat OPTIMUSA i klimatyzacji. Nadchodzą dla ciebie ciężkie chwile Obsiatku...

Godz.17:30. Czuję się ogólnie bardzo nędznie. Gardło niemilosiernie lechoce. Nie wiem jak zasnę i czy zasnę. Pewnie znowu nie będę mógł zasnąć. Wróciłem do syropów oraz środków wykrztuśnych i przeciwkaszlowych. Jutro jednak mam zamiar wziąć się w garść i przystąpić do pracy. Ciekaw jestem, czy list do Dmochowskiego wyjęto dziś ze skrzynki? Jeśli nie, to poleży w niej przez całe Zaduszki, aż do czwartku. Jeśli brać pod uwagę taką ewentualność, to Dmochowski dostanie go w przyszłym tygodniu, około środy, a ja odpowiedź od niego (o ile odpowie) najwcześniej

dopiero około 15 listopada. Należy jednak unikać podnoszenia telefonu w przyszłym tygodniu od wtorku, bo gotów w sposób niekontrolowany nawrzucać mi inwektyw. Wolę, aby napisał.

Przed pójściem spać, gardło nadal bez zmian. Dodatkowo, począwszy od południa, wrażenie jakby powracał katar. Na dworze ciepło. Zażywam także Enteric Coated.

1.II.1994

Rano, po obudzeniu, czuję się ogólnie nieco lepiej. Kaszel też jakby nieco mniejszy. Swoją drogą, że ładuję się od wczoraj środkami przeciw kaszlowymi i Enteric Coated, które od dziś będę brał 3 razy dziennie, przy jedzeniu, po jednej tabletkce, niejako profilaktycznie. Znowu nie mogłem zasnąć! Na pewno nie spałem do godz. 2:15, potem chyba zasnęłem na około pół godziny (ale nie jestem tego pewien, być może nie spałem do 2:45 - w każdym razie miałem wrażenie, że leżę non stop), potem spałem już z przerwami do rana. Nie wiem, co to jest. Nie czuję się ani pobudzony, ani zdenerwowany jakimiś myślami. Po prostu leżę i nie chce mi się spać. Pojawia się więc następną atrakcją wieku podeszłego.

Zosia radziła, bym został w łóżku, ale mam zamiar dziś zacząć pracować. Zobaczymy, czy nie skończy się na zamiarze.

Okolo godz. 9, zadzwoniła żona Jerki (widocznie jest w Warszawie), że jakiś amerykański wydawca, zapewne ten który wydał album Jerki, chce wydać mój album i koresponduje w tej sprawie z Dmochowskim. Podobno Dmochowski do niego napisał w tej sprawie, biorąc adres z albumu Jerki. Pytała, jakie prawa autorskie ma Dmochowski, bo wg. tego, jak normalnie to wydawnictwo płaci, autor otrzymuje 20%. Powiedziałem jak wygląda nasza umowa, że pełne prawa na cały świat z wyjątkiem ZSRR i Krajów Demokracji Ludowych, ma Dmochowski. Kwestią do interpretacji jest - jak sobie teraz myślę - jak należy rozumieć podział świata po upadku komunizmu. Czyżby mi zostały tylko Chiny, Korea Północna i Kuba? Dmochowski tak to zapewne będzie interpretował, ale nie to stanowi teraz problem. Ona wyraźnie naciskała, bym zawarł jakąś separatystyczną umowę z tym wydawcą, który jest ich znajomym. Tego nie uczynię. Po

pierwsze nie mam slajdów. Po drugie, jeśli nawet Dmochowski weźmie całą forszę, to ja i tak zyskam propagandowo i ktoś może zechce zrobić moją wystawę w USA. Przypomniałem jej, że moje obecne prace są inne. Zresztą mają mój nowy album, nie wiem jednak jaki album widział ów wydawca. Podobno dostał go od Dmochowskiego i podobno jest on po niemiecku. Może to katalog Hartla? Upoważniłem ją do udostępnienia moich namiarów owemu wydawcy, ostrzegając, że nie umiem po angielsku. Podobno on mógłby naciskać Dmochowskiego, że spiszę tą umowę pod warunkiem, że ja otrzymam 20%. Nie miałbym nic przeciw temu ale Dmochowski na pewno będzie miał. Chyba, że finansowy nóż na gardle, uczyni go podatniejszym na negocjacje. Poczekam zresztą i zobaczę, jak zareaguje na mój wczorajszy list.

Nie jest wykluczone, że jest to zdalnie sterowana próba, wepchnięcia kija w sprychy i rozwalenia naszego układu. O ile tak jest, to oni na pewno tego nie zaplanowali, bo (sądząc po opowieściach jego żony) sprawiają wrażenie życzliwych i trochę naiwnych.

Żona Jerki powoływała się też na to, że mój obraz sprzedano ostatnio za 190.000.000 zł. A więc są i tacy, co dali się nabrać.

Rozważając, nie wykluczam, że strategia Dmochowskiego polega właśnie na tym, by doprowadzić do sytuacji, w której wydam wszelkie oszczędności i nie mając zaplecza finansowego, stanę się bardziej ugodowy i będzie można mną manipulować. Przecież systematycznie mnie w tym kierunku popycha! Do tej pory jakoś o tym nie pomyślałem, a to może być przemyślana strategia: Jeśli przeciągnie spory finansowe przez trzy lata, cykając mi głodowe dawki gotówki, to opierając się na swoim własnym sposobie życia (way of life), może na to liczyć. Przecież wszystko, co zyskał na Japończykach, wysypał w ciągu trzech lat, co do grosza, sądząc, że potem jakaś nowa forsa „musi” mu wpaść, a ona nie wpadła.

Może też liczyć na to, że w ciągu nadchodzących trzech lat przekręcę się, a Zosia będzie łatwiejsza do finansowego urobienia. Jest to o tyle racjonalne przewidywanie, że uświadomiłem mu historycznie uwarunkowaną prawidłowość, iż w którymś momencie przestanę się liczyć (nawet jeśli zejdem z tego świata) i powtórnie zacznę (o ile) dopiero po ca 50 latach leżakowania na strychu lub za szafą, oby nie w piwnicy. Tak więc może

zakładać, że uda mu się, po mojej śmierci, kupić pozostałe obrazy za grosze (bo rodzina będzie bez forsy) i uzupełnić kolekcję, bo on nie liczy na doraźny zysk finansowy. W każdym razie wyraźnie widać, że gra na zwłokę.

Powyższe myśli, to już paranoja. Dmochowski po prostu nie ma forsy i już. On nie bardzo jest zdolny do szachowego planowania, na kilka ruchów naprzód. Boże, jak mam uwolnić swoją głowę od tego Pacana? Zerwanie z nim, pomogłoby mi odzyskać spokój...

Oczywiście dziś znowu wyretuszowałbym, wysłany wczoraj list. Zrobiłem zresztą wczoraj fatalny (stylistycznie) błąd, na skutek retuszowania i drukowania na gwałt, by jeszcze Zosia wzięła go i wrzuciła, idąc po zakupy. W przedostatnim zdaniu, wypadło słowo „jednak”. „Nie jestem JEDNAK figurką do odstrzału...”. Inaczej, zdanie to, nie wiąże się z poprzednim. Wszystko z nieustannego wylizywania, by było „idealnie”, a wtedy właśnie robią się takie błędy. W liście z dnia 6 marca, który stał się kamieniem obrazu, również niejasności, o które zaczął się czepiać Dmochowski w swym telefonie, wynikały z wielokrotnego upraszczania, by tekst był bardziej przejrzysty.

Podmalowałem jednak olej 290=YG. Twarz z profilu, format 98 na 98. Od spodu ostre linie czarną acrylową, tak jak na kilku poprzednich obrazach. Cholernie jestem słaby i bez przerwy się pocę. Zosia też na to narzeka. Być może na skutek działania Enteric Coated.

2.II.1994

Malowałem do godz.12:15, z nędnym skutkiem, po czym wymyłem pędzle i przygotowałem się do wyjazdu. Przyszedł Tomek, zjadł obiad, po czym okazało się, że najpierw mamy jechać do Telewizji, gdyż ma tam pójść do kasy i pobrać zaległe honoraria.

Tekst przez dwa dni osiągnął rozmiar 13K. Myślę, że będę wypełniać dokument tak długo, aż do 32K i potem otwierać i numerować następny, oznaczając je jak dotychczas cyframi, z tym, że nie dzieląc równo w dekadzie lub w połowie miesiąca tylko dopiero wtedy, gdy będzie około 32K.

3.II.1994

W nocy, o godz. 2:25, położyłem się po powrocie z WC i gdy leżąc na lewym boku, usiłowałem zarzucić na plecy koldrę, zaczął się potworny zawrót głowy. Wszystko wirowało w poprzek, tak że miałem wrażenie, że odczuwam w głowie przeciążenie, typowe dla szybkiego ruchu. Trwało to przez kilkanaście lub kilkadziesiąt sekund i po przewróceniu się na wznak, powoli minęło. Zamykanie i otwieranie oczu, niczego nie zmieniło. Wpadłem w panikę, że będę mieć jakiś wylew. Około godz. 23, przed snem, zjadłem pół bułki z wędliną, bo byłem głodny. Nie jadłem kolacji, bo obiad był około godz.16. Czy to mogło zaszkodzić?

Dziś rano, znowu bardziej kaszlę i z nosa jakby zaczęło się lać. Czyżby wczorajszy wyjazd zaszkodził mi tak samo jak wyjazd po Dmochowską na lotnisko? To wygląda jak jakaś forma grypy i należy zapewne przeczekać ją w domu. Zosia dziś znowu pójdzie po zakupy, ale myślę, że od jutra zacznę chodzić ja. Jej też przecież z nosa się leje, tyle że nie kaszle.

Nie będę się jednak chował przed Dmochowską, o ile dziś zadzwoni. Jeżeli zechce przyjść, to niech przychodzi. Gdyby o to pytała, to powiem, że pisałem do Piotra i powiem co pisałem.

Podniosłem słuchawkę, bo myślałem, że to Dmochowska, a tymczasem zgłosiła się Januszewska-Skreiberg, że jest w Warszawie i czy może przyjść jutro. Umówiliśmy się na godz. 16. Boże przenajświętszy! Od jej entuzjazmu, to już nic nie jest mnie w stanie wyzwolić; choroba, o której zaraz powiedziałem, jej nie odstraszyła. Chce mi przynieść „Przekrój”, a w „Żołnierzu Polskim” jest „przepiękny” artykuł (na mój zapewne temat). Jeśli przepiękny, to sama zapewne jest jego autorką. Trafiam pod strzechy: „Uroda”, „Pani”, „Żołnierz Polski”, brakuje jeszcze „Hodowcy drobnego inwentarza”, naczelnego organu gołębiarzy.

18:15. Dmochowska już chyba odleciała. Nie dzwoniła do nas, a może Zosia źle ją zrozumiała. Ja zrozumiałem, że będzie wraz z mężem w czasie Świąt, to wtedy „obszerniej porozmawiamy”.

4.II.1994

Rano pojechaliśmy opłacić prąd. Trzeba było drapać szyby, szczególnie tylna była kompletnie oblodzona. Niestety płyn do odmrażania w butelce skończył się, a zapomniałem przedtem kupić nowy.

Około godz. 10, zadzwonił Rysio, że nie będzie mógł przyjechać w zimie i najprawdopodobniej będzie dopiero wiosną i czy nie mogę mu wysłać slajdów. Odpowiedziałem, że już w ogóle nie fotografuję obecnie i nawet nie wiem, czy stary aparat jeszcze jest czynny, bo baterie na pewno wysiadły, ale nie ma paniki, bo z Dmochowskim na odbiór obrazów jesteśmy umówieni dopiero w kwietniu 1996, więc jeśli przed tym terminem przyjedzie, to zawsze obrazy będą jeszcze do wyboru. Wg Rysia, mój zawrót głowy w nocy, nie jest żadnym problemem.

Około godziny 10:30 pojawił się Jurkiewicz ze Stowarzyszenia Brata Alberta. Dałem mu 3 rysunki techniką mieszaną, z tego jeden na obecną aukcję, a dwa na aukcję na początku 1995. Koniecznie chciałby dostać w przyszłym roku jakiś obrazek („choć mały obrazek” jak powiedział), bo będzie jubileusz i sporo gości zagranicznych, a poza tym inni „utalentowani” dadzą obrazy, więc wyjaśniłem mu raz jeszcze moje układy z Dmochowskim i dałem adres Dmochowskiego, by do niego napisał, a jeżeli on się zgodzi, to ja nie mam nic przeciw temu, by obraz dać. Powiedział, że będzie telefonował, więc ostrzegłem jeszcze, że Pan Piotr może przez telefon smakować jak cukierek z miodem albo jak kawałek gówna. Wszystko zależne od nastroju Pana Piotra, więc żeby do mnie nie miał o to pretensji. Tak sobie myślę, że jeżeli zadzwoni, zanim dojdzie mój ostatni list, to może trafić na cukierek. Gorzej będzie, jeśli poczeka z telefonowaniem przez tydzień. Pytał czy posiadamy „dzieciątka”. Jedno dzieciątko, pod czterdziestkę. „To w moim wieku” skonstatował.

Po wyjściu Jurkiewicza, Zosia mnie ostrzygła, po czym wlałem do wanny. Dziś niewiele namaluję, bo czekam jeszcze na Madame Januszewską.

5.II.1994

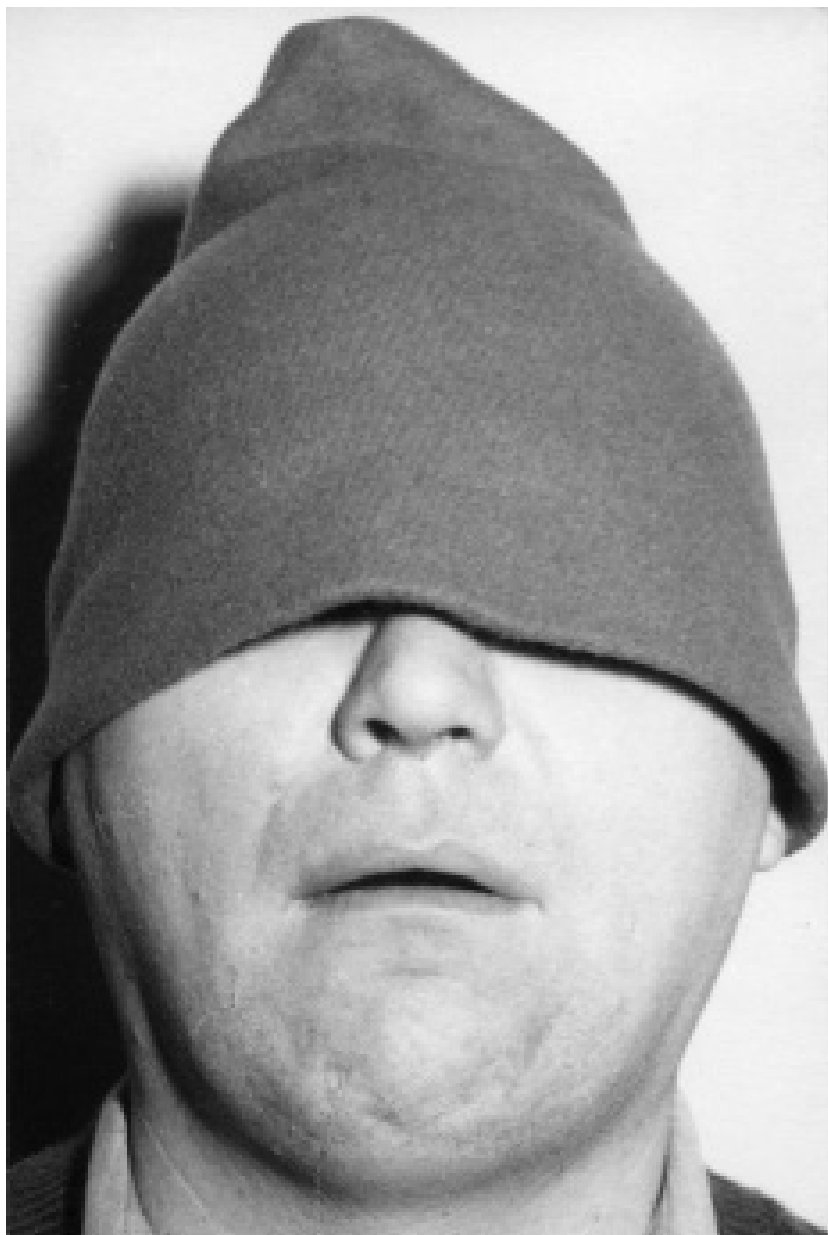
Najpierw do godz. 2 spało mi się świetnie, potem zbudziłem się i cholernie chciało mi się pić, gdyż zbyt późno i zbyt obfity (półtorej bulki z serem i wędliną) zjadłem kolację. Wypiłem szklankę soku grapefruito-

wego, co spowodowało, że biegalem potem co pół godziny do WC i spałem już w kratkę.

Sfilmowałem rano ściany pracowni. Były tam wczoraj następujące obrazy: Na półce nad NP-1215 był 278=SH, obok na półce leżał poziomo 277=UE, na sztalugach w trakcie roboty był 290=YG, a na szafkach przy wyjściu na balkon leżał 281=LR. Na zdjęciach, które robiła, stoimy na tle 281=LR, na tle regałów, oraz pstryknęła mnie od strony biurka, na tle 290=YG. Z wyjątkiem tego ostatniego, inne obrazy, ustawiłem specjalnie.

Przez cały czas, gdy mnie o coś pytała lub o czym się rozmawiało, robiła notatki na kolorowych świstkach do notowania, leżących w bloczku na Świętym stole, po czym jak się dziś rano okazało, wszystko to zapomniała. Przynajmniej nie będzie następnego przepięknego artykułu, na miarę wypracowania w tej emigracyjnej gazecie, zatytułowanego (co demonstrowała mi z dumą i nadzieją, iż tytuł ten, sprawi mi niesłychaną frajdę) „Hommage a Beksiński”. Na dodatek katowickie BWA zostało tam z rozpędu (chyba w ślad za Muzeum Archidiecezji), przemianowane przez maszynistkę na katolickie BWA. Żyjemy wszak w kraju katolickim. Gdy spytała gdzie będą moje wystawy, nie pamiętałem instytucji z Krakowa, o której pisał Dmochowski, więc poszukałem jego listu z dnia 3 września i przeczytałem jej. Położyłem potem list na stole, a ona za chwilę go wzięła i przeczytała go z wyraźnym zainteresowaniem od dechy do dechy! Cholerny, wścibski, upierdliwy babol! Nie wiedziałem, czy mam jej go wyjąć z ręki? Nic tam zresztą, istotnego czy kompromitującego, nie było. Wypytywała mnie jednak sporo o Dmochowskiego. Jest podobno koleżanką jego siostry. Być może chce też, z własnej inicjatywy, pełnić rolę królewskich oczu i uszu.

Chciałem przesłuchać jakąś nagrą rozmowę telefoniczną i zauważyłem, że wszystko co nagrywałem od kilku dni, jest albo o wiele za szybko, albo o wiele za wolno, tak jakby serwo silnika się zepsuło. Być może zrobiłem jakiś prosty błąd? Może to dlatego, że przelożyłem taśmę na drugą stronę, nie zerując? Sam nie wiem. Zobaczymy, co nagra się po następnym telefonie. Nie podniosę słuchawki i nagram równocześnie na drugim magnetofonie, to co usłyszę z głośnika i porównam.



Zdzisław Beksiński, lata 50.

6.11.1994

Skończyłem olej 290=YG. zdaje się, że to dobry obraz, więc trochę mi żal, że sfotografowała go Januszewska, ze mną na pierwszym planie. Będę musiał wymyślić w razie czego legendę, że nie został na razie wykończony, bo byłem chory i się przeczekał, a wykończę go, jak się odleży. Nie wiem czy będzie jakieś „w razie czego” ale stale o tym myślę, nawet rozmawiałem dziś na ten temat z Zosią i Tomkiem. Myślę po prostu w kółko, by ostatecznie problemy z Dmochowskim wykorzystać jako pretekst do rozwiązania umowy, dając mu te nieszczęsne 50 obrazów, bo tego nie uniknę, ale uzyskując nareszcie to, że zdjęte zostaną ze mnie łańcuchy i kula u nogi. W takiej sytuacji, musiałbym liczyć się z wybieraniem (także spośród tego co jest w mej pracowni) obrazów do tej 50 obrazowej puli i o takiej sytuacji myśląc, piszę „w razie czego”.

Rozważałem alternatywne rozwiązania. Jedno, by wymóc na nim zawieszenie naszej umowy do lepszych czasów, z powołaniem się na jeden z jej punktów, który wymagał wprawdzie w tym celu akceptacji arbitrów i innych przyczyn, niż te jakie aktualnie mamy, ale być może dałoby się to jakoś na Dmochowskim wymóc. Co zyskuje? Po pierwsze, nie będę musiał dawać 50 obrazów i po drugie już nic. Co tracę? Przede wszystkim to, że ta przekłeta umowa, pochodząca z innego czasu i innego świata, nadal nie jest definitywnie pogrzebana i wisi nade mną jak miecz Damoklesa i Dmochowski nadal, przy każdej okazji, będzie o niej przypominał, a okazje do przypominania i demonstrowania właściwej mu upierdliwości, byłyby stale, bo musiałbym mu co roku odsprzedawać za grosze (po 1000.-\$) pięć obrazów, które byłyby przez niego wybierane jako następne w kolejce, po moich pięciu z „punktu 37”. Gdybym zaś namalował w roku mniej niż 10, to i tak musiałbym dać mu te pięć za grosze. Tak przewiduje ten punkt umowy i Dmochowski z tego przywileju, na pewno by nie zrezygnował! Gdybym lepsze obrazy schował, to byłbym w sytuacji takiej jak obecnie, że nikomu ich nie mogę pokazać, ani nikomu sprzedać. Drugie rozwiązanie, to spokojnie, bez złośliwości, napisanie mu, że ja już dłużej nie umiem i nie mogę, że daję mu te 50 obrazów, które może wybrać z tego, co jest u niego i z tego co mam u siebie i chcę raz na zawsze rozwiązać tą umowę, bez wzajemnych oskarżeń. Napisać, że zawsze będzie mile widziany, jako gość, czy jako

klient, ale nie będzie już mym właścicielem, bo tego właśnie nie umiem zdzierzyć. Co zyskuje? Absolutną wolność, która wszakże może być niebezpieczna, bo niełatwo będzie obecnie coś sprzedać za znośną cenę. Będę jednak mógł pracować bez przymusu namalowania co najmniej 20 obrazów rocznie, może uda mi się wrócić na czas jakiś do fotografii i fotomontażu, może jeszcze coś innego... Co tracę? Po pierwsze te 50 obrazów, których jednak i tak nie mógłbym najprawdopodobniej teraz sprzedać i nie miałbym ich gdzie w domu pomieścić. Po drugie pewność minimum finansowego. Najogólniej rzecz biorąc finansowy standard życia. Poza tym czuję się niepewnie jako (w perspektywie) człowiek wolny. Przez tyle lat dawniej, przed rokiem 1984, byłem wolny, potem przez pełne już 10 lat w małżeństwie z rozsądku, które jednak spowodowało, że obrosłem sadłem i przywykłem do pewnych wygód, jak to rzeczy zagwarantowanej. Tomek oczywiście radzi, bym zerwał i być może ma rację, ale on jest jeszcze młody i nieobciążony odpowiedzialnością za żonę. Zosia też przychyliła się do tego, bym zerwał. Wolność BARDZO mnie pociąga, ale też napawa lękiem. Typowe! Dziś tego dylematu nie rozwiążę. Zobaczę, co odpisze Dmochowski. Może jego list mi to ułatwi...

7.II.1994

Wczoraj po obiedzie, Tomek umożliwił mi jednak porozmawianie ze sobą w sprawie materaca. Pokrowiec będzie robiła Zosia, bo tak wyraźnie sobie zażyczył. Był jakby cień porozumienia w tej sprawie, chociaż nie obyło się bez oskarżeń, pod naszym adresem.

Sprowadziłem potem rozmowę na temat moich trudności finansowych i rozmawialiśmy między innymi o moich układach z Dmochowskim, tak że, jak sądzę, na jego radach skorzystałem, tzn. umocniłem się w idei, by jednak tą umowę raz na zawsze rozwiązać (przeciąć węzeł gordyjski - jak określił to Tomek), bez zastanawiania się za co żyć będziemy. Trochę jest to myślenie jak „z Dmochowskiego”, że „wszystko jakoś się ułoży”. Naprawdę nie idzie mi o mnie, bo nie wiem ile jeszcze mam przed sobą, ale czuję w sobie siłę i przekonanie, że dam radę. Chodzi o to, co zostawię Zosi i TA MYŚL mi doskwiera. Chciałbym, móc częściej porozmawiać z nimi, na temat swoich kłopotów. Potrzebne mi jest oparcie. Bez przerwy marynuję się we własnym sosie i czasami tracę stały punkt odniesienia

potrzebny dla oceny zjawisk.

Tak jak myślę dziś przed południem, zabierając się do nowego obrazu, to zerwanie umowy jawi mi się jako jedyne sensowne rozwiązanie i marzę, by Dmochowski mi to ułatwił. Jeśli jednak „taktycznie” uda, że żadnego listu ode mnie nie otrzymał, lub odpisze konstruktywnie i pojednawczo, to wytrąci mi broń z ręki. Muszę od niego otrzymać „kopa” (jak zwykle), by zebrać w sobie siłę do agresji.

Coraz trudniej idzie mi czasami, wyduszenie ze siebie pomysłu na obraz, a malowanie „na akord” mnie zabija. Jeśli nadal oddawać będę wszystko Dmochowskiemu, to stanę wreszcie przed pustą pracownią i pustą głową, a wtedy, jak na ironię, mogą otworzyć się przede mną możliwości sprzedaży.

Mika przysłał brudnopis wywiadu do autoryzacji. Myślę, że to do jutra zrobię, bo chyba nie będzie trzeba zbyt wielu poprawek. Napisał też Rudak, że nie wie jak sformułować zaświadczenie dla celów emerytalnych. Ja też właściwie tego nie wiem, więc skierowałem całą sprawę do Lewczyńskiego. Trzeba będzie pójść do Ministerstwa po ten papierek, o którym pisał Jurek. Pójdę też chyba jutro do ZUS, by wyjaśnić dlaczego zaliczyli mi tylko jeden rok. Jeszcze nie wiem czy jutro, bo połączymy to chyba z wyjazdem do Biblioteki Związku Ociemniałych, po kasety dla Stankiewiczowej. Wolalbym jutro popracować, bo dziś podmalowałem obraz i jeśli tak zostanie, to się przeczeka.

8.11.1994

Godz 11:35. Od rana robiłem autoryzację tego wywiadu dla Miki. Myślę, że jakoś jest to do przyjęcia, ale po raz ostatni godzę się na „rozmowę”. Chyba, że rozmawiać zechce osoba, której nie będzie wypadało stawiać wymagań. Więcej potem z tym roboty i gorzej to wygląda, niż gdyby się od razu odpowiedziało na piśmie, na pytania postawione również na piśmie. Napisałem już list do faceta i teraz tylko pojechać na pocztę i nadać.

Nie sposób dziś pracować. Ciemno jak w dupie. Poza tym źle mi idzie już

choćby z tego powodu, że oczekuję na list od Dmochowskiego, z nadzieją, że będzie agresywny i ułatwi mi, złożenie mu wypowiedzenia umowy. Nie umiem o czym innym myśleć. Z profilu zrobiłem przed chwilą en face. Może w ogóle nic już z tego nie będzie.

Zadzwoił timer, że trzeba wymienić Stankiewiczowej taśmę. Zosia śpi, zresztą źle się dziś czuje. Lektor zapowiedział: Bolesław Prus LALKA, taśma dwunasta ścieżka druga. Nawet już nic nie zmieniałem, bo jest to potrzebne wyłącznie jako tapeta „gadania”. Aktualnie babka odmawia różaniec. Pójdzie więc najpierw ścieżka druga, a potem ścieżka pierwsza. I tak niczego nie zauważy.

9.11.1994

Przed południem nadal ciemno jak w dupie. Dzień, jak każdą środę, zaczęliśmy od wylania kibla babuni. Biorę się do pracy przy elektrycznym świetle. U Zosi od wczoraj rozwija się angina. Teraz położyła się u siebie, ale nie chce rozścielić łóżka mimo, iż proponowałem jej, że zrobię obiad: Wołowina z puszki z ryżem w sosie ze słoika. To na pewno potrafię! Nadal nie ma znaku życia od Dmochowskiego. Utwierdzam się w przekonaniu, że tą umowę należy rozwiązać. Jest to chyba ostatnia szansa w moim życiu, by do tego doprowadzić. Mam w zapasie ponad 50 obrazów, a nie wiem czy kiedykolwiek w przyszłości, będę mieć po raz drugi taki zapas. Oczywiście Dmochowski nie da rady go wykupić i można z powiększającym się zapasem, czekać jeszcze ze dwa, trzy lata, ale wtedy przejmie do swobodnego wyboru, o wiele większy areal obrazów, w których (wybierając 50), będzie mógł grzebać jak w ulęgalkach, zostawiając mi najslabsze. Teraz musi wybrać z tego, co jest u niego i u mnie, a potem malować już mogę na swój rachunek. Gdy zerwę, jestem CAŁKOWICIE wolny, poczynając od Nowego Roku, zaś malować na swój rachunek mogę już od chwili napisania do niego listu, w którym zażądam rozwiązania umowy. Czyli już za parę dni!!! Jeśli będę czekać, wszystko przesunie się co najmniej do przełomu 1995/96, kiedy będziemy musieli zacząć układać się o forszę, a najprawdopodobniej przesunie się aż do kwietnia 1996, bo w grudniu obieca, że się wypłaci, a w kwietniu, zabierając obrazy, znowu zacznie kombinować, że część zapłaci w lecie, a część wczesną jesienią. Po czym (jak zwykle) nastąpi lato i jesień i nie będzie miał forsy, więc

znowu zaczną się takie same spory jak obecnie.

Problem z Dmochowskim polega też i na tym, że ja nieustannie odliczam nerwowo czas do wyznaczonego terminu, kiedy mam zostać opłacony. W ten sposób ten czas zbyt szybko bezpowrotnie ucieka. Tak jakbym nieustannie biegł do jakiejś mety. Może wynika to z wieku, ale wydaje mi się, że wynika to właśnie z ustalenia cezur czasowych. Wydaje mi się, że żyję tylko oczekiwaniem (jak się potem okazuje) na wielkie Nic. Gdybym nie miał terminu, na który muszę czekać, może uzyskałbym większy luz i spokój przy pracy. Nie musiałbym odliczać czasu, nie musiałbym liczyć: ile już mam obrazów. Po prostu malowałbym wtedy, gdy miałbym pomysł i ochotę. Obrazy, z których nie byłbym zadowolony, mógłbym zamalowywać, bo nie musiałbym wykazywać się minimalną ilością roczną, bez której nie uzyskuję ani „punktu 37” ani dostatecznego ryczałtu.

Był już listonosz i przyniósł babce emeryturę. Zosia nie spytała czy coś wrzucił także do skrzynki. Na pewno Dmochowski odpisze najwcześniej około 15 bm. Tak więc nie ma się co przebierać i schodzić na dół, by sprawdzić czy list jest w skrzynce.

11.II.1994

Od trzech dni wieczorem, demonstrują w TV satelitarną mapę pogody, na której Polska albo nie jest pokryta chmurami, albo pokryta cienką, przejrzystą powłoką. Tymczasem, wprawdzie nie pada, ale codziennie jest ciemno jak w nocy, a niebo wygląda jak brudna ścierka. Dziś z rana to samo, mimo iż zapowiadano mróz i słoneczną pogodę. Znowu będę musiał malować przy świetle elektrycznym.

Choróbsko w nas fałuje. Zosi od wczoraj nieco lepiej, a mnie, dla odmiany, dziś pogorszyło się. Jakby wracał katar.

Fatalnie mi idzie od paru dni robota. Przed chwilą zacząłem gruntownie przerabiać obraz. Już poprzednio z profilu zrobiłem en face, a teraz usiłuję zatrzeć prześwietlając przez olej, celowo położoną na początku „siatkową” fakturę acrylu, która początkowo wydawała mi się idealna i położyłem następną, kryjącą prawie wszystko warstwę oleju. Nie wiem

czy w ogóle coś z tego będzie. Nieustannie mam głowę zapaskudzoną Dmochowskim i problemami, jakie wynikną z zerwania umowy, o ile do niego dojdzie. Zbliży się południe, a niebo nadal jak szmata do mycia podłogi. To też może stanowić przyczynę zakałapućkania się. Nie cierpię obecnie pracować przy świetle elektrycznym, mimo, iż w Sanoku pracowałem wyłącznie przy nim.

Godz.13. Rzucam dziś robotę. Stan kompletnej zapaści artystycznej. Głowa pusta, ręka martwa, na dodatek ciemno i spać się chce. Znowu obzarłem się na obiad. W związku z piątkiem, Zosia zrobiła pierogi i wszystkie najświętsze obietnice odchudzania się, poszły w ką. Zzarłem chyba 14 lub 15 sztuk i wypilem prawie litr kwaśnego mleka. Wymyłem pędzle. Nic już dziś nie zrobię i chyba jutro wyrzucę ten obraz. Po południu pojedziemy do Hoserów.

Po południu nagrał się ktoś na reponderze, z prośbą o telefon na temat moich obrazów. Około 19:15 oddzwoniłem, by dowiedzieć się o co idzie. Facet przedstawił się jako entuzjasta i „drobny ciułac”, który ma szansę nabyć w Krakowie w jakiejś galerii mój obraz, podpisany na odwrocie moim nazwiskiem i oznaczony literami „ZA”. Chciał, bym potwierdził, że to mój obraz i mówił, że było w tej galerii 5 moich obrazów, przedstawiających głowy, podobno niektóre datowane na 1992, że ten konkretny, to głowa z profilu, że cena dla niego jest bardzo wysoka (nie pytałem jaka) i że musi się w Galerii zadeklarować do niedzieli wieczorem, czyli do pojutrze wieczorem, bo „mija termin”. Na podstawie tabeli ustaliłem, że obraz pochodzi z 1991 roku i musi być własnością Dmochowskiego, lub kogoś kto kupił go od Dmochowskiego. Nic więcej nie potrafiłem mu pomóc, ostrzegłem jednak przed ewentualnością falsyfikatu (o czym przed paroma miesiącami opowiadał mi Nyczek) i poprosiłem, by zrobił zdjęcie i tylko na podstawie zdjęcia, będę w stanie potwierdzić, czy obraz jest mój. Umówiliśmy się więc, że dostarczy mi zdjęcie. Podąłem mu też namiary na Dmochowskiego i na jego galerię. Miał nadzieję, że kupi tam taniej. Wyda tylko niepotrzebnie forszę na telefon, ale nie mogłem odkryć kart Dmochowskiego. Natychmiast jednak tknęło mnie to, że termin możliwej transakcji upływa w niedzielę. Czyżby jednak

Dmochowski chciał mi zapłacić, zobligowany moim listem? Nasuwa się bowiem podejrzenie, że obniżył ceny obrazów wstawionych do galerii w Krakowie (aby była tzw. „okazja”), podał termin i chce na gwałt zorganizować szmal. Na to mi wygląda! W świetle moich wszystkich planów, jest to wiadomość niepomysłna. Jeśli nagle dostarczy mi forszę, może mi zabraknąć motywacji i siły do zerwania układu. I jak siebie znam, zabraknie przede wszystkim siły.

Facet pytał czy jeśli przyjdzie do mnie ze zdjęciem, mogę mu podpisać „dwie kreski na bibulce”. Dam mu jakiś mały rysunek. Szkoda mi gościa, bo na pewno Dmochowski wciśnie mu najgorszy (w jego ocenie) kit, jako niebywałą okazję, a przecież nie mogę go demaskować tylko dlatego, że chcę zerwać układ i nie zależy mi już na szybkiej sprzedaży. Jestem ciągle jego współnikiem.



Rodzina Beksińskich, 1961 r.

12.II.1994

Znowu wczoraj zapowiadano w TV słońce i znowu ciemno jak w dupie. Tylko temperatura się zgadza: -2°. Czuję się nędznie. Znowu za wiele zjadłem przed snem, ale była to nerwowa reakcja na telefon i wynikające z niego domysły i implikacje.

Godz. 9:15. Nie wierzę własnemu szczęściu. Powłoka chmur nieco rzednie. Robi się nieco jaśniej. Miejscami prześwituje nawet błękit nieba. Może rzeczywiście zrobi się pogodnie.

Godz. 16:30. Było ładnie i powróciłem do obrazu, który już chciałem wyrzucić. Chyba coś z niego jednak będzie! Rozmawialiśmy z Zosią o Dmochowskim i o zamiarze zerwania kilkakrotnie: wczoraj przed spaniem i dziś po obiedzie. Puściłem jej teraz nagranie pierwszego telefonu od Dmochowskiego, z 3 stycznia br., który był odpowiedzią na moje propozycje (drugi gdzieś chyba na innej taśmie, bo tą zaraz wyjąłem i schowałem). Od samego słuchania brzuch boli. Nie jest tak złośliwy jak mi się wydawało (choć mówi tam o mnie, jako bym twierdził, że jeśli mi nie zapłaci, to będę zmuszony zebrać pod Mostem Poniatowskiego), a raczej przekręcający wszystko co proponowałem (pod pozorem niezrozumienia, np. „ryczałt”, który w zamierzeniu był zwrotem mych utraczonych zarobków, w wyniku zapewnienia mu wyłączności, nazwał „hurtem” i w oparciu o to żądał ulgi, bo „kupuje hurtowo”) i pełen pobożnych życzeń. Widać czułem się zawiedziony, że moje propozycje w ogóle nie zostały przez niego przeanalizowane, zanim zatelefonował, a pracowałem nad nimi przez kilka dni! To musiało spowodować, że odebrałem telefon jako irytujący. W ogóle była to rewia jego zaimprovizowanych na poczekaniu pomysłów. Między innymi proponował zapłacenie całego ryczałtu gotówką po 2.000 \$, czyli 48.000 \$, oraz podjęcie zobowiązania, że za cały „punkt 37” zapłaci mi po 5.000 \$ w ciągu dwóch lat, czyli 50.000 \$ do grudnia 1995, nie licząc oczywiście ryczałtu za rok bieżący czyli 24.000 w grudniu 1994, gdyż początkowo umawialiśmy się na rok. W rzeczywistości dał radę zapłacić w sumie około 32.000 \$ w kwietniu 1994, 4.000 \$ w końcu października 1994 i teraz od roku nie potrafi zebrać franków, na wypłacenie reszty, którą miał uregulować jeszcze w kwietniu. Gdybym

się wtedy zgodził na jego propozycje i tak bym tych 72.000 \$ w tym roku, jak też 74.000 \$ w przyszłym roku (bo doszedł by jeszcze ryczałt za 1995) nie otrzymał. Oczywiście mówił, że jeżeli nie będzie mógł, w ciągu dwóch lat zapłacić, to mi zwróci obrazy, ale w takiej sytuacji, na pewno znowu by zaczął coś przeciągać, a ja bym jak głupi czekał, czekał i czekał. On po prostu nie umie nic zaplanować. Zawsze widzi jak kura, tylko tą jedną rzecz, którą ma przed dziobem, oraz przecenia szanse jej realizacji. Ale za chwilę dochodzi inna rzecz (choćby ramy, które też, same w sobie, są do zapłacenia), potem jeszcze inna i wszystko mu wali się, co bije w konsekwencji we mnie.

Zosia zaczęła mnie przestrzegać, że jeśli zerwę, to Dmochowski z zemsty, może donieść na mnie do Urzędu Skarbowego. Do tego się nie posunie. Niemożliwe.

Facet od obrazu „ZA” nie zadzwonił dziś, a więc może zrezygnował, a może skontaktuje się jeszcze jutro. Wg tego co powiedział, ma czas jutro do wieczora. Wolałbym oczywiście, aby zrezygnował. I ze względu na niego i ze względu na mnie.

13.II.1994

Nie wiem czy to objaw, że zaczynam mięknąć, zanim jeszcze odpisał Dmochowski, ale przewidując dramaty, jeśli napiszę, że chcę rozwiązania tej umowy i bojąc się ich, szukam rozpaczliwie rozwiązania, które by pozwoliło coś wynegocjować, płacąc za to obrazami, które są u niego. Na przykład ustalić na okres 3 lat takie rozwiązanie, by cena podstawowa, płatna we frankach, wynosiła 8.400 plus współczynnik inflacyjny od 1984. Do tego miałby prawo do 5 obrazów, jak do tej pory, za gołe 8.400 franków. Znikałby jednak komis, ale miałby prawo kupić ZA GOTÓWKĘ tyle ile będzie chciał i mógł po cenie podstawowej. Wszystkie, niezapłacone gotówką obrazy, miałbym prawo wstawiać do innych galerii lub sprzedawać w domu. Dałbym mu np. za to połowę przewidzianego „odszkodowania”, czyli 25 obrazów. Pozostałe warunki umowy pozostałyby bez zmian.

Nie, to do dupy. Chodzi o to by RAZ NA ZAWSZE nie było tej umowy, żeby można było podrzeć te cholerne 5 papierków i zapomnieć, że

były kiedykolwiek w innym, minionym świecie spisane. Inaczej zawsze będziemy wracali do upadających „negocjacji”, bo umowa usztywnia na całe lata to, co ze swej natury jest płynne, czyli jest nie związana z Rzeczywistością, która jest nieprzewidywalna. Nie chcę przecież W OGÓLE umowy. Żadnej mowy. Nawet na trzy lata. Trzy lata, to mogą być moje ostatnie trzy lata. Lepiej je przeżyć jako człowiek wolny.

Pogoda dziś z rana piękna, więc powinienem brać się do pracy, zamiast nieustannie przelewać z pustego w próżne. To właśnie są efekty UWIAŻANIA.

Rozwiązując umowę, co potrwa, technicznie rzecz biorąc, na pewno do końca roku, muszę brać pod uwagę wystawy w roku przyszłym. Nie będę mógł wystawić krzyży (najwyżej dwa), bo nie sposób jest wytłumaczyć, jakim sposobem dałem je radę namalować w tak krótkim czasie. Ale jest to też tzw. „ostatni dzwonek” do zerwania, bo trudno byłoby potem (o ile mielibyśmy nadal mieć kontakt) wytłumaczyć, skąd wzięły się nagle u mnie obrazy w dawniejszym stylu i w tak dużej ilości.

Malując, myślę nadal bezustannie na temat zerwania. Muszę chyba zabrać się z wyprzedzeniem za redagowanie odpowiednio jasnego i uspokajającego listu, tak aby zerwanie umowy nie zostało potraktowane jako „akt wrogi” (jak w roku 1988). Trzeba jakoś wyjaśnić, że dłużej tej umowy nie jestem w stanie wytrzymać i że nie mam bynajmniej innej korzystniejszej oferty. Po prostu nie umiem już tego udźwignąć. To muszę przez kilka dni wystylizować, by potem niepotrzebnie nie tracić na to czasu. Chyba, że odpisze teraz tak, jak to już czynił dwukrotnie, że przypomina mi, iż zawsze mogę umowę zerwać, dając bezpłatnie 50 obrazów. Ułatwiłoby mi to ogromnie! Trzeba też jakoś jasno dać do zrozumienia, że obrazy będące własnością Zosi, to obrazy Zosi i ewentualnie za tą połówkę wspólnoty „w cząstkach idealnych”, mogę mu dać podwójnie ilościowo, obrazy namalowane obecnie.

Po godzinie 15 (obraz już prawie skończyłem) pojechaliliśmy na cmentarz, gdyż nie byliśmy tam w czasie Zaduszek. Zimno jak cholera, ale byliśmy na chwilę przed zachodem słońca. Potem w Cash and Carry (czynnym

w niedzielę) kupiłem trochę piwa i trzy butelki czerwonego wina stołowego w związku ze zbliżającymi się imienninami.

Rano zepsuł się chyba bezpowrotnie toster. Próbowalem teraz naprawić, ale rzecz jest zmontowana na zatrzaski typu „click” jednorazowo i w pewnym momencie nie daje się już dalej rozebrać bez specjalnych narzędzi. Trzeba będzie kupić nowy, bo jedyna szansa na jedzenie czerstwego pieczywa to toster.

Okolo godz. 19 zadzwonił ten człowiek, który kupuje mój obraz, że ma już fotografię obrazu oznakowanego „ZA”. Umówiliśmy się na jutro o godzinie 17. Podobno nie musi podejmować decyzji do niedzieli wieczorem, a więc może ze wszystkim innym też się myłę?

14.II.1994

Pogoda znowu ponura. Na polu rano -6°. Na całe szczęście obraz już prawie skończony. Może po jego skończeniu, pojedziemy do Biblioteki Związku Ociemniałych.

Zosia nie chce dziś jechać do Biblioteki. Skończyłem obraz, a w międzyczasie ona poszła po zakupy, mimo iż prosiłem, by zaczekała do około 10, to sam pójdę, ale chcę najpierw skończyć obraz, gdyż boję się, że potem będzie jeszcze mniej światła niż rano, gdyż zapowiedziano opady śniegu. Spróbuję więc znowu układać list do Dmochowskiego, ale z innej beczki. Wczorajszy próbny brudnopis, był zbyt błagalny. Tym niemniej czuję się równie podle, jakbym musiał zerwać z kobietą, z którą żyłem przez 10 lat! Myślę, że do wyboru mogę mu zaoferować 19 obrazów. Z niektórych trudno mi zrezygnować, ale nie mogę zostawić samych śmieci. Dam też dwa lub trzy obrazy z ubiegłorocznego „punktu 37”. Co do innych, powiem że je już dałem Tomkowi. Miałem zamiar zaoferować aż trzy (dwa oleje i jeden acryl) ale teraz rozstawiałem i oglądałem i ten duży czerwonawy (w środku) krzyż, wydał mi się lepszy niż zapamiętałem. Staniał mi natomiast jeden z aktów męskich en face, namalowany w lecie. Mógłby więc być jako dwudziesty. Ostatecznie określe liczbę, a o szczegółach zadecyduję w ostatniej chwili. Zależne to też jest od tego co i jak mi odpisze. Jeśli jednak nic w ogóle nie odpisze, to muszę być przygotowany

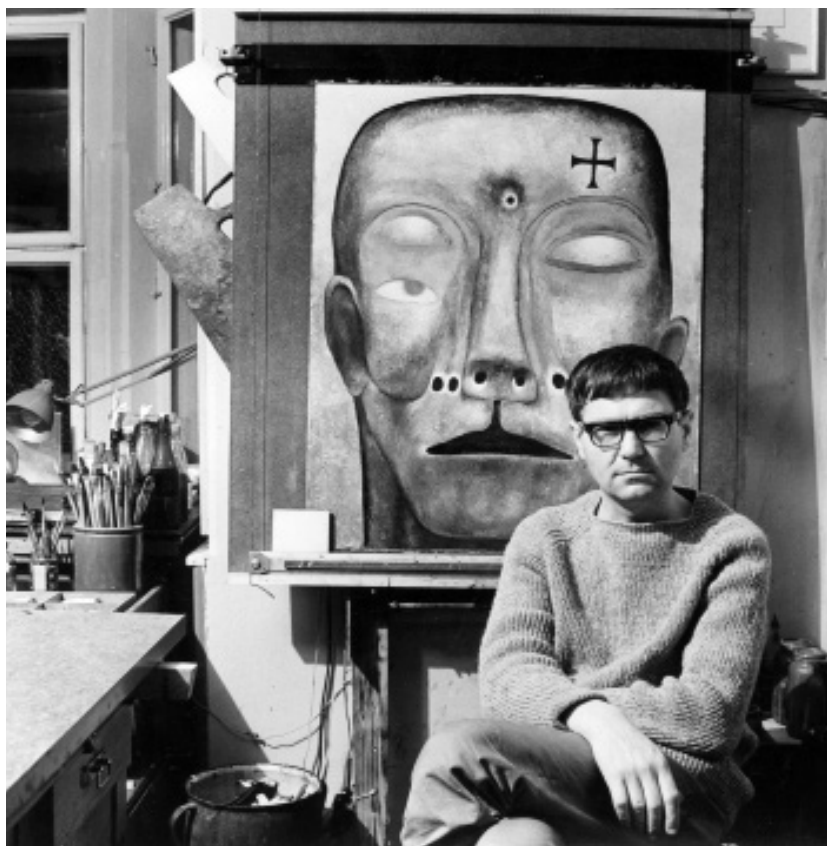
na to, że w Święta przyjedzie i cała sprawa się przeciągnie. Nie. Nie mogę się na to zgodzić, bo problem ilości obrazów na odszkodowanie zaostry się. Będę musiał dodać jeszcze co najmniej o trzy więcej. O ile więc list od niego nie przyjdzie do 22 bm., napiszę sam list z wymówieniem umowy, a teraz muszę go sobie wystylizować.

Przez parę godzin, około południa, redagowałem drugą wersję listu do Dmochowskiego. Potem pojechaliśmy opłacić czynsz Tomka i do banku, po dłuższym poszukiwaniu mojej książeczki czekowej. Ledwie udało się ją odnaleźć. Od tej pory będzie ona w posiadaniu Zosi. W banku był tak koszmarny ogon, że wymieniłem forszę w kantorze na pocztę przy Bagateli, wpłacając też na konto Kalekich Artystów. Wróciliśmy i czekam na Paczuskiego, który ma przyjść z fotografią mojego obrazu, aby potwierdzić jego autentyczność.

Paczuski przyszedł z punktualnością kwarcowego zegarka. Jest to młody człowiek na dorobku. Ma prywatny biznes, nie pytałem jaki, ale chyba handluje. Kolczyk w uchu, w kieszeni dzwoni pager. Sympatyczny facet. Słucha też audycji Tomka i kazał go pozdrowić. Okazało się, gdy obejrzałem zdjęcia, że obraz „ZA”, którego fotografię przywiózł, jest reprodukowany w albumie Dmochowskiego, zawierającym obrazy z 1987-1991. Jego cena wynosi w Krakowie 150.000.000 zł., co na dzień dzisiejszy odpowiada plus minus 6.500 \$. Dmochowski dał mi za niego w 1991 3.000 \$, a więc nie zarabia tu dużo (o ile sprzeda). Prócz niego wystawione były jeszcze obrazy AQ i DQ z 1991, oraz dwa obrazy z 1992, które były datowane 1992 i nie miały oznaczeń kodowych, ale wg mojego tajnego klucza, noszą nazwy 200=EC i bodajże 202=MZ. Te dwa ostatnie nie były mi zapłacone i Dmochowski zabrał je w kwietniu. Jak sądzę, moje domniemania były fałszywe. Myślę, że Dmochowski chyba nie ponaglał do ich wyprzedaży. Tak wynikałoby z pewnych domysłów, do snucia których, uprawniały szczegóły rozmowy z Paczuskim. W każdym razie z faktu, że facet, któremu dałem mały rysunek z użyciem kserokopii i dorysówkami, gotów był zapłacić (jeszcze się łamie, więc może nie zapłaci) taką sumę za takie obrazy, może wskazywać, że rynek w Polsce zacznie się odradzać. Utwierdza mnie to w zamiarze zerwania umowy. Może dam sobie tu

radę sam? Opisałem mu z grubsza realia mojej umowy i to, że muszę dać 50 obrazów odstępnego. Mam nadzieję, że o ile się to nieco rozejdzie, to może wyjaśni zainteresowanym (o ile do nich dojdzie), dlaczego wracam na rynek krajowy. Nie chciałbym, by było to interpretowane, jako wynik klapy na zachodzie.

Zrobiłem dziś dwie wersje ewentualnego listu („Brulion 2” i „Brulion 2A”) i ta druga wersja wydaje mi się bardzo przejrzysta i bez zbędnych dygresji. Chyba po prostu dobrze napisana. Tym niemniej nie odważę się jej wysłać o ile Dmochowski mnie jakoś nie sprowokuje. Boże, jakąż mnie dupa!!!



W sanockiej pracowni, jesień 1966 r.

15.II.1994

Około godz. 4:30 rano, budzi mnie wycie autoalarmu na parking. Na polu mżawka, ocieplenie $+6,5^{\circ}$. Na moje ucho jest to wycie tego samego typu autoalarmu jak nasz. Kierunek trudno wyczuć. Ubieram kurtkę, wychodzę na balkon, otwieram okno. Nadal trudno wyczuć kierunek. Od-bija się ze wszystkich stron. Kładę się do łóżka, ale jeśli wyje nasz wóz, to wyladuje nam akumulator. Ten cholerny autoalarm, nie włącza chyba w trakcie wycia świateł? Nigdy tego nie sprawdzałem. Trzeba będzie sprawdzić i poprosić w serwisie, by połączyli tak, aby zapalały się też światła pozycyjne. Wtedy zawsze można wiedzieć, który wóz na parkingu wyje. Jest niby możliwość wyłączenia z odległości, ale też nigdy nie było jakoś czasu, by to sprawdzić, bo wymagałoby to (aby sprawdzić wszystkie możliwości, niezawodność i nie otworzyć przez pomyłkę wozu) współpracy dwóch osób, a skłonić Zosię, by zrobiła coś, co nie jest związane z jej obowiązkami domowymi, to czynność beznadziejna. Minął przecież zaledwie rok od kupna wozu. Nie było więc okazji. Przez pół roku nie chciała nigdy dokładnie wypróbować jak działa elektryczne opuszczanie szyb i blokada drzwi, tak więc do dziś ma z tym kłopoty. Leżę w łóżku, a to wyje i wyje. Muszę jednak sprawdzić. Jest już godzina 5:15. Mówię o tym Zosi. Jest zła, że ją obudziłem. Argumentuje, że to nie nasz wyje, bo nasz jest „nowy”. Wszystkie autoalarmy są nowe. To nie wyje samochód, tylko alarm wmontowany w serwisie. Ubieram się, by wyjść. Aby włożyć buty, zapalam światło w przedpokoju. Trach! Pali się żarówka i zarazem wysiada prąd w całym mieszkaniu. Nigdy jeszcze tego nie było, mimo, iż ta akurat lampa, powoduje nieustanne palenie się żarówek. Czasem wysiadała stopka tylko od tej właśnie żarówki. Przy latarce szukamy zapasowych stoppek. Wychodzę na korytarz, wkręcam stopkę i okazuje się, że w ciągu około 5 minut wyzerował się zegar na magnetowidzie S-VHS, który zeruje się najwcześniej po półgodzinnym braku prądu. Zaglądam do drugiego magnetowidu ukrytego, który służy prawie wyłącznie do nagrywania rozmów z Dmochowskim. W ogóle wszystko w nim wysiadło (a wczoraj wieczorem zaglądałem i było OK). Nie daje się uruchomić, wszystko zgasło. Godz. 5:30, schodzę na parking. Bramka już jest otwarta, deszczyk siąpi. Na dole wycie jest stłumione, w ogóle nie wiadomo skąd dochodzi. Wchodzę przez bramkę i w miarę jak zbliżam się do naszego

wozu, wycie narasta, myślę, że to już nasza Corolla, ale to wyje POLO-NEZ, stojący o 5 miejsc bliżej niż my. Też nie błyska światłami. Wracam do domu, usiłuję naprawić magnetowid, wreszcie po bezskutecznych próbach, kładę się do łóżka. Nie wiem dlaczego nie pękła też równocześnie rura w kaloryferze, oraz nie zaczął się ulatniać gaz, nie wyleciały szyby od podmuchu wiatru i nie włamali się złodzieje. Niedopatrznie Niebios. Trzeba będzie oddać magnetowid do serwisu. Czyżby to był znak, że magnetowid ten nie będzie już mi potrzebny, bo umowa będzie zerwana?

Godz. 15:50. Napisał w swoim właściwym stylu, co spowodowało, że spadł mi kamień z serca. Mogę w ostrzejszym niż przewidywałem stylu, zerwać umowę i zaraz przystępuję do redagowania listu.

Kości zostały rzucone. Odpisałem. Wstęp lekko złośliwy. Usunąłem jednak zdanie, że wpis do księgi rekordów Guinnessa, należy mu się za postawienie znaku równości między podpisanymi przez niego zobowiązaniami, a używanym papierem toaletowym. Po co mam dolewać oliwy do ognia. Boję się trochę tego, że wejdzie na polski rynek i zatka go moimi obrazami. To realna groźba.

16.11.1994

Dziś rano wygładziłem i jeszcze skróciłem list do Dmochowskiego. Poprzednie wersje zostawię sobie w formie brulionów w oddzielnej teczce. Źle spałem i jestem zeszmacony. Obawiam się: co on jeszcze może wymyślić, a w trakcie bezsennej nocy, wszystkie takie sprawy, przedstawiają się bardziej dramatycznie niż w dzień. Pogoda dziś podła. Ciemno, wiatr i zanikający deszcz. Stosunkowo ciepło, około +7°.

Godz. 17. Przez cały dzień, od godz. 10 chodziliśmy po mieście, w poszukiwaniu wiatrówki zimowej dla mnie, bo Zosia uważa, że w tej cztery czy pięćioletniej z napisem BOSS, wyglądam już jak łajza. Lubię wyglądać jak łajza, ale muszę się liczyć też z jej zdaniem. Po wielogodzinnych poszukiwaniach, kupiłem wreszcie wiatrówkę w BOGUSZ CENTER za 2.300.000.-. Znośna, bo były wszędzie raczej same okropne. Zaletą jej jest duża ilość kieszeni i kieszonek, tyle, że materiał jest zbyt śliski

i poświstuje przy ruchach rąk. Poza tym byliśmy (wracając) w BILLI po sok grapefruitowy, a przedtem jeszcze w wielu miejscach, kupując: chusteczki i czapkę dla mnie, beret dla Zosi, kalendarze na przyszły rok, wymieniając forszę, pocąc się z gorąca nad jakimiś majtkami dla Tomka, na najwyższym piętrze Domów Centrum. Mam nadzieję, że nie przeziębilem się znowu, bo na dworze była wichura. Między innymi odnieśliśmy stary toster do serwisu, gdzie okazało się nagle, iż sam z siebie się naprawił! Niepotrzebnie więc kupilem nowy. Szukaliśmy też tkaniny obiciowej na materac Tomka, ale nigdzie nie było takiej jak on chce, czyli zielonej lub zielonawej i bez deseni. Pojedziemy jeszcze jutro. Chętnie tracę czas nie pracując, bo chcę się zdystansować do tej całej sprawy zerwania umowy. Ledwie żyję, gdyż przez parę godzin samochód stał zaparkowany pod Centralnym Domem Dziecka, a my chodziliśmy po mieście na piechotę. Jeszcze nie jadłem, jeśli nie liczyć podwójnego cheeseburgera w MacDonalddie, zjedzonego około godz 13, bo Zosia była głodna, a jej wrzodu nie można lekceważyć. Wrzuciłem też wtedy na pocztę głównej, list lotniczy do Dmochowskiego. Teraz wszystko już poza moją kontrolą. Miejmy nadzieję, że nie okaże się aż takim bucem, jak się obawiam.

19.II.1994

Znowu od około godz.5 rano, nie mogłem spać, z głową wypełnioną Dmochowskim i całkowitą już pewnością, że na pierwszy ogień wymyśli spory o „absolutnie wszystkie obrazy” i jak powinienem zareagować, by sprawę uciąć na miejscu. Chyba tylko tak, że wszystko, ale to całkiem wszystko, co było własnością moją i własnością Zosi, zostało zaraz po 18 lutego 1991 подарowane Tomkowi, jako reakcja na list Dmochowskiego z dnia 6 lutego 1991, a to, co uzyskiwałem z „punktu 37”, także natychmiast, z tej samej przyczyny, подарowałem Tomkowi. Prawo do tego daje mi właśnie „punkt 37”.

Wczoraj przed zaśnięciem, rozmawialiśmy trochę z Zosią, na temat jej obrazów wiszących w sypialni, ale ona W OGÓLE nie rozumie problemu: „Obrazy są moje i ich nikomu nie dam, niech sobie pan Piotruś, wybije to z główki”. Wypominała mi, jak łatwo dałem się wywłaszczyć z dawnych rysunków, za które po kilku latach oczekiwania, dostałem zaledwie grosze, czym mnie zdenerwowała tak, że długo nie mogłem

zasnąć. Nie mogła zrozumieć, że ja jeszcze nie wiedziałem wtedy, kim jest Dmochowski, a zawsze przede wszystkim musiałem mieć na uwadze za co utrzymam dom i rodzinę. Gdy wtedy w nocy, w pierwszym okresie czy też dniach naszej znajomości, odkładał rysunek za rysunkiem na kupkę, ze słowami „kupuję”, to myślałem, że za nie zaraz zapłaci. Potem okazało się, że forsa dopiero „będzie”. Myślałem, że za pół roku? Minął rok i okazało się, że dolar spadł o połowę na wartości (a my już byliśmy umówieni co do ceny), ale forsy nadal nie było, potem minęło jeszcze ze trzy lata i gdyby nie Japończycy, to nawet tych groszy, do dziś bym nie widział na oczy. Potem to już wiedziałem z grubsza, z kim mam do czynienia. Podobnie wyglądała sprawa wykupienia w 1990, zastawu około 50 obrazów. Były przecenione na około 700 \$ za sztukę, płatnych tylko na wypadek mej śmierci. Miały leżeć ad infinitum u Dmochowskiego, jako zabezpieczenie psychologiczne dla mnie, że mam wyjście awaryjne. Gdy pojawili się Japończycy sprzedał im te obrazy po wysokiej cenie, a mnie wypłacił grosze, czyli po około 700 \$, mimo iż umowa zobowiązywała go do płacenia za sprzedane (a nie wykupione poprzednio) obrazy połowę tego, co uzyskał. [Tyle że ja wtedy nie wiedziałem jeszcze które obrazy kupili Japończycy. Po obejrzeniu filmu z Osaki w 1993 roku (gdym nabyłem video z formatem NTSC), przekonałem się, że były wśród nich obrazy, będące moim zastawem.] Gdy nie chciałem forsy przyjąć, lub przyjąć pod warunkiem, że zrezygnuje z zastawu, obiecał mi, że rezygnuje z zastawu, po czym po paru latach gładko się z tego wykręcił, twierdząc, że honoruje tylko to, co podpisał, a nie honoruje tego co powiedział, a nagranie na taśmie nic dla niego nie znaczy, bo był pijany i po pijanemu gada rozmaite rzeczy (był całkowicie trzeźwy, przyjechał wtedy wprost z Paryża, prowadząc przez całą noc samochód, wprost do mnie). Teraz w roku 1994, nie uważa za stosowne honorować nawet tego, co podpisał. Trzeba więc prawdzie spojrzeć w oczy: To oszust i trzeba z nim postępować tak samo, co zresztą już czynię od czasu, gdy go częściowo przejrzałem.

To wszystko co wyżej, ma chyba na celu „rozgrzewkę do walki” i nabuzowanie się. Przecież to same zaklęcia! Czyż bym już gadał do siebie?

Cholernie słaby się dziś czuję. Ledwie wróciłem z zakupów. Brakowało

mi oddechu. Może to kwestia pogody. Zapowiadano wczoraj pogodę słoneczną i rano około godz.5 księżyc świecił jak cholera, a teraz ciemno i pochmurno.

22.II.1994

Przymocowane wczoraj odboje, zaczepiają przy opuszczaniu sztalug w dół, dlatego też dziś rano, wpadł mi do głowy pomysł, jak temu zapobiec. Przykleilem od tyłu, uzupełniające, metalowe odboje, a potem, gdy wikol wyschnie, dodatkowo je przykręcę. Znowu opóźni to rozpoczęcie pracy. Pogoda zresztą ponura. Muszę też zrobić dziś przed południem rentgen zęba, z którego spadła korona.

Dzwonił Mika. Zmieni zakończenie zgodnie z mymi sugestiami. Fotografie, które mi robił nie wyszły mu. Poradziłem żeby wziął z CAFu. Pytał czy może coś przereprodukować z albumu, na co się zgodziłem.



Tomek z Tatą, Sanok 1 września 1959 r.

23.II.1994

Usiłuję od wczoraj zmiękczyć Zosię, by nie robiła przyjęcia imieninowego, tylko: słone paluszki, wino, kawa, herbata. Zaczyna się poddawać. Tak trzymać!

Tomek po powrocie zadzwonił i podziękował za obszycie materaca. Spodziewałem się raczej awantury pt: „po co” i „oczywiście”. Miłe zaskoczenie! Prosił potem, bym dla jakiegoś faceta w Belgii czy Danii, podpisał okładkę do płyty grupy Collage, z reprodukcją mego obrazu, ale musiałem podpisać na odwrocie mazakiem, bo nic innego nie imać się błyszczącej okładki. Dodatkowo napisałem dedykację dla tego faceta na pocztówce z reprodukcją mego obrazu. Następnie Tomek wypisał u mnie na komputerze (a ja dobrałem czcionkę), opis zawartości płyt, na których zrobiono mu w Krakowie jego kompilacje ulubionych utworów. Robi to już po raz drugi. Kosztuje to od płyty 780.000 zł., a więc nie jest zbyt drogie. Można podobno nagrać tym sposobem co się chce, pod warunkiem dostarczenia taśmy wzorcowej nagranej na DAT. Może kiedyś z tego skorzystam?

25.II.1994

Zwycięstwo: Udało mi się przy śniadaniu przekonać Zosię, by nie urządziła imienin. Słone paluszki, chipsy, wino i kawa lub herbata. Kto zechce przyjść, przyjdzie sobie wtedy, kiedy zechce przyjść. Bez zapraszania, wyznaczania godziny i duszenia się w 11 osób przy stole. Nareszcie zwyciężył rozsądek!

Wracając wstąpiliśmy w PANORAMIE do „U Brzezińskiego” i kupiliśmy trochę sera Masdam, krakersy, słone paluszki etc. W domu byliśmy dopiero około 14:30. Napisał Jurek, że przesłał pismo (do podpisania) Rudakowi do Sanoka. Uznanie proponowanego przez Jurka okresu przez Ministerstwo, pozwoliłoby doliczyć mi jeszcze 2 dodatkowe lata stażu pracy, a może nieco więcej, trudno orzec, bo okres ten częściowo pokrywałby się, z dającym się udokumentować, rokiem pracy w budownictwie, który już mam zaliczony.

26.II.1994

Rano przejaśniło się, może całkiem się rozpuodzi. Zimno, ok. 0°. Od godz. 5 nie spałem. Jestem jak szmata. Czy to nieustające nędzne samopoczucie już się utrzyma do śmierci, czy też kiedyś jeszcze minie?

Wspomnienie z ostatniego chyba roku studiów: odjeżdżałem wtedy po Świątach czy po wakacjach z Sanoka i rodzice stali na dworcu, a nawet jak mi się wydaje, szli kawalek za odjeżdżającym pociągiem, machając mi ma pożegnanie. Jakoś wydali mi się wtedy mali i starzy i zrobiło mi się ich żal. Czulem się z nimi związany. Wielokrotnie potem przypominałem sobie tą migawkę i pamiętam ją dokładnie do dziś, jak fotografię. Wczoraj nagle ołsnio mnie, że pamiętam to całkowicie fałszywie. Pociąg ze Sanoka odjeżdżał przecież w stronę Krosna, a ja pamiętam dokładnie, że odjeżdżam w stronę Zagórza. W stronę Zagórza można było dojechać najwyżej do granicy, która jest niedaleko. Pociąg przez Przemyśl do Warszawy, kursował wprawdzie wtedy poprzez terytorium byłego ZSRR, ale ja nie jeździłem do Warszawy, tylko do Krakowa, a poza tym, nigdy w życiu nie jechałem owym pociągiem przez terytorium byłego ZSRR! Znowu to co zwykle: Gdy zachowuję coś w pamięci fotograficznej, to odwraca się to o 180°. Obrazy z filmów obejrzanych w dzieciństwie i inne wspomnienia. Wszystko zawsze obrócone jest o 180°.

Zdaje się, że nareszcie ruszyłem z martwego punktu. Zabrałem się do pracy. Podmalowywuję acrylem nowy obraz. Obym nie utknął.

Przyszła mi nagle do głowy paranoiczna ale i przerażająca myśl: Dmochowski może udać, iż w ogóle mojego ostatniego listu nie otrzymał i nic teraz nie napisać, po czym zjechać na Świąta, kiedy znacznie trudniej mi będzie (w osobistym kontakcie, gdy na dodatek, zasłaniać się będzie żoną, której używa w charakterze tarczy ochronnej), przeprowadzić zerwanie umowy. W każdym razie zyskałby na czasie i zyskałby w obrazach (które ewentualnie przez ten miesiąc namaluję), gdybym oczywiście zaakceptował jego ewentualne kłamstwo o tym, że listu nie dostał. Mało to wszystko jest prawdopodobne, ale nie należy tego wykluczać. Boże, żeby to już było po wszystkim!

Rozbabrałem dziś tylko robotę. Teraz zbliża się 15:30 i muszę już przygotować się, że ewentualnie ktoś przyjdzie w związku z moimi poniedziałkowymi imieninami. Jak w każdą sobotę, wyleliśmy kibel babuni. Czujemy się z Zosią nędznie. Może czymś zaraziliśmy się.

W rezultacie dałem Tomkowi na urodziny tą płytę z Orffem.

Znowu zbliżam się do przepelnienia dokumentu i muszę otworzyć następny. To już będzie czwarty w listopadzie.

28.II.1994

Nie zdążyłem się jeszcze wziąć do pracy, gdy zadzwonił telefon. Myślałem, że to dzwoni Emil, by umówić się w sprawie imienin, a to dzwoniła żona Jerki, z zapytaniem czy dostałem list polecony, który wysłała jeszcze przed tygodniem i czy dzwonił ktoś od amerykańskiego wydawcy, który chce, w porozumieniu z Dmochowskim, wydać mój album.

Ani nie dostałem, ani nie dzwonił, ale zerwałem 16 bm. umowę z Dmochowskim i teraz każda umowa na temat jakiegokolwiek wydawnictwa, musi być zawierana ze mną, a nie z Dmochowskim, który wraz z zerwaniem umowy, utracił wszelkie, wynikające z niej prawa. Kłopot jednak polega na tym, że slajdami i obrazami dysponuje Dmochowski, zaś ja „mam” tylko te obrazy, które są u mego syna, te które są u mnie i ewentualnie te, które są w Muzeum Sanockim. Rozmawialiśmy przez dłuższy czas i wiele jej wyjaśniłem. Także to, że nie wiem jeszcze jak zachowa się Dmochowski, ale ja na pewno dam sobie prędzej odciąć lewą rękę, niż powrócę do tej umowy, bo czynnik tym razem, jest nie tyle finansowy, co psychologiczny. Była to moja emocjonalna reakcja na list Dmochowskiego, utrzymany w stylu „Beksiński, marsz do budy!”. Oczywiście prawda jest bardziej skomplikowana, bo na taki list wręcz oczekiwałem, ale już jej na ten temat, nie informowałem. Mam nadzieję, że rozsieję „legendę”. Między innymi u Alicji Wahl. Powiedziałem natomiast, iż należy się spodziewać, że owe 50 obrazów z „odszkodowania”, natychmiast zatkają rynek krajowy, na co jestem przygotowany, gdyż Dmochowski „rzuci je” na ten rynek, już choćby tylko po to, by mi dopieprzyć.

Podobno ten wydawca przy pomocy tłumacza, ma się ze mną skontaktować. Podobno mógłby sfinansować reprodukcje w Warszawie i w Sanoku.

Chciałbym dać też i nowe obrazy, ale nie mam ich w dyspozycji wiele, a tych ukrytych przed Dmochowskim, nie chciałbym w najbliższym czasie demonstrować. Zobaczymy. Zaczyna się zamieszanie.

29.II.1994

Rano pogoda nieco lepsza. Między chmurami prześwituje niebo. Jest jaśniej; będzie można pracować przy świetle dziennym.

Przyszedł Żurek i porozmawialiśmy sobie na temat przyszłej współpracy, po zerwaniu umowy z Dmochowskim. Przyniósł do podretuszowania obraz (1977) z rybami wyrzuconymi na brzeg, w którym na czarnym niebie, było kilka niewielkich zarysowań i śladów po muchach. Myślę, że uda się to zaretuszować bez większych kłopotów, z tym że dobrze byłoby obraz w przyszłości powerniksować, bo w wielu miejscach zrobił się matowy. Na razie podłożyłem pierwszą warstwę retuszu.

Około godz. 15, Zosia przyniosła ze skrzynki list od Dmochowskiego. Ton listu na pierwszy rzut oka pojednawczy i rzeczywiście, jak się okazuje, chyba chciał zerwania umowy, tym niemniej rodzynek lub hak, będący zaczynem do dalszych sporów, zostawił sobie na koniec. Ukrył go zresztą pod uperfumowanym pierzem! Okazało się, że w umowie, punkt 30, przewiduje dla niego liczne prawa, niezależne od losów umowy i ważne „permanentnie” mimo jej zerwania. Tak to mniej więcej zostało przez 10 laty sformułowane. Podpisałem to, nie bardzo wiedząc, co podpisuję. Nawet tego nie zauważyłem! Dopiero teraz się okazało, że podpisałem coś, co zmusza mnie, bym do śmierci został niewolnikiem. Nie ma mowy, bym zaakceptował nieśmiertelność tego punktu. Niech sprawę oddaje do sądu, na arbitraż, do ONZ, przed Trybunał w Hadze, czy gdzie chce, ale nie po to zrywam umowę, by jej de facto nie zerwać!!! Wydaje mi się, że sformułowania tego punktu są sprzeczne, gdyż o ile zostanie zerwana umowa, której on stanowi część, to nie może chyba trwać jeden jej punkt! Z punktu widzenia Dmochowskiego, decyduje tu jednak zapewne, nie tyle logika, co prawne precedensy i poważnie obawiam się, że wygrzebie zaraz, iż np. w 1926 roku, sąd w Lyonie, w sprawie Dupont contra British Oil, wydał precedensowy wyrok, który właśnie itepe itede. Ileż on jeszcze haczyków pozostawiał na mnie!!! Inna sprawa, że cała ta umowa jest

w świetle polskiego prawa, znową dwóch przestępców i nie ma zapewne mocy prawnej. Gdyby to jednak wyciągnął przed polski sąd, wyjść by mogło i to, że nie płaciłem podatków. Znowu będę denerwować się przez najbliższe dwa, trzy tygodnie, nie wiedząc, co się z tego wykluje. Kiedyż on się wreszcie odklei? Przykleił się mocniej, niż rzep do psiego ogona! Co tam rzep. Butapren!!! Muszę chyba sprawę oddać w ręce prawnikowi, tylko kto tu byłby w tym dobry? Może pogadać z Żurkiem u Wahl? Może kogoś mają? Na razie odpisuję Dmochowskiemu w brudnopisach, robiąc kilka wariantów.

Napisałem kilka wariantów, bardzo zwięzłych i niewiele się różniących. Ostatni najbardziej łagodny i ugodowy. Proponuję fajkę pokoju, wypaloną przez dwóch WOLNYCH ludzi. Brzmi to podniosłe, ale nieprawdziwie, bo po prawdzie, czuję w sobie cholerną złość na niego. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Dzwoniłem do męża doktor Basi, ale będzie dopiero po godzinie 20, a około 19:30 mają przyjść Emilowie i być może Kamilowie. Przedstawię problem Emilowi. Spróbuję jeszcze zadzwonić do Hosera, może ma jakiegoś prawnika, którego mógłby zapytać. Jutro rano mąż doktor Basi będzie przez cały dzień w domu, to zadzwonię też do niego. Jestem zbyt naiwny, głupi i łatwowierny, by spisywać umowy. To fakt.

Zosia napisała do Rudaka, a ja tylko się podpisałem. Kompletnie jestem bezradny, gdy idzie o tego typu listy.

Zacząłem układać list do Nyczka, w nadziei, że może zna w Krakowie jakiegoś prawnika, ale przerwał mi telefon od dr Podogrodzkiej. Uradzili z mężem, że jest w Pruszkowie adwokat, specjalista od umów, a jego córka jest adwokatem w Paryżu, więc zna prawo francuskie, więc może bym z nim się porozumiał. Odpowiedziałem, że list już wysłałem, ale gdyby w wyniku listu miały powstać jakieś kłopoty, to oczywiście wynajmę adwokata i wtedy ten adres będzie jak znalazł.

List do Nyczka skończę jutro lub zrezygnuję. Zosia powiedziała, bym na dziś dał sobie już spokój, bo zwariuję. Może to i racja.

Godz. 20:40. Ciśnienie spadło na 140/89 ale wzrósł puls na 89.

Niedziela I.I.1995

Strzelanina w nocy była jakby o odcień cichsza niż przed rokiem, a może to takie subiektywne odczucie. Zaczęła się na ostro, około pięć minut przed północą i trwała w niezmiennym natężeniu do około 0:20. Potem zaczęła przycichać. Jeszcze z oddali dochodziły ryki „nooowy roook”, po czym około 0:30 wszystko ucichło.

Pogoda rano jak zwykle: czarna noc. Temperatura +2,5°. W nocy chyba padało, ale teraz jest tylko mokro. Spróbuję pracować pomimo ciemności. Chcę dosyć gruntownie przerobić głowę i zlikwidować jedną rękę lub umieścić ją inaczej.

Maluję przy świetle elektrycznym. Ciemności większe niż kiedykolwiek. Myślę stale o Dmochowskim i zaczynam przychyłać się do opinii Zosi, że on teraz nie przyjechał i nie przyjedzie. Zobaczą w najbliższych dniach czy napisze. Jeśli nie napisze, to myślę, że pojawi się dopiero w związku z wystawą, około kwietnia, maja. Chyba żeby połknął haczyk i odwołał wystawę. W tej sytuacji, mógłby przyjechać po obrazy, w trakcie przerwy semestralnej. Tak czy inaczej, finał pozostaje w zawieszeniu, co znacznie mi utrudni, jeśli wręcz nie uniemożliwi pracę.

Malując i słuchając muzyki, włączyłem jako trzecią, płytę z siódmą symfonią Brucknera. Dawno nie słuchałem Brucknera, bo ostatnio mnie nudził. Adagio z 7 symfonii, było przed ca 20 laty moim ulubionym utworem, który uważałem za czołową kompozycję Brucknera. Wiedziałem, że 7 symfonia, napisana była niejako w holdzie Wagnerowi, pod wpływem jego śmierci, ale dawniej przyjmowałem to na wiarę. Teraz bezmyślnie włączam i słucham pierwszej części Allegro moderato i od pierwszych taktów słyszę: to jest po prostu Wagner. Że też dawniej tego nie słyszałem! Gdybym tego nie znał i nigdy nie słyszał i usłyszał teraz po raz pierwszy, byłbym pewny, że słucham nieznannej kompozycji Wagnera. Czegoś się jednak człowiek podświadomie uczy, przez te wszystkie lata bezmyślnego słuchania.

Najpierw odpiszę Cowanowi, potem ewentualnie skontaktuję się z Rosikonem. Podobno robił reprodukcje do katalogu ARS EROTICA.

Piątek 13.1.1995

No właśnie. Pogoda jednak znośna. Trochę ćmi (od nocy) głowa, ale ciągnę obraz. Coś jak powrót do siebie sprzed kilku lat. Z końca lat osiemdziesiątych. Ale właściwie chciałem teraz namalować trochę obrazów dla siebie i zrobić powtórki (stylistyczne) z tego, co zabrał mi Dmochowski. Jeszcze pewnie jakieś morza, być może katedry. Nie będę tego dawać do handlu, o ile się uda zrobić to, co chciałbym sobie zostawić. Tak myślę w tej chwili, ale co będzie za dwa dni, tego nie wiem. Moje myślenie i postanowienia, są płynne i zależne od nastroju, powodzenia w pracy, samooceny oraz ilości tego, co udało mi się zrobić...



Zdzisław polujący na dobre ujęcie, 1962 r.

Sobota 14.1.1995

W nocy soda i proszki od bólu głowy około godziny 2. Wczoraj były pierogi i chyba się przejadłem nimi, potem po kolacji, przy telewizorze zjadłem sporo orzeszków, a na koniec, oglądając film, kilka pomadek i chyba to wszystko razem się zagotowało. Film stary z 1971 roku, „Śmierć w Wenecji” Viscontiego. Nie widziałem go nigdy. Jest taka proza, której nie można przełożyć na obraz i trzeba sobie z tym dać spokój. To tak jak z filmowaniem „Ferdydurke”. Cień obsesji Gombrowicza, unosił się zresztą nad filmem. Reżyser wspomagał się dodatkowymi scenkami i tekstami, a nawet „Doktorem Faustusem” (prostytutka Esmeralda), ale głównie z tego wyszło. Von Aschenbach (ciekaw jestem na ile strawne byłoby przełożenie na polski nazwiska, które przecież nie było przypadkowo dobrane) miał być chyba w założeniu Mahlerem (kompozytor, zmarła mu córka etc.) ale wyszedł z niego raczej Mann, gdyż z Dirka Bogarte nie sposób wyprodukować Mahlera. Adagio z Piątej i czwarta część Trzeciej, stanowiły podkład muzyczny, użyty jak zwykle w filmie w sposób irytujący dla kogoś, kto lubi muzykę (nagle urywania w najmniej do tego nadającym się miejscu). Zosia przyzwyczajona ostatnio do sensacyjnych filmów akcji klasy B (bo nic innego nie oglądamy, w czym głównie moja wina), nie mogła doczekać się końca. Ja się nie nudziłem, ale film mi się nie podobał.

Około godziny 11, udało mi się wreszcie (próbowałem już wczoraj) dzwonić do księdza Przekazińskiego. Rozmawiał wczoraj z Dmochowskim i ten potwierdził wystawę w Muzeum Archidiecezji. Nie wspomniał nic o zerwaniu przeze mnie umowy, więc Przekaziński też nic na ten temat nie mówił. Poprosiłem o zgodę na przechowanie 13 oprawionych obrazów, przeznaczonych dla Dmochowskiego i okazało się, że mają miejsce i nie będzie z tym kłopotów, tylko mam zaczekać, aż nie będzie padało, bo mają własną furgonetkę i nie będę musiał ponosić dodatkowych kosztów, ale Przekaziński boi się ją wysłać w sytuacji, gdy jest lub grozi gołoleź. Tak więc mam dzwonić, gdy się rozpogodzi lub on zadzwoni.

Właściwie ten obraz, który obecnie maluję zbliżony jest do tego, co robiłem przed kilku laty. Zaczęło mi więc chodzić po głowie, by namalować

powtórnie ze dwa, trzy obrazy z cyklu 16 obrazów „na zamówienie”, które tak bardzo mnie wymęczyły, gdy je malowałem, odrabiając pańszczyznę, że nie oceniałem co są warte. Teraz oglądając taśmy, dochodzę do wniosku (zresztą nie pierwszy już raz), że co najmniej kilka spośród nich nie doceniłem i chętnie bym je miał dla siebie, czyli namalował powtórnie. Szczególnie namalowaną w formacie poziomym katedrę z ugowym niebem i szatą, która przechodzi w chmury i przedostatnią katedrę prostokątną w kolorze czerwonym. Zrobiłbym to nieco inaczej, ale chyba sobie to powtórzę. Wreszcie mogę sobie wrócić do jakichś własnych obrazów.

Wtorek 24.I.1995

Pierwsza noc, w trakcie której stosunkowo bardzo dobrze spałem. Albo byłem już wymęczony, albo zaczyna mi się poprawiać. Katar wydaje się bez zmian, ale z gardłem chyba jest lepiej. Noga dokucza mniej, ale jednak ciągle. Chyba jednak trzeba będzie odwołać spotkanie z Jurkiem. Nie dam rady biegać po Warszawie, wdrapywać się na schody etc., szczególnie, że jeszcze nie wiadomo, jaka będzie pogoda i czy nie zacznie się śnieżycy lub gołoledź. Wczoraj przez cały dzień był deszcz i odwilż, dziś rano jest sucho, ale nadal +2°. Zostaję jeszcze w łóżku, natomiast u Zosi widoczna poprawa, opuchlizna z twarzy już zeszła (wczoraj rano jeszcze była widoczna) i wybiera się po zakupy.

Żurek znowu telefonował około południa. Pytał jak się czuję i czy czegoś nie potrzebuję. Teraz około godziny 17 mam 36,9° i właściwie czuję się już całkiem dobrze. Kaszel pozostał, ale nie jest silniejszy niż przez trzy ostatnie miesiące. Podobnie katar. Jutro zabieram się do pracy. Najtrudniej jest z nogą i jutro będę musiał podjąć decyzję, co ze spotkaniem z Jurkiem i załatwianiem dodatkowych lat do emerytury. Nie mam co robić i potwornie się nudzę. Nie sposób nieustannie spać. To, co czytałem przez ostatnie dwa dni, nie było literacko nic warte, psychologicznie naiwne, propagandowo łopatologiczne (Tom Clancy: „Polowanie na CZERWONY PAŹDZIERNIK”) ale przynajmniej nie było żenujące, a opis technologiczny wydawał się zgodny z rzeczywistością, w każdym razie stwarzał takie wrażenie, że autor wie o czym pisze i że tak mogło być naprawdę. To co czytam dziś, jest typowym kretynizmem, które powstają

teraz masowo, zarówno w książkach jak i na taśmie video. Nie wiem po co to do cholery czytam. Nieprawdopodobnie infantylny idiotyzm. Żeby choć był dobrze napisany, żeby choć umiał trzymać w napięciu, niechby wreszcie, przy tej dozie oderwania od wszelkiego prawdopodobieństwa, dotyczył życia wampirów; nie z tych rzeczy. To ma być, jak zapewnia notka na okładce „przerażający thriller polityczny”. William Breton „Dziesięć dni do Zero Zero”. Poziom na poziomie Ludluma lub gorszym. Wczoraj podobne gównu oglądaliśmy z taśmy video. Boże, nie mam już nic lekkiego do czytania, jutro muszę zabrać się do roboty. W trakcie choroby lubię czytać rzeczy ogłupiające, ale DOBRZE spreparowane rzeczy ogłupiające. Pragnę być ogłupiany z talentem.

Czwartek 2.2.1995

Przemaalowałem po raz drugi obraz zaczęty w połowie stycznia. Najpierw miała być powtórka jednej z katedr, które wziął Dmochowski w ramach 16 obrazów na zamówienie. Potem zrobiłem z tego utrzymaną w oranżach i czerwieniach, postać z rozkrzyżowanymi ramionami i lecące czy też wgłębione prostokąty. Potem miałem wypadek. Od dwóch dni próbowałem powtórnie wejść w ten klimat, ale mi się nie udało, dziś więc obróciłem format pionowo i maluję na tym wszystkim głowę. Na razie podmalowałem grubo. Redukuję kolory, bo to mnie najbardziej raziło. Babka krąży i udeptuje korytarz. Zosia śpi. Po podmalowaniu obrazu zrobiłem nowe medium. Skończył się już WIN GEL nowszej generacji, który był stosunkowo gęsty i w zamian do medium używam GEL MEDIUM Rowney nowszej generacji, które z kolei było zbyt rzadkie i oddzielał się tam rozpuszczalnik od gelu. Zamiast dwóch tub, użyłem trzech tub i nieco mniej niż drugie tyle oleju. Podgrzałem, rozpuściłem i dodałem sykatywy, po czym rozrzedziłem ca 80 częściami werniksu, zamiast 100 częściami, gdyż obawiam się, że GEL MEDIUM samo z siebie jest już nadmiernie rozrzedzone. Zobaczmy, co się z tego ukręci. Wyszła z tego exact pełna butelka.

Czwartek 9.2.1995

Skończyłem ten cholerny obraz. Zbliży się godzina 11. Zrobiłem wczoraj i skończyłem teraz dekorację na okoliczność ekipy pani Ireny Wolen.

Zostawiłem (*vis a vis* świętego stołu) krzyż ukośny, który uważałem w ub. roku za najlepszy (232=ZK 1993) oraz po innych półkach rozmieściłem acryle z punktu 37, które oficjalnie są własnością Tomka. Inne obrazy pod spodem i nie będę ich pokazywać. Obraz obecnie ukończony, Zosia wyniosła do swego pokoju. Noga bardziej mi dziś dolega i dołączyła się ręka, która też dziś jest gorsza niż była przez ostatnie dwa tygodnie. Zabieram się za skończenie tego wywiadu.

Okolo 16 dzwoniła Wolen, że się spóźnią, co jest normalką oraz, że powie mi na jaki temat mam mówić, ale nie będzie zadawała pytań. Czyli dokładnie to, czego się obawiałem i co, jak mnie zapewniono, nie nastąpi. Niech ich wszystkich szlag trafi.

Przyjechali z 10 minutowym opóźnieniem. Okazało się, że był z nimi także Madeyski. Jakoś wydukałem ten tekst i potem nagrali jeszcze dubla, więc wydukałem inny, podobny tekst. Myślę, że nie będzie najgorzej. Nagrywałem to na DAT, ale chyba nie ma po co chować. Filmowali mnie na tle obrazu z krzyżem, ale nie wiem czy będzie rozpoznawalny, bo brali za ledwie wycinek. Oczywiście w celach kompozycyjnych, chcieli coś przestawiać, ale udało się ich wyhamować. Facetka chciała na siłę wyciągnąć z za krzyża inny obraz i zasłonić nim białą ścianę obok NP 1010. W porę ją powstrzymałem, bo miałbym porysowane co najmniej dwa obrazy. Madeyski rozmawiał w tym czasie u nas w pokoju z Zosią. Potem wypiliśmy herbatę i zamówili Radio Taxi. Potem wyszli i poszli szukać tej taksówki, a jeszcze potem, gdy już zjadłem kolację, zadzwoniło Radio Taxi, że taksówka czeka. Ich nigdzie nie było widać. Mam nadzieję, że nie zapłacę za taksówkę.

Środa 5.4.1995

Po południu zadzwoniła jakaś facetka z Kielc, że widziała moje obrazy w Sanoku i pisze artykuł i prosi o rozmowę. Gadalem z nią przez okolo 15 minut lub dłużej. Chyba trzeba zachować taśmę? Myślę, że jednak nie wydrukuję tego, jako wywiadu. Zaraz po niej zadzwoniła telewizja z Gdańska, powołując się na Matynię, z zapytaniem czy mógłbym z nimi nagrać wywiad po Świętach lub w pierwszych dniach maja. Zgodziłem

się i mają jeszcze zadzwonić po Świętach, by uściślić termin. Nie wiem, dlaczego nagle zacząłem być obiektem zainteresowania? Może była jakaś migawka w telewizji albo coś w prasie?

Środa 12.4.1995

Nadal nie jestem zadowolony ze swojej roboty. Piluję głowę acrylową, ale jest to martwe. Tak jakby mi talent gwałtownie wysychał. Nie jest to chyba możliwe, skoro w styczniu namalowałem jeden z najlepszych swych obrazów w ciągu ostatnich lat. Sam już nie wiem. Może spróbować wrócić do siebie sprzed 10 lat? Może spróbować od nowa namalować niektóre dawniejsze obrazy?

Sobota 6.5.1995

Jest godzina 4:30 rano i od godziny czy dłużej nie mogę spać. Efekt wystawy i Dmochowskiego. Nagle uzmysłowilem sobie dlaczego wczoraj (w Muzeum Archidiecezjalnym) tak mi się to wszystko nie podobało. Byłem jakoś zbyt zmęczony, by zdać sobie z tego sprawę ale teraz widzę, że po prostu zestaw prac mi nie odpowiada. Przede wszystkim znalazło się tam sporo archaicznym obrazów ze zbiorów Szydły. Po co? One są sprzed okresu naszego kontraktu i pochodzą chyba z początku lat siedemdziesiątych, a niektóre może nawet z końca lat sześćdziesiątych, są kiepsko malowane, mogą się nadawać na wystawę pośmiertną ale nie na wystawę, która miała w założeniu pokazać co zrobiłem, a czego nie ekspoznowałem w Polsce przez ostatnie 11 lat, gdy związany byłem kontraktem z Dmochowskim. Poza tym, te obrazy były w latach siedemdziesiątych i na początku lat osiemdziesiątych, ekspoznowane wielokrotnie przez Szydłę. To pierwsza sprawa. Druga to fakt, że na wystawie znalazły się co najmniej trzy prace, wystawione już w Galerii Wahl w końcu lat osiemdziesiątych. Znalazł się też stary jak świat i drugorzędny obraz odkupiony w 1991 roku „za psie pieniądze” od Siemińskiego. Dmochowski go podobno lubi, ale jaki ten obraz ma związek z tym, co miała reprezentować wystawa? Teraz zestaw prac namalowanych w latach 80 i 90. Nie można tu zarzucić, że Dmochowski (jak się tego poprzednio obawiałem, po wymianie korespondencji na ten temat) dał wyłącznie te prace, które chce w Polsce sprzedać, ale też nie dał tych prac, które wybieraliśmy razem w kwietniu

ubiegłego roku, lub też dał za ledwie ich część, dodając sporo prac, które NA PEWNO wtedy odrzuciłem, o ile je w ogóle wtedy proponował, oraz eliminując jeszcze większą ilość prac, które wtedy wybrałem i które koniecznie należało wystawić. To jest pewne. Na przykład czerwony krzyż z „majtkami”. W albumie francuskim widnieje obok niego inny krzyż, o niebo lepszy, który i jemu bardziej się podobał, ale go nie dał, a przywiózł ten, którego chciał się pozbyć, bo oferował mi go w ubiegłym roku do wymiany. W ogóle było lub jest u niego, kilka bardzo fajnych krzyży i żadnego nie przywiózł, a przytargał ze sobą dwa absolutnie najgorsze. Być może nie jest to wynikiem jego złej woli, lub wyłącznie chęci handlowania obrazami drugorzędnymi, ale czuję, że ten zestaw źle mnie reprezentuje. Wczoraj jakoś przeszło mi to obok, byłem tylko zde gustowany, lecz teraz w nocy, nastąpiła opóźniona reakcja, taka sama jak u Dmochowskiego, gdy wczoraj dowiedział się o zbyt bliskim terminie zamknięcia wystawy. Nic na to nie poradzę, ale muszę jakoś odciąć się od tej wystawy, wyjaśniając zainteresowanym, że zaplanował ją Dmochowski, a nie ja i że jest to wystawa nie tyle moja, ile wystawa z jego zbiorów.

Wychodzi na to, że zostałem podwójnie wykorzystany: raz w ten sposób, że pod hasłem mojej wystawy zbiorowej mamy w 80% wystawę obrazów, które Dmochowski chciałby w Polsce sprzedać. Po drugie w ten sposób, że gdy z Przekazińskim omawialiśmy sprawę wystawy przed dwoma laty, to nie było żadnej mowy na temat tego, że Glemp będzie ją otwierał. Nagle staje się nieomal twórcą popieranym przez Kościół! Budzi to mój cholerny niesmak. Przecież jeszcze żyję, a już jestem manipulowany i animowany jak trup. Podobna sprawa była w roku 1989, gdy była promocja albumu ARKAD i spotkanie ze mną potraktowano jako krypto zebranie przedwyborcze jakiegoś kandydata PZPR pod tytułem Tuderek, który prezentował się na zakończenie i jeszcze chciał, bym mu zrobił wpis do albumu, to w zamian poprze wydawnictwo ARKADY, gdy już zostanie posłem. Udałem wtedy, że nie słyszę. Teraz też będę musiał udawać, że nie słyszę, tyle że efekt manipulacji już jest i odwołać go nie sposób. Słusznie ironizował przed laty Janek, że występuję w roli konia z wplecionymi w ogon kolorowymi wstążkami na ludowym festynie, obok orkiestry, harmonistów i słupa wysmarowanego mydłem.

Na szczęście nie wysłałem listu do Nyczka i teraz go usunąłem. Nie jest jednak tak źle, jak mi się wczoraj wydawało. Szereg obrazów musiało być chyba ukryte za innymi i okazuje się, że są prawie wszystkie, na których mi zależało. Kosiński wyeliminował tylko „nogi na krześle” i kilka drugorzędnych. Kilka innych drugorzędnych zostało, ale szereg dobrych jednak jest i wystawa po rozłożeniu nie przedstawia się źle. Obrazy od Szydły wycofano co do jednego. Od Siemińskiego też. Co do „Matki Boskiej”, to zwróciłem im uwagę co jest tu grane ale powiedzieli, że pytają Przekazińskiego, którego dziś jeszcze nie ma, bo jest w Częstochowie. Dmochowskiemu i innym podobają się obrazy oddane mu w ramach owych 13. Dwa koniecznie już chce zabrać do Paryża na nową wystawę, zaś kilka innych włączono do ekspozycji. Ja byłem ogólnie miły jak mydelko Fa i na wszystko się zgadzałem. Od Duni Entuzjastki dostałem czerwoną różę, jako że nie będę na wernisażu. Wynikło też z rozmowy, że nie będę musiał być na konferencji prasowej. Dmochowski nie naciska, a więc zapewne nie chce by wiadomość o zerwaniu umowy przeciekła do prasy. Niech będzie. W ogóle odnoszę wrażenie, że Dmochowski wolałby bym z telewizją i mediami nie wchodził w żaden kontakt i chyba rzeczywiście idzie mu o to, by nie nagłaśniać sprawy zerwania umowy. We wszystkich publikatorach wystąpi sam i dobrze.

Piątek 2.6.1995

Malowałem przez cały dzień. Punktualnie o godzinie 18 przyszła Buchowska z jakimś malarzem. Gadaliśmy przy kawie do około 19:45. Malarz okazał się facetem komunikatywnym. Dostałem od niego w prezencie pudełko kredek akwarelowych. Zapraszał do siebie, a ja zaprosiłem ich, kiedy tylko będą chcieli, do nas. Wieczorem dołożyłem niektóre programy do komputera i powtórnie go skompresowałem, gdyż dekompresja sprzed trzech czy dwóch tygodni, niczego nie dała w sensie przyspieszenia.

Sobota 17.6.1995

Około 16 zadzwoniła Jęczmykowa, że program z dyskusją na temat moich obrazów nie będzie o godzinie 19 lecz 16:30 i żebym się nie denerwował, bo Dmochowski coś tam na mnie mówi i podobno wszyscy w radio byli

po mojej stronie. Hm. Czym tu się denerwować? Chyba nie zrobił przez radio donosu do Urzędu Skarbowego.

Ja też na niego narzekałem. Chętnie posłucham.

A więc audycja była bardzo fajna. Szczególnie Wróblewska mówiła bardzo życzliwie o mnie i w ogóle tak, jakby wiedziała dokładnie, o co chodzi. Naprawdę sprawiła mi przyjemność. Dmochowski powiedział w zasadzie tak, jak było w rzeczywistości. Może przesadził trochę twierdząc, że za wiele obrazów (dał do zrozumienia, że kilkaset) płacił mi pięciokrotnie więcej. W sumie zapłacił tak za kilka obrazów z punktu 37 i nie było to pięciokrotnie więcej, lecz około czterokrotnie więcej. Powiedział jednak częściową prawdę odnośnie punktu 30. Częściową, bo punkt ten pozwala mu na kupno nie tylko pięciu obrazów, lecz 25% tego, co namaluję, zgodnie z jego wyborem, za groszową i stale malejącą cenę. No ale nie rozminął się z prawdą, jeśli idzie o istotę rzeczy.

Środa 28.6.1995

Piękna pogoda, ale nieco chłodniej niż było wczoraj. Od rana maluję i mam nadzieję, że skończę ten przerabiany obraz. Gdy go malowałem chodziłem jeszcze o kuli. Wydaje mi się, że nie jest to obraz mego życia, ale przeróbka w znacznym stopniu mu pomogła. Teraz to coś jest warte, a przedtem było to gówno. To, że nie muszę już się spieszyć, zawdzięczam zerwaniu umowy.

Zaczyna się okres ćwiczeń na deskorolkach. Nieudolni entuzjaści poskakują przed blokiem jak srające kurczęta, podnosząc przy każdym skoku oba ramiona do góry. Z odtwarzacza CD lecą improwizacje Bouleza do tekstów Mallarmé. Tłuczenia deskorolek zaskakująco dobrze włącza się do rozwodnionej muzyki. Boulez powiedział kiedyś, że Vivaldi to guma do żucia dla uszu. Nie należę do entuzjastów Vivaldiego, tym niemniej mam wrażenie, że Boulez nie jest wprawdzie gumą do żucia, ale za to herbatą z kwiatu lipowego lub zupą z gwoździa. W każdym razie to „zdrowa żywność”, z wszystkimi paskudnymi cechami zdrowej żywności, które powodują, że wolę odżywiać się w Mc Donaldzie.



Zdzisław Beksiński, lata 50.

Poniedziałek 31.7.1995

Ostatecznie zamknąłem pracę nad „wywiadem”. Wczoraj wieczorem odchudziłem go o co najmniej jedną stronę, dziś rano dodałem akapity w celu większej przejrzystości tekstu. Potem jeszcze tekst przeczytała Zosia, znajdując kilka powtórzeń (dwa razy „nie” i inne podobne) oraz kilka złych form gramatycznych i opuszczonych zaimków, które wypadły przy niekończących się przeróbkach tekstu. Poprawiłem więc ostatecznie, wydrukowałem i nadałem wraz listem na pocztę przy Placu Konstytucji. Pojechałem tam metrem, korzystając z niego po raz pierwszy, bo równocześnie w Spółdzielni na ul. Waryńskiego zrobiłem rentgen zęba. Pogoda piękna. Ciepło, ale nie gorąco. Gdy się ma coś załatwić w rejonie Placu Konstytucji lub bliżej, to metro jest na pewno lepsze od samochodu, którego nie ma gdzie zaparkować.

Za niecałe dwa tygodnie, 11 sierpnia, kończy się wystawa w Muzeum Archidiecezji. Zastanawiam się czy Dmochowski przyjedzie pakować obrazy, czy też wszystko zostawi na barkach Keplera. Gdyby przyjechał, to nie wiem czy mam chować nowe obrazy? Pokazywać ich nie będę, ale czy mam je w ogóle ukrywać? Chyba nie.

Rozsmakowałem się w używaniu metra i po południu pojechałem po raz drugi do miasta, bo zadzwoniwszy do sklepu CASIO na Nowym Świecie, dowiedziałem się, że mają ten typ zegarka z podświetlaczem, który chciałem sobie kupić (AD-300). Oczywiście tak jak to jest normalnie przy załatwianiu przez telefon, w sklepie okazało się, że akurat tego zegarka nie ma. Proponowano mi „inne piękne zegareczki” ale powiedziałem, że chciałem ten i dzwoniłem w tej sprawie, a innych pięknych nie chcę. Poszedłem jeszcze do dwóch innych sklepów CASIO, ale na próżno. Trzeci był zamknięty z powodu urlopu. Wróciłem więc do domu z niczym.

Sobota 12.8.1995

Przed samym obiadem zadzwonił kolekcjoner pod tytułem Stanisław Nowotny (o ile dobrze usłyszałem), że ma mój obraz i farba się z niego w dwóch miejscach łuszczy, że kupił go od znanego kolekcjonera z Buku.

Po tym Buku, doszedłem do wniosku, że idzie o obraz pod kryptonimem „Eugenia Umińska”, który kupił ode mnie wujek Kołodziejczyka, dr Siuda, emerytowany lekarz okrętowy, w końcu lat osiemdziesiątych. Przez lata całe wisiał u nas najpierw w Sanoku, potem w Warszawie na ścianie, lub leżał w schowku i nic się z nim nie działo, a tylko kupił go jakiś cymbał (i to z grzeczności, ze względu na Dmochowskiego i Kołodziejczyka za symboliczne pieniądze) i dał mu w ciągu paru lat radę! Pamiętam, że ten wujek był kompletnie ślepy i chciał kupić płytę piłśniową z odrzuconym i podrapanym, nie skończonym obrazem, której używałem jako osłony od przeciągu przy wezglowiu tapczanu! Szkoda, że mu jej nie sprzedałem! Jemu zależało wyłącznie na moim podpisie. Obrazy z tego okresu mają elastyczną strukturę, bo nie miałem jeszcze wtedy ani forsy, ani mediów, ani doświadczenia i przeolejałem je nadmiernie, ale same ze siebie nie mają prawa wykazywać żadnych tendencji do łuszczenia, co najwyżej do ciemnienia. Poza tym na skutek elastyczności powierzchni, są łatwe do głębokiego zadrapania. Cholera mnie bierze. Miejmy nadzieję, że usterki nie będą aż takie jak na obrazie podarowanym przed laty Kostołowskiemu. Z tamtego w praktyce nic już nie zostało, bo chyba nieustannie trafiał w ręce kompletnych idiotów. Cholernie żałuję, że nie sfilmowałem go dla celów dokumentacyjnych wtedy, gdy Buchowska przyniosła go do mnie. Coś mnie zaćmiło i poprzestałem na potwierdzeniu autorstwa, które przykleiłem od tyłu. Szkoda! Warto by kupić Polaroid, by mieć na takie okazje. Obraz kupiony przez Nowotnego, być może uda się jeszcze naprawić, o ile ktoś nie próbował go naprawiać (lub przemywać spirytusikiem) przede mną. Umówiłem się z Nowotnym, że przyjdzie jutro około godziny 18 z obrazem i zobaczę, co jest grane i co da się zrobić.

Sobota 26.8.1995

Rano 18° i cienka warstwa chmur, zza których przegląda miejscami niebo. Tym niemniej jest dosyć ciemno. Wezmę się od rana za położenie pierwszej warstwy retuszu na obrazie. Zauważyłem, że nowe ramy mają głębszy (niż dawne moje) felc, który na pewno zniszczy lub już zniszczył zamalowane obrzeże obrazu, ale to już chyba nie moja sprawa? Obraz wywoził ktoś lub usiłował wywieźć za granicę w 1992 roku, bo ma na odwrocie pieczętkę konserwatora wraz z numerem i datą. Sądząc po

umieszczeniu pieczętki, obraz był wtedy jeszcze w starych ramach (były z tyłu szerokie poziome pasy usztywniające). Będę jednak musiał zrobić taką kartkę z informacją jak na obrazach acrylowych, przetłumaczyć na trzy czy cztery języki i naklejać na odwrocie każdego nowego obrazu. Kartka ta będzie zawierać informacje, że nie należy niczego opierać bezpośrednio na malowidle, a w wypadku zmiany ram, dopilnować by nowe ramy nie przesłaniały po brzegach obszaru szerszego niż pasek 5 mm. Kretynizm standardowego posiadacza obrazów jest nieprawdopodobny i z reguły wszyscy popełniają ten sam błąd: wydobywają obraz z ram, składają go razem z innymi na styk i transportują wozem w inne miejsce, co powoduje otarcia na całej powierzchni. Pod tym względem Dmochowski (trzeba mu oddać sprawiedliwość) jest wręcz ideałem. Może dlatego, że udzieliłem mu na wstępie ścisłych instrukcji?

Do godziny 9:45 zrobiłem pierwszą warstwę retuszu, zeskrobując także w niektórych miejscach naruszoną farbę. Przedtem zmyłem z grubsza brud, przy użyciu czystej, mokrej ściereczki. Do retuszu użyłem zamiast ultramaryny, błękitu indanthrenowego, bo obawiam się, że w tych miejscach, po prawej u dołu, gdzie były szeregi jasnych kropek, nie jest to tylko otarcie, ale także zachłapanie czymś, czego składu chemicznego nie znam, a co mogłoby potem spowodować zszarzenie ultramaryny. Jako spoiwa użyłem LIQUIN. Wszystko przed rozpoczęciem sfilmowałem. W jednym miejscu usterki były ewidentnie moją winą, bo pod warstwą farby był chyba jakiś werniks lub żywica, co spowodowało spękanie powierzchni. Była to jednak tylko jedna, niewielka (nie więcej jak ca 3 cm kwadratowe) partia obrazu. Farba zewnętrzna rzeczywiście ma tendencję do obsypywania się, ale nie sama z siebie, lecz pod wpływem nacisków i otarć mechanicznych. No cóż: ten obraz to „błędy i wypaczenia” z okresu mego technologicznego dziewictwa. Przenikanie obrazu, który zaczęty i nie doschnięty był pod spodem (do góry nogami), jest już moją winę i jego początki zauważyłem już poprzednio, gdy obraz wisiał u nas.

Piątek 1.9.1995

Wbrew temu, co zapowiadano w telewizji, ranek jest stosunkowo ładny. Niebo tylko w połowie pokryte długimi chmurami. Zimno, bo tylko 9°.

Boli mnie głowa i dokucza silniej zebro pod pachą. O ile pogoda się utrzyma, to madame Kramarczuk umówi się i przyjdzie dopiero w okolicach godziny 17, a ja wezmę się do roboty, gdy tylko przejdzie ból głowy.

Kramarczuk zadzwoniła około 9:15. Ponieważ zrobiła się piękna pogoda, zabrałem się do pracy i umówiliśmy się na godzinę 17, ale gdyby się pogoda później zepsuła, to ma zadzwonić czy uda się jej przyjść wcześniej. Chce przyjść z kierownikiem produkcji, by ocenił, czy materiał nadaje się do wykorzystania w telewizji. Od razu mówiłem, że na pewno się nie nadaje, a poza tym trzeba sporo cierpliwości, by to przejrzeć, ale niech zobaczy sama.

Do godziny 15 utrzymała się pogoda słoneczna lub w połowie słoneczna, bo przesuwały się przelotne chmury. Wygląda na to, że pogoda utrzyma się do wieczora. Na razie skończyłem pracę, zostały już tylko drobne uzupełnienia na jutro. Czekam na Kramarczuk.

Kramarczuk przysłała przed czasem, razem z kierownikiem produkcji i razem obejrzeeli kilka sekwencji malowania obrazu, zrobionych zarówno przy użyciu SVHS jak i systemu Video 8. Ten pierwszy oczywiście wydawał im się lepszy, na tym drugim z kolei były ciekawsze obrazy. W rezultacie umówiliśmy się tak, że zamówią studio i skopiują cały materiał z moich taśm na Beta, a potem przekształcą wybrane fragmenty przy pomocy stop klatek i equalizera koloru. Zastrzegłem sobie, że nie wypożyczę taśm, lecz chcę być przy tym obecny, bo na kasetach są też rozmaite osobiste nagrania, których nawet nie pamiętam, a nie chcę by je ktoś oglądał i słuchał, co się tam mówi. Zaakceptowali to. Potem obejrzeeli fotografie i coś tam wybrali, a Kramarczuk zapisała gdzie tego szukać i jeśli idzie o fotografie, to przyjadą z kamerą do mnie, z tym, że najpierw pojadą do Sanoka. Na tym stanęło.

Sobota 2.9.1995

Ranek mokry. W nocy lub nad ranem padało. Ciemno jak w dupie, a więc chyba nadal będzie padać. Temperatura 12,5°.

Miałem wczoraj trudności z zaśnięciem. Wiadomość, że moje obrazy

trudne są do sprzedania lub w ogóle nie można ich sprzedać, mimo, iż niczego innego nie oczekiwałem, jednak mnie poruszyła. Miałem jednak cień nadziei, że zacznę wychodzić z dolka. Tak więc mamy w perspektywie konieczność utrzymania się z oszczędności i to zapewne już do śmierci. Wątpię, żeby się tu coś zmieniło. Na moje miejsce wejdą młodzi. Trzeba więc z wydatków skreślić wszystko, co jest tylko fanaberią, co zresztą uczyniłem już w tym roku. Wreszcie tylko raz byłem w sklepie płytowym. Jak na razie nie kupiłem żadnego nowego zegarka ani Hi-Fi. Myślę, że sobie poradzimy, tylko gdzie składać nowo namalowane obrazy, po ich oprawieniu, bo muszę je (a w każdym razie najlepsze z nich) oprawiać, aby po mojej śmierci (która może nastąpić niespodziewanie), nie uległy zniszczeniu. Nie wiem też jak długo będę jeszcze dysponował siłami potrzebnymi do tego, by obrazy samodzielnie oprawiać, a przecież nie będzie mnie już stać na wynajęcie murzyna.

Czwartek 7.9.1995

Dziś miał nastąpić powrót lata. Nie bardzo to widać. Niebo zasnu-te chmurami, ale nie pada i jest nieco jaśniej, Temperatura 13,6°. Nie wygląda to na lato. Wczoraj wieczorem rozjaśniło się, a nawet zrobiło w słońcu gorąco. Gdy około godziny 16 wychodziliśmy na targ i do pralni, musiałem w połowie drogi zdjąć kurtkę, a nawet w samym swetrze było mi za ciepło.

Dziś o godzinie 18, otwarcie wystawy w Łodzi. Ciekaw jestem czy Dmochowski przyjedzie? Ma w Łodzi wielką ilość znajomych. Być może jednak, że nie będzie chciał wyrzucać forsy. Chętnie bym zobaczył tą wystawę już po jej otwarciu, ale nie wiem czy będzie, gdy już naprawią wóz, szansa wyskoczenia do Łodzi. Jest to 135 km, a więc w obie strony 270. Może to zbyt wiele jak na wytrzymałość Zosi? Nie wiem też jaka będzie pogoda we wrześniu. Może przez cały czas taka jak ostatnio?

Ledwie skończyłem to pisać, gdy zadzwonił z Warszawy Dmochowski. Przyjechał wraz z żoną. Jadą dziś na otwarcie wystawy do Łodzi. Niestety nie wziął kamery video, a tylko aparat fotograficzny. Umówiliśmy się na sobotę u mnie, z tym że precyzyjny termin mamy ustalić po jego powro-

cie z Łodzi. Podobno będzie jutro migawka w telewizji o godzinie 17 z minutami, ale jeszcze nie wiadomo w jakim programie. Robił to wczoraj Nalewajek i być może zadzwoni do mnie z informacją.

Sobota 9.9.1995

Rano bardzo ładnie i prawie bezchmurnie. Temperatura 13,7°. Wieczorem i w nocy padało, ale było stosunkowo ciepło. Nie wiem na jaką godzinę zechce się umówić Dmochowski, ale spróbuję, póki co, trochę popracować nad obrazem.

Dmochowscy przyszli punktualnie. Zosia zrobiła placek ze śliwkami i rozmawiało się bardzo miło. Dmochowski likwiduje galerię w październiku lub listopadzie i nie wie, gdzie pomieści obrazy, które oprawione są w ramy i zajmują w galerii sporo miejsca, a w ich mieszkaniu w ogóle się nie zmieszczą. Chodzi o to, że po Japończykach zainwestował sporo forsy w kupowanie socrealizmu i kupił ponad 100 obrazów w Moskwie („3 równe kupki” nie były więc aż takie równe, bo doszła czwarta pod tytułem „Moskwa”) i była to błędna inwestycja, bo nie mógł ich potem nikomu we Francji sprzedać.

Inna informacja: Książd Przekaziński był podobno do głębi oburzony moim wywiadem w POLITYCE i dawał temu wyraz w telefonicznej rozmowie z Dmochowskim. Co go tam tak oburzyło? Musiałem się jakoś odciąć od kościoła. Wystawę robiłem w Galerii należącej do Archidiecezji, a nie w kościele, a WOT nadał otwarciu charakter wręcz ceremonii religijnej. Musiałem jakoś to sprostować.

Informacja trzecia: wystawa w Łodzi jest podobno fatalnie i stereotypowo zawieszona, ale na otwarciu były dzikie tłumy (głównie młodzież) i to jest pozytywny aspekt tej sprawy. Katalog jest wydrukowany fatalnie i równie błado jak ten w Archidiecezji. Ja w ogóle nie mam szczęścia do wydawnictw. Mam ich sporo, ale prawie wszystkie są kiepskie technicznie. Te obecne biją jednak jakiś rekord. Jest to na pewno wina organizatorów. Czyżby moje obrazy nie nadawały się do reprodukcji? Poza tym katalog ma za niski nakład.

Ogólnie rozmawialiśmy w idealnej komitywie. Dmochowski pytał, czy

mogę mu pokazać obrazy, a ja powiedziałem, że zrobię to w kwietniu, gdy przyjedzie likwidować wystawę, na co się zgodził. Dowiedziałem się też, że dwa obrazy są już uszkodzone, z tym jeden silnie i że Keppler przywiezie mi je do Warszawy w celu zaretuszowania już teraz. To dobrze, bo wolałbym by w kwietniu nie zważyło się wszystko naraz.

Poszli parę minut po godzinie 19. Nie przyjechali do Warszawy własnym samochodem. Do poruszania się po Polsce, pożyczili od znajomych Cinquecento.

Czwartek 14.9.1995

Rano dosyć ładnie. Temperatura 16,5°. Pojadę dziś przed południem do Ministerstwa Budownictwa, sprawdzić czy uda się jakoś udokumentować pełne trzy lata mego nakazu pracy w Krakowie, Sanoku i Rzeszowie. Pojadę metrem, a Zosia zostanie w domu, bo okazało się, że musi zrobić fasolkę dla Tomka i obiad dla babki, gdyż na godzinę 13, musimy pojechać do serwisu Toyoty we Włochach.

Wróciłem około 10:15. W pokoju 361B, powiedziano mi, że w oparciu o oryginał mego zwolnienia z pracy w 1955 i angażu do pracy z książeczki ubezpieczeniowej, wystawią mi zaświadczenie pracy przez ten cały okres. Zaświadczenie za około 4 miesiące w krakowskim Zespole Budownictwa Przemysłowego Drobnej Wytwórczości, winienem się starać przez Ministerstwo Przemysłu. Umówiłem się w Ministerstwie Budownictwa na poniedziałek. Ciekaw jestem, czy można byłoby uzyskać ze ZPAF zaświadczenie, o ile byłem członkiem, w małym już okienku czasu, pomiędzy wrześniem 1955, gdy zwolniono mnie z pracy w Zjednoczeniu Budownictwa Miejskiego, a styczniem 1957, od kiedy mam już zaświadczenie ze ZPAP.

Środa 20.9.1995

Ukazała się dziś w „Gazecie Wyborczej” bardzo negatywna recenzja z mej wystawy w Łodzi. Sygnuje ją facetka (Jarecka), która już raz pisała na mój temat z okazji wystawy u Nyczka i też jej się nie podobało. Na środku reprodukcja obrazu, który wycofałem z wystawy w Muzeum Archidiecezji, jako iż był jeszcze z 1970 roku, a poza tym go nie znoszę.

No cóż: człowiek wolalby być chwalony przez wszystkich, jednak zarówno pochwały jak i nagany, są na tym samym poziomie. Należy sobie więc to odpuścić. Nie przeczytałem w sposób dokładny ani jednej recenzji pozytywnej i to samo stało się z recenzją negatywną. Na starość zostawia to człowieka obojętnym. Tekst przerzucam. Jedynym minusem jest myśl o tym, że przeczytają znajomi i że swoją opinię o tym, co robię, mogą (choć w części) oprzeć na tym, co przeczytali.

Piątek 22.9.1995

Rano słonecznie, ale zimno. Temperatura 8°. W plecach, przy kaszlu i siąkaniu nosem, nadal boli. Krzyże też. Obejrzałem wczoraj sporo swych dawnych obrazów na filmach video, co spowodowało chęć powrotu do niektórych tematów. Takie ukrzyżowanie, które w rezultacie zamalowałem, wydaje mi się w tej chwili pomysłem godnym kontynuowania bardziej niż to, co podmalowałem przed kilkoma dniami. Zobaczymy.

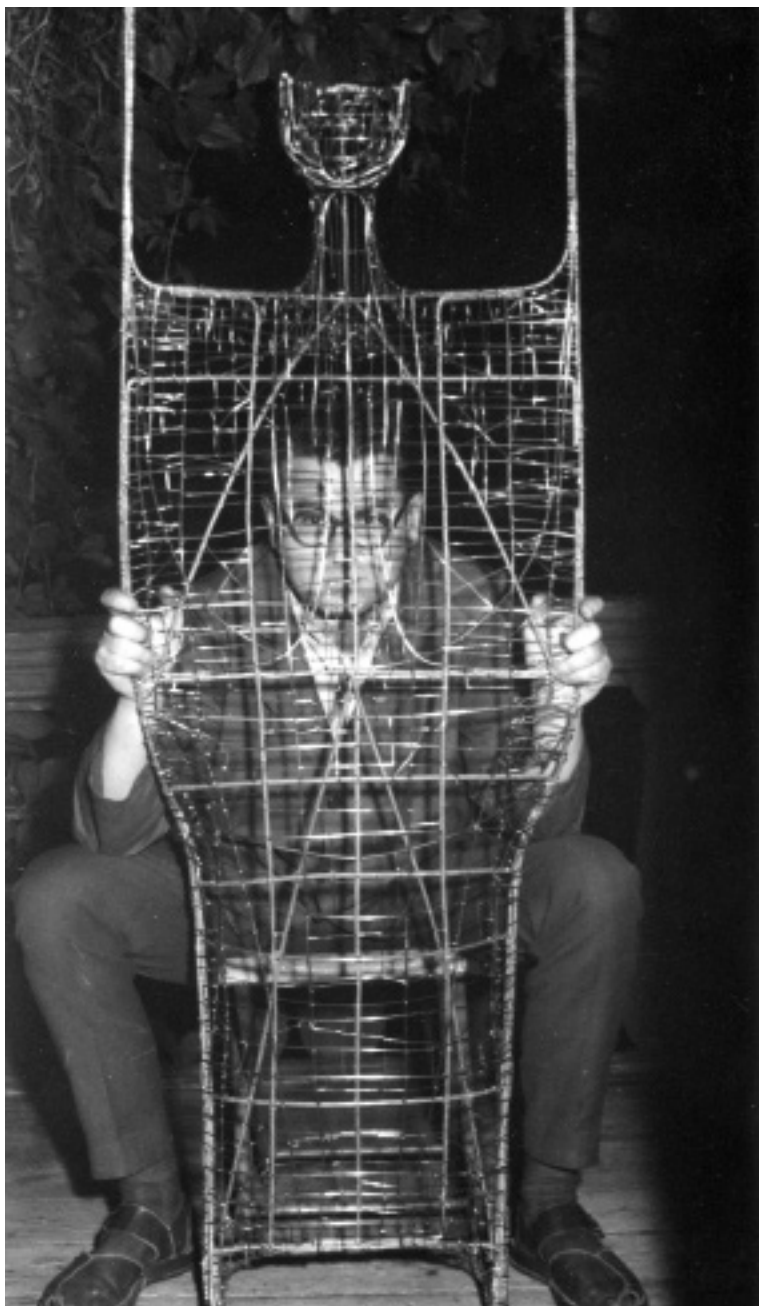
Podmalowałem nowy obraz według starej wersji. Zobaczymy. Muszę odpisać Oli, bo wkurzyło mnie ponad wszelkie wyobrażenie to, że mnie poucza na poziomie sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR.

Sobota 23.9.1995

Rano słonecznie, ale potem narasta zachmurzenie. Nie zanotowałem jaka była temperatura, bo kończyłem list do Oli. Miałem rano wysłać, ale przyszło mi do głowy, by coś jeszcze uzupełnić. Usiłuję malować podmalowany wczoraj obraz. Nie bardzo mi to idzie.

Urbaniak odesłał przez umyślnego kasetę Video 8.

Od dwóch dni jestem cholernie zmęczony. Bolą krzyże, ale to nie tylko ból krzyży. Po prostu szybko się męczę i nie chce mi się pracować. Czyżby syndrom wieku podeszłego? Preczytałem artykuł powracający do sprawy bójki w Dumie. Deputowany Łysienko zaatakował duchownego Gleba Jakunina, który ma 61 lat, o czym napisano: „obalił sędziwego starca na podłogę”. A więc mając prawie 66 lat, mam chyba już prawo do nazywania się sędziwym starcem.



Beksiński przy szkielecie konstrukcyjnym swojej rzeźby, Sanok, 1962 r.

Wtorek 26.9.1995

Ładna stosunkowo pogoda, ale tylko 11°. Moja plamka na prawym oku wydatnie zmalała i chyba tak samo było przed rokiem. Czyżby zależało to od pory roku? Fatalnie spałem, bo wczoraj po piwie i frankfurterkach chciało mi się cholernie spać, a na dodatek lekarka zabroniła Zosi patrzeć przez dwa dni na telewizję i czytać, więc poszliśmy spać o godzinie 21:30 zamiast o 23:30 lub o północy. Zasnąłem z miejsca i obudziłem się około godziny 3 i już nie mogłem spać do rana. Teraz jestem jak wypluty. Wieczorem należy bezwarunkowo przemóc senność i wytrzymać do właściwej godziny. Znowu postanowiłem zrzucić wagę, poczynając od dzisiaj, ale nie wiem, czy się utrzymam w tym postanowieniu.

Zosia podobno ma oczy zaropiałe, ale w tej chwili gimnastykuje się i jeszcze nie widziałem jak wygląda.

Zosia z oczami nieco lepiej, natomiast moje krzyże nieustannie są bez zmian. Między łopatkami od kilku dni jest nieco lepiej i już mogę wysiąkać nos (mimo iż wtedy nadal boli), natomiast w krzyżach czuję nie tylko ból ale i zmęczenie. Przy pracy, która (nawiasem mówiąc) idzie mi jak krew z nosa, bardzo szybko się męczę zarówno stojąc jak i siedząc. Znowu mam stan zapaści artystycznej i braku wiary w sens tego, co robię. Dokładą się do tego brak nadziei na spieniężenie czegokolwiek. Należy przyjąć, że albo handel sztuką kompletnie padł albo padło zainteresowanie moimi obrazami i mała jest szansa, by przez te kilka lat, jakie mi jeszcze w najlepszym wypadku zostało, coś uległo zmianie.

Pracowałem do godziny 15 ze zmiennym szczęściem, ale bez ekstazy. Po skończonej robocie, zamontowałem przejściowo uchwyt na duże obrazy i pogelowałem trzy obrazy: dwa duże i jeden duży kwadrat. Spocilem się jak mysz. Skończyłem o 16:30. Tomek nie przyszedł na obiad ani nie zadzwonił, że nie przyjdzie (pewnie poszli z Grześkiem do restauracji) i Zosia jest rozżalona, bo specjalnie jechała i kupowała fasolkę, specjalnie przy niej robiła, specjalnie ugotowała i teraz wszystko wyrzuci do zsypu. Gdyby zawiadomił, że nie będzie na obiedzie, to by miała mniej roboty, a jeśli nawet by już zrobiła, to by sama zjadła tą fasolkę, bo ja tego paskudztwa nie jadam. Na jej miejscu nie przejmowałbym się, tylko

w ogóle nie robił takich rzeczy, których nie można włożyć do lodówki, by były na jutro lub pojutrze. W jej opinii obiad w domu „cementuje” związki rodzinne. Też mi cementowanie! Redaktor wchodzi, zjada i wychodzi. Czasem, gdy u mnie głośno gra muzyka, to nawet nie wiem, że był. W najlepszym wypadku wejdzie do mojej pracowni, popatrzy na mnie, jak na kawałek gówna znaleziony na hamburgerze i wyjdzie.

Czwartek 28.9.1995

Rano zachmurzenie niepełne. Kłębiaste obłoki pędzą nisko, przeganiane wiatrem. Sucho i zimno: 9,9°. Znowu w nocy bolała mnie głowa, mimo iż nie ruszyłem wczoraj alkoholu. Znowu zażywałem panadol. Na szczęście nieźle spałem. Rano brak ciepłej wody. Między łopatkami już prawie nie boli.

Myślę od wczoraj nad przerobieniem oświetlenia nad sztalugami na opuszczane, tak jak to było w Sanoku, gdyż malując na siedząco (a chciałbym teraz malować, o ile przy tym wytrwam, mniejsze obrazy na siedząco), mam zbyt mało światła. Muszę zobaczyć w IKEA czy mają opuszczane na sznurze lampy z przeciwwagą, takie jakich używałem w Sanoku. Może tego już nikt nie robi? Przeróbka oświetlenia może w praktyce dać to samo, co zrobienie blatu do rysunków, który wczoraj (po paru miesiącach) zdemontowałem. Taka jest moja zafajdana psychika.

Około godziny 14 znowu zaczyna boleć głowa. Skończyłem poprzedni obraz i usiłuję przerobić porzucony obraz z krzyżem. Zażyłem więc proszki. Na dworze pędzą obłoki przeganiane wiatrem Słońce wychodzi i chowa się. Nadal zimno.

Po godzinie 15 pojechaliśmy do optyka, by zamówić 4 pary okularów, które zaprojektowałem eksperymentalnie: inne na lewe inne na prawe oko, bo mam wrażenie, że jest między nimi (na obszarze wartości zbliżonych do plus minus 1) różnica około 0,5 dioptri. Przy wyższych wartościach, ta różnica zanika przy plusach, a chyba rośnie przy minusach. Na razie zamówiłem na próbę szereg od minus 1 do plus 1. Potem pojechałem metrem do miasta, by wymienić forszę. Po powrocie, zaczęły

mi dolegać dreszcze (słabe), ale Zosia też je ma i myślę, że nie jest to objaw jakiejś infekcji lecz wynik gwałtownego obniżania się temperatury na dworze, która w tej chwili (19:15) spadła już do 7,6°. Rośnie silny wiatr. Ból głowy, a raczej szyi po lewej stronie z tyłu (tak ten ból promieniuje) nie przeszedł mimo proszków.

Muszę kupić aparat do mierzenia ciśnienia, nakładany na przegub. Nie chce mi się zdejmować swetra i koszuli, bo jest mi zimno.

Piątek 29.9.1995

Noc była zimna i teraz rano jest tylko 5°. Zostawiłem na noc włączony kaloryfer olejowy w mojej pracowni i otworzone na oścież drzwi. Głowa trochę bolała, do około pierwszej w nocy, a potem na szczęście przeszła sama z siebie. Wiatr. Słonecznie.

Gdy wyjeżdżając z Zosią po zakupy do REMY, zasuwalem zasłonę na oknie, pękł uchwyt karnisza, a karnisz spadając, przycisnął mi palec wskazujący prawej ręki. Nie wiem jeszcze, jaki będzie skutek i czy nie wyłączy mnie to przez kilka dni z malowania. Na razie boli, ale jeszcze nie poczemniało. Muszę, tak jak planowałem to już od kilku lat, zmienić sposób zamocowania karniszy w pracowni. Pogoda nadal bezchmurna.

Krzyże nadal bolą tak, trudno mi pracować. Obraz z ukrzyżowania, które porzuciłem, zaczyna grawitować w kierunku tego cholernego ptaka Gumajun, o którego prosił Bilica. Miałem krzyż przerobić na jeźdźca na koniu, ale nagle, gdy zamalowałem ramiona krzyża, a zacząłem malować grzbiet konia, zrobiły się z tego skrzydła, no i na razie jadę w tym kierunku. Nie będzie to jednak (nawet o ile nie zmienię tego ponownie) dyptyk, jak sobie wymyślił Bilica. Z palcem da się wytrzymać, chociaż boli. Najgorzej jest z krzyżami. Pogoda nadal (w południe) piękna, tyle że pojawiły się rzadkie obłoki kłębiaste.

Zosia dzwoniła do przychodni NADZIEJA, ale wyniki wymazu będą najwcześniej jutro przed godziną 13.

Buchowska przyszła punktualnie. Okazuje się, że ma przeprowadzić rozmowę dla pisma „Twój Styl”, czyli magazynu dla kobiet ze średnim

wykształceniem. Rozmowa ma być „lekka i dowcipna”. Sądziła, że będą sypać anegdotami. Powiedziałem, że bywam czasami dowcipny, ale w rozmowie, a nie na zawołanie, więc niech zadaje pytania. Nie bardzo jej to szło. W sumie wydusiłem z siebie jakieś dyrdymały, które mogłyby nadawać się dla takiego pisma. Trochę anegdot na zasadzie żelaznego repertuaru, jak to ja nie lubię przyrody i inne takie. Co z tego zrobi, przekonam się w poniedziałek, gdy ma przynieść do autoryzacji wszystkie kwestie, w których cytuje moje słowa. Była jak zwykle życzliwie rozszczebiotana. Jurek Lewczyński w spódnicy. Nie miała magnetofonu, bo debiutuje w tym zawodzie (w Muzeum Archidiecezji już nie pracuje), za to ja nagrałem cały ten zbiór dyrdymałów z ukrytego mikrofonu, ale właściwie nie wiem po co. Na wszelki wypadek, jak zwykle. Jedyne sensowny dowcip, jaki udało mi się wydusić, to propozycja by wszyscy kandydaci na prezydenta (a jest ich 18), zostali wybrani w formie Prezydenta Zespołowego (jednego Prezydenta w osiemnastu osobach), bo co 18 mądrych głów to nie jedna. Pewnie tego nie napisze. Palec trochę dolega, gdy piszę na klawiaturze. Podobno w nocy ma zacząć lać, a jutro cały dzień ma być deszczowy.



Dom Beksińskich, Sanok

Sobota 30.9.1995

Rano pochmurno, ale na razie sucho. Temperatura 6,6°. Spałem dobrze. Jak z krzyżami, trudno na razie powiedzieć, zobaczą za parę godzin. Przez całą noc szedł w mojej pracowni kaloryfer, a drzwi były otwarte na korytarz i do całego mieszkania, z wyjątkiem naszej sypialni i pokoju staruchy, tak więc w mieszkaniu jest ciepło.

Notatnik CASIO poinformował mnie, że jutro imieniny Janka. No, a dziś jest wolna sobota i sklepy zamknięte. Muszę zmienić informację w notatniku na: „za trzy dni imieniny”. Dzwoniliśmy nawet do Anki, bo nie mam bladego wyobrażenia, co mu kupić. Po godzinie myślenia Anka oddzwoniła, że on przed jakimś czasem chciał kupić „jakieś takie kółko” do szlifierki „jakie ma Zdzisek”. Takie są informacje techniczne od kobiet. Gdyby szło o jakąś szmatę, informacja byłaby aż nazbyt ścisła. Nie wiem do jakiej szlifierki, nie wiem jakie kółko i właściwie nic nie wiem. Powiedziałem, że kupię jakiś alkohol. Wyduśliła wreszcie, że Janek pija czasem whisky. Mając nadzieję, że odróżnię whisky od whiskas dla kotów, pojechałem z Zosią do BILLA i kupiłem jakąś kanadyjską whisky, kierując się tym, że była w ładnym pudełku.

Około południa pojechałem metrem po wyniki wymazu Zosi, który jak przypuszczałem był jałowy. Na dworze pochmurno i zimno.

Wtorek 3.10.1995

Podobno jutro w Brwinowie u Henryka, ekipa telewizyjna Kramarczuk, będzie kręcić na mój temat rozmowę: Waniek, Nyczek i Woźniakowski. Nyczek być może przyjedzie już dziś i skontaktuje się ze mną.

Środa 18.10.1995

Wczesnym popołudniem zadzwonił z Ambasady Chorwacji attache kulturalny pod tytułem Szpolericz (o ile zrozumiałem nazwisko przez telefon), że zbierają wystawę darów na rzecz muzeum miasta Vukovar (miasto i muzeum nie istnieje, bo zostało gruntownie zniszczone przez Serbów) i czy ja byłbym zainteresowany. Powiedziałem, że coś znajdě i umówiliśmy się w pracowni na jutro (ale nie wiem po co, bo propo-

nował także Ambasadę, tak więc nie idzie chyba o wybranie obrazu). Mój problem polegać będzie głównie na oprawieniu obrazu. Myślę, że trzeba będzie zjeść tą zabę i oprawić teraz kilka obrazów, bo lada dzień zadzwoni także ktoś od brata Alberta, że obiecałem, że dam im obraz, więc będę to musiał uczynić. Robota przy ramach wydaje się nieunikniona. Akurat kończę i zapewne jutro skończę obraz, który mam na sztalugach, więc mogę poświęcić ze trzy dni na ramy. Trzeba oprawić dwa obrazy (do Vukowaru i dla brata Alberta) i zrobić ze dwie zapasowe ramy na inne podobne okazje.

Czwartek 19.10.1995

Rano jest trochę słońca poprzez rzadkie obłoki. Temperatura 11°. Krzyże jakoś mniej bołą lub może w ogóle przeszły? Zosia pojechała o 6:30 na badanie krwi i moczu.

Skończyłem obraz YŃ 73x92 poziomy, z dwoma głowami ustawionymi wertykalnie w stosunku do siebie. Nie wiem co jest wart, bo przemęczył się zbyt długo. Czuję się dziś jak szmata, mimo ładnej pogody. Około 9:30 zadzwonił Jurek, który jest w Warszawie i był w Ministerstwie, by popchnąć moją sprawę i pani, która się tym zajmuje powiedziała, że czeka na opinię Związku. Powiedziałem mu, że wysłałem już do niego list (jeszcze go nie otrzymał), a poza tym wszystko już jest załatwione, więc pani ta długo będzie czekać. Nie wie lewica, co czyni prawica i odwrotnie.

Faceta z Chorwacji nagram na wszelki wypadek. Cholera wie, czego ode mnie jeszcze będzie chciał. Wreszcie istnieje może jakiś konkretny powód, dla którego prosił o spotkanie.

Na szczęście wszystko odbyło się bezszmerowo. Facet okazał się miły i doręczył mi list intencyjny oraz podał namiary na siebie. Powiedział, że obraz sam mam wybrać. Powoływał się na księdza Przekazińskiego. Podobno ma już jakieś obrazy. Obiecał mu też Stasys i Dwurnik. Był mniej niż pół godziny. Przystępuję teraz do sklejanania listew i jutro oprawię obraz dla niego i dla Brata Alberta.

Do godziny 17 skleilem pierwsze 5 listewek, po czym poskładaliśmy wszystko w schowku u Stankiewiczowej, rozebrałem blaty na Świętym Stole i wyniosłem wszystko do pokoju Zosi. Po Dzienniku i filmie, skleilem następne 5 listewek. Potrzebuję ich 8, a mam 10, czyli jutro od rana, mogę przystąpić do robienia ramek.



Tomek, początek lat 60.

Piątek 20.10.1995

Rano czarna noc. Trochę mokro na asfalcie, więc chyba w nocy trochę pokropiło. Temperatura 11°. Dobrze, że robiąc te cholerne ramki, nie stracę ładnej pogody do malowania. Boże jak ja nie lubię tej roboty! Spałem dosyć dobrze. Trochę od wczorajszego przerzucania gratów, bolał mnie kości w nogach, ale krzyże są do zniesienia. Jak na razie.

Oprawię chyba dla Vukovaru obraz „A9”, a dla Brata Alberta „G4”. Może inne byłyby lepsze do tego celu, ale trzeba by je było jeszcze gelować, a tego mi się nie chce, bo przedłużyłoby to całą sprawę o dwa trzy dni.

Przed godziną 17 skończyłem wszystko, tylko nie myłem podłogi, bo punktualnie o 17 zgasło na całym osiedlu światło i nie było go przez godzinę. Wykąpałem się przy świeczce, ale nie mogłem myć głowy, bo nie byłoby potem czym wysuszyć. Zosia nie pomagała mi tym razem przy ramkach, a tylko przy znoszeniu wszystkiego z powrotem do pracowni i trochę przetarła mokrą szmatą niektóre półki. Natomiast warte zanotowania jest, że wykonanie dwóch ram (dalbym też czasowo radę wykonać trzy) jest możliwe w ciągu półtora dnia. Limituje to głównie czas sklejanie listewek, bo można ich skleić jednorazowo pięć i każda partia musi czekać w sprasowaniu około 4-5 godzin. Warto byłoby posiadać na składzie pewną ilość sklejonych listewek, co nie zajęłoby więcej miejsca niż nie sklezione. Notuję ku pamięci:

Do godziny 10:30 pociąłem listwy i zbilem ramki.

Do godziny 11:25 pomalowałem jedną ramkę tuszem. Drugiej nie maluję, bo ten konkretnie obraz lepiej wygląda w drewnie.

Po obiedzie o godzinie 12:20 wzięłem się za wsadzanie obrazów.

O godzinie 13:44 przystąpiłem do cięcia pasów.

Do godziny 14:30 przybiłem pasy.

Do godziny 14:45 skończone wszystko.

Początkowo chciałem zarówno obraz pomalowany tuszem jak i ten zostawiony w drewnie pokryć bezbarwnym półmatowym chemolakiem, ale bałem się, że Zosia znowu złapie uczulenie, a poza tym mi się nie chciało. I tak to wszystko idzie na stracenie.

Czwartek 26.10.1995

Z Częstochowy przysłano bardzo elegancko wydany katalog „Surrealiści Polscy”, w którym i ja się znalazłem, wraz z pismem, że moje obrazy zostały udostępnione na krótki okres (chyba z muzeów) w związku z czym proszą, bym przysłał 2 do 3 prac w celu eksponowania w prawie 10 innych miastach Polski. Będę się musiał pisemnie jakoś wykroczyć.

Wieczorem około 19:30 przyszedł Bogdan. Pokazywałem mu nowe obrazy. Rozmawialiśmy o wyborach (Bogdan popiera Moczulskiego), Dmochowskim, oprawianiu obrazów etc. Był do godziny 22. Podobno w księgarniach jest tysiącstronicowe, olbrzymie dzieło pod tytułem SANOK, w którym nawet o mnie coś jest. Kto to napisał i kto to wydał? Wypada kupić.

Piątek 27.10.1995

Byliśmy w mieście po książkę SANOK, ale jej już nie było. Gdy wróciliśmy zadzwoniła Marysia Herczak, że jest przejazdem w Warszawie. Przyszła w trakcie Dziennika TV i była do około 21:30. Odwieźliśmy ją w okolicy ulicy Wczasowej, gdzie się w Warszawie zatrzymała.

Późnym wieczorem wykonał z Krakowa telefon Kuśm(n?)ierczyk, informując pełnym entuzjazmu głosem, że aukcja „Gorącego serca” się odbyła i było masę osób, też z Warszawy i że chce zdać sprawę na gorąco, ale małodusznie nie podniosłem słuchawki, bo oglądałem „Obywatela Kane” i nie chciałem przerywać na pół godziny, a krócej by to nie było. Nie powiedział czy mój obraz został w ogóle sprzedany, a jeśli tak, to za ile. Zresztą taka informacja może być myląca, bo mógł zostać wykupiony pozornie, tak jak obraz Turlejskiej.

Czwartek 2.11.1995

Ponuro, ale sucho. Temperatura 4°. Około północy znowu brałem proszki, potem już dobrze spałem. Łatki na podklejonym obrazie wyschły.

O godzinie 15 pojechaliśmy na cmentarz, a potem wstąpiłem do księgarni ARS POLONA, gdzie dowiedziałem się, że moduły techniczne do słownika będą zapewne jutro. Potem pojechaliśmy do Domów Centrum

i do Zibi. W efekcie kupiłem sobie torbę, z potrójną możliwością: zakładania na ramię, noszenia w rękę, a także jako plecak, oraz słownik angielsko-polsko-angielski z wymową amerykańską i głośnikiem oraz możliwością podłączenia do aktywnej kolumny lub słuchawek, a Zosia kupiła sobie kurtkę ocieplaną. Jutro pojedę jeszcze po ten moduł do słownika ROM-TECH, bo w sklepie zapewniono mnie, że jutro nareszcie będzie. Przez cały czas przechodziły przelotne deszcze, a także deszcz ze śniegiem.

Sobota 4.II.1995

Czarna noc. Temperatura 0°. Pocukrowało śniegiem, który leży na dachach samochodów.

Zrobiło się trochę jaśniej. O godzinie 11 skończyłem nareszcie obraz „QA = 43”, przedstawiający twarz z profilu. Format poziomy 73x92. Do obiadu oszlifowałem obraz z nadłamanymi rogami i położyłem tam rodzaj podkładu przy użyciu Win-Gel. Podretuszowałem też kilka innych, ale znowu zaczęło się robić ciemno. Po obiedzie walnąłem się na wyro. Zosię znów cholernie bolą krzyże. Gdy przyszedł Tomek i wyznaczał filmy do nagrania, spałem jak zabity.

Po powrocie do domu, gdy Zosia dzwoniła do Sanoka do Lewandowskiej (telefon od niej nagrany był na automatycznej sekretarce), usłyszała od niej przez telefon, że właśnie coś o mnie jest w „Panoramie” w drugim programie. Włączyłem telewizor i było sprawozdanie z wystawy w Krakowie z konwencjonalnym tekstem dla tego typu sprawozdań.

Wtorek 7.II.1995

Poza tym Tomek dojrzał już chyba do założenia konta w banku. Odpadnie nam płacenie za niego telefonów i może też prądu.

Poza tym dojrzewa do kupna komputera!!!

Poza tym magnetowid ciągle nie jest dobrze naprawiony i on chciałby jakiś kupić, ale nie wie gdzie są i czy mu będą odpowiadały. Powiedziałem, że chętnie pojeżdżę z nim po sklepach, choćby i przez cały dzień, pod warunkiem, że zaangażuje do tego celu taksówkę, bo Zosia nie ma sił na takie jeżdżenie i nie ma również czasu. Poradziłem też, by oddać

grata do serwisu na ul. Obozowej, bo (jak zauważyłem jeżdżąc w lecie z Zosią do dr Rebandela) nadal funkcjonuje tam, gdzie dawniej. Na razie nie stanęło na niczym.

Środa 15.II.1995

W trakcie debaty prezydenckiej, którą nagrywam dla Anki, zadzwonił Tomek z zapytaniem, czy możemy go jutro około godziny 13 odwiedzić na Woronicza do Telewizji, gdzie ma coś do załatwienia, a potem na ul. Obozową do serwisu. Potem ma coś do załatwienia w mieście i prosi, by go tam dowieźć, zostawić i wracać do domu. Zosia zaakceptowała. Czyli jutro mój obiad nie będzie prędzej niż o godzinie 17 lub 18. Katar nie mija. Kicham i smarkam w formie napadowej. Czasami jest przez godzinę spokój, po czym się znowu zaczyna i to z taką siłą, że nie mogę złapać oddechu..

U Hoserów telefon nie odpowiada, mimo że jest już 22:20.

Wałęsa w trakcie debaty, nie był aż tak żenujący jak w debacie poprzedniej, miał kilka rzeczowych odpowiedzi, ale w swobodzie formułowania, trzymaniu się tematu pytań i prezencji, daleko mu było do Kwaśniewskiego. Miał tym razem nieco lepszych dziennikarzy do zadawania pytań Kwaśniewskiemu, ale ten umiał odpowiadać w sposób zręczny na wszelkie pytania. Na koniec, już po debacie, Wałęsa chlapanął coś de grubis, w swoim normalnym stylu. Boże, cóż to za cham graduszczyj! Chyba w ogóle nie pójde głosować.

Piątek 17.II.1995

Chyba jeszcze ciemniej niż było wczoraj rano. Pada deszcz. Temperatura 8°. Wieczorem wyłączyłem kaloryfer w sypialni, bo nie mogłem zasnąć, mimo otwartego na oścież okna.

Około godziny 9:30 przejaśniło się. Gdy szedłem po zakupy, ledwie ruszałem nogami. Czasami jest takie wrażenie, że nogi same człowieka niosą. Obecnie już prawie zupełnie go nie doznaję, ale to co miałem dzisiaj, to było okropne odczucie, że zamiast własnych nóg, mam drewniane szczudła lub protezy, którymi ledwie daję radę poruszać.

Czekam na przyjazd samochodu z Łodzi, po odbiór wyretuszowanych

obrazów.

Samochód z Łodzi przyjechał o godzinie 9:45. Dwóch pracowników zapakowało w folię groszkową dwa obrazy bez ram. Kepler dał dla mnie spory rulon folii, o który się przymówiłem w telefonie przed tygodniem czy dwoma. Ustawiłem go na balkonie. Będzie na takie okazje jak ten Vukovar. Jeden z facetów powiedział, że zadzwoni do mnie z Zachęty, z informacją gdzie oni kupują w Warszawie taką folię. Niezależnie od tego, muszę napisać do Keplera z podziękowaniem. No i do Dmochowskiego, że obrazy zostały już zabrane. Na razie jednak popracuję przy obrazie, bo jest o wiele jaśniejszy, a w każdej chwili mogą wrócić ciemności.



Małżeństwo Beksińskich, 1967 r.

Środa 22.11.1995

Znowu ciemności. Rano temperatura $-3,3^{\circ}$. Nie pada śnieg, ale zapowiadano słoneczną pogodę, co się zapewne nie sprawdzi.

Kiepsko spałem. Denerwuję się tym tętniakiem u Zosi.

Około godziny 13:30 zadzwonił z Krosna Czesław Skrobała, czy może wpaść jutro około południa, bo chce przeprowadzić wywiad dla „Gazety Krakowskiej”. Przed laty robił wywiad dla „Życia Literackiego” i był to wywiad stosunkowo dobry, w którym nie tak wiele było do poprawiania, tak więc zgodziłem się. Miejmy nadzieję, że nie stało się z nim to samo, co z Wałęsą, który umiał przed laty, mimo grypy, przeprowadzić telewizyjną dyskusję z ówczesnym szefem OPZZ Miodowiczem, w której nie był agresywny i wypadł bardzo dobrze, lepiej od Miodowicza, a teraz w dyskusjach z Kwaśniewskim, był o kilka poziomów poniżej samego siebie sprzed lat. Miejmy też nadzieję, że wywiad w „Gazecie Krakowskiej” nie stanie się tym, czym był wywiad w „Piśmie” przed laty. Nie wiem, do kogo ona należy ale myślę, że teraz już chyba można udzielać wywiadu każdemu, bez spowodowania towarzyskiego skandalu. Ponieważ Skrobała ma przyjść przed południem, to niewiele będę mógł malować i na pewno będzie piękna pogoda. Jeśli na dodatek w telewizji zapowiedzą opady i zamiecie śnieżne, to pełne słońce przez cały dzień mamy murowane.

Facetka z Galerii przy Muzeum Archidiecezji na Solcu (Małgorzata Jasser-Gaj o ile dobrze usłyszałem), dzwoniła z zapytaniem czy mam na sprzedaż rysunki, bo ma na nie klienta. Powiedziałem, że nic nie mam.

Czwartek 30.11.1995

Ostatni dzień listopada. W ubiegłym roku, w listopadzie, było o wiele więcej notatek, ale tegoroczny listopad przeszedł bez większych zawirowań. Nie mogłem dziś rano spać, bo od około 4:00 boli mnie głowa, a ból nie przeszedł do rana mimo prochów. Temperatura obecnie (7:30) wynosi $-3,7^{\circ}$. Co do pogody to trudno jeszcze wyczuć. Zapowiadano słoneczną. Zosia jeszcze śpi, a ja, nie ubierając się, wyszedłem do swej pracowni.

Po obiedzie dopiłowałem nareszcie ten cholerny obraz z koniem. Raczej go rzuciłem w geście rozpacz, w stanie który możliwy jest do akceptacji,

ale już naprawdę nie wiem, co jest wart (raczej niewiele), a ja jestem nim potwornie zmęczony. Nosi cechy „BÓ” jak ból tworzenia. Liczba kolejna 44. Nie zaczynam niczego, bo jutro rano mamy wyjazd do szpitala na Bródnie na USG Zosi. Dzień przejdzie między palcami.

Niedziela 3.12.1995

Ciemno i ponuro. Temperatura -2° . Spałem dobrze, ale od wczoraj boli mnie głowa.

Stankiewiczowa od kilku dni w coraz gorszej formie. Nie chce jeść i od wczoraj Zosia zaczęła ją karmić. Dr Basia mówiła po badaniu, że niewydolność serca się pogłębia i że będzie się pogłębiać nadal. Tym niemniej wczoraj po południu przyszła do naszego pokoju, ale nie odezwała się ani słowem, mimo zagadywania. Zazwyczaj siedzi i rytmicznie się kiwa. Lekko pocukrzyło śniegiem.

Męczyłem nadal acrylic, ale go wyrzucę. Okropne ciemności panowały przez cały dzień. Popołudniu byliśmy w Komorowie, powitać Ankę, która wróciła wczoraj ze szpitala.

Poniedziałek 4.12.1995

Znowu rano ciemności. Proszy drobny śnieg. Temperatura $-3,6^{\circ}$. Boli mnie głowa. Bolała też w nocy i brałem proszki. Wczoraj wieczorem miałem wysokie ciśnienie (dół 99). Nędznie się czuję. Święta Barbara po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie. Oby się sprawdziło.

Przeprowadziłem wstępną selekcję prac na wystawę do Dmochowskiego i na wystawę do Wahl. Pomyślałem też o odłożeniu sobie kilku najlepszych prac, gdyż niegdyśiejsze krakanie Wahl i Żurka, że Dmochowski może nie zwrócić mi prac z wystawy, trochę mnie jednak przeraziło. Mało to prawdopodobne, ale jednak zacząłem się lękać. Ukryję więc przede wszystkim krzyże, których będzie za wiele jak na wystawę u Wahl, bo nie sposób przekroczyć limitu 3, maksimum 4 krzyży, ale które chcę zostawić dla siebie lub ewentualnie dla Muzeum w Sanoku. Jednym słowem z formatów dużych, takiego żelaznego repertuaru jest 11 obrazów, których nie

zademonstruję Dmochowskiemu. Z tego ca 8 do ekspozycji u Wahl. Nie wykluczam, że Dmochowski zechce to obejrzyć w styczniu i podjąć decyzję. Być może powie, że prace nie różnią się w dosyć zasadniczy sposób od tego, co było, lub nie są ciekawe i w ogóle zrezygnuje, co dałby Bóg. Zobaczymy. Po co w ogóle zgodziłem się na tą wystawę w Paryżu. Zapomniałem o swojej maksymie, by przed decyzją zastanowić się przez 24 godziny. Zresztą, jeśli idzie o Wahl, to także nie miałem czasu na zastanowienie i w ogóle o tym zapomniałem, że powinienem rzecz najpierw rozważyć. Do ekspozycji u Dmochowskiego można odebrać z galerii Wahl trzy obrazy, które wisiały tam od początku roku i nie poszły: Szary krzyż, drzewo i głowę acrylową z profilu.

Podmalowałem przed godziną 15 kwadratowy obraz olejny z postacią na koniu, w układzie podobną do namalowanej przed kilkoma miesiącami, ale (w założeniu) inną formalnie.

Nycek przysłał mi tekst, który napisał dla „Tygodnika Powszechnego”. Ma być w Warszawie 7 grudnia. Z Dynowa natomiast przysłano mi nareszcie krótki tekst, który tak rozzłościł Dmochowskiego „Wolność w zamian za dwa lata pracy”. Okazało się, że to w wydawnictwie koncernu Springera pt „Na żywo”. Szmatławiec dla gospodyń domowych. Jest tam moja fotografia i nie podpisany krótki tekst.

Wtorek 5.12.1995

Rano zimno jak cholera: -7,9°. Poza tym szaro, ale jest jeszcze zbyt wczesnie, by ocenić pogodę. Jedziemy rano do szpitala na badanie Zosi.

Badanie endoskopowe echa aorty (bardzo przykre, bolesne, męczące i długotrwałe), wykazało że Zosia ma pogrubioną aortę i skrzepliny wewnątrz, co według Basi kwalifikuje się do zabiegu operacyjnego i to poważnego, z ewentualną wymianą aorty. Na dodatek Basia od razu na miejscu kazała zrobić elektrokardiogram i znalazła na nim blok prawej komory. Podobno nie jest to przeciwskazanie do operacji. Radzi jednak, by w klinice chirurgii kardiologicznej zrobiono Zosi arteriografię, a w ogóle żeby wyniki jak najszybciej pokazać Noszczykowi, gdyż w Klinice Chirurgii

Kardiologicznej wprowadzenie przez Noszczyka byłoby „bardziej znaczące”. Umówię się więc dziś na wieczór u nich. Spotkałem Noszczyka prelotem na schodach, ale właśnie skończył operację i leciał do Ministerstwa, a ja nie znałem jeszcze wyników. Basia twierdzi, że bóleści Zosi związane z krzyżami, też mogą być skutkiem tego tętniaka. Zosia powiedziała teraz, że dlatego w nocy nie może spać na wznak, bo ją tam boli. Poprzednio nic o tym nie wspominała, lecz mówiła, że po prostu na wznak spać nie umie. Wspominała o bólu, ale w ten sposób, że wyglądało, iż kości ją bolą od leżenia na wznak.

W ciągu dnia rozjaśniło się i zaczęło świecić słońce, ale mróz nie zelżał.

Zadzwoiłem do Noszczyków i Grażyna, z którą rozmawiałem, przyrzekła, że powie wszystko Wojtkowi i że skontaktuje się z nami jeszcze dziś, a umówi na dziś lub na jutro. Zapewne dziś coś mają, może Mikołaja u wnuków. Powiedziałem, że Basia przedstawiała rzecz jako pilną. Grażyna mówi, że przecież naczynia to Wojtka specjalność, więc dlaczego operować mieliby gdzie indziej. Ja też tak myślałem, ale skoro Basia mówiła, że Noszczyk tego nie robi... A może robi, ale w innym szpitalu gdzie jest specjalistyczna aparatura do operacji kardiologicznych? Okropnie jestem tym wszystkim zdenerwowany.

Przyszedł list od Cowana. Potwierdza, że będzie w Warszawie między 11 a 14 grudnia i proponuje wspólny obiad lub spotkanie w mojej pracowni.

Środa 6.12.1995

Wczoraj wieczorem było $-9,5^{\circ}$, teraz rano jest $-8,8^{\circ}$. Szaro i ponuro. Prawie nie spałem, majaczyłem przewracałem się. Wczoraj około godziny 21 zadzwoniłem do Noszczyka, bo od nich nie było telefonu i na jego prośbę odczytałem wszystkie wyniki. On ma jeszcze dziś rozmawiać z lekarzami, którzy te badania robili, ale niewiele się po tym spodziewam. Natomiast z tonu jego głosu i z tego, że chce dziś ze mną rozmawiać w cztery oczy i by Zosi nic nie mówić, podejrzewam najgorsze. Wg Noszczyka w tym miejscu operacji nie da się przeprowadzić, bo jest zbyt trudna i ryzykowna i daje ogromny procent śmiertelności. Głos miał ponury i absolutnie kazał rzecz utrzymywać w tajemnicy przed Zosią. Nie wiem czy dlatego chce rzecz utrzymać przed nią w tajemnicy, że tętniak

w każdym momencie może pęknąć, czy też z tego powodu, że któraś z informacji (np. że ją to boli) nasunęła mu myśl, iż to się właśnie zbliża. Z kolei Zosia siedziała obok mnie i wiedziała, że cała rozmowa nagrywana jest na magnetofon i domyśliwszy się, o co idzie, zażądała bym jej taśmę odtworzył, bo chce wiedzieć. To akurat rozumiem. Sam chciałbym wiedzieć, gdyby o mnie szło. I ona i ja jesteśmy ludźmi zorganizowanymi i chcielibyśmy mieć okazję i czas, by w sensie choćby tylko administracyjnym, uporządkować to, co po nas zostanie. Tym niemniej cała noc przeszła mi na jałowej gonitwie myśli. Podobno chwilami chrapałem (jak twierdzi Zosia), a więc na pewno wpadałem w chwilowy sen.

Po telefonie do Noszczyka, zadzwoniłem do dr Podogrodzkiej i ona uważa, że trzeba jednak zrobić jeszcze tomografię komputerową i nareszcie udało mi się ją skłonić, by wystawiła skierowanie do prywatnej firmy, która robi to w podziemiach szpitala, tam gdzie robiliśmy rezonans. Lekarze nieustannie żyją w czasie minionym i chcieliby, by szpital robił takie rzeczy za darmo, a Zosia jest z innego rejonu. Powiedziałem więc, że przecież zapłacimy. W czym problem. Ma więc dziś wypisać skierowanie, a wieczorem po godzinie 19, odbiorę je od niej. Zosia zadzwoni dziś do tej firmy i umówi się na termin.

Okazało się, że firma PROVITA na Bródnie jest zawałona robotą i daje odległe terminy, więc zgłosiłem Zosię za ich radą do firmy na ulicy Raclawickiej 132 (LUX MED), gdzie przyjęto nas na jutro na godzinę 9 rano. Pytano czy Zosia jest uczulona i poradzono, by zastosować w takiej sytuacji droższy kontrast niemiecki zamiast polskiego. W sumie rzecz nie jest droga i razem z kontrastem wyniesie poniżej 3.000.000 starych złotych. Wieczorem odbiorę skierowanie od dr Podogrodzkiej, ale najpierw na godzinę 18, Zosia chciałaby pojechać do dr Stopińskiej, by spytać jej czy hormonalna kuracja, którą przeprowadza, nie jest w jakiś sposób szkodliwa na ten tętniak.

Skrobała nadesłał wywiad na dyskietce i w wydruku. Niestety na dyskietce były przekłamania, jeśli idzie o polskie diakrytyki, tym niemniej przerobiłem wszystkie i potem przerobiłem też tekst, co w sumie nie zajęło aż tak wiele czasu. Usunąłem tekst o tych 50 obrazach, by znowu nie rozdrażnić Dmochowskiego. Pewnie to nic nie da, bo on jest z zasady rozdrażniony.

Wizyta u dr Stopińskiej trwała około półtorej godziny. Nie miała dziś pacjentek, więc solo czekałem na Zosię. Zmarzłem gdyż w poczekalni nie było zbyt ciepło. Potem pojechaliśmy na pocztę, nadać autoryzowany tekst do Skrobały, a potem do dr Podogrodzkiej, po moje recepty na cordafen i po skierowanie na tomografię. Stopińska poleciła rozrzedzić branie hormonów i absolutnie odstawić papierosy, dzwoniła do jakiejś dr Mamont z ul. Spartańskiej (czy też z ul. Raclawickiej gdzie mają robić tomografię, wszystko mi się popieprzyło) i która ma rozmawiać z Noszczykiem. Obiecała, że sama też porozmawia z Noszczykiem, ale to wszystko może nie dojść do skutku, bo gdy sam tam zadzwoniłem o godzinie 21, to Noszczyk był nieosiągalny, gdyż poszedł na mecz Polska - Rosja, który jak zauważyłem transmitują teraz równocześnie Moskwa i Warszawa. Ja ledwie dałem radę ogrzać się w wannie po zmarznięciu w poczekalni i potem w drodze między wozem, a pocztą i między wozem, a dr Podogrodzką i nie mam pojęcia jak można wytrzymać przez tyle czasu na stadionie przy ośmiostopniowym mrozie. To przeciwne naturze, ale każdy nosi swój krzyż. W każdym razie w opiniach dzisiejszych, sprawa nie jest aż tak dramatyczna jak podejrzewałem z tonu głosu Noszczyka wczoraj. Odczułem znaczne odprężenie.

Czwartek 7.12.1995

Spałem jednym tchem od godziny 23:30 do 5:40, co zdarza mi się niesłychanie rzadko, raz na 10 lub 20 lat. Wstaliśmy o godzinie 6:30. Będzie dziś chyba pogoda, na horyzoncie księżyc w pełni, a temperatura -8,1°. Trzeba mieć zdrowie, by się leczyć.

Noszczyk po obejrzeniu tomografii, którą zatrzymał, by jeszcze skonsultować się ze specjalistami od tych zdjęć w szpitalu, powiedział, że sprawa jest o wiele mniej dramatyczna niż sądził na podstawie opisu przeczytanego przez telefon. Skrzepliny wg. niego prawie nigdy nie urywają się i każdy je ma w tym wieku. Jeśli by nawet skrzeplina lub jej część się urwała, to i tak sprawa nie jest dramatyczna tak jak sobie wyobrażałem, lecz po prostu nogi zaczynają drętwieć i boleć i jest jeszcze 12 godzin czasu na przeprowadzenie operacji, która jest prosta, bo ściągają taką

skrzeplinę przy pomocy zamontowanego na cewniku balonika, który w stanie nie napompowanym przesuwa się powyżej skrzepliny, a potem napompowuje i ciągnie wraz ze skrzepliną aż do przecięcia na tętnicy, przez które wprowadzony jest cewnik. Poza tym wg tomografii rozmiary tętniaka są mniejsze niż wg pomiarów zrobionych przy przezprzełykowym echu. Tam były 7 cm, a tu 5 cm, ale musi jeszcze sam pomierzyć, gdy skonsultuje zdjęcia ze specjalistami. Powiedział poza tym, że tętniak nie boli, więc bóle muszą być spowodowane ischiasem lub nerkami. Powiedział, że trzeba co roku robić kontrolne zdjęcia tomograficzne, aby wiedzieć w jakim tempie tętniak narasta i w jakim tempie narastają inne zmiany. Byliśmy tam dość długo i uspokoilem się, że sprawa nie wygląda tak jak ją sobie wyobraziłem po przedwczorajszej rozmowie telefonicznej.

Piątek 8.12.1995

Wstaliśmy o godzinie 7, bo dziś dla odmiany mamy szpital wolski o godzinie 10 i jakieś pobieranie krwi na życzenie dr Stopińskiej. Pogoda będzie chyba słoneczna. Temperatura wynosi -7° . W nocy, a szczególnie nad ranem, marzłem, mimo iż było już zimniej i trzeba będzie chyba już przejść na ciepłą koldrę.

Szpital wolski zajął czas do południa. Znowu wyczekiwanie na korytarzu, potem oczekiwanie aż zrobią Zosi analizy. W domu byliśmy około południa. Pogoda była piękna. Po południu pojechaliśmy do Komorowa zawieźć Ance Lakcid i wracając uzupełniliśmy benzynę w wozie. Może jutro uda mi się nareszcie wrócić do pracy. Nyczek miał być w Warszawie wczoraj, ale nie zadzwonił do tej pory, piszę więc list do niego.

Środa 13.12.1995

Ponuro. Temperatura $-3,8^{\circ}$. Nie pada śnieg i jest względnie sucho, ale ślizgawka wzrosła zapewne od wczoraj wieczorem.

Cowan wraz z Jerkową i tłumaczką spóźnili się o godzinę. Jerkowa koniecznie chciała, bym mu sprzedał jakiś obraz (i że oni sprzedają mu po 2.000 \$, jeśli te obrazy są dla niego, a nie na dalszy handel) ale ja powiedziałem, że bez ram nie sprzedają i że na razie kompletuję wysta-

wę oraz, że będąc zmuszonym odsprzedawać wszystko przez 11 lat, chcę teraz posiadać luksus malowania dla siebie, a i tak muszę przecież to i owo odpalić Alicji. Naciskała mnie w sposób upierdliwy dalej, ale nie uległem. Pokazałem pewną ilość obrazów, a Cowan zrobił trochę zdjęć oraz prosił tłumaczkę, by sfotografowała nas obu razem. Byli do godziny 12 z minutami. Wczoraj chyba byli u Wahl i podobno Cowanowi podobał się kościół oraz „Ptak Gumajun”, ale pewnie były za drogie. Rozmawialiśmy też o albumie i o tym, że w marcu Cowan przysłał mi zestaw pytań, by do książki wykombinować taki wywiad: pisemne odpowiedzi na pisemne pytania. Cowan będzie w Polsce w połowie przyszłego roku. Zadzwoił w tej chwili Tomek, że wysiadł mu telewizor. Zaproponowałem, że pożyczymy mu telewizor z pokoju Zosi, a ten niech odda do naprawy. Nic innego nie wymyśle.



Stanisława i Zofia Beksińskie, na werandzie sanockiego domu, 1969 r.

Czwartek 14.12.1995

Znowu ciemno i ponuro, ale z nieba nic nie pada ani nic nie spadło w nocy. Temperatura rano $-3,6^{\circ}$. Dziś pewnie znacznie się bieganie w sprawie NMR.

Zosia wykonała rano (około 8:30) telefon do Międzyzlesia, do prof. Waleckiego ale go jeszcze nie było. Połączyła się więc z Bródnem i Noszczykiem, co wymagało kilkakrotnych podejść, bo była odprawa i wreszcie on zadzwonił do nas. Dowiedziała się, że jest umówiona w Międzyzlesiu na poniedziałek, na godzinę 8 rano i ma się tam skontaktować ze starszym technikiem pod tytułem Feduszczak, który wykona NMR. Ma przynieść wszystkie poprzednie badania, które teraz są w posiadaniu Noszczyka, tak więc wieczorem mamy po nie pojechać do niego do domu. Skierowanie napisać ma dr Podogrodzka, z którą Noszczyk obiecał się skontaktować. W szpitalu w Międzyzlesiu powiedziano, że Zosia nie musi być na czczo, Noszczyk powiedział, że nie wie, ale lepiej żeby była. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie tak, jak profesorowie ustawili, co do czego nie mam nigdy pewności, bo każda kolejna informacja jest inna: jechać zaraz, jechać w poniedziałek, potrzebne skierowanie, skierowania nie potrzeba, bo załatwi to prof. Walecki. Czemu nie skierować nas od razu do prywatnej kliniki, gdzie zrobią to wprawdzie drogo, ale nie na tyle, by nie opłaciło się to, jeżeli idzie o stratę czasu, oczekiwanie i nerwy. Zaczynamy się niepokoić, że może nie jest tak różowo jak to przedstawiał Noszczyk po obejrzeniu wyników tomografii komputerowej. Być może jednak chodzi tylko o potwierdzenie wyników inną metodą.

Na wszelki wypadek Zosia zdzwoniła się z dr Podogrodzką, która na własną rękę ma szukać Noszczyka i zabrać też od niego wyniki poprzednich badań, abyśmy nie musieli jechać z tym wieczorem na Żoliborz. Jest ślisko. Zresztą Zosia chce, by Podogrodzka przyszła wieczorem do nas, by obejrzeć babkę, bo ta jest coraz słabsza i prawie nie je.

Skończyłem obraz 45=A6, z postacią na koniu namalowaną wg. nowego sposobu, tak aby siatka linii jakby na rysunku oplatała całą powierzchnię. Myślę, że to niezły obraz, może jeszcze wróć do niego, by coś poprawić ale na razie podmalowałem następny na acrylu, który mordowałem

poprzednio i porzuciłem. Budzą się nadzieje, że coś jeszcze sensownego zrobię, bo gdybym utrzymał się przez jakiś czas w tym sposobie malowania, to i rysunki mogłyby być utrzymane w podobnej konwencji. Jest to wreszcie prawie rysunek.

Czytając list do Oli, Zosia poprawiła mnie, że nie chodzi o „USG doprząk” lecz o „Echo przezprząk aorty”. Kto to może zapamiętać. Dr Podogrodzka przyniosła badania, zbadła Stankiewiczową oraz wystawiła Zosi skierowanie na Angio NMR. Prawidłowo usłyszałem przez telefon. Mamy tam być w poniedziałek o godzinie 7:50. Trzeba będzie wstać o godzinie 5. „Starszy technik Feduszcak” przemienił się w doktora Feduszcaka. Mam nadzieję, że to już ostateczna zmiana.

Piątek 15.12.1995

Rano nareszcie słonecznie i czyste niebo. Temperatura -7° .

Dr Stopińska przed kilkoma dniami, gdy byłem u niej z Zosią, wystawiła mi skierowanie na badanie krwi, ale chyba nie zdobędę się by pójść do przychodni na ul. Jadźwingów przed wtorkiem. Dziś wydawało mi się za zimno. Poza tym jest ślisko. Musimy jednak pojechać po zakupy.

Według dzisiejszej „Gazety Wyborczej”, strajki we Francji powoli wygasają i strajkuje już tylko 3% pracowników poczty, tak więc jest nadzieja, że Dmochowski otrzyma mój list z 29 listopada jeszcze przed Świątami, o ile ten list w ogóle nie zaginął w stertach korespondencji, która od paru tygodni nie była sortowana.

Niedziela 17.12.1995

Znowu szaro i ponuro, ale sucho. Temperatura $-4,4^{\circ}$. W nocy miałem trochę zatłakany nos. Zastanawiałem się nawet czy nie wrócić do Rhinazinu.

Około południa zrobiła się słoneczna pogoda. Pojechaliśmy sprawdzić, w jaki sposób dojechać jutro najprościej do szpitala kolejowego w Międzyzlesiu. Odległość wynosi około 20 km., a jechaliśmy z powrotem pół godziny, w warunkach względnie pustej drogi. Chciałem w BILLA kupić sobie bawełniane skarpety do pracy, ale przed sklepem był sądny dzień.

To samo w Elektrolandzie, gdzie poszedłem popatrzeć po ile są maszyny elektryczne do mięsa. Moulinex są po 3.360.000 starych złotych. Nie wiem, co są warte i czy są to najsilniejsze maszyny jakie można nabyć w Warszawie. Moc nie była podana na obudowie. Był też model tańszy i mniejszy. Nie wiem czy są na rynku także jeszcze większe. Będę musiał zajrzeć do EURO.

Po powrocie zjadłem obiad, a biedna Zosia karmi Stankiewiczową jak małe dziecko. Podobnie karmiła Beksińską. Babka powinna raczej dostać jak najwięcej płynu, ale nie chce pić. Trzeba by jej było dać kroplówkę, ale w tym celu trzeba ją zawieźć do szpitala, gdzie i tak utrupili by ją w przeciągu jednej doby.

Wtorek 19.12.1995

Odebraliśmy w szpitalu w Międzyzlesiu wyniki badań i wróciliśmy około godziny 12:30, gdyż kupowałem jeszcze trochę piwa dla Hoserów i artykuły żywnościowe dla nas. To, co odczytać mam wieczorem Noszczykowi, nie wygląda inaczej niż to, co wiedzieliśmy do tej pory, tyle że aorta, która miała szerokość 7,5 cm (po przezprzelykowym badaniu echa) i 5 cm (po tomografii komputerowej), ma teraz 6,2 cm (wg angio NMR). Przy kolejnym badaniu może jeszcze zmienić wymiar, co świadczy o skali dokładności tych badań.

W międzyczasie zadzwoniła i nagrała się Teresa de Laveaux, że coś chce pisać w związku z moją wystawą w Katowicach i potrzebuje odpowiedzi na trzy pytania i prosi, by do niej zadzwonić wieczorem.

Sobota 23.12.1995

Rano ciemności. Temperatura dodatnia 2,5°. Śnieg, który spadł wczoraj topnieje. Około godziny 2 było już 0°. Spałem źle, znowu ćmiła głowa, rano z kolei obudziła mnie o godzinie 6 śmieciarka, a potem drapanie śniegu przez dozorczynię. Jak na razie nie odczuwam żadnych ubocznych efektów szczepionki. Nie miałem wczoraj gorączki. W nocy też nie.

Potwornie ślisko. Moje nowe buty są chyba najbardziej wrażliwe na topniejący lód. Musiałem odstać przez 20 minut w IZIE i z 10 minut w zieleniaku, by z trudem kupić to, co można było bezproblemowo

kupić wczoraj, a więc kilka bułek (które i tak do wtorku będą czerstwe, obojętnie czy kupione dziś czy wczoraj), ziemniaki i jabłka. Zosia jest zawsze pod tym względem przerażająco bezmyślna. Wczoraj, gdy byliśmy w IZIE, przypominałem, by kupić wszystko co potrzeba na okres świąteczny i wreszcie bochenek chleba wziąłem bez jej zgody, a co do bułek, to powiedziała, że ich nie potrzebuje. Dziś w ogonku spościłem się jak mysz, a potem oczywiście zmarzłem przed zieleniakiem, więc nie wiem czy nie odbije się to grypą. Do dupy ze Świątami! Jakże ja nienawidzę tego okresu! Po jaką cholere są one nam potrzebne?!

Poszedłem jeszcze kupić mandarynki i śledzie. Nadal było ślisko. Po południu pomagałem Zosi krajać kurczaka do studzielniny, potem lepić uszka. Przyszła do kuchni Stankiewiczowa i siedziała przez chwilę. W perspektywie jeszcze wylewanie kibla. Przez cały czas też kopiuję płyty, które przyniósł Tomek. Zaczyna się już paskudny nastrój świątecznej beznadziejności, mimo że Wigilia dopiero jutro.

Po Dzienniku gdy patrzyliśmy na jakiś film, zadzwonił Schlabs z życzeniami, ale nie podnosiłem słuchawki. Mówił coś, że chce porozmawiać na temat jakiegoś artykułu o mnie w „Wiadomościach Kulturalnych”. A więc to pismo nie zbankrutowało (jak doniosła w lecie prasa), lecz jeszcze wychodzi? Czyżby madame Basta wykociła coś po tak długim czasie? Rozmowę ze mną przeprowadzała jeszcze 7 czerwca.

Niedziela 24.12.1995

Wigilia przeszła spokojnie. Tomek był nad wyraz rozmowny i wręcz do rany przyłożyć. Biedna babka nie mogła już w ogóle dać sobie rady ani z barszczem, ani z uszkami. Zosia po części musiała ją karmić. Tak więc, mimo iż wszyscy się starali to całość wypadła smutno, ale Zosia chce zachować tradycję. Myślę, że i Tomek do tego przywyka, tyle że bardzo to jakoś ubogo i żałośnie nam wychodzi.

Poniedziałek 25.12.1995

Korzystając z pięknej pogody, próbuję rano zabrać się za podmalowanie następnego obrazu.

Do godziny 13:30 podmalowałem nowy obraz format 98x132. Od zachodu zaczęło się chmurzyć i w tej chwili chmury pokrywają już całe niebo. Myślę nad tym czy by nie wycofać z kont „A” pieniędzy, których nie ma tam zbyt dużo, ale gdyby Dmochowski napisał doniesienie do Urzędu Skarbowego (a po nim wszystkiego można się spodziewać) to miałbym kłopoty. Sam już nie wiem jak postąpić.

Okolo godziny 15 pojechaliśmy do Komorowa. Był mróz, ale nie padało i ulice były suche. Po powrocie musieliśmy obejrzeć „Kobietę wąż”, bo Tomek przyniósł kasetę ze swoim tłumaczeniem, gdyż Zosia podobno chciała to widzieć. W międzyczasie zaczął sypać śnieg i teraz sypie intensywnie. Być może jutro będziemy mieli prawdziwą zimę.



Beksiński przy ikonie z XV wieku w sanockim zamku, lata 50.

Wtorek 26.12.1995

Zrobiła się pogoda. Jest 10:30 i ciągnę jakoś obraz, ale czuję się dziś fatalnie rozbity. Tak jakby ćmiły zęby, tak jakby nie przeszła głowa, tak jakbym był czymś struty. Może to działanie szczepionki? No ale Zosia też jest kiepska. Oczywiście ma całkiem opuchnięte.

Wczoraj Tomek przyniósł do przesłuchania 3 spośród wielu płyt, które nagrał w Krakowie w formie składanek. Akurat nie to, co sobie skompilował najbardziej lubię, ale podstawowy problem jest inny. Mnie się wydaje, że te kopie nie są dobre brzmieniowo. Być może podbili coś na equalizerze na Tomka gust, bo dla mnie zbyt silnie uwypuklone jest dolne pasmo wysokich tonów, gdzieś na obszarze 2 do 6 kHz. Być może wynika to z tego, że w większości są to nagrania stare, ale ja odnoszę wrażenie, że albo sygnał był przerabiany na analogowy i powtórnie próbkowany i to próbkowanie było tylko 8 bitowe, albo coś innego, ale dźwięk nie jest dobry. Nie jest to chyba kopia bit na bit. Nic na ten temat nie będę mówić, bo mu zepsuję zabawę albo też zacznę od nowa nagrywać wszystko na innej aparaturze. Wiem, że ma ucho lepsze ode mnie, więc nie bardzo kapuję, dlaczego go to nie razi.

Coraz bardziej obawiam się, że Dmochowski nie dostanie mego listu przed wyjazdem do Polski i gotów mi tu zadzwonić. Nie podejmę telefonu i nie oddzwonię do niego, ale to oznacza, że będziemy się musieli przez dwa tygodnie ukrywać, zasuważąc firanki, bo jeśli przyjedzie to zostanie do otwarcia wystawy w Katowicach, które będzie 11 stycznia i gotów nieustannie do mnie telefonować, a nawet przyjść i dzwonić do drzwi. Chyba, że Kepler mu uświadomi, że nie chcę go widzieć.

Środa 27.12.1995

Z Nyczkiem rozmawiałem głównie o Dmochowskim. Pozwoliłem też sfotografować dwie głowy, które chciałem zostawić sobie, ale jakoś nie wypadło się wykrecać. Najgorsze, że nie pamiętam, co dałem sfotografować, ale myślę, że o ewentualnej decyzji co mam zarezerwować, zostaną poinformowani w miarę szybko.

Na koniec obejrzałem film, który jest dobry, ale przy pierwszej kwestii Woźniakowskiego (gdy mówi o „anilinowych” kolorach, bo pewnie chciał uniknąć określenia „landrynkowe”) pokazano nie te obrazy o jakich on

równocześnie mówi. Nie sądzę, by zarzuty Woźniakowskiego, które dopiero teraz, dzięki temu filmowi, w części poznałem, świadczyły o tym, że on wie, o co mi chodzi. To są raczej zarzuty tego samego typu, jakie padają ze strony niektórych pań dziennikarek, które być może są jego byłymi studentkami. Że maluję „trupcy i mutanty” (???). Wyobrażałem sobie (wiedząc o negatywnym stosunku Woźniakowskiego do moich obrazów i pamiętając, że zaliczany on jest do subtelnych znawców sztuki), że walnie z jakiejś grubszej rury, że powie coś, czego się nie domyślałem. Te zarzuty z jego strony, które padły w filmie, raczej mnie uspokoiły i upewniły, że „nie poblądziłem”, gdyż w mojej ocenie wynikają z prostego niezrozumienia. Co oczywiście nie znaczy, że każdy (w tym Woźniakowski) musi lubić to, co robię. Moja twarz użyta w filmie jako przerywnik ma idiotyczny wyraz pt: „co mi tu pieprzycie głupoty” i wyraz ten nie bardzo się tłumaczy. Na żądanie Kramarczuk przybrałem taki wyraz, bo powiedziała, że chce dać to jako przerywnik, że niby ja przysłuchuję się dyskusji (której jeszcze nie było wtedy, a nawet nie wiedziałem kto będzie dyskutować) i mam na twarzy wyraz sceptycyzmu i braku afirmacji. Niestety zmontowała to tak, że nie bardzo się to tłumaczy lub w ogóle nie tłumaczy.

Film jeszcze nie był kolaudowany, ale podobno Matyni się podobał.

Sobota 30.12.1995

Okolo godziny 11 przyszła polecona przesyłka z USA z dwiema kasetami wysłanymi przez Ciechańskiego. A więc do tego potrzebny mu był mój dokładny adres, gdy dzwonił przed kilkunastoma dniami. Wraz z kasetami krótki list, że są to nagrania jego i jego przyjaciela Streichena. Coś wspomina też o śmierci swego brata w Oświęcimiu. A więc miał też starszego brata? Bo jego młodszy brat też już nie żyje, ale nie mógł być w Oświęcimiu, skoro bawiliśmy się razem w czasie okupacji. Słucham w tej chwili Brucknera, więc trochę trudno przerzucić mi się na coś innego. Taśmy będą musiały nieco się odleżeć, abym złapał nastrój. Myślałem w panice, że to list od Dmochowskiego. Gdyby Dmochowski przysłał list polecony, to jednak trzeba go przyjąć i odesłać w innej kopercie, bo adres zwrotny jest na nieistniejącą galerię i potem gotów nie wrócić do adresata, z czego Dmochowski gotów wyciągnąć wniosek, że go

jednak otworzyłem i czytałem.

Malowałem do godziny 17 z przerwą na dostarczenie Tomkowi obiadu. Teraz wypłuczę pędzle, a Zosia wypierze staruchę.

Niedziela 31.12.1995

Rano pogodnie, ale ciśnienie na barometrze zaczyna spadać. Temperatura $-16,3^{\circ}$. W nocy bolala mnie głowa. Podobno ma się zachmurzyć i zacząć padać śnieg, ale równocześnie ma się o parę stopni ocieplić.

Deskorolki tłuką się pod blokiem. Tym nigdy nie jest za zimno. Dziś w nocy też nie będzie spokoju tylko petardy i sztuczne ognie.

Środa 17.1.1996

Prawie skończyłem najlepszy chyba obraz od roku. Jeszcze tylko pojutrze, bo jutro mam przed południem wizytę u dentystki, wykończę niektóre szczegóły. Jest to 49 obraz o kryptonimie „W9”, format 98x132 i przedstawia dwie postaci, dużą i małą, która coś majstruje koło ust. Gra na drumli? Poprzedni, najlepszy w roku 1995, skończyłem 17 stycznia ub. roku. Czyżbym w styczniu malował najlepiej? Nie. W 1992 było to gówno. W 1993 i 1994 były to dobre obrazy, ale nie najlepsze, z tym że ten w 1994 był lepszy niż ten 1993. Wybrał go sobie Nyczek. To raczej przypadek, że dwa ostatnie styczenie były łaskawe. Gdyby historia miała się powtarzać w całości, to za dwa, trzy dni, powinienem mieć jakiś wypadek, bo w ubiegłym roku wywalilem się na lodzie. Chyba, że to babka się przekreśli, ale wydaje mi się, że jest już dziś lepsza niż była przedwczoraj.

Czwartek 18.1.1996

Rano pochmurno i sypie drobniutki śnieg. Temperatura $-5,7^{\circ}$. Wczoraj około godziny 22:55 umarła nagle Stankiewiczowa.

26.1.1996

Rano pochmurno. Temperatura $-15,7^{\circ}$. Ciśnienie powoli spada. Na godzinę 11 jedziemy do Instytutu Kardiologii w Aninie. Pęknięty palec na lewej nodze nadal doskwiera.

Odnaleźliśmy bez większego trudu Instytut Kardiologii. Docent Biedermann (nadal nie wiem jak pisze się jego nazwisko) obejrzał bardzo dokładnie wszystkie zdjęcia, a głównie rezonans magnetyczny i powiedział, że sprawa jest bardzo poważna. Tętniak jest rozległy, skrzeplina jest wynikiem tego, że chyba już kiedyś pękł i skrzeplina powstała na skutek miejscowego wylewu. (Zosia przypomina sobie, że przed laty, myjąc podłogę w łazience u Tomka, miała uczucie, że coś wewnątrz jej pękło i pluła wtedy krwią, ale czy możliwe jest przedostanie się krwi do przewodu pokarmowego? Było to przed około 10 laty). Rokowanie jest takie, że w wypadku nie operowania sprawa może trwać od 3 do 5 lat, zaś w wypadku operowania można uzyskać dłuższą perspektywę, ale z kolei możliwe są powikłania pooperacyjne, czyli niedowład nóg, na skutek możliwości odcięcia tętnicy idącej do nóg, która umiejscowiona jest nieregularnie, poza tym sama operacja też jest niebezpieczna. W celu większej jasności diagnostycznej, proponuje powtórne zdjęcie rezonansowe, ale w tej sprawie ma zadzwonić, by nas w Międzyzlesiu umówić na termin, gdyż nie jest pewien czy tętniak przechodzi przez przeponę, czy też kończy się na niej, a w każdym razie czy jest poniżej przepony równie duży. Gdyby nie był poniżej przepony tak rozległy, to operacja w Polsce byłaby możliwa, w przeciwnym wypadku nie. Uważa, że chciałby rzecz skonsultować z jakimś profesorem Borstem (o ile dobrze usłyszałem) z Niemiec. Poradził nam skonsultowanie się z kimś z kardiologii, kto specjalizuje się w nadciśnieniu, by Zosia zaczęła intensywnie leczyć nadciśnienie. Jej ciśnienie winno zamykać się w granicach 130/80. Powiedział, że sam namierzy nam kogoś w celu prowadzenia Zosi.

Po konsultacji okazało się, że on mnie zna i pisał do mnie w roku 1977 po wystawie w Łodzi, pytając o cenę mego obrazu.

Problem, który zresztą wyartykułowałem w rozmowie z doc. Biedermannem wygląda tak, że ryzyko wynikające z nie przeprowadzenia operacji jest większe (nawet trzykrotnie większe, jeśli idzie o rokowanie pooperacyjne, jak powiedział doc. Biedermann) ale jest odłożone w czasie, natomiast ryzyko związane z operacją (w sytuacji, gdyby dalsze badania wykazały, że można ją w Polsce przeprowadzić) jest jednak natychmiastowe, mimo iż rokowania pooperacyjne są trzykrotnie lepsze. W naszym wieku (dla Zosi jest to prawie 67 lat) nie ma prostej recepty, które rozwiązanie

wybrać. Z całym i nie pękniętym tętniakiem, można się w wieku 70 lat, przekręcić na coś innego. Wreszcie chciałbym byśmy żyli jeszcze z 10 lat, ale należy też bez ogródek popatrzeć prawdzie w oczy, że jesteśmy już oboje na wylocie. Jak myślę także ryzyko samej operacji jest tym większe, im bardziej zaawansowany wiek. Doc. Biedermann (być może było to komplementowanie) powiedział, że od tej strony nie popatrzył na sprawę, bo nie sądził, że Zosia ma już tyle lat, bo wygląda na mniej. W każdym razie na wypadek, gdyby operacja była niemożliwa lub gdybyśmy nie chcieli, by Zosia się jej poddała, to ona musi bardzo dokładnie, dwa razy dziennie, kontrolować swoje ciśnienie i pilnować, by nigdy nie podskoczyło, unikać wszelkiego wysiłku fizycznego i nie palić papierosów (oraz chyba nie pić kawy i herbaty). Jednym słowem żyć na całkowitym luzie. Teraz po śmierci Stankiewiczowej jest to chyba możliwe, o ile Tomek z kolei czegoś nie wymyśli.

Piątek 2.2.1996

Rano piękna pogoda. Temperatura $-9,4^{\circ}$. Nie mogłem wieczorem zasnąć. Zdenerwowany byłem Zosią, tak jakby podpisano już na nią wyrok i miało go na dniach wykonać. Nieustannie biegałem sikać, ale to z nerwów. Zasnąłem dopiero gdzieś przed godziną 2.

Piątek 23.2.1996

Rano lekkie zachmurzenie gdyż jest stosunkowo jasno. Temperatura $-4,1^{\circ}$. Ciśnienie rośnie. W nocy spadła symboliczna ilość drobnego śniegu. Dziś około godziny 10, ma po raz drugi przyjść Rosikoń. Jutro chyba są moje urodziny. Skończę 66 lat.

Sobota 24.2.1996

Zapomniałem od wczoraj, że dziś są moje urodziny. Zosia weszła, gdy pisałem na komputerze i dostałem czekoladę.

Niedziela 25.2.1996

W nocy spadło trochę śniegu. Ranek pochmurny. Temperatura $-5,4^{\circ}$. Już psychicznie nie wytrzymuję tej zimy.

Rano nie śpiąc, rozważałem technikę oprawy obrazów i przeróbki poko-

ju po Stankiewiczowej. Rozmawialiśmy na ten temat wczoraj z Zosią. Problem jest taki, że jeśli oprawię teraz 27 dużych obrazów, to utrudnię w dodatkowy i bardzo istotny sposób, sam proces przebudowy pokoju po Stankiewiczowej, z którego trzeba będzie (w celu położenia nowej podłogi) wszystko wynieść, a 27 oprawionych obrazów, w znacznym stopniu zajmie wolne miejsce, na którym można będzie złożyć to wszystko, co zostanie wyniesione. Wygląda na to, że teraz będzie trzeba oprawić obraz dla Krzysi, dwa obrazy dla Rosikonii i ewentualnie obraz dla Biedermana o ile się zdecyduje (bo zaczynam się obawiać, że strzeliłem gafę). Z innymi obrazami trzeba będzie poczekać, a natomiast jak najszybciej wysortować i wywieźć z domu wszystko, co ma być przekazane biednym lub wywalone, po czym zabrać się za położenie podłogi i pomalowanie pokoju, zrobienie półki na obrazy i wtedy dopiero przystąpienie do oprawiania wszystkiego. Trzeba to będzie jeszcze omówić z Zosią i co najważniejsze przekonać ją, by sprawę nareszcie ruszyć z miejsca, bo ona najchętniej zostawiłaby wszystko in statu quo, jeszcze przez nieokreślony bliżej czas.

Przed południem skończyłem obraz GŃ 98x98. Myślę, że nie jest zły, ale ta opinia może się potem zmienić. Jest pierwszym nie sfotografowanym przez Rosikonii. Przedstawia siedzącą postać z profilu w czapce lub hełmie. Za jej plecami stoi mała postać en face. Kolor od cebulowego brązu, po brudnawy błękit. Domieszka fioletu, użytego na początku pracy, który przeziera. Na początku miało być to zwierzę z profilu, potem twarz, a na końcu, po odwróceniu do góry nogami, namalowałem tam to, co jest teraz. Technika rysunkowa ale coraz bardziej wylizana.

Od wczoraj Zosia porządkuje zawartość moich szuflad, w których leżały na stertach recenzje, wycinki i inne takie. Chciałbym uzyskać trochę miejsca na nowe slajdy. Poza tym chciałbym, by Zosia miała jakieś zajęcie, bo narzeka, że jeśli jej nic nie będzie wolno robić, to padnie z nudów, ale ona zabrała się za to z takim impetem, jak swego czasu Stankiewiczowa, za robienie dywaników z wiskozy.

Niedziela 17.3.1996

Byliśmy w Galerii o godzinie 18:20. Wystawa Starowieyskiego została

podobno sprzedana w całości, ale te obrazy są w o wiele większym stopniu przyjazne publiczności niż moje. Tak więc mam poważne obawy, że gdy dojdzie do mojej wystawy, to nie sprzedam wiele lub nie sprzedam nic. Czy mam się jednak zmieniać, po to, by sprzedać wystawę? Siedzieliśmy potem na górze przy kawie do godziny 20. Namawiali mnie do robienia rysunków. Pewnie też dlatego, że liczą na to, iż może rysunki pójdą szybciej, bo są tańsze. Sprzedali jakiś mój rysunek z lat 70, podobno niewielki i robiony tuszem za 20.000.000 zł. Stąd ten optymizm, którego nie podzielam. Gdy inflacja dogoni ceny, wyznaczone przed przeszło rokiem, to może i bez rysunków coś się w handlu ruszy, ale czy tego właśnie chcę? Chcę raczej świętego spokoju. Z cenami wpadli w tą samą pułapkę, co Dmochowski: strzelili na starcie ze zbyt grubej rury! Jak zwykle męczyciło mnie bieganie na stronę z sikaniem. Przez ten okres, gdyśmy u nich byli, biegałem trzy razy: raz jeszcze na dole w Galerii i dwa razy na górze. Na dworze znowu bierze lekki mróz. Na parking, można w każdej chwili się przewrócić.

Środa 26.6.1996

Ranek nieco chłodny, ale bardzo ładny. Na godzinę 14 Zosia jest umówiona na Bródnie z dr Maliszewską, więc pojedę wraz z nią, potem odbiorę wyniki antybiogramu i pójdę do Leżachowskiej. Mam także odebrać (właściwie termin był wczoraj) zamówione płyty w HELICON.

Przed chwilą Tomek, z cholernym bólem głowy, przybył po proszki „w nocy”, czyli o godzinie 9:30. Ciekawostka: Anka (nie pamiętam już nazwiska ale jest to jego była flama, w której on ciągle się chyba kocha) jest w Warszawie i pracuje w Radio i w TV. Wg informacji Tomka: nie pali, nie pije, nie żre prochów i ma własne mieszkanie. Sam ideał! A więc należy oczekiwać kłopotów!!! Obym był złym prorokiem!

Na razie opisuję w ogólnych zarysach, jak przebiegł wyjazd do Dynowa i Sanoka.

Wyjazd (piątek 21.06.96) opóźnił się prawie o godzinę tak, że w rezultacie wyjechaliśmy z domu o godzinie 10:50 i pojechaliśmy na szosę krakowską przez Magdalenkę, spotykając na odcinku do Piaseczna kilka zmotoryzowanych kolumn policji, która ścigała do Warszawy w związku

z zapowiedzianymi manifestacjami stoczniovców. Do Sanoka dotarliśmy około godziny 18 z tym, że robiliśmy krótką przerwę po drodze. Zosia jadła kanapkę w lesie za Ilżą i trochę rozprostowała nogi. Ja w obawie by nie było kłopotów, do wieczora nie jadłem nic. Żulem tylko parokrotnie gumę.

W Sanoku najpierw zajęchaliśmy na cmentarz, gdzie Zosia zapaliła światła, a ja sfilmowałem popękany nagrobek, ale wg. mojej oceny, spēkania dotyczą tylko lastricowej okładziny pokrywającej beton, a nie całego grobowca. Można by go było obłożyć kamieniem i chyba nie najgorzej by to wypadło, ale jeszcze nie wiem z kim o tym rozmawiać, kto mógłby to wykonać i kto miałby to nadzorować. Z cmentarza pojechaliśmy do, będącego jeszcze częściowo w przebudowie, hotelu o dumnej nazwie HOTEL JAGIELLOŃSKI. Otrzymaliśmy olbrzymi pokój z dwoma podwójnymi łozami i z widokiem na nasz dawny ogród. Łazienka była jednak tak mała jak znaczek pocztowy i tak niewygodna, że korzystanie z WC, natrysku lub umywalki, musiało być połączone z ekwilibrystyką. Nie było gdzie powiesić ręcznika, nie było na czym odłożyć garderoby i okularów, nie było za co się chwycić, by nie poślizgnąć się w brodziku, jednym słowem rozpacz. Po umyciu się, popijając colą, pożarłem swoje 2 kanapki, bo byłem już potwornie głodny, Zosia też zjadła jedną. Zadzwoiłem do Jerzyka i wieczór spędziliśmy u nich.

W sobotę rano wyjechaliśmy do Dynowa, ale najpierw zaczepiliśmy o administrację cmentarza w Sanoku, która mieści się teraz w nowym budynku na terenie, który dawniej łączył cmentarze: „nowy” i „stary”, a który teraz pokryty jest nowymi grobami i grobowcami. Pogoda była piękna Uisćilem opłatę za przedłużenie użytkowania grobu pradiadków i grobu jakiegoś przyjaciela rodziców, którym mama nakazała się opiekować. Okazało się, że za nasz grobowiec, którego termin opłacenia (był opłacony na 20 lat) upływa w lipcu br., nie trzeba na razie płacić, bo terminy 20-letnie zmieniono na 50-letnie. Opłata będzie potrzebna w lipcu 2026. Mamy więc sporo czasu! Będę mieć wtedy prawie 100 lat (Oby się to tylko nie sprawdziło!!!). Co do obłożenia grobowca kamieniem to wziąłem od urzędniczki dwa adresy kamieniarzy z Sanoka, ale wg jej opinii w użyciu jest tylko granit, a ja wolałbym piaskowiec, by grobowiec

nie wyglądał po wypolerowaniu jak westybul w banku. Oni granit z reguły polerują. Zresztą granit w ogóle jest trwały, ale raczej paskudny. Potem, nie pamiętam już czy wprost z cmentarza, czy po powrocie na chwilę do hotelu, pojechaliśmy do Dynowa, gdzie byliśmy do późnego wieczora, kotłując się między mieszkaniem Ewy, cmentarzem, mieszkaniem Janków i mieszkaniem Olków. Jakoś to przeżyłem, ale z trudem! Zosia znowu była w stanie pobudzenia emocjonalnego i nie bardzo kojarzyła, co do niej mówię, tak więc prawie w ogóle wyłączyłem się z rozmów i tylko chodziłem z nią tam, gdzie chciała. Udało mi się w momencie, gdy zaraz po przybyciu wyszła do łazienki, zamienić kilka słów z Ewą i poprosiłem ją, by wyrażała entuzjazm dla wszystkiego, co zostało przywiezione z Warszawy (a było tego chlamu sporo), bo inaczej zawieziemy to z powrotem do Warszawy, a ja już nie mam siły spierać się z Zosią na temat tego co komu i kiedy. Nie wiem na ile brak protestów potem, zarówno od niej jak i od Marysi (której być może szepnęła słówko na stronie) był spowodowany tym, co powiedziałem. Wróciliśmy do Sanoka późnym wieczorem około godziny 20. Zosia zjadła jakieś pierogi z borówkami u Ewy, ja zaś przez cały dzień pozostawałem na jednej coli, wypitej w dynowskiej cukierni i proszkach od bólu głowy, które nią popilem. Po powrocie do naszego hotelu, zadzwoniłem do Rudaka, poszliśmy do niego i siedzieliśmy do północy. Rudak zaskakująco dobrze funkcjonuje jako wdowiec! Obawiałem się pełnej sklerozy i popłakiwania, a tu nic z tych rzeczy! Zajmuje się porządkowaniem spraw kombatantów. Opowiedział oczywiście o chorobie i śmierci Zyty. Opowiedział też, że dyrektor banku, usiłował kilkakrotnie wywalić go z mieszkania nad bankiem, ale się nie dał. Poprzednio już też usiłowano ich wywalić i głównie to uważa on za przyczynę śmierci Zyty, która nie była tak odporna jak on i jako bankowa emerytka, czuła się od banku nadal zależna. Teraz spacyfikował podobno dyrekcję banku przy pomocy poselskiej interpelacji zaprzyjaźnionej posłanki, którą jest Izabela Sierakowska. Hi! Już o wszystko go podejrzewać mogłem, a nie o ten kierunek znajomości! Podobno zna ją i jej brata od dziecka, bo ich ojciec jest jego przyjacielem. Inna rzecz, że większość życiorysu Rudaka wygląda na paramnezję. Po powrocie do hotelu o północy, pożarłem jako całodzienny posiłek bułkę z topionym serem i popilem colą.

Niedzielę rozpoczęliśmy od wizyty w naszym dawnym ogrodzie, gdzie non stop urzędują pijaczki. Gdy wychodziliśmy, zaczepił mnie siwy tęgi facet, który wodzi tam rej, przedstawiając się „jestem młody Tarnawczyk”. Młody to on nie był, ale chyba już z samego rana po piwku. Według tego, co mówił, jest tu tak pięknie dlatego, że „my” (chyba pijaczki) opiekujemy się otoczeniem i zielenią. Podziękowałem za troskliwość i wyraziłem umiarkowany entuzjazm. Gównu mnie zresztą obchodzi i ta przestrzeń i cała reszta. Potem pojechaliśmy do Biskupskich, gdyż w niedzielę na godzinę 14, byliśmy jeszcze przedwczoraj zaproszeni do Jerzyków na obiad. Wyrwaliśmy chyba ze snu zarówno Jankę jak i Romka, ale nie było szansy na telefoniczne uprzedzenie, gdyż w nocy, trochę po północy, przeszła burza, piorun walnął w hotel i rano łącza telefoniczne nie działały. Z rozmowy dowiedziałem się między innymi, że podobno oglądali w telewizji jakiś program z Dmochowskim i ze mną. Informację o jakimś filmie, miałem już raz przed paroma tygodniami, bo pisała o tym do Zosi Czerwińska z Rzeszowa (w stylu: widziałam w telewizji twego męża i jego marchanda), ale wtedy myślałem, że idzie o powtórkę jakiegoś starego nagrania. Teraz wyglądało na to, że jest to rzecz zrobiona przez Mydlarską z Gdańska, do którego to filmu Matynia kazał potem dograć fragment ze mną, co ona uczyniła w ubiegłym roku w maju. Podobno Dmochowski był bardzo agresywny, ja zaś mówiłem w sposób wyważony. Muszę napisać do Matyni z prośbą o kopię programu o ile jest to jeszcze wykonalne, bo chciałbym wiedzieć, co Dmochowski W OGÓLE tam mówił. O godzinie 14 byliśmy już u Jerzyków na obiedzie, a około godziny 17 poszliśmy na ulicę Zieloną, by podziwiać dom ciotek, przebudowywany przez Hankę i jej męża przy wydatnej pomocy finansowej Jerzyka. Sfilmowałem go in statu nascendi. Roboty będzie jeszcze masę, ale brak im permanentnie funduszy, by szybciej rzecz wykonać. Gdy wróciliśmy do hotelu (Zosia cholernie zmarzła, bo zaczęła się zmieniać pogoda i zrobiło się zimno, a ona była ubrana zbyt lekko) otrzymałem oprawioną na czerwono Księgę Pamiątkową z prośbą bym się tam jutro wpisał.

Poniedziałkowy rano zacząłem od redagowania w notatniku elektronicznym wpisu do Księgi Pamiątkowej. Coś wreszcie wydusiłem ze siebie, co

było równie wysilone jak nieprawdziwe i przepisałem to do czerwonej książki:

„Dziękujemy za miłe chwile spędzone w Hotelu Jagiellońskim. Zajmując wraz z żoną pokój numer 7, którego okna wychodzą na nasz dawny ogród, czuliśmy się niemal jak we własnym domu przed 20 laty!” Po pierwsze nigdy nie lubiłem Sanoka. Nie przepadałem za własnym domem i ogrodem. Po drugie fatalnie czułem się w hotelu, bo łazienka i WC były zbyt małe, jak na moje potrzeby, a natrysk jest zawsze moim wrogiem, a zresztą w podróży ZAWSZE źle się czuję i fatalnie śpię... No ale co miałem napisać? W tamtym poprzednim hotelu, też coś chyba wpisywałem. Noszczykowi w szpitalu, też coś wpisywałem. Może by samemu sprawić sobie księgę i prosić o wpisy każdego, kto tylko wejdzie by np. odczytać licznik?

Potem pojechaliśmy do Chmielewskiej, ale nie zastaliśmy jej w domu więc wróciliśmy do hotelu, bo po wczorajszym obiedzie i kolacji u Basi, stałem się krótkodystansowcem i nieustannie parło mnie „na stronę”. Najstraszliwszą rzeczą dla mnie w podróży jest ludzka gościnność. Tylko Ewa w Dynowie umie to zaakceptować, że mam trudności z przewodem pokarmowym i nie wciska mi jadra na siłę. Basia niby też nie wciska, ale wiem, że przygotowywanie przyjęcia sprawia jej przyjemność, bo umie doskonale gotować, więc nie chciałbym sprawiać jej przykrości. Poza tym jestem łakomy. Mea culpa. Zosia zrezagowała w hotelu list, wróciliśmy do Chmielewskiej i wrzuciłem go do skrzynki na drzwiach. Znowu zachciało mi się na stronę, ale jakoś postanowiłem wytrzymać i poszliśmy do Malinowskiej. Jadzia wyglądała okropnie: jakaś taka chuda na twarzy, a gruba w brzuchu i nie podobna do siebie sprzed paru lat. Rozkręciła się na nasz widok i mówiła całkiem do rzeczy, mimo iż na początku mówiła niewiele i nieco bełkotliwie. Byliśmy tam około półtorej godziny. Gdy wychodziliśmy, zaczęła nas jakaś jej sąsiadka i pytała jak ją oceniamy, bo ona niejednokrotnie nie chce nikogo tygodniami wpuścić do siebie. Może jakoś dowiedziała się o naszej obecności w Sanoku i była przygotowana? Od Malinowskiej pojechaliśmy do hotelu, bo musiałem pójść do kłopa, po czym pojechaliśmy do Turkowskich, do których dzwoniłem już rano przed wyjściem do Chmielewskiej (telefon hotelowy już działał), ale Turkowska szła właśnie do dentystki, a Tadeusza nie było w domu.

U Turkowskich byliśmy prawie do godziny 15. Przyszedł Banach, po którego chyba telefonowano. Zosia rozmawiała z Turkowską, a ja z Turkowskim i Banachem. Opowiedziałem o chorobie Zosi i o zerwaniu umowy z Dmochowskim. W rozmowie gdy opowiadałem, że ramy robię sam, bo ceny za profesjonalne ramy sięgają 9.000.000 plus cena za oprawienie, okazało się, że jest szansa na wykonanie w Sanoku tanich ram do obrazów i mam w tym celu przygotować wstępne szkice, by można było ustalić cenę. Przez chwilę rozmawialiśmy też o grafice komputerowej, bo rozmowa zeszła na tego chłopaka, który dzwonił do mnie z Sanoka. Od Turkowskich pojechaliśmy do hotelu, a potem około godziny 17 na kolację do Jerzyków, gdzie siedzieliśmy do około godziny 22. Potem wróciliśmy do hotelu.

We wtorek rano, około godziny 9, po śniadaniu w hotelu, wyjechaliśmy do Warszawy. Na obiad zatrzymaliśmy się w hotelu ŁYSICA w Ostrowcu Świętokrzyskim, gdzie po zjedzeniu, także odwiedziłem hotelowy WC, po czym wróciliśmy około godziny 16 do Warszawy. Pogoda w drodze była raczej dobra. Tylko gdzieś w okolicach Łoniowa zlał nas przelotny deszcz.

Piątek 28.6.1996

Po kąpieli obejrzelśmy jeszcze „Miasto kobiet” Felliniego, które Tomek nagrał z telewizji, gdy byliśmy w Sanoku. Zosia oczywiście przysnęła pod koniec, ale ja (pamiętając ten film doskonale z klubowego pokazu na początku lat 80 w czasie stanu wojennego) utwierdziłem się tylko w przekonaniu, że dla mojego pokolenia (lub ściślej: dla mnie) Fellini był największym reżyserem filmowym naszego czasu.

Środa 10.7.1996

Coraz trudniejsze jest odnalezienie ciekawej kompozycji i ciekawej płyty. Kupiłem ostatnio w Viwart trzy płyty, ale nowe nagrania Keyrouz (pieśni orientalne) nie podobają mi się tak, jak pierwsza jej płyta z muzyką bizantyjską. Chavez z kolei taki sobie, a trzeba było w celu kupienia jego 6 symfonii kupić (na tej samej płycie) powtórnie symfonię Antyгона i irytujące mnie kompozycje Revueltasa. Ostatnie symfonie Schnittkego (6,7,8) też mniej mi się podobają. Jego muzyka jest o wiele chłodniejsza,

przynajmniej ja to tak w tej chwili odbieram. Czy moje obrazy też w ten sposób ewoluują? Czy zmiany, które we mnie następują, też w ten sposób wyglądają z boku? A może po prostu jestem zmęczony i wyrwany z nastroju, który powinien niezmiennie trwać przez co najmniej miesiąc, by można było mówić o spokojnej pracy. Teraz nieustannie coś mi rozbija jej rytm.



Fot. Zdzisław Beksiński, bez tytułu (modelką była Zofia Beksińska)

Niedziela 25.8.1996

Rano piękna pogoda i ponad 19°. W telewizji co wieczór zapowiadane jest pogorszenie pogody, więc może dziś to już ostatni dzień lata? Przeszło między palcami. Rano od godziny 5, kiepsko spałem i myślałem o czekającym mnie sklejeniu listew i oprawianiu obrazów. Ta cholerna wystawa i mglista perspektywa, że jednak będę musiał sprzedać ze dwa lub trzy dobre obrazy, do których posiadania jestem przywiązany, spędza mi sen z powiek. Poza tym jak, czym i gdzie malować następne przyszłościowe ramy (szczególnie z płyty wiórowej, w której pokładam największą nadzieję) o ile w Sanoku uda się je wykonać. Zresztą, jeśli Sanok ich nie zrobi, to zamówiłbym wiórowe profile u K. i problem malowania ich, zostałby nadal otwarty. Myślę, że bejca (trzeba by zmieszać kilka kolorów), byłaby najprostszym rozwiązaniem.

Piątek 20.9.1996

Nigdy nie widziałem wystarczająco dokładnie żadnego z obrazów Van Megereena. Jakieś kluchowate, czarno-białe reprodukcje w dziennikach z okresu PRL, jakieś dwu sekundowe migawki w Kronice Filmowej. Dziś stosunkowo przyzwoite reprodukcje w dodatku do „Gazety Wyborczej”, uświadamiają mi, że krytycy są po prostu ślepi! Jak można było, te prymitywne w kształtowaniu i kompozycji obrazy, uznać za dzieła Vermeera, opierając się jedynie na analizie chemicznej? Zapewne materia malarska też jest na tym samym poziomie, co forma, ale tego nie jestem już w stanie ocenić, przy tej klasie reprodukcji. A ten szal oglądania obrazu Caravaggia wypożyczonego z Watykanu i te tłumy, które tam się obecnie przewalają, a najprawdopodobniej 99% nie potrafiloby powiedzieć, co w nim warte jest oglądania, gdyż oni tego po prostu nie widzą. To po co oglądają?

Niedziela 13.10.1996

Obraz, który miał być w założeniu kontynuacją obrazu OŃ, zaczyna od wczoraj żyć własnym życiem. Przewidywałem to. Na razie jeszcze nie wiem, czy w rezultacie coś z niego, ale układ postaci uległ zasadniczej zmianie. Nie potrafię trzymać się powziętego założenia. Gdybym przerobił obraz OŃ, to poprzestałbym na zamalowaniu nogi i pewnych zmia-

nach w obrębie brzucha czy też miednicy. Gdy zabrałem się zań powtórnie, maluje mi się coś całkiem innego.

Od kilku dni w przerwach malowania nowego obrazu przerabiam głowę na obrazie sprzed dwóch lat Y4. Chyba nic dobrego z tego nie wyniknie. Jest lepszy niż był, ale ten wysilek jest bez sensu. Poszukiwanie doskonałości, której poza malarzem nikt nie dostrzega. Dzisiejsza aukcja (sądząc po katalogu) jest na to dowodem. Bardzo solidny, świetnie namalowany akademicki obraz z 19 wieku (Siostrzeńcewicz) przedstawiający chłopów na targu, jest wyceniony 7 razy niżej niż trzeciorzędna (jeśli idzie o średnią dokonań) praca Makowskiego, jakich mistrz natrzepał bez liku i ponad połowę mniej niż trzeciorzędny portret jakiejś kobiety (ciotka? aptekarzowa?) Malczewskiego. Płaci się za nazwisko, a nie za jakość obrazu. Tej jakości nikt jakoś nie widzi albo raczej nikt nie ceni. To dla kogo się zdzierać. Nazwiska mi od tego nie przybędzie. Przypomina mi się Ileczo z Sanoka, który po zakończeniu rozbijał każdą rzeźbę, bo „przecież została już zrealizowana”. Marne to były rzeźby, ale mądre było podejście. Robi się rzecz dla siebie. Bruckner komponował dla Boga, no ale jeśli ktoś nie wierzy w Boga?

Czwartek 9.1.1997

Rano ciemności i niebo zachmurzone. Temperatura $-6,2^{\circ}$. Ciśnienie spada. Czytałem wczoraj do późnego wieczora książkę Dmochowskiego i potem nie bardzo mogłem zasnąć. Dziś rano też nie spałem. Muszę pracować, a wiem, że będzie mnie ciągnąć do dalszej lektury. Muszę się do tego jakoś zdystansować i pracować jakby nigdy nic, bo znowu utracę spokój.

Porzuciłem chronologię i przeczytałem wg spisu rozdziałów o sobie. Trochę mnie wkurzyło, a najbardziej brednia, że byłem przed laty członkiem ZMP. Napisałem do Nyczka z zapytaniem, czym Dmochowski jemu też przysłał Dzieło. Dmochowskiemu nie odpiszę, mimo iż w nocy myślałem, by mu odpisać pojednawczo, z propozycją, by tą książkę uznać za wyrównanie rachunków i na przyszłość dać sobie spokój ze sporami. Trzeba go potraktować jako nie istniejącego, bo inaczej wezmę na swą głowę to, co

z trudem udało mi się zrzucić. Za stary jestem na takie zabawy. W wyniku zdenerwowania, malowanie zaczęło mi źle iść. Znowu wetknął mi kij w szprychy.

Czuając, że nie będę mógł spokojnie pracować, zanim nie przeczytam całego dzieła, wyplukałem pędzle i zabrałem się za systematyczne czytanie. Zadzwoił doc. Biederman i umówiliśmy się na sobotę na godzinę 11, że wpadnie do nas i odniesie wyniki rezonansów i tomografii oraz porozmawia z Zosią na temat jej samopoczucia. Zadzwoił też Bogdan Wiśniewski, pytając czy może przyjść koło godziny 19. Zaprosiłem go, po czym w oczekiwaniu na niego, nadal czytałem i prócz małych fragmentów pod koniec, które przeleciałem pobieżnie i które nie dotyczyły już mnie, przeczytałem wszystko. Przykro było to czytać, bo mi go mimo wszystko żal, gdyż to facet niewątpliwie pierdolnięty. Jego naiwna niezdolność oceny sytuacji, którą od początku do końca, sam w swej piramidalnej głupocie i zadufaniu wykreował i deklarowany, bezgraniczny podziw dla mego „geniuszu”, są żenujące (o tym, że jestem geniuszem, natrafiałem na co trzeciej stronie i sprawiało to czasem wrażenie demonstracyjnej deklaracji bez pokrycia). Z drugiej strony w książce jest kupa, niezwiązanych w żaden sposób ze mną, dygresji, rozważań politycznych, psychologicznych i socjologicznych, które w zasadzie są niewielkimi esejami, skądinąd całkiem dobrze napisanymi, a czasami nawet (jak mi się wydaje) wnikliwymi. Pewna ilość wziętych z życia scenek rodzajowych, pełnych jadowitej niechęci do wszystkich, z którymi musiał się stykać i którzy nie chcieli mu pomóc w wylansowaniu Beksa (niby dlaczego mieli mu pomagać? Czy ja lub Wahl, zwracamy się o jakąś pomoc do instytucji lub sponsorów?), napisana jest jednak dobrze, a nawet czasami śmieszna, tym niemniej odnosi się wrażenie, że zostałem tu użyty w formie wehikułu, który miał na terenie Polski (gdzie moje nazwisko może spowodować, że pewna ilość ludzi to kupi i przeczyta, zresztą na pewno rozesłał to bibliotekom i muzeom) posłużyć opublikowaniu wszystkich złotych myśli i spostrzeżeń Dmochowskiego, który nie mając nazwiska jako pisarz, nie miałby okazji zebrać i wydać ich w inny sposób i przy innej okazji. Teraz, przy okazji dokopania mi, „na marginesie” prezentuje publiczności swój wizerunek intelektualisty, „błyskotliwego” myśliciela i filozofa zarazem. Dwie

pieczenie przy jednym ogniu. Wprawdzie to impreza finansowo deficytowa, ale jego potrzeba walnięcia w stół, by odezwały się nożyce, a przy okazji zabyśnięcia, czyni go niewrażliwym na poniesione straty. Żyje zresztą w świecie umownym, w całości wykreowanym we własnej wyobraźni. Na koniec jednak niepotrzebnie (bo wiele bym mu wybaczył, ale tego nie mogę) publikuje naszą umowę oraz fragmenty naszej korespondencji, jak też robi kilka niedwuznacznych donosów do Urzędu Skarbowego. To jest zrobione wyłącznie po to, by mnie wkurzyć i zniszczyć lub choćby maksymalnie zaszkodzić. Nie będę więc w ogóle odpowiadać.

Poniedziałek 13.I.1997

Znowu ciemności. Temperatura $-7,1^{\circ}$. Podobno od jutra ma się zacząć ocieplenie i nawet odwilż. Znowu nad ranem kiepsko spałem. Ciągłe ten Dmochowski i Dmochowski. Zosia wczoraj nie mogła z tego powodu oglądać filmu i potem, przerwawszy go, gadaliśmy przed godzinę czy nawet dłużej. Ona szuka winy we mnie. Po co w ogóle rozmawiałem z Dmochowskim? Nie sposób wreszcie nie rozmawiać z nikim, lub rozmawiać wyłącznie o pogodzie!

W trakcie rozmowy z Zosią o jego teściowej, o której napisał, że jest osobą dowcipną, odkryłem nagle (było to olśnienie, jakby mnie ktoś wyrznął obuchem w czoło!), dlaczego jego notatki urywają się pod koniec 1987 roku. Oczywiście! Przypomniałem sobie naszą ówczesną korespondencję! Napisałem mu przecież w dniu 19 marca 94, że od chwili, gdy w listopadzie 1987 udostępnił mi w swym liście fragmenty swoich notatek o „złoty jajach”, zacząłem (od grudnia 1987) nagrywać z ukrytego mikrofonu non stop każdy jego pobyt, bo obawiałem się, że w notatkach tych, przekraczając po swojemu fakty, kreuje mnie celowo na bufona. Uświadomił więc sobie, że na obszarze następującym po 1987 roku niebezpiecznie jest łączyć i manipulować faktami, bo Beksiński może zdementować każde łągarstwo, gdyż posiada taśmy. Nie wpadło mi to poprzednio do głowy! Napisał więc (a nawet mówił mi w lecie 1995), że „i tak przerwał dawno notatki, bo nie było nic ciekawego”. Jak się okazuje się teraz, że „przerwał je” DOKŁADNIE od tego momentu, od którego ich dalsze prowadzenie, stało się dla niego niebezpieczne (bo Beksiński ma taśmy), o czym jeszcze wtedy nie wiedział. Założę się więc, że w rzeczywistości

prowadził je nadal, ale nie mógł ich już teraz (w 1996/97) opublikować, w obawie przed moim dementi, bo dowiedział się dopiero w marcu 1994, że począwszy od grudnia 1987 wszystko jest przeze mnie nagrywane. Ale najbardziej zabawne jest to, że nie wie, iż mu w marcu 1994 skłamałem i nie mam takich nagrań, bo nagrywanie rozpocząłem o wiele, wiele później, gdyż przedtem nie miałem zainstalowanej odpowiedniej aparatury, zdolnej (na kasetach VHS) do pracy non stop przez 8 godzin. Skłamałem właśnie z takim zamiarem, by zablokować owoce jego oszczerczych fantazji wstecz, chociaż wtedy, nie przewidywałem nawet w najgorszych koszmarach, że tak prędko przyjdzie mi się z nimi zetknąć w druku. Z tego wcześniejszego okresu, mam tylko dwa monofoniczne, kiepskie nagrania, na taśmie VHS: jedno z negocjacji, gdy zagroziłem mu zerwaniem umowy, po jego odmowie zapłacenia mi za zamówione 16 obrazów i drugie, gdy przywiózł forszę od Japończyków i wbrew naszym wcześniejszym ustnym umowom, chciał wykupić za pół ceny zastaw (do czego zresztą doprowadził). Było to na dzień przed moją operacją.



Zdzisław Beksiński, koniec lat 50.

Piątek 17.1.1997

Znowu ranek ciemny i mglisty. Temperatura $-1,6^{\circ}$. Zosię cholernie boli głowa. Nie spała, tylko bez przerwy myślała o wczorajszym PEGAZIE, bo ją tak zdenerwowało najpierw oczekiwanie nań, a potem to, co zostało tam pokazane, że nie mogła się zdystansować. Musieliśmy na jej życzenie trzykrotnie go odsłuchiwać i za każdym razem na raty, bo bez przerwy dzwoniły telefony od znajomych z tzw. „wyrazami solidarności”. Tymczasem sam PEGAZ był taki jak inne PEGAZY, a na dodatek Dmochowskiemu nie stworzono warunków do zablęśnięcia albo też miał zły dzień. Prowadzący rozmowę dziennikarz, był mu wyraźnie niezyczliwy (następny kandydat do kolekcji tych, którzy „nie pomogli”). Spytał jaki był w ogóle cel tej publikacji i powiedział, że książka jest plotkarska i że widzi w niej nie tyle paranoję co chęć zemsty. Zresztą nie tyle na mnie ile na tych, którzy mu „nie pomogli”, mimo iż mogli, z których na najgorszego wyszedł, Bogu ducha winien Polański. Dowiedziałem się, że Dzieło miało poprzednio nosić tytuł „Uwagi o sytuacji ogólnej”, tak jak to mi doniósł przed kilkoma miesiącami, w oparciu o jakiś artykuł Dzikowskiej, facet piszący na mój temat pracę.

Koło południa wypogodziło się. Maluję, ale czuję się fatalnie. O godzinie 12 moje ciśnienie, mimo wypicia bardzo mocnej kawy, wynosiło 105/68 przy tętnie 65, co w moim wypadku stanowi już dno. Właściwie powinienem się położyć, ale chciałbym podciągnąć jeszcze trochę obraz, dopóki jest dobre światło. Powoli zbliżam się do jego zakończenia. Może zmienię sobie podkład muzyczny, bo kompozycje Luigi Nono z lat 84 i 87, nie stymulują mnie jakoś do pracy.

Wieczorem zadzwonił Bogdan z informacją, że Dzieło Dmochowskiego jest w księgarni przy Mazowieckiej za 33,30 zł. Podobno jest też gruby album „koreański” za cenę 200 zł.

Sobota 18.1.1997

Ciekaw jestem czy Banach w Sanoku też dostał Dzieło. Jeśli tak, to u Turkowskich mają nielichy ubaw.

Niedziela 19.I.1997

Do godziny 13:45 podmalowałem następny olej o formacie 88/92. Oznakowanie 72=WŃ. Jak na razie ma to być postać siedząca z profilu, z czymś do pisania w ręce. Robiłem już taki rysunek. Na dworze ciemności. Po obiedzie wszedł na chwilę Tomek, ale nawet na mnie nie spojrzął, tylko pogrzebał coś w kasetach i poszedł. Być może fakt, że akurat cichutko (Zosia się położyła) leciała sonata na wiolonczelę Prokofiewa, zniechęcił go do zabierania głosu. Dobrze, że jednak nie zaczyna dopytywać się o Dzieło. Może fakt jego istnienia i fakt, że w nim występuje, przejdą jakoś obok niego bokiem i nie zostaną zauważone. Obejrzelśmy kawałek jednej starej taśmy video z końca 1987, przedstawiającej rozmowę Zosi z Dmochowskim.

Środa 5.II.1997

Do południa podmalowałem obraz 92=P2. Znowu format poziomy, bo chciałbym się do tego formatu przyzwyczaić, jako iż to, co robię na ekranie monitora, musi już być poziome. W założeniu obraz ma przedstawiać człowieka dmącego w wiele trąbek. W trakcie roboty przypominałem sobie obraz będący u Skrzydlewskiego. Czyż bym gonił w piętękę?

Okolo godziny 9, wyrzucałem jakąś butelkę i nadziałem się na R. Kompletnie pijany. Podobno (jak uważa Zosia) jego żona wyprowadziła się z domu. Przyssał się do mnie i belkotał, jaki to ja jestem wybitny i że powinienem ze swych wyżyn dostrzec jego: R.. To mniej więcej wynikało z jego belkotu. Zalał się łzami, prosił, bym mu rękę podał – co też zrobiłem, ale potem musiałem to ze trzy razy powtórzyć, wreszcie chciał mnie w rękę pocałować, dobrze że nie w twarz, bo był kompletnie obśliniony i jechało od niego wódą jak z gorzelnii. Ledwie mu się wywinąłem i uciekłem do mieszkania, dokąd potem w kółko dzwonił. Boże święty, jeżeli gruba R. go zostawiła, to chłop się pewnie w następnym akcie powiesi, bo takie właśnie rzeczy wpadają do głowy tego typu osobnikom. Zawsze mamy wokół siebie otoczenie jak z filmu grozy: w Sanoku durny Laks a i urocza Hańcia od mycia sraczy, teraz babka D. kolekcjonująca własne gówna i R. alkoholik. Jak to się dzieje, że inni ludzie mają normalnych sąsiadów? Może w ogóle nie wyprowadziliśmy się z Sanoka i nigdy tam nie byliśmy, lecz tylko zmienił się nieco filtr „plug in” w oprogramowaniu

komputera od naszego helmu wirtualnego?

Wtorek 9.12.1997

Do godziny 10:30 skończyłem obraz 94=H1. Trochę się zmienił, ale nadal przedstawia twarz z profilu w długiej czapce. Chyba dobry. Zapisuje teraz zestaw farb, bo stosowny dokument z Macintosha jest na razie niedostępny:

Titanium White Talens
 Raw Umber Rowney
 Burnt Umber Rowney
 Turquoise Blue Talens
 Manganese Blue Talens
 Emerald Green Extra Talens
 Coeruleum Rowney
 Cadmium Orange Rowney
 Cadmium Red Rowney
 Cadmium Red Scarlet Talens
 Ultramarine Deep Talens
 Venetian Red Winsor & Newton
 Transparent Oxide Yellow Talens
 Transparent Oxide Red Talens
 Transparent Oxide Brown Talens

Czwartek 15.1.1998

Dzień zaczyna się pogodnie. Temperatura 0,8°. Spałem stosunkowo dobrze.

Przed południem poprosiłem Zosię, by zawiozła mnie na Powązki lub Cmentarz Bródnowski, gdyż pogoda była akurat taka, przy której mogłem bez obaw o zmoczenie aparatu dokonać fotografii dla swych celów. Musiałem przełamać zarówno lenistwo jak też niechęć do robienia czegoś, co nie jest pracą „posuwającą się do przodu” jaką np. jest malowanie obrazu, lecz tylko etapem przygotowań, z których w rezultacie może potem nie będę nawet korzystać. W życiu nie byłem na Cmentarzu Bródnowskim więc wybrałem Bródnowski, gdyż liczyłem, że potem

będę mógł jeszcze powtórzyć szereg (nie dość ostrych) zdjęć na Pradze. Niestety, okazał się on nieciekawym, albo może nie odnalazłem tej ciekawszej partii, ponieważ jednak jest olbrzymi, to obawiałem się, że zanim cokolwiek znajdę, będzie już zbyt ciemno na zdjęcia, szczególnie że zaczęło się chmurzyć. Pojechaliśmy więc na Powązki, gdzie zaparkowaliśmy o godzinie 11:50. Zosia została w wozie, a ja przez pełną godzinę lazałem po cmentarzu i zrobiłem dwa pełne filmy. Choleornie zmarzłem w dłonie. Tam można by siedzieć przez tydzień i jeszcze nie obejść wszystkiego, w każdym razie nie ma porównania między Bródnem a Powązkami. Szkoda, że podobno nie wolno robić zdjęć na żydowskich Powązkach. Fotografowałem tam dla Henryka jeszcze w latach 70 i tam byłoby też sporo materiału. Wróciliśmy do domu o godzinie 13:30. W międzyczasie wypogodziło się i zaświeciło znowu słońce. Na obiad zamówiłem Pizzę Hut. Około godziny 16 pojadę do miasta, by dać do wywołania filmy.

Niedziela 18.I.1998

Znowu wraca pogoda. Temperatura 1,3°. Od wczoraj wieczorem i przez całą noc boli mnie prawa dłoń w przegubie, tam gdzie stłukłem ją przed trzema laty. Myślałbym, że to od nadwyrężenia myszą, ale wczoraj ból złapał nagle przy jakimś ruchu. W nocy doszło do tego jakiegoś okresowego drganie mięśnia między płacem wskazującym a kciukiem, podobnie jak przy zespole Parkinsona. Miejmy nadzieję, że to minie.

Rano pojechaliśmy wraz z Zosią samochodem na Pragę, bo była dobra pogoda i chciałem sfotografować szerokim kątem ten sam mur, który robiłem przedwczoraj. Ulice prawie puste. Wróciliśmy około 11. Do godziny 14:30, na zmianę malowałem i sklejałem uchwyt do umocowania halogenów, które ułatwią mi oświetlanie twarzy i dłoni, które będę chciał sfotografować. W przeciwnym wypadku musiałbym prosić osobę trzecią o pomoc, a z tym byłby kłopot. Przy lampie błyskowej pigmentacja skóry wypada jakoś nienaturalnie. Po godzinie 15 pojechaliśmy do Henryka do Brwinowa, ale nikogo nie było. Wróciliśmy więc do domu i zabrałem się za wprowadzanie skanerem zdjęć do komputera. Kiedyś trzeba to zrobić, chociaż znam zajęcia miłsze niż to. Wprowadzam twarze Gajewskiego, którego fotografowałem przy lampie błyskowej i na twarzy są trzy zakresy

kolorów. Najjaśniejsze miejsca są prawidłowe, ale otoczone są obszarami zaczerwienionymi, a obok nich całe partie są nadmiernie żółte. To samo było w dłoniach, którymi pozowała mi Zosia i których nie bardzo umiem użyć, bo nie ma jak zmienić kolorów tak, by były bardziej ujednolicone. Pewnie dłonie Gajewskiego, też nie na wiele się zdadzą. Teraz wpadło mi do głowy, że te żółte partie pochodzą pewnie od światła lampy w pokoju. Trzeba by było w trakcie robienia zdjęć z fleszem, gasić wszelkie dodatkowe oświetlenie, ale jak w takiej sytuacji ustawiać ręcznie ostrość.

Wtorek 17.2.1998

Rano bezchmurne niebo! Temperatura 0,2°. Ciśnienie rośnie, a głowa nie boli, tyle że wczoraj około 22 brałem jednak prochy.

Przedpołudniem zadzwoniła jakaś facetka z Kancelarii Prezydenta, przeprasząc i odwołując spotkanie z „twórcami”, bo pan prezydent jest bardzo chory. Pewnie zaziębił się na Litwie lub złapał grypę. Nic nie wspominałem, że nie znoszę takich spotkań i tłumu utalentowanych z ich pieprzonymi problemami, więc i tak bym nie poszedł, bo co to obchodzi jakąś urzędniczkę, lecz podziękowałem za informację. Maluję przez całe przedpołudnie, ale pogoda nie jest już tak wspaniała jak rano, chmury natomiast coraz ładniejsze. Wpadło mi do głowy, że w celu zgromadzenia kolekcji zdjęć chmur, nie trzeba jeździć poza miasto, lecz wydebić od dozorczyńni na marzec i może koniec lutego, a może początek kwietnia, klucz do jakiejś suszarni na 11 piętrze i stamtąd fotografować. Może zresztą z korytarza na poddaszu jest jakieś okno, które można otwierać tak, aby w każdym momencie, gdy niebo jest ciekawe, móc wyskoczyć na 11 piętro i strzelić fotografię. Będę musiał pogadać z dozorczynią.

Środa 18.2.1998

Rano pochmurno, ale nie jest nadmiernie ciemno. Temperatura -0,1°. Ciśnienie rośnie. Nie spałem od godziny 4:40, gdy zażyłem proszki od bólu głowy, a potem zacząłem się niepokoić czemu Zosia się nie rusza. Wczoraj wieczorem potwornie bolały ją plecy, a szczególnie po lewej między kręgosłupem, a łopatkami i po prawej, prawie na barku. Natarłem ją przed snem żelam Mobilat i rano najpierw myślałem, że jej na tyle

pomogło, że może spokojnie spać, a potem zacząłem się (jak już nie pierwszy raz) denerwować, że nie żyje. Dopiero teraz, wychodząc z sypialni, zauważyłem, że otwarła na chwilę oko. Boże jakież człowiek wydaje się sobie bezradny w takiej sytuacji. Wszyscy to przerabiali i my to przerobimy na piątkę, ale równocześnie idiotyczne myśli: co robić, jak żyć. Ona też przeżywa takie momenty. Ludzie naszego kręgu kulturowego widzą czas jako rozwijającą się wstęgę i nie są w stanie zobaczyć wszystkiego naraz. Natomiast ci, którzy wierzą w przeznaczenie, oglądają swoje życie jako całość, gdzie zarówno początek i koniec istnieją i istniały (jeśli tak to można ująć) jeszcze przed ich urodzeniem i istnieć będą zawsze, chociaż słowo „zawsze” nie jest tu szczęśliwie dobrane. Brak słów i pojęć, uniemożliwia wyrażenie tego, co myślę.

Piątek 20.2.1998

Boże, ależ ja ma teraz głowę do dupy! Wielokrotnie włączam komputer, by coś zapisać lub sprawdzić i wystarczy czas na jego uruchomienie, bym kompletnie zapomniał, co chciałem zrobić. Patrzę w monitor jak idiota i nie mogę sobie niczego przypomnieć. Dmochowski napisał w swym dziele, że nagrywam wszystkie rozmowy telefoniczne, gdyż jestem paranoikiem, który obawia się, że mógłby być o coś oskarżony, zresztą może jest w tym jakiś niewielki ułamek prawdy, ale chodzi przede wszystkim o to, że w minutę po skończeniu rozmowy, już nie pamiętam czy umawialiśmy się z kimś tam „wpół do czwartej” czy „o szesnastej trzydziści”, czy zamówiona w sklepie rzecz będzie na początku, czy pod koniec przyszłego tygodnia, ile mam przygotować pieniędzy za pizzę, czy ktoś tam przyjechać ma po dwudziestym czy pod koniec miesiąca, a czasem w ogóle zapomnę najistotniejszego fragmentu rozmowy. Nagrywam teraz absolutnie wszystko. Czasem, gdy sobie przypomnę, bo nawet tego nie pamiętam, że włączyłem nagrywanie i nagrywa się całkiem głupia gadka szmatka, to wyłączam w połowie, ale mam już od lat ten odruch, że podnosząc słuchawkę włączam magnetofon. Przyzwyczajam też do tego Zosię, bo ona podobnie jak ja, niczego nie może sobie po rozmowie poukladać, a głupio dzwonić po raz drugi i pytać o szczegóły. Na dodatek ona nie wszystko dobrze słyszy, a nie chce się dopytywać, gdy np. rozmawia z lekarzem. Ten dureń Dmochowski, zrobił z tego nieomal Watergate

i stawiał w wątpliwość moją etykę. Co to wszystko ma wspólnego z etyką... No ale on pragnął mnie ujrzeć od najgorszej w jego mniemaniu strony.

Malowałem do godziny 14:30.

Wtorek 24.2.1998

Rano pochmurno i mokro. Temperatura 5,2°. O dziwo, w nocy nie bolała głowa, ale zażyłem proszki po godzinie 23, gdy kładłem się spać. Do późna pracowałem przy komputerze, ale z nędznymi wynikami i z malejącą nadzieją, że w ogóle zrobię coś dobrego. Mam za mało materiału. Nie można każdej rzeczy wstawiać na tło z chmur. Coś trzeba zmienić w myśleniu, ale co?

Okazało się, że mam dziś urodziny. Skończyłem 69 lat. Nigdy nie sądziłem, że doczekam takiego wieku. Zosia wprawdzie oblicza mnie na skończone 68 lat, ale z papierkiem w rękę wyliczyłem, że jeżeli urodziłem się 24 lutego 1929, to dziś kończę 69.

Zosia jest nieustannie pod wpływem wczorajszego pogrzebu. Trzeba będzie zrezygnować w przyszłości z obecności na takich imprezach. Tyle, że w bliskim już czasie nadejdą pogrzeby, z których nie sposób będzie zrezygnować, bo dotyczyć będą najbliższych znajomych i przyjaciół. Ja jakoś przeszedłem nad tym do porządku dziennego. Prawie nie znałem tej kobiety, obserwowałem wszystko chłodnym okiem i widzę w tym wszystkim raczej naszą nędzną zwierzęcość. Stereotypowe, zasłyszane z boku formułki: „dobrze, że się już nie męczy”, „odpocznie sobie”, bezradna nadzieja na wieczność. Stereotypowe kazanie, że spotkamy się w niebie z naszą drogą Marianną i świętymi takimi jak (tu wyliczanka). Wcale o tym nie marzę. Nudno będzie w niebie oj nudno. Na interesujące spotkania się nie zanosi.

Środa 4.3.1998

Przez całą noc padał deszcz. Nad ranem zaczął wyc wiatr, a teraz jest względnie spokojnie, ale mokro i ciemno. Temperatura 11,2°. Ciśnienie spada. Spałem nędznie, ale chyba odespałem wczorajszą noc. W nocy i nad ranem bywam tak słaby, że wydaje mi się, iż mogę się wywrócić.

W ogóle jestem teraz niesłychanie słaby.

Wczoraj jednak, mimo zarzekania się, ustawiłem i włączyłem nagrywkę, oraz wymieniłem i przeciągnąłem od tyłu nowe okablowanie, co zajęło parę godzin, po czym zainstalowałem oprogramowanie. Nie robiłem jeszcze prób użycia, bo byłem zbyt zmęczony. Dziś, mimo nędznej pogody, zabiorę się do kończenia obrazu oraz muszę skontaktować się z Rosikonem, w celu zakończenia roku obrachunkowego i umówienia się na termin zrobienia fotografii.

Skoczyński, oglądając wczoraj w komputerze niektóre moje prace, zadał pytanie: do czego to ma służyć, do czego zamierzam to użyć, czy może mają to być prace pomocnicze do malarstwa. Podobne pytanie zadawała mi już dawniej Turska i jeszcze chyba ktoś. Jak widać rzecz nie broni się sama i nie tłumaczy sama przez się, a walor estetyczny, który mnie wydaje się niewątpliwy, nie jest tak niewątpliwy dla innych, a poza tym muszą mieć stereotypową wykładnię typu „co to jest”. Poza tym w ich opinii tego nie zrobiłem ja, lecz zrobił komputer. Komputer w ich wyobraźni jest bardzo mądrą maszyną, która potrafi zrobić coś sama z siebie. Poza tym istnieje u nich stereotyp percepcji nieustannie owocujący pytaniem: „czym się to je”. Gdyby Warhol nie był Warholem, czyli patentowaną wielkością, o której można już bezpiecznie pisać, bez obawy o to, że wyjdzie się na idiotę, to też chyba nie pisano by o nim tak wiele, jak teraz z okazji wystawy warszawskiej. Bo nagle wszyscy fachowcy mają coś do powiedzenia, mimo iż jak się wydaje, o Warholu powiedziano już wszystko, ale jest to teren bezpieczny. Zosia też jest wizualnie, chyba mało sensytywna. Skacze remotem po programach telewizyjnych i wśród oceanu tandety i gadających seriali, mignie czasem jakaś ciekawa reklama czy piękne ujęcie. Wołam zatrzymaj, bo nawet by tego nie zauważyła i chyba nadal nie zauważa. Ciekawe i nie ciekawe, nie wiąże się w jej percepcji z tym „co” widzi. Obraz jej nie „uderza”. Nawet nie próbuję z nią tego wyjaśniać, bo wiem, że nie zrozumie. Reklama bywa czasami zaskakująco piękna, jak np. wczorajsza reklama DELTA Airlines zobaczona w BBC. Niestety, szczególnie u nas, dominuje chłam. Przodują proszki do prania. Zawsze na początku pojawiają się jakieś plamy, których nie daje się usunąć i zrozpaczona gospodyni domowa w otoczeniu przygnębionej

rodziny, ale oto pojawia się (zalecany przez przyjaciółkę lub ciotkę) nowy prosek i usuwa plamy. Cała rodzina wraz z małymi dziećmi (jakież to dzieci interesują się plamami!), bierze udział w szczęściu pani domu: Plamy zniknęły! Tragedia optymistyczna.

Będę musiał poprosić dozorczynię o klucz od suszarni, o czym już wstępnie z nią rozmawiałem. Zaczynają się na niebie pojawiać efektowne chmury i przed chwilą nawet usiłowałem sfotografować je z balkonu, ale to zbyt nisko i zasłaniają je zarówno korony drzew jak i okoliczne budynki. Poza tym muszę już przygotować choć 5 arkuszy pod gruntowanie i to też należałoby uczynić w suszarni. Jutro ma lać, więc może jeszcze nie jutro, ale najdalej w przyszłym tygodniu. Za dwa tygodnie umówiłem się z Rosikonem, bo chcę, by po skończeniu ostatniego obrazu (co mam nadzieję nastąpi jutro lub pojutrze) farba zdążyła jeszcze wyschnąć przed pogelowaniem.



Zdzisław Beksiński, Bieszczady lata 50.

Piątek 13.3.1998

Coraz częściej są piątki trzynastego. Rano pogoda ładna, ale niebo zaczyna się zasnuwać. Temperatura $-3,3^{\circ}$. Od godziny 8 zabrałem się za archiwizację na CD ROM. Równocześnie mam zamiar malować. Ogólnie spieszyłem do tej pory już 5 płyt - ostatnią na skutek banalnego błędu przy starcie. Miejmy nadzieję, że na tym już koniec edukacji i dalsze archiwizacje pójdą bezszelestnie, chyba że prąd wysiądzie. Aby zwolnić więcej miejsca na dysku ARCHIWUM, połączyłem wczoraj po południu (gdy nie nadawałem się do pracy), dwa segmenty „Budowle „ i „Nagrobki”, oraz „Pracownia” i „Warianty”. „Warianty” do tej pory prezentowały prace skończone lub do pokazywania. Teraz wykreowałem album DEMO, w którym będzie kilkanaście zmieniających się prac DEMO za „Warianty” i „Pracownia” scalilem pod tytułem „Pracownia” (to też pozwoli zwolnić od zaraz miejsce na dysku ARCHIWUM). Wiele skopiowanych na CD prac będzie się dublować z poprzednim CD, ale trudno było tracić czas na drobiazgowo porównywanie i obawiałem się, by czegoś nie stracić. Powtórnie też zrobię dysk „Zsyp”, bo znalazłem sposób, by szybciej doszukiwać się poszczególnych prac. Zainstalowałem po prostu trzy oddzielne PhotoSuite i trzy foldery. Z wyjątkiem plików PSD, wszystko teraz jest łatwe do odzyskania.

Rano dwukrotnie wychodziłem na strych, by sfotografować wydłużone chmury cirrus, ale były bardzo blade i nie wiem czy coś z tego będzie. Teraz, jak od kilku dni, pojawiły się cumulusy w banalnym rozrzucie tak jak symbole z telewizyjnej mapy pogody. Może przed wieczorem pojawi się w nich jakiś dramatyzm. Malowanie idzie mi lepiej niż wczoraj. Nie jestem tak zeszmacy. Widać był to taki specjalny dzień. Niestety za chwilę będę musiał przerwać, bo już cały obraz jest pokryty nową farbą, która zacznie się rozmazywać.

Dolar w Polsce systematycznie spada w stosunku do złotówki. W poniedziałek, gdy będę rozmieniać dolary, by zapłacić za mieszkanie Tomka, osiągnie zapewne dno, a potem na pewno od razu się odbije. Chyba, że znowu termin płatności zostanie odłożony.

Wtorek 7.4.1998

Rano piękna pogoda. Temperatura 8,3°. Nie wiem czy malować czy pójść do miasta i fotografować ludzi, których najbardziej mi brak do moich fotomontaży. Muszę i tak pójść około godziny 11, by dać filmy do wywołania. Wczoraj po południu, pojechaliśmy nad Zegrze, gdzie fotografowałem wodę. Na początku wydawało się, że rezultaty będą mniej niż nędzne, bo od strony Nieporętu skąd przyjechaliśmy, by (jak wymyśliłem) nie robić pod słońce, woda była całkiem prawie gładka, a na brzegu, z wyjątkiem piasku i śmieci, nie było ani jednego najmniejszego kamyka, który można byłoby wrzucić, by wywołać lekkie sfalowanie. Na szczęście potem pojechaliśmy przez most i za mostem okazało się, że albo zerwał się słaby wietrzyk, albo tamten poprzedni rejon osłonięty był kompletnie od wiatru. Nie wywołałem jeszcze zdjęć, ale wydaje mi się, że złapałem dokładnie to, o co mi chodziło. Pracowałem głównie teleobiektywem, który kupiłem rano, bo jednak zdecydowałem się na jego kupno. Do sklepu nie sposób było się dodzwonić więc pojechałem, obiektyw był w gablocie i kupiłem. Pomyślałem też że wydam trochę forsy i kupię dziś Canona ULTRASONIC obiektyw 20 do 35, bo mam wprawdzie tego SOLIGORA ale tak się gibie i tak łatwo uszkodzić w nim napęd (wczoraj ustawiłem ostrość ręcznie, dziwiąc się czemu idzie tak opornie, a to był właśnie włączony napęd automatyczny - o mało nie uszkodziłem o ile już nie uszkodziłem), że wolałbym kupić coś pewniejszego i prostszego w obsłudze. Aby to wszystko spakować do kupy potrzebna będzie z kolei większa torba. Na starość kompletnie wariuję. Robi się ze mnie Julcio Rudak. Kolekcjonuję sprzęt.

Nad Zegrzem ktoś mnie odszukał telefonicznie, ale przez pomyłkę nacisnąłem czerwony guzik i przerwałem połączenie. Nie wiem czy nie był to Lonty lub Ochman, bo w poniedziałek miało się rozstrzygnąć, który obraz sobie wybierze. W domu jednak nie było żadnego nagrania.

Zapomniałem rano zmierzyć ciśnienie. Nie wiem, czym miałem załadowaną głowę. Może obiektywem? Chwilę malowałem, a potem (na Zosi prośbę) umyłem okna w kuchni i naszym pokoju, a wreszcie koło godziny 11 pojechałem do miasta. Oddałem wczorajsze filmy do wywołania, a potem kupiłem obiektyw Canon ULTRASONIC 20-35. Potem przez

godzinę robiłem zdjęcia ludziom, kupionym wczoraj teleobiektywem ULTRASONIC 100-300. Głównie na Placu Bankowym. Robiłem na filmie 200 i w pełnym słońcu. Stosowałem ustawienie „zdjęcia sportowe” i nie wiem jak będzie z ostrością, bo blenda wyskakiwała zawsze 5,6. Filmy dam za chwilę, po godzinie 14, do wywołania na stacji metra. Powiedzieli, że czeka się jeden dzień, a nie trzeba jechać do Śródmieścia. Inna sprawa, że chciałbym nabyć jeszcze w Media Graph program „Virtual PC” do Macintosha, gdyż chyba się przyda.

Czwartek 9.4.1998

Rano straszne ciemności i pada słaby deszcz. Temperatura 5,1°. Boli głowa. Mam niskie (jak na mnie) ciśnienie 129/85 ale puls tylko 57, co u mnie jest stanem wyjątkowo niskim, gdyż najniżej spadam do ca 75. Nie przypominam sobie, czy kiedykolwiek miałem aż tak niskie tętno. Ledwie żyję. Ciśnienie na barometrze powoli rośnie.

Wczoraj przez całe popołudnie i do późnego wieczora pracowałem przy komputerze. Robiłem kościół Zbawiciela, a raczej starałem się zrobić niebo z gazet, ale także wróciłem do pracy przedstawiającej Zosię w kapeluszu, bo myślę czy nie dałoby się tej pracy jakoś przerobić w związku z tym, że ta facetka z „Rzeczpospolitej” zaplanowała to sobie na okładkę kolorowego dodatku, co (mam nadzieję) uda mi się jej wyperswadować. Nie wiem, czy coś z tego wyduszę ale mam teraz o wiele większe umiejętności i świadomość tego, co chcę i mogę uzyskać. Wtedy zrobiło mi się to prawie przypadkiem.

Od rana pracuję przy komputerze. No może nie od rana, bo jakieś półtorej godziny wygrzyzło naprawianie światła, gdyż Zosia myjąc lampę ukręciła kabel i spowodowała zwarcie instalacji. Musiałem zdjąć i przerabiać całą lampę, sztukując z nielicznych części jakie miałem w domu. Potem jednak z wyrzutami sumienia zasiadłem do komputera. Owóż idzie o te wyrzuty. Dlaczego mam wyrzuty nie stojąc przy sztalugach, lecz pracując na komputerze? Czyżbym niżej cenił to, co na nim robię? Bo przecież mam zapas obrazów na wypadek sprzedaży, nic nowego nie ukręcę pędzlem, lecz co najwyżej namaluję jeszcze jeden obraz, a tymczasem gdy nie maluję lecz pracuję na komputerze mam dyskomfort psychiczny tak,

jakbym się obijał. Skąd się to bierze?

Dzwoniła Anka, że Jerzyk jest w Warszawie, bo ma jakiś przegląd wozu. Zapraszała o godzinie 18. Zosia nie bardzo chce tam jechać, ale ja bym chciał, bo mógłbym przy okazji sfotografować w kilkunastu ujęciach twarz Jerzyka, co by poszerzyło zestaw moich zdjęć twarzy do manipulacji. Zrobiłbym też i Janka, ale ten będzie się ociągał, krzywił, wymądrzał i robił taką łaskę jak Tomek. Zamiast przez pięć minut pozwolić mi działać, wydłuży całą rzecz do 15 lub 20 minut, a na dodatek i tak nie uzyskam tego, co bym chciał...

Wtorek 14.4.1998

Janek wczoraj zapytał, czy moja praca z komputerem ma w założeniu służyć zabawie z komputerem, czy też jakoś w przyszłości zamierzam to połączyć z działalnością artystyczną. „Mniemam, że już to robię” odpowiedziałem, ale nie wiem na ile go to przekonało. Zresztą nie widział tego co robię, ani nie wykazywał zainteresowania, by mu to pokazać, a ja się nie narzucałem. Widzenie tego co „jest” działalnością artystyczną, a co nią „nie jest”, jest nie tylko u Janka ale w ogóle u większości ludzi zupełnie inne niż u tych, którzy się tą działalnością zajmują sami. To samo przecież powiedziała mi (przed dwoma czy trzema miesiącami) Turska: „do czego to ma służyć”. Jankowi powiedziałem, że przed laty Dłubak wiercił (na jakimś plenerze) kijem w ziemi dziury, których przedłużenia przecinały się podobno w kosmosie i to też miała być działalność artystyczna w rozumieniu konceptualnym, które było wtedy modne. Dziś jednak na prawie każdej wystawie demonstrowana jest działalność podobnego typu i myślałem, że inteligenci już do tego przywykli, więc zadawanie pytań komuś, kto właściwie konwencjonalnie zajmuje się kreowaniem obrazu „czy to jest działalność artystyczna”, świadczy o tym, że nie ma się samemu żadnej wrażliwości na „obraz” (w rozumieniu: widzenia rzeczy), a o tym czy ma się do czynienia z działalnością artystyczną czy nie, świadczą mają cechy drugorzędne: farba, beret artysty, pracownia, zapach terpentyny i wystawa z obrazami... Powiedziałem Jankowi, że zdaję sobie sprawę z tego, iż od producentów chleba i lekarzy składających złamaną nogę, dzieli mnie to, że moja praca podobnie jak praca księży i sportowców, potrzebna jest ludziom tylko umownie i mam tego świadomość,

w związku z czym nie jestem np. antyklerykałem, mimo iż nie chodzę do kościoła. Zapewniłem go jednak, że to, co robię na komputerze to działalność artystyczna. Nie wydawał się przekonany.

Wtorek 28.4.1998

Przyszedł z Kanady list od entuzjastki. Jeśli nie mogę jej sprzedać obrazu, to może podaruję jej swój pędzel. Kocha mnie i odciska szminką pocałunek na liście. Jezus Maria. Najgorzej z entuzjastkami i egzaltowanymi paniami! Czy ona świadomie prosi o pędzel jako symbol falliczny, czy tylko tak jej się nieświadomie napisało. Jedyne wyjście to wysłać jej dwa pędzle, ale ponieważ podobno bywa czasami w Polsce to zaczynam się jej bać, tak jak przed laty bałem się „geniusza wcielonego”.

Piątek 22.5.1998

Rano umiarkowanie pogodnie. Temperatura 7,8°. Zosię wczoraj przez cały dzień potwornie bolał brzuch w rejonie żołądka i plecy w tym samym rejonie. Odstawiła wczoraj środek wykrztuśny, ale zawsze istnieje obawa, że środek zapisany przez dr Maliszewską przeciw wrzodowi żołądka, ma działanie paradoksalne lub uczulające. Na razie chyba nie będzie go odstawić, chociaż podobno nie poprawiło jej się od wczoraj. Mnie wczoraj krzyże bolały do tego stopnia, że właściwie przez cały dzień nic nie robiłem tylko leżałem. Dziś wygląda na to, że jest odrobinę lepiej. Może uda mi się zabrać za malowanie.

Gdzieś około godziny 15, Zosię przestało boleć w klatce piersiowej. Odczuwa ulgę i od razu poprawił jej się humor, mnie też. Wygląda na to, że była to sprawa wrzodu, a nie tętniaka, chociaż z opisu to ból był też dotykowy, jeśli idzie o żebra. Podobno naciśnięcie na żebra po prawej u dołu, powodowało równoczesny ból z przodu i z tyłu. Może to był rodzaj rwy kulszowej spowodowany pogodą? A może są jakieś bóle żebrowe? Nic o tym nie wiem. Między godziną 13 i 15 przeszła burza i padał nawet grad, ale Zosia to przespala, bo miała za sobą dwie nieprzespane noce. Odczuwam dużą ulgę, ona tak samo musiała się zawsze denerwować, gdy miałem ataki wątroby, ale ja nie miałem problemów z tętniakiem i moje ataki były niegroźne, jeśli idzie o zagrożenie życia.

Okolo godziny 16 zadzwonił dzwonek u drzwi. Wg Zosi jakiś siwy facet, ale nie miała okularów na nosie. Nie otworzyła. Potem patrząc z góry, a z załomu parkingu wyjeżdża ciemne Mitsubishi Carisma, a w nim chyba Jerzyk. Też nie miałem na nosie okularów. Poza tym patrzyłem raczej pod tym kątem, czy nie będzie to Fiat Brava z wilkiem morskim, który założył galerię na wybrzeżu. O ile był to Jerzyk, to mógł przecież zadzwonić. Zadzwoniłem do Janka, bo być może zajedzie też do nich. Być może chodziło mu o nocleg.

Poniedziałek 1.6.1998

Rano słonecznie, mimo iż już nie bezchmurnie jak było do tej pory. Temperatura 21°. Prawie przez całą noc spałem bez kołdry. Teraz czekam na panią Dziopak, by przekazać jej obraz i zwrócić forsy, którą zostawiła a konto drugiego. Może uda mi się jeszcze przedtem wyskoczyć do sklepu by kupić chleb i sok grapefruitowy.

Zagrzałem sobie na obiad kielbasę na gorąco. Ledwie ugryzłem pierwszy kęs, gdy zadzwoniła Zosia. Przeprosiłem i zadzwoniłem do niej po chwili. Podobno miała dziś jeszcze spirografię i chyba w środę wypiszą ją do domu. Ma być jeszcze dziś czy też jutro jakieś konsylium w jej sprawie. Będę tam o godzinie 15. Na razie zaczyna się zanosić na burzę. Grzmi w oddali. Nie maluję, lecz wprowadzam zdjęcia do komputera.

Gdy wyjechałem do Zosi, spadły pierwsze, ale chyba też ostatnie w tym dniu, krople deszczu. Nad miastem przeszła podobno przed chwilą (jak twierdził taksówkarz) silna burza. Zosia sprawiała wrażenie, że jest w dobrej formie. Ból pod mostkiem całkiem się uspokoił i ja uważałbym, że to jednak był wrzód. Tym niemniej, gdy wychodziliśmy o godzinie 18, natknęliśmy się w hallu na Biedermana, który zmęczony jakąś operacją, telefonował z telefonu w szatni. Podobno jednak tętniak powiększył się nieco od czasu ostatniego badania rezonansem w grudniu. Biederman powiedział, że powoli staje się coraz bardziej zdenerwowany tą sytuacją. Jutro będzie rozmawiać z dr Polkowskim. W środę Zosię wypiszą, gdyż „nie ma sensu na razie trzymać pani w szpitalu”. Gdy Zosia żartem spy-

tała, czy nie dało by się jakoś zesnurować tego tętniaka tak jak baleronu, powiedział że jest na właściwej drodze, ale że ta metoda wymaga jeszcze około trzech lat oczekiwania, bo na razie jest w fazie prób. W ubiegłym roku, czy też przed dwoma laty, gdzieś o tym wyczytałem, w jakimś dziennikarskim sprawozdaniu z kongresu kardiochirurgów w USA – prychnął, że jest to ratunek dla kiepskich chirurgów, a artykuł nie jest napisany przez fachowca (czy coś w tym stylu). Gdy wczoraj półzartem spytałem, czy tętniak Zosi wytrzyma te trzy lata, odpowiedział mi z uśmiechem, ale nieco nerwowo: „niech mi pan nie stawia pytań, na które nie umiem odpowiedzieć”. Zapiszą na razie Zosi dodatkowo sectral, który poprzednio zwał ją z nóg, co Biederman pamiętał lub raczej było to w jej papierach. Wszystko to powtórnie mnie zdenerwowało, bo byłem już poprzednio nieco uspokojony. Nie da się oczywiście stwierdzić, czy tętniak powiększył się od początku maja, kiedy było badanie tomograficzne, bo te obie metody dają wyniki nieporównywalne, więc nie jest udowodnione, że ostatnie bóle wynikały z poszerzania się tętniaka, tym niemniej pani neurolog (jak twierdzi Zosia) uważa podobno, że jej bóle pleców mają swe źródło raczej w tętniaku niż w zwyrodnieniu kręgosłupa. Inna rzecz, że Zosia nigdy nie zrelacjonuje dokładnie, ale wyrwa poszczególne opinie z kontekstu.

U Emilów wydusiłem z siebie w trakcie rozmowy, mój podstawowy lęk egzystencjalny na dzień dzisiejszy: jestem stosunkowo, na oko rzecz biorąc najzdrowszy ze wszystkich krewnych i przyjaciół. Mam szansę przeżyć nie tylko Zosię ale i wszystkich i dogorywać w kompletnej izolacji jako skretyniały starzec o pozółklej skórze i przeredzonych włosach, otoczony nagrobkami, na które, o ile podolał, nosić będę kwiaty. Tu Hose- rowie, tam Potoccy, tu Emilowie, a tam Zosia. Waniek zidiociały w domu starców, Joanna zbzikowała na starość i została dewotką. Kompletna samotność. Nikogo z tych, którzy stanowili mój świat. Z nikim nie można pogadać. Przy nikim nie można elegancko umrzeć. Człowiek chciałby mieć komfort umierania, jaki zapewniono królom na obrazach 19 wiecznych. Leżę pod baldachimem na wysoko ustawionych poduszkach, za rękę trzyma zapłakana żona, wokół stoją zasmuceni dworzanie, generałowie, dyplomaci i krewni, wierny pies położył pysk na koldrze, a równie wierny sługa ukradkowo ociera łzy kotarą przy wejściu, zaś kronikarz z piórem i księgą w ręku, oczekuje by zapisać ostatnie słowa, a zawezwani

specjaliści, mieszają już w kące gips, by zrobić pośmiertny odlew twarzy i ręki. Zaczynam żalować, że podobna groteska jednak mnie nie czeka.

Czwartek 4.6.1998

Wczoraj Zosia po raz pierwszy udzieliła mi instrukcji jak robić pranie bielizny i ręczników i zanotowałem to wszystko na dyktafonie, a potem przepisałem do palmtopa. Nie mówimy o tym głośno, ale to na wypadek najgorszego, abym nie został całkowicie bezradny. Ma też gdzieś przygotować ubranie dla siebie „na wszelki wypadek”. Poszedłem z nią też wczoraj do fryzjera, bo nie chcę by męczyła się strzygąc mnie jak do tej pory. Ona zrobiła sobie fryzurę, a mnie ostrzygła jakaś dziewczyna, na moje życzenie krótko i wyszło nawet nie najgorzej i co ważniejsze szybko. Czekałem potem na Zosię przed zakładem fryzjerskim. Potem kupiliśmy w LAND coś do jedzenia i wróciliśmy do domu. Zosia była tym wszystkim mocno zmęczona. Chyba było tego za wiele, zaraz po wstaniu z łóżka szpitalnego.



Artysta w pracowni, Sanok 1962 r.

Sobota 6.6.1998

Z innej beczki: wczoraj gdy byli Noszczykowie, to na prośbę Wojtka, pokazałem im niektóre prace komputerowe na monitorze. Reakcja Grażyny, która jest osobą naiwną, wyraziła się na koniec w pytaniu: „czy to ma wartość artystyczną?” Kompletnie ocipiałem, bo nie wiem, co przez to rozumiała i wybąkałem coś stylu, że nie zastanawiam się nad tak postawionym problemem. Jeśli odczuwam potrzebę zrobienia czegoś, to robię to. Komputer umożliwia mi pracę w zakresie pewnego spektrum ekspresji, niedostępnego w inny sposób. Grażynie podobno nie podoba ją się moje obecne prace olejne i myślała, że komputerowe będą czarno białe i takie jak moje grafiki, robione z użyciem kserokopiarki, której zapewne nie odróżnia od komputera (wszystko to mówiła Zosi w momencie gdy ja z Noszczykiem poszliśmy włączyć monitor). Zosia zaciągnęła ją do mojej pracowni – niektóre rzeczy komputerowe, chyba jej się spodobały, w związku z czym „musi spytać” (nie wiem kogo - pewnie jakiś autorytet) „czy to ma wartość artystyczną”. Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie. Podobną opinię słyszałem od Turskiej. Jak widać posiadam już pewne imprimatur niektórych znawców, jeśli idzie o obrazy olejne, ale nie mam go, jeśli idzie o fotomontaże komputerowe. Bo chyba głównie idzie tu o imprimatur i gwarancję, że mamy do czynienia z „dziełem sztuki”. Wtedy można już bez obawy podziwiać.

Poniedziałek 13.7.1998

Rano ciemności. Mokro. Temperatura 15,6°. Głowa boli. O godzinie 10 mamy przegląd Corolli. Nie wiem jaka będzie pogoda jutro na wyprawę do Dynowa. Boże jak mi się nie chce jechać!

Sobota 18.7.1998

Wróciliśmy z Sanoka około godziny 16. Jestem cholemiem zmęczony podróżą i przebywaniem poza domem, a Zosia jeszcze bardziej, bo prawie przez cały czas prowadziła samochód, odstupując go Emilowi tylko na trasę Rzeszów – Dynów i w trakcie powrotu na trasie od okolic Rzeszowa, od miejsca gdzieś za Rzeszowem do okolic Klimontowa. W pierwszym dniu dojechaliśmy do Rzeszowa w nasilającym się na ostatnim odcinku

deszczu. Nocowaliśmy w hotelu Rzeszów, dokąd na komórkę zadzwonił z Warszawy Tomek. Na drugi dzień rano przyjechała do nas Peckowa (bo Zosia zawiadomiła ją telefonicznie o naszym pobycie, obawiając się, że w przeciwnym wypadku, jeśli się o tym dowie, to będzie jej miała za złe), a około godziny 10:30 wyruszyliśmy do Dynowa. Dynów jak zwykle. Byliśmy głównie u Ewy, ale jeździliśmy też do Marysi i Olka, oraz zwiedzaliśmy sklep Janka i Heleny. Wieczorem jazda do Sanoka. W Sanoku ocipiałem od rozmiarów apartamentu, jaki zarezerwowano dla nas w Hotelu Jagiellońskim. Dwa pokoje wielkości kręgielni, dwa łóża o rozmiarach 2,5 m na 2,5 m. Emil miał obok nas pojedynkę, ale także dosyć sporą. Na ścianach „dzieła sztuki” w formie kopii namalowanych przez niezbyt biegłego w pędzlu twórcę.

Rano poszliśmy do kamieniarza. Niestety moja idea, by grobowiec przerobić na prostą kostkę, cokolwiek w stylu mauzoleum Lenina, co wydawało mi się jedyną względnie estetyczną metodą, jakiego takiego zabezpieczenia pękającej powierzchni, okazała się nie do przyjęcia dla sanockiego kamieniarza (najlepszego z tych, jacy byli do dyspozycji). U góry musi być gzyms, wystający na 4 cm (zawsze mi to przypomina stół, który można by nakryć obrusem), w którym wyłobiony jest od spodu kapinos, z uporem nazywany przez naszego kamieniarza „kampinosem”. „Kampinos” (kamieniarz rozumiał pod tą nazwą cały kompletny gzyms, który murarze w rzeszowskim, za czasów mej pracy w budownictwie, nazywali „grzyms”) ma rzekomo zabezpieczać ściany przed zaciekami, ale w rzeczywistości, jak się wraz z Emilem domyśliliśmy, ma za zadanie ukryć drobne niedopasowania płyty górnej i ścian. Bez „kampinosa”, kamieniarz nie podejmował się wykonania roboty, zatem w piątek wieczorem spisaliśmy coś w rodzaju wstępnej umowy, że jednak będzie ca 4 centymetrowy „kampinos”, że grobowiec będzie obłożony czarnym granitem z RPA, napis będzie na specjalnej płycie u góry, wykonany liternictwem Casablanca (Caslon w Macintoshu - może znajdę w CorelDraw coś lepszego i wyślę do Sanoka dyskietkę), na klapie otwieranej od przodu będzie symboliczny znak krzyża i że całość zamknie się w 25.000 zł. Dałem jako zaliczkę 5.000 zł. Grobowiec ma być gotowy na połowę września lub wcześniej. Nie ma być żadnych szczegółowych napisów, a tylko GROBOWIEC RODZINY BEKSIŃSKICH. Gdyby napis był zbyt długi, by zmieścić się na płycie,

sądzę że można go skrócić na GROBOWIEC BEKSIŃSKICH. Muszę to napisać do kamieniarza. Mamy kupić i dosłać z Warszawy uchwyty do wyciągania kłapy wejściowej, byle nie z mosiądzu, bo je wyrwą i sprzedadzą na złom. Kamieniarz podał Emilowi nazwę metalu, chyba chromonikiel, czy też stal chromoniklowa. U Jerzyków byliśmy na kolacji w czwartek i w piątek, u Turkowskich byliśmy w piątek i siedzieliśmy wszyscy na ogrodzie, a Romek i Janina odwiedzili nas w hotelu (nie chciałem, by Zosia wchodziła do nich na 4 piętro). Na drugi dzień po przyjeździe byliśmy także w Muzeum, bo Emil chciał zobaczyć moją kolekcję. Cholernie bolala mnie noga! Dziś rano wróciliśmy tą samą trasą przez Radom, którą jechaliśmy w tamtym kierunku. Jadąc w obu kierunkach, jedliśmy obiad w restauracji hotelu „Łysica” w Ostrowcu Świętokrzyskim. Pogoda była ładna, a chwilami wręcz upalna, tyle że przed Warszawą lunęło jak z cebra. W domu listy, telefony, nowe sprawy, ale nie mam już siły, by dziś cokolwiek pisać, a nawet czytać listów. Wykąpałem się i umyłem głowę i z radością wyśpię się we własnym łóżku. Oby tylko Zosi nie zaszkodziła ta wyprawa!

Niedziela 9.8.1998

Rano niezbyt pogodnie, ale na razie sucho. Temperatura 20,7°. Na godzinę 11:30 jesteśmy umówieni u Rosikoniów w Izabelinie. Muszę mało pić, by zminimalizować ewentualne kłopoty z siusianiem.

Do Izabelina dotarliśmy z pewnymi przeszkodami, ale punktualnie. Przeszkody polegały na tym, że w pewnym miejscu było rozwidlenie pod kątem prostym i skręciliśmy w lewo, bo tak prowadziła główna szosa, ale zatrzymaliśmy się na sekundę zastanowienia, bo nie było żadnego drogowskazu. Za nami zahamował Polonez. Podjechaliśmy kawałek i zatrzymaliśmy się przy jakiejś kobiecie, by spytać czy jedziemy właściwą drogą, a wtedy Polonez zajechał nam drogę i jakieś chamidło wyskoczyło i zaczęło się dosłownie drzeć na Zosię w stylu „jak jedziesz chamie”, „o co panu chodzi”, „o gówno” i tak dalej. Nie reagowałem, by sprawy nie przedłużyć, bo to do niczego by nie doprowadziło, prócz wzajemnego wrzasku, ale Zosia miała mi to chyba za złe. Nie miał racji, bo każdy może na chwilę się zatrzymać i od tego nikomu nie spadnie korona

z głowy. Akurat gdy się zatrzymywaliśmy, z podporządkowanej z prawej wyjechał jakiś wóz i dupek w Polonezie mógł mniemać, że nie korzystamy z przysługującego nam pierwszeństwa, ale czego by nie mniemał, nie popełniliśmy jakiegoś wykroczenia usprawiedliwiającego takie zachowanie. Droga była trzeciorzędna. Ruch prawie żaden. Sprawdza się reguła: za kierownicą w Polonezie, siedzi zawsze idiota.

Rosikonowie mieszkają bardzo elegancko. Moje trzy obrazy wiszą na ścianie nad kanapą. W głębi wisi ostatni, który jest w innych ramach. Oglądaliśmy album Rosikonia na temat Madonny w rozmaitych krajach świata. Potężne dzieło wymagające olbrzymich nakładów, w sensie zarówno wysiłku jak i finansowych. Dla niego jest to poza wszystkim bliski temat.

Wracając, zmyliliśmy drogę i dojechaliśmy aż do ul. Powstańców Śląskich koło budynku, w którym mieszka Grafowa. Stamtąd poszło już łatwo. Na obiad kupiłem w Mc Donaldzie dwa Mc Royale oraz dla Zosi Mc Chicken wraz z frytkami. Joanna i Guru z USA nie pochwaliliby tego, oj nie! Dla Joanny wszystko co smaczne jest trucizną!

Piątek 4.9.1998

Zadzwoił Banach z Sanoka, że będzie w Warszawie w przyszły czwartek i czy może wpaść. Umówiliśmy się na godzinę 9:30 z tym, że jeszcze zadzwoni, bo kamieniarz w Sanoku może się akurat wykocić z robotą w tym akurat terminie i będziemy musieli pojechać i zapłacić.

Niedziela 6.9.1998

Myślę przez cały czas o tym, jaki interes ma do mnie Banach. Być może to ma być tylko wizyta towarzyska, ale myślę że może też chodzić o zorganizowanie mojej wystawy w Sanoku, lub o kupno jakiejś pracy, lub o obie te rzeczy naraz. Mam w związku z tym pewne pomysły, bo nie chciałbym niczego sprzedawać (o ile padłaby taka propozycja), gdyż ani Muzeum nie ma forsy, ani ja jej tak bardzo nie potrzebuję i najchętniej dałbym im w depozyt lub jako dar, zestaw kilkunastu (12-14) najlepszych prac, jakie udało mi się albo wymanewrować od Dmochowskiego, albo też ukryć i zostawić sobie albo też namalować po zerwaniu umowy. Byłyby tam także prace na białym tle i najlepsze prace z lat 1995-98. Warunkiem

ewentualnej darowizny, musiałoby być zobowiązanie dyr. Muzeum, że moja ekspozycja zostanie poszerzona o jedno pomieszczenie, w którym będzie można eksponować permanentnie te prace. Mógłbym też dać kilka rysunków z lat 1996/97, które eksponowałem w Częstochowie, bo inaczej rozleżą się po rozmaitych aukcjach na dobroczynność. Myślę też o tym, że można by wystawę w Sanoku (o ile by do niej miało dojść) uzupełnić najnowszymi pracami komputerowymi, tyle że w tym celu Muzeum musiałoby wykombinować jakiegoś sponsora, który zafundowałby lub udostępnił sprzęt do ich prezentacji: Monitor co najmniej 21" i komputer z kartą graficzną umożliwiającą wyświetlanie z definicją 1600/1200 i 24 bitowym kolorem. W Sanoku jest sklep OPTIMUS i może udało by się Banachowi naciągnąć OPTIMUSA na sponsorowanie ekspozycji. Można by to połączyć z wystawą w Internecie w serwerze OPTIMUSA wraz z reklamą, że to OPTIMUS jest sponsorem wystawy etc. To materiał do ewentualnej dyskusji, o ile Banach przyjedzie z taką propozycją, by robić wystawę. Mam już te lata, że nieustannie rozmyślam o terminie ostatecznym lub też o nadchodzącym w najlepszym (lub najgorszym) wypadku długim okresie zgrzybienia i niezdolności do niczego. Gdybym został sam, to w ogóle (jak sądzę) nie potrafiłbym już pracować. Niby wszyscy mnie zapewniają, że każde krajowe muzeum, natychmiast i z pieśnią na ustach, przyjmie wszystkie moje prace, ale gdy co do czego dojdzie, to wcale tak być nie musi. Poza tym tylko w Sanoku, mogą one liczyć na stałą ekspozycję, która jest co roku w lecie odwiedzana przez stosunkowo pokaźną ilość ludzi. Boję się tylko, by komuś w przyszłości nie wpadł do głowy pomysł przeniesienia tej ekspozycji do naszego dawnego budynku (który ofiarowałem miastu) na dole. Jest to teren zalewowy i za żadne skarby nie chciałbym tam gromadzić moich prac.

Czwartek 10.9.1998

Rano piękna pogoda. Temperatura 14,7°. W nocy nie spałem pod kołdrą, tylko pod kocem. Czyżby wracało lato? Dziś o 9:30 przyjedzie Banach. Musimy przed jego przyjazdem skoczyć do Bliklego po jakieś pączki czy też inne gnioty, na co nie ma zbyt wiele czasu, bo sklep otwiera ją o godzinie 9.

Banach przyszedł punktualnie. Na szczęście nie miał żadnych zamiarów zaborczych, ale dogadaliśmy się wstępnie na temat ewentualnej, przyszlorocznej wystawy w Sanoku moich nowych obrazów i prac komputerowych.

Czwartek 10.9.1998

Omówiłem też z Banachem projekt ewentualnego sponsorowania przez OPTIMUS mojej wystawy w Sanoku i demonstrowania na monitorze moich prac komputerowych. W Sanoku nie ma jeszcze łączy światłowodowych, więc ewentualna wystawa w Internecie, mogłaby być uruchomiona z platformy OPTIMUSA w Rzeszowie lub Krakowie. Podałem to jako luźny pomysł. To wszystko zresztą są luźne propozycje do dogadania. Dałem mu przybliżone parametry monitora i karty graficznej jakie byłyby potrzebne przy demonstracji moich prac na monitorze.

Sobota 12.9.1998

Telewizja i wszystkie media, wiadomości zaczynają od sprawy Clintona. Wydaje mi się, że prokuratorowi Starrowi udało się gruntownie ośmieszyć zarówno Amerykę jak i obowiązujące tam prawo (czyżby nie dość ośmieszono po procesie J.O. Simpsona sprzed dwóch czy trzech lat?), które zezwala na rozgrzebywanie takich bzdur jak seksualne zachowania dorosłych ludzi. Nasza wyobraźnia seksualna, widziana z boku, jest zawsze komiczna i infantylna, bo rodzi się w okresie pokwitania między 10 a 12 rokiem życia, na podstawie przeczytanych kretyńskich książek (innych się w tym wieku nie czyta), gadania kolegów i nie do końca zrozumianego zachowania dorosłych. Potem zostaje to już na całe życie i jest domeną wstydliwą, głównie dlatego, że nie dorównuje naszym obecnym intelektualnym standardom. Po co się w tym grzebać z taką miną, jakby się odkrywało nie wiem co. Każdy z nas w mniejszym lub większym stopniu jest podobny. Clinton (uciekając przed wstydem i publicznym poniżeniem, którego jednak w końcu nie uniknął) został zapędzony kolejnymi manewrami w sytuację, w której można zarzucić mu krzywoprzysięstwo i inne zbrodnie przeciw prawu. Jakoś tak przypomina mi się Dmochowski. To musi być wspólna urocza cecha prawników, by kolejnymi, drobnymi kroczkami i z pozoru łatwymi do odparcia manewrami, popychać

kogoś pod gilotynę.

Wtorek 22.9.1998

Rano piękna pogoda. Temperatura 9,2°. Oboje mamy wysokie ciśnienie. Na godzinę 10 jedziemy do Anina. Wczoraj wieczorem dzwonił Jerzyk: podobno kamieniarz jedzie we środę po materiał, który już nadszedł od dostawcy i grobowiec będzie gotowy na połowę przyszłego tygodnia. Nie jestem tego w 100% pewien, bo z rzemieślnikami rozmaicie bywa, ale myślę, że będziemy się przygotowywać na wyjazd w dniu 4 października (niedziela). Zresztą przedyskutuję to z Emilem, zaś w Sanoku Jerzyk będzie na cmentarz zachodził co drugi dzień, by sprawdzić jak postępuje robota i komunikował mi o tym. Być może uda się wyjechać wcześniej. Gdyby Zosia była w złej formie, jeśli idzie o ból w plecach, to myślę, że mógłbym pojechać sam z Emilem. Przecież ona nie jest w Sanoku do niczego konkretnego potrzebna. Zapłacę i możemy wracać. Zrobię fotografie gotowego grobowca i pokażę jej na fotografiach jak wygląda. Ewentualnie zapłacę komuś w administracji za posprzątanie i umycie wszystkiego, bo kamieniarz na pewno zostawi wokoło burdel.

Gdy robiłem korektę ortograficzną powyższego tekstu, bo osiągnął już prawie granice pojemności „Prostego Edytora” i chciałem go zamknąć, usłyszałem z mieszkania jakiś głos, jakby coś spadło. Myślałem, że spadła drabina, z której wczoraj korzystała Zosia. Wyszedłem pytając co się stało, ale nie było odpowiedzi, a drzwi do kuchni nie dawały się otworzyć. Wepchnąłem je siłą. Zosia leżała tam wewnątrz oparta o drzwi i była już w agonii. Miała pełne usta jedzenia, więc chyba straciła przytomność w trakcie, gdy rozpoczynała śniadanie. Próbowałem coś do niej mówić, ale nie reagowała. Wydobyłem jej jedzenie z ust, myśląc, że się nim zadławiła, bo chyba jeszcze oddychała, ale już domyśliłem się, że nastąpiło pęknięcie tętniaka i ona umiera. Była godzina 8:15, gdy wszystko się skończyło. Przesunąłem ją po podłodze i podłożyłem poduszkę pod głowę. Zadzwoniłem do Kuców, Tomka i Hoserów. Dzwoniłem też do Parafii w sprawie ostatniego namaszczenia ale przeor powiedział (za pośrednictwem osoby, z którą rozmawiałem), że po śmierci go nie udzielają. Tomek przyszedł po pół godzinie. Okazało się, że odsłuchiwał nagranie, bo coś go

tknęło. Po chwili przyjechało też pogotowie.

Potem zabrałem się za notowanie wszystkiego, póki to jeszcze pamiętam, bo dzień ten (może to i dobrze) przeszedł mi jakoś tak bez poczucia upływającego czasu. Teraz dzwoniли już Kamil i Krzysia. Dałem ogłoszenie do „Gazety Wyborczej” i ukaże się pojutrze, ale prosimy z Tomkiem o nie składanie kondolencji. Na razie tyle. Muszę się w tym wszystkim jakoś odnaleźć.

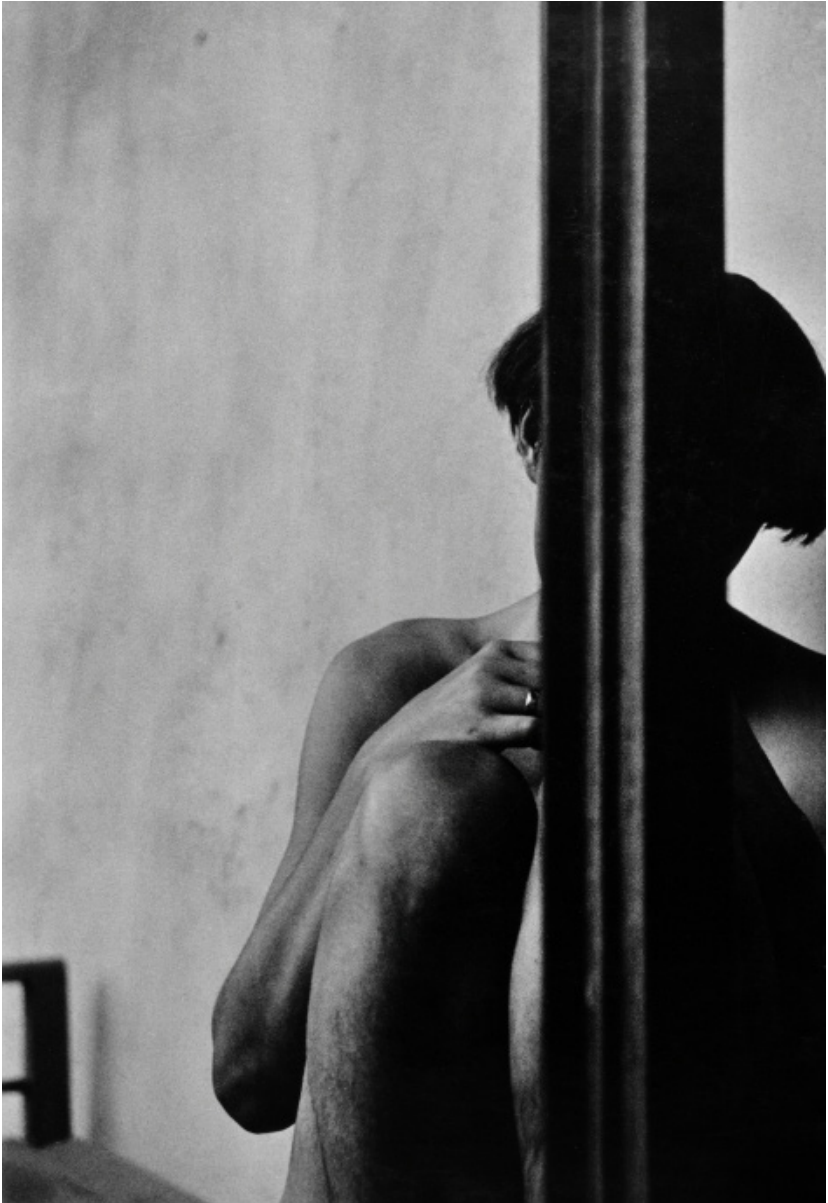
Środa 23.9.1998

Ranek pochmurny. Miejscami prześwituje niebo. Temperatura 13°. Wczorajszy dzień był bardzo piękny, ale dziś na to się już nie zanosí. Rozmawialiśmy z Tomkiem, który tu był do godziny 2:45 i potem dopiero położyłem się, ale nie bardzo mogłem zasnąć. Raczej majaczyłem w połowie na jawie. Może potem chwilę zasnąłem, ale już od godziny 6 nie spałem. Miałem w nocy, w trakcie naszej rozmowy, wysokie ciśnienie i wziąłem połówkę cordafenu pod język. Rozmawialiśmy o Zosi i o nas i o jego dziewczynie i problemach jakie ma ze swoim życiem uczuciowym. Chciałby ją jakoś mi zaprezentować. Szkoda, że nie otworzył się tak nigdy przy Zosi. Wygląda jednak na to, że jej śmierć nas zbliży. Bardzo bym tego pragnął.

Wtorek 29.9.1998

Za około pół godziny minie pierwszy tydzień od śmierci Zosi. Na dworze ciemności. Deszcz przestał już padać, ale padał przez cały wczorajszy wieczór i chyba sporą część nocy. Temperatura 14,2°. W ogóle rozpadalo się niedługo po wyjściu Emilów tak, że z ramami tym razem wstrzeliłi się w dziesiątkę. Wczoraj późnym wieczorem dzwonił Jerzyk. Ściany grobowca już stoją i są przymocowane Atlasem. Robiono wczoraj przez cały dzień w trakcie ulewy, zasłoniwszy całość jakąś folią. Chcieliby dziś nałożyć płytę górną i o ile by się to udało, to grobowiec będzie na pewno gotowy jutro, ale nie mogą kłaść płyty górnej, która wymaga zastosowania dźwigu, o ile będzie lać deszcz, bo wtedy nie ma szans na osłonięcie od góry miejsca pracy folią. Zważywszy wszystkie za i przeciw, ustaliliśmy roboczo (dziś wieczorem ulegnie to weryfikacji), że pogrzeb zrobić należy

w sobotę, aby mieć czas na wszelkie niespodzianki, które w międzyczasie mogą się pojawić.



Fot. Z. Beksiński, bez tytułu 1957 r.

Czwartek 1.10.1998

Wstałem trochę wcześniej. Na dworze nie pada, ale panują ciemności. Istotne jednak jest to, jaka pogoda panuje w Sanoku. Temperatura 5,8°. Podobno na północy miały być dziś przymrozki.

Wczoraj po godzinie 15, a właściwie przed godziną 16, przyjechała po mnie Bożena i pojechaliśmy do wybranych przez nią sklepów. W PROMENADA udało mi się kupić czarne jeansy BIG STAR, które od biedy mógłbym włożyć bez szelek, ale będę je musiał porozpinać w samochodzie, bo zanim dojadę do Sanoka, to mogę dostać od ucisku nawet ataku wątroby. Są ściśle dopasowane. Co do wiatrówki, to niestety moje najgorsze obawy się sprawdziły. To co wybrała Bożena, było dla mnie nie do zaakceptowania, zresztą to co wybierała, nie różniło się (w związku z porą roku) od tego co mam w domu czyli kurtki z napisem Alcatraz Prison Guard i było nawet w podobnym kolorze i odcieniu, tyle, że albo zam-szowe albo jakieś takie lejące się śliskie i „wytworne” w złym tego słowa znaczeniu. Jeśli już będzie aż tak zimno, że taka kurtka będzie usprawiedliwiona, to wezmę ze sobą do wozu moją kurtkę, natomiast wiatrówek letnich po prostu nie ma już w handlu i chyba w najgorszej wersji włożę podkoszulek, koszulę i nowo kupiony (dzień czy dwa przed śmiercią Zosi) ciemno szary sweter włoski. Bożena, a także Hanka z Hamburga, która dzwoniła wieczorem, pytały czy przygotowuję jakąś „herbatkę” dla gości pogrzebowych. Do cholery! A gdzież na Boga. W hotelu jest dwa czy trzy małe pokoiki w podziemiu, pełniące rolę restauracji, ale są tam tylko oddzielne stoliki. Z żadnego nie widać wszystkich innych. Hotel jest po przeciwnym końcu miasta niż cmentarz. Będę zresztą w nim i inni przejezdni ludzie. Dla zmotoryzowanych (my i Kamile) nie będzie to stanowiło problemu, ale ludzie, którzy przyjadą autobusem jak np. Tadzik z Marysią, z którą nareszcie wczoraj udało mi się porozmawiać, bo dopiero po południu wróciła z Tunezji i dostała wiadomość od Tadzika, czy np. przyjdą z domu tak jak np. Turkowscy czy Lewandowska, nie będą chcieli drałować przez pół miasta na jakąś pieprzoną „herbatkę”.

Późnym wieczorem (wczoraj) zadzwoniła jeszcze dr Sawicka z Krosna. Oferowała nocleg gościom pogrzebowym o ile zachodziłaby taka potrzeba. Nie wiem czy od niej, czy od Marysi, dowiedziałem się, że Zosia umarła dokładnie w dniu Tomka imienin. Tomek ich nie obcho-

dził. My też nie. Był u mnie wczoraj wieczorem. Przyszedł chwilę po mnie i rozmawialiśmy prawie do północy.

Po powrocie udało mi się dodzwonić wreszcie do Sanoka. Jerzyk jest dziś w Rzeszowie, ale niedługo wraca, a Basia powiedziała, że od rana jest wprawdzie pochmurno ale nie pada, więc kamieniarz chyba położył płytę górną. Banach podobno załatwia wszystko z księdzem. Powoli wszystko się klaruje. Cowan przysłał kondolencje z Los Angeles. Skąd się dowiedział?

Piątek 2.10.1998

Rano piękna pogoda, ale temperatura wynosi tylko 0,8°. Już wieczorem było nie więcej jak 3° i nie chcąc brać cieplej kołdry i cieplej piżamy, spałem przy ledwie uchylonym oknie. Przez całą noc grzał olejowy kaloryfer w pracowni i dzięki temu w mieszkaniu nie jest zimno. Wczoraj wieczorem wpadła do nas ze swoim kuzynem Joanna. Zresztą to ja prosiłem, by wpadła, bo chodziło o recepty na VAXIGRIP i ESPUMISAN, który zacząłem brać już teraz, gdyż nie chcę mieć w trakcie jazdy problemów z gazami. Kupiła leki w aptece i zwróciłem jej forszę. Coraz bardziej jestem zdenerwowany przed czekającą mnie podróżą i pogrzebem. Gdybym to już miał za sobą. Dziś wieczorem, pomiędzy godziną 18 i 18:15 mamy przelożyć Zosię do trumny i włożyć jej to co chciała: książeczkę, szkaplerz etc. Biedactwo. Teraz, gdy jestem sam, lzy cisną mi się pod powieki. Przyjadą Anka i Bożena i pojedziemy tam razem. Wcześniej ma przyjechać Emil, by sprawdzić i zatankować samochód, oraz ewentualnie podjechać do Chodzenia i kupić zapasowe wycieraczki do szyb, gdyż nie wiadomo jaka będzie pogoda. Być może trzeba będzie także pojechać do myjni. W Sanoku wszystko zaczyna zmierzać do finału. Wczoraj położono płytę pokrywającą grobowiec, a dziś ma być tylko fugowanie i sprzątanie miejsca wokół. Podobno jeden z dwóch księży jest moim byłym kolegą szkolnym. Jak wyglądał? Przypominam sobie (nawet z twarzy) jednego brunecika, który miał takie zamiary, ale nie pamiętam ani jak się nazywał, ani w której z licznych szkół, przez które los mnie przerzucał kolegowałem z nim. Chyba w liceum.

Wtorek 6.10.1998

Wczoraj wieczorem nie bardzo potrafiłem się zabrać za coś konstruktywnego i zacząłem gapić się w telewizor, gdy zadzwonił Tomek i zaprosił mnie do siebie. Oglądaliśmy jakiś sensacyjny idiotyzm z dużą ilością strzelania, gonitw i wybuchów, który za parę dni czy tygodni ma iść w Canal+ i który Tomek tłumaczył. Byłem zadowolony, że mogę z kimś spędzić wieczór. Tomek zrobił się nagle bardzo opiekuńczy. Boże, co za zmiana, ale czegoś takiego spodziewałem się jeszcze, gdy Zosia żyła. Nawet jej mówiłem o tym, że w wypadku jej śmierci zapewne zbliżymy się do siebie.

Jest godzina 9. Guziki jakoś przyszyłem (w trakcie zapinania jednego, urwał się też drugi) ale to, co z dużym trudem, działałem przy kroku od spodni piżamowych, trudno nazwać popisem sztuki krawieckiej. Jakoś to trzyma i przyrodzenie nie będzie mi wypadać od spodu, ale pokazać tego nikomu nie można, tak więc muszę sobie kupić kilka piżam na wypadek konieczności pójścia do szpitala w związku z prostatą i te piżamy muszę trzymać w szafie jako żelazną rezerwę. Do fryzjera pójdę być może dopiero jutro, bo jest nadal kurewskie zimno, ale zapowiadają od dziś postępujące ocieplenie. Mogę właściwie koszulę w paski nosić jeszcze jeden dzień, bo przecież nie nosiłem jej prawie przez dwa dni, gdy byłem w Sanoku. Szyjąc, gadam do siebie lub do Zosi. „co robisz idioto” „nie tak, lecz od spodu” etc. Tak jest mi jakoś łatwiej. Dobrze jednak, że nikt tego nie słyszy. A może Zosia słyszy?

Czwartek 22.10.1998

Tomek wyjechał do Pragi, wraca dopiero w sobotę i jakoś mi pusto bez niego. Jak widać jego obecność jest mi potrzebna, nawet jeśli tylko oglądamy jakieś durne filmy. Pozwala nie czuć tej pustki wokół.

Wtorek 24.11.1998

Po południu przyszedł Banach, z którym omówiliśmy kilka spraw, a mianowicie moją wystawę w Sanoku, po którą chcieliby przyjechać w kwietniu i ewentualne wydanie jakiegoś albumu, który chce wydać jakiś wydawca z Leska. Byłyby tam prace z Sanoka, moje nowe prace,

które chcę przekazać w depozyt do Sanoka oraz prace komputerowe, na co położyłem nacisk. Banach pełen rezerwy do prac komputerowych, jak zresztą prawie wszyscy. Podobno OPTIMUS chciałby zrobić coś w rodzaju wystawy internetowej. Nie mam nic przeciw temu, ale przestałem w to wierzyć (w tym sensie by wiązać z tym jakieś nadzieje), po zapoznaniu się z internetem. To będą znaczki pocztowe. W trakcie pobytu Banacha, dzwonił Ludwikowski i umówiliśmy się na jutro o godzinie 14, że przyjedzie po nagranie moich prac. Nie zapoznał się jeszcze z projektem i jego możliwościami. Potem zadzwonił Jerzyk, że będzie jutro i chciałby gdzieś postawić wóz. Jak na to znajdę czas, by usunąć Zosi wóz z parkingu? Na szczęście robi się ciepiej...

Niedziela 29.II.1998

Mam takie wrażenie, że w ostatnich dniach Zosia oddaliła się nieco ode mnie. Jest we mnie, ale jakby mniej obecna. Jakże dziwnie reaguje nasza psychika...

Napisałem wyżej, że Zosia oddała się ode mnie, ale gdy tylko znajdę i przemieszczę jakąś rzecz, która należała do niej, to od razu czuję jej obecność. Zrobiłem trochę porządek na pralce i schowałem urządzenie do suszenia i zakręcania włosów, lusterko i okulary i już czułem na sobie jej wzrok. Stale tak jakoś myślę, że w którymś momencie będę jej mógł powiedzieć o tym, co się wydarzyło i u mnie i wokoło, po prostu zdać sprawozdanie i jakoś nie akceptuję faktu, że nigdy już się nie zobaczymy, że jej już po prostu nie ma. Może jest we mnie? Może w ogóle wszystko, ale to absolutnie wszystko jest tylko we mnie? No ale mnie przecież też nie ma. Byłem i jeszcze przez jakiś czas będę, ale nie jestem. Przy sztalugach przykleiłem do szafki wydruk z jej fotografii, gdy mierzy sobie ciśnienie. Zdjęcie zrobione mniej więcej na miesiąc przed śmiercią. Jest tam jak żywa. Wydaje mi się, że mogę z nią rozmawiać.

Czwartek 31.II.1998

Koniec roku skłania do podsumowań, ale nie potrafię ich dokonać. Nie mogę w głębi zaakceptować odejścia Zosi i tego, że już wszystko minęło i nic nigdy już nie wróci. Nie dopuszczam w pełni tej myśli. Każdy dro-

biazg na półce mi ją przypomina i nie chcę go ruszać, by nadal było tak, jakby tylko wyjechała. Trzeba będzie jednak w którymś momencie wyrzucić jej rzeczy: kremy, szampony, farby do włosów, lekarstwa, przyprawy i narzędzia kuchenne, bieliznę, ubrania, włóczki, wykroje, żurnale, skrawki materiałów... Boże, nigdy jakoś tego nie będę umiał dokonać! Nie mogę się zdobyć, by wyrzucić rozlatujące się krzesło z zielonym obiciem, które ona pracowicie naprawiała, a przedtem pokrywała tym obiciem. To jej ciężka i zapobiegliwa praca, ale krzesło coraz bardziej do dupy, śrub, które się obluźowały, nie ma do czego już przykręcić. Czy nadal je reperować? Mam przecież za dużo krzesel i wszystkie się rozlatują. Wszystkie zresztą kupione przeze mnie w Warszawie z wyjątkiem dwóch przedpotopowych foteli ze Sanoka. Należałoby kupić inne meble, a te wywalić do zsypu, ale nie umiem wywalić do zsypu nawet zmielonych listów do niej, mimo iż to ja je pisałem, ale wiem, że nie umiała do samego końca ich zniszczyć, bo były dla niej ważne. Nie chciałbym, by ich ścinki wałały się w zsypie. Zachowam je i spalę na działce. To wszystko myśli natrętne i nic więcej, ale jak się ich pozbyć?

Piątek 1.1.1999

Zaczyna się pierwszy rok bez Zosi. Ile jeszcze mam ich przed sobą? Rano jak zwykle ciemności, ale chyba pogodnie i temperatura $-2,1^{\circ}$. Po co ja właściwie notuję te wiadomości meteorologiczne? Wczoraj wieczorem o północy złożyliśmy sobie z Tomkiem życzenia Noworoczne (na jego inicjatywę, bo ja zapomniałem).

Poniedziałek 4.1.1999

Z Krakowa przyszły ksero wycinków z Aukcji Wielkiego Serca. Podobno mój obraz poszedł najdrożej, ale znowu nie tak imponująco, bo za 15.000 zł. Inna rzecz, że był to ten cholerny baran, którego z własnej woli wybrał sobie jeszcze przed rokiem Podoluk. Ja bym za niego nie dał ani złotówki, ale cicho sza. Pięknie oprawiony i niesiony przez dwie dziewczyny, stał się tematem wszystkich zdjęć prasowych z aukcji i to we wszystkich krakowskich gazetach. Pewnie Zosia by się z tego cieszyła, bo była zawsze wrażliwa na „sukcesy”. Aukcja, sądząc po datach gazet, była w miesiąc po jej śmierci.

To głupie, ale stale mam takie wrażenie, że się jeszcze zobaczymy i porozmawiamy. Zbyt długo byliśmy razem. Jest nie dająca się usunąć częścią mnie samego. A może w ogóle nie ma świata, nie ma ludzi, nie ma nic innego, a jest tylko moja świadomość, a w niej moje wspomnienia? Mało oryginalna myśl.

Środa 20.1.1999

Bolała mnie nad ranem głowa i rozmyślałem w łóżku na temat sztuki i sztuki wirtualnej, która nadejdzie zapewne w przyszłości. Spostrzegłem, że muzyka i malarstwo rozwijają się w przeciwnych kierunkach i te kierunki obecnie się skrzyżowały. Malarstwo było rodzajem anarchii, a muzyka porządku. Malarstwo o ile zmieni się w sztukę wirtualną, będzie zmuszone na wstępie do uporządkowania swych reguł w oparciu o reguły matematyki, zaś muzyka teraz, gdy osiągnęła możliwość kreacji komputerowej, stanęła u wrót anarchii i może zrezygnować z wszelkich reguł. Muzyka jednak wzruszała do łez, a malarstwo tylko poruszało, ale nigdy nie wzruszało. Czy wzruszenie zależne jest od tego, że za czymś kryją się reguły? Czy wzrusza nas porządek? Gdzieś w głębi wszechrzeczy można odnaleźć wspólny porządek dla wszystkiego, ale jest on niedostrzegalny przy normalnym oglądzie rzeczy i przy obcowaniu z nimi. Porządek w muzyce był prosty i oparty na interwałach oktaowych (jakby je nie dzielić) oraz na rytmie (jaki by on nie był). Wyższego porządku zapewne nie umiemy dostrzec.

Sztuka wirtualna w przyszłości zerwie jednak chyba z porządkiem krzywych Beziera i obiektów Boolealnych. Może będą istnieć, ale w ukryciu, tak jak dziś istnieje DOS. Sądzę, że kreować będziemy rzeczy po prostu ruchem dłoni w przestrzeni wirtualnej tak jak rzeźby w niewyobrażalnie łatwym do kształtowania materiale. Taki rozwój można przewidzieć, bo to najnaturalniejszy sposób ekspresji dla człowieka.

Poniedziałek 8.2.1999

Dzwonił Banach, że będą tu 19 lutego, by omówić ewentualne wydanie albumu przez pana Szymanika z Leska (przyjechać ma Szymanik, Banach i fotograf, a może jeszcze ktoś), natomiast po obrazach przyjechałoby około 10 marca.



Fot. Z. Beksiński, bez tytułu 1957 r.

Piątek 19.2.1999

Po punktualnym przybyciu Banacha, który podobno przyjechał już wczoraj i potem równie punktualnym (w minutę po nim) przybyciu Szymanika i fotografa, zaczęliśmy rozmowy wstępne. Po pół godzinie przyjechał profesor Pluta, który ma robić układ graficzny. Kolega młodego Naczasa w tym samym przedziale wiekowym. Ustaliliśmy, że album ukaze się późną jesienią 1999 lub wczesną wiosną 2000. Drukują to na Słowacji i sądząc po albumie „Łańcut” drukują na bardzo dobrym poziomie. Problemy techniczne będą polegać między innymi na tym, co i w jakiej ilości ma się w albumie znajdować. Początkowo była mowa tylko o zbiorach sanockich plus to, co dam im teraz, co pozwalałoby album podzielić na trzy części: obrazy z okresu fantastycznego, obrazy z przełomu lat 80/90 oraz prace komputerowe. W trakcie rozmowy okazało się, że ze względu na planowany rozmiar albumu (szerokość i wysokość), jego grubość musi być taka, że potrzebne byłoby ponad 100 prac. Zaczęły więc padać propozycje, by włączyć także to co mam u siebie i to co jest u Tomka, a może wiem, że gdzieś są obrazy, które warto reprodukować (na rybkę mówiłem o Rosikoniu i Pacudzie, u którego jest jeden bardzo, moim zdaniem, dobry obraz przedstawiający zakonnicę, który do tej pory reprodukowany był tylko w „Nowej Fantastyce”) ale w takim razie posypie się koncepcja albumu czyli „Zbiory sanockie”. Chyba, żeby potraktować to jako suplement lub zatytułować „Zbiory w Sanoku i w kolekcjach prywatnych” lub „Obrazy ze zbiorów Muzeum w Sanoku oraz autora jego rodziny i przyjaciół”. Można byłoby jedne od drugich odróżnić optycznie przy pomocy innego koloru tła, czy jeszcze inaczej. To wszystko do dogrania. Chcą jednak by reprodukcje raz jeszcze robił ich fotograf pan Budziński, który jest kolegą Jurka Lewczyńskiego, zna Rudaka i w ogóle pochodzi z Rzeszowa. Obrazy, które są już w ramach, można byłoby reprodukować wraz z ramami i potem przycinać, poprawiając prostopadłość dokładnie na komputerze i drukować wraz z ramami, a nie do spadu, co myślę dałoby dobry efekt. Padła propozycja, bym wydał oddzielnie obrazy, a oddzielnie ramy, co nie jest może najgorszym pomysłem, jeśli idzie o moje obecne siły fizyczne i lenistwo. Boję się tylko, że nie oprawią tego równie pedantycznie jak to robię ja. Stół i tak muszę rozebrać, bo trzeba wymienić baterijkę w mikrofonie, tak więc jeśli już rozbiórę stół to może kilka obrazów

jednak oprawię? Z kolei dla celu reprodukcji lepiej byłoby gdyby zostały bez ram.

Czwartek 13.5.1999

Ciemności. Pada. Temperatura 7,4°. Zbliża się „zimna Zośka”. Oby tylko w Sanoku nie lało jak z cebra. Zadzwoiłem wczoraj do Lewandowskiej i umówiłem się z nią, że pójdziemy na cmentarz w sobotę około godziny 11. Czyli że około 10 podjadę tam do niej taryfą. Potem pójdę do Turkowskich lub tylko do Banacha, ale lepiej do Turkowskich, bo Banach o ile jest w Sanoku to tam przyjdzie. Zresztą mogę się z nim jakoś nawet teraz umówić telefonicznie. Potem pójdę na jakiś obiad do hotelu, a około 17 pójdę do Biskupskich. Nie wiem czy iść do Rudaka, bo nie znajdę już na to czasu i chyba pójdę tam za następnym pobytem. Tylko zadzwonię, że jestem w Sanoku. Chyba żeby tam zajrzał około godziny 21 i posiedział do północy. Tak to jest rozwiązanie, bo przecież wcześniej nie będzie mi się chciało spać, a w hotelu nie ma co robić, chyba żebym gapił się w telewizor. Muszę jeszcze zaprogramować sobie w telefonie sanockie numery. Trzeba tam dzwonić przez 13. Zaprogramowałem teraz w telefonie komórkowym kilka sanockich numerów. Nie wiem tylko, jaki jest numer postoju taksówkowego.

Dzwoniła Lewandowska, że w Sanoku leje i zapowiadają taką pogodę na najbliższe trzy dni. Zadzwoiłem więc do Jerzyka ale już wyjechał, czyli że tak czy siak będę się mógł z nim zabrać i nie będę już niczego odwoływać. Chciałbym głównie pozbyć się problemu świeczników i Kuchenki mikrofalowej, a w Sanoku jakoś dojedziemy na cmentarz taryfą. Gdy się człowiek umawia ze zbyt wielką ilością ludzi, to zawsze wszystko się potem pokomplikuje, bo jedni odwołują, a inni już oczekują, nie sposób z tego się wywinąć. Właściwie wszystko zaczęło się od tych nieszczęsnych świeczników. Gdyby nie one, to nie kupowałbym kuchenki, gdyby nie kuchenka, to nie musiałbym teraz jechać do Dynowa i tak dalej.

Poniedziałek 17.5.1999

Gdy ruszyliśmy przez Nozdrzec w stronę Sanoka, zrobiła się już noc. Na trasie do Grabownicy były tak potworne dziury, że obawiałem się

o Jerzyka samochód, ale wszystko skończyło się pomyślnie. W hotelu dostałem apartament, który zajmowaliśmy już chyba dwukrotnie z Zosią. Zadzwoiłem z komórki do Rudaka i poszedłem do niego. Z trudem sforsowałem na piechotę górę sanocką. O Boże. Moja kondycja już kompletnie wysiadła. Myślałem, że nogi mi się ugną i zwalę się na chodnik gdy, już byłem na szczycie, a szedłem bardzo, bardzo powoli, jak dziadek. Obawiałem się o serce. Doszło jeszcze wyjście na 3 czy 4 piętro do Rudaka. U niego nadal sikałem po kropelce, wychodząc trzy razy do kibla i siedziałem tam do godziny 1:15 w nocy. Rudak twierdził, że bardzo pomógł mu środek hormonalny o nazwie PROSCAR, że zażywa to z przerwami (bierze się to jakoś przez dwa miesiąca, potem przerywa na czas jakiś, potem znowu i tak dalej) ale przedtem musiał siedzieć czasami przez kilkanaście minut na kiblu, zanim mógł się odlać, a teraz jedzie do Rzeszowa i wraca i dopiero w domu idzie do WC, nie ma żadnych problemów, a pije sporo płynów. Będę musiał pójść ze swoją prostatą do dobrego urologa, ale nie do chirurga. Położyłem się około godziny 2 w nocy i spałem do około 5:30. Około godziny 6 wstałem, aby nie mieć potem problemów ze sraniem. Boże: moje wszystkie zdrowotno życiowe problemy to problemy z wydalaniem. Innych chyba prawie nie mam. Jeszcze o godzinie 5 zażyłem OMNIC. Około godziny 8 zadzwoniłem do Pielecha w nadziei, że zaraz się spotkamy, ale ten wyznaczył mi spotkanie około godziny 10. Ponieważ na 11 byłem już umówiony z Lewandowską, to umówiłem się z Pielechem na cmentarzu i zadzwoniłem do Lewandowskiej. Sądząc po głosie, chyba ją obudziłem, ale nie chciał się przyznać. Powiedziała, że na godzinę 10 zamówiła kwiaty w kwaciarni, więc pójdziemy po kwiaty i zaraz stamtąd na cmentarz. Zamówiłem komórką taksówkę (numer postoję dostałem w hotelu i wprowadziłem go sobie do pamięci telefonu) i podjechałem na Traugutta. Razem z Janiną i Romkiem poszliśmy do kwaciarni i potem znowu wydzwoiłem taksówkę, którą pojechaliśmy na cmentarz. Było stosunkowo ciepło i świeciło słońce. Zdjąłem nawet lekki sweter i zostałem w koszuli i wiatrówce. Na cmentarzu Romek i Janka rozkładali kwiaty i zapalali znicze, a ja najpierw zrobiłem kilka zdjęć płyty, a potem przyszedł Pielech, któremu wyjaśniłem, w jaki sposób wyobrażam sobie wykończenie grobowca. Zaakceptował moją koncepcję i powiedział, że całość gotowa będzie na

1 połowę czerwca, więc mam nadzieję, że przed zimą to skończy, o ile będzie się go regularnie poganiać. Narzekał, że grobowiec jest nie umyty i sugerował, że Jerzyk (ten pański kuzyn, no, jak mu tam, no, Potocki - Pielech pracował dawniej jako zaopatrzeniowiec w Autosanie gdzie Jerzyk był dyrektorem, więc to była tylko „zgrywa” przede mną) powinien go myć (!) więc poddałem, że może pójdziemy do administracji i może oni oferują taką usługę. W administracji rządzi syn Jayki i zanotował numer mego telefonu i powiedział, że chcą wprowadzić taką usługę, to wtedy skontaktuje się ze mną. Pytał czy nadal mieszkam w tym miejscu, gdzie w warsztacie ojca wykonywali dla mnie schody do pracowni (?). Przed kaplicą spotkał mnie inny nieznany mi sanoczanin, który z kolei pamięta mnie z okresu, gdy pracowałem razem z Naczasem i on nas odwiedzał w naszej pakamerze (??? - nigdy nie pracowałem z Naczasem ani z ojcem ani z synem, tym sanoczanom wszystko się gruntownie popierdoliło, albo też urastam tam do legendy). Gratulował mi sukcesów. Zamówiłem taryfę i podwiozłem Janinę i Romka pod ich blok, umawiając się z nimi na godzinę 16, potem podjechałem do hotelu skąd zabrałem prace komputerowe oraz CD ROMy i znowu zamówiwszy taryfę, pojechałem około godziny 11 do Turkowskich, gdzie przedtem oczywiście dzwoniłem. Gdy byłem u Turkowskich rozpętała się burza, trwająca chyba ponad godzinę. Do hotelu około 13:30 odwiózł mnie Banach swoim Polonezem. Zszedłem na dół do restauracji gdzie byłem jedynym gościem. W hotelu też chyba nikogo jeszcze o tej porze roku nie było. Zmarzłem w restauracji jak pies, mimo włożenia ciepłego swetra, który na szczęście zabrałem z Warszawy. Do obiadu wypilem trochę piwa, co kompletnie mnie rozmyło. Poszedłem na górę i zdjawszy buty położyłem się na łóżku, ale mimo swetra i wiatrówki było mi zimno, więc zamknąłem drzwi na klucz (bo obawiałem się że ktoś zajrzy i mnie w tym stanie zobaczy) po czym w ubraniu wlażłem pod kołdrę. Nareszcie zrobiło się cieplej i przez godzinę chyba spałem. Gdy wygrzebałem się przed godziną 16 i chciałem zadzwonić do Lewandowskiej okazało się, że łączność komórkowa padła (chyba na skutek burzy). Poprosiłem w recepcji o zamówienie taryfy. Zanosilo się na kolejną burzę, gdy taryfa zajechała, a ponieważ był to obszerny Passat Combi, którym już raz jechaliśmy z Biskupskimi na cmentarz wioząc kwiaty z kwiaciarni, to pomyślałem, że od razu umówię

się na powrót do Warszawy tym wozem. Facet powiedział, że kosztować to będzie 500 zł, więc umówiłem się z nim na niedzielę pod hotelem na godzinę 11. Gdy przyszedłem do Biskupskich, to telefon komórkowy zaczął działać, najpierw z przerwami, ale potem coraz lepiej. Byłem tam do około godziny 19, po czym wydzwoniłem taryfę i pojechałem do hotelu, a ponieważ przed południem dzwonił do mnie Jerzyk, bym wieczorem do nich jednak wpadł, bo komunia wnuczki dopiero w niedzielę i mają już wszystko przygotowane, więc poszedłem tam z hotelu na piechotę. Basia oczywiście zrobiła kolację, ale niewiele jadłem, mając na względzie powrót taryfą w dniu następnym. Wróciłem do hotelu około godziny 22, zadzwoniłem do Tomka, by do mnie już nie dzwonił, wyłączyłem telefon i poszedłem spać, ubrawszy na piżamę sweter i otwierając wszystkie okna, bo w sąsiednim pokoju rano cyklinowano, a potem pomalowano podłogę i smród nitro przenikał do mojego apartamentu. Udało się to jakoś wywietrzyć i spałem względnie znośnie. Rano zażyłem OMNIC i zjadłem ostatnią z 4 kanapek przygotowanych jeszcze w Warszawie i ponieważ była słoneczna pogoda, ale wypełzały już pierwsze chmury, zamówiłem taryfę i pojechałem na cmentarz, gdzie chwilę postąłem przy grobowcu oraz zrobiłem kilka zdjęć. Śpiewały ptaki i było zielono, trochę się rozmazałem, myśląc o Zosi. Wróciłem taryfą (która czekała na mnie przed cmentarzem) do hotelu, po czym wybrałem się na zwiedzanie Sanoka, aliści około godziny 9 zapanowały ciemności, zerwał się wiatr i zaczęły kapać pierwsze krople deszczu. Byłem w rejonie mostu olchowskiego, więc szybko wróciłem i znowu położyłem się na chwilę w oczekiwaniu na taryfę. Parę razy poszedłem do WC, ostatni raz na chwilę przed przyjazdem taryfy. Jechaliśmy prawie przez cały czas w deszczu i albo bez deszczu, ale po mokrym asfalcie, gdyż przed chwilą przeszedł deszcz. Po drodze dwa razy musiałem wstępować do lasu, mimo iż od rana nic już nie piłem. OMNIC trochę mi pomógł. O godzinie 16:10 byliśmy przed blokiem. Nie rozpakowując się wlałem do wanny, a potem zjadłem Przymak Beksińskiego. Byłem potwornie, ale to potwornie osłabiony i zmęczony. Czym??? Chyba napięcie psychiczne daje taki efekt w momencie, gdy się kończy, bo gdy już wróciłem, to odczułem odprężenie. Nie nadaje się do podróży, nocowania w hotelach, składania wizyt znajomym i tak dalej. To nie moja częstotliwość.

Wędrowanie rankiem w niedzielę po pustym Sanoku (wszyscy byli chyba na mszy o godzinie 9), było jakby wędrowaniem po własnym śnie. Często ta sanocka sceneria występuje w moich snach, ale zawsze inna od zapamiętanej. Teraz też było wszystko inne, bo uległo przebudowie i gdzieśgdzie prześwitywały jeszcze fragmenty starego. To spowodowało, że był to właściwie sen na jawie, bo odbierałem to jak krajobraz ze snu. W zupełnej pustce jakaś potwornie, wręcz niesamowicie gruba baba (jak balon) w buraczkowym dresie i z kalekimi nogami, czy też jedną nogą bez stopy (nie przyglądałem się), stojąca na przystanku autobusowym w kierunku Olchowiec, dodawała całości atmosfery ze snu.

Środa 9.6.1999

Do Sanoka na otwarcie na pewno już nie pojadę, bo należałoby to robić już dziś rano. Chyba trzeba w tej sprawie zadzwonić do Banacha, ale dziś podobno go nie będzie z Muzeum, bo gdzieś musi wyjechać, jak mi ostatnio mówił. Pogoda chyba się popsuła. Temperatura 14°. Ciemno, ale nie pada. W nocy około godziny 2:30 zaczęło lać jak z cebra. Głowa bolała, zażywałem prochy. Nie wiem, co mam robić z obrazem, który spartoliłem chyba bezpowrotnie. Może zamalować i zacząć malować raz jeszcze, ale techniką kreskową, która teraz jakoś, na skutek oglądania starych obrazów (gdym oferowałem je Świętosławskiej i Stapowiczowi), zaczyna mnie znowu wciągać. Nic mi nie idzie, a w głowie pustka.

Sobota 12.6.1999

Rano piękna pogoda. Temperatura 20,6°. Pozamykałem otwarte przez noc okna, by zachować trochę chłodu, chociaż noc też była ciepła. Głowa ćmi. Wczoraj też obejrzałem z jakiegoś sensacyjnego filmu tylko kilkanaście minut i dałem spokój. Gównu mnie obchodzą te wszystkie stereotypowe scenariusze i ci wszyscy ludzie, o których opowiada się te stereotypowe historyjki. Ach, znaleźć coś odjazdowego lub choćby zwariowanego! Ciekaw jestem czy zadzwoni Banach z jakimiś informacjami z Sanoka na temat wystawy. Wczoraj o godzinie 17 było jej otwarcie.

Niedziela 13.6.1999

Rano pochmurno i jakby nieco chłodniej. Temperatura 18,6°. Głowa ćmi, ale to normalka. Wczoraj przez całe popołudnie i do późnej nocy pracowałem na komputerze. Chyba od kilku dni lepiej mi idzie. Może idzie o to, by się wciągnąć? Po południu dzwonił też Banach, że na otwarciu było sporo ludzi, że byli dziennikarze, że „będą mnie męczyć”. Nie będą męczyć, bo na pewno już zapomnieli. Dziennikarze pamiętają o jakichś wydarzeniach najdłużej przez godzinę po wydarzeniu, a potem mają następne pilne sprawy. W tej chwili jest na tapecie wizyta papieża, a poza tym podobno jakieś nieporozumienia z Rosjanami w Kosowie. Kogo będzie obchodzić jakaś wystawa w Sanoku. Banach jednak jest nabuzowany, podobnie jak bywałem sam przed wielu, wielu laty. We wczorajszym Teleexpressie była migawka, ale pokazano ponownie moje prace „fantastyczne”. Już się od tej pieczątki nie uwolnię, tym niemniej Banach twierdził, że na wystawie nowe prace podobno bardziej się podobały. Komu? I czy na pewno tak? Na pierwszym planie stali jak mi się wydaje Bielcowie. Będę musiał odpowiedzieć na list Ewy, który leży już od trzech tygodni.



Zdzisław Beksiński, lata 50.

Sobota 19.6.1999

Dzwonił Maciej Orłoś z telewizji i umówiliśmy się na poniedziałek, w sprawie rozmowy dla programu o Sanoku. Ma jeszcze zadzwonić, by dokładnie określić godzinę. Uprzedziłem, że we wtorek nie mogę, bo będą mi zakładać klimatyzację. Zaczyna się zresztą chyba robić gorąco.

Niedziela 27.6.1999

Za oknem piękna pogoda. Wróciłem z Sanoka o godzinie 16. Włączyłem klimatyzację, wykąpałem się i zjadłem obiad. Jestem raczej wykończony. Wyjechaliśmy w czwartek w słabym deszczu, który wprawdzie przerwał się w rejonie Grójca, ale potem powrócił i nieustannie nasilał się aż do Sanoka. Zapomniałem w zamrażalniku kanapki, które sobie przygotowałem, tak więc kolację zjadłem w Rzeszowie w Mc Drive. Dojechawszy do Sanoka, złożyłem bagaże w hotelu Jagiellońskim, zadzwoniłem, a następnie pojechałem do Lewandowskiej. Byłem tam do godziny 11, następnie wróciłem taryfą do hotelu i położyłem się spać. Następnego dnia rano, deszcz już nie padał i wyszedłem około godziny 9 rano z zamiarem dościa do Muzeum bez standardowo wzywanej taksówki, na nogach. Przeliczyłem się, jeśli idzie o górkę sanocką. Wzniesienie, które przed 20 laty pokonywałem sprężystym krokiem, okazało się teraz przeszkodą w trakcie pokonywania której, nogi omal nie wypadały mi z dupy. Nawet serce tak bardzo się nie zmęczyło jak nogi, wyszedłszy na górę, prawie się zataczałem, mimo iż szedłem krokiem bardzo powolnym. W Muzeum czekał już Banach. Połączył się z Szymanikiem i ten po kilkunastu minutach przyjechał. Ustaliliśmy wstępnie, które prace w albumie chciałbym widzieć priorytetowo i zaznaczyłem je. Po pożegnaniu się z Szymanikiem, wpadłem w ręce dziennikarzy. Razem z gromadką tych dziennikarzy poszliśmy na wystawę. Jest ogromna i moim zdaniem zbyt ogromna tak, że z wystawienia wielu prac bym raczej zrezygnował, a te które bym wybrał, powiesiłbym w sposób bardziej dostępny, bo wiszą w dwa rzędy i szereg jest zbyt wysoko i są zbyt słabo oświetlone, by można je było obejrzeć. Dodatkowym problemem jest to, że grafiki komputerowe są na papierze wrażliwym na wilgoć, w związku z czym uległy już zmarszczeniu, mimo porządnej oprawy. Przydałoby się jakieś urządzenie do osuszania powietrza. Niewiele miałem czasu by się wszystkiemu przyjrzeć, bo

musiałem podpisać sporo autografów i potem udzielić chyba 5 długich wywiadów w tym jednego lokalnej telewizji sanockiej. Gdyśmy skończyli była godzina 14. Podjechałem z Banachem najpierw na cmentarz, gdzie obejrzałem grobowiec, a potem do pracowni Pielecha, bo jego numer nie odpowiadał, a na cmentarzu go nie było. Okazało się, że będzie za pół godziny. Zapowiedziałem się więc na godzinę 16 i podjechałem do Turkowskich. Od Turkowskich Banach zawiózł mnie do Pielecha, pokazując po drodze, że na Zamku wywieszono transparent z napisem BEKSIŃSKI, widoczny chyba nawet z Olchowiec. Pojechaliśmy do Pielecha, zapłaciłem mu 1.500 zł za to, co wykonał i umówiłem się co ma jeszcze wykonać, ale trzeba było na to uzyskać zezwolenie od Jayki. Ponieważ było na to już zbyt późno, to będąc na godzinę 19 zaproszony do Jerzyków, pojechałem najpierw do Rudaka i zawiózłem mu kilka swoich albumów. U Rudaka był Jacek i wnuk. Rudak mocniej tknięty sklerozą niż ostatnio, ale jeszcze jako tako komunikatywny. Jadąc do Rudaka zamówiłem jak się okazało tego samego kierowcę, który wiózł mnie ostatnio do Warszawy, więc umówiłem się z nim i tym razem tylko jeszcze nie do końca precyzyjnie i mieliśmy się dzwonić. Od Rudaka poszedłem już piechotą do Jerzyków gdzie po obfitej kolacji (byłem bez obiadu) siedziałem do godziny 23. Na następny dzień pojechałem rano na cmentarz. Zabrałem z grobowca tabliczkę trumienną, bo uległaby zniszczeniu i poszedłem do Jayki, z którym wróciłem do grobowca i zapaliwszy kupione w sklepiku przy kaplicy znicze, ustaliłem co i jak ma być jeszcze zrobione. Ostatecznie stanęło na tym, że Pielech ma się skontaktować z Jayką i ustalić wspólnie, do którego miejsca sięgnąć może kostka, którą wyłożone ma być otoczenie grobowca, tak aby nie przeszkadzało to w ruchu samochodów ciężarowych, które tam wjeżdżają, gdy przerabia się lub buduje jakiś grobowiec. (dalszy ciąg w kolejnym odcinku)

Niedziela 27.6.1999

Gdy byłem z Jayką w administracji, obiecano mi, że sprawdzą w archiwach, kiedy umarli i zostali pochowani poprzedni lokatorzy grobowca rodzinnego: babcia, ojciec, mama i ciocia Władzia. Podąłem przybliżone daty ich zgonu, ale zapomniałem, że chyba leży tam też dziadek Władysław Beksiński i jakieś dziecko, nie mam pojęcia kto, może brat ojca,

a może jakieś inne dziecko? Moim zdaniem bez sensu jest wypisywanie wszystkich nazwisk i w ogóle jakichkolwiek nazwisk, ale będę miał czas, by się nad tym zastanowić. Jerzyk powiedział mi potem, że takie rzeczy znajdę raczej w biurze ewidencji ludności, a może też (jak sam myślę) w księgach parafialnych. Wezwałem taksówkę, pojechałem do hotelu, a stamtąd do Lewandowskiej (umawiałem się z nią dzień wcześniej i dodatkowo w tym samym dniu rano, że będzie mnie pilotować do Szubera - ona ma jakieś zawroty głowy i nie może chodzić po ulicy, więc mieliśmy pojechać taryfą od drzwi do drzwi). Jadąc do Lewandowskiej zadzwoniłem z taksówki i okazało się, że przed chwilą właśnie się wywalila na podłogę i pojedzie ze mną Romek. Szuber, bardzo miły facet na wózku, przyszedł potem wujek Gajewskiego, który zrobił trochę zdjęć i gadaliśmy we czwórkę przez półtorej godziny lub dłużej, po czym pożegnaliśmy się, a przed domem Romek powiedział, że Janina prosi mnie na obiad. Wg Romka, którego o to spytałem, obiad miał być około godziny 14, a była chyba około 12:30, więc umówiwszy się z Romkiem że pójdę teraz do Malinowskiej, a od niej przyjdę do nich na obiad, poszedłem do hotelu, odlałem się i zamówiwszy taksówkę pojechałem do niej. Jadzia w dobrej formie, ale jakoś dziwnie zmalala. Zrobiła się z niej skurczona staruszczyzna! Twarz ma taką jak dawniej, ale wygląda jakby jej tułów ktoś zmniejszył przy użyciu jakichś tajemnicznych narzędzi. Przytomna i nawet dosyć ożywiona. Dowiedziałem się od niej, że słynna baba-potwór z ZChN, którą teraz wykluczono z ZChN, gdyż nawet dla nich była nie do strawienia, czyli Nowina-Konopka, to „Konopczycha”, żona konserwatora Konopki z MBL w Sanoku (który teraz jest chyba rektorem ASP), którego doskonale pamiętam i że ją też znam i że nawet oboje byli u mnie w Sanoku, przed naszym wyjazdem do Warszawy, a jak potem sobie uzmysłowiliśmy byliśmy i my raz u nich gdzieś pod Piasecznem, gdyż ja miałem jakieś techniczne pytania do Konopki wtedy, gdy w trakcie stanu wojennego lub bezpośrednio przed, nie mogłem dostać lakieru ftalowego do impregnowania podobrazy z płyt pilśniowych i chciałem to robić damarą. Boże! Nie miałem pojęcia, że ją znam! Chciałem już raz jej jakoś bardzo złośliwie dokopać w jakimś wywiadzie i dobrze, że tego nie zrobiłem, bo staram się nie ruszać znajomych. (Janek, któremu to przez telefon dziś opowiedziałem, nie mógł jakoś zrozumieć mego zdziwienia, które było

mniej więcej takie jak gdybym się dowiedział, że Adolf Hitler jako chłopak, podawał u nas na korcie piłki tenisowe - Janek jest w ogóle facetem bez cienia wyobraźni, a dla mnie było to jak fragment snu, w którym pojawiają się tego typu paramnezje) Gadaliśmy z Jadzią do godziny 15 z minutami, bo powiedziała, że u Janiny obiad jest zawsze około godziny 16 i Romkowi coś się pokielbasiło. Gdy bezpośrednio od Jadzi przyszedłem do nich, spóźniwszy się jak Papież, okazało się jednak, że obiad ze względu na mnie miał być o godzinie 13, więc Romkowi na pewno się pokielbasiło, ale w inną stronę. Objadłem się jak świnia i zjadłem sporo kartofli i dwa duże sznyce z ogórkami. Dawno już nie jadłem domowego obiadu. Wyszedłem około 18:45 i pozełgowałem taryfą do hotelu, a stamtąd na piechotę do Jerzyków, gdzie już po raz drugi byłem zaproszony na kolację. Od jedzenia nie sposób w Sanoku uciec. Był bogracz i curry z ryżem. Curry chyba robił Jerzyk i wszystko było świetne, ale nie na tą okoliczność! Panicznie bałem się, co będzie nazajutrz, gdyż miałem o godzinie 11 wyjechać, ale pocieszałem się, że ostre potrawy zawsze mnie „zatrzymują” jeśli idzie o wydalanie. Spałem dobrze. Rano piękna bezchmurna pogoda. Zjadłem w restauracji jak co dzień śniadanie, złożone z kilku plasterków wędliny, chleba i kawy, zapłaciłem w recepcji za pobyt, zamówiłem taryfę, pojechałem na cmentarz i chwilę postalem przy grobowcu. Znicze już się wypaliły. Stamtąd kazałem się zawieźć w okolice mostu olchowskiego, bo myślałem, że znajdę gdzieś kawałek brzegu Sanu pokryty otoczkami jak za czasów mej młodości (potrzebne mi to jest do fotomontażu), ale to już chyba przestało istnieć. Brzegi aż do lustra wody zarasta trawa. Raz jeszcze w lepszym oświetleniu zrobiłem zdjęcia transparentu BEKSIŃSKI na Zamku i poszedłem do hotelu, trochę leżałem, usiłowałem zasnąć, potem kilka razy poszedłem „na siłę” do WC i wreszcie o godzinie 11 wsiadłem do taksówki i pojechaliśmy do Warszawy. Sikałem tylko raz pod Ilżą, ale być może wytrzymałbym nawet do Warszawy, bo chyba gorąco spowodowało, że nie miałem parcia na pęcherz. Pogoda przez cały czas była wspaniała. Wieczory jednak są podobno chłodne.

Środa 18.8.1999

Rano pogodnie. Temperatura 14,1°. Wczoraj wieczorem po kolacji zadzwonił Grzesiek, że może podjechać po mnie służbowym wozem

i pojedziemy po zakupy. Ponieważ cola była już na wykończeniu, odłożyłem pędzle, bo usiłowałem trochę po wyjściu Emilów malować i pojechaliśmy najpierw do Geant, a potem do Auchan. W Geant złapał mnie na komórkę Tomek, że koniecznie mam znaleźć jakiś stary list od Nyczka, który widział jeszcze w Sanoku, bo musi go zacytować w felietonie. Próbowałem mu to wyperswadować, bo zdawałem sobie sprawę, że odnalezienie konkretnego listu, graniczy z cudem, ale głos miał nabuzowany w stylu „spróbuj się tylko nie zgodzić”, więc znając ogólną sytuację, powiedziałem gdzie najprawdopodobniej leżą stare listy, ale po chwili zadzwonił po raz drugi, że niczego nie umie znaleźć, więc poczeka na mój powrót. Wróciliśmy i wnieśliśmy z Grześkiem towar przed godziną 21 i zaraz zatelefonowałem, że już jestem, a potem szukaliśmy (właściwie on szukał - ja nie mam już siły, szczególnie pod wieczór) do północy, rozkopując pół mieszkania, a potem (nic nie znalazłszy) gadaliśmy jeszcze prawie do 1 w nocy. Po jego wyjściu jeszcze się wykąpałem, bo mimo iż niewiele pomagałem, to byłem kompletnie przepocony. Położyłem się o godzinie 1:15 i szybko zasnąłem. Tomek wyszedł ze słowami „spróbuj sobie przypomnieć gdzie to jeszcze może być”. Na Boga, nie mam pojęcia! Została jeszcze zakręcona nisza za niszczarką dokumentów, ale mała jest szansa, że tam włożyłem stare listy. Wynieśliśmy z Tomkiem do zsy-pu kupę dupereli, które wygrzebaliśmy przy okazji szukania. W schowku za pomarańczową szafą odkryliśmy pudło z kliszami i będę musiał je w spokoju przejrzeć i zniszczyć ewentualnie te, na których mogą być jakieś zdjęcia Zosi z początku lat 50, których nie chciałaby nikomu pokazywać. Wiem, że zniszczyła sama ich odbitki, ale negatywy są chyba na kliszach szklanych lub foliowych. Muszę to zrobić samemu, przy okazji gdy znajdę trochę wolnego czasu. Zapiszę to sobie w palmtopie.

Przysiadłem faldów i przed północą (zacząłem około godziny 19) wysmażyłem pełną informację dla Tomka na wypadek mojej nagłej śmierci. On pisał mi, że boi się, iż nie poradzi sobie z tym wszystkim, więc wypisałem mu po kolei, co ma robić. Nie wspomniałem tylko o tym jak mnie (w sensie technicznym) ubrać, ale mogą to zrobić dopiero w Zakładzie Pogrzebowym. Mam to kompletnie w dupie. Mogę zresztą kupić jakieś czarne portki i czarny sweter i trzymać to na wypadek śmierci, podobnie

jak to zrobiła Zosia. To sprawa dla mnie drugorzędna, ale należy to zrobić, aby Tomek nie miał kłopotu. Co do innych rzeczy, to mam nadzieję, że wyłożyłem kawę na ławę, ale pokażę mu jeszcze tekst, bo może będzie mieć wątpliwości. Nie wiem tylko, gdzie potem ten tekst schować. Zastanowię się jeszcze. Na razie naklejam go w kopercie na widoku.

Poniedziałek 23.8.1999

Morduję ten obraz kompletnie bez sensu. Zjadłem swój przysmak już o godzinie 11, aby potem nie mieć kłopotów gdy o godz.14 przyjdzie madame Bodnar. Oczywiście zachciało mi się spać i parę minut przed 12 wałnąłem w wyro. Leżałem chyba przez około pół godziny i trochę spałem. Nie wiem czy teraz, czy jeszcze w nocy, śnił mi się jakiś kretynizm: Penderecki prosił mnie o pożyczanie 100.000 zł na kupno Mc Donalda w Sanoku, który był tam, gdzie dawny ELDOM. Podjąłem pieniądze w banku, który był gdzieś naprzeciw obecnego hotelu Jagiellońskiego, a dawnego Ośrodka Zdrowia, bo chciałem pokazać, że mnie stać na pożyczanie forsy Pendereckiemu, po czym 10 plików upchnąłem gdzieś chyba po kieszeniach i zacząłem gubić idąc w stronę rampy kolejowej, tak jakbym je wszystkie miał w tylnej kieszeni od spodni. Wróciłem zbierając pliki i luźne banknoty, które leżały częściowo w jakichś zgarniętych na chodnik stertach topniejącego śniegu. Jakaś kobieta z dzieckiem usiłowała mnie wyprzedzić, goniąc z przeciwnej strony do jakichś dwóch plików, z których jeden zawierał nie wiadomo dlaczego studolarówki. Zebrawszy to, co odnalazłem w naręcze przed sobą, niosłem gdzieś chyba i wtedy się zbudziłem. Już we śnie zastanawiałem się jakim cudem za 100.000 zł można odkupić Restaurację Mc Donalda, ale myślałem, że idzie może tylko o odstępnę? Po co Pendereckiemu Mc Donald? Zresztą w Sanoku nie ma Mc Donalda. Boże cóż za pomysły miewa się we śnie. Czy to było w nocy i teraz mi się tylko przypomniało, czy też śniłem o tym teraz?

Wtorek 24.8.1999

Po śniadaniu spakowałem i wyniosłem do zsypu, złożone wczoraj na balkonie, jakieś prospekty oraz stare francuskie romanse jeszcze z Sanoka, chyba odpowiednik dzisiejszego Harlekina. Były one chyba jeszcze własnością ojca i służyły zapewne do przypominania sobie języka fran-

cuskiego. Trochę jakichś czasopism odkładanych przez Zosię, wykrojów i innych śmieci. Zawsze mam opory, gdy takie rzeczy wyrzucam, ale przecież nie ma po co trzymać tego w nieskończoność. Zmiałem w maszynce trochę listów od Banachowej, od Danusi i Danka pisane z Kaduny. Fragmenty przeczytałem. Tak jakbym miał znowu część własnego życia. Dla Tomka to tylko śmieci, a dla mnie z każdym listem wiążą się całe ciągi wspomnień i obrazów z naszego życia, niektóre jeszcze z Sanoka. Przecież i tak tego nie da się zatrzymać. Ashes to ashes. Chce mi się płakać. Gówno! Beksiński, nie rozklejaj się...

Czwartek 26.8.1999

Gdy kończyłem wkładać baterijki do palmtopów, przyszedł Tomek i od razu przystąpił do dalszych porządków, które trwały prawie do północy. Odwalił kupę roboty i zastanawiam się, czy motywem głównym rzeczywiście jest poszukiwanie tego listu od Nyczka (swoją drogą nie pojmuję co się stało z tymi listami!), czy też chce mi pomóc abym mnie tonął w takim bałaganie. Poprosiłem o wyjęcie ze schowka skrzynki z kliszami i sam wy dobyłem szkatułkę z filmami i muszę teraz usunąć negatywy, co do których wiem, że Zosia nie chciałaby, aby je ktoś oglądał. Klisze popakowane są bardzo porządnie, więc trzeba będzie wszystko rozwijać i przeglądać. Będę poruszać się po obszarach snu. Usuwać ze świata, którego nie ma, rzeczy które nie istnieją. Smutne zajęcie. Tomek wyrzucił też zmielone listy, które pisałem do Zosi. Myślałem, że je spalę na działce, ale nigdy tam nie pojedę, więc jakoś pomyślałem sobie, że to w końcu bez znaczenia. Poprosiłem też o wyrzucenie dziewiarki, bo przecież nie będę robić swetrów. Zaraz ją ktoś ze zsypu zabrał, jak zrelacjonował mi Tomek. To dobrze, jeśli jeszcze komuś się przyda. Będzie trzeba jeszcze wyrzucić bieliznę osobistą Zosi, bo jest tego sporo w szafie. Znalazło się też trochę moich nieużywanych butów i trochę Zosi butów, więc dzwoniłem do Joanny, że może by to zabrała dla biednych, ale nieustannie odpowiadał albo syn albo córka, że mama w Brwinowie i zaraz wróci. Skontaktuję się z nią dziś. Na biurku leży trochę listów do przejrzenia i zmielenia. Chyba są to listy do babci Stankiewiczowej od Zosi i od innych osób.

Nad ranem nie śpiąc, myślałem o książce Szymanika i trochę się po

namyśle obawiam, by to nie była cegła, gdyż zestaw prac jest trochę monotony i łamanie też. Trochę winny jest temu pośpiech. Może trzeba było dodać więcej rysunków na tle papieru bez marginesu, może też więcej prac komputerowych, by rzecz urozmaicić. Zobaczymy, ale takie mam obawy. Na dodatek te fotografie starych prac z Sanoka tylko w części są dobre. Może trzeba było dodać trochę materiału zdjęciowego o mnie: dom w Sanoku, dzieciństwo, z rodziną, stała ekspozycja w Muzeum etc. Ludzie to lubią.

Sobota 28.8.1999

Około godziny 13 zadzwonił Szymanik. Materiały do albumu są już w Hong Kongu i pan Jutrzenka też jedzie tam w tych dniach. Plakat natomiast przedstawiający pomarańczową górę z Muzeum w Sanoku, wydrukowany będzie nakładem drukarni Anczyca i podobno we wtorek będę go mógł zobaczyć u pana Jutrzenki. Będę się musiał z nim skontaktować. Plakat ten będę musiał potem wielokrotnie podpisać. Konferencję prasową w Krakowie, Szymanik planuje na 23 października o godzinie 13, potem nastąpiłoby podpisywanie albumów na jego stoisku. Obym tylko nie miał problemów z prostatą ale miejmy nadzieję, że będą tam jakieś kible na zapleczu. Kolejna konferencja prasowa będzie po kilku dniach w Warszawie i ta ma być obszerniejsza, jeśli idzie o ilość dziennikarzy. Szymanik jednak bardzo chciałby (o ile w Hong Kongu wyrobią się na czas), by zrobić mini spotkanie i mini konferencję w Sanoku, gdzieś w okolicach 10 października. No cóż. Jeśli potrzeba to przyjadę i do Sanoka. Kiedy w takim razie wziąć zastrzyki vaxigrip? Chyba pod koniec września? W ubiegłym roku wziąłem 14 października. Myślę, że w związku z wyjazdami, koniecznością stykania się z ludźmi i tym wszystkim, co skomasuje się w okresie jesiennym, należy wziąć vaxigrip tym razem wcześniej, czyli w ostatnim dniu września. Co najwyżej wcześniej przestanie działać i wiosna 2000 będzie już ryzykowna, ale całość występów, na których muszę być obecny i nie mogę zawieść, skomasuje się w okresie październikowo-listopadowym. Potem już się poluzuje. Myślałem by być w Sanoku 22 września w rocznicę śmierci Zosi. Może pojedę i 22 września i 10 października?

Z LAND dochodzi nieustanny ryk megafonów. „Krystyna Sienkiewicz!!!”

wrzasnął w tej chwili entuzjastycznie konferansjer. Kto zacz? Piewica czy aktrissa? Na razie jakiś damski głos gada. Oho! Już śpiewa! Boże miłosier-
ny! Muszę pozamykać okna. To gorzej niż kapele podwórkowe.



Fot. Z. Beksiński, bez tytułu 1953 r. (modelką jest Zofia Beksińska)

Poniedziałek 20.9.1999

Pojechałem jednak przed godziną 12 do miasta i kupiłem upgrade Corel 9 za 1.207 zł. W sklepie APEXIM, obok w budynku Nissenbaumów, zamówiłem 3 dyski JAZ 2GB. Mieli tylko 1 GB i niewiele tańsze, więc wolę poczekać do środy, na kiedy facet obiecał je sprowadzić do sklepu. Wracając zjadłem zestaw numer 1 w Burger Kingu przy Placu Konstytucji. Potem przeszedłem przez sąsiednie sklepy i kupiłem kurtkę WALTON bez podszewki za 119 zł, która byłaby wręcz genialna, gdyby nie „zamszowy” kołnierz. Jest piękna, z grubej ordynarnej tkaniny i z przybitymi jak kapsle guzikami. Byłby to mój styl, gdyby nie ten kołnierz, ale trudno. Była tania, a poza tym w ogóle była, bo raczej nigdy niczego takiego nie ma. Gdy płaciłem, złapał mnie na komórkę Banach z Sanoka z propozycją, że promocja w Sanoku może być 8 października. Zaakceptowałem, ale prosiłem o zarezerwowanie hotelu na 7 października i zapytanie Szymanika, czy będzie mógł wysłać po mnie wóz, czy też muszę wydzwaniać do Sanoka po taryfę.

Wtorek 21.9.1999

Dochodzi godzina 15. Zapierdalałam dziś jak głupi przy sprawach czysto technicznych. Rano wykupiłem leki, a potem poszedłem do Szpitala Damiana gdzie zrobiono mi zastrzyk z VAXIGRIP. Gdy wróciłem, przyszła akurat przesyłka od Rogowskiego z edytorami Pagemaker 6 i WordPerfect 6, ale nie miałem czasu, by je zainstalować i sprawdzać, bo musiałem pojechać na pocztę, by opłacić PlusGSM. Z poczty do Burger Kinga, gdzie zjadłem Zestaw Numer 1, a stamtąd do domu, gdzie przewlokłem pościel do spania i ugotowałem obiad na następne 4 dni. Potem odniosłem pościel do pralni. Gdy wracałem, złapała mnie w windzie na radiotelefon Gostkowska. Powiedziała, że przyjdzie o godzinie 15:30, więc jeszcze zdążyłem się wykąpać i zmieniłem koszulę i slipy. Teraz siadam, by odpisać Rogowskiemu i zainstalować programy. Dzwonił Banach. Do Sanoka i z Sanoka do Warszawy, przetransportuje mnie samochód z prezydium Powiatowego czy jak się to obecnie zwie. Spotkanie z publicznością i promocja wyznaczona jest na godzinę 17 w piątek. Przedtem podpiszę na Zamku plakaty dla Szymanika. Banach podobnie jak ja, przerażony jest kolorami w małej książce, ale ma nadzieję, że większa będzie OK. Ja nie

bardzo mam nadzieję. Szymanik też jest podobno przestraszony jakością. Góra urodziła mysz. Widać tak już musi być, ale winne jest to, że wszystkie moje albumy, nie wyłączając tego obecnego, kocą się za pięć dwunasta i nie ma czasu na spokojne korekty. Najlepsze dwa to album ARKAD i album RAMSAY, którym tak pogardza Dmochowski i publiczność. Może więc publiczności spodobają się te przeczerwienione kolory?

Sobota 25.9.1999

Postanowiłem jeszcze przed wyjazdem do szpitala, zniszczyć po powrocie ostatecznie wszystkie negatywy, które wysortowałem jeszcze z końcem sierpnia. Początkowo myślałem, że wywiozę je na działkę i całe pudło, nie otwierając, spalę w kominku, ale urzęduje tam teraz Kamil z żoną i dziećmi, a jesień się zbliża, w każdej chwili i ja mogę zniecka się przekręcić, więc trzeba to było zrobić w domu. Nie bardzo miałem wizję jak tego dokonać w mieszkaniu, nie osmalając ścian i nie ryzykując pożaru. W tym celu poświęciłem aluminiowy garnek, w którym Zosia robiła zwykle bigos. Można go będzie odczyścić na ostro proszkiem lub specjalną myjką z cienkich drutów, o ile w ogóle garnek ten będzie miał jeszcze do czegokolwiek służyć Tomkowi, bo nie mnie: ja go nie potrzebuję. Wyjmowałem filmy z torebek i palilem sukcesywnie na balkonie w garnku, by nie wywołać nadmiernego ognia, osmalenia ścian i nie daj Bóg pożaru. I tak mimo otwartego okna z balkonu, zrobiło się tam gorąco jak w piecu. Klisze na błonach ciętych 9/12 pociąłem w niszczarce do dokumentów, gdzie pociąłem też wszystkie puste torebki po filmach, zaś klisze szklane włożyłem do tego samego garnka, w którym palilem negatywy i gotowałem w wodzie przez pół godziny w nadziei, że spłynie z nich emulsja ale w większości wypadków była garbowana w formalinie, więc w końcu zeskrobałem ją na mokro nożem i klisze wyrzuciłem do zsypu. Zosia nie pochwaliby osmalenia garnka, ale chyba powinna być zadowolona, że nic już nie zostało. Zajęło mi to czas od godziny 15:40 do 17:45. Mówiąc inaczej ze sporym wysiłkiem usunąłem ze świata, który jest złudzeniem, rzeczy, które nie istnieją i nie istniały. Czy teraz nie istnieją w większym stopniu niż poprzednio? Nie można przecież nie istnieć w stopniach: większym lub mniejszym. Było to jak amputacja nogi we śnie, tylko ze snu budzi się nasza świadomość, a tu i nasza świadomość jest częścią

snu. Dobrze, że mam to z głowy. Było mi przykro, bo Zosia na niektórych zdjęciach bardzo ładnie wyglądała (lata 1953/55) ale wiedziałem, że nie chciała, by po niej te negatywy zostały. W międzyczasie pogoda się nieco popsuła, nie pada, ale niebo się zaciągnęło na amen.

Poniedziałek 27.9.1999

Dmochowski przysłał francuską edycję książki „Zmagania o Beksińskiego”, którą wydał obecnie pod tytułem „Notes sur la situation générale (historique d'un échec)”. Nakładem autora: Edité par l'auteur. Kto to przeczyta we Francji? Każdy chciałby wyszarpać dla siebie choć kawałek wieczności: na jakiejś półce w jakiejś bibliotece lub choćby w jakimś banku danych na jakimś dysku wraz z setkami tysięcy podobnych książek, które nikogo nie obchodzą. Jednak pozostaje nadzieja. Może ktoś zajrzy. Może pomyśli o autorze. Może coś dla siebie w niej odnajdzie. Choćby wspólny sposób myślenia o rzeczach. Parę spostrzeżeń, które zachowały jeszcze aktualność. Żal mi go. Wszystkich mi żal, a siebie najbardziej. Czy w ogóle istnieje klucz otwierający drzwi do obszaru Prawdy?

Sobota 9.10.1999

Wróciłem ze Sanoka o godzinie 16:45, a wyjechałem spod hotelu dziś rano o godzinie 11. Zapisuję kolejno, co zdarzyło się przez ostatnie dwa czy trzy dni: W czwartek przyjechał po mnie FIAT Tempra z Sanoka około godziny 12:30 i zaraz wyruszyliśmy w drogę. Kierowca jechał ostro i bardzo pewnie, ale samochód był już cokolwiek sfatygowany i gwizdał niczym piszczałka od organów na rozmaitych wysokościach i z rozmaitym intensywnością w zależności od szybkości. Może to była wina nie całkiem szczelnego szyberdachu? Oprócz kierowcy był jeszcze jeden pan, który zapewne służył za przewodnika. Siadł z tyłu, a ja siedziałem obok kierowcy. W zasadzie przez cały dzień było umiarkowanie pogodnie, a jeśli nawet padał w jakimś rejonie deszcz (w rejonie Tarnobrzegu) to padał zanim tam dojechalśmy, a my jechaliśmy tylko przez zalane wodą ulice, ale prześwitywało już słońce i deszcz już nie padał. Dwa razy wychodziłem się wysikać w krzaki, a obaj panowie także. W Sanoku w hotelu Jagiellońskim byłem około godziny 18:30. Zjadłem 3 z 4 kanapek, które przygotowałem sobie w Warszawie i wypilem jedną colę light z puszki.

Zadzwońiłem do Jerzyków, że wpadnę do nich na następny dzień wieczorem, ale prosiłem, by było bez jedzenia, bo rano mam program, a potem muszę wracać i nie chciałbym biegać w krzaki o ile będzie deszcz, a następnie zawiadomiwszy o swym przybyciu Banacha, pojechałem taryfą do Janki i Romka. Wróciłem przed północą i położyłem się spać. Rano wstałem, zjadłem ostatnią kanapkę i wypilem pół puszki coli zażywając OMNIC i chciałem pojechać najpierw na cmentarz, ale uzmysłowiłem sobie jeszcze przed wstaniem z łóżka, że nie kupiłem w Warszawie i nie przywiozłem zniczy, a Zosia zawsze zapalała znicze. Nie wiedziałem, o której otwierają kiosk przy kaplicy cmentarnej, więc najpierw pojechałem do Muzeum. Stamtąd jedna z pracownic (szczupła i wysoka czarna pani, której ciotką była nie żyjąca już malarka i nauczycielka rysunków Lorencowa, która, gdy byłem chłopcem, udostępniła mi pierwsze w moim życiu olejne farby, bym popróbował nimi malować - napacykowałem z trudem bohomas z widokiem na klasztor Franciszkanów, który to bohomas, potem przez lata zdobył biurko mojej matki. O dziwo Lorencową doskonale pamiętam) zawiozła mnie najpierw do kaplicy cmentarnej, gdzie w kiosku kupiłem znicze (pracownica administracji dała mi spis osób leżących w grobowcu na tyle dokładny, na ile istnieją zapisy w księgach cmentarnych, a więc raczej niezbyt dokładny - prosiłem o taki spis, gdy tam ostatnio byłem), a potem poszliśmy na nasz grobowiec i zapaliłem je. Potem z cmentarza zadzwoniłem się z komórki z Pielechem i ustaliliśmy, że 400 zł za to, co zrobił, przekaże mu Jerzyk, a ja nie będę się już z nim spotykać, bo mam zbyt napięty czas. Pojechaliśmy do Muzeum, gdzie zabrałem się za podpisywanie plakatów. Podpisałem 100 sztuk, gdy przyjechał Szymanik i razem poszliśmy na Zamek, by zobaczyć miejsce, gdzie się to wszystko miało odbywać. Było tam cholernie zimno, więc poprosiłem tą panią, która poprzednio wiozła mnie na cmentarz swoim maluchem, by kupiła mi w mieście jakieś ciepłe podkolanówki. Potem Szymanik podwiózł mnie pod hotel i około 12:20 zjadłem tam „zestaw wędlin” z kawą, czyli zestaw śniadaniowy, aby na wszelki wypadek wypełnić czymś żołądek. Zaraz potem wróciłem taryfą na Zamek i podpisałem następne 100 plakatów. Ta sama pani, co poprzednio, odwiozła mnie do hotelu, gdzie położyłem się na chwilę, a nawet przysnąłem. Dała mi też dwie kupione w mieście pary ciepłych, długich skarpet. Nie było

w mieście podkolanówek, tym niemniej włożyłem jedną parę. Była godzina 15. O godzinie 16:20 pojechałem do Muzeum, gdzie byli już: Banach Szymanik i jego żona z synem. Po krótkiej wspólnej rozmowie, poszliśmy na Zamek, gdzie kłębił się już tłum taki jak na wernisażu. Stały już dwie kamery z telewizji rzeszowskiej i sanockiej kablówki. Podeszło do mnie kilka znajomych osób, między innymi ojciec Rogowskiego, Turkowski i wreszcie panienka z telewizji rzeszowskiej, która dzwoniła w czwartek, przepraszając teraz i odwołując kręcenie programu z chodzeniem po Sanoku w sobotę, bo niestety nie dostała kamery. Spadł mi kamień z serca. Od Rudaka, do którego zadzwoniłem po południu z hotelu, dowiedziałem się, że jest to jakiś program cykliczny, raczej wysilony i w żadnym wypadku nie ma związku z promocją mego albumu, lecz tylko chodziło zapewne o wykorzystanie mej obecności w Sanoku. Imprezę rozpoczęło przemówienie Banacha. Potem mówił Szymanik, a potem Banach zadał mi pytania, które miał mi zadać Szuber, ale Szuber akurat się rozchorował. Potem z sali zaczęto zadawać mi pytania, ja odpowiadałem, tyle tylko, że mikrofon był za nisko, bo dopasowany był do wzrostu Banacha, więc musiałem się pochylać. Po jakiejś godzinie, impreza się zakończyła, odebrałem gratulacje, kwiaty i pisemne podziękowanie z rąk Magistrackich Pierogów, wystrojonych w oficjalną czerń i przystąpiono do podpisywania. Zrobiło się tak ciepło na skutek ilości ludzi i reflektorów telewizyjnych, że zdjąłem kurtkę i nawet podkolanówki były niepotrzebne. Pierwszy do podpisywania zameldował się Olbert, prosząc bym podpisał coś dla wnuczka w stylu „Grzesiowi” czy też „dla Kazia”. No to się zaczęło... Każdemu teraz musiałem pisać „dla Marysi” dla „Asi i Władka” i tak dalej. Ze dwa razy nawet się przesłyszałem i pomyliłem, bo zamiast „dla Arka” napisałem „dla Darka” ale był taki gwar, że nie sposób było usłyszeć, o co mnie proszą. Gdy nareszcie skończyłem, a było tego co najmniej 200 podpisów, poszliśmy do dyrekcji Muzeum, gdzie wzięły mnie w obroty kolejno dwie panie: jedna z radia Rzeszów, a druga z jakiejś gazety. Razem co najmniej godzina, jeśli nie półtorej. Tej drugiej dałem adres internetowy z prośbą, by przysłała tekst do autoryzacji. Wprawdzie Szymanik zapraszał wszystkich na obiad do restauracji, ale obiecałem już pójść do Jerzyków, więc się wymówiłem i dojechałem do nich około godziny 20:20. Siedziałem do około 23. Wypiłem jedno piwo i zjadłem kilka

kanapek z wędliną, bo byłem cholernie głodny. Po powrocie do hotelu spałem dobrze i rano około godziny 8 pojechałem na cmentarz. Palily się jeszcze oba moje znicze. Już w piątek była koncepcja, by zanieść tam trzy czy cztery bukiety kwiatów, jakie dostałem od dyrekcji Muzeum i Władz Miejskich, aliści była już późna godzina i nie wiedziałem czy jechać na cmentarz czy prosić kogoś, by je tam rano dostarczył. W rezultacie stanęło na tym, że powsadzają je do jakichś wazonów w Muzeum. Może trzeba było położyć je na grobowcu, ale jakież to ma znaczenie? Nigdy Zosi nie dawałem kwiatów i nie ma sensu, bym zgrywał się po jej śmierci. Jeśli gdzieś jest w jakiś sposób i w jakiś sposób mnie widzi, to wie, co do niej czuję. Gdy pisałem ostatnie słowa, zadzwonił telefon, ale wrzasnęło tylko jakieś dziecko. Czyżby to był wyczekiwany Znak? Smutno było na cmentarzu. Nie śpiewał ani jeden ptak. Liście poszarzały. W powietrzu wisiała wilgoć po deszczu, który lekko pokropił w nocy. Wróciłem do hotelu i potem do wyjazdu siedziałem już u siebie w pokoju. Wyjechaliśmy punktualnie i przez cały czas nie padało. Zaczęło dopiero w okolicach Zwolenia (w obie strony jechaliśmy przez Kozienice) i potem nasilało się w trakcie zbliżania do Warszawy. Teraz słyhać bębnienie po parapecie. W domu jest ciepło, zaczęły grzać kaloryfery.



Fot. Z. Beksiński, *Na moście*, 1955 r.

Czwartek 11.11.1999

Nad ranem śniła mi się Zosia. Bardzo rzadko przychodzi do mnie w snach, albo może zapominam te sny. Było to w naszej sypialni. Patrzyła na mnie z bliska, zaś ja siedziałem gdzieś w rejonie wezglowia mego tapczanu, a ona plecami do okna obok szafy. Głowę miała na poziomie moich oczu. Była niezmienniona i bardzo wyraźna, bo w poprzednich snach była albo zamazana, albo miała częściowo przekształconą twarz. Patrzyła mi z bliska prosto w oczy i nagle zaczęła osuwać się na ziemię. Pomyślałem, że coś się jej mogło stać, że traci przytomność i już w tym momencie jakby pamiętałem, że nie żyje. Wyglądało, że odgrywa przed mną swoją śmierć. Leżała już bokiem i twarz jej zżółkła, objąłem ją i coś do niej mówiłem, ale sen się skończył i obudziłem się.

Rano piękna pogoda, a miałem zamiar przez dzień cały siedzieć przy nowym komputerze i instalować oprogramowanie. Teraz jestem w rozterce. Może jednak malować? Temperatura już jesienno zimowa $-2,3^{\circ}$.

Środa 1.12.1999

Boże jak mi się chce spać! Na dworze leje już od południa. Zaczyna na okna, bębni po parapetach. Ciśnienie spadło. Temperatura w tej chwili (22:35) wynosi $5,8^{\circ}$. Miejmy nadzieję, że w nocy nie złapie mróz i nie zrobi się gołoledź. Ugotowałem sobie obiad na 4 dni. Stereotypowo, bo nie chciało mi się myśleć: ryż i sos ze słoika z wołowiną w sosie własnym. Siądę chyba i pogapię się w telewizor.

Piątek 10.12.1999

Przyszedł Tomek. Ponury jak zwykle. Coś nadał czy odczytał mailem i poszedł bez pożegnania. Próbowałem zagadać, a propos łomotu nad głową, ale nie zareagował. Znowu gorzej wygląda. Nie wiem, co tam się ponownie zaczęło sypać, ale ewidentnie jest teraz w nieporównywalnie gorszym nastroju niż przed kilkoma dniami.

Poniedziałek 13.12.1999

Wczoraj pracowałem na komputerze całe popołudnie do późnego wieczora. Wieczorem był przez kilka minut Tomek: ponury jak zwykle. Odpowiedział monosylabami na jakieś moje pytanie, po czym spraw-

dziwszy i nadawszy pocztę, poszedł. Zostawił tylko jakieś pieniądze, które mam przekazać przez Jerzyka, panu Rogowskiemu w Sanoku. Nie mogłem zasnąć. Mimo, iż położyłem się już 10 minut po północy, to jednak o godzinie 1 jeszcze daleko mi było do spania. Miałem jakiś napływ czarnych myśli, czułem się sam i opuszczony przez wszystkich. Na regale stoi wspólna fotografia jeszcze z Sanoka: mój ojciec, moja matka i Zosia. Nikt już nie żyje. Tomek patrzy na mnie wilkiem i grozi samobójstwem. Bardzo mi go żal, ale co mogę zrobić. Gdyby był zadowolony z życia, to ja czułbym się o wiele mniej opuszczony przez wszystkich.

Czwartek 23.12.1999

Pochmurno ale przebija trochę słońca. Sucho. Temperatura -5° . Wczoraj, gdy na chwilę wyszedłem do Tomka, nagrał się na reponder K. z informacją, że ma już okno i do wstawiania przystąpimy 27 lub 28, o ile nie będzie mrozu. O ile nie będzie, bo wszystko wskazuje na to, że będzie. Dziś około godziny 11 ma przyjechać Stapowicz, bo wyprzedano wszystkie 5 aniołów ze ścierki i na gwałt dodrukował następne i chce, by były na Święta. Przyjedzie tylko po to, bym dodruki podpisał. Dlaczego akurat ta praca ma takie wzięcie? Widać oceniana jest jako najlepsza. A może dlatego, że jest na okładce foldera?

Wczoraj wieczorem dwukrotnie biegałem do Tomka, który postanowił jednak przeleżeć Święta i wykurować się. Podobno ma zapasy żarcia, ale prosił o witaminę C, oraz o nadanie korespondencji. Rogowski przysłał mu jakąś listę filmów na DVD, która zawierała aż 60 stron. Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze przed Świętami trzeba będzie dokupić czarny tusz do drukarki. Może ustawić tam też starą drukarkę i zrobić przełącznik? Nie bardzo mam wyobrażenie jak ją zmieścić.

Piątek 24.12.1999

Rano piękna pogoda. Temperatura $-7,6^{\circ}$. Nic nie wskazuje na to, że za trzy dni temperatura będzie sprzyjać wbudowywaniu okna w kuchni. Od rana od 7:15, zabrałem się za fotografowanie zaczerwienionego nieba na wschodzie, bo prostym gradientem takiego nieba nie zrobię, programem do kreowania nieba też nie, a od czasu do czasu może mi się przydać. Niestety światło jest nieco za słabe. Grudzień. Najgorszy okres. Od wczoro-

rajszego popołudnia mam jakiś nowy typ bólu lewej strony głowy od góry. Takie jakby lupanie, jakby coś tam się działo. Zawsze najbardziej obawiam się wylewu, ale ciśnienie mam w normie.

Wczoraj wieczorem przed spaniem miałem fatalny nastrój. Przygnębienie. Niepokój. Może to związane z narastaniem mrozu? A może z Tomkiem, gdyż znowu wygląda na to, że jest w gorszym nastroju. Dwukrotnie przychodził nadać korespondencję, ale ani razu nie zajrzał do mnie. Raczej ja, usłyszawszy ciche otwieranie drzwi lub włączanie modemu, zaglądałem co się dzieje. Cały dzień nic nie robiłem. Odpowiedziałem na dwa listy i wieczorem pojechałem na pocztę, by je wrzucić i nadać, bo w jednym z nich wysyłałem facetowi płytę z kopią utworu „Wyspa umarłych” Regera.

Sobota 25.12.1999

Rano piękna pogoda. Temperatura $-7,5^{\circ}$. Ciśnienie mam jednak stosunkowo wysokie (164/84). Rano miewam ciśnienie skurczowe przeciętnie około 132 do 138. Miałem wczoraj trudności z zaśnięciem, ale potem spałem stosunkowo dobrze, albo aż za dobrze. Może dlatego, że przed snem zażyłem panadol, bo bolała mnie głowa? Przedtem oglądałem na żywca jakiś kretyński film z RTL7, bo na obu magnetowidach nagrywały się westerny dla Tomka. Do godziny 0:30 nie nadszedł już żaden list i nikt nie dzwonił. Rano sfotografowałem kilka wschodów słońca przez okno, a teraz trzęsączka powróciła, ale nic już nie mogę zrobić innego jak tylko czekać. Boże co za Święta! Myślałem, że przejdę przez nie w jakim takim spokoju: malując i przed komputerem. Pewnie tak właśnie je przejdę, tyle że bez spokoju.

Minęła już godzina 8:45, a parking i otoczenie w zasięgu wzroku przypomina miasto po zagładzie atomowej z filmu „Ostatni brzeg”. Nie ma żywego ducha. Całkowita grobowa cisza i brak ruchu. Latają tylko ptaki.

Malowałem do obiadu, ale jakoś nie mam apetytu. Może jeszcze zjechać? Niechby ktoś zadzwonił, ale telefon milczy. Obraz już chyba skończony. Co w nim jeszcze można dodać. Chyba tylko zepsuć. To chyba jeden z najlepszych, jakie w tym roku wypociłem. Słaba to pociecha.

Około 12:45 skończyłem obraz 136=V2. Oceniam go jako jeden z najlepszych w tym roku. Już więcej obrazów tego roku na pewno nie namaluję. Był to rok bardzo ubogi w ilość, ale chyba niezły jakościowo. Gdyby tylko nie kłopoty. Namalowałem w sumie 21, a właściwie 20 obrazów, bo pierwszy pochodził z 5 stycznia i trzeba go chyba zaliczyć do roku ubiegłego. Nie, po prostu namalowałem go szybko, między 29 grudnia i 5 stycznia i poszedł potem do Galerii. Tak więc, jeśli za podstawę przyjmę liczbę 21, to pięciu pierwszych już nie mam, bo jeden wziął Rosikoń, trzy galeria, a jeden jest w Sanoku. Teraz wydałem już właściwie (mimo iż czeka jeszcze w domu) jeden Ochmanowi na aukcję do USA (nawet nie wiem na jaki cel), tak więc 21-6 daje w sumie 15 sztuk i te posiadam jeszcze w domu. Mógłbym z tego zrobić już wystawę u Wahl.

O godzinie 14:40 próbowałem zadzwonić do Tomka, ale sytuacja była taka jak poprzednio: automatyczna sekretarka i wyłączona komórka. O ile postanowił się (jak zapowiadał) przez Święta wyizolować się i wyleżeć, to ściszył sekretarkę i wyłączył telefon w pokoju przy tapczanie oraz komórkę. W przeciwnym wypadku i tak nic już nie pomogę. Na dworze zachmurzyło się już ostatecznie. Temperatura $-1,8^{\circ}$. Nie widać prawie żywego ducha. Grobowa cisza. Do mnie absolutnie nikt nie dzwoni. W komputerze nie ma żadnego maila. Tak jakby wszyscy wymarli. Czyżbym w końcu został absolutnie sam? Jestem bezradny. Nie umiem zabrać się do pracy. Może coś szkicować? Ręce mi drżą. Człowiek w takiej sytuacji, myśli tylko o sobie.

O godzinie 15 znalazłem klucz. Leżał w porcelanowej donicy w przedpokoju, w której szukałem już wczoraj, ale szukałem na wierzchu, a on przykryty był i leżał całkiem na spodzie. Poszedłem do Tomka, ale on już nie żył i był zeszytywniały.

Poniedziałek 27.12.1999

Rano niebo szczelnie pokryte chmurami. W nocy napadało sporo śniegu. Teraz już nie pada. Temperatura $-0,4^{\circ}$. Nie wiem jak będzie z tym montażem okien, ale myślę, że K. jeszcze zadzwoni. I tak nie obiecywał, że

przyjdzie wcześniej niż w południe. Około 9 ma być Emil, by zabrać wraz ze mną obrazy od Tomka. Około południa Grzesiek z Dźordżem.

Wczoraj wieczorem byli najpierw Turscy od około 18, a potem późnym wieczorem Joanna. W trakcie pobytu Turskich, zadzwonił Leśniewski z zapytaniem, co się dzieje z Tomkiem. Może już coś słyszał i chciał zweryfikować. Bardzo to nim poruszyło. Potem, gdy była Joanna zadzwonił Materna z „Gazety Studenckiej” z kondolencjami i informacją, że program 3 podał informację o śmierci Tomka. Przed północą dzwoniła jakaś studentka z Łodzi, popłakując i smarkając oraz pytając, czy mógłbym jej listy do Tomka znaleźć u niego i jej zwrócić. Poszukam dziś, gdy pojedę z Emilem po obrazy, ale nie mam pojęcia gdzie (i czy) Tomek przetrzymywał listy.

Powoli, bardzo powoli, dochodzi do mej świadomości to, że jestem już całkiem sam. Tzn. wiedziałem to od początku, a nawet przez śmiercią Tomka, ale teraz pojawiają się szczegóły techniczne. Np. drzwi wejściowych nie trzeba już zamykać zamkiem ABLOY, lecz zasuwą. Nikt przecież nie ma do mnie klucza (może przekazać komplet Bogdanowi?) i nikt nie będzie mógł drzwi otworzyć, gdy nagle mi się coś stanie. Upraszcza to zamykanie, ale komplikuje życie. To zaledwie jeden z elementów, które teraz zaczynają pojawiać się jak rafa podczas odpływu.

Dla kogo właściwie piszę to wszystko? Tylko dla siebie? Przedtem pisałem z myślą, że Zosia przeczyta po mej śmierci. Później z niewielkim cieniem nadziei, że zajrzy do tego Tomek, ale przecież ja nie zajrzałem do notatek mojej matki, a nawet nie chce mi się słuchać taśm nagranych przez Tomka. Na razie także boję się ich słuchać, ale jednocześnie nie chce mi się, bo przewiduję co tam znajdę. Komu będzie się chciało czytać jaka była na Służewiu pogoda rano w poniedziałek 27 grudnia 1999. Dla kogo robić wszystkie inne notatki. Dla kogo wreszcie malować?

Wtorek 28.12.1999

Powoli wszystkie wątpliwości odnośnie ceremonii, zaczynają się wyjaśniać. Miałem już parę telefonów w tym od Tadzika Baruckiego, zgodnych co do tego, że ceremonia związana jest z kremacją ciała. A więc najprawdopodobniej uroczystość pogrzebowa odbędzie się w Warszawie. Dzwonił Dmochowski. Bardzo poruszony. Dzwoniłem do Banacha, mó-

więc o obrazach i o tym by jak najszybciej je zabrali, bo mieszkanie jest puste, a to że Tomek umarł, staje się powszechnie znane, tak więc trzeba się liczyć z możliwością włamania. Lepiej jak najszybciej wszystko, co się tylko da, stamtąd zabrać.

Dzwonił Banach. Przyjadą po obrazy jutro, między godziną 11 i 12.

Czwartek 30.12.1999

Rano pochmurno. Temperatura $-0,4^{\circ}$. Spałem raczej dobrze, bo byłem wczoraj potwornie wykończony. Nie tyle zmęczony, co wykończony. Niewyspanie połączyło się ze stresem i przemęczeniem. Stres wynikał głównie z faktu opróżniania mieszkania Tomka, gdyż to, co dopieszczał i kolekcjonował, budował własnym wysiłkiem i własnymi rękami przez lata, ulegało teraz błyskawicznej destrukcji. O godzinie 12 (wczoraj) zadzwonił George, że już jest pod mieszkaniem Tomka, a chwilę potem, gdy się już ubierałem, zadzwoniono do drzwi gdyż przyjechała furgonetka z Sanoka. Ubrałem się i furgonetką podjechałem do bloku Tomka. Czekał tam już George. Wszyscy poszliśmy na górę. George z kartonami, a pracownicy Muzeum ze skrzynią. Nie wiem, do której to trwało, ale Sanok odjechał o godzinie 13:50. Jeszcze nie wiem jak dojechali, bo w rzeszowskim są cholerne śnieżyce i drogi oczyszczane są przez plugi, ale jechać można najwyżej 50 km/godz. Zadzwoniłem do Banacha na komórkę, że już odjechali. Jechał właśnie do rodziny do Rzeszowa i mówił że jest śnieżyca i zaledwie się wlecze.

Piątek 31.12.1999

Kupiłem Gazetę Wyborczą i jest tam już nekrolog Tomka, który zanieśliśmy do Domu Pogrzebowego wczoraj, jak też rodzaj epitafium od jego znajomej sprzed lat, którą nie wiem dlaczego nazywano „Kurczak”. Wczoraj było coś podobnego podpisane „A”, więc chodziło pewnie o Asię. Nie chciałbym z nimi wszystkimi stykać się osobiście, ale będzie to może nie do uniknięcia.

Dzwonił z Sanoka Banach, informując, że znalazł kogoś, kto będzie mówił w Sanoku. Jest to kolega Tomka Andrzej Wilk. No to dobrze, że jest

ktos, kto coś powie. Banachowi nie była jeszcze znana data ceremonii ani w Warszawie ani w Sanoku, więc przekazałem mu teraz pełną informację. Jeśli idzie o Warszawę, to zdjęcia zrobi jakiś reporter z telewizji, z którym skontaktował mnie Gajewski, ale muszę jeszcze poprosić kogoś, kto zrobi zdjęcia pamiątkowe w Sanoku. Nie wiem czy lepiej prosić, by znalazł kogoś takiego Jerzyk, czy też lepiej Banach. Zadzwońię teraz do Jerzyka, a potem zobaczymy.

Jeśli można dokonać na koniec roku i na koniec wieku podsumowania, to chyba dobrze się stało, że umieramy w mojej rodzinie w tej kolejności. Gdybym odszedł pierwszy, a teraz umarł Tomek, to dla Zosi byłoby to nieporównywalnie cięższe przeżycie niż dla mnie. Nie można sobie nawet wyobrazić jej cierpienia i zagubienia. Gdybyśmy umarli oboje w dowolnej kolejności, to Tomek sam, chyba nie dałby sobie rady ze swym życiem i światem realnym. Tak jak się stało, stało się najsprawiedliwiej i nie można uważać, że Bóg się na nas wziął. Ja mam najgrubszą skórę i ja zostałem na deser. Boję się cholernie przyszłości, ale wiem, że ją udźwignę. Oczywiście mogliśmy wszyscy żyć jak szczęśliwa rodzina z filmu, a Tomek mógł nie mieć problemów, ale czy nasze problemy, mimo ich ciężaru, były aż tak nie do zniesienia w porównaniu z problemami innych ludzi, o których się czyta?

Wysłałem listy do Rogowskiego i do George'a. Dochodzi godzina 18. Co niecierpliwi od godziny odpalają już rakiety. Telefon umilkł. W porównaniu z ostatnimi dniami, zapanowała upiorna cisza. Zostałem sam ze swymi myślami.

Wieczorem jednak dzwonił najpierw Paweł Dobrzycki, potem Mietek Szporna, potem Krzysia, a na końcu Zawadzki, zapraszając mnie bym przyszedł do nich, ale podziękowałem. Minęła już godzina 20. Zjadłem na kolację ryż i sos słodko kwaśny z jarzynami i wołowiną produkcji Tomka. Teraz chyba puszcze sobie jakiś film, bo przed zakończeniem wszystkiego i przed powrotem z Sanoka, nie będę się brać do żadnej pracy. Może jednak popracuję jutro na komputerze? No bo co robić?



Beksiński jako panna młoda, Sanok lata 60.

Sobota 1.1.2000

Minęła północ. Strzelanina jakby o odcień mniejsza niż w latach poprzednich, a może to efekt zamkniętych okien. Specjalnie czekałem, bo obawiałem się, że mnie obudzi. Za jakieś 15 minut wszystko powinno się skończyć. Próbowałem około godziny 22 dodzwonić się do Hosera, ale nie było go w domu. Około 22:30 zadzwoniła do mnie Joanna. Poza tym panuje grobowa cisza. Oglądam jakieś kawalki filmów w telewizji. Trochę boli mnie głowa, trochę chce mi się spać. Przypominam sobie, że data „rok 2000” była w moim dzieciństwie czymś mitycznym i nieprawdopodobnie odległym. Małą miałem nadzieję, że dożyję, ale liczyłem, że jakoś się postaram. Wyobrażałem sobie siebie jako zgrzybiałego siwego dziadunia, który doczłogał się jakoś jak na Mont Everest. I co. Doczłogałem się. Pewnie też jestem dziaduniem, gdy patrzy się z perspektywy dziesięćlatka, ale właściwie w środku nie tak wiele się we mnie zmieniło. Może tylko ten chłód zbliżającej się śmierci, który uniemożliwiłby mi np. zakochanie się. I to, że otaczają mnie już duchy. I to, że nie ma nawet się z kim podzielić refleksją. No i już cichną strzały. Coś z pozoru tylko ważnego minęło, ale nic istotnego się nie zdarzyło. Jak zwykle było to oczekiwanie na cud. Ja zresztą nie czekałem, ale to oczekiwanie widoczne było w mediach. Puknęło i zgasło, jak te żalosne sztuczne ognie na Służewiu, a jutro dzień jak co dzień.

Rano pochmurno. Temperatura 0,4°. Gdyby tylko taka temperatura chciała utrzymać się do końca wszystkich (w tym sanockich) ceremonii pogrzebowych. Obawiam się jednak, że zacznie sypać śnieg i chwyci wysoki mróz. Wczoraj trochę odpocząłem od młyna, jaki panował w dni poprzednie i dziś zaczyna do mnie docierać okropność tego, co się stało. W oczach mam stale postać wychudzonego Tomka leżącego na podłodze. Zaciera się trochę wyraz jego twarzy. Był chudy, bo od sierpnia, na skutek napięcia psychicznego, stracił apetyt i mało jadł. Biedny chłopak. Rozumiem też teraz jego wybuch, gdy przyszedł tu z jakąś dziewczyną w dniu chyba 23 grudnia. Grał tylko rolę, a wewnątrz już dokonał wyboru i czekał tylko, by się wszyscy od niego odpięprzyli. Czy było z tego labiryntu jakieś wyjście? Nie.

Poniedziałek 3.1.2000

Rano ciemności. Temperatura plusowa 1,7°. Spałem dobrze, ale mam bardzo niepewne krzyże i w każdej chwili może mnie lupnąć postrzał. Dziś o godzinie 12 jest identyfikacja ciała i boję się tego momentu. Coraz bardziej prześladuje mnie wspomnienie tego jak leży i widzę jego biedne wychudzone ramiona i jakiś żal przepelnia mnie do tego stopnia, że boję się, bym nie dał przedstawienia. To wreszcie tylko ciało. Piszę ciało, a nie zwłoki, bo to drugie określenie bardzo zawsze raziło Zosię. No cóż: dziś Tomek przestanie istnieć w sensie materialnym. Czy istnieje gdzieś w innym sensie? Boże, gdybym to wiedział... Co to znaczy „istnieć”. Oglądać przez kilkadziesiąt lat ten film, który nazywamy życiem? Jeśli wykluczyć nasze wyobrażenie czasu, to wszystko, co nie istnieje, ma jednak jakiś byt poza czasowy, ale przecież nie o taki byt nam chodzi. My chcielibyśmy nadal oglądać film. Tomek jednak mówił i pisał, że tego właśnie nie chciał. Czy on i Zosia odeszli do nicości? Zosia jakby się ode mnie oddaliła. Czy „była” tu tylko dlatego, że był tu jeszcze Tomek? Czy też jeszcze wróci. Może wrócą razem? Bardzo potrzeba mi ich „obecności”. To myślenie magiczne.

Rozważam też sprawę wyjazdu do Sanoka. A jeśli będę mieć wypadek i zginę. Czy nie należałoby zniszczyć już teraz całego nagranego dziennika Tomka? I jego listów do mnie? No, ale z dziennikiem jeszcze się nie zapoznałem i liczę, że będę to robić sukcesywnie, przez cały rok, o ile wytrzymam, bo wczoraj słuchałem ostatniej taśmy i już miałem dość. Jest to myślenie maniakalne, które już znam, ale jest to jakaś pętla, wir, czy jak to jeszcze nazwać, z której nie ma wyjścia. Jeśli tego teraz nie zniszczę, a coś mi się stanie, to ktoś będzie się w tym potem grzebać. No nie, nie mogę tego niszczyć, nie zapoznawszy się z tym. Tomkowi jednak chyba zależało na tym, bym poznał jego problemy.

Środa 5.1.2000

Szukam wszędzie znaków od Tomka, tak jak szukałem ich po śmierci Zosi. Zauważyłem rano przypadkiem, że zdjęcie w pokoju Beksińskiej, przedstawiające moich rodziców i Zosię jest drastycznie przekrzywione. Jest pod szybą i wcale się nie przesuwam, gdy próbowałem tego dokonać ruszając ramką. Na próbnej fotografii nowym aparatem z dnia 4 grud-

nia, zdjęcie jest jeszcze prosto ustawione. Od tego czasu mogła je ruszać Gostkowska w trakcie sprzątania lub madame Pytlakowska w momencie, gdy wyszedłem z pokoju, chociaż jak mi się wydaje nie wychodziłem. Był też Jerzyk i może jeszcze ktoś, ale przecież ludzie (poza Pytlakowską, która szukała zdjęć i Gostkowską, która sprzątała) nie ruszają fotografii w ramach stojących na regale. Czyżby to był jeden ze znaków? Nie zauważyłem też tego przekrzywienia ani wczoraj, ani poprzednio i dopiero dziś rano rzuciło mi się w oczy. Jeśli są znaki, to zawsze dwuznaczne, ale czego wreszcie mogę oczekiwać? Gwarancji notarialnej?

Wstałem o godzinie 5:45. O godzinie 6 zjadłem trochę wędliny i zażyłem potem OMNIC. Miejmy nadzieję, że przetrzymam to wszystko, że mój pęcherz przetrzyma. Wczoraj piłem mniej płynu niż normalnie. Temperatura teraz o godzinie 7 wynosi 1,9°.

Zrobiłem zdjęcie półki z przekrzywioną fotografią. Zestawię te zdjęcia razem na pamiątkę.

Wyjechaliśmy punktualnie. Banach przyszedł o godzinie 8:40 i zaraz zeszedł na dół. Na dole czekał już samochód z telewizji. Siąpił od czasu do czasu drobny deszczyk. Od czasu do czasu zaczynało padać gęściej. Nie było korków więc dojechaliśmy o godzinie 9:30, czyli na godzinę przed terminem. Ceremonia pożegnania Tomka miała się odbyć w sali A. Wróciliśmy do wozu i raz jeszcze zajechaliśmy przez boczną bramę przed samą kaplicę. Powoli grupowali się tam ludzie i okazało się, że to wszystko już w związku z Tomkiem. Ponieważ na dworze było koszmarnie zimno z powodu chyba wilgotności powietrza, a może z powodu niskiego ciśnienia, to zostałem w wozie i nie wyszedłem nawet wtedy, gdy widziałem, że nadciągają Emilowie, Wańkowie i Ochman, przedtem bowiem wszedłem na moment do środka i na sali było wręcz lodowate zimno. Pięć minut przed rozpoczęciem, weszliśmy jednak na salę i zajęliśmy miejsca w pierwszym rzędzie. Po chwili dosiadł się Janek Hoser. Zaczęły grać organy i Mistrz ceremonii zabrał się za celebrowanie, które nosiło wszelkie cechy stylistyczne zachowania się księdza tyle, że było nieco mniej sprawne. Pod koniec (uzgodniwszy to najpierw ze mną w samochodzie) podziękował w moim imieniu za liczne przybycie i prosił też

w moim imieniu o nie składanie kondolencji. W momencie, gdy leciała z głośników piosenka Ani Najman, Mistrz ceremonii zdjął z postumentu urnę i wręczył ją Grześkowi. Ja też wstałem i udaliśmy się do wyjścia. Na dworze jednak podeszli Emilowie, Turscy, Wańkowie, Andrzej z Jurkiem i inni. Czekałem najpierw przy wozie, bo Grzesiek uprzątnąć musiał kwiaty, których naniesiono całą stertę. Czekanie się przedłużało i w pewnym momencie fałszywie ocenilem, że już przyniesiono wszystko, a była to zaledwie połowa. Tak więc przez dobre 10 lub 15 minut siedziałem w samochodzie, a wszyscy stali i na coś czekali. My czekaliśmy aż podjedzie inny samochód i zabierze resztę kwiatów. Wreszcie ten samochód nadjechał, więc ruszyliśmy z miejsca. Szereg osób zdjęło nakrycia głowy, tak więc zrozumiałem, że to żegnano Tomka, wyobrażając sobie, że odjeżdżamy już do Sanoka. My natomiast pojechaliśmy do Tomka, gdzie wyłączyłem reponder, a potem odwieziono mnie wraz z Banachem do domu, zaś Grzesiek z Czerkiesem podjechali do Dominikanów, gdzie przekazali część kwiatów, a część najmniej wędnącą załadowali do bagażnika i weźmiemy ją do Sanoka. Grzesiek część kwiatów umieścił na balkonie u Tomka, a w mieszkaniu u Tomka umieściliśmy urnę. Na balkonie u Tomka, Grzesiek znalazł jeszcze pół ogromnego gara wyladowanego chińszczyzną. Włożył ją do lodówki, twierdząc że jest jeszcze OK. Po południu przyjechał Ochman po obraz, a potem Jurek. Po przybyciu Jurka zadzwoniła Ania Orthodox i poszedłem z nią do Tomka, słowo daję, że już nie pamiętam po co. Jestem nieludzko zmęczony psychicznie i niewyspany. Aha. Po kwiat, jaki był w kuchni, bo ja nie będę podlewać i kwiat uschnie. Zabrałem przy okazji tą chińszczyznę. Wepchałem u mnie do lodówki. Może zjem po powrocie.

Sobota 8.I.2000

Rano zachmurzenie, ale na wschodzie przebija słońce. Temperatura 2,3°. Przyjechałem wczoraj o godzinie 21:55. Zjadłem Przysmak Beksińskiego, dostałem sraczkę i wykąpałem się. Byłem już tym wszystkim potwornie zmęczony. Położyłem się spać około północy i spałem stosunkowo dobrze. Teraz opisuję minione dwie doby.

Wyjechaliśmy w czwartek dopiero około godziny 14:45. Opóźnienie spowodowane było tym, że Grześka wezwano do dyrekcji na jakąś naradę.

Załadowaliśmy wieńce, które czekały na balkonie Tomka oraz urnę, która czekała na biurku w jego pokoju i ruszyliśmy przez Magdalenkę i Radom. Do Piaseczna był korek, w którym straciliśmy trochę czasu, ale potem już nie było większych problemów. Oczywiście przed wyjazdem Jurek robił typowy zamęt jak to Jurek, gdał, narzekał, że się spóźnimy, co burzyło moją koncentrację przed wyjazdem, ale jakoś udało mi się spakować. Przyjechali też jacyś chłopcy z Trójki i zabrali pudła z płytami przygotowane przez Kosińskiego. Mieszkanie jest już puste i zostały tylko dwa odczytywacze i wzmacniacze, wszystko raczej stare i mocno używane. Jeden odczytywacz ma dostać Grzesiek, a ten stary (pierwszy mój odczytywacz) chce wziąć Ania Najman.

W Sanoku, w którym panował mróz i leżały zwały śniegu, pojechaliśmy najpierw do kaplicy cmentarnej, gdzie przekazaliśmy urnę i wieńce zabrane z Warszawy. Przyjechali tam Barycki i Wilk, a potem Jayko. Rozmawiałem telefonicznie z Pielechem w sprawie założenia nowych kółek do grobowca i zostawiłem pudełko z nimi u Jayki. Umówiliśmy się wszyscy wstępnie na następny dzień. Wyszliśmy Jurka obok banku, gdzie umówiony był z Rudakiem, a mnie odwieziono do hotelu. Zadzwoiłem do Jerzyka i poszedłem tam. Była tam już Krzysia. Opowiedziałem im dokładnie co i jak się stało i około godziny 23:15 poszedłem do siebie. Po drodze zaczepił mnie jakiś młody człowiek, który przedstawił się jako syn koleżanki Tomka z klasy. Rozmawialiśmy przez chwilę. W hotelu zjadłem dwie kanapki stanowiące oprócz dwóch Marsów zjedzonych w drodze całe moje pożywienie od samego rana. Wypiłem półtorej puszki coli light i położyłem się spać. Spałem stosunkowo mocno, bo byłem zmęczony. Rano ubrałem się i leżałem trochę na pościeli, laziłem z kąta w kąt, ale nagle zadzwonił Pielech. Okazało się, że te nowe kółka są gorsze od starych, pokrzywione i nawet zaczęła je łapać korozja. Zamówiłem taryfę i pojechałem na cmentarz. Rzeczywiście Pielech miał rację, ja się im poprzednio nigdy zbyt dobrze nie przyglądałem, bo w ogóle chciałem kupić jakieś inne o ile dostanę je w Warszawie, ale cała sprawa wymiany powstała zbyt nagle, spowodowana śmiercią Tomka. Poleciłem więc wyrzucić te stare kółka i zostaliśmy przy tych, które były. Wróciłem do hotelu, a około 10:35 zadzwoniłem do Jerzyka, że idę do nich. Jerzyk szykował już wóz. Z góry zeszły Basia z Krzysią i ruszyliśmy na cmentarz.

Było sporo ludzi: rodzina z Rzeszowa i z Dynowa, koledzy Tomka i stale schodzili się kolejni ludzie. Ktoś tam prosił mnie o pozwolenie filmowania (potem widziałem, że co najmniej 2 osoby filmowały na kamerach 8 lub Hi8). Zdjęcia fotograficzne robił Jerzyk i chłopak z Muzeum. Dostałem po ceremonii 2 rolki filmu, który dam do wywołania w Warszawie. Nie wiem tylko czy w sobotę zakład jest czynny. Wraz z Grześkiem (potem doszli chyba Krzysia i Jerzyk) siedliśmy po prawej przy postumencie, na którym stała urna. Brakowało jeszcze ca 10 minut, ale gdy minął termin, a muzykę nie wiem dlaczego ktoś ściszył prawie na zero, ale dochodziło mnie, że kończy się już 1 strona taśmy i gdy dojdzie do ceremonii, to sprzęt się wyłączy. Wreszcie, gdy minął termin, kiedy wszystko miało się zacząć, ktoś podkręcił nagle muzykę po to tylko, by zabrzmiały ostatnie takty Chaconne Bacha i wszystko się wyłączyło. Mistrza nadal nie było. Poprosiłem Grześka, by przestawił taśmę, co uczynił, aliści mistrza nadal nie było, a było już 10 minut po terminie. Wreszcie Grzesiek poszedł po niego, ale gdy wrócił powiedział, że on chce mieć „wielkie wejście” i wejdzie nie od tyłu tylko od frontu. Dodał: niech się pan nie śmieje. Nagle zza głów ukazało się czerwone nakrycie głowy, będące skrzyżowaniem rogatywki z biretem rektora. Zdażyłem wyszeptać tylko bezwiednie „o Jezu” i Grzesiek ukrył pospiesznie twarz w dłoniach, a mnie nie zostało nic innego. Spuściłem głowę, by nie patrzeć na tego clowna i zacisnąłem rękę wokół twarzy. Być może otoczenie domyśliło się, ale może sądzili, że tak objawia się moja rozpacz. Mistrz głosem, który mógł obudzić umarłych z ich snu wiecznego, rozpoczął przemówienie, w którym (cytując) powołał na świadków najwybitniejsze umysły ostatnich ponad 2000 lat od Seneki młodszego po Maryłę Rodowicz. Miłosiernie tłumaczył łacińskie teksty, zaznaczając, że zapewne nie wszyscy odebrali tak jak on wykształcenie klasyczne i łacina jest im obca. Było to coś tak koszmarne, że impreza warszawska jawiła się jako szczyt dyskretnego umiaru. W końcu oddał głos kolegom Tomka, czyli Wilkowi, który miał powiedzieć coś od siebie i Baryckiemu, który miał przeczytać list od Rogowskiego. Wilk mówił cicho i może za cicho, gdyż ci, którzy nie zmieścili się w kaplicy, nie słyszeli jego tekstu (pytałem po ceremonii) ale był to dobry tekst i wzruszył mnie, podobnie jak list Rogowskiego, który przeczytał z nie najlepszą dykcją Barycki. Zaraz potem ryknął ponownie mistrz, prosząc w moim

imieniu wszystkich, by nie składali i kondolencji i polecając, by kolejno podeszli i dotknęli dłonią urny, co się zaczęło realizować przy dźwięku ostatniej części kwartetu Messiaena, bo ktoś nareszcie podkręcił muzykę, a ja przepchnąłem się na poprzek przez ogonek i poszedłem do Wilka, który stał w drzwiach sąsiedniego pomieszczenia, by mu podziękować za to, że przemówił jak człowiek i uratował ceremonię. Niestety nie umiałem zapanować nad sobą i rozbeczałem się po pierwszych słowach. On zresztą też. Powiedział potem, że chciał kopnąć tego pajaca w dupę. No cóż: pajac nadal jednak wszystkiemu jakiś rytm i dyrygował tłumem, który bez jego udziału pewnie nie bardzo by wiedział, jak się ma zachować. Tłum musi mieć rytuał i dlatego wodzirej jest potrzebny. W Sanoku jednak chyba się podobało, bo padały głosy, że nasi księża mogliby się od niego uczyć. Był to pierwszy pogrzeb świecki w Sanoku, więc może okaże się, że znajdzie naśladowców. Zniósłbym wszystko, nawet tą Marylę Rodowicz, gdyby nie ten błazeński strój. Koci ksiądz. Tak zapewne ochrzciłby go lud okoliczny. Grzesiek powiedział potem, że był to Monty Python. Pod dyktando Mistrza, Grzesiek wziął urnę, ja z Krzysią szedłem za nim, ludzi było sporo, podobnie jak w Warszawie. Poszliśmy pod grobowiec, gdzie znowu Mistrz, płosząc wrony z drzew, użył swej charyzmatycznej elokwencji. Nie mogłem już zasłaniać ust, więc zacisnąłem szczęki i wziąłem na przetrzymanie. Potem każdy miał wrzucić kielnią trochę piasku do środka grobowca, więc uczyniłem to jako pierwszy i brnąc w śniegu wycofałem się do tyłu. Podeszło kilka osób i przywitało się (w tym Szymanik z żoną). Potem poszedłem do kaplicy, by się rozliczyć. Podeszedł do mnie Mistrz pytając: „no i co, było lepiej niż w Warszawie?”. „Wręcz nie do porównania” powiedziałem, no bo co miałem powiedzieć.

Środa 12.1.2000

Od paru dni myślę, że będę zmuszony napisać jakiś testament i uczynić kogoś odpowiedzialnym pełnomocnikiem do wypełnienia mej ostatniej woli, gdyż po śmierci Tomka mam w tym zakresie z jednej strony całkowicie otwarte pole do działania, a z drugiej brak kogokolwiek, kto mógłby podjąć się tej czynności. Nie chodzi tu o forszę, bo tej nie mam aż tak wiele, ale o obrazy, szkice, notatki. Ta osoba musiałaby mieć też klucz do mego mieszkania, a więc mieszkać w Warszawie. Może Żurek? Wańka

wykluczam, bo byłby tym uszczęśliwiony w tym samym stopniu jak ja koniecznością zarządzania schedą po nim. Bogdan? Miał już jeden wylew i mimo, że jest młodszy, to jest chyba słabego zdrowia. Może uszczęśliwić tym Muzeum w Sanoku? Ale kogo uczynić pełnomocnikiem? Banacha? A jeśli w wyniku perturbacji polityczno kadrowych, przestanie być dyrektorem Muzeum? Jest facetem uczciwym i prawym, a jego wiek byłby odpowiedni, bo jest młodszy ode mnie, gdyż nie ma sensu obarczać tym kogoś starszego lub rówieśnika. Moje mieszkanie też mógłbym przekazać Muzeum Sanockiemu, które mogłoby je sprzedać na poczet kosztów zrobienia mojej stałej ekspozycji w Sanoku, lub też wykorzystać jako pokoje gościnne w Warszawie dla pracowników, którzy jadą tu na delegację służbową. To sprawa do dłuższego rozważania, ale czasu może być przede mną niewiele.

Środa 2.2.2000

Pochmurno. Kapie deszcz. Temperatura 4,8°. Ostra zima? Oczywiście jak teraz nagle zetnie mróz to zrobi się ślizgawka. Wczorajszy dzień cholernie mnie wymęczył. Po obiedzie, na który zjadłem resztkę Pizzy z poprzedniego dnia, skończyłem obraz. Potem przyjechał Banach i poszliśmy do Tomka, gdzie jednak niewiele znalazł, bo szukał chyba jakichś tekstów, sądząc chyba, że Tomek coś pisał, a tymczasem Tomek tylko tłumaczył, a jedyne teksty jakie były, pochodziły z dzieciństwa. Zabrał wreszcie numery „Tylko Rock” z jego felietonami, ale nie było tego wiele, bo on te felietony pisał chyba tylko przez rok. W trakcie gdy tam byliśmy, około godziny 17:30, przyszli państwo Konopa po książki. Wybrali jakieś książki (słowniki etc.) i dość długo rozmawialiśmy, po czym wróciliśmy jeszcze z panią Konopa do mnie, gdzie wypożyczyłem jej filmy z pogrzebu, z których chciała zrobić odbitki dla córki. Potem zacząłem dla Banacha szukać albumów fotograficznych Tomka, co trwało prawie godzinę i nie mogłem ich znaleźć, bo wtedy gdy je schowałem, byłem w stresie po jego śmierci. Wreszcie znalazłem. Byłem już koszmarne głodny ale rozmawialiśmy z Banachem, chyba jeszcze do godziny 21 lub 21:30 lub nawet jeszcze dłużej. Po jego wyjściu wykąpałem się i dokończyłem oglądanie jakiegoś filmu sprzed dwóch dni, nie bardzo już pamiętając, o co tam szło. Byłem cholernie zmęczony. Przyszły trzy listy

mailem, dwa od Rogowskiego i jeden od Stapowicza, więc odpowiedziałem szybko Stapowiczowi, a Rogowskiego zostawiłem sobie na dziś. Nie miałem już na nic siły.

Niedziela 5.3.2000

W skrzynce na listy rano znalazłem kilka kopert. Teraz otworzyłem. W jednej z nich marcowy numer pisma BUSINESSMAN MAGAZINE. Pani Kama Boralska wysmażyła artykułik na mój temat w stylu jeszcze bardziej okrojonym (na szczęście) niż to, co przed chyba kwartałem przeczytała mi przez telefon. Tytuł dzieła „Uskrzydłona nerka” podtytuł „Beksiński nobilituje”. Mniejsza o nobilitację, ale skąd u diabła wzięła się tam ta nerka? Ja wiem, że wyglówkował to przed paroma laty Ważny, ale treść artykułiku nigdzie nie wyjaśnia tego tytułu. Pewnie nadmiar tekstu przycięto w redakcji do możliwości dwóch ilustrowanych stron. Chciałem być przed laty Indianinem, który zamiast Sokole Oko nazywałby się Warg-a Sromowa (po jakimś artykule Karaska). Teraz jak widzę, że wypadaloby mi zmienić nazwisko na Uskrzydłona Nerka. Tyż piknie. Idiotyizm jak chwast zawsze się przyjmie na każdej glebie.



Zdzisław Beksiński z kolegą w pobliżu domu, Sanok początek lat 70.

Czwartek 23.3.2000

Rano pochmurno, ale sucho. Temperatura 6,1°. Chyba nareszcie zimę mamy z głowy. Po śniadaniu idę po zakupy, a potem kupię Gazetę Wyborczą, w której ma być dziś ten reportaż o Tomku.

Na okładce dodatku Tomek w stroju wampira. Szkoda, że nie inne zdjęcie (nie lubiłem go w tym stroju ani z tą fryzurą), ale trudno. Artykuł dobry, ale kupa drobnych nieświadomych przekłamań jeśli idzie o szczegóły. Mówię oczywiście o tych szczegółach, które znam (np. to ja jestem facetem „ze sztywną ręką”, który nie znosi fizycznego kontaktu z innymi, a nie Tomek, który uwielbiał przytulanie i tak dalej). To wszystko zresztą bez większego znaczenia. Czy zostanie pozytywnie odebrany? Zobaczymy. Byłoby dla mnie straszliwie przykre, gdybym słowa jednej z koleżanek Tomka, że ja się go brzydziłem, przyjął za jego mniemanie, co do stanu bieżącego mych uczuć. To na pewno było typowe przekłamanie na łączach. Tomek powiedział jej zapewne, że brzydziłem się go jako pulpeta, bo w ogóle brzydziłem się i brzydzę niemowląt, a w kolejnych przybliżeniach może być tak odczytane, że brzydziłem się go w ogóle. Ludzie słuchają jednym uchem i przyjmują za pewnik to, co zrozumieją z tego, co usłyszeli. Kupiłem dwa egzemplarze gazety, aby mieć jeden do zagłędania, a drugi do archiwum.

Niedziela 26.3.2000

Zmiana czasu spowodowała, że o godzinie 17:15 świeci jeszcze słońce ale skłania się już ku zachodowi. Na wieczór, jeszcze przedwczoraj, zapowiedział się Grzesiek. Mamy wysortować książki, które przeniesie się do Tomka, a potem do jakiejś biblioteki. Skończyłem pracę, bo kolor słońca jest jakiś taki żółtawy. Obraz idzie nie najgorzej i może uda mi się go jutro lub pojutrze skończyć. Zosia nie żyje, Tomek nie żyje, życie straciło sens, a ja maluję i oceniam czy coś idzie dobrze, czy źle. Biedna głupia małpa z jej stereotypowymi czynnościami. Po co to wszystko?

Sobota 27.5.2000

Rano pogodnie. Temperatura 20,1°. Od wczoraj, a nawet poniekąd od przedwczoraj, cholernie dokuczają mi krzyże i ledwo się poruszam. Być

może ból spotęgowała długa jazda samochodem. W Sanoku wszystko przeszło pomyślnie i nareszcie jest zrobione chyba tak, jak powinno być od początku. Cokoły betonowe mają polewać wodą ogrodnicy cmentarni, ale czy to zrobili (mimo iż im zapłacono) tego nie wiadomo. Wczoraj wieczorem miał w Sanoku padać deszcz, ale przed godziną 20, gdy tam dzwoniłem, było tylko pochmurno, ale nie padało. Gdy jechaliśmy w tamtą stronę było pogodnie, a nawet pod koniec cholernie upalnie, a ponieważ słońce mieliśmy z przodu, to nogi, na które nieustannie świeciło, miałem prawie ugotowane. Nieustannie zapadałem w krótkie półsny, bo byłem niedospany. Przyjechaliśmy przed godziną 13 i od razu pojechaliśmy na cmentarz, gdzie robotnicy obejrzeni sobie front pracy, a my z Emilem po półgodzinnym oczekiwaniu w budynku administracji, doczekaliśmy się na Jaykę, z którym uzgodniłem, że wykonamy roboty przy grobowcu i jego otoczeniu. Potem zakwaterowaliśmy się w Hotelu Jagiellońskim, zjedliśmy we czwórkę obiad, do którego niepotrzebnie wypilem duże piwo, co potem cholernie mnie rozmyło i osłabiło. Robotnicy zabrali się za rozbieranie chodnika z kostki przed grobowcem, a my z Emilem jeździliśmy początkowo za materiałem, a potem ja powiedziałem pas, bo dwukrotnie omal nie zemdlełem i poszedłem do hotelu, by się przespać. Wieczorem, gdy od czasu do czasu zaczynał kropić słaby deszczyk, podjechałem na cmentarz, by zobaczyć postęp robót, a potem pojechałem do Biskupskich (Emil wołał się przespać, bo był wyczerpany prowadzeniem wozu), gdzie siedzieliśmy do północy, gdy zaczęło już dosłownie lać jak z cebra. Lało prawie do rana, ale na drugi dzień zrobiło się zimno tak, że okazało się, iż sweter zimowy i kurtka, które przezornie zabrałem były bardzo potrzebne. Na szczęście deszcz zmienił się ponownie na deszcz przelotny i nie był już tak intensywny, tak więc robotnicy pracowali, a ja przed południem obejrzałem wystawę Turkowskiego na Zamku, oraz dwie swoje wystawy w budynku administracji (wystawiają tam teraz moje prace abstrakcyjne z muzeum wrocławskiego). Na poddaszu Zamku przygotowywane są sale na moją stałą ekspozycję. Wygląda to zachęcająco i mam nadzieję, że to poddasze nie spłonie kiedyś razem z moimi obrazami. Banach działa bardzo zapobiegliwie i przy braku środków wykonuje część robót wykończeniowo instalacyjnych (montaż oświetlenia) rękami pracowników administracji. Zrobił chyba

więcej niż wszyscy poprzedni dyrektorzy. Zaproponowałem, że na jesieni przekażę tam wszystkie swoje archiwalne rzeczy, a także chyba uczynię Muzeum sanockie plenipotentem i wykonawcą mojego testamentu. Nie mam już przecież nikogo. W domu zostanie kupa notatek, szkiców, CD ROM z pracami komputerowymi i inne archiwalia, w tym stare negatywy etc. Ktoś to musi zebrać i skatalogować, zdecydować co schować, a co wyrzucić... Potem odwiedziłem Turkowskich, kilkakrotnie byłem na cmentarzu i wreszcie wraz z Emilem byliśmy na kolacji u Jerzyków. Na trzeci dzień zrobiło się ciepło (ale nie gorąco) i pogodnie. Rozbudowały się chmury kłębiaste, ale nie groził już deszcz. Przed południem odwiedziłem Jadzię Malinowską, która o dziwo jest jakby w lepszej formie psychicznej, chociaż fizycznie skurczyła się do wymiaru staruszczeni. Potem wraz z Banachem pojechaliśmy do Leska, do biura Szymanika. W trakcie pobytu tam, zostałem przez Szymanika zaproszony do Olszanic. Pojechaliśmy tam około godziny 16:20 z Emilem (spytałem Szymanika przez telefon czy mogę przyjechać ze szwagrem) przez Lesko skąd pilotował nas już Szymanik. U Szymaników zjedliśmy obiad, mimo iż początkowo zarzekałem się, że nic jeść nie będę i w bardzo miłej atmosferze siedzieliśmy do około 19:15, po czym wróciliśmy do Sanoka, bo Emil musiał przed zmrokiem być jeszcze na cmentarzu i zabrać do hotelu robotników. Pracowali jednak potem podobno do godziny 22 przy reflektorach samochodu, przygotowując jakiś narzut betonu, aby następnego dnia można go było od rana szlichtować. Ja poszedłem powtórnie do Biskupskich, skąd wróciłem do hotelu o północy. W czwartek rano, po podpisaniu fotomontaży w Muzeum (czego była cała sarta) i rozmowie z Banachem, poszedłem do Rudaka, gdzie siedziałem ponad dwie godziny, potem na cmentarz, a potem na obiad do hotelu, gdzie około godziny 15 napchałem się jak świnia (kotlet, kupa kartofli i dwa duże piwa) z zamiarem nie jedzenia już niczego do momentu gdy znajdę się w Warszawie. Wieczorem już nie jadłem, lecz po obejrzeniu i sfotografowaniu skończonej roboty, pojechaliśmy do hotelu, zostawiłem ich wszystkich na kolacji, a sam poszedłem do Jerzyków, skąd wróciłem około godziny 23. Nastawiłem budzik na godzinę 5 rano. Rano około godziny 7, byliśmy jeszcze z Emilem na cmentarzu, gdzie Emil pochlapał wodą świeży beton i potem wróciliśmy do hotelu, wszyscy z wyjątkiem mnie zjedli śniadanie

i ruszyliśmy do Warszawy. Okazało się, gdzieś w rejonie Grabownicy, że zostawiłem w szafie kurtkę, więc dzwoniłem do Hotelu i do Jerzyka, który zabrał ją do siebie i przywiezie, gdy będzie tu 28 czerwca.

Sobota 17.6.2000

Czas zleciał mi stosunkowo szybko, ale mówiąc prawdę nie wiem co robiłem przed południem, aha pisałem i dzwoniłem do Wiesława Banacha z propozycjami w sprawie albumu. Po otrzymanych wczoraj CDR od Jutrzenki zorientowałem się już z grubsza w materiale i chciałem póki jest jeszcze sporo czasu uzgodnić pewne terminy i działania ze wszystkimi zainteresowanymi. Dowiedziałem się od Banacha, że poddasze, na którym będą moje obrazy, umożliwi kolekcję nawet 100 prac, a na dodatek jest żelbetowe i nie grozi pożarem więźby. Więźba była całkowicie przegniła i austriacka. Nie miała wartości zabytkowych, więc konstrukcję dachu zastąpiono rodzajem żelbetowego stropodachu pokrytego chyba dachówką.

Niedziela 13.8.2000

Maluję od rana ze zmiennym powodzeniem, ale prześladować mnie zaczęła ponownie myśl o dzienniku na minikasetach, zostawionym przez Tomka. Przyniosłem wreszcie z szafy w pokoju Beksińskiej worek plastikowy, w którym wszystkie kasety leżały tak, jak je zabrałem z Tomka mieszkania zaraz po jego śmierci, uporządkowałem je chronologicznie i ustawiłem na półeczce nad dużym komputerem. Jest tego wraz z ostatnią kasetą 61 sztuk, ale wygląda na to, że 10 jest nie nagranych. Sprawdziłem przez chwilkę jedną z nich i na to wygląda. Nie ma na nich wpisanej daty, tym niemniej położyłem je z tyłu razem z innymi. Zabiorę się do ich sukcesywnego przesłuchiwania poczynając od roku 1996. Może tak na raty i z "miękkim" wejściem będzie mi lżej. Boję się jednak, co się z tym stanie, gdybym nagle umarł. Napisałem więc list (który przykleiłem na tej samej półce) z prośbą by zniszczono je wszystkie po mojej śmierci. W ogóle będę musiał uczynić Wiesława Banacha z Sanoka oraz Bogdana Wiśniewskiego z Warszawy plenipotentami na wypadek mej śmierci i spisać wreszcie jakiś sensownie zredagowany testament. Rozmawiałem ostatnio na ten temat z Banachem.



Zdzisław z matką, fot. Stanisław Beksiński 1950 r.

Piątek 25.8.2000

Okolo godziny 12:30 zadzwoniła jakaś pani i po zapytaniu czy rozmawia ze mną powiedziała, że łączy z panią Janiną Ochojską. Wpadłem w panikę: oto w sytuacji "bezobrazia" jakaś kolejna aukcja na dobroczynność, bo Ochojska kojarzy się jednoznacznie. Na szczęście pani Ochojska pytała, czy nie miałbym nic przeciw wydaniu mojego albumu, z którego zysk przekazany by został na cele jakichś szkolnych ośrodków wiejskich, czy coś w tym stylu. Uświadomiłem jej, że mój album wydany przez Szymanika jeszcze się nie rozszedł, mimo iż wydany był jeszcze w listopadzie ub. roku, więc nie chciałbym być przyczyną katastrofy finansowej. Według niej druk miałby być bezpłatny, bo sponsorowałby to wydawca, który wydaje również pismo "Techno Party". Wtedy – pamiętając, że "Techno Party" użyło już kilkakrotnie moich fotomontaży komputerowych w swoim piśmie i wydawca być może miał na myśli właśnie wydanie albumu fotomontaży, powiedziałem jej, że może album takich fotomontaży byłby czymś, czego na razie nie ma na rynku, a ze strony edycyjnej byłoby to rozwiązanie najprostsze, bo ja dostarczyłbym po prosu CD ROMy z pracami i nie trzeba by było kupować od Rosikonii slajdów, czy wynajmować fotografa, który by jeździł po Polsce i robił zdjęcia, zresztą być może Szymanik miałby coś przeciw takiemu albumowi obrazów, bo przecież płacił za skanowanie wielu prac i planuje nieostro kolejny album, natomiast co do prac komputerowych, to kręci trochę nosem. Jednym słowem ma do mnie zatelefonować, w sprawach czysto technicznych, pan Jarosław Skoczzeń. OK. Niech dzwoni. Ja oczywiście ostrzegłem, że nie chciałbym być tym, który cokolwiek radzi, bo każdy autor chciałby wydania albumu nie dla zysku, lecz dla własnej chwały, ale nie chciałbym by to była cegła, a ja rynku nie znam na tyle, by móc tu cokolwiek doradzać.

Mój album wydany przez Szymanika rozszedł się o tyle o ile. Tzn. jak na razie zwróciły się już nakłady i teraz końcówka ma zarabiać na zysk, w związku z czym, Szymanik zaczął główkować, by wydać coś kolejnego. Tak mi mówił Banach, tym niemniej może nie jest jeszcze tak cudownie, bo przedwczoraj Szymanik namawiał mnie telefonicznie na propagujące album wystąpienie w TV w programie "Kawa czy Herbata" o godzinie 7 rano, z czego się jednak wykręciłem i powiedział, że będzie rozmawiać

w tej sprawie z inną redakcją, może z PEGAZEM. Czyli, że końcówka (a jaka jest ona wielka?) nadal zalega w magazynach.

Środa 30.8.2000

Zadzwoił Skoczeń z Radia Harcerskiego, by umówić się na jutro w sprawie albumu fotomontaży. Ma przyjść z kolegą z radia, niejakim Niewiadomskim. Czyżby krewny męża Marysi? Umówiłem się na godzinę 14, gdyż nie mogli później niż o godzinie 15, bo o godzinie 18 muszą być w radio. W takiej sytuacji, gdy nie mogę umówić się na godzinę 17, wołam umówić się tak, by nie czekać z obiadem do wieczora. Gdy przyjdą o 14 to najdalej o 16 będę wolny.

Do obiadu podmalowałem obraz 150=Q8. Typowa katedra jakich namalowałem już kilka. Może wymyślę w niej coś nowego? Myślałem, że po podmalowaniu pójdę opłacić mieszkania, które opłacone są do końca września, ale dziś kasa spółdzielni czynna do godziny 13, jutro mam o 14 tych facetów (chyba żeby opłacić po ich wyjściu o ile wyjdą do godziny 16), pojutrze kasa także czynna od 9-13, a będę wołał malować niż stać w kolejce, w sobotę nieczynna tak więc poczekam z tym chyba do poniedziałku. Może spróbuję się nareszcie zabrać do tego przełącznika w komputerze. Odwlekam i odwlekam i podejrzewam, że czynię to dlatego, bo obawiam się, że to nie da rezultatu, a wtedy stanę już przed murem. No nic. Trzeba spróbować.

Środa 6.9.2000

Skoczeń z rozgłośni harcerskiej przyszedł po nagrane CDR z pewnym wyprzedzeniem. Rozmawialiśmy jakieś pół godziny. Namówił mnie na występ na żywo w rozgłośni harcerskiej, która zwie się teraz chyba Radio-Stacja. Będzie to 18 bm. między godziną 11:45 i 13. Podobno dzwonią słuchacze i odpowiada się na ich pytania. Trochę się wykręcałem, bo jak zwykle będę mieć problemy z piciem od rana, aby potem wytrzymać przy mikrofonie przez tą godzinę, no ale wreszcie nie wypadalo się stawiać. Po jego wyjściu przyszedł mailem list od Dmochowskiego, ale zanim nań odpowiedziałem przyjechała Bożena i pojechaliśmy na działkę. Emil podjął decyzję, by papiery po Zosi spalić na pustej obecnie działce pani

Świetlikowej. Było dosyć mokro, a Emil dodatkowo zebrał darń i jakoś do godziny chyba 17 spaliliśmy wszystko. Miejscami były przykre dla mnie momenty. Wypadła moja kartka zaadresowana do teścia Stankiewicza, ale zatytułowana "Kochani Rodzice", informująca, że urodził się Tomek, ale Zosia jest z nim jeszcze w szpitalu, a ja się z tego powodu upiłem. Nie ma teścia i teściowej, nie ma Zosi, nie ma Tomka. Nie ma już w tej chwili także kartki i zostałem tylko ja. Wszystko to gówno.

Środa 13.9.2000

Zatelefonował Skoczeń z rozgłośni RadioStacja, że od dziś zaczyna puszczać "dżingiel" z zapowiedzią, że w poniedziałek będzie ze mną rozmowa na żywo. Potwierdziłem. Muszę wypić ten kielich goryczy, bo nie umiałem się wykręcić od razu. Boję się, że oprócz pytań o fotomontaż komputerowy, padną od słuchaczy jakieś pytania związane z Tomkiem. To dla mnie raczej trudny temat do omawiania na żywo i przez radio.

Poniedziałek 18.9.2000

Wyjechałem trochę wcześniej niż zamierzałem, bo zadzwoniłem do Skoczenia i on radził, bym wyjechał już około godziny 11, co się stało. Na miejscu byłem około 11:25. Trochę czasu zeszło na rozmowie, a trochę na podpisywaniu poszczególnych egzemplarzy TECHNO PARTY dla słuchaczy. Pytania i od nich i od słuchaczy takie jak zwykle. Jeden, który nie lubi moich prac, skrytykował, że to tak samo jak w wypadku Opalki powtarzanie tego samego. Mówił to w oparciu o wystawę w Muzeum Archidiecezji, bo to jedyna jaką widział. Po programie Skoczeń odwiózł mnie samochodem do domu. Gdy zjadłem obiad była godzina 14. Zadzwoniłem do Stapowicza, że jestem już w domu i teraz czekam na jego przyjazd. Na dworze nadal zimno i ciemności. Od czasu do czasu kropi drobny deszczyk. Niby nic, a czuję się cholernie senny i zmęczony.

Środa 4.10.2000

Znowu piękna pogoda. Temperatura 14-15 stopni. Będzie pewnie ciepło. Może trochę przed południem popracuję. Położyłem się nieco zbyt późno i jestem cokolwiek zeszmaczony. Wczoraj wieczorem wpadł na chwilę Grzesiek, ale ponieważ zatrul się czymś na Wyspach Kanaryjskich i jesz-

cze całkiem nie wydobrzała, to szybko poszedł do siebie. Przed jego przyjściem dzwonił Skoczeń, że tekst do autoryzacji dostanę dziś lub jutro mailem. Podobno wysiadł im dyktafon i nie wszystko da się odtworzyć, więc spisali jak leci. Tak więc będę musiał pisać niejako od nowa.

Wtorek 7.II.2000

Rano po godzinie 9 telefon. Myślałem, że to znowu W. ale okazało się, że to redaktor „Komputer Świat”. Chodzi o wywiad, jaki im obiecałem w zamian za to, że sponsorować będą wydanie CD z pracami do albumu Ochojskiej. W tej sprawie przyjdzie do mnie pan Dziurdzikowski dziś o godzinie 15. W sprawie układu krążka, skierowałem ich do Skoczenia, mówiąc, że nie będę się wtrącać: niech to ustalą z grafikiem odpowiedzialnym za album. Natomiast oni wyobrażają sobie, że da się to zrobić jakoś tak, by oprócz moich prac był tam też pokazany warsztat, co byłoby jednak bez porównania trudniejsze, bo jak pokazać składanie poszczególnych warstw na zasadzie difference, darken, lighten, color dodge, color burn etc. w celu uzyskania właściwego wyglądu rzeczy. Poszczególne takie warstwy samodzielnie będą niewidoczne. Ma w tej sprawie umówić się i przyjść facet, który ze mną rozmawiał, tyle, że aktualnie jest na dwudniowym urlopie.

Czwartek 9.II.2000

Okolo godziny 11:30 przerwałem malowanie, bo zrobiły się takie ciemności i zaczęło lać tak, że nie było w ogóle widać koloru, a obraz, który obecnie maluje nie jest niestety monochromem. Odpisałem na list Dmochowskiego, po czym okolo godziny 15 zawitała Komadowska, a w chwili po niej Skoczeń ze wstępną makietą albumu i jakimiś papierami dla wydawnictwa do podpisu. Okazuje się, że będę musiał wystąpić jeszcze na konferencji prasowej, a potem wziąć udział w Chat na ARENIE, ale tu zastrzegłem sobie dwie rzeczy: wystąpię razem ze Skoczeniem i ja będę odpowiadać na pytania dotyczące sztuki i fotomontażu, a on na pytania dotyczące Akcji Humanitarnej, oraz, że pisać będzie ktoś inny, a ja będę tylko dyktować, bo mam dysleksję. Ma ruszyć ostra reklama. Klip reklamowy w radiach i w telewizjach z wyjątkiem POLSAT, które prowadzi własne akcje tego typu. Także w polskim bloku MTV i VIVA ma lecieć

reklama tego albumu. Potem ma być aukcja prowadzona w kilku ośrodkach i Skoczeń ma nadzieję uzyskać średnią cenę 500 za album. Oby się nie zawiódł. Przede mną ocean autografów oraz wpisów dla bardziej bogatych sponsorów. Nie wiedziałem, że tak to ma wyglądać i nadal wydaje mi się, że szum wokół poźre więcej forsy niż się jej uzyska, no ale od kogo innego ma się uzyskać, a twórcy szumu też coś w zamian uzyskują lub przynajmniej mniemanie, że szumią w dobrym celu i wszyscy to słyszą.

Poniedziałek 11.12.2000

Załatwiłem nareszcie sprawę w Banku PeKaO i przerzuciłem pieniądze na swoje konto, a raczej na lokatę terminową. Ale mogłem to zrobić dopiero około godziny 14:30, gdyż prawie do godziny 14 był u mnie Banach i rozmawialiśmy o sensie istnienia. Nawet była to miła rozmowa: on z platformy swojej niewzruszonej wiary w Boga osobowego, ja bez żadnej platformy, pogrążając się w metafizycznych domniemaniach.



Zdzisław Beksiński, lata 50.

Poniedziałek 18.12.2000

K. przyjechał około godziny 12. W chwilę po nim przyjechał Nyczek, a w trakcie jego pobytu Skoczeń z pierwszymi 9 albumami do podpisu. Mówiąc prawdę nie wzbudziły mego entuzjazmu: są za duże i za cienkie. Gdyby format był o połowę mniejszy, to album byłby dwukrotnie grubszy. Dobrze jednak i to. Mam nadzieję, że dostanę trochę egzemplarzy dla siebie. Na razie są jeszcze dosłownie mokre, no ale ja nie odpowiadam chyba za to, że na wszystko zaczyna być za późno.

Piątek 12.1.2001

Dzwonił Skoczeń. Prosił, bym się nie denerwował, bo lepsza technicznie kolejna partia albumów jest już wydrukowana i w Warszawie, w związku z czym w najbliższych dniach zgłoszą się do mnie o podpisanie 50 egzemplarzy dla Noszczyka oraz wymienią mnie i Stapowiczowi te albumy, które dostaliśmy. Podobno cała akcja skończyła się niewypałem (tego się obawiałem), bo zawiodła ARENA, która naciskała na to, by dostać przed Świętami partię albumów do rozesłania tym, którzy kupili i to spowodowało, że albumy były nie doschnięte, bo wydawnictwo na wybrzeżu montowało je na gwałt, a tymczasem niczego nie rozesłano przed Świętami i nabywcy mają teraz pretensje. Wygląda to trochę na psychanie winy na innych i radosną twórczość, ale w końcu ja zrobiłem terminowo to co do mnie należało. Skoczeń uważa, że poprzez Polską Akcję Humanitarną sprzedadzą po jakimś czasie wszystkie albumy. Oby.

Sobota 20.1.2001

Odpycham tą myśl od siebie i odpycham, a właściwie powinienem napisać testament, bo nie mam wprawdzie imponującego majątku, ale trochę forsy i dóbr po mnie zostanie (choćby trzy mieszkania warszawskie) i powinienem tym jakoś rozporządzić. Myśl odpycham nie dlatego, że przypomina mi o śmierci, lecz ze zwykłego lenistwa oraz niechęci do zafiksowania spraw, co do których nie mam pełnej jasności, bo nie zostały gruntownie przemyślane, jako iż byłem zbyt leniwy, by to zrobić. Kto oprócz mych rówieśników może oczekiwać na coś po mnie? Rówieśnicy odpadają, a więc Janek, Emil, Danusia etc. Ich życie też się kończy. Nie jest zresztą wykluczone, że niektórzy uprzedzą mnie w drodze do

wieczności. Czy zapisywać coś ich zstępny? A niby co z wyjątkiem pokrewieństwa wiąże mnie z nimi? Paweł, Agnieszka, Kamil, rodzina Zosi, dzieci Jerzyka... To był zawsze inny świat. Ani ja nie żyłem ich życiem, ani oni moim. Zejść bez testamentu i dopuścić by przy współudziale prawników rozszarpali to, co po mnie zostanie między siebie? Niby mógłbym to mieć w dupie (niech silniejszy zwycięża) ale powoli dojrzewa we mnie myśl, by wszystko zostawić w jakimś sensie sobie. Wyglądało by to tak, że spadkobiercą nie tylko spuścizny artystycznej, ale także majątku, uczyniłbym Muzeum Historyczne w Sanoku z zaznaczeniem, że uzyskane środki miałyby posłużyć do ewentualnego prowadzenia mojej galerii w Sanoku i finansowania jakichś prac związanych z konserwacją i tym podobne. Jest to działanie egocentryczne, ale racjonalne. Przedtem jedynym (niejako automatycznym) spadkobiercą był Tomek, a teraz nie mam właściwie nikogo. Zdaję sobie sprawę, że mieszkania w Warszawie przydałyby się może niektórym co młodszym członkom rodziny, ale co mnie właściwie oni obchodzą (i ja ich). Byli ode mnie zawsze nieporównywalnie dalej niż wielu mych nie spokrewnionych znajomych i przyjaciół. Tak więc, idea uczynienia jedynym spadkobiercą Muzeum Historycznego w Sanoku, nie wydaje mi się aż taka absurdalna. Oczywiście, gdy odejdzie Banach, to nie wiem kto zostanie dyrektorem, nie wiem jaka będzie moja szansa na „nieśmiertelność”, oraz z dużym prawdopodobieństwem mogę przewidywać, że pieniądze te wydawane będą głupio, bo tak bywa z reguły, ale przecież nie mogę administrować swoim spadkiem z za grobu. Mogę racjonalnie lub mniej racjonalnie przewidzieć to teraz, ale nie mogę bez końca chować głowy w piasek, bo taki wzrost ciśnienia jak wczoraj, może mnie w którymś momencie pozbawić możliwości podjęcia jakiegokolwiek decyzji.

Niedziela 4.2.2001

Z Ochmanem jak zwykle miła rozmowa. Opowiadał mi, że przed laty widział partyturę Mussorgskiego do „Borysa Godunowa”, która jest raczej ukrywana i ta partytura to kompletny bełkot faceta, który zupełnie nie umiał posługiwać się zasadami zapisu nutowego, robił w partyturze jakieś rysunki określające pożądane napięcie wykonania np. duże serce i mały fiut lub w innym miejscu duży fiut i małe serce, lub napisy „kto nie

durak ten pajmiot”. Podobno w wieku 42 lat Mussorgski zmarł na skutek alkoholizmu w szpitalu wojskowym jako jakiś Kapitanow. Rozmawialiśmy też o Kantorze i chyba zarówno Kantor jak i Mussorgski stworzyli pewną postać i ta postać oddziaływała na otoczenie, ale de facto to co robili, było chaotyczne i nie bardzo usprawiedliwiające samo w sobie legendę. Van Gogh to też w dużej mierze legenda. Na ile fikcją jest cały nasz wysiłek, bo nikt tego nie widzi i liczyć się będzie tylko legenda? Muzyka Mussorgskiego do „Borysa Godunowa” miejscami przejmująca, na ile jest jego autorstwa, a na ile wykreowali ją koledzy i spadkobiercy? Wreszcie instrumentowali go wszyscy od Rimskiego Korsakowa po Szostakowicza, a więc mieli do niego taki sam stosunek jak my wszyscy do Kantora. Na ile legenda jest także w moim wypadku motorem zainteresowania tym, co robię?

Piątek 9.2.2001

Cały wczorajszy dzień był koncertem pustych telefonów. Wieczorem oglądałem z kasety raz jeszcze „Matrix”. Sądzę, że nie doceniłem tego filmu przed dwoma laty. Może gwałtownie chciałem popatrzeć na niego oczyma Tomka po to, by nawiązać z nim jakiś kontakt, bo był już w tedy w dennej formie (ale nic z tego nie wyszło), a może była to kwestia mojej prostaty i problemów z sikaniem, które przesłoniły mi cały film.

Niedziela 4 marca 2001

Małowałem tylko do godziny 14, bo zrobiły się potworne ciemności i przez pewien czas sypał nawet mokry śnieg. Zabrałem się za redagowanie testamentu, w którym jedynym spadkobiercą czynię Muzeum Historyczne w Sanoku. Napisałem brudnopis i dzwoniłem do Emila, by sprawdzić czy brzmi to sensownie. Muszę to nareszcie zrobić, bo wszyscy wymierają wokół (ostatnio Bojarski) i w każdym momencie może paść na mnie. Napiszę i przykleję w widocznym miejscu na jakiejś szafie czy szafce, a drugi egzemplarz przekażę w jakieś zaufane ręce, nie wiem tylko jeszcze jakie. Może zdeponować to w jakimś biurze notarialnym?

Czwartek 31 maja 2001

Pogoda średnia. Zimno. Ca 11 stopni. Wczoraj późnym popołudniem

około godziny 16:15 wróciliśmy z Jerzykiem z Sanoka. Mogłem wracać już we wtorek, bo nie miałem w Sanoku nic do roboty, ale ponieważ Jerzyk ponownie miał jechać do Warszawy, to odczekałem jeszcze jeden dzień i przyjechałem jego wozem. Tym razem pobyt w Sanoku i podróż zniosłem ciężiej niż do tej pory. Już się do tego nie nadaję. Wyjechaliśmy w piątek około godziny 15:45 i dojechaliśmy do Sanoka około godziny 22. Przez cały czas była piękna pogoda, ale gdy dojechałem byłem tak zmęczony, że od razu wlałem do łóżka, które tym razem miało aż trzy poduszki i puchową kołdrę, a wszystko jedwabne. Spałem średnio. Rano w sobotę pojechałem na cmentarz, kupiwszy przedtem w kiosku dwa duże znicze. Zapaliłem je i zrobiłem kilka zdjęć, bo cokolwiek, wykonany przez pracowników Emila, zaczął jednak pękać. Po pobycie na cmentarzu pojechałem do Turkowskich, a stamtąd na godzinę 15 do Jerzyków, dokąd zaproszono mnie na obiad. Od Jerzyków pojechałem gdzieś około godziny 18 do hotelu, mimo iż mnie zatrzymywano, bo po jedzeniu miałem już kłopoty z gazami i przewodem pokarmowym, a Basia chciała, byśmy się jeszcze wybrali zobaczyć mieszkanie Hanki. Uzgodniłem, że pójdziemy tam w poniedziałek. Z hotelu pojechałem do Lewandowskiej i byłem tam prawie do północy. W niedzielę rano pojechałem do Malinowskiej, a stamtąd ponownie via hotel do Lewandowskiej, dokąd proszono mnie na obiad. Po obiedzie siedziałem u nich do oporu – chyba prawie do północy. W poniedziałek rano byłem najpierw na cmentarzu i zapaliłem kolejne dwa znicze. Poprzednie paliły się jeszcze. Potem wróciłem do hotelu, dokąd przyjechał po mnie Banach i pojechałem z nim do Muzeum, gdzie spotkałem się z Szymanikiem i fotografem. Omówiliśmy niektóre sprawy związane z planowanym nowym albumem. Szymanik prosił mnie, bym skontaktował się z Glinickim i wydobył od niego jakieś slajdy prac, które są w posiadaniu Dmochowskiego, o ile jeszcze je posiada, po czym fotograf z Leska, wraz ze swoim bratem, robili mi liczne zdjęcia, z których jedno ma się znaleźć w nowym albumie – w gabinecie Banacha, na Zamku w Galerii, przed galerią i na rynku. Trwało to do godziny 14. Potem pojechałem do Jerzyków i z nimi poszliśmy obejrzeć nowy dom Hanki, który w końcu został skończony. Potem była kolacja u Jerzyków, skąd po obejrzeniu jakiegoś filmu i potwornie przejezdony flakami, wróciłem do hotelu. Ponieważ miałem się zabrać z Jerzykiem

w środę, to we wtorek byłem jeszcze w południe u Rudaka, a potem pojechałem ponownie na obiad do Jerzyków i wreszcie wróciłem do hotelu, gdyż zbierało się na burzę i rzeczywiście gdy o 19 wróciłem, natychmiast zaczął lać deszcz. W środę raz jeszcze byłem rano na cmentarzu i zapaliłem kolejne dwa duże znicze. Większy z dwóch, jakie zapaliłem jeszcze w poniedziałek, nadal się palił. Wyjechaliśmy z Sanoka około godziny 10:30. W czasie drogi w kilku miejscach były przelotne deszcze. Potwornie mnie to wszystko wymęczyło i wynudziło. Nie umiem się wyluzować i wypoczywać. Wszyscy wydali mi się w lepszej formie niż ta, jaką pamiętałem sprzed roku, skąd prosty wniosek, że sam podupadłem bardziej niż oni i obserwuję z innej perspektywy niż przed rokiem.

Czwartek 25 października 2001

Boże – jakież ja jestem zmęczony. Barycki przybył zanim jeszcze skończyliśmy śniadanie i najpierw nagrywaliśmy scenki i rozmowę w mojej pracowni, a potem, po przybyciu Banacha, pojechaliśmy do Łomianek, gdzie nagraliśmy na 3 małe amatorskie kamery cyfrowe (podobnie jak robili to przed paru laty Szwedzi) chyba ponad 5 godzin gadania. Zrobiono jakąś dekorację czy też tło z moim podpisem, odbitką pracy komputerowej i regałem, na którym stały jakieś dziwne książki. Nie pojmuję, dlaczego miało to być lepiej niż moja normalna ściana, w moim normalnym mieszkaniu, ale na pewno przestrzeni było bez porównania więcej i można było kręcić naraz trzema kamerami. Na końcu odwieziono mnie około godziny 18:30 do domu, gdzie zjadłem obiadokolację (kielbaski ostródzkie na gorąco z musztardą, chlebem i ogórkami jakie przez Jerzyka podała Basia). Popiłem to połową puszki piwa i padłem. Teraz nadają się już tylko do drzemki.

Sobota 3 listopada 2001

Na dworze ciemności, ale sucho. Temperatura między 5 i 6 stopni. Na godzinę 17 zaproszono mnie do Emilów. Dzwoniła wczoraj wieczorem w tej sprawie Bożena. Nie byłem na imieninach Emila, więc wypadłoby bym podjechał do HIT i kupił jakąś bombonierkę dla niego. Będzie to coś w rodzaju wyjazdu ze Zgierza do Warszawy. Wczoraj w poszukiwaniu jakiejś informacji i grzebiąc w tym celu po starych notatkach, znalazłem

tekst, który napisałem po jakiejś szarpiącej nerwy awanturze domowej w dniu 5 sierpnia 1993:

Czasem mam tak dość, że zostawiłbym całą Rodzinkę, żeby się kisila w własnym sosie, a uciekłbym choćby do Zgierza i żył w jakiejś chałupie... Minęło ca 8 lat, no i jestem w Zgierzu. Ułożyło mi się jak w tym opowiadaniu grozy o trzech spełnionych życzeniach. No cóż: to nie ja uciekłem lecz Zosia i Tomek odeszli. To fakt, że mam taki spokój jak w chałupie w Zgierzu, ale może wolałbym już awantury? Daję znak zapytania, bo w sposób równie przewrotny mogłoby się spełnić kolejne życzenie. A w ogóle skąd mi do głowy przyszedł Zgierz i gdzie w ogóle jest ten Zgierz i jak wielkie jest to miasteczko?



Zdzisław Beksiński, lata 60.

Wtorek 1 stycznia 2002

Rano pogodnie. Temperatura poniżej -7 . Krzyże bołą, a w uchu klekoce twardy dysk. W nowym roku wszystko w normie. Panadol na ból głowy zażyłem na 15 minut przed pobudką. Wczorajsza strzelanina była jakby słabsza i niemrawa, ale może to zaleta nowych okien lub mojej narastającej głuchoty. Skończyła się około 0:30, ale potem – gdy już otwarłem

okno, do około 1:30 dobiegała pukanina z odległości, a sporadycznie pod blokiem rozlegał się jakiś wrzask i coś wybuchalo, po czym znowu zapadła względna cisza. Zasnalem dopiero około godziny 2. Rano zbudziła mnie muzyka, bo dziennika – o dziwo, nie bylo o normalnej porze. Znowu jestem limitowany bólem krzyży i muszę przerwać pisanie.

Smutek i przygnębienie. Od wczoraj.

Przed obiadem rysowałem, ale muszę się chyba przespać. Muszę także skontaktować się z kimś (Grzesiek, Emil?), kto pomoże mi w zapakowaniu drukarki jutro około godziny 11, bo Mazur może wtedy zażądać jej zwrotu, a ja obawiam się o swoje krzyże. Nie jest wykluczone, że problem bólu krzyży, to też efekt wypakowywania i przestawiania drukarki przed Świętami. Może to zainicjowało całą gehennę.

Środa 30 stycznia 2002

Kolejne Prawo Beksińskiego: gdy się szuka w szafie zapasowych żarówek do wymiany, to nigdy nie ma żarówek o tej mocy, którą należy wymienić, natomiast z przepelnionej zapasowymi żarówkami półki w szafie, wręcz sypią się i wypadają na podłogę całe sterty żarówek o wszystkich innych możliwych mocach od 15 do 200 z wyjątkiem tej potrzebnej. Dotyczy to zarówno 25, 40, 60, 75 jak i 100 W. Akurat poszły obie 60 W żarówki w głównej lampie w kuchni, co pomogło w roboczym sformułowaniu kolejnego Prawa Beksińskiego. Takimi właśnie nieregularnymi krokami posuwają się epokowe odkrycia naukowe. Idę po zakupy i zanotowałem też: żarówki 60 i 75 Watt. Na pewno w sklepie będą wszystkie inne rozmiary, z wyjątkiem tych dwóch i widzę już oczyma wyobraźni możliwość sformułowania kolejnego Prawa.

Żarówki 75 W dostałem w sklepiku STYL pod blokiem, gdyż w ROBERTCIE nie było ich w ogóle, mimo iż poprzednio była tam półka poświęcona żarówkom. Na pytanie zadane ochroniarzowi, których tam zawsze pełno i powtórzone przez niego jednej z pań, wyjaśniono mi, że żarówki powinny być na tej półce, na której ich szukałem, a jeśli ich nie ma to znaczy, że wyszły. Ten ROBERT służy chyba praniu pieniędzy, bo tam wszyst-

ko funkcjonuje jak za Gierka i towar też jest jak za Gierka. Np. smalec w puszkach. Kolejne Prawo Beksińskiego: Najgorsze sklepy w Warszawie są zawsze w mojej dzielnicy.

Niedziela 28 kwietnia 2002

Samotność, cóż po ludziach... No chyba jednak to, że można potrzaskać dziobem. Nikogo nie ma, nikt nie dzwoni, znajomi i przyjaciele albo pomarli albo wyjechali – inna rzecz, że zadzwonić samemu też mi się nie chce, bo i po co. Co powiem? Że mam chandrę? O co spytam? Co słychać? Pędzuję przy obrazie, ale de facto nie wiem, co chciałbym robić, co zacząć, co kończyć, o co zacząć uwagę. Nawet telefon nie dzwoni (z wyjątkiem W. dwa razy) cisza: ja i moja pieprzona twórczość, która jest niczym więcej jak umową, że jeden maluje, a drugi podziwia. Gdyby szkoła tego nie wbijała do głowy, to nawet tego by nie było. Jedyne, co ludzi jeszcze interesuje to reality show, ale być może i to się skończy chyba, że pozwolą na walki gladiatorów, ale zapewne nie pozwolą, a zresztą mnie akurat gównem to obchodzi – nawet jeśli występowałiby gladiatorzy. Inni mnie nie obchodzą, to dlaczego ja mam obchodzić innych. Zresztą obchodzę W. i najchętniej uciekłbym w mysia dziurę, by tylko zejść jej z oczu. Wychodzi na to, że sam nie wiem, czego chcę. Czuję się jak jakiś bohater Czechowa... Czy Tomek w swej samotności też tak się czuł?

Wtorek 30 kwietnia 2002

Rano umiarkowana pogoda. W nocy trochę padało. Temperatura 11,5 stopnia. Włączyłem kaloryfer przy sztalugach. Trzeba chyba pójść po chleb, bo jutro jest 1 maja i nawet sklepy będą nieczynne. Polska zasnęła od piątku snem świątecznym i obudzi się dopiero w poniedziałek, ale sklepy i instytucje będą chyba czynne.

Parę minut po godzinie 9, gdy kończyłem już obraz i zastanawiałem się nad następnym, dzwoni telefon. Pierwsza i jedyna myśl, że o tej godzinie może być tylko W. Podnoszę słuchawkę, a tam biskup – z wrażenia zapomniałem nawet jak się nazywa, czyżby Stanisławski? Nie znam nazwisk biskupów. Czy pan artysta Beksiński? Chodzi o zamówienie. Do-

myślałam się już jakie i wykręcłam jak mogę, nie chcąc urazić jego eminenacji. Wspominam o Franciszkanach z Sanoka i ich pomysły na ołtarz w kaplicy. Dowiaduję się, że biskupowi idzie o obraz przedstawiający św. Józefa. Widział w internecie moje krzyże i doszedł do wniosku, że Beksiński „to jest ten człowiek” o którego chodzi. Wobec mojej niechęci i odmowy sugeruje, bym kogoś polecił. Ja i znajomość środowiska! Bąkam coś o Dudzie Graczu i Nowosielskim, ale Bogiem a prawdą mam we łbie pustkę. Radzę, by skontaktował się z jakimś krytykiem, bo jestem całkowicie out, co zresztą nie jest krygowaniem się, a najświętszą prawdą. No nic. Nauka stąd płynie, że trzeba mieć non stop włączony repernder. Nie jestem z tego świata, nie umiem z nim współżyć – co prawda to prawda. Gdy świat w swej dziwnej formie dociera do mnie, dostaję odruchu pająka: całkowity stupor i chęć ukrycia się w jakiejś dziurze.

Poniedziałek 13 maja 2002

Rano pogodnie, ale około godziny 9 pojawiło się zamglenie nieba i niewielkie obłoki. Temperatura w tej chwili około 20. Wstałem normalnie, ale z rana, jeszcze przed śniadaniem, poszedłem na pocztę i nadałem kopie programów do Rogowskiego, tak więc zanim wróciłem i zjadłem śniadanie, jest już godzina 9. Odnoszę wrażenie, że odstawiwszy Permixon uzyskałem w nocy poprawę, ale trudno wyrokować o tym po jednej dobie. Zobaczymy jak będzie w trakcie następnych nocy. Dzwoniłem przed chwilą do Szymanika i dowiedziałem się, że ma podpisywać album w niedzielę w Pałacu Kultury od godziny 11. OK.

Zadzwońm rano do Szymanika i do Banacha, by dowiedzieć się konkretnie, o której godzinie w niedzielę podpisuję. A więc o godzinie 11 w Pałacu Kultury. Niestety potwierdza się opinia, że rysunki są źle wydrukowane. Szymanik wydusił to z siebie dyplomatycznie, ale Banach powiedział to bez ogródek, że są za blade. Kurwa mać. Wszystko przez tych pieprzonych fachowców, którzy zawsze wiedzą lepiej i mającą niezrozumiałym językiem. Oczywiście teraz Jutrzenka będzie mówić, że to dlatego, że skanowałem materiał na płaskim skanerze w Kodaku, a nie u nich, a Szymanik pewnie mu uwierzy, bo jest w niego zapatrzony, a tymczasem nie zrobili (przez oszczędność?) matchprintów, o czym

w dniu 28 lutego przypominałem Szymanikowi w mailu. Około godziny 10 wpadła na chwilę Puchalska, a potem około południa zadzwonił Skoczzeń, by umówić się na jakiś wywiad na jutro i dowiedziałem się od niego, że w dniu 23 bm o godzinie 17:30 mam spotkanie w Empiku w Krakowie (Beksiński się pomylił, chodziło o Empik w Warszawie - przyp. red). Podobno jest to już zapowiedziane w Empik News. Nikt tego ze mną nie ustalał. Nikt mnie nawet nie raczył zawiadomić. W dniu 24 mam badanie prostaty. Wkurwiło mnie to wszystko ostatecznie. Ponownie dzwoniłem do Szymanika i wymogłem na nim (nie chcąc już odwoływać), że w obie strony przewiozą mnie samochodem. Powiniennem przed północą wrócić do domu. Akurat spotkanie o godzinie 17:30 to najgorszy dla mnie okres ze względu na prostatę. Gdyby ktoś mnie pytał o ustalenie terminu, to prosiłbym o inny okres dnia. Będę musiał zrezygnować z picia od rana, ale i tak niewiele to da. Musimy spotkanie ograniczyć do 1 godziny. Jak z nagłośnieniem? I czego po mnie oczekują? Wykładu? Kurwa! Kurwa! Kurwa!!!

Wtorek 14 maja 2002

Jutro imieniny Zosi. Znowu pogodnie, mimo iż wczoraj po południu zachmurzyło się, przeszła burza i deszcz i było już ciemno do wieczora. Teraz temperatura powyżej 15. Spałem dobrze i utwierdzam się w przekonaniu, że głównie szkodził mi Permixon. Napiszę do Szymanika i biorę się do pracy, by pomalować trochę przed przyjściem Skoczzenia wraz z kolegą w sprawie wywiadu.

Szymanikowie przyjechali dopiero około godziny 21. Dostałem duży i mały album. Niestety rzeczywiście rysunki (na które głównie liczyłem!) wyglądają w sposób dramatyczny źle! Podobnie źle wyglądają fotografie rodzinne, robione tym samym sposobem wydruku, ale to już bez większego znaczenia. Dwie fotografie, które zostały przerobione z kolorowych wersji są jedynymi, które mają właściwe nasycenie. Szymanik mówił, że Jutrzenka miał dobre intencje. Dobrymi intencjami wybrukowane jest piekło. Liczy się efekt, a ten byłby nieporównywalnie lepszy, gdyby nie wydziwiano z poddrukami i wydrukowano normalnie czarnym kolorem. I gdyby Jutrzenka z próbkami, nie pojawiał się w okresie przygotowywa-

nia jak z łaski po 10 urgensach lub nie zapewniał, że żadne próbki nie są potrzebne przy czarno-bieli. No cóż - zło się już stało z tym, że w tych rysunkach są zarówno odbitki złe jak i jeszcze gorsze i to już sam nie wiem dlaczego. Niektóre byłyby do przyjęcia dla kogoś, kto nie zna oryginałów ale niektóre są wręcz nie do przyjęcia przez nikogo. Trzeba będzie świecić oczami i klamać, że to są reprinty ze starego materiału. O ile ktoś w to uwierzy. Co do prac kolorowych, to są tam uchyby, a w pracach komputerowych nawet duże, bo przy przerabianiu na CMYK niepotrzebnie podbijano saturację, co z reguły daje fatalny efekt, ale ogólnie jest to do przyjęcia, mimo iż nawet w tygodnikach, wydrukowane to było wielokrotnie i o wiele lepiej i to bez żadnych matchprintów i wydziwiań. No nic, jakos trzeba z tym żyć. Oby tylko to się sprzedało.

Środa 12 czerwca 2002

Wróciłem ze Sanoka około 18:20. Jestem kurewsko zmęczony. Zjadłem 3 Royale i nie nadaję się do niczego. Opiszę wszystko jutro przed spotkaniem z dziennikarzami w Bibliotece Narodowej.



Zdzisław Beksiński i Jarosław Mikołaj Skoczeń (po prawej) wręczanie nagród w konkursie na tytuły grafik artysty, 2002 r. (fot. arch. prywatne Jarosława Mikołaja Skoczni)

Czwartek 13 czerwca 2002

Rano pochmurno ale przebija tu i tam słońce. Temperatura poniżej 19 stopni. Spałem dziś fatalnie, bo wprawdzie – wymęczony, zasnąłem natychmiast, ale potem brałem około godziny 2 trzykrotnie Manti i sodę, a nad ranem z kolei zatkało mnie z moczem i ledwie dałem się radę odsikać w kilku ratach przez prawie pół godziny. Być może dlatego, że od dwóch dni nie brałem Prostatonin, o którym po prostu zapomniałem, a wczoraj po powrocie wypilem ocean coli. Jestem niewyspany i rozbity. Siedzenie (dupsko) boli mnie od fotela samochodowego, w którym wysiedziałem się w sumie ponad 13 godzin. We wtorek wyjechaliśmy w deszczu, który potem zmienił się w ulewny deszcz i tak było już aż do Grabownicy. Fontanny wody wyrzucane spod kół wyprzedzanych wozów, zalewały czasami kompletnie szybę przednią. Na dodatek w połowie drogi, okazało się, że są jakieś objazdy, które w sumie dodały co najmniej 40-50 kilometrów. Dotarliśmy do hotelu Jagiellońskiego na 15 minut przed spotkaniem. Zdążyłem się tylko wysikać (dwa razy sikałem na stacjach benzynowych) i zmienić spodnie na lepsze, po czym pojechaliśmy na Zamek, gdzie byliśmy kilka minut przed spotkaniem. Była cholerna kupa ludzi, ale pytań do mnie było na szczęście niewiele, natomiast przykleili się lokalni dziennikarze i TV, których część w pewnym momencie trzeba było odciąć i zabrać się za podpisywanie, bo Banach już mówił, że ludzie na to czekają i to jest nieuprzejmie. Po podpisywaniu, które trwało chyba godzinę, natychmiast i na styk pojechaliśmy do Czarnej. Odląłem się tylko na Zamku. W Czarnej, gdzie byliśmy już w momencie gdy zapadał zmrok, też padał deszcz, a góry okrywała mgła. W ogóle wszędzie w całej Polsce padał deszcz, nie padał tylko w Sanoku. Ośrodek rzeczywiście imponujący w sensie jakości wykonania ale trzeba było odcierpieć kolację, w trakcie której wypilem tylko dwie lampki słodkiego wermutu, co było i dla mnie i zapewne dla gospodarzy krępujące, ale bałem się o swój przewód pokarmowy i sraczkę, a poza tym zaczęło się od sałatki z krewetek i dalej szło w kierunku potraw coraz bardziej dla mnie niejadalnych. Usługiwały dwie kelnerki i barman. W pewnym momencie udałem się do jednej z wielu super eleganckich ubikacji, w której nie mogłem się jakoś odsikać, bo już zaczęło mnie blokować, ale jakoś w końcu kropla po kropli odniosłem sukces. Około godziny 23:30 pojechaliśmy

do Sanoka, gdzie około 10 minut po północy dotarłem do Hotelu Jagiellońskiego. Zanim się rozpakowałem i doszukałem gdzie jest piżama, gdzie szczoteczka do zębów, a gdzie proszki od nadciśnienia, których po prostu przez cały dzień nie brałem (bo zapomniałem), była godzina 1 w nocy. Zbudziłem się o godzinie 5 i nie mogłem już dalej spać. Na szczęście z prostatą było OK. a nawet bardziej OK. niż zwykle, bo prawie nic nie piliem przez całą dobę. Rano zjadłem w hotelu śniadanie złożone głównie z wędliny i kawy (przyniesiono mi też deser, ale zrezygnowałem) i pojechałem na cmentarz, zapaliłem znicze, bo wczoraj nie było na to ani minuty czasu. Na szczęście była pogoda, świeciło słońce i śpiewały ptaki na drzewach. Wprost z cmentarza pojechałem do administracji Muzeum skąd zadzwonił Banach i gdzie czekali już spławieni wczoraj dziennikarze. Musiałem też podpisać sterty albumów dla Muzeum. W międzyczasie nadjechał Ochman z Czarnej. Też udzielał wywiadów. Po wysikaniu się etc. w hotelu Jagiellońskim, załadowałem się do samochodu i wraz z Grześkiem, który wracał razem z nami, ruszyliśmy – tym razem w słońcu, do Warszawy.

Wylazi ze mnie przemęczenie. Zasypiam, nic mi się nie chce. Spotkanie z dziennikarzami przeszło stereotypowo. Po pierwsze spóźniłem się, ale nie tylko ja, bo jakiś wypadek spowodował gigantyczne korki w Alejach. Dotarliśmy jakimiś objazdami. Ochman przyjechał w minutę po mnie. Były jakieś dwie stacje telewizyjne. Jedna – czyli druga z kolei, która przepytowała mnie już po imprezie, dała już 1 minutową migawkę w lokalnej Panoramic. Co do drugiej, to znam tą panią, która ze mną rozmawiała przed imprezą, ale nie mam pojęcia z jakiego jest programu. Dziennikarze byli dosyć opieszali w zadawaniu pytań i sprawę ratował Jagiello, ale ten z kolei usiłował wydusić ze mnie potępienie działań konceptualnych, performance i body art., a ja ani myślę to robić, bo po pierwsze głównie mnie wszystko poza mną obchodzi, a po drugie każdy ma takie samo prawo do działania zgodnie z własnymi preferencjami. Na pytanie czy państwo powinno takie coś finansować, zrobiłem unik i powiedziałem, że to już jest pytanie do pana, a nie do mnie. Oczywiście mam swój punkt widzenia, a zgodnie z tym skrajnie liberalnym punktem widzenia państwo niczego nie powinno finansować, ale też w niczym nie przeszkadzać

– jednym słowem powinno odpieprzyć się, a artyści zamiast czekać, by im nasypiano do żłobu, powinni w końcu nauczyć się techniki uwodzenia sponsorów, bo w przeciwnym wypadku będziemy mieli do czynienia z administracyjnym zurzędniczeniem wszystkiego – tym niemniej nie powiedziałem nic, bo łatwo byłoby ripostować, że Beksiński, który stosunkowo dobrze zarabia, ma punkt widzenia zgodny z punktem siedzenia i wprawdzie byłaby w tym racja, ale ja od zawsze tak myślałem – także wtedy, gdy byłem bez forsy. Oczywiście drażni mnie fundamentalizm awangardy, ale jest on w jakimś tam sensie wynikiem poczucia zagrożenia przez demos. Nie mam zamiaru wypowiadać się jako obywatel, bo zawsze interesowałem tylko sam siebie.

Z Ochmanem oraz „Kawa czy Herbata”, umówieni jesteśmy w rezultacie na poniedziałek o godzinie 7:30. Robię to dla Szymanika, bo osobiście uważam, że to bezcelowe męczenie starca. Ma z nami rozmawiać pan Zimoch, które to nazwisko jest mi skądś dobrze znane, ale z niczym się nie kojarzy. No cóż – nie oglądam prawie TV.

Z prof. Borkowskim umówieni jesteśmy na sobotę o godzinie 8:30. Jeśli dziś się nie wyśpię, to wyśpię się dopiero z poniedziałku na wtorek. O ile nie wypadnie coś nowego. Paradoksalnie z prostatą czuję się dziś lepiej – tak mniej więcej jak przed badaniem PSA w kwietniu. Zmniejszyło się podrażnienie. Może jeszcze starać się ją ratować?

Środa 19 czerwca 2002

Rano piękna pogoda. Temperatura 21 stopni. Wstałem o pół godziny wcześniej ze względu na badanie. Byłem już trzy razy na stronie i zjadłem śniadanie. Jeżeli idzie o prostatę, to noc była rewelacyjnie dobra. Mimo tego, że wczoraj sporo piłem, nie miałem parcia na mocz i za pierwszym razem poszedłem dopiero po 3 godzinach, co w moim wypadku jest ewenementem. Czyżby pomogło piwo wypite wczoraj do późnego obiadu po godzinie 15, czy to, że nie jadłem kolacji, by dziś rano nie mieć kłopotów?

Kurczę blade. Nie było to przyjemne. Najpierw mam możliwość otrzeć się o funkcjonowanie społecznej służby zdrowia, od czego już odwykłem. Tłok, nikt nie umie udzielić najprostszej informacji, każą czekać,

nie chcą mnie zarejestrować, bo pani doktor sama mnie wezwie i należy czekać, ale w końcu zostaję wywołany przez kogoś, kogo biorę za panią doktor. Okazuje się potem, że jest to pielęgniarka od pani doktor. Każe mi wejść do gabinetu, spisuje moje dane i każe się położyć na lewym boku, spuściwszy spodnie i podkurczając nogi pod brodę. W tej pozycji przykrywa moją dupę ligniną i każe czekać po czym wychodzi. Leżę i denerwuję się, by mi się z nerwów nie zachciało srać. Mija 7 minut i pielęgniarka wchodzi powtórnie z zawiadomieniem, żebym się nie denerwował, bo pani doktor zaraz przyjdzie, ale badanie w sąsiednim pokoju się przedłuża. Nie denerwować się? Dobre sobie. Mija w sumie 20 minut, gdy w końcu pojawia się pani doktor. Wsadza mi w dupę coś o kształcie i rozmiarach fiuta w stanie wzwodu, wierci tym na wszystkie strony, a w końcu powiada, że zrobi kilka nakłuć. Kilka? O kurwa! Myślałem, że jedno! Rzeczywiście opinia Janka, że odczuciem jest strzał z procy w dupę, jest najbardziej adekwatna. Uprzedza za każdym razem: „będzie ukłucie”, po czym czuję lekkie ukłucie, a po nim pstryk. Nie tyle boli, ile jest nad wyraz przykre. Dostaję 12 takich strzałów w dupę i naprawdę mam już dość, ale na szczęście wszystko się na tym kończy. Pielęgniarka wsadza mi ligninę w dupę i każe się wytrzeć. Na ligninie jest krew. Słyszę zalecenie od dr K., by się przez najbliższe dni oszczędzać. Pytam w jakim sensie. Nie wolno mi się kąpać, opalać, skakać z trampoliny i grać w tenisa. Dobre sobie. W tenisa grałem jeszcze w dzieciństwie, a z trampoliny w życiu nie skakałem. Przecenia mnie. Mówi na koniec, że nie widzi osobiście nic groźnego, ale ostateczny i miarodajny wynik dostanę za około dwa tygodnie z onkologii. Podobno mam krwawić jeszcze przez jakiś czas potem i obolały oraz zaopatrzony w walek ligniny między pośladkami – z obawą, by krew nie pojawiła się na nowych, letnich, jasnych, które ubrałem, bo było ciepło, udaję się wraz z pielęgniarką do rejestracji, bo jednak – wg. pani doktor, mam obowiązek się zarejestrować, a one mnie poprzednio zarejestrować nie chciały. Miałem czekać aż wezwie mnie pani doktor. Teraz chodzi zapewne o zgodę na zabieg, którą podpisuję ex post, bo nic więcej ode mnie nie wymagają prócz tego podpisu i dowodu osobistego. Teraz mam iść do jakiegoś pana doktora, który załatwi jakieś papiery. W korytarzu spotykam prof. B. Rozmawiamy przez chwilę i woła jakiegoś lekarza, by się mną zajął

oraz podkreśla, że ten pacjent jest pod moją specjalną protekcją. Czekam przez chwilę na korytarzu, bo u tego doktora jest inny pacjent i w końcu wchodzę. Pan doktor, który wygląda wprawdzie sympatycznie (skrzyżowanie dawnego premiera Rakowskiego z aktorem Opanią), jest nastawiony bojowo i opierdala mnie od samego początku, wtrącając kilkakrotnie sformułowanie „sami o to walczyliście, to teraz macie”. Próba dopytania się, o co niby walczyłem i co mam, jak też wyjaśnienia, że o nic nigdy nie walczyłem, pozostaje bez odpowiedzi i słyszę teraz tylko jego relację, że jakiegoś księżula też spławił w ten sposób: sam ksiądz o to walczył. OK. Czy biorę Nolicin. Biorę i dr K. kazala, bym jeszcze dokupił jeden listek 10 pastylek, bo 10, które zapisał mi B. to za mało. OK. Czy byłem szczepiony na żółtaczkę. Nie wiedziałem, że mam być i nie byłem. No to mamy problem. Nie wolno było dokonywać na mnie zabiegu i jest to zdecydowanie moja wina, że się bez szczepienia na zabieg zgodziłem – tak więc by mnie kryć, musimy to poprawić teraz. Sami żeście o to walczyli. Dopisuje nad moim podpisem wyrażającym zgodę na zabieg, że zgadzam się na zabieg, mimo iż nie zostałem zaszczepiony. Protestuję, ale w końcu podpisuję, „bo profesor może mieć kłopoty” (no a ja walczyłem), a poza tym i tak jest po zabiegu, więc biurokracja i tak nic już w tym nie zmieni, ale jestem zaniepokojony i pytam czy szczepienie ex post coś jeszcze da. Nic nie da. OK. Społeczna służba zdrowia w całej swej krasie. Jaka jest pańska waga? Nie mam pojęcia, ale około 90. Panie ładny: nie może być „około”! MUSI być dokładnie. Sami żeście o to walczyli. Okazuje się, że moim psim obowiązkiem było się przed zabiegiem zważyć, ale doktor – idąc mi na rękę, pozwoli mi to zrobić teraz po zabiegu i mam w tym celu niezwłocznie udać się na 1 piętro do pokoju pielęgniarek. Pytam, czy ważyć się razem z ubraniem – bo skoro ma być dokładnie, ale nie uzyskuje odpowiedzi. Wdrapuję się po schodach na 1 piętro. Szukam pokoju pielęgniarek. Stoi tam jakiś grat, pamiętający zapewne czasy Bolesława Bieruta. Nawet nie wiem jak to obsłużyć i jak na tym odczytać wagę, bo nigdzie nie ma displaya, ani nawet zwykłej wskazówki na sprężynie, ale siostra mimo próśb ma mnie w dupie. Udaje, że nie słyszy, o co pytam. W końcu gdy szarpnię się z tą wagą i coś spada na ziemię, podchodzi zła, coś tam przesuwa i rzuca półgębkiem, że mam (wraz z ciężkimi butami ECCO i ubraniem) 84 kg. Chcialbym tyle mieć, ale na oko wiem, że na-

wet na goło przekraczam 90. Biurokracji jednak staje się zadość. Wszystko to fikcja. Schodzę z powrotem na parter do doktora i uzupełniwszy jeszcze informację o wzroście, mogę nareszcie wezwać taryfę i pojechać do domu. Sam o to walczyłem. Z taryfy dzwonię do Wiesława z prośbą, by spytał B. co to jest z tą żółtaczką i czym mi to grozi, no i nareszcie jestem w domu. Wyjmuję ze slipów skrwawioną ligninę i wrzucam do WC. Czuję się jak kobieta, bo wygląda to na zużytą podpaśkę higieniczną. W dupie cały czas lekko, ale przykro boli. Sikam do umywalki, by zobaczyć czy w moczu jest krew. Jest sporo, ale tylko na początku. Potem już leci normalny moc. Za drugim razem już tylko na początku moc jest jakby zmieszany z krwią, ale już nic się nie dzieje. Mija godzina 13. Zązywam panadol i siadam do komputera, bo dziennikarka z „Przeglądu” nadesłała mailem tekst do autoryzacji i widzę, że wszystko trzeba będzie napisać od nowa. Siedzę nad tym prawie do momentu przyjazdu Jerzyka i Janka, którzy pojawiają się w odstępie 3 minut po sobie.

Wtorek 13 sierpnia 2002

Zadzwoił nagle Skoczeń, przeprasząc, że tekst, który autoryzowałem był surowym tekstem spisanim przez jego córkę, a nie tekstem, który on opracował i że wysłał go przez pomyłkę i że nadesł mi tekst opracowany. Powiedziałem, że nie ma po co, bo przecież już poprawiłem to co było do poprawienia i należy tylko zwrócić uwagę, by do druku poszedł tekst poprawiony przeze mnie. Miejmy nadzieję, że teraz nie umieści swego poprawionego tekstu, zamiast mojego poprawionego tekstu. Powiedziałem mu, że raz stało się już tak w jakimś piśmie GRIZZLY. Najgorsi są ci zabiegani, którym w pośpiechu wszystko się myli. Ponieważ powiedział, że zaraz wysła, mi ten swój tekst, zajrzałem do Outlooka i okazało się, że wykociła się nareszcie Czapplewska z VIVA. Wprawdzie ma podobno raz jeszcze poprawiać edycję, bo jakichś liter tam nie ma, ale zabrałem się za to i mam nadzieję, że do wieczora uda mi się to poprawić.

Wtorek 10 września 2002

Rano piękna pogoda. Temperatura 17 stopni. Może dziś będę już miał szansę, by więcej malować. Wczoraj wieczorem przyszły Dziopak i Sawczuk, kupiły za gotówkę obraz z architektura i zaczęły się upierać na mały

obraz kolorowy z siedzącą postacią kobiety w czerwonych butach. Rosikoń go już sfotografował, bo przeznaczyłem ten obraz dla Puchalskiej (której poprzednio nieostro coś obiecywałem), gdyż jej się podobał, więc odmówiłem Dziopak, co skończyło się molestowaniem, bym znowu dla nich coś takiego „pięknego” namalował. Boże mój! Dziopak potwierdziła całą aferę z Dmochowskim. Gdybym do niej nie zatelefonował, to przekonana by była, że ja nie mogąc, czy nie chcąc namalować na czas architektury, sam skierowałem ją do Dmochowskiego, bo on tak to przedstawił, mówiąc, że dałem mu jej numer telefonu, co zresztą było zgodne z prawdą. Dałem mu, bo myślałem, że ma do niej jakiś własny biznes, a nie że chce robić podkop.

Okolo godziny 14 zadzwoniła żona lub córka pana Skoczenia, że ukazał się już mój wywiad w EMPiK News i prosi o adres, gdzie go wysłać. Podałem adres, ale pójdę pod koniec tygodnia do EMPiKu i wezmę bezpłatny (podobno) miesięcznik, bo gdy go mój doręczyciel wbije do Hermesa to nie będzie siły by go wydobyć bez pomocy pętli z drutu i kombinerek.

Sobota 14 września 2002

Przedwczoraj Bogdan przyniósł mi na moją prośbę (byłem popłatany Holterem) kilka numerów EMPiK news.

Środa 9 października 2002

Zabawne jak w człowieku falują emocje. Słuchałem zestawu poematów Karłowicza i przy Incydencie na maskaradzie motyw finałowy, który przecież znam na pamięć, rozkładał mnie wręcz na łopatki. Włączyłem po tym eksperymentalnie Romea i Julię Czajkowskiego w wersji ostatecznej i podobnie zadziało. Czyż więc jestem dziś szczególnie uczulony na pewien typ emocji? Czy to kwestia ciśnienia barycznego lub porannej dodatkowej drzemki? Oczywiście uwielbiam utwór Karłowicza-Filelberga ale dziś wchodził we mnie tak, jak czasem wchodzi w człowieka piwo. Raz po prostu pije się piwo, a innym razem jest gastronomiczne uniesienie. Słucham teraz pierwotnej wersji Romea i Julii i może to mnie ocuci, bo jest chyba gorzej i mniej emocjonalnie skonstruowana.



Remont w mieszkaniu, Warszawa 1977 r.

Poniedziałek 3 lutego 2003

Rano pogodnie. Temperatura około -10. Krzyże ponownie zaczynają od wczoraj dolegać – tym razem z prawej strony nad pośladkami. Dziś około godziny 15 ma pojawić się Banach z Sanoka, a jutro zabierają obrazy dla Muzeum. Dwa razy śniła mi się dziś Zosia. Pierwszy sen w środku nocy zapomniałem, zapamiętałem tylko to, że można go było interpretować jako zaproszenia na drugą stronę. W drugim śnie, który działo się w jakimś dziwnym mieście, przypominającym fragmentami Kraków, ale z odniesieniami do mieszkania w Sanoku, okazało się, że Zosia nie umarła lecz zmartwychwstała w około 2 tygodnie po pogrzebie, lecz nie bardzo chce na ten temat rozmawiać. Właściwie nigdy mi się nie śni i tym razem też wiedziałem, że to Zosia, rozmawiałem z nią, a nawet brałem ją pod rękę i szliśmy rozmawiając jakąś ulicą, ale de facto nie widziałem jej twarzy. Była tylko namacalną obecnością.

Nie wychodzę dziś po zakupy, bo jest na pewno ślisko, lecz biorę się do malowania. Może ktoś kupi mi chleb.

Czwartek 27 lutego 2003

Po południu dzwonił Banach i obiecałem, że odłożę dla Muzeum wydruki grafik. Wieczorem odłożyłem po jednej sztuce z każdego wydruku i uzbierało się tego 70 sztuk, które zapakowałem w 4 teczki.

Czwartek 6 marca 2003

Rano pochmurno, ale nie pada. Temperatura około -5. Wczoraj nawet odporny na mrozy Janek zadzwonił i mówił, że ma już dość tej zimy. A więc nie tylko ja. Ja już nawet nic nie mówię.

Dziwny sen dziś nad ranem: jestem w jakimś dziwnym mieszkaniu, ale to moje mieszkanie i nagle okazuje się, że nie wiem gdzie mieszka Tomek. Jego mieszkanie sprzedane, kawalerka nie skończona, drugie jego mieszkanie nie zasiedlone i też nie skończone, kompletna pustka w mózgu: GDZIE on u licha mieszka? Poczucie zupełnej bezradności i niemożności znalezienia odpowiedzi. Budzę się i uświadamiam sobie, że przecież Tomek nie żyje.



Tomek na werandzie domu w Sanoku

Czwartek 8 maja 2003

Skończyłem obraz około godziny 9. Wpisując w dokumencie komputerowym datę ukończenia, uzmysłowilem sobie, że dziś są imieniny mamy. No i ojca. Jakże już daleko to wszystko odeszło.

Około godziny 11 przyjechali Banach i Barycki. Chcieli się zapytać czy nie będę mieć nic przeciwko wystawie w Kijowie. No cóż – wołałbym wystawę w Pradze (bo wspominali też o Pradze), gdzie prawie na pewno może być środowisko sensytywne na ten typ twórczości. W Kijowie może być atmosfera trochę taka, jak u nas po dojściu do władzy Gomulki, gdy odkręcono śrubę. Środowisko mogło zbzikować kompletnie na punkcie nowoczesności, pisać manifesty, przeprowadzać opisywane szeroko w prasie akcje, np. rozpyłania nad miastem krwi z helikoptera, jako protestu przeciw czemuś tam (zawsze znajdzie się powód), a wystawę obrazów olejnych potraktować w stylu: cóż oni nam pokazują – jesteśmy o sto lat świetlnych do przodu, my awangarda i tak dalej. No, ale w sumie nie protestowałem. O godzinie 16 pojawił się Radzio i zabrał kupione wczoraj buty oraz jedną parę sandałów, do podklejenia pogrubiających zelówek. Potem po godzinie 20 przyszła Puchalska. Cały dzień był przeznaczony na spotkania i rehabilitację. Jutro chyba nie będzie o wiele lepiej.

Czwartek 31 lipca 2003

Rano pochmurno, ale sucho. Temperatura około 22 stopnie. Krzyże bolą bardziej niż to było wczoraj. O godzinie 10 ma pojawić się K. w sprawie ram i innych drobnych robót w kawalerce. Zapewne się spóźni, więc może spróbuje trochę pracować. Wczoraj wieczorem w TV4 nie było materiału nakręconego ze mną. Puchalska mówiła mi, że materiał nakręcony dla TV4 przed około 2 tygodniami, poszedł podobno w ub. niedzielę, ale zapomniałem o sprawie i nie widziałem go.

Około godziny 9:30 zadzwonił Banach z Sanoka z wiadomością, że wczoraj w Holandii zmarł Rysiek Rogowski. Podobno zapalenie płuc. Od jakiegoś czasu coraz bardziej narzekał na zdrowie. Ostatnia korespondencja z nim nosi datę 4 lipca. Nic w niej nie pisał o swoim zdrowiu. No cóż: jest jak jest. Może to i lepiej, że ma to za sobą.

Wszystko się posypało, bo po przybyciu do firmy produkującej ramy, dowiedzieliśmy się, że niestety nie zrealizowano jeszcze zamówienia, bo profile przyjechały z Częstochowy uszkodzone – na dowód pokazano mi rzeczywiście rozkwaszony na rogu profil. Półtorej godziny szlag trafił i K. zabrał się do roboty w kawalerce dopiero około godziny 12:30. Podobno ramy mają być około godziny 17 i K. pojedzie po nie raz jeszcze. Koło godziny 20, mają pojawić się faceci z Cyfra+. Ja chyba mimo coraz silniejszego bólu w krzyżach, postaram się trochę popracować przy sztalugach.

Wtorek 9 września 2003

Rano piękna pogoda. Temperatura powyżej 12 stopni. Niestety krzyżę bolą coraz intensywniej. Za chwilę ma pojawić się Barycki, w celu wypróbowania urządzenia do telekonferencji. Może zdążyć jeszcze zjeść śniadanie.

Barycki z żoną przyjechali z około 3-5 minutowym opóźnieniem. Barycki zainstalował videotelefon i stosunkowo szybko uzyskaliśmy połączenie. Jakość obrazu jest nędzna, ale dźwięk stosunkowo dobry i wyraźny.

Środa 24 września 2003

Miałem już trzy połączenia wizyjne z Poznaniem i połączyliśmy się nawet około godziny 12, gdy była konferencja prasowa, skąd miałem trzy pytania. Jakoś to technicznie szło, ale teraz zbliża się termin otwarcia, a na godzinę 16:30 zapowiadał się kolega Baryckiego do pomocy w razie jakiejś awarii, ale jest już prawie godzina 17 i nikogo nie ma. Gdybym wiedział, że nie przyjdzie to może poprosiłbym Bogdana, by mi w trakcie tego trzasnął jakieś zdjęcia, ale teraz nie wiem co robić, bo facet być może pojawi się dopiero przed godziną 18.

Czwartek 25 września 2003

Rano bezchmurne niebo. Temperatura około 7 stopni. Rano nie spałem od około 5:30. Ćmiła głowa, ale z krzyżami jak na razie jest OK. To całe wczorajsze łączenie, to zawracanie głowy. Uzyskaliśmy połączenie

(ciągnięte na siłę), ale wystąpiły z pytaniami raptem 3 osoby. Sytuację próbował ratować Banach, zadając mi jakieś pytania, ale błędem całego pomysłu było choćby to, że mówiąc słyszałem równocześnie z opóźnieniem swój własny głos z głośnika, co brzmiało jakbym sam sobie powtarzał wszystko do ucha i przeszkadzało cholernie w budowaniu i wygłaszaniu jakiegokolwiek tekstu. Kilkudniowe zawracanie głowy, burdel w pracowni, a na koniec lampa, która przegrzała się od za mocnej żarówki i trzeba ją było wieczorem naprawiać, a wszystko po to, by uzyskać efekt równy nieomal z zerem. Ileż straciłem czasu, który mogłem poświęcić na wcześniejsze skończenie obrazu! Do dupy z tym wszystkim. Kolega Baryckiego (ksywa „Magister”) przybył zziajany dopiero punktualnie o godzinie 18, a nawet po, ale cała impreza zaczęła się około 18:30, bo przedtem musieli gadać Banach i kierownik galerii. Moim zdaniem wszystko to było bez sensu. O wiele lepszym pomysłem jest puszczanie nagranych wcześniej wywiadu na video.

O godzinie 16 Rosikoń wykonał telefon, że już jedzie. Dzisiejszy dzień to chromanie przestankowe. Przyszły też rachunki za jakieś połączenie Octopus, czyli chyba za tą cyfrę. Miałem to mieć pobrane z konta. Na myśl, że mam jeszcze jedną płatność, z którą trzeba będzie latać na pocztę, uruchomiłem Baryckiego i teraz dzwonił z Poznania, że już sprawa jest załatwiana, i będą mi to pobierali z konta. Pamiętam ile dreptania kosztowało załatwienie tego, gdy szło o telefon po Tomku i mój telefon. Wielokrotnie musiałem ganiać do Urzędu pocztowego na ul. Irysovą, gdzie nie ma dojazdu i wracać na piechotę, bo coś trzeba było donieść. Dlaczego jeszcze teraz, gdy tyle już czasu w związku z tym połączeniem poszło na darmo, miałem go jeszcze dokładać? Wg Baryckiego połączenie spowodowało, że prasa i TV o tym doniosły i to napędziło zwiedzających, więc nie był to wysiłek zmarnowany. Oby.

Poniedziałek 15 grudnia 2003

Rano ciemności, ale już nie pada. Temperatura około 2 stopnie. Podobno ma złapać mróz, więc trzeba z rana pójść po chleb, bo potem może być ślisko. Może uda mi się dziś skończyć ten przemęczony obraz.

Pracowałem chyba dość uczciwie przez cały dzień, wyjąwszy 45 minutowy sen po obiedzie. Przed godziną 18 przerobiłem gruntownie cały środek obrazu i zamalowałem gruntownie to, nad czym sporo pracowałem. Wydaje mi się, że obraz zaczyna wyglądać lepiej, ale jutrzejszy dzień to pokaże, o ile ponownie coś mi nie przeszkodzi w pracy. Teraz, po godzinie 18, dostałem jakiegoś takiego drżenia wewnątrz, które przenosi się też na ręce. Kiz dziadzi? Kładę się na chwilę, by zobaczyć, czy to minie. Czyżbym się zatruł? Około godziny 16 musiałem brać Manti. Może to zatrucie?

Czwartek 1 stycznia 2004

Rano ciemności, ale w nocy spadło trochę śniegu. Temperatura około -1. Po północy próbowałem spać przy zamkniętym oknie i bez nakrycia, ale było jednak zbyt gorąco. Zapewne trzeba było uruchomić klimatyzację na chłodzenie, ale dopiero teraz przyszło mi to do głowy. W końcu o godzinie 1, nie wyjmując z uszu korków, które włożyłem jeszcze o północy, otworzyłem jednak okno. Około godziny 2:30 wywaliłem korki z uszu i spałem już bez przeszkód zewnętrznych. Wieczorna strzelanina okazała się mimo nowych i zamkniętych okien zbyt głośna, bo nieregularnie walono chyba z jakiejś armaty. Wykąpałem się i położyłem około 0:30. Nie wiem, o której zakończyły się tańce nad moim mieszkaniem, bo przez cały czas byłem już w kawalerce gdzie było cicho. Teraz jestem jak wypluty, ale spróbuję jednak pracować.

Poniedziałek 12 stycznia 2004

Nareszcie odwilż! Temperatura około 2 stopnie. Ciemności. Około godziny 10 mają przybyć K. razem z murarzem i zacznie się rozbiórka łazienki. Wczoraj wieczorem kaloryfer zaczął na 1/3 grzać, po czym w nocy przestał, po czym znowu zaczął. Spałem nadal przy zamkniętym oknie. Wczoraj po kilkukrotnej wymianie korespondencji z, typowym u Dmochowskiego, targowaniem się i kombinowaniem (cały czas z takiej perspektywy, jakbym to ja jego o coś prosił, a nie on mnie) w końcu jednak odpuścił. Podobno zepsuł mu się komputer, więc może dlatego, ale sądząc, że odpuścił, bo nie ustępowałem ze swoich żądań. Przynajmniej mam z głowy gelowanie, wzywianie na gwałt Rosikonii etc. I tak z powodu tego

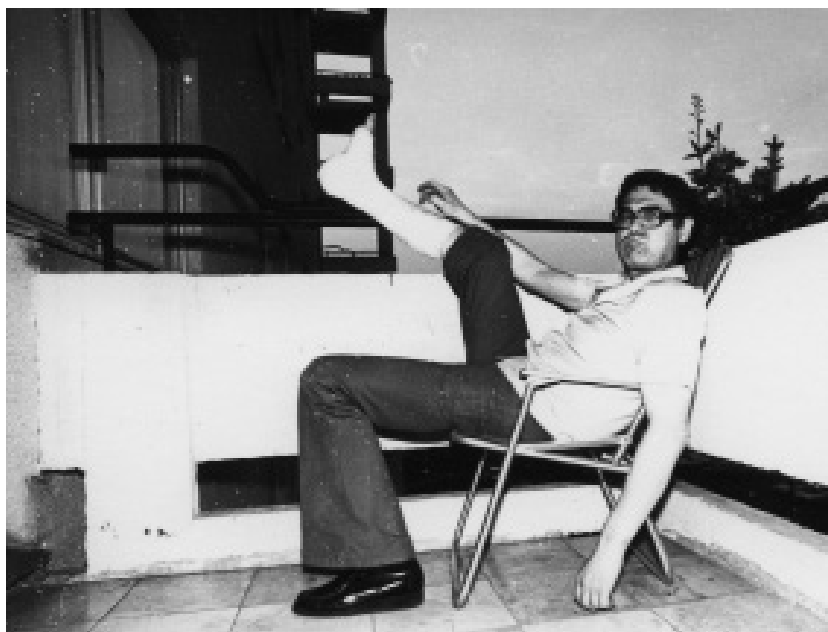
remontu jestem na krawędzi odporności na takie rzeczy.

Nie pójde chyba po chleb, ale zaczekam na K. i murarza. Mam zamiar w trakcie tej roboty malować. Miejmy nadzieję, że dam radę.

K. z murarzem przyszli punktualnie. Bardzo szybko odspoili wszystkie kafle, a teraz od paru godzin (jest 16:30) mlóca młotami po ścianie aż trzęsie się całe mieszkanie, odbijając zapewne zaprawę. Był też hydraulik, który jutro odpali połączenie kaloryferowe. Ja niewiele pracuję, bo musiałem przed godzina 13 podpisać fotomontaże na ścianę dla FOTOTYPE, które otwiera filię w Krakowie, odsłuchać własnego wywiadu radiowego, bo obiecałem to autorce wywiadu, która w tej sprawie do mnie dzwoniła i trochę uporządkować śmietnik w komputerach, który wykreowałem w trakcie testów nowego aparatu.

Nie wiem, co z Puchalską i aż boję się dzwonić. Mam nadzieję, że ona zadzwoni.

Kaloryfery w kawalerce już nareszcie grzeją.



Beksiński na balkonie własnego mieszkania, Warszawa, Służew nad Dolinką, maj 1979 r.

Wtorek 13 stycznia 2004

Rano ciemności, ale nie pada śnieg. Temperatura około 0. Wczoraj K. i murarz pracowali do godziny 19:30. Odklejone są wszystkie kafle i stłuczona na zero zaprawa (takie grube placki), na której były one położone. Zrobiłem zdjęcia koło południa i późnym popołudniem. Wszystko popakowane jest w plastikowe worki i chyba dziś wyniosą to do zsypu. Mają przyjść około godziny 10. Przyjdzie także hydraulik, by odciąć palnikiem rurę kaloryfera łazienkowego, której układ bruździł mi przez ponad 25 lat! Teraz ustawią to inaczej. Umyłem rano głowę, ale nie idę po zakupy, bo po wczorajszej odwilży, może być ślisko. Wczoraj wieczorem nie zdążyłem się już wykąpać przed spaniem, bo dzwoniła pani Bar i skończyła równo o północy. Powiedziała, że Puchalskiej może grozić głuchota i będzie musiała nosić jakiś aparat. Że powinna się intensywnie odżywiać, bo to, co się stało to efekt jakiegoś wycieńczenia i braku odporności organizmu. To fakt, że miała prawie równocześnie operację wodniaka i jej facet siedział w marmrze. Możliwe, że jest to efekt stresu?

Zaczynają mi dziś cholernie dolegać krzyże. Nie wiem czy to efekt pogody? Chyba tak, bo żadnych nadużyć sobie nie przypominam. W kawalerce ponownie wyłączono przed południem całkowicie ogrzewanie. Nie grzeją kaloryfery ani w pokoju, ani w łazience, ani w kuchni. Włączyłem klimatyzację na grzanie, ustawiłem docelową temperaturę na 26 stopni i otworzyłem drzwi od łazienki.

W moim mieszkaniu rano przyjechał hydraulik, potem doszedł drugi i przyjechali K. z murarzem. Po odspawaniu rurek doprowadzających do kaloryfera i założeniu zaworu na końcówce, hydraulicy poszli, a K. z murarzem wynieśli worki z gruzem. Teraz ponownie coś kują. Chyba odkuwają podłogę, ale nie chcę tam wchodzić, by nie nosić brudu. I tak rano widoczne było na podłodze zakurzenie.

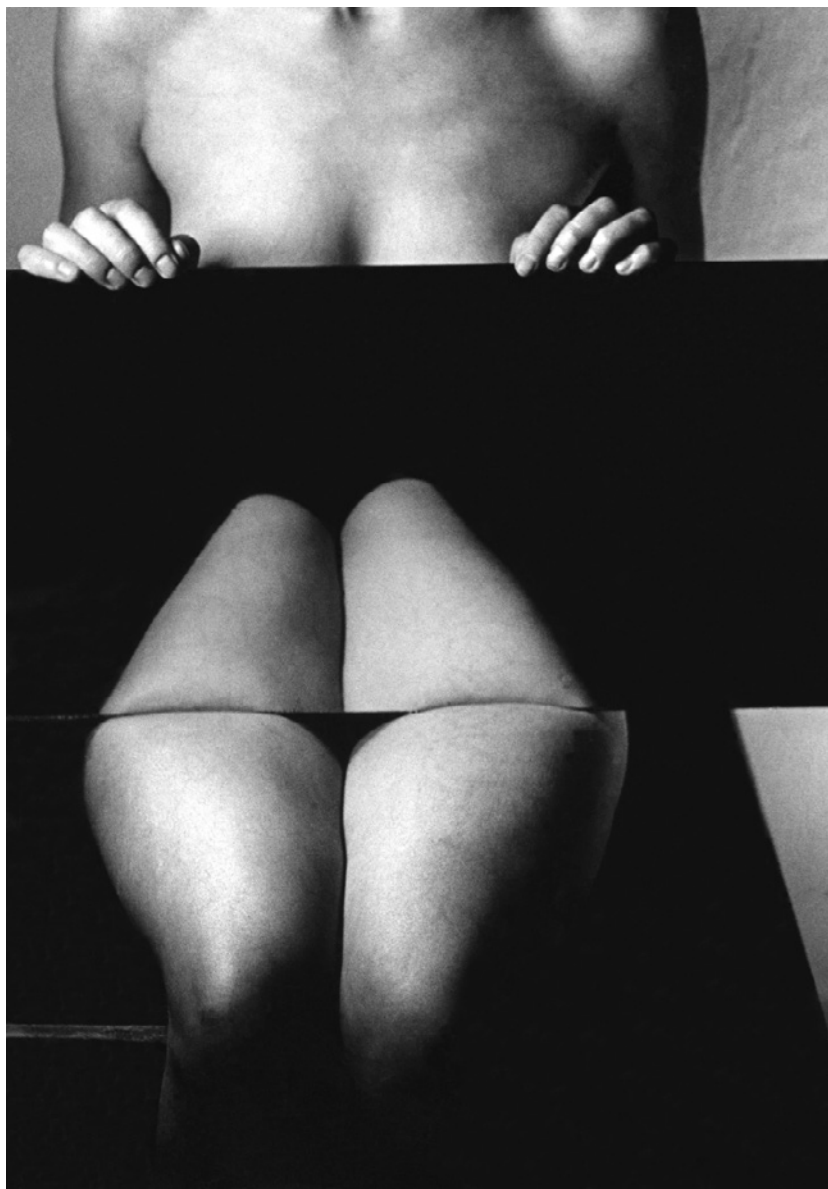
Fajrant nastąpił dziś około godziny 16, bo muszą wywieźć gruz. Podłogi nie zostały jeszcze zerwane, natomiast osłonięte zostały zbiorniki w sypialni. Wanna, którą wyniesiono jeszcze około południa, stoi na razie w hollu. Zrobiłem fotograficzną dokumentację. Jutro przyjdą podobno do roboty tak jak dziś, czyli przed godziną 10. Prosiłem K., by kupił mi

chleb, abym nie musiał wychodzić z domu, bo nie wiem czy jutro nie będzie ślisko. Na razie przez cały dzień utrzymuje się temperatura nieco ponad 0. W kawalerce włączono ponownie kaloryfery.

Czwartek 15 stycznia 2004

Rano ciemności. Temperatura około 2 stopnie. Chyba przestało padać, bo wczoraj deszcz padał przez cały dzień. W radio i prasie coraz bardziej alarmistyczne informacje o grypie. Niestety trudno było w zaistniałej sytuacji czekać z robotą na połowę lutego. Wczoraj zdemontowano i wieczorem wywieziono zbiorniki na wodę, a dziś podobno mają być zamontowane nowe. Mieszkanie przypomina ruinę, ale gdy wysłałem przedwczoraj zdjęcia Jankowi, to wczoraj powiedział mi przez telefon, że przecież nic tam się nie dzieje: parę cegieł leży i tyle. Zapomniałem, że w Komorowie zawsze wyglądało jak po powstaniu, a burdel w jego pokoju przekraczał wszelkie wyobrażenie z najgorszego snu i on po prostu zaadaptowany jest do takiego otoczenia. W Komorowie zapewne stale leży tu i tam trochę cegieł...

Zamówiłem wczoraj niektóre elementy wyposażenia do nowego aparatu. Mają być za 7-8 dni, a więc w nadchodzącą sobotę lub piątek. Kosztować to będzie ca 3.500 ale myślę przez rok zostać przy tym konkretnie aparacie. Jeśli SONY wypuści udoskonalony model, to zapewne i tak wyposażenie zostanie to samo. Dziś wykonano podpory pod zbiorniki i zamontowano zbiorniki, jeszcze ich nie podłączając. Zrobiona już jest w dużym stopniu instalacja wod-kan, a murarz poosadzał w łazience listwy ustalające grubość tynku. Na ten tynk naklejone zostaną płytki. Jak to będzie trzymać? Bóg raczy wiedzieć. Podobno lepiej niż dawną metodą. Dawną metodą wytrzymało 14 lat. Nie mam już na pewno 14 lat przed sobą. Po mnie potop. Biedna Puchalska podobno straci słuch. Mają jej założyć jakiś implant kostny, jakiś pałąk łączący oba uszy i dodatkowo jakieś zauszne aparaty słuchowe. Powiedziałem jej, że pomogę jej finansowo i zapłacę za lepsze lub mniej widoczne aparaty niż te, za które zwraca ubezpieczalnia, o ile takowe istnieją – niech porozmawia z lekarzami. Na razie jeszcze nic nie wiadomo. Boże taka fajna i pełna życia kobieta, a teraz ogłuchnie. Okropność.



Fot. Zdzisław Beksiński, Akt, 1957 r.

Niedziela 18 stycznia 2004

Od rana jestem cholernie senny. Około 10:30 skończyłem obraz. W trakcie malowania bardziej mi się podobał niż teraz. Jestem zbyt senny i zmęczony. Pogoda zrobiła się w sam raz do malowania, a mnie się nie chce nawet zagruntować następnego podobrazia.

Wtorek 20 stycznia 2004

Rano ciemności. Temperatura około 0. Wieczorem spadł śnieg i dziś rano o godzinie 6 obudziło mnie jego odgarnianie. Plecy nad lewą łopatką nadal bołą i mimo iż na noc brałem prochy, to teraz wezmę je powtórnie, bo inaczej nie będę w stanie pracować i odpisać na korespondencję.

Facet z Wrocławia przyjechał po grafikę około godziny 17:30. Wyglądał uczciwie, ale nie miał żadnego upoważnienia ani też nie zostawił mi żadnego potwierdzenia. Z tego jednak, co mówił wyglądało, że to wszystko prawda i nie chodziło o wymanewrowanie grafiki.

Odpisałem w końcu Jasińskiej. Ten tomik, który przysłała to kompletna i czysta grafomania. Staralem się ominąć ten temat, ale jeśli będzie się domagała pochwał, to muszę jednak wydusić z siebie oględnie, że nie jestem zachwycony. Dlaczego zawsze mnie coś takiego spotyka, że pchają się na mnie wszelkiej maści nieudacznicy, a szczególnie niedopieczzone panie około 50. Czyżby to był efekt mojego braku asertywności? Cały tekst aż ocieka seksualnymi aluzjami. Fuj.

Piątek 23 stycznia 2004

Rano pochmurno. Temperatura poniżej -7 . Wczoraj K. z murarzem zakończyli wcześniej i dziś także mają zakończyć wcześniej. Łazienka już prawie wyłożona kafkami, a brakuje tylko obudowy wanny. Oczywiście nie jest jeszcze wyspoinowana. Dziś około godziny 11 jestem umówiony z Grześkiem na wyjazd do MediaMarkt, gdzie mam nadzieję kupić torbę na nowy aparat. Posiadam wprawdzie jakąś torbę, ale jest nieco za wielka i zbyt skomplikowana jeśli idzie o zapinanie. Z kolei wieczorem mają wpaść Grzesiek i Puchalska. Teraz wezmę się do malowania, by wykorzystać czas jaki mi pozostał.

Zrezygnowałem z wyjazdu z Grześkiem, ze względu na dobre światło do malowania. W łazience zaczyna się od nowa kucie. Rano wstawiono prowizorycznie brodzik. Coś K. źle obliczył (a obawiałem się tego od samego początku) i okazało się, że kabina prysznicowa się nie mieści. Trzeba by ją było skrócić, a wtedy nici z nie oblewania wodą łazienki. Poddałem, by zrobić odpowietrzenie poprzez rurę przewleczoną przez ścianę do korytarzyka i z powrotem do łazienki, ale w końcu najlepszym wyjściem z sytuacji było wymyślone też przeze mnie wyrzucenia żelbetowego pół-pawlacza na którym leżały do tej pory proszki do prania, zapasowe miednice etc. Właściwie teraz jest on zbędny. Teraz trwa skuwanie półki. Prosiłem o zabezpieczenie wanny, by nie wpadły tam odłamki muru. Trzeba będzie wywalić też część położonego już okaflowania i wykonać je potem ponownie, ale problem zostanie tym samym rozwiązany.

Piątek 7 maja 2004

Rano pochmurno i ciemno. Temperatura około 14 stopni. Spałem lepiej niż wczoraj. Jak na mnie, to spałem nawet dobrze. Muszę rano pójść na pocztę, bo dostałem wezwanie, że zalegam z opłatą radiofoniczną. Już jesteśmy w Europie, ale za radio i TV płaci się jak za komuny. Znalazłem książeczkę i nie bardzo wiem, jak ją teraz wypełnić, no ale może urzędniczka na pocztę będzie wiedziała. Pójdę tam przed śniadaniem.

Sobota 8 maja 2004

Rano pochmurno, ale sucho. Temperatura około 11 stopni. Zastanawiałem się przez chwilę, z czym kojarzy mi się 8 maja, bo z czymś się kojarzył. Oczywiście imieniny ojca i matki. Już coraz mniejsza ilość takich skojarzeń ma jakiegokolwiek znaczenie. Za dwie godziny K. Przedtem muszę jeszcze pójść i kupić chleb, bo jutro niedziela.

Wczoraj około godziny 23 wykonała telefon J. Coś jak zwykle było jej potrzebne – tym razem nie było zbyt jasne co, ale niejaki Sheridan Le Fanu, którego nazwisko prawidłowo skojarzyłem z autorem horrorów, popełnił coś o nazwie Carmilla, co początkowo (słyszalność była nędzna) zrozumiałem jako Carmina. Jakaś Izabela Trojanowska w tym grała, czy to wystawiała przed laty, a ja miałem coś na ten temat, ale dokładnie nie

wiadomo co, odszukać w internecie i to wyłącznie na stronach polskich. Było nader niewiele i tylko w blogach, natomiast skojarzenie nazwiska pisarza i tytułu zaowocowało ponad 5.000 informacjami, ale po angielsku i w innych językach. Czy pan nie chce mi tego znaleźć (czego?) i się w ten sposób wykręca? Powiedziałem, że nie to, że nie chcę, ale nie mogę, bo żadnych polskich informacji nie ma. To niech mi pan dupy nie zawraca. Bardzo pani miła i przerwałem połączenie. Jeszcze jedna wariatka po tym świecie chodzi. Ja jej zawracam dupę, czy ona mnie? A już myślałem, że się ode mnie odkleiła. Inna rzecz, że ten styl nie pasował do niej, lecz raczej do dawnej W. lub do jakiejś konkretnej psychozy. No, ale może jej to było potrzebne do tego, by się ode mnie definitywnie odkleić za pomocą obrazy? Bóg z nią.

Po południu podpisałem obrazy dla Dmochowskiego. Teraz już tylko trzeba je sfotografować.

Poniedziałek 10 maja 2004

Rano ciemności i mokro. Temperatura około 9 stopni. Wczoraj miałem ponownie bardzo podwyższone ciśnienie i nawet załadowałem się przed snem dodatkową tabletką Atenolol. Noc przeszła stosunkowo spokojnie, ale już nie tak idealnie jak wczoraj.

Wtorek 11 maja 2004

Rano było dość pogodnie. Temperatura wynosiła około 11 stopni, ale w tej chwili, o godzinie 10:30, jest już ponad 15. Rano, nie jedząc śniadania, poszedłem od razu do banku, by zrobić przelew 9.000 zł. na konto Soltyska, o co prosił mnie Dmochowski. Potem zrobiłem poranne zakupy, a potem umówiłem się do fryzjera. Po fryzjerze wlażem do wanny, potem zrobiłem i zjadłem śniadanie i już jest 10:30. Teraz muszę odpowiedzieć na kilka maili. Wieczorem około godziny 19, przyjedzie na noc Jerzyk, bo ma jakieś nadzwyczajne zebranie.

Środa 12 maja 2004

Rano pochmurno, ale sucho. Temperatura około 11 stopni. Spałem raczej dobrze, bo wczoraj zjadłem i wypilem około godziny 17-18 i potem już

nie nie jadłem ani nie piłem. Nad ranem jednak, chyba około godziny 4, zaczęła mnie męczyć zgaga i brałem manti. Jerzyk jeszcze śpi.

Chciałem sprawdzić, czy klimatyzacja nastawiona na grzanie, także wysusza powietrze i odprowadza na zewnątrz wodę, tak jak wtedy, gdy nastawiona jest na chłodzenie. Zajrzałem najpierw z okna, a potem z balkonu, czy coś kapie z rurki, ale nigdzie nie było rurki. Po zejściu na dół, przekonałem się, że rurka chyba się wraz z kolankiem odkleiła i to nie wiadomo nawet kiedy, bo na dole na trawniku jej nie było. Zadzwoiłem z tym do K. i obiecał dokleić, ale najpierw musi sprawdzić jej średnicę.

Okolo godziny 13 przyszła Puchalska i zjedliśmy obiad. Jest podłamana, bo pani laryngolog powiedziała jej, że ubytek słuchu się już nie cofnie. Ani przedtem, ani potem nic konkretnego nie zrobiłem. Przed wieczorem zagruntowałem podobrazie. Potem walnąłem na pół godziny na tapczan. Wieczorem przyszedł Bogdan. Oto bilans dnia starca. NIC nie robię! Zgroza.



Fot. Zdzisław Beksiński

Sobota 15 maja 2004

Rano resztki wczorajszej pogody. Temperatura około 9 stopni. Imieniyny Zosi. Jestem jakiś taki słaby i niewyspany – mimo iż w nocy raczej „dobrze” spałem i prostata nie dokuczala – że najchętniej walnąłbym z powrotem na tapczan, no ale trzeba brać się do roboty. Nogi okresowo (co drugi dzień?) swędzą jak swędziały.

Tak zeszmiacony jak dziś, to chyba jeszcze w tym roku nie byłem. Nieustannie chce mi się spać lub choćby tylko leżeć. Na dworze zrobiło się mokro, a temperatura, po porannym wzroście, znowu spadła poniżej 9 stopni. Maluję, ale chyba przestanę, mimo iż jest dopiero 14:40. Nie wiem: czy to Zosia nudzi się beze mnie na drugim świecie?

Niedziela 16 maja 2004

Rano pochmurno, ale jak na razie sucho. Nadal zimno i temperatura około 9 stopni. Zobaczę jak się będę dziś czuł i czy dam radę malować, w każdym razie ubrałem się do malowania. Wczoraj zmitrzążyłem cały dzień i do wieczora czytałem tygodniki i gapilem się na nagrane filmy.

Poniedziałek 17 maja 2004

Rano częściowe zachmurzenie. Temperatura około 10 stopni. Może zacznie się w końcu ocieplać. Wczoraj trochę podciągnąłem obraz, bo czułem się bez porównania lepiej niż w sobotę. Przełożyliśmy termin zdjąć z Rosikonem na następny poniedziałek. Poza tym nic się nie działo.

Środa 19 maja 2004

Dziś zapomniałem nawet o komunikacie meteorologicznym. Nie wychodziłem z domu i skończyłem obraz, ale jak na razie nie wzbudził we mnie żadnych uczuć. Szaro czarny monochrom, który był reakcją na poprzedni kolorowy i na którego reakcją będzie zapewne znowu obraz bardziej kolorowy. Jest już godzina 19:30. Pogoda była zmienna, ale nie padało. Teraz przychodzi Bogdan, który dostał w Częstochowie kalendarze z moimi reprodukcjami.



Fot. Z. Beksiński, Milczenie, 1956 r. (modelką jest Zofia Beksińska)

Czwartek 20 maja 2004

Rano piękna pogoda. Temperatura około 11 stopni. Od rana mam jakieś kłopoty ze zgałą. Zresztą pojawia się to w różnych porach od kilku czy kilkunastu dni. Czyżby początek wrzodu? Poza tym nogi swędzą. Tu i tam, także na innych obszarach ciała, robią się takie niewielkie kolonie pryszczycy, czy zgrubień skóry i swędzą jak cholera, ale na nogach jest to najbardziej przykre.

Piątek 21 maja 2004

Rano pogodnie. Temperatura około 11 stopni. Wczorajszy dzień był koszmar, bo bóleści, jak od wrzodu czy zgagi, nasiliły się i trwały do późnego wieczoru. Nie pomogła kąpiel w gorącej wodzie, manti i soda, wreszcie ulgę przyniósł panadol. No nic, raz jeszcze brałem około północy profilaktycznie manti i dziś jak na razie czuję się OK., tyle ...że nie do końca wyspany bo przed godziną 6 obudziły mnie gołębie, które zaraz przegoniłem. Temperatura wczoraj wieczorem spadła do poniżej 9 stopni i być może wszystko było efektem jakiegoś frontu atmosferycznego. Wczoraj jeszcze dodatkowo przerobiłem fragment obrazu likwidując rozszczenie na błyskawicy, ale poza tym nie nadawałem się do żadnej pracy. Dziś około godziny 10 ma przyjść Tadzik Barucki, by poszukać czegoś w internecie, a około 15 żona K. do sprzątania. Nie będę zaczynać nowego obrazu, a co najwyżej zagruntuję podobrazie.

Nareszcie coś się dzieje, ale to, co się dzieje, to raczej dopust boży. Przy śniadaniu złamała mi się nieużywana od lat dolna lewa szóstka. Odpadła korona i cała góra, a ostry szpic rżnie mnie po języku. Dzwoniłem, ale u Leżachowskiej telefon milczy. Chyba trzeba będzie tylko wygładzić, bo od góry ostatnim zębem po lewej jest czwórka, więc i tak ta szóstka nie gryzła niczego.

Wieczorem dzwonił Plusa i wydębił ode mnie obietnicę, że wycofam z galerii Wiśniewskiego obraz kolorowy z idącą postacią i pani Fiołek wysła go do Kanady, a pieniądze dostanę z końcem lipca. Plusa pełen jak zwykle wspaniałych planów, ale popada w jakieś sprzeczności. Rzekomo nabywca, który zobaczył w oryginale poprzednio zabrany obraz,

który sprzedany został do Waszyngtonu, zachwycił się podobno tym, jak jest namalowany... Teraz jednak dobrze byłoby wysłać z Polski oba obrazy naraz, bo to drogo kosztuje, więc już nie wiem czy ten obraz w końcu został poprzednio wysłany, czy też nadal jest w Polsce, a Plusie się pokielbasiły zeznania. Bo jak się mógł oryginałem ktoś z Waszyngtonu zachwycić, skoro on jest nadal w Polsce. Jutro Pani Fiołek ma mi pomóc w odebraniu obrazu z galerii od Wiśniewskiego, gdzie podobno wisi za 28.000 zł. No ale ja go tam tylko wypożyczyłem. Początkowo na trzy dni, a potem zgodziłem się termin wydłużyć. Minął już chyba miesiąc lub więcej?

Sobota 22 maja 2004

Rano pochmurno, ale już nie pada. Temperatura około 9 stopni. Czy nareszcie zacznie się robić ciepło, czy też przed nami takie zimne lato? Wczoraj, mimo wielu prób, nie dodzwoniłem się do Leżachowskiej – ani do mieszkania, ani do gabinetu. Chyba gdzieś wyjechała. Muszę poprosić ją o jej numer komórki. Najgorsze, że na poniedziałek umówiony jestem z Rosikonem, więc nie wiem czy w poniedziałek dam też radę załatwić coś z zębem. Dzisiaj pójdę do Szpitala Damiana i zrobię rentgen. Wczoraj przez cały dzień nic nie robiłem. Z powodu zęba czułem się nie w sosie. Na szczęście wczoraj nie było już kłopotów z żołądkiem.

Na szczęście udało mi się w końcu porozumieć z Leżachowską. Zaproponowała, że wprawdzie dziś nie pracuje, ale przyjmie mnie o godzinie 18, bo na 19 idzie to teatru. Nie piłem już w ogóle płynów, by nie mieć kłopotów z prostatą, co się udało. Po spiłowaniu sterczącej szabli, nastąpiła nareszcie ulga. Leżachowska tak jak podejrzewałem, uważa że korzeń należy usunąć ale na razie z tym poczekam. Rentgena w końcu nie zrobiłem, bo sobota okazała się dniem bezpromiennym (tak mi powiedziała Leżachowska – dawniej dniem bezpromiennym był poniedziałek). Po powrocie do domu wypilem chyba ze dwa litry coli z sokiem grapefruitowym. Noc będzie raczej koszmarna.

Niedziela 23 maja 2004

Rano dość pogodnie. Temperatura około 8 stopni. W nocy było nawet

około 5. Od momentu wyłączenia przed miesiącem kaloryferów, dogrzewam prawie non stop kaloryferami olejowymi i klimatyzacją. Dziś około 12 przychodzi robić zdjęcia Rosikoń, bo wczoraj (gdy byłem w gabinecie u Leżachowskiej) prosił o przełożenie terminu na dziś. Może uda mi się podmalować obraz, albo przynajmniej zagruntować podobrazie.

Poniedziałek 24 maja 2004

Rano niebo zachmurzone, ale przebija tarcza słońca. Temperatura około 6 stopni, ale w nocy było nawet tylko 3. Podobno w Tatrach było 6 stopni mrozu i spadł śnieg. Koszmarny ten maj. Wczoraj znowu nie ruszyłem z obrazem i może ruszę dopiero dziś, a przynajmniej zagruntuję podobrazie. Rosikoń spóźnił się wczoraj o półtorej godziny. Potem sporo gadaliśmy. Gdy skończył zdjęcia, było już po godzinie 15, zrobiłem sobie coś do jedzenia i potem nie nadawałem się już do niczego. Dzwonił dr Szczech lub Szczęch z USA. Będzie w Warszawie i chciałby kupić obraz (pełen optymizmu gadał że kilka obrazów, bo zainteresowani są jacyś jego koledzy, ale ochłodziłem jego zapalę), ale ja niczego nie mam poza tym, co odkładam dla Sanoka. No, może dwa obrazy. Wyślę mu zdjęcia tych dwóch obrazów i mam nadzieję, że chęć kupna mu minie. Nie wiem czy to nie robota Ochmana, który widział u mnie obrazy zarezerwowane dla Dmochowskiego i dla Sanoka i może coś napisał do tego Szczęcha. Jak na razie zaczyna się zapowiadać nadmiar sukcesów finansowych, bo jeśli Dmochowski kupi te trzy obrazy po 5.000 Euro, a z końcem lipca Plusa zapłaci 20.000 za stary obraz, który dziś pani Fiolek ma wycofać z galerii Wiśniewskiego, to jak na razie nie potrzeba mi więcej kasy. Dmochowskiemu wprawdzie zapaliło się zdaje się pod siedzeniem na temat najnowszego obrazu, ale miejmy nadzieję, że nie wyglówkuje w swoim stylu tego, że teraz zapłaci mi za 3, ale weźmie dwa, a na ten nowy poczeka do września, bo nie znoszę takich rezerwacji i stanu zawieszenia, oraz nie cierpię brać forsy z góry. W takiej sytuacji wezmę forszę za dwa, a pozostałe obrazy, z których by ewentualnie zrezygnował, będę mieć na okoliczność innych potencjalnych klientów. Pewnie znowu powie, że jestem rozkapryszonym dzieckiem czy coś w tym stylu, ale dla czego właściwie zgadzam się stale na sytuację w której jestem usługowcem na telefon. Zgoda: żyję z tego, ale to ja powinienem określać, co mam do sprzedania,

a nie PT klienci.

Czwartek 27 maja 2004

Rano bezchmurne niebo. Temperatura poniżej 9 stopni. Jerzyk, który został jeszcze na drugą noc, siedzi w tej chwili w łazience. Pewnie wyjedzie od razu z rana. W nadchodzącym sezonie nie będzie już przyjeżdżać co miesiąc, lecz dwa razy do roku. Przyjedzie jeszcze raz w czerwcu, by przekazać swoje stanowisko następcy.

Dzień upłynął mi na zupełnej samotności. Jakoś ją nawet mimo malowania odczuwałem.

Piątek 28 maja 2004

Rano bezchmurne niebo. Temperatura pomiędzy 9 i 10 stopni. Nad ranem pojawił się lekki ból brzucha i zażyłem manti. Czyżby sygnał zmiany pogody? Może nareszcie się zacznie ocieplać? Nie idę po zakupy, lecz biorę się do pracy. Około godziny 15 ma przyjść K. w celu sprzątnia.

Rano malowałem. Około południa podjechałem metrem do sklepu PALETA przy ul. Szkolnej i kupiłem sporo pędzli DALER-ROWNEY na zapas. Kupiłem też trochę małych pędzli szczecinowych firmy SIGNET na próbę. Wyglądają na bardzo dobre. Muszę wyprzedzić urlopowe zamknięcie sklepów w lipcu lub sierpniu i zrobić zapas materiałów. Potem zjadłem w McDonalds na rogu ul. Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej i wróciłem metrem do domu. Taki wyjazd nie był męczący, więc mogłem ponownie zabrać się do pracy.

Sobota 29 maja 2004

Rano piękna pogoda. Temperatura około 13 stopni. Głowa ćmi mimo prochów. Może to oznacza zmianę pogody i w końcu zrobi się ciepło? Muszę kupić chleb, bo jutro niedziela. W przeciwnym wypadku nie wychodziłbym w ogóle z domu, lecz zabrał się od rana do pracy.

Niedziela 30 maja 2004

Rano bezchmurne niebo. Temperatura około 15 stopni. Od rana biorę

się do malowania. Może dziś pogeluję też obraz z błyskawicą? A może sobie odpuścić? Gdyby udało się go sfotografować przed przyjazdem Dmochowskiego, to obraz mógłby od razu sobie odebrać. Myślę, że przy zachowaniu ostrożności, błyskawica się już nie rozmaże. Jutro „na bank” przyjść ma K. Ciekaw jestem czy dziś to odwoła?

Do godziny 9 pogelowałem obraz z błyskawicą. Trochę było z tym zachodu, ale na szczęście błyskawica nie wykazywała tendencji do rozmazywania się. Może jutro uda się jakoś umówić na wtorek z Rosikoniem, by zrobił jeszcze reprodukcję tego obrazu. Znowu jestem senny.

Malowałem, z przerwami, do wieczora. Obraz jest już prawie skończony, ale jutro z powodu K. nie będę go zapewne mógł skończyć. Dr Szczech nic nie odpowiedział na mój mail, w którym nie wyraziłem zgody na zapłatę w dolarach i proponowałem odłożenie transakcji na rok, więc zaczynam się obawiać, że – jak poprzednio zapowiadał - w okolicy 4 i 5 czerwca, nagle się tu pojawi i to jednocześnie z Dmochowskim. Muszę schować obrazy przeznaczone dla Sanoka i pokaże je tylko Dmochowskiemu.

Poniedziałek 31 maja 2004

Rano bezchmurne niebo. Temperatura około 13 stopni. Czekam na K., ale nie jestem pewien czy jeśli nie będzie go do godziny 10 i zatelefonuję, nie okaże się, że dziś jeszcze nie może przyjechać, ale będzie „na bank” w czwartek i tak dalej... Takie coś było zawsze normalką, więc może i dziś tak będzie.

Zadzwońiłem do K. przed godziną 9. Jedzie. Stoi w korku (tło dźwiękowe było jakieś inne – tak jakby wewnątrz mieszkania) ale będzie za ca 15 minut. Zadzwońiłem do Rosikonia i przyjedzie jutro, by zrobić zdjęcie obrazu z błyskawicą, ale jeszcze wieczorem zadzwoni, by sprecyzować godzinę. Będę musiał chyba samemu zadzwonić.

Minęło już 45 minut i K. nie widać. Mogłem śmiało pójść po chleb, zamiast czekać, bo wtedy, gdy dzwońiłem jadł pewnie jeszcze śniadanie w Wołominie.



Zdzisław Beksiński, 17 grudnia 1975 r.

Wtorek 1 czerwca 2004

Rano piękna pogoda. Temperatura powyżej 13 stopni. K. ma przyjść dziś dopiero około godziny 11, co oznacza, że nie przyjdzie przed godziną 12. Na razie więc idę po zakupy, ale chyba nie będę dziś kończyć obrazu, lecz poczekam na zakończenie wszystkich robót i posprzątanie w czwartek lub w piątek. Rosikoń miał przyjść dziś w celu wykonania zdjęcia, ale wczoraj przełożył to na środę rano. Twierdzi, że wyrobi się ze zdjęciami przed przybyciem Dmochowskiego... Wszystko (kurwa!) zbije się w okresie tego weekendu. Potem może się wygłodzi. Także z forszą jest obecnie krucho i ewentualny zastrzyk od Dmochowskiego, związany jest z weekendem. Z tego, co mam może mi na bieżące roboty K. nie wystarczyć, jeśli zważyć, że wczoraj wydałem 2.400 czyli 25% bieżącego zapasu. Dzwonił wczoraj dyr. Banach, któremu obiecałem tych kilka nowych obrazów, które czekają na zapleczu. Powtórzył mi gadanie Plusy (który do niego dzwonił z Toronto), mające mnie skłonić do tego, bym nie sprzedawał obrazów Dmochowskiemu za tak niewielkie pieniądze, bo on zapewni mi sukces w USA. Już takie teksty słuchałem przed 20 laty od Dmochowskiego. Na razie ze strony Plusy jest tylko (moim zdaniem) wishfull thinking i nie widzę najmniejszych szans na sukces, ale oczywiście nie będę mu rzucać kłód pod nogi, bo jest pełen dobrej woli, tylko niech nie wymaga bym wstrzymał oddech i przestał normalnie zarabiać na życie w oczekiwaniu na Wielki Dzwon, bo w wieku 75 lat inaczej się już na ten temat myśli.

K. przyjechał około godziny 12 i podjechalśmy razem do OBI, a potem do LEROY MERLIN, gdyż w OBI nie mieli już (z powodu sezonu letniego) kaloryferów olejowych. Kupiłem kaloryfer, a poza tym łańcuch do drzwi i zasuwę oraz jeszcze trochę innych drobiazków. Znowu poszło około 1.000 zł. Zjedliśmy obaj obiad z McDonalds. Ja dwa Royale, a on dwa Wieśmaki, przywiezione w torbie do domu. W tej chwili (godzina 20:30), K. zabrał się do odmalowywania balkonu (to jego pomysł – przedtem wykonał szereg zaplanowanych przeze mnie robót), a ja zastanawiam się ile za to wszystko mi policzy i czy mi na to jeszcze wystarczy. Nie wiem ile mogę jeszcze mieć na koncie, ale już niewiele. W domu mam około 6.000 zł i czekam po prostu na pieniądze od Dmochowskiego. Udzielił

(jak mi mówił Banach) jakiegoś wywiadu w Częstochowskiej Gazecie, w którym nagadał coś na Muzeum w Sanoku, ale gdy dziś zlokalizowałem ten wywiad, to niestety jest już w tej chwili w Archiwum, bo pochodzi sprzed prawie roku i trzeba się jakoś logować poprzez telefoniczny numer kontaktowy, a boje się, że z sieci kablowej nie jest to możliwe. Może Banach przesadził. W Leclerc nie mieli dziś coli poza butelkami 2 litrowymi. Kazała dzwonić w czwartek. Jestem już na końcówce i nie bardzo chcę pić colę zmieszaną z sokiem grejpfrutowym, bo przyspiesza to lub nawet powoduje bóle w brzuchu. Jakoś muszę dać sobie radę.

Środa 2 czerwca 2004

Rano, prawie bezchmurne niebo. Temperatura około 14 stopni. K. wczoraj wieczorem zaczął z własnej inicjatywy odmalowywanie balkonu i dziś zapewne skończy. Ma przyjść około 9:30 o ile sklep, w którym musi wymienić domofon, czynny jest od godziny 9, lub o 10:30 jeśli czynny jest od 10. Przyjedzie zapewne koło południa. Myślę czy nie zabrać się za kończenie obrazu, bo koło sztalug mam już właściwie porządek. No nie: około godziny 10 ma być Rosikoń o ile ponownie nie odwoła.

Wygląda coraz bardziej na to, że nie docierają do mnie niektóre maile. Prawie codziennie system antywirusowy informuje o przeskanowaniu poczty, że przeskanowano 3 i usunięto 1, po czym dostają tylko 1 i to właśnie ten usunięty. Będę musiał skontaktować się z Roszczykiem. Może tamte, nieusunięte, leżą sobie na serwerze, bo wpisało się jakieś nowe polecenie w momencie ustawienia programu antywirusowego na „default”? Zresztą było w Outlooku ustawione tak, że kasowane mają być na serwerze te pliki, które zostały ściągnięte na mój komputer, więc o ile nie zostały ściągnięte, to chyba powinny tam nadal być?

Rosikoń przybył w miarę punktualnie i zrobił zdjęcie obrazu. K. przyjechał około 11:30 i zabrał się za balkon i jeża przeciw gołębiom.

Dzwonił Grzesiek, że nie dochodzi do niego poczta. Czyżby to było jakieś zjawisko powszechne? Zadzwoiłem po obiedzie do Roszczyka z zapytaniem czy przypadkiem nie objawił się jakiś nowy wirus, który powoduje,

że kasowana jest w locie korespondencja przechodząca przez serwery. Na razie czegoś takiego nie ma, albo nie słyszeli o tym. Jest aktualnie coś podobnego do Sassena, ale to nie to.

Czwartek 3 czerwca 2004

Rano piękna pogoda. Temperatura około 15 stopni. Czuję się kiepsko i najchętniej wlaźlbym z powrotem do łóżka. Trzeba jednak pójść po sprawunki. Potem muszę podpisać obraz z błyskawicą dla Dmochowskiego, by farba dała radę wyschnąć na pieprz do soboty, no a potem muszę się zabrać za kończenie obrazu, który czeka na sztalugach i przy którym nic nie robiłem przez trzy ostatnie dni.

W Leclerc, po telefonie jaki wykonałem około południa, okazało się, że nadal nie ma na stanie coli innej jak w butlach 2 litrowych. Dostawa ma być w piątek, a nie w czwartek. Ustaliliśmy więc, że moje zamówienie opiewać będzie na jutro i dostarczą mi towar około godziny 16, a jeśli coś by się zmieniło, to zadzwonią. OK. Muszę w przyszłości uzupełniać zapas z wyprzedzeniem. Myślałem, że w tak wielkim magazynie zawsze jest towar.

Pan z Rzeczpospolitej próbował mnie namówić bym coś o Schulzu napisał, ale ja nie od tego. Ma się jeszcze skontaktować. Natomiast TVN po prosu nakręcił ze mną normalny materiał, który kiedyś tam po zmontowaniu pójdzie w TVN 24. Jutro jeszcze obiecałem dostarczyć im na CDR fotomontaże komputerowe i pomniejszone pliki grafiki z użyciem komputera.

Zadzwonił pod wieczór dr Szczech. Jest już w Warszawie, ale na razie wstrzyma się z zakupami. To i dobrze, bo mój sukces finansowy mógłby być nadmierny. Skoro Dmochowski ma mi przywieźć 20.000 Euro za 4 obrazy, to jak na razie mam szmału po dziurki od nosa.

Niedziela 6 czerwca 2004

Rano pochmurno, ale sucho. Wczoraj wieczorem lało. Temperatura około 16 stopni. Łydki śwędzą jak cholera, mimo iż jest duża wilgotność (49%).

Zatem jest to uczulenie na leki, bo co innego? Dmochowski zapowiedział się po godzinie 12, że wpadnie się pożegnać.

Wkładając pieniądze od Dmochowskiego do schowka, przekonałem się, że mam tam nie 31.000 USD jak miałem zanotowane, lecz 41.000 USD. Razem z 20.000 Euro, które dostałem wczoraj wraz tym, co teoretycznie ma zwrócić w ciągu 3 miesięcy Bogdan i zapłatą za obraz, jakiej ma dokonać z końcem lipca Plusa, mam grubo więcej niż potrzebuję do codziennego funkcjonowania, więc chyba na razie zamknę sklepik. Może by tak wynająć skrytkę w banku, bo za wiele forsy trzymam w domu. Mógłbym tam też trzymać drugi (pierwszy ma Bogdan) zapasowy klucz od mieszkania na wypadek zagubienia, bo nie bardzo mam u kogo go zostawić. Wszyscy inni nader często bywają poza Warszawą, a mnie jest potrzebny ktoś pod telefonem i siedzący non stop na miejscu.

Poniedziałek 7 czerwca 2004

Rano bezchmurne niebo. Temperatura około 16 stopni. Dmochowski wczoraj wyjechał, zabierając jeden z kupionych obrazów. Inne zostaną u mnie i zabierze je pod koniec lipca. Pójdę po zakupy, a potem muszę w końcu zabrać się do jakiejś pracy. K. miał być dziś lub jutro, by skończyć roboty i chyba swoim zwyczajem będzie jutro, o ile nie pojutrze.

Wtorek 8 czerwca 2004

Rano wysychają resztki deszczu na parkingu, a niebo raczej się rozpogadza. Temperatura ponad 16 stopni. Wczoraj tylko zagruntowałem małe podobrazie, bo przyszedł najpierw K., a potem Adamiecki po opłatę na PZU za mieszkanie i Grzesiek pogadać i tak dzień rozszedł się po kościach. Dziś mamy wraz z Puchalską podjechać do IKEA około godziny 11 po pojemnik, który ma pod sztalugami pełnić rolę kosza na śmieci, bo po wymianie kaloryfera, zmienił się kształt przestrzeni pod nim. Może przedtem podmaluję obraz. Po południu około 17 zapowiedział się ten sam facet z Rzeczpospolitej, który był przed kilkoma dniami w sprawie Schulza i przywiódł do mnie ekipę TVN24. Tym razem przyjdzie z Maśluszczakiem. Oby tylko nie stał się w tym zakresie cicerone.

Rano podmalowałem obraz. Około południa podjechaliśmy z Puchalską do IKEA. Kupiłem kosz na śmieci, ale ani w EURO ani w MediaMarkt nie było magnetowidów tego typu jaki już znam i chciałem nabyć. Była jedna sztuka, a ja chciałem kupić dwie. Może trzeba było kupić tą jedną. Kupiłem tylko dodatki do IXUS 400, który chciałem podarować Puchalskiej, bo mam już IXUS 500, ale bez dodatków nie mogłaby go eksploatować. Potem zjedliśmy u mnie obiad z McDonalds, a potem ona poszła do Leżachowskiej, a ja spotkałem się z dwoma zapowiedzianymi panami, którzy przyszli punktualnie. Minęła godzina na miłym blablabla, pożyczyłem dwa albumy Dmochowskiego, aby sobie mogli wybrać rysunki na wystawę schulzowską, po czym gdy wychodzili, rozminęli się w drzwiach z Puchalską, która po Leżachowskiej przyjechała do mnie, bo we trójkę mieliśmy się około 18 spotkać z Grześkiem, ale Grzesiek w rezultacie nie przyszedł. Dałem jej aparat, dodatki i instrukcję polską, oraz udzieliłem wstępnych informacji ustnie. Chyba się ucieszyła.

Środa 9 czerwca 2004

Rano piękna pogoda. Temperatura około 12 stopni. Jutro święto, więc chyba piątek i sobota będą wolne, bo ludzie odpracowali i znowu przed nami monsturalny weekend. Zanim zabiorę się do malowania, muszę więc zrobić zakupy.

Na dziś między godzina 14 i 16 był umówiony pracownik AsterCity w sprawie zapowiadanej wymiany w ramach modernizacji dekodera HBO na cyfrowy. Przyszedł prawie punktualnie o godzinie 14, ale okazało się, że nie może podłączyć dekodera, bo mój najtańszy magnetowid Panasonic nie ma drugiego wejścia SCART, a tylko antenowe. Chciał to łączyć do SONY, ale tego SONY to od dawna chcę się pozbyć, bo ma jakieś zdudnienia i w trakcie oglądania obrazu pojawiają się na obrazie pionowe i poziome wędrujące z prawej na lewo smugi. Tak więc zrezygnowałem, ale ponieważ miałem już poprzednio zamiar zastąpienia tych dwóch magnetowidów przez magnetowidy Panasonic, tego samego typu jak jeden z magnetowidów w kawalerce, zgłoszę się do AsterCity powtórnie, gdy będę mieć stosowny magnetowid z dwoma slotami SCART. Na razie zrezygnowałem.

Malowałem do około godziny 15, a potem wyskoczyłem do miasta w poszukiwaniu magnetowidu Panasonic NV-FJ732EE, takiego samego, jaki mam w kawalerce. Niestety okazało się, że ten model został już zastąpiony nowszym modelem, a ten nowszy model jest bardziej uproszczony i nie ma opcji przełączania w remote na magnetowid 1 i magnetowid 2. Wyższy o oczko model tej samej generacji z numerem chyba 880 i standardem SVHS był przeceniony i kosztował o 100 zł drożej od modelu 732, ale też był tylko w jednym egzemplarzu na półce. Sprzedawca w EURO w Sezamie obiecał ściągnąć mi z innego sklepu na poniedziałek drugi taki sam i wtedy, gdy do mnie zadzwonią, że już jest, to po nie podjadę taryfą. Najpierw chciałem od razu wziąć ten z półki, ale potem pomyślałem, że wygodniej będzie wziąć taryfę i podjechać od razu po dwa, gdy już będą w sklepie. Obecnie zaczynają dominować nagrywarki DVD, ale z kupnem takich nagrywarek i wymianą całego sprzętu, trzeba będzie poczekać jeszcze przez co najmniej rok lub dwa. W tej chwili, są to drogie pierwociny, a za chwilę będzie to samo, co było z CDR. Będą z miesiąca na miesiąc coraz lepsze i coraz tańsze. Zarówno sprzęt jak i płyty.



Zdzisław Beksiński z Jerzym Lewczyńskim, 1975 r.

Czwartek 10 czerwca 2004

Rano pogodnie. Temperatura około 14 stopni. Biorę się do roboty.

Piątek 11 czerwca 2004

Rano bezchmurne niebo. Temperatura około 15 stopni. Idę po zakupy. Potem sprzątanie przez K., która przyjdzie około godziny 10. Poza tym, podobnie jak wczoraj, będę malować. Moje życie i zachowanie jest stereotypowe i głupie jak u szczura, ale dzięki temu jakoś funkcjonuję.

Po południu wpadł Janek, skuszony wczorajszą propozycją (bo szukał telefonu) odsprzedania mu za obniżoną o połowę cenę, prawie nowego aparatu telefonicznego z kawalerki. W jego miejsce chciałem kupić inny z nieco wyższej półki, którego jeszcze nie było w handlu wtedy, gdy kupowałem poprzedni. Po wyjściu Janka, zamówiłem taryfę i skoczyłem do MediaMarkt w Raszynie, kupiłem telefon SIEMENS S150 i podłączyłem do ładowania. Jutro lub w najbliższych dniach, będę go musiał zaprogramować, wpisać adresy etc.

Sobota 12 czerwca 2004

Rano pochmurno, ale sucho. Temperatura około 17 stopni. Idę po zakupy, a potem biorę się do pracy. Akumulator nowego telefonu naładował się przez noc i dziś czeka mnie programowanie.

Niedziela 13 czerwca 2004

Rano dość pogodnie. Temperatura powyżej 15 stopni. Dziś wybory do Parlamentu Europejskiego, a wstyd przyznać nie mam nawet przybliżonego pojęcia jak technicznie rzecz biorąc głosować. Czy są tam nazwiska czy numery list? Nawet nie mam kogo spytać, bo Janek dziś ma wykłady. Może Grzesiek będzie wiedział? Miałem to w dupie, a tu nagle trzeba już iść do urny. Myślałem, że dziś przez cały dzień będę mógł malować i skończę obraz. Wczoraj prawie w ogóle nie pracowałem. Przed południem oderwał mnie od sztalug telefon z EURO, że przyszły już zamówione magnetowidy. Wziąłem więc taryfę i podjechałem. Po rozpakowaniu zauważyłem, że jeden z boku był mocno zadrapany, ale zrezygnowałem z reklamacji i powtórno ściągania, bo i tak tego nie będzie widać, a oni

wzięli to chyba jako końcówkę ze sklepów, bo na magazynach zapewne już tego modelu nie ma. Widać jak na dłoni, że wszędzie w sklepach czekają na nową tańszą dostawę, która nastąpi po wejściu do Unii i chcą wyprzedać rezerwy magazynowe. Po przywiezieniu do domu nie potrafiłem malować, bo nad głową wisiało mi programowanie telefonu i programowanie magnetowidów i w końcu wymyłem pędzle i zaprogramowałem telefon oraz wpisałem tam potrzebne numery i nazwiska do bazy danych, potem zabrałem się za podłączenie i zaprogramowanie magnetowidów, a na końcu zadzwoniłem do AsterCity i umówiłem się w sprawie podłączenia dekodera cyfrowego. Bo teraz jest już go do czego podłączyć. Monter przyjdzie do mnie w środę o godzinie 10 rano. To wszystko zajęło mi czas do wieczora.

Od czego jest internet. Wpisałem tam wybory do parlamentu europejskiego i po kilku złych trafieniach (strony oficjalne były tylko patriotyczno-europejską pianę, tak jakby wszyscy dokładnie wiedzieli, jak technicznie należy głosować) trafiłem na poradnik w gazecie wyborczej i już wiem, że skreśla się tylko jedno nazwisko. OK. W nazwiskach lub raczej partiach od biedy się orientuję.

Poniedziałek 14 czerwca 2004

Rano bezchmurne niebo. Temperatura powyżej 14 stopni. Chyba podmaluję obraz, ale jestem jakoś bez pomysłu i bez chęci do pracy. Wczoraj głosowałem na Platformę Obywatelską, a konkretnie na Piskorskiego. Skończyłem też obraz.

W rezultacie nie podmalowałem obrazu, a dzień zeszedł na rozmaitych drobiazgach. Między innymi pojechałem podpisywać wydruk dla Plusy, czekałem na dostawę coli z Leclerc etc. Wieczorem przyjdzie Jerzyk.

Czwartek 17 czerwca 2004

Rano pogodnie. Temperatura powyżej 10 stopni. Wczoraj wieczorem było 8, a w nocy spadło nawet do 6. Krzyże mnie napierdalają, ale teraz trochę mniej, bo brałem o godzinie 5:30 panadol. Teraz można już być pewnym, że to pogoda decyduje o takich napadach bólu, tylko potem

mimo poprawy pogody, bóle się chyba jakoś utrwalają. Wczorajszy dzień zeszedł na nieróbstwie. Rano, około godziny 11, zamontowano mi ten dekodery cyfrowy. Na razie idzie przez niego tylko HBO i HBO2 oraz chyba Europa. Może potem ta oferta się poszerzy? Wieczorem gapiłem się na jakiś film z kasy. Puchalską położono wczoraj do szpitala i może to dobrze, bo nie będzie się denerwować do poniedziałku. Dostanie przepustkę do dentystki i będzie miała przepustki na weekendy. Miejmy nadzieję, że ten szpital wniesie coś sensownego w program jej leczenia.

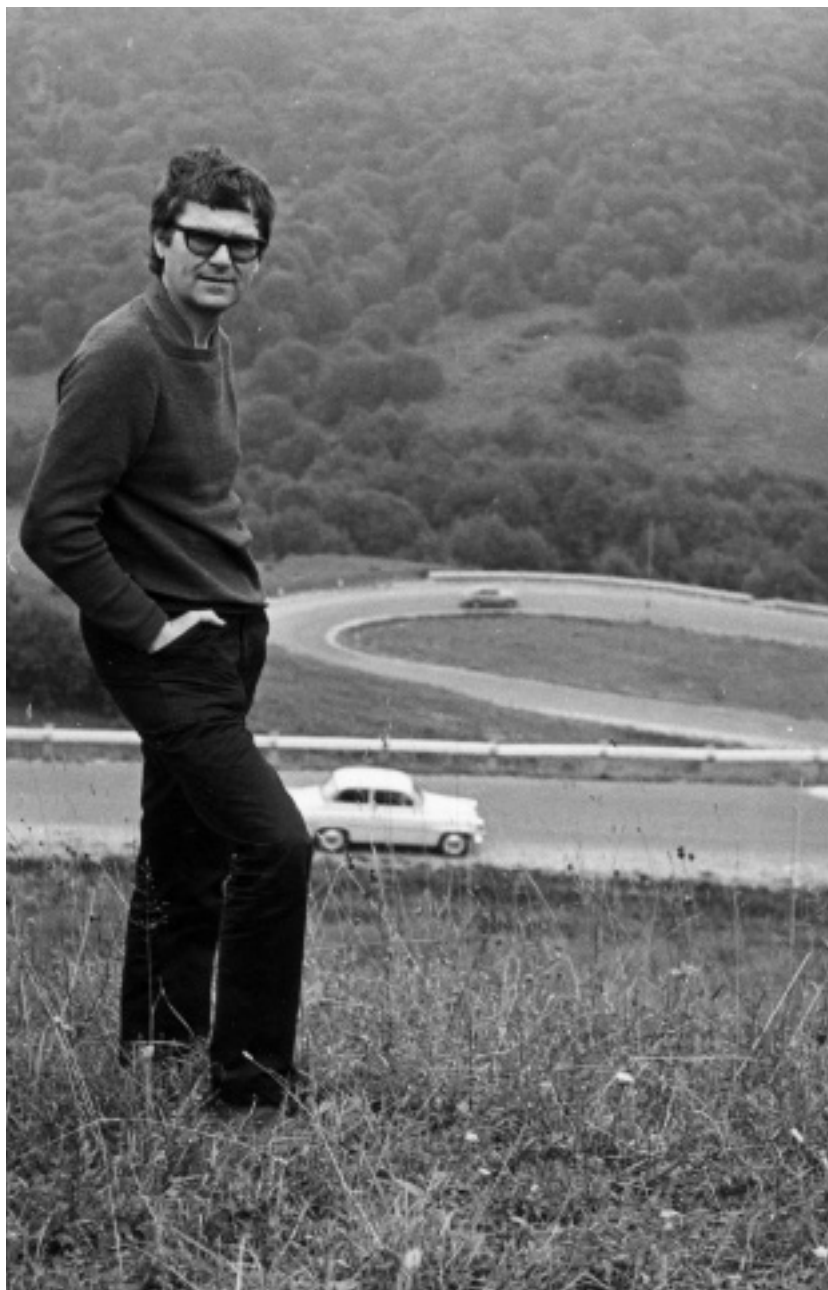
Okolo godziny 18 podmalowałem nowy obraz. Potem miał przyjść Bogdan, więc przedtem chciałem zaprogramować nagrywanie filmu, aliści okazało się, że coś w kawalerce nie działa, bo obraz nie pojawia się na monitorze. Tak jakby padła część obwodów dekodera odpowiadająca za połączenie z telewizorem i magnetowidem, bo numery kanałów nadal się świecą i można je zmieniać.

Piątek 18 czerwca 2004

Rano dość pogodnie. Temperatura około 14 stopni. Niż. Krzyże bolą prawie tak, jak w najgorszym okresie ubiegłego roku. Od rana wziąłem panadol. Może poprosić pana Radzio? Obawiam się, że taka pogoda zapoczątkuje okres bólu, a potem jeśli nawet pogoda się poprawi, to ból zostanie. Obraz podmalowany wczoraj wieczorem jeszcze nie wyschł, ale chyba i tak nie dałbym rady, by pracować przy dużym obrazie. Chyba się położę i poczekam, by panadol choć trochę zadziałał.

Sobota 19 czerwca 2004

Rano pochmurno. Temperatura powyżej 14 stopni. Krzyże bolą jak cholera. Wczoraj wieczorem było nieco lepiej, około godziny 3 w nocy nawet prawie całkiem dobrze, ale potem ponownie się pogorszyło. Nie wiem czy to wpływ prochów czy też Mobilatu, którym wczoraj wieczorem po kąpie-li natarłem obszary bolące, bo trudno jest zdefiniować dokładnie miejsce. Ból powoduje, że władza w nogach też jest ograniczona i podnoszenie się z pozycji przykucniętej lub przeciwnie, wykonywane jest na drżących nogach. Boże: co to się dzieje... Nie będę w stanie malować!



Zdzisław Beksiński, Góry Słone, Serpentyny, lata 60.

Niedziela 20 czerwca 2004

Rano raczej pochmurno. Temperatura powyżej 16 stopni. Krzyże chyba bez zmian, chociaż w ciągu doby następują falowania: raz nieco lepiej, raz nieco gorzej. Najbardziej męczy mnie siedzenie przy komputerze.

Wywalam MOBILAT, który ważny był do 2000 roku i zacząłem wcierać VOLTAREN ważny do 2005. Czy to ma znaczenie?

Wczoraj zapomniałem wziąć połowę środków na obniżenie ciśnienia, ale jakoś nie wywołało to dziś rewolucji w moich porannych odczytach.

Wczoraj usiłowałem udawać, że pracuję przy obrazie i chyba dziś będzie powtórka.

Poniedziałek 21 czerwca 2004

Rano ciemności i mokro, ale aktualnie nie pada. Temperatura około 16 stopni. Krzyże nieco lepiej, ale może to być efekt przejściowy. Wczoraj poprawiło się chyba po zażyciu Ibuprom, ale dla odmiany pojawił się efekt zgagi – nie wiem czy nie po ibuprom. Potem do wieczora było na zmianę lepiej lub gorzej, czasami prawie całkiem dobrze, a czasami wracał ból. Prosiłem Puchalską o kupno jakiegoś koca, abym nie musiał nadwyręzać kręgosłupa przy ścieleniu, machając kołdrą, która zawsze jest po nocy maksymalnie skopana i zsunięta na jedną stronę poszwy. Wracając z działki, kupiła mimo niedzieli w Auchan jakiś koc wełniany z wielbłądziej wełny. Śpi się pod nim doskonale i jest lekki, ale ma (na razie?) tą wadę, że nieco podśmierduje – może wielbłądem, a może jakimiś środkami konserwującymi. Był zapieczętowany w folii, więc może teraz, po paru dniach się wyśmierdzi.

Jest tak ciemno, że chyba nawet nie będę się brać do malowania.

Środa 23 czerwca 2004

Rano dość silne zachmurzenie, ale przebija tu i tam niebo. Temperatura około 17 stopni. Krzyże bez zmian, tak jak wczoraj rano, a wczoraj pod wieczór było już prawie dobrze. Chyba to efekt ibupromu, który jednak chyba wywołuje retencję wody, bo wieczorem nie sikałem, a zacząłem nad ranem. Nie wiem czy dam radę pracować nawet przy mniejszym obrazie.

W rezultacie nie maluję, bo krzyże non stop dolegają, a na dodatek

jestem jakiś taki senny i rozmyty. Dzwonił Dmochowski. Za około 2 godziny będą faceci z Cyfry+. Z malowaniem nie mogę jakoś ruszyć z miejsca. Nic mi się nie chce.

Czwartek 24 czerwca 2004

Rano pochmurno, ale sucho. W nocy przeszła burza z ulewą i piorunami. Temperatura około 20 stopni. Krzyże bez zmian. Janek mówił, że nie używa się tu liczby mnogiej i trzeba by napisać „w krzyżu bez zmian”. U nas mówiło się „krzyże”. Wczoraj naprawiono Cyfrę+. Jak się okazało rozłączył się kabel za szafką z telewizorem w dawnej sypialni. Być może przyszlóściowo warto byłoby go albo zlutować, na co nie mam już siły, albo puścić nowy bez łączenia? Z drugiej strony w wypadku zmiany ustawienia telewizora, połączonego do anteny satelitarnej z kawalerki do starej sypialni, połączenie to byłoby jak znalazł.

Piątek 25 czerwca 2004

Rano piękna pogoda. Temperatura powyżej 18 stopni. Krzyże bolą silniej niż wczoraj. Pardon: w krzyżu boli bardziej niż wczoraj. Po południu przychodzi sprzątać K., a wieczorem przyjedzie na nocleg Jerzyk. Rano być może przyjdzie Puchalska, która wczoraj wyszła ze szpitala. Może jednak mimo bólu uda mi się trochę pracować?

Sobota 26 czerwca 2004

Rano piękna pogoda. Temperatura poniżej 14 stopni. Krzyże jak na razie mniej bolą niż wczoraj i to dobrze, bo musiałem wczoraj odstawić Ibuprom, bo od pory obiadowej zaczęło mnie już ćmić w brzuchu. Wieczorem nie brałem już Ibupromu, lecz panadol z nadzieją, że pomoże mi na brzuch. Spałem raczej dobrze. Jerzyk też już się kotłuje na linii WC – łazienka.

Niedziela 27 czerwca 2004

Rano pochmurno, ale sucho. Temperatura około 14 stopni. Krzyże tak jak wczoraj. Wygląda na to, że ustabilizują się na dłużej na poziomie podostrym. Daloby się z tym żyć. Wczoraj przez cały dzień czułem się kiepsko, byłem dziwnie osłabiony, a wieczorem zgaga, ćmienie w brzuchu

oraz sraczka połączyły się razem. Malowałem, ale w zasadzie najwięcej się pokładałem na tapczanie i podrzemywałem. Nie wiem jak będzie dziś.

Koszmarne dni. Czasami samotność wręcz mnie dusi. Do kogo zadzwonić? Nie ma już prawie nikogo. Poza Zosią nikogo chyba nie było. A czy ona „była”? Może to tylko moje wyobrażenie? Tkwią przy sztalugach. Przytłacza mnie świadomość, że jestem tylko biedną małpą, która ryje coś tam na ścianach jaskini. Dla kogo? Po co? „Boże, gdybym z grzmiącej fali jedno ziarnko choć ocalił!”.

Poniedziałek 28 czerwca 2004

Rano pochmurno, ale sucho. Temperatura około 17 stopni. Krzyże bez zmian. Noc miałem koszmarną ze względu na bolesne sikanie co pół godziny. Po prostu wczoraj po południu był Tadzik, który szukał jakiegoś słoweńskiego rozkładu jazdy pociągów, wypił 3 piwa, co go rozmyło i rozmarzyło, bo był po bardzo długim spacerze (ja bym nie dał rady, a on jest o 10 lat starszy) i gdy poszedł, zbliżała się już lub nawet minęła godzina 20. Przed jego przybyciem, około godziny 14, zjadłem bardzo skromny obiad złożony z kromeczki ciemnego pieczywa z polędwicą, która została po Jerzyku (zawsze kupię za dużo) oraz coli, a potem jogurtu owocowego. Potem sporo jeszcze piłem coli z sokiem. Potem był właśnie Tadzik, a po jego wyjściu zrobiłem sobie nieopatrnie obiadokolację złożoną ze spaghetti i coli. Potem zjadłem – oglądając jakiś film – sporo lodów, które kupiliśmy z Puchalską i które leżały w lodówce. Potem oczywiście zacząłem ponownie pić jak smok i prawie litr coli z sokiem grejfrutowym wlałem w siebie jeszcze przed spaniem. Potem, świadomy tego, że noc i tak mam przechlapaną, piłem jeszcze dwukrotnie w nocy, w trakcie wstawania na stronę. Koszmarne obolałe sikanie co pół godziny do samego rana. Wstawałem chyba 11 lub 12 razy. Teraz jestem jak wypluty, ale ponownie chce mi się pić, więc zacznę zapewne od nowa. No nic: zjem śniadanie, idę po zakupy i biorę się do pracy.

Pod oknami od strony kawalerki powstaje nowe arcydzieło rodzimej kinematografii. Podobnie jak przed paru laty jest to chyba film dla dzieci. Taka dziedzinniała dzielnica? Ustawiono przenośne WC, ekrany odbla-

skowe, a potem zadaszanie od słońca, a personel ilościowo tak, jak przy super-produkcji Hollywood.

Wtorek 29 czerwca 2004

Rano pochmurno, ale sucho. Temperatura około 15 stopni. W krzyżu bez zmian. Noc była lepsza niż wczoraj, ale z kolei sikałem z dużą trudnością. Od kilku dni mam podniesione ciśnienie, a wczoraj wieczorem wynosiło ono 168/86 przy tętnie 71 i wszystkie wartości były sporo wyższe niż normalnie. Dziś rano na szczęście spadło i ciśnienie i tętno. Tym wszystkim rządzi pogoda. Pod oknem, tam, gdzie wczoraj kręcono film, jakiś nastolatek wypisał ogromniastymi literami na asfalcie KOCHAM CIĘ TWÓJ TIGER i namalował kilka serc. Nawet ja się wzruszyłem, a co dopiero wybranka. Czyżby natchnęło go wczorajsze kręcenie tu filmu?

Na dzień dobry zamiast poczty, dostałem trzy wirusy.

Środa 30 czerwca 2004

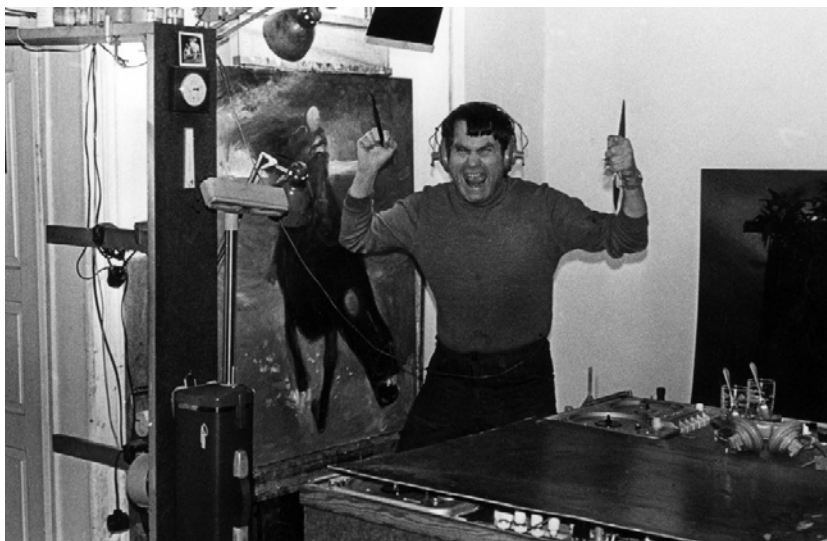
Rano pochmurno i mokro, ale aktualnie nie pada. Temperatura około 12 stopni. Paradoksalnie w krzyżu nieco mniej boli niż w ostatnich dniach. Może to jednak odczucie przejściowe. Noc też była lepsza, bo wczoraj po godzinie 17 czy też 18 wstrzymałem się od picia płynów. Moje ciśnienie chyba też wraca do normy, chociaż z tym nigdy nie wiadomo. No nic: trzeba brać się do obrazu (chycić się roboty – jak mawiała Stankiewiczowa) – może dziś uda mi się go skończyć?

Mniejszy ból w krzyżu okazał się jednak złudzeniem. Boli jak bolało, ale na szczęście nie uniemożliwia mi pracy.

W poczcie przychodzą dziś od rana wyłącznie wirusy. Z zewnątrz atakuje R., który znowu wszedł na orbitę i chce pożyczyć forszę, ale powiedziałem mu wczoraj, gdy zdybał mnie na korytarzu w trakcie wyrzucania śmieci, że dałem słowo honoru jego żonie, że nie pożyczę mu ani grosza i nie otworzę drzwi, gdy będzie dzwonić. Po pijaku obcałował mnie i zaproponował przejście na ty, co dla świętego spokoju zaaprobowałem. Zresztą już zapomniałem jak ma na imię. Dziś zadzwonił około godziny 11 do drzwi, ale mu nie otworzyłem. A swoją drogą, przed wyrzucaniem śmieci,

trzeba najpierw zlustrować korytarz przez kamerę video.

Przy każdym zajrzeniu na to, czy nie przyszła jakaś korespondencja, wpadają co najmniej dwa kolejne wirusy Netsky. Dawniej przychodziły w formie załącznika, a teraz jako mail. Usuwa je z Outlooka automatycznie program Symantec, ale zostawia w kwarantannie i w formie kopii pliku, więc mam za każdym razem dodatkową robotę przy usuwaniu plików z kwarantanny i usuwaniu ich kopii. Na oko widać, że nie są to listy od nikogo znajomego, lecz wysłane automatycznie wirusy.



Artysta w szale twórczym, Sanok 1976 r.

Niedziela 1 sierpnia 2004

Rano bezchmurne niebo. Temperatura około 20 stopni. Krzyże w chwiejnej normie. Co nie znaczy, że ich nie czuję – szczególnie gdy piszę na klawiaturze. Wczoraj Dmochowski zabrał swoje obrazy. Był też Rosikoń i zabrał swój sprzęt oraz załatwił z Dmochowskim, że będzie robić dla niego zdjęcia. Była też Dmochowska i młody Nalewajek, który pomógł w pakowaniu. Potem Dmochowski, któremu w piątek dałem 3 grafiki, zaczął marudzić, by jedną z nich wymienić, na co mu powiedziałem, że mogę mu dać jeszcze jedną, ale wymiany nie będzie, bo tamta jest

już obmacana. Po wyborze i zapakowaniu grafiki, wyszabrował jeszcze kilka próbnych lub odrzuconych wydruków, ale powiedziałem, że mu tego nie podpiszę. Miejmy nadzieję, że potrzebuje tego do swoich zbiorów, a nie na prezenty lub handel. Wszystko trwało od godziny 12 do około 15. Potem coś zjadłem i wałęsałem na tapczan. Spałem jak zabity chyba przez godzinę. Dziś wieczorem ma zadzwonić Plusa i umówić się na jutro. Dmochowscy mają jeszcze przyjść, by się pożegnać. Jutro Plusa i Jerzyk na nocleg, ale od wtorku wszystko zacznie się chyba wygładzać i będę mógł przystąpić do pracy.



Poniedziałek 2 sierpnia 2004

Rano pochmurno, ale sucho. Temperatura około 19 stopni. Krzyże tak jak wczoraj. Nogi swędzą mnie bardziej niż zwykle. Jak widać w tej chwili, niezależne to już jest od kaloryferów, tak już widać musi być. Może dziedziczyć egzemę po mamie? W końcu wszystko powoli ulega destrukcji lub zaczyna źle działać. Dmochowscy przyjdą dziś około godziny 14. Dmochowski ze swym ciężkim jak olów poczuciem humoru i trzeciorzędnym adwokackim aktorstwem, ponownie będzie demonstracyjnie przepraszać, że spóźnił się o dwie minuty, tak jakby słuchała go ława przysięgłych.

Mówię tylko „odpuść sobie”, bo bez sensu byłoby ciągnąć temat, który sam zaczął, ale oskarża o to mnie. Plusa dzwonił wczoraj i zapowiedział się dopiero na jutro około 15-16. Dałem mu numer komórki Dmochowskiego, by do niego zadzwonił. Tak zdecydował Dmochowski, a nie ja. Mam teraz ich wzajemne rozmowy z głowy. Zapomniałem tylko powiedzieć Plusie, że do Dmochowskiego nie można dzwonić przed ca 11:30, bo do 11 śpi. O ile Plusa w tym okresie zadzwoni, to na pewno będzie mi to wytknięte, jako objaw zlej woli.

Wtorek 3 sierpnia 2004

Od wczoraj pada albo leje. Temperatura około 16 stopni. Plecy bolą między lewą łopatką i karkiem. Biorę panadol extra. Dziś przez całą noc zostawiłem drzwi wejściowe otworem!!! Co za kretyn ze mnie!!! Wczoraj, po wyjściu Dmochowskiego, zjadłem obiad, a zaraz potem zadzwonił o godzinie 18 Jerzyk. Wszedł z ociekającym parasolem i aby nie zalać podłogi, trzeba go było wnieść natychmiast do łazienki, co zapewne spowodowało, że zapomniałem o drzwiach. Wczorajsze spotkanie z Dmochowskim przeszło spokojnie. Najpierw dzwonił, że się spóźni, potem już nic nie gadał i rozmawialiśmy, głównie na temat prawa i jego niedoskonałości oraz paradoksów. Zna się na tym, więc sporo się dowiedziałem. Potem z Jerzykiem oglądaliśmy (głównie na szybkim podglądzie) fragmenty porno-kanalu, nagrane przeze mnie w jednym z poprzednich dni, a potem jakiś thriller, który chyba przed laty widziałem. Dziś po południu po godzinie 16 przyjdzie Plusa. Może około godziny 13-14 wpadnie Puchalska na wspólny obiad.

Środa 4 sierpnia 2004

Rano słonecznie. Temperatura około 20 stopni. Może wraca lato. Wraca? Nawet się na dobre nie zaczęło. Plecy bolą mnie nad lewą łopatką podobnie jak wczoraj. Rano zacząłem od gorącej kąpieli, a potem wtarłem tam Mobilat oraz krem na swędzące nogi.

Wczoraj po wyjściu Puchalskiej, przejrzałem około połowę kaset nagranych z programu XXL. Po pierwsze to gówno, a po drugie powtarzają kilkakrotnie ten sam materiał. Wyłączyłem dziś i więcej tego nie nagrywam. Może od czasu do czasu zajrzę. Sto razy lepsze jest już porno

w internecie, a szczególnie nieruchome zdjęcia.

Dziś chyba zabiorę się za jakąś robotę i podmaluję nowy obraz.

Wczoraj Plusa zadzwonił, że chciałby przyjść do mnie z 20.000 zł za obraz, a przelew jeszcze nie dotarł, więc wpadnie dopiero w piątek około godziny 12, bo musi na dwa dni wyjechać do Wenecji. Tym samym nękanie wizytami, przeciagnię się do piątku, ale już chyba mogę odczuć ulgę, że prawie wszystko się przewalilo. Byle teraz nie okazało się, że albo nie będę mógł ruszyć z robotą, albo bolące plecy mi to uniemożliwią.

Czwartek 5 sierpnia 2004

Rano piękna pogoda. Temperatura około 20 stopni. Nad ranem brałem prochy, bo ćmiła mnie głowa, więc chyba dlatego plecy aktualnie mniej bolą. Muszę rano, zanim zabiorę się do malowania, zrobić zestaw pobieżnych fotografii i wysłać Banachowi do Sanoka, bo potrzebny mu jest w celu zaplanowania wystawy w Szwajcarii. A więc ma do niej dojść? Kiedy? Gdzie? W jakiej galerii? W jakim mieście? Banach dzwonił w tej sprawie wczoraj, w trakcie, gdy wieczorem przyszła Puchalska, więc nie było okazji na dokładniejszą rozmowę. Wczoraj wieczorem nie zdążyłem przed spaniem zebrać i przygotować materiału (ściągam go ze starych maili), ale teraz to skończę i wyślę. Potem biorę się do malowania. Wczoraj po południu pogelowałem jeszcze 4 mniejsze obrazy, ale nie wiem co z nich pojedzie do Sanoka. Dopiero teraz będę musiał podjąć wiążącą decyzję.

Zdecydowałem w końcu, co wybieram dla Sanoka i wysłałem dyrektorowi Banachowi cyfrowe fotografie 9 obrazów zrobione z ręki. Około południa pojechaliśmy z Puchalską po benzynę ekstrakcyjną. Dostałem ją dopiero w trzecim sklepie, bo sklepu przy Dworcu Południowym już nie ma, a budynek jest rozebrany, sklep na rogu Puławskiej i Malczewskiego zmienił firmę i sprzedaje tylko farby zagraniczne tej firmy, a benzynę ma jedynie w ćwierć-litrowych plastikowych buteleczkach. Na szczęście na Puławskiej zauważyłem jeszcze jeden sklep i tam kupiłem 20 litrów w czterech kanisterkach. Potem podjechaliśmy jeszcze do Geant gdzie kupiłem jogurty wiśniowe i trochę innych dupereli. Zjedliśmy obiad, a zaraz po wyjściu Puchalskiej przyjechał Grzesiek. Po jego wyjeździe

udało mi się jeszcze przez godzinkę pomalować, ale oczy potwornie mi się kleiły.

Sobota 7 sierpnia 2004

Rano cienka warstwa chmur. Temperatura około 20 stopni. Wziąłem prochy, bo ćmi głowa podobnie jak ćmiła wieczorem. Wczoraj Plusa zadzwonił i przyszedł około godziny 10, a zaraz za nim pojawili się K. w prawie pełnym składzie: K., jego żona i córka. Plusa przywiózł forszę za obraz, a K. przywiózł półeczki pod filtry powietrza i zaraz zamówiłem dwa kolejne filtry, które mają być gdzieś około wtorku lub środy. Mam nadzieję, że przydadzą się – szczególnie w zimie. Plusa jak zwykle przekonująco zapewniał, że w ciągu dwóch lat uczyni mnie znanym na świecie. Gdzie ja to już słyszałem? To Dmochowski sprzed 20 lat. Po południu próbowałem trochę malować, ale byłem koszmarnie senny. Walnąłem na tapczan i przez godzinę spałem twardym snem. Potem jeszcze trochę malowałem. Może dziś będzie z tym lepiej, chociaż dla odmiany wczoraj nie mogłem godzinami zasnąć, co nie jest na szczęście typowe, ale nie jest wykluczone, że historia senności przy pracy się powtórzy. Może tak już na starość ma być?

Poniedziałek 9 sierpnia 2004

Rano piękna pogoda. Temperatura około 21 stopni. Muszę przed śniadaniem pójść na pocztę, by zapłacić za internet. Potem biorę się za malowanie. Potem przyjdzie zapewne Puchalska, a na godzinę 16 zapowiedział się Plusa.

Czwartek 12 sierpnia 2004

Rano piękna pogoda. Temperatura około 20 stopni. Ma być dziś podobno 27 stopni. Nareszcie ciepło. Nogi swędzą jak cholera. Wczoraj około południa Lachur zadzwonił raz jeszcze – chyba piąty lub szósty raz – podając swój numer telefonu i prosząc o kontakt. Chyba nareszcie doszedł do wniosku, że może wyjechałem na urlop? Użył określenia „do soboty”, więc może na następny tydzień zapanuje spokój. Co za mękoła! Nie podniosę telefonu ani nie zadzwonię do niego. Zamęczył mnie na śmierć swoim gadaniem i nie należało w niedzielę dawać mu tego tysiąca

złoty, bo dowiedział się, a raczej przypomniał sobie gdzie mieszkam i teraz może co jakiś czas wymyślać kolejną akcję pomocy moim kosztem i co najważniejsze kosztem mego spokoju.

Dziś wieczorem gimnastyka około godziny 19, o ile Puchalska nie odwoła, bo ma jeszcze w tej sprawie zadzwonić. Około godziny 16 przyjdzie Plusa. Może rano uda mi się skończyć obraz?

Przed południem Lachur wykonał kolejny telefon. Tym razem podpowiadała mu jakaś kobieta w tle „zapytaj – jak nie może, to niech zadzwoni”, po czym on podał numer telefonu i powiedział chyba dwukrotnie, bym – jeśli nie mogę - „po męsku” zadzwonił, po czym znowu rozpoczął po raz któryś stałą śpiewkę błagalnym i histerycznym tonem w stylu, że co to dla mnie przy moich zarobkach, a pieniądze są na gwałt potrzebne, a on całość odda (jakaś nowość!), bo wydaje książkę o sztuce i o mnie w Nowym Jorku („stracą bilet”, podpowiadała mu kobieta – kto? jaki bilet?). Nawet do tej pory nie wiem o co idzie z wyjątkiem „daj forszę”, a nie ma się do kogo zwrócić, bo wszyscy na urloпах (lub ukrywają się tak jak ja). Niech więc pomyśli, że ja też wyjechałem na urlop. „Po męsku” to ja mu powiedziałem na samym początku, że więcej nie mogę, ale do niego – jak już dowodnie widać – nic nie trafi, więc nie będę się ujawniać, bo zadowolę mnie, zalewając tym słowotokiem, lub co gorsza przyjdzie i zagazuje swym smrodem tak jak Hussein Kurdów. Wydawałoby się, że zaledwie stoi jeszcze kawałkiem stopy na tym świecie, a energii do molestowania ma tyle, że hej.

Piątek 13 sierpnia 2004

Rano pogodnie. Temperatura 19-20 stopni. Łydki śwędzą jak cholera, ale z krzyżami od pewnego czasu jest już lepiej lub nawet dobrze. Prawie dobrze – mówiąc ściślej. Ciekaw jestem czy Śmierdziel odpiardolił się nareszcie, czy dziś ponownie zacznie nękanie.

Sobota 14 sierpnia 2004

Rano pochmurno. Temperatura około 17 stopni. Chyba Śmierdziel odpięprzył się definitywnie, bo wczoraj był spokój i nikt nie dzwonił. Wieczorem przyszła Puchalska na drugą gimnastykę. Cholernie jakoś się

męczyłem i pocilem. Nie wiem, czy to był wpływ pogody czy jakiegoś osłabienia. Po gimnastyce musiałem wleźć pod prysznic i zmienić koszulę, bo byłem cały mokry.

Maluję w kratkę i z wysiłkiem. Albo niedowidzę, bo jest ciemno, a chwilami cholernie ciemno i leje, albo ziewam i posypiam. Około godziny 13 wpadła Puchalska z obiecanyymi wczoraj kotletami i ziemniakami. Dokupelem rano żurawinę i w sumie był to rzadki domowy obiad. Wypiłem nawet pół puszki piwa. Posypiam jednak nie tyle z powodu piwa, ile z powodu pogody i chyba wieku. Męcę się dziś przy malowaniu prawie tak, jak wczoraj przy gimnastyce.

Niedziela 15 sierpnia 2004

Rano bezchmurne niebo. Temperatura powyżej 12 stopni. Rano, około godziny 6 było mi już trochę zimno pod nakryciem z samej poszwy i wtedy temperatura wynosiła 11 stopni. Zamknąłem, okno. Chyba się jeszcze nie zacznie jesień, bo jeszcze się na dobre nie zaczęło lato.

Gimnastyka dziś była około godziny 13. Puchalska ugotowała i przyniosła ponownie kartofle i kotlety z kurczaka. Zjedliśmy razem obiad. Był też jej pies i nieco podśmierdzał psem. Potem przewietrzyłem mieszkanie na przestrzał, bo filtry powietrza tak jakby tego nie zauważały. Nie umiem w sobie jakoś wzbudzić entuzjazmu do współżycia ze zwierzętami.

Poniedziałek 16 sierpnia 2004

Rano piękna pogoda, ale już chyba nie będzie taka jak wczoraj, kiedy przejrzystość powietrza była prawie absolutna, ale i wilgotność spadła poniżej 30%. Dziś wilgotność już wzrosła powyżej 40%, zrobiło się nieco cieplej i jest obecnie około 16 stopni. Krzyże OK. Łydki śwędzą, wszystko w normie. Idę po zakupy, jem śniadanie i biorę się do malowania.

Wtorek 17 sierpnia 2004

Maluję, ale po godzinie 11 zaczęły się ponownie jakieś głuche telefony, tym razem z terenu Ursynowa – sądząc po numerze. Oczekuję w tym okresie na telefon od przedstawiciela Aukcji Wielkiego Serca, bo mam

dla nich przygotowany obraz i mieli dzwonić około połowy sierpnia. No ale w końcu mogą przecież powiedzieć kto dzwoni. Być może, że to Lachur ponownie zaczął nękanie. Zaczynam mieć dość ludzi! Wszyscy czegoś chcą, bo traktują mnie jak kasę chorych. Wczoraj Jaronowska, która też wszystko chce za darmo, z prośbą bym jej załatwił prywatną wizytę u jakiegoś psychiatry, ale za darmo. Telefonowałem do Joanny, ale jest w górach i będzie w czwartek. Sam nie wiem, dlaczego Joanna miałaby leczyć kogoś za darmo, skoro sama zarabia bardzo klopsko, a tyra od rana do wieczora i w nadgodzinach. No, ale jeśli zaproponowałbym, że za Jaronowską zapłacę, to po pierwsze odmówi, a po drugie zacznie sobie kombinować, co mnie z nią łączy, a mnie nic nie łączy, a tylko bywam usłużny i potem wykorzystywany. W tej chwili zadzwonił Plusa i umówiliśmy się na jutro po godzinie 19. Chciał na czwartek, ale w czwartek o tej porze mam gimnastykę i chcę zachować w tym zakresie dyscyplinę. Umówiliśmy się dodatkowo w niedzielę około 15 na jakieś dwie godziny. W poniedziałek Plusa wraca do Kanady.



Palenie prac przez Zdzisława Beksińskiego w ogrodzie, Sanok 1977 r.

Środa 18 sierpnia 2004

Rano dość pogodnie. Temperatura około 20 stopni. Jem śniadanie, idę po zakupy i biorę się do pracy. Może uda się dziś skończyć obraz. Wczoraj niezidentyfikowany numer, chyba z Ursynowa, dzwonił jeszcze kilka razy, ale nigdy nikt się nie odezwał. Może to jednak nie Lachur. Wieczorem zadzwonił też Janek z informacją, że Krzysia jest ciężko chora i wykryto u niej marskość wątroby. Idzie dziś do szpitala na badania i ściągnięcie jakiegoś wysięku wodnego. Jest przybita. Zadzwoniłem tam, ale co ja w takiej sytuacji mogę pomóc?

Czwartek 19 sierpnia 2004

Rano piękna pogoda. Temperatura około 21 stopni. Ma być gorąco tak jak było wczoraj. Oby! Obraz wczoraj skończyłem, zapisałem że skończony, zrobiłem i opracowałem zdjęcie, by wysłać je Dmochowskiemu, tak jak to mu obiecałem zrobić, po czym na zdjęciu dopiero zobaczyłem rażąco mnie błąd „perspektywiczny” (raczej błąd układu) i powtórnie wrócił na sztalugi, a tym samym odwlekła się data jego ukończenia. Wieczorem był Plusa i siedział prawie do godziny 23. Potem porządkowałem jeszcze coś w komputerze i nie zdążyłem się wykapać. Będę to musiał zrobić dziś rano.

Piątek 20 sierpnia 2004

Rano pogodnie z lekkim zachmurzeniem. Temperatura około 23 stopnie. Noc była wyjątkowo ciepła. Cieszy mnie ta odrobina lata, która przyszła u jego schyłku. Wczorajszy dzień był upalny. Puchalska przyszła na moja gimnastykę wprost z telewizji i od razu weszła pod prysznic. Ja z wyjątkiem porannego wypadu po chleb, nie wychodziłem z domu, w którym przez cały czas pracowały wszystkie klimatyzacje i właściwie raczej chroniłem się przed chłodem do dawnej sypialni. Pracowałem przy przerabianym obrazie, ale jeszcze go nie skończyłem.

Sobota 21 sierpnia 2004

No i koniec z latem. Pochmurno. Temperatura spadła do około 17-18 stopni. Nie pada, ale jest chłodno, a tylko mój bezbłędny barometr zaczął po raz pierwszy od kilku dni pokazywać obrazek z pełnym słońcem, bo

poprzednio pokazywał ulewę. Gdyby te barometry pokazywały zamiast obrazków wykresy tendencji w ciągu ostatnich trzech dób i niczego nie prognozowały obrazkami, byłyby bardziej wiarygodne. Jedyne wykres to wykres ciśnienia. Dobrze i to.

Zamiast klimatyzacji włączyłem dziś przeciąg, by wywiać duszną poduchę z całego mieszkania.

Niedziela 22 sierpnia 2004

Rano ciemności i pada deszcz. Temperatura około 16 stopni. Tylko na moim barometrze pełne słońce. Na dodatek chyba w nocy padło połączenie AsterCity, nie mam więc nie tylko telewizji kablowej, ale także internetu i poczty. Sprawdzalem nawet na korytarzu, czy w nocy ktoś złośliwie nie przeciął kabla. Wczoraj późnym wieczorem, połączenie jeszcze było OK. Nie bardzo mogę brać się do malowania, bo na około 10 umówiony jestem z jakimś studentem pod tytułem Jagodziński, poleconym przez Jurka Lewczyńskiego, który ma ze mną przeprowadzać rozmowę do jakiejś pracy (magisterskiej?) na temat fotografii. Około godziny 15 ma przyjść się pożegnać Plusa, a wieczorem przybędzie Puchalska na gimnastykę. Wczoraj około południa podmalowałem kolejny obraz, ale miałem nad nim pracować dopiero od poniedziałku. Dzisiejszy dzień miał być wolny od pracy. Brak połączenia z internetem, nie pozwoli mi jednak odpowiedzieć, w wolnych od gości interwałach, na ewentualną korespondencję.

Poniedziałek 23 sierpnia 2004

Rano wspaniała pogoda. Temperatura około 12 stopni, ale w nocy musiało być około 10. Rosło nieustannie ciśnienie i mam (co jest pewną nowością) zawroty głowy tak, że muszę się asekuracyjnie chwytać co chwilę ścian lub mebli i nawet slipy wkładałem na siedząco. Chyba efekt frontu barycznego. Mam nadzieję, że w ciągu dnia to minie. Wczorajszy dzień minął tak, jak się spodziewałem. Nie miałem prawie czasu dla siebie. Plusa przyszedł z jakimiś młodymi ludźmi, których zatrudnił do transportu albumów. Które kupił od Szymanika i które musiałem podpisać. Prawie na styk wymienili się z Puchalską.

Muszę dziś umyć głowę, ale w związku z zawrotami głowy, poczekam jeszcze aż jakoś się zaadaptuję. Miejmy nadzieję, że to nastąpi.

Zawroty głowy przeszły dopiero po kilku godzinach. Nawet gdy szedłem po zakupy, to jeszcze zawiązałem piruet, skręcając obok klombu. Potem powoli się to uspokoiło. Nieustannie, od kilku już dni dzwoni wielokrotnie jakiś numer warszawski, ale po włączeniu sekretarki ani be ani me ani kukuryku. Czasem wyłącza się już po trzech dzwonek, zanim włączy się sekretarka. Od czasu Lachura nie podniosę już słuchawki, zanim nie usłyszę, kto dzwoni lub w jakiej sprawie. Co za dupki, które nie mogą się przedstawić i powiedzieć dwóch słów.

Wtorek 24 sierpnia 2004

Rano piękna pogoda. Temperatura około 14 stopni. W nocy było około 10 i po raz pierwszy od długiego czasu spałem pod kołdrą. Łydki swędzą jak swędziały. Dziś około 14-15, zapowiedział się Rosikoń i może w końcu sfotografujemy obrazy dla Sanoka. Gdy będę już mieć gotowy materiał, wtedy spróbuję część oprawić i niektóre poprzekładać z ram do ram, bo do Sanoka pójdzie też jeden z wiszących na ścianie, a w to miejsce zawisnie inny. Do tej pracy poproszę K., ale najpierw muszę wiedzieć, czy zdjęcia się udały.



Tomek i matką

Środa 25 sierpnia 2004

Rano pogoda niesprecyzowana. Przed chwilą było słońce, a teraz naciągają ciemne chmury. Na asfalcie widać resztki deszczu. Temperatura około 17 stopni. Spałem pod prześcieradłem, bo było ciepło. Muszę pójść po chleb, ale w każdej chwili może lunąć deszcz.

Wczoraj Rosikoń zrobił zdjęcia obrazów, a dziś około godziny 12 umówiliśmy się, że dostarczy slajdy. Oczywiście chciał to zrobić dopiero w przyszłym tygodniu, ale obiecałem, że przed końcem miesiąca materiał będzie gotowy, a trzeba jeszcze poprzekładać niektóre rzeczy z ram do ram. Aha! Muszę też podpisać, ale dziś na godzinę 17 zapowiedział się Grzesiek z jakąś damą, która chce podobno zobaczyć moje obrazy. Czyli podpisywanie trzeba będzie odłożyć na wieczór po ich wyjściu.

Czwartek 26 sierpnia 2004

Rano dość pogodnie. Temperatura około 17 stopni. Wczoraj wieczorem podpisałem wszystkie obrazy do Sanoka i te, które powieszę u siebie. Jutro ma przyjść K., by poprzekładać z ram te obrazy, które wiszą na ścianach i powkładać inne, a może też oprawić kilka obrazów do Sanoka, w zależności od tego, czy będzie jeszcze do dyspozycji tyle ram. Chciałbym też oprawić i dać Puchalskiej obraz, który jej się bardzo podoba, ale w tym celu trzeba zamówić na niego ramy i nie wiem, czy da się to zrobić od ręki. Najlepiej gdyby się udało rano zawieźć im wzorzec, wybrać ramę, a po południu odebrać gotową ramę i obraz oprawić, ale zapewne ten numer się nie uda.

Piątek 27 sierpnia 2004

Rano dość pogodnie. Temperatura około 16 stopni. Dziś rano ma przyjść K. w sprawie oprawiania lub przekładania obrazów z ram do ram, tak więc nie biorę się do malowania. Od wczoraj odstawiłem na próbę Cardura 2, bo to może ona powoduje że w każde przedpołudnie i wczesne popołudnie kleją mi się oczy przy pracy. Wczoraj nieomal nie byłem w stanie pracować. Jeśli po kilku dniach senność nie minie – wracam do cardury, bo widać przyczyna jest inna, może jest nią wiek podeszły. Jeśli jednak senność minie, to będę musiał prosić dr Janaszek o zastąpienie cardury innym środkiem.

Niedziela 29 sierpnia 2004

Rano dość pogodnie. Temperatura około 14 stopni. Spałem pod prześcieradłem, ale nie było mi zimno. Podobno ma być dziś upalnie – jak mi powiedziała wczoraj Puchalska, opierając się na komunikacie TVN. Niewiele dziś jednak popracuję, bo na około godzinę 11 zapowiedziała się Chyrzyńska. Chyba, że uda mi się popracować po obiedzie.

Chyrzyńska była chyba do godziny 13:30. Potem zjadłem obiad i malowałem. Przed obiadem też trochę malowałem, ale malowanie w oczekiwaniu, to żadne malowanie.

Poniedziałek 30 sierpnia 2004

Rano nad nami wisi ciemna chmura, ale horyzonty są jasne. Przed chwilą padało albo jeszcze pada. Temperatura około 16 stopni. Podobno w ciągu dnia ma być słonecznie i ciepło. Chyba dziś nic nie powinno przeszkodzić mi w pracy. Gimnastyka dopiero wieczorem. Pójdę tylko po zakupy.

Wtorek 31 sierpnia 2004

Rano pochmurno, ciemno i pada. Temperatura około 16 stopni. Noc była ciepła, ale chyba nadchodzi jesień. Wczoraj przez cały dzień malowałem. Wieczorem była gimnastyka. Nie wiem jak dziś będzie z malowaniem, bo jest ciemno jak w dupie. Nie wychodzę z domu i może jakoś to przecczekam.

Poniedziałek 1 listopada 2004

Rano pochmurno, ale sucho. Temperatura około 11 stopni. Może dam radę, by zagruntować dziś płytę pilśniową i podmalować kolejny obraz, a może zrobię sobie jeszcze jeden dzień urlopu. W końcu to Zaduszki. Nie pojechałem do Sanoka, co nie świadczy o tym, że zapomniałem Zosię i Tomka. To raczej zarówno moje lenistwo jak i niechęć do podróży, jak w końcu poczucie bezsensu gestów rytualnych. Już raczej powinienem przemóc się czasami i pojechać tam z wiosną lub w lecie. Swoją drogą jednak, w tym roku aura zaduszkowa jest nieporównywalna do tej, co zwykle... Czasami bywał o tej porze mróz, a nawet śnieg. Dziś jest prawie lato i tylko leżące wszędzie żółte liście przypominają porę roku.

Wczoraj Ochman – jak tego oczekiwałem – przyjechał po obraz na aukcję w USA. Obiecałem dać ten obraz, który zabrali do Galerii Wiśniewski i Patalon. Będę musiał jutro zadzwonić w tej sprawie do Patalona. Może wypadaloby im dać coś innego, by powisało sobie w galerii, bo przecież i tak nie ma szans na sprzedaż. W ostateczności mogę dać ten obraz, który wisi za drzwiami do kawalerki. Ciągle mam jakieś zobowiązania, z których nie mogę się wywiązać, albo robię to na styk. Niedługo już trzeba będzie zapłacić Rosikonowi za zdjęcia, a nie wiem kiedy jak spod ziemi pojawi się Jurkiewicz w sprawie Aukcji Stowarzyszenia Brata Alberta i też nie mam nic dla niego. Mam kilka obrazów, ale jak na razie za bardzo je lubię, by rozdawać na aukcje., na których rozchodzą się bezimiennie lub za tanio (jak przed pół rokiem w Nowym Jorku). Muszę coś zacząć odkładać na tą wystawę w USA planowaną w 2006 przez Plusę. Taką mam na nią ochotę, jak pies na jedzenie trawy. Plusa wmanewrował mnie w to małymi ruchami, a całe przedsięwzięcie jawi mi się jako bezsensowne. Banach mówił też o planowanej przez Muzeum wystawie w Szwajcarii, na którą brak sponsora. A czy ma ona sens? Nic nie ma sensu.



Zdzisław Beksiński, Jerzy Lewczyński, Tomasz i Zofia Beksińscy, lata 70.

Wtorek 2 listopada 2004

Rano pochmurno ale sucho. Temperatura około 9 stopni. Z okiem już dobrze, ale nadal biorę Unidox i wkrapiam oraz smaruję. Wczoraj podmalowałem obraz, ale nie mam jak na razie do niego nadmiernego przekonania. Maluję, by nie wyjść z wprawy. Czuję się raczej kiepsko – jak sądzę to efekt antybiotyku. Jutro biorę go ostatni raz.

Rano malowałem, a po południu, około godziny 16 wpadł pogadać Nyczek. Poza tym nic się nie działo.

Środa 3 listopada 2004

Rano pochmurno, ale sucho. Temperatura około 6-7 stopni. W starym mieszkaniu od wczoraj wyłączono kaloryfery i dziś w nocy dogrzewałem kaloryferami olejowymi. W kawalerce kaloryfery grzeją. Może przystąpiono do płukania i wymiany zaworów? Przed rokiem też czekano z tym do listopada. Dziś wziąłem po raz ostatni antybiotyk i krople do oczu. Myślę, że już wszystko jest OK., ale pani doktor kazała brać przez 6 dni, więc biorę.

Czwartek 4 listopada 2004

Rano pogodnie. Temperatura około 9 stopni. Odstawiam od dziś antybiotyk, krople i smarowanie oka. Wczoraj wieczorem byli kolejno Grzesiek, a potem Puchalska. Nie było gimnastyki, bo była wymęczona opiłowywaniem u Lezachowskiej zęba, na którym ma być oparty mostek, a poza tym zdenerwowana swoim synem, który zawałił jakieś terminy i został skreślony z listy studentów. Odwalila kilka rozmów telefonicznych w jego sprawie i reanimowała go przez telefon, usiłując poruszyć z miejsca, aby poszedł do dziekanatu i odwołał się od decyzji. Z jakim skutkiem to dziś się okaże. Skąd ja przypominam sobie takie rozmowy – wprawdzie w innych sprawach, ale podobne bezskuteczne przepychanie spychaczem stutonowej i odpornej góry. Rusz się z miejsca cholerna góro.

Piątek 5 listopada 2004

Rano pochmurno. W nocy padało i teraz też ma padać. Temperatura około 11 stopni. Nie wiem czy iść dziś po zakupy, czy od razu zabrać się

do pracy.

Sobota 6 listopada 2004

Rano pochmurno, ale już sucho i stosunkowo jasno. Wczoraj przez cały dzień panowały upiorne ciemności. Temperatura rano wynosiła około 6 stopni. Jest już około 10:40 i K. już sprząta. Rano najpierw odpisałem Dmochowskiemu, potem poszedłem po zakupy, potem zrobiłem sobie spaghetti na kilka dni, a teraz przystąpię jeszcze do odpowiedzenia Czaplowskiej i potem w końcu może zabiorę się do malowania.

Niedziela 7 listopada 2004

Rano pochmurno ale sucho. Temperatura około 4 stopnie. Około godziny 12 ma wpaść pani dr Suszczewicz, by odebrać grafikę na aukcję na rzecz szpitala. Wczoraj niewiele malowałem, może dziś będzie lepiej.

Poniedziałek 8 listopada 2004

Rano pochmurno, ale sucho. Temperatura około 4 stopnie. Nic się nie dzieje.

Wtorek 9 listopada 2004

Rano pochmurno, ale jakby jaśniej. Już nie pada Temperatura około 7 stopni. Poza tym nic się nie dzieje. Wczoraj przez cały dzień malowałem przy świetle sztucznym.

Środa 10 listopada 2004

Rano nareszcie piękna pogoda, tylko nie wiadomo na jak długo. Temperatura 2-3 stopnie. Wczoraj przez cały czas malowałem przy sztucznym świetle, bo po porannym rozjaśnieniu zaciągnęło się na amen i zaczął padać deszcz. Poza tym nic się nie dzieje. Wieczorem wczoraj byli Grzesiek i Puchalska. Zjedliśmy wspólna kolację. Przedtem ja się gimnastykowałem, pod okiem Puchalskiej, a Grzesiek siedział przy komputerze i nawiązywał kontakty z jakimiś panienkami i paniami poprzez program z Onetu i swoją skrytkę pocztową. Mam nadzieję, że mój adres nie pojawi się w tych kombinacjach, bo potem nie wiedziałbym jak mam się tłumaczyć.



Tomasz Bekiński, lata 70.

Piątek 12 listopada 2004

Rano ciemności, ale sucho. Temperatura około 8 stopni. Wczoraj nic nie robiłem, więc dziś powinienem podmalować nowy obraz. Poza tym o godzinie 10 sprzątanie. Poza tym nic nowego.

Sobota 13 listopada 2004

Rano potworne ciemności i mokro, ale nawet nie widzę czy jeszcze pada. Temperatura około 7-8 stopni. Wczoraj podmalowałem nowy obraz w mniejszym formacie, ale nie mam pojęcia czy dziś będę mógł nad nim pracować. Dziś też ostatni dzień gimnastyki. Puchalska wyjedzie 15 bm do Holandii i wraca po 3 tygodniach. Zrobi się pusto. Przywykłem już do tego, że jest tu co drugi wieczór.

To, co się dzieje około południa, przekracza wszelkie wyobrażenie. Ciemniej już chyba być nie może. Nie widzę koloru. Zrobiłem zdjęcie, ale nie odda ono faktycznej aury.

Niedziela 14 listopada 2004

Rano pochmurno i ciemno, ale jak na razie nie pada. Temperatura nie powyżej 0 stopni. Wczoraj wysiadła łączność internetowa w zakresie odbierania poczty. Test wysłałem, ale nie doszedł. O ile rzecz potrwa dłużej, to jutro muszę pogadać z Roszczykiem. Wczoraj wieczorem była także pożegnać się Puchalska. Leci do Holandii jutro, a wraca 2 grudnia. Nie robiliśmy już gimnastyki, a tylko gadaliśmy do godziny 22. Widziałem, że jej również, podobnie jak mnie, trudno było się rozstawać na te trzy tygodnie. Na godzinę 12 umówiony jestem z jakąś panią Jastrzębską w sprawie grafiki na jakieś Hospicjum. Do tej pory trochę popracuję.

Pojawiło się słońce. Cholerny babon, który miał po grafikę na rzecz Hospicjum przyjechać o godzinie 12, nie pojawił się do tej pory, a jest już 13:40. Od godziny 11:30 przebrałem się i czekam. W międzyczasie zapowiedział się Bogdan z bratem w celu sprawdzenia aparatu, bo wypożyczyli na giełdzie obiektyw. Wszystko zbije się w jednym momencie. Niedługo też zajdzie słońce i nie zdążę zrobić prób. Najpierw robić będą przez okno, a dopiero potem we wnętrzach. Kilka zdjęć z widokiem

na sąsiedni blok w kilku rozmaitych najazdach transfokatora, powinno dać mi jasny obraz.

Bogdan z bratem przyjechali około 13:45 przywożąc aparat i pożyczony od sprzedawcy obiektyw. Zrobiłem wiele zdjęć, ale nadal nie pokochałem tego aparatu, który w międzyczasie zdobył prestiżową nagrodę DIVA za najlepszy aparat 2004. Zdjęcia nadal są zbyt kontrastowe, za ciemne i najczęściej źle ustawione, jeśli idzie o ostrość lub po prostu generalnie mało ostre. Miałem nadzieję, że zostawię sobie ten obiektyw, dam za niego forszę i potem dokupię werk aparatu, ale jednak zaczynam sądzić, że w cyfrowej fotografii gorsze, czasami jest lepsze i małe boxy robią po prostu lepsze zdjęcia. Mają nieporównywalnie mniej możliwości (np. doczepienia zewnętrznej lampy), ale to co robi ten Canon, jest po prostu kiepskie i jakby niedoświetlone. Chyba, że to jakiś błąd lub fatalne ustawienie parametrów egzemplarza, który ma brat Bogdana.

W trakcie ich obecności włączono mi odbiór poczty z AsterCity, doradzając zmianę IP z Publicznego na prywatny. Podobno jest to proste do zrobienia, ale utknąłem na pierwszym stopniu, bo po zalogowaniu się w jakiejś Wildze, nie było po prostu żadnej dalszej opcji, a miała się pojawić ścieżka, prowadząca mnie jak po sznurku. Polecono też, bym koniecznie zainstalował sobie FireWall. Fire Wall w moim komputerze, może (moim zdaniem) chronić mój komputer, a nie skrzynkę w AsterCity, a to właśnie skrzynka została zainfekowana.

Poniedziałek 15 listopada 2004

Rano ciemności, ale sucho. Temperatura około 2 stopnie. Dziś w południe Puchalska wylatuje do Holandii. Na lotnisku powinna być już około 9. Ja wezmę się do próby wymyślenia czegoś z obrazem, który wczoraj – praktycznie rzecz biorąc – po prostu zamalowałem.

Zabrakło nagle wody we wszystkich pionach. Za oknem jakaś radosna twórczość. Kilka wozów z rurami, rozkopany teren. Po raz pierwszy muszę korzystać z rezerwuaru i nagle okazało się, że nie mam wiadra. Wziąłem czerwone wiadro od mopa, ale muszę jakieś kupić i nie mam pojęcia, co się stało po remoncie z moimi starymi wiadrami. Może są na balkonie?

Trzeba chyba pojechać do jakiegoś magazynu i kupić niezbyt wielkie wiadro, potrzebne przy takich okazjach.

Chyba z lotniska, zadzwoniła Puchalska z pożegnaniem. Ma być na miejscu gdzieś około godziny 15 lub 16. W tej chwili chyba wylatuje. Zadzwoniła też teraz madame Jastrzębska, że jest ze mną umówiona na dziś na godzinę 12. Albo jej się pokielbaśilo, albo idzie w zaparte. Wody nadal nie ma, a pod blokiem żonglowanie rurami. Mnie na dodatek złapała sraczka. Jak zwykle.

Nieszczęścia chodzą parami Zabrakło wody i mam utrudnione między innymi mycie naczyń. Równocześnie dziś skończył się zapas talerzy jednorazowych. Pójdę potem chyba do Mokpolu i kupię trochę w detalu po 6 czy 10 sztuk, a równocześnie poproszę K. o kupno większej ilości. A może Leclerc to posiada? Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. W poszukiwaniu talerzy, znalazłem ukryte za stertą teczek na grafiki, moje stare wiadra.

Wtorek 16 listopada 2004

Rano ciemności, ale w tej chwili już nie pada. Temperatura około 6 stopni. Czuję się tak, że najchętniej walnąłbym powtórnie w wyro. Ciśnienie 115/67 przy tętnie 68. W nocy i wieczorem miałem obolały brzuch tak, jak w okresie, gdy miałem problemy z wątrobą. Dopiero, gdy około godziny 3 wziąłem panadol, bo i głowa zaczynała boleć, wszystko się uspokoiło. Czuję się jednak jak polinezyjski starzec, którego wsadzono na drzewo, tyle że nie trzęsie nim rodzina lecz natura. Wczoraj włączono wodę około godziny 16 i obawiam się, że dziś i w następnych dniach będzie to samo, bo zwalono obok bloku tyle rur i porozjeżdżano trawniki, wszędzie góry wykopanej ziemi, wszystko to każe sądzić, iż zanosi się na jakąś generalną przeróbkę doprowadzenia wody z codziennym jej wyłączaniem w godzinach pracy. Zobaczymy.

Środa 17 listopada 2004

Rano ciemności, ale sucho. Temperatura około 2 stopnie. Na godzinę 10 umówiony jestem z Grześkiem, który ma wejściówkę do Cash&Carry,

na wspólny wyjazd w celu zakupienia zapasu talerzy jednorazowych. Nic dziś nie namaluję, ale w końcu muszę to załatwić. Wczoraj nie wyłączano już wody, mimo iż roboty pod blokiem trwają, ale na wszelki wypadek trzymam małą wannę napełnioną wodą tak, aby szybciej czerpać, jeśli chcę kilkakrotnie zlać wodę w WC. WC napełniane via zbiorniki, napełnia się wprawdzie samoczynnie, ale stosunkowo zbyt powoli jak na moje potrzeby.

Wyjazd i zakupy przeprowadziliśmy na tyle szybko i sprawnie, że jeszcze trochę malowałem. Roboty pod domem rozrastają się na inne odcinki, ale na razie nie ma przerw w dostawie wody. Założono chyba na czas robót prowizoryczne łącze.

Czwartek 18 listopada 2004

Rano koszmarnie ciemno i mokro. Wieje bardzo silny wiatr. Temperatura około 9 stopni. Muszę pójść po zakupy, a nie chce się przy takiej aurze wychodzić z domu. Moje ciśnienie ponownie sięgnęło dna – 115/68 przy tętnie 63.

Piątek 19 listopada 2004

Rano ciemności i mokro. Temperatura około 2 stopnie, ale podobno ma potem złapać słaby mróz i spaść śnieg. Nie wspominali w radio o gołoledzi. Nie pójdę chyba po chleb. A może zrobię sobie zapas miodowego na wypadek możliwej gołoledzi? Chyba za wcześnie na gołoledź. Wczoraj intensywnie malowałem przez kilka godzin, bo od godziny 11 do zachodu około godziny 15 było słonecznie, i może uda mi się dziś skończyć obraz, ale nie wykluczam, że będzie za ciemno.

Po godzinie 9 zaczął sypać śnieg. Zbliża się godzina 10, ale nadal jest za ciemno do malowania.

Niedziela 21 listopada 2004

Nareszcie piękna pogoda. Temperatura pomiędzy -1 i -2. Wczoraj uznałem obraz za skończony i podmalowałem nowy. Dziś może uda mi się efektywnie przy nim popracować.

Poniedziałek 22 listopada 2004

Rano piękna pogoda, ale zapewne tak zdradliwa jak wczoraj, gdy po pięknym poranku, od około południa zaczął sypać śnieg. Temperatura około -8 . Czyżby już początek zimy? Nie będę wychodzić z domu, by się gdzieś nie poślizgnąć. Może w końcu odtaje, ale zapowiadają raczej opady śniegu. Wczoraj niestety niewiele malowałem, bo obraz szybko zaczął się mazać, a poza tym zacząłem mieć wątpliwości, czy akurat to i tak chcę malować. Potem przyszła Jaronowska. Po wydrukowaniu tego, co miała wydrukować, przez cały pozostały czas siedzieliśmy w kuchni, a ona rozgadała się na temat swoich kłopotów w pracy. Dzień jakos w końcu przeszedł, ale nieefektywnie.



Tomek z ojcem w pracowni, Sanok 1976 r.

Wtorek 23 listopada 2004

Rano ciemności i mokro, Temperatura około 5 stopni. Zaczyna się coś z krzyżami. Na razie nieśmiało, ale obawiam się, że może się pogorszyć. Podobno ma być wichura, a od jutra znowu przymrozki i śnieg. Wczoraj o godzinie 18:30 padło nagle zasilanie elektryczne dla połowy Warszawy, w tym dla Mokotowa. Zrobiły się potworne ciemności, bo wszystko, nawet za oknami, nagle zrobiło się czarne. Podobno stanęło metro, padły połączenia komórkowe, radio, internet i w ogóle wszystko. Zaczęły stygnąć kaloryfery, a w wodociągach ciepła woda. Na szczęście równo po godzinie awarię usunięto, bo zapowiadał się Armagedon. Akurat gotowałem jaja na twardo i po czwartej minucie gotowania, nagle wyłączył się błąt grzejny. Zostawiłem jaja przez godzinę w gorącej wodzie i o dziwo chyba doszły, bo dwa pęknięte rozbilem i były OK.

Wyszedłem około 10:30 do fryzjerki w LAND ostrzyć się, a potem do MarcPolu, by kupić chleb. Wychodząc z MarcPolu wyminąłem się w drzwiach z jakimś nieco woniejącym wódą facetem, który mnie rozpoznał. Podobno przed laty, jako chłopak, pracował u Boguckiego i pomagał w transporcie mej wystawy w Łazienkach. Potem dokleiła się jeszcze jakaś pani z osiedlowego ośrodka kultury, czy czegoś w tym rodzaju, namawiając na wystawę. Facet powiedział, że mieszka naprzeciw przy ul. Batuty i widzi mnie przez lornetkę jak maluję. Czyżby to ten sam, który przed laty spotkał mnie na stacji metra i poinformował o tym samym. Nawet więc podlubać w nosie się nie da. Boże: uciekam od ludzi, a równocześnie czuję się samotny. Ludzi jednak odbieram jak nieustający kłopot. Prawie nic dziś nie malowałem, natomiast sporo spałem. Coś muszę z tym obrazem zrobić, bo maluję go raczej z myślą o Dmochowskim niż o sobie i to trzeba jutro przerwać, bo się zakałapućkam, a z obrazu i tak nic nie wyjdzie.

Środa 24 listopada 2004

Rano pochmurno, ale nie pada. Temperatura ok. -1. Wieczorem nie mogłem zasnąć, ale potem, gdy otworzyłem okna na oścież, jakoś zasnąłem. Rano awaria. Gdy poszedłem do pracowni, by zmierzyć jak co rano ciśnienie, okazało się, że kaloryfer obok sztalug przecieka na uszczelce od

zaworu spustowego i zalal już spory obszar podłogi. Z szybkości wycieku wody wyglądało, że na szczęście awaria nie pojawiła się dawno. Może o godzinie 6. Strach pomyśleć, co by było, gdyby pojawiła się zaraz po północy. Zadzwoiłem do K. parę minut po godzinie 7, a on do hydraulika, który dotarł tu jeszcze przed godziną 8 i na razie sytuacja jest roboczo opanowana, kaloryfer wyłączony, a K. przyjedzie tu i dokończy dzieła razem z hydraulikiem. Zdenerwowawszy się, natychmiast musiałem brać Manti. Krzyże podobnie jak wczoraj: na granicy początku kłopotów.

K. przyjechał i naprawił uszczelnienie, usuwając uszczelkę gumową i zastępując ją konwencjonalnie pakułami, które podobno są pewniejsze. Wziął miarę na lustro w łazience, które chcę wymienić, bo nieustannie zaczepiam o przyklejoną do niego półkę szklaną. Poza tym prosiłem o wykonanie z płyty wiórowej takiego oparcia na głowę na oknie prowadzącym do pionów w WC, abym mógł, nachyliwszy się nad miską, opierać się tam głową i nie musiał siadać do każdego wysikania się. Kupił też, na moją, prośbę kilka lampek oszczędnościowych na żarówki, którymi chcę zastąpić lampki na świetlówki, bo już trzy się spaliły.

Czwartek 25 listopada 2004

Rano pochmurno, ale jasno. Temperatura około -4 . Z krzyżami jakby o odcień gorzej niż wczoraj. Łydki i wiele innych miejsc na skórze cholernie mnie swędzi. Chwilami jest to nie do zniesienia. Wczoraj malowałem trochę przy świetle sztucznym. Jestem ogólnie cholernie zmęczony i przymulony. Nie wiem czy to efekt pogody czy wieku.

Chyba dwie godziny straciłem popołudniu w banku w LAND. Chciałem odebrać nową kartę VISA Classic, bo stara straciła ważność i już jedna ze stron porno wyłączyła mnie dziś, a druga zrobi to chyba pojutrze, ale najpierw przez prawie godzinę czekałem do niewłaściwego stanowiska, bo nastąpiła reorganizacja i karty odbiera się na półpiętrze. Tam była następna kolejka i w końcu kartę odebrałem, ale urzędniczka wcisnęła mi pomysł na srebrną kartę VISA Classic, która jest niezależna od Rachunku Oszczędnościowo Rozliczeniowego, ale musi mieć na stanie minimum 2.000 zł (obecnie 613 USD). Pomyślałem, że to może się

przydać, bo płacąc nią w internecie, nie będę ryzykować całym swoim Rachunkiem Oszczędnościowo Rozliczeniowym. Swoją drogą, że aktualnie jego stan jest nędzny. Trzeba było podać jakieś hasło dla karty, więc podałem LOBA582.

Piątek 26 listopada 2004

Rano lekkie zachmurzenie. Temperatura około 1-2 stopnie. Łydki posmarowałem wczoraj przed spaniem kremem exomega i rano jakby mniej swędzą, bo wczoraj omal się już nie wściękłem. Nigdy nie wiadomo, co pomoże: czy krem exomega czy lacticort. Raz pomaga to, a raz tamto. Wczorajszy dzień przeszedł jak we śnie i chyba to samo zapowiada się na dziś. Około godziny 15 przychodzi K. by sprzątać. Teraz wezmę się do malowania. Wczoraj wieczorem zadzwonił Jurkiewicz w sprawie obrazu na aukcję Brata Alberta. Nie wiem już, co mam dać, bo nie mam obrazów i napisałem do Dmochowskiego, czy rezerwować dla niego jeden obraz, którego ja nie lubię, a on go wyróżniał, ale brakło mu na niego kasy. W razie czego, muszę go pogelować i sfotografować.

Sprawy się komplikują, bo Dmochowski nie odpowiedział na mój mail. Może wyjechał już wczoraj do Kolonii, gdzie miał spotkać się w sobotę z Ryszardem, by kupić obraz. Przyszedł natomiast Tomasz Wiśniewski z galerii po obiecany obraz, więc dałem mu jakieś dwa stare akryle i dwa małe oleje (są to prace zwrócone przez Dmochowskiego po zerwaniu umowy – wygrzebałem je na regałach wczoraj), jak też obraz jaki im obiecałem. Gdy go zdjąłem ze ściany, okazało się, że nie jest podpisany ani nie jest sfotografowany. Wiśniewski wziął go taki jaki jest, bo mają jutro mieć jakiegoś klienta ale zastrzegłem, że jeśli go kupuje, to musi odczekać na podpisanie i sfotografowanie. Umówiłem się też z Rosikonem na nadchodząca środę. On chce także sfotografować obraz zarezerwowany już dawniej przez Dmochowskiego, więc wobec braku informacji z Paryża, muszę odżalować dla Brata Alberta obraz z rozdwojonym słupem pośrodku, ale w tym celu muszę go jutro pogelować, podobnie jak obraz zarezerwowany przez Dmochowskiego. Co do obrazu, w sprawie którego pisałem wczoraj do Dmochowskiego, to wobec braku odpowiedzi trzymam go na razie nadal w schowku.

Niespodziewanie Dmochowski zadzwonił z Kolonii, dokąd pojechali już wczoraj. Chciał, bym mu podał numer telefoniczny Rysia, bo jutro mają się spotkać w sprawie obrazu. Nie dostał już mojego wczorajszego maila, więc powiedziałem mu, co się dzieje i z żalem zrezygnował z tego obrazu ale o ile się uda, to go jednak wymanewruję. Pogelowałem więc duży obraz dla Dmochowskiego, oraz drugi duży obraz czarny („i zamieszkać w domu Pana po wszystkie czasy”) tyle, że ten czarny chyba nikomu się nie podoba, a na dodatek jest u góry zadrapany i nie wiem czy zdążyć usunąć to zadrapanie, więc nie chcę jeszcze niczego ostatecznie ustalać. Poza tym pogelowałem mały obraz, w sprawie którego pisałem wczoraj do Dmochowskiego i inny mały obraz (popiersie), który chcę zawiesić w miejsce obrazu zabranego dziś przez Wiśniewskiego. Pogelowałem też profil z czerwonymi włosami, to może przed świętami powieszę go w kawalerce, a obraz z kawalerki w przejściu do dawnej sypialni i w ten sposób będę mieć znowu komplet na ścianach. Jestem zmęczony. Minęła godzina 21:15.

*Wiesław Banach*

Sobota 27 listopada 2004

Rano potworne ciemności. Proszy słaby, drobnutki śnieg. Temperatura około 0. Nie wiem czy iść po zakupy, skoro stale jem chleb miodowy z paczki, a może być ślisko. Może potem. Do malowania też nie bardzo jest jak się zabrać, chyba żeby od rana zacząć przy świetle sztucznym.

Niedziela 28 listopada 2004

Rano ciemności tak koszarne, że chyba jeszcze takich w tym roku nie było. Temperatura około 4-5 stopni. Chyba aktualnie nie pada, ale jest mokro. Dziś moje imieniny, o czym przypomniał mi wczoraj wieczorem Tadzik, zapowiadając, że przyjdzie około godziny 15-16. Mam cichą nadzieję, że nie obudzą się Emilowie, bo nie mam absolutnie nic, nawet słonych paluszków (eliminuję to z domu w obawie o dalsze tycie), a dziś niedziela, więc niczego już nie kupię, chyba żeby wziął taryfę i podjechał do jakiegoś dużego magazynu, ale to nonsens.

Wczoraj przyjechał Janusz Barycki z żoną i zabrał jedną grafikę, którą sprzedali w Białymstoku. Wystrzelił z tym, bym „pomyślał” o dwóch obrazach do sprzedania na Ukrainie, w celu pokrycia części kosztów planowanej ekspozycji. O tym do tej pory nie było mowy. Jestem na kompletnym bezobraziu, a dobił mnie Jurkiewicz i malowanie z myślą, że nie maluję dla siebie, lecz na sprzedaż, zablokuje mnie kompletnie. Wczoraj wykręcałem się delikatnie, ale wielokrotnie, ale dziś muszę napisać do niego mail, że nic z tego i niech lepiej odwoła wystawę, bo ja niczego na sprzedaż malować na gwałt nie będę. Za trzy miesiące muszę wypłacić się Rosikoniowi i podłożyłem się Plusie, obiecując że kilka obrazów będzie do sprzedania na wystawie w USA w 2006 roku, ale po pierwsze małą mam nadzieję na to, że Plusie uda się ją zorganizować, a po drugie to dopiero 2006 rok, natomiast Baryckiemu te dwa obrazy potrzebne byłyby już w kwietniu. Muszę jasno i niedwuznacznie dać odpór.

Poniedziałek 29 listopada 2004

Rano ciemności i mokro. Temperatura około 2 stopnie. Może spróbuję dziś podmalować nowy obraz. Wczoraj po południu przyszedł Tadzik, a potem wieczorem Grzesiek z kolegą Arturkiem. Zamówiliśmy kurczaki i miałem piwo, zadzwoniliśmy też do Puchalskiej. Tadzik jakoś zgarbił się

i postarzał, co widać szczególnie, gdy wstanie i idzie. Myśli o kupnie aparatu cyfrowego i komputera, ale jak na razie niewiele na ten temat wie. Wieczorem po wyjściu Grześka dzwonił jeszcze Jurek (w ogóle było sporo telefonów) i też zaczyna myśleć o uruchomieniu komputera, który kupił przed paru laty i go nie używa (jest to już zapewne zabytek klasy zerowej) i też głos mu się ewidentnie zmienił na starszuskowaty. Ciekaw jestem, jak jest z moim głosem.

Wtorek 30 listopada 2004

Rano ciemności i mgła, ale podobno ma być potem słońce. Temperatura około 2 stopnie. Od wczoraj ćmi mnie coś delikatnie (przy podrapaniu się w policzek) na dziąśle po prawej, na górnej szczęce. Mam nadzieję, że nie jest to jakaś nowa sprawa stomatologiczna. Może dziś nareszcie ruszę z jakąś robotą, bo od trzech czy czterech dni nic nie robię. Wczoraj podjechałem tylko taryfą na Ursynów, na ulicę Hawajską, bo tam jest firma importująca LIQUIN, o czym dowiedziałem się od (Łukasza) Banacha. Kupiłem sobie pewien zapas, bo po ostatnim gelowaniu, jestem na absolutnej końcówce mojego starego zapasu z lat siedemdziesiątych, sprowadzonego jeszcze z Londynu. Na tym wyjeździe wyczerpała się moja żywotność i trochę spałem, a trochę przewalałem się z kąta w kąt. Dzień był wręcz okropny: ciemny, mokry i senny. Za dwa dni wraca Puchalska i wracam do gimnastyki.

Środa 1 grudnia 2004

Rano nadal pochmurno, ale sucho. Temperatura około 2 stopnie. Podmalowany wczoraj obraz nie wysechł dostatecznie i nie mogę się wziąć do pracy nad nim. Trzeba jednak zawsze podmalowywać nie po południu, lecz rano.

Pod wieczór jednak trochę nad tym obrazem popracowałem. Dzwoniła Dziopak i chce tu wpaść razem ze współniczką w piątek około południa. Nie sądzę, by sprzedały obraz lub obrazy, bo zaraz sprawdziłem i nadal figurują w ofercie internetowej. Może chcą je zwrócić i zamienić na coś nowszego, ale ja nic do wyboru w tej chwili nie mam. A może sprzedały jakąś grafikę? A może tylko chcą pogadać? To ostatnie jest najmniej praw-

dopodobne. Rosikoń przyjdzie fotografować jutro między 15 a 15:30. Tomasz Wiśniewski odniósł dzisiaj obraz do fotografii. Poza tym nic się nie dzieje. Nogi przez trzy dni nie swędziały i zaczynają swędzieć ponownie. Jutro wraca z Holandii Puchalska. To już w telegraficznym skrócie wszystko, co mam do napisania. Nawiasem: ciekaw jestem, co się stało z Plusą i planowanym kupnem tego obrazu, który nadal wisi u mnie w korytarzyku. Najpierw przyspieszał i ciągle dzwonił – miała po niego pojawić się pani Fiolek, a potem wszystko ucichło i panuje absolutna cisza. Czyżby plany się posypały i nabywca się wycofał? Nie będę z tego powodu płakał, bo liczę na forszę za dwa obrazy od Dmochowskiego, ale nie wpłynie ona przed wiosną. Tak czy siak, dam sobie jakoś radę.



Zdzisław Beksiński z Anną i Tadeuszem Turkowskimi w ich pracowni w Sanoku

Czwartek 2 grudnia 2004

Rano ciemności i mokro, ale chyba nie pada. Temperatura około 6 stopni. Wczorajsza pogoda trwała jeden dzień. Około godziny 15-15:30 przychodzi Rosikoń w celu wykonania zdjęć. Puchalska pewnie dziś po powrocie zadzwoni, ale nie przyjdzie prędzej niż jutro, bo na pewno będzie zmęczona podróżą. Przed południem mam nadzieję trochę popracować nad obrazem.

Rosikoń przyszedł tym razem punktualnie i zrobił reprodukcje 6 obrazów. Jutro obiecał dostarczyć gotowe przeźrocza. Wieczorem wszystkie obrazy podpisałem, co staje się dla mnie powoli coraz bardziej wyczerpującą pracą. Co będzie za parę lat, jeśli dożyję? W trakcie pobytu Rosikononia, zadzwoniła Puchalska już z Polski. Umówiliśmy się luźno na jutro.

Piątek 3 grudnia 2004

Panie Sawczuk i Dziopak spóźniły się chyba około 2 godziny. Przerwałem malowanie i ubrałem się przed godziną 12 i czekałem jak głupi, ale dopiero około 13 z minutami zadzwoniła Dziopak, przepraszając za spóźnienie. W końcu przyszły i dostałem jak zwykle słodkie ciasto, jakiś „Kopiec Kreta” z jakiejś „Cukierni Wiedeńskiej” oraz forszę za dwa obrazy, które leżały u nich od prawie 2 lat. Zaczęło się molestowanie, bym jutro pojawił się w jakiejś nowo otwartej przez Sawczuk restauracji na uroczystej kolacji urządzonej przez nie i Art&Biznes, ale dałem stanowczy odpór kłamiąc, że mam jutro spóźnione imieniny. Koniecznie chciały też coś kupić i w końcu sprzedałem im postać kobiecą, która dawniej wisiała w kawalerce i którą miałem sprzedać Faleńczykowi, lub Majchrzakowi, ale obaj się wycofali. Forszę mam dostać w nadchodzący czwartek. Na tym nie wyczerpały się ich apetyty i najpierw usiłowały mnie skłonić do zrobienia inauguracyjnej wystawy w nowej galerii w Wilanowie, a potem do sprzedania 4 obrazów oraz dania w komis siedmiu i tak dalej. Skąd mam te obrazy brać? W każdym razie fajnie, że wpadła jakaś forsa, bo miałem pewne obawy, że nadchodzą lata posuchy.

Sobota 4 grudnia 2004

Rano ciemności, ale sucho. Podobno potem ma być słonecznie. Tempe-

ratura około 3 stopnie. Fatalnie spałem. Wieczorem nie mogłem zasnąć i zasnąłem dopiero między godziną 2 i 3. Chyba.

Niedziela 5 grudnia 2004

Rano ciemności i mokro. Podobno potem ma być słonecznie, ale wczoraj też tak w radio mówiono, a potem ciemności trwały cały dzień. Temperatura około 4 stopnie. Biorę się do pracy, bo wczoraj jednak wieczorem trochę malowałem.

Poniedziałek 6 grudnia 2004

Rano tradycyjnie ciemności i to cholerne ciemności. Mokro, ale aktualnie nie pada. Temperatura około 5 stopni. Wczoraj przed południem roz pogodziło się i pracowałem do zachodu słońca, ale morzył mnie tak cholernie sen, że dziś eksperymentalnie odstawiam na kilka dni Cardura, ale może to kwestia tego, że te niepełne 7 godzin w nocy to dla mnie za mało? Może przesunąć wstawanie na godzinę 8? Ta codzienna senność nie jest – być może – signum wieku podeszłego, lecz zbyt krótkiego okresu spania?

Wtorek 7 grudnia 2004

Rano jak zwykle ciemności, ale jak na razie sucho. Temperatura około 4 stopnie. Z Puchalską rozmawiałem telefonicznie wczoraj około godziny 21:30. Idzie dziś z samego rana do szpitala na Spartańską, ale na razie na konsultację. Po powrocie ma zadzwonić i poinformować mnie, jak sprawy stoją.

W ciągu dnia wyłączono ciepłą wodę i kaloryfery. Dogrzewałem w kawalerce klimatyzatorem, a w pracowni kaloryferem olejowym. Malowałem, ale mniej intensywnie niż wczoraj. Było zbyt ciemno, a malowałem żółte elementy obrazu i na skutek tego nie bardzo mogłem pracować przy świetle sztucznym.

Kaloryfery włączono około godziny 17. Nie wiadomo czy jutro ponownie wyłączą?



Beksiński na tle swojej wystawy w Sanoku

Środa 8 grudnia 2004

Rano ciemności, ale już nie pada. Temperatura około 5 stopni. Chyba nie będę się dziś brać w ogóle do pracy, bo wczoraj, z niewyjaśnionych powodów, nie mogłem zasnąć i kotłowałem się do godziny 3:30. Jestem obecnie jak wypluty. Nie wiem, czy przyczyną mogło być próbne odstawienie Cardura przed dwoma dniami (podejrzewam, że to Cardura wywołuje u mnie codzienną senność w trakcie pracy), bo miałem też problemy z sikaniem. Trzeba to będzie poobserwować. Moje ciśnienie się nie zmieniło. Puchalska idzie dziś rano do szpitala. Wczoraj w ciągu dnia poczuła się dobrze, ale wieczorem ponownie padła. Sądzi, że to na skutek tego, iż rano bierze nieco powiększoną dawkę sterydu, który do wieczora przestaje działać.

Czwartek 9 grudnia 2004

Rano dość pogodnie, ale podobno potem ma się z powrotem zachmurzyć. Temperatura około 4 stopnie. Wczoraj około godziny 14, byłem u Puchalskiej w szpitalu i zaniósłem jej prasę do czytania, pastę i szczoteczkę do zębów, bo zapomniała oraz cukierki. Dziś może być gorzej, bo między 14-15 zapowiedział się, jeszcze przed tygodniem, ktoś z jakiejś krakowskiej aukcji na dobroczynność po grafikę, a także ma pojawić się w nieustalonym terminie któraś z pań z galerii SD, by zapłacić za obraz zabrany przed kilku dniami. Jutro też będzie problem z odwiedzinami, bo z kolei o godzinie 15 przychodzi sprzątać K., więc ani przed ani po. O ile przedtem skończę obraz, to może uda się podjechać tam jutro przedpołudniem, zanim pojawi się K. Zadzwonię dziś do Grzeška, by odwiedził Puchalską – dziś, bo jutro jedzie zapewne na weekend do Krakowa.

Koło południa skończyłem obraz i potem zaczęło się psuć światło i słońce zaszło za chmury. Facet z Krakowa po grafikę na aukcję, doznał dopiero o godzinie 15:30, zaś około godziny 18 przyszła, zapowiedziawszy się najpierw pani Dziopak z synem. Zapłaciła za obraz 22.000, ale jej syn zaczął mnie molestować o sprzedaż innego obrazu za 20.000, a nie za 22.000 dla siebie, a nie dla galerii, bo składał te pieniądze od dłuższego czasu (jest studentem i zarabiał latem za granicą) i nawet zaciągnął u matki pożycz-

kę. Ma już jeden mój obraz. Wyglądał sympatycznie – widać, że nie miał już kasy i że mu zależało, więc mu odpuściłem. Będę musiał skontaktować się z Rosikonem w sprawie zrobienia reprodukcji, ale pogelować go mogę dopiero jutro po wyjściu K., bo inaczej w trakcie sprzątanía mogą się na nim nakleić jakieś paprochy. Zadzwońię jutro do Rosikonía i się umówię. Może pogeluję także dwa obrazy, które chcę sobie wymienić w starej sypialni w miejsce balonu i postaci z kijem?

Sobota 11 grudnia 2004

Rano dość znośna pogoda. Temperatura około, a raczej poniżej 0. Dziś nareszcie jako tako spałem, ale nie wiem, czy w końcu przyzwyczajam się do braku cardura, czy też dlatego, że wieczorem ómiła mnie głowa i zażyłem panadol, który zawsze działa nieco nasennie. Dziś rano pogeluję obraz, a około południa podjadę do Puchalskiej, która wczoraj miała tomografię, ale jeszcze nie znała wieczorem wyników. Wczoraj wieczorem zadzwonił nagle Plusa z informacją, że pani Fiolek zgłosi się z kasą po obraz w ciągu kilku najbliższych dni, natomiast on sam nie będzie mógł przyjechać na Święta. No – jeśli dostanę kasę także od niego i od syna Dziopak (z Rosikonem umówiłem się roboczo na czwartek) to na koniec roku pojawi się nagle sukces finansowy w miejsce bryndzy, która trwała przez cały rok.

Niedziela 12 grudnia 2004

Rano koszmarne ciemności, ale chyba nie pada, a tylko jest trochę mokro, bo może trochę padało w nocy. Jest za ciemno, by zobaczyć coś przez okno. Temperatura około 2 stopnie.

Dzień przecieka między palcami. Zagruntowałem akrylem podobrazie na duży obraz, ale niewiele mam siły, by zrobić coś więcej.

Poniedziałek 13 grudnia 2004

Rano ciemności, ale sucho. Temperatura około 3 stopnie. Podmalowany wczoraj około godziny 14 obraz, nie wysechł w stopniu dostatecznym, więc dziś rano nie będę mógł przy nim pracować. W nocy znowu miałem kłopoty z zaśnięciem i zaczynam się łamać, czy nie wrócić do cardura.

Na razie się trzymam. Problem polega na tym, iż na skutek kiepskiego spania, nie mogę zdecydować, czy odstawienie cardura pomaga w zwalczaniu senności w ciągu dnia czy nie, bo senność mam nadal, ale być może, obecnie nie wynika z tego wniosek, że odstawienie cardura jest bez znaczenia, bo senny mogę po prostu być na skutek niewyspania. Może jeszcze przez jakiś czas wytrzymam eksperyment. Muszę dziś zamówić w Leclerc colę, bo potem zacznę się przedświąteczny kociol.



Bekiński przed swoim obrazem, Warszawa 1999 r.

Wtorek 14 grudnia 2004

Ależ ja jestem przymulony! Wczoraj wziąłem jednak cardura i chyba dziś ponownie odstawię. Spałem i nawet nad ranem sporo śniłem, ale najchętniej ponownie wlaźłbym do barłogu. Rano jak zwykle ciemności, ale radio zapowiada słońce w całym kraju. W każdym razie nie pada. Temperatura około 3 stopnie.

Wczoraj odwiedziłem Puchalską w szpitalu około południa, bo obraz nie był jeszcze suchy i liczyłem, że popracuję po powrocie. Po powrocie zjadłem obiad i byłem zmęczony. Położyłem się na chwilę i przysnąłem

jak zabity. W efekcie pomyślałem, że w tej sytuacji już na pewno wieczorem nie zasną i będę mieć trudności przez całą noc, więc wziąłem jednak cardura w terminie jak zwykle, czyli około godziny 18. Z zaśnięciem nadal nie było zbyt świetnie, ale potem po zażyciu Panadol extra, bo trochę ćmiła mnie głowa, jak już spałem, to spałem, a teraz jestem taki, jaki jestem. Miałem nadzieję popracować dziś do godziny 14 lub dłużej, ale zapewne niewiele z siebie w tym stanie wyduszę. Około godziny 15 zapowiedział się wczoraj Rosikoń w sprawie zdjęć. Miał być dopiero w czwartek, ale coś mu się zmieniło. Moje trudności z zaśnięciem wywołane zostały być może kłopotami z komputerem. Zmieniwszy zakres zabezpieczeń w Outlooku złapałem nagle (może nie na skutek tego) chyba 470 wirusów Adware, których pozbywałem się przez ponad godzinę lub dłużej, bo zawieszał się program antywirusowy. Do teraz nawet komputer zachowuje się dziwnie – być może to utrudniało mi zaśnięcie, bo się zdenerwowałem. Teraz jednak jestem jak szmata. Oczywiście zaraz rano wróciłem w Outlooku do dawnych ustawień.

Awarię komputera udało mi się w 95% opanować, ale coś tam jednak nieco bruździ. Trochę malowałem, ale byłem cholernie senny. Przed przyjściem Rosikonია walnąłem na tapczan i przespałem się przez ca 1 godzinę. Było tak ciemno, zapowiadane słońce nie pojawiło się nawet na 1 sekundę, więc i tak malowanie było raczej symboliczne. Prawie nie widziałem obrazu. Rosikoń spóźnił się o 45 minut, ale przedtem dzwonił i przeproszał. Do godziny mniej więcej 19 zrobił wszystkie 4 zdjęcia i jutro obiecał dostarczyć materiał. Pani Fiolek dzwoniła i umówiliśmy się na jutro o godzinie 10 rano. Późnym wieczorem podpisałem te 4 obrazy i odpisywałem na listy.

Środa 15 grudnia 2004

Rano jak zwykle ciemności. Temperatura nieco poniżej 0. Od dwóch dni, boli mnie prawa dłoń w przegubie, ale dziś dołączyły się krzyże po lewej. Na razie ćmią słabo, ale nie wiadomo jak to się rozwinie. Spałem o dziwo raczej dobrze, mimo iż były pewne kłopoty z zaśnięciem. Wczoraj ponownie nie brałem cardura.

Czwartek 16 grudnia 2004

Rano piękna pogoda. Temperatura nieco poniżej -2 . Spałem nie najgorzej, mimo iż nie brałem cardura. Nie wiem jak będzie dziś z malowaniem, bo na godzinę 11:30, lub nieco później, zapowiedziała się Świętosławska i nie wypadło mi powiedzieć, że o tej porze mam dobre światło do pracy, bo ona przychodzi nie częściej niż raz do roku, nie ma samochodu i łączy to z wizytą u córki. Poza tym nie wiem, czy nie wpadnie też pani Fiołek, bo wczoraj zabrała obraz ale zapłacić miała wieczorem. Ponieważ wieczorem nie dała znaku życia, więc zapewne uczyni to dziś. Może więc okazać się, że mimo pięknej pogody, co jest obecnie rzadkością, nie będę mógł pracować. Rano muszę polecieć do skrzynki pocztowej, bo Wiesław Banach prosił mnie o kartkę z jakąś dedykacją dla kogoś z Grecji, którą przepredykował przez telefon (Dla Gracji z Grecji). Napisałem ją na pocztówce z reprodukcją obrazu, ale wytnę także kartkę tej samej wielkości i napiszę. Nie mam takich kartoników. Nie wiem jak będzie z codzienną poranną korespondencją, ale może odpowiem po południu, gdy zrobi się ciemno? Teraz szkoda tracić światła.

Gównowato wyszło z malowania. Trochę miałem okazję popracować przed przyjściem Świętosławskiej, ale przerwałem, by dalej walczyć z wirusami, bo nieustannie pojawiały się jakieś reklamy, a mnie wydawało się, że przyszedł mi pomysł na zarządzenie temu. Gdy po niecałej godzinie Świętosławska poszła, zabrałem się do pracy i po pięciu minutach zadzwonił telefon. Myślałem, że to pani Fiołek w sprawie forsy za obraz, aliści to była W., potwornie nabuzowana i jak zaczęła chaotyczną gadkę, to trula jak najęta aż do zachodu słońca.

Piątek 17 grudnia 2004

Rano częściowe zachmurzenie i podobno ma się zachmurzyć całkowicie. Temperatura poniżej -3 stopnie. Spałem dobrze, mimo odstawienia Cardura, ale wieczorem brałem panadol, bo bolała mnie głowa.

Przed południem dzwoniła z Lublina na komórkę jakaś dziewczyna pod tytułem Katarzyna Rychlik, która podobno pochodzi z Sanoka i chce pisać pracę magisterską na mój temat. Podaliśmy jej numer domowego

telefonu i adres mailowy w celu umówienia się na ewentualną rozmowę. To już chyba trzecia osoba w ostatnich 2 tygodniach, która chce coś pisać. Wysyp jakiś, czy co? Potem wpadła pani Fiolek z kasą za obraz. Potem zadzwoniłem do Puchalskiej, która dziś wychodzi ze szpitala.

Sobota 18 grudnia 2004

Rano niebo zachmurzone. Jeszcze nie wiem, czy będzie bardzo ciemno. Temperatura około -1 . Spałem dobrze, chociaż po odstawieniu Cardura mam trudniejsze sikanie, ale jakoś daję radę z tym jak na razie wytrzymać. W ciągu dnia też niestety bywają problemy. Wczoraj wieczorem w trakcie bytności Dziopak, która przyszła razem z synem i jego dziewczyną (właściwie nie wiem do końca czy to jej syn czy syn obecnego męża, czy jeszcze inaczej) gdy w końcu wyskoczyłem do WC, pod pretekstem, że pralka dziwnie hałasuje, to nie mogłem zacząć sikać, ale w końcu jakoś się udało. Podobne trudności mam teraz w nocy. Jeszcze nie wiem, czy senność w ciągu dnia zmaleje, bo na doświadczenia było za mało dni.

Malowałem przed południem przy świetle dziennym, ale potem nastaly takie ciemności, że musiałem dalej pracować przy świetle elektrycznym. K. umyła okna, ale przyjdzie jeszcze przed Świątami w czwartek. Z komputerem ciągle dzieje się coś niedobrego i po południu zaczął się dla odmiany stale wyłączać, co poprzedza ładowanie się jakichś programów reklamujących skaczące figurki z internetu, nowe kursory, czy też programy anty-szpiegowskie, ale efektem jest teraz wyłączanie się systemu. Nie wiem już, który plik może bruździć. Nie wiem czy instalować nowego Nortona, bo Bogdan obiecał pogadać w poniedziałek z Roszczykiem, który będzie wieczorem u niego i może przed Nowym Rokiem spróbowałby przeinstalować system. Jest jeszcze możliwość cofnięcia systemu na przed 13 grudnia. Nie wiem, czy tego próbować, bo potem mogą zrobić się jaja, ale właściwie co mi szkodzi?

Jutro mam zamiar przed południem skoczyć na giełdę komputerową w Stodole i kupić CDR, bo mi się prawie skończyły.

Niedziela 19 grudnia 2004

Rano ciemności. W nocy spadło odrobinę śniegu. Temperatura około 0.

Pojechałem około godziny 11 na giełdę komputerową i kupiłem 2 razy po 100 CDR Verbatim, po 88 zł za paczkę czyli po 88 groszy za sztukę. Za taryfę w obu kierunkach zapłaciłem 2x20 zł, ale same płyty niezwykle przez te ostatnie lata potaniały. Są nieomal za darmo. Trochę zmarzłem, więc wlałem do wanny. Potem zjadłem na obiad jakiś gówniany gulasz z puszki. Połowę wyrzuciłem. Nie do zjedzenia. Czy naprawdę tak trudno, w sensie technologicznym, zrobić do puszki coś smacznego? Zbliża się godzina 18 i maluję przy świetle elektrycznym. Obraz idzie w nie najgorszym kierunku i co ważniejsze szybko, ale odczuwam zadziwiającą samotność. Nie czułem się tak od dawna. Jakby nagle wszyscy ode mnie odeszli. Przecież nic się nie zmieniło i od lat jestem sam i w zasadzie wczoraj czy przed tygodniem, czy przed miesiącem było tak samo jak dziś, ale dziś samotność dosłownie mnie przytłacza. Skąd się to bierze? Nawet malowanie jest takie jakby przez sen. Jakby mi już na niczym nie zależało.



Zofia i Zdzisław Beksiński na wystawie artysty, Sanok

Poniedziałek 20 grudnia 2004

Rano pogodnie. Temperatura pomiędzy -3 oraz -4 . Spałem dobrze, ale boli mnie coś między karkiem i prawą łopatką. Mimo mrozu muszę pójść po zakupy, bo kończy mi się to i owo, a zbliża okres świąteczny. Nienawidzę tego końca roku. Na dodatek zbliża się też rocznica samobójstwa Tomka. Same ponure skojarzenia, na dodatek zimno i ciemno.

Wtorek 21 grudnia 2004

Rano ciemności. Temperatura około -3 . Wczoraj przyjechała po mnie Puchalska i podjechaliśmy do Galerii Mokotów na zakupy. Mieliliśmy jeszcze potem podjechać do Media Markt, ale ona osłabła (co wg niej podobno regularnie dzieje się w 3 godziny od wzięcia sterydów?) i musieliśmy wracać. Musi wtedy coś zjeść. W domu zamówiłem kurczaki. W sumie nie za wiele malowałem: tyle co przed południem. Na dziś zapowiedział się Ochman, a także Puchalska proponowała, bym do niej zatelefonował, to pojedziemy do Media Markt. Chciałbym skończyć obraz, ale czuję, że to się nie uda przed Świętami.

Środa 22 grudnia 2004

Rano ciemności. Temperatura około 0. Głowa boli, bo nad ranem źle spałem.

Wczoraj całe popołudnie przeleciało jak we śnie. Podjechaliśmy z Puchalską po drukarkę do Media Markt, gdzie byliśmy około godziny 13 i zanim poszliśmy na górę, zajrzałem na półki z aparatami, a potem na gabloty i w gablocie leżał najnowszy OLYMPUS E-300. Natychmiast podjąłem decyzję kupna. Po kupnie drukarki pojechaliśmy więc z powrotem do domu, skąd wzięłem kasę i jeszcze raz do Media Markt. Chciałem brać taryfę, by się Puchalska nie zmęczyła, ale uparła się, że będzie prowadzić. Niestety aparat przyszedł podobno rano jako jedna sztuka i został przez kretynów ze sklepu „uzbrojony” przed wstawieniem do gabloty. W trakcie demontażu obiektywu, facet złapał go od tyłu żeby ochronić dłoń, aliści chyba nie widział, że soczewka jest prawie na równi z gabarytem i zostawił tam odcisk dłoni, co zauważyłem dopiero w domu. Miałem zamiar, o ile aparat przejdzie pomyślnie testy i tak zmienić obiektyw na droższy i lepszy, więc w miarę posiadanych umiejętności, odczyściłem pędzelka-

mi szkło, ale złość na durniów trzęsie mnie do dziś. Gdyby zostawili aparat w paczce, lub wystawili body z zaślepką i obiektywem z zaślepkami leżącym obok, wszystko byłoby OK. Zadzwoiłem do Bogdana, bo wiem jak bardzo interesował się tym modelem i wieczorem porobiliśmy pierwsze próby, a dziś od rana biorę się za testowe zdjęcia przez okno. Muszę tylko jeszcze przed śniadaniem polecieć na pocztę, by nadać do Sanoka kasę za opiekę nad grobowcem.

Zrobiłem trochę doświadczeń z aparatem. Nie jest to bomba, ale podjąłem decyzję o zostawieniu sobie i zamówieniu droższego obiektywu, co uczyniłem poprzez PSTRYK. Aparat charakteryzuje się miękkim rysunkiem na podobieństwo Canona 20D. Jest jednak nieco mniej miękkiej, ma lepszy obraz i lepiej chwyta ostrość. Z drugiej strony chwyta ją nieco wolniej. Podobnie reaguje jak C-10 i C-20. Niestety posiadana lampa OLYMPUS, która została po C-10 i pasuje także do C-5060 nie pasuje do niego i nie ma z nim synchronizacji w sensie automatycznego ustawiania czasu naświetlenia. Błyska, ale bardzo prześwieśla. Będę musiał więc kupić także dedykowaną lampę.

Czwartek 23 grudnia 2004

Rano koszmarnie ciemności. Temperatura około 0. Wieczorem było poniżej -3, ale znowu coś się z pogodą zmienia. W nocy nasypało troszkę śniegu. Wczoraj prawie nie pracowałem. Po południu przyszedł Tadzik, bym mu pomógł uruchomić jakieś chińskie gówny pod tytułem telewizor przenośny. Zobaczywszy to wiedziałem, że nie zadziała i nie działało, bo na Służewiu sygnał TV jest słaby, a wyobrażenie, że na tej wbudowanej, teleskopowej antenie jak od tranzystora, odbierze satelitę, było naiwne. Odbiera może w Szanghaju i w Nowym Jorku, ale w polskich warunkach odbierze w centrum Warszawy i to tylko dwie stacje lub nawet tylko jedną. Może odbierze w tych samochodach, które mają łączność satelitarną, no ale on nie ma żadnego samochodu. Radziłem mu by rzecz oddał, bo wybulił za nią 700 zł.

Piątek 24 grudnia 2004

Rano ciemności. Temperatura powyżej 6 stopni, ale jest już prawie godzi-

na 10. Spałem do teraz, bo położyłem się dopiero około godziny 3, gdyż walczyliśmy z komputerem. Był Roszczyk, zapowiedział się około 21:30, a przyszedł około 22:30, po czym pracował do godziny mniej więcej 2:30 i zainstalował od nowa system. Początkowo usiłował usunąć wirusy, ale nie było na to sposobu. Wszystko teraz jest w proszku i piszę na innym komputerze. Nie czuję się nawet najgorzej, bo rano wyłączyłem radio i spałem potem prawie do godziny 8:30, ale wtedy zaczęto walić na dole w pojemniki, bo przyjechał akurat dziś zakład oczyszczania. Zamknąłem okno i potem spałem jeszcze do około 9:30.

Sobota 25 grudnia 2004

Rano dość pogodnie. Temperatura około 2 stopnie. Spałem chyba znośnie, więc zanim się ponownie nie zachmurzy, wezmę się od rana za obraz. Wczoraj przez cały dzień walczyłem z komputerem i chyba na 95% mam już to, co miałem. Może o czymś zapomniałem, ale mogę już pisać, mailować, kopiować i transformować zdjęcia. Czytnik pamięci fotograficznych chodzi jak chodził, ale on był przeznaczony do USB 1.1, a więc na razie nic się nie zmieniło, mimo wstawienia karty USB 2. Gdy go wymienię na nowszy, to wszystko przyspieszy.

Niedziela 26 grudnia 2004

Rano znowu ciemności. Temperatura między 3 i 4 stopnie. Dobrze, że wczoraj sporo posunąłem obraz, to może uda mi się dziś skończyć go przy świetle sztucznym. Co za koszmarny rok i koszmarna pora roku. Czuję się jakoś wyjątkowo nędznie, ale ciśnienie mam OK. Wczoraj i przedwczoraj sporo telefonów z życzeniami.

W nowym aparacie pojawiły się pierwsze wypalone piksele. Włączyłem Pixel mapping i zobaczymy, co to da. Mój entuzjazm dla niego słabnie. Po co w ogóle kupowałem nowy aparat? Pytanie za sto tysięcy. Na dodatek zamówiłem do niego droższy obiektyw. No tak, ale ten obiektyw nada się gdybym kupował następcę E1, a nie jest wykluczone, że to uczynię, o ile takowy model się w ogóle ukaże. Wszystko to tylko zabawa. Coraz mniej mam okazji, by robić coś innego niż malowanie obrazów. Nawet komputer już porzuciłem.

Około 12:30 skończyłem obraz. W tym roku namalowałem ich 30. Nie jest to chyba ilościowo zły wynik jak na moje lata. Chyba nawet lepszy niż w latach poprzednich. Myślę, że to niezły obraz i chyba zostawię go na razie sobie, a potem prześlę do Sanoka.

Przestałem po kilku próbach, jeden po drugim, oglądać filmy nagrane na video, bo każdy albo już widziałem, albo mnie nudził. Zabrałem się za czytanie, ale prawe oko (nie wiem czy na skutek czytania?) tak mi się zmęczyło, że widzę nim tylko rozszczępiony obraz – to nawet nie wygląda na dystorsję, tylko na całkowite rozbicie obrazu. Ciekaw jestem, w którym momencie doprowadzi to do sytuacji, że nie będę już mógł pracować. Drugi dzień Świąt upływa w całkowitej nudzie. Cisza. Nic się nie dzieje. Nikt nie woła. Czas na śmierć?

Poniedziałek 27 grudnia 2004

Rano ciemności. Temperatura około 5-6 stopni. Chyba pada deszcz. Głowa ćmi i czuję się jak szmata. To normalka. Chyba nie będę wychodzić po zakupy.

Wtorek 28 grudnia 2004

Rano jak zwykle ciemności. Mokra. Temperatura około 2 stopnie. Wyjdę tylko, by wrzucić list z życzeniami noworocznymi dla pani Bar, bo przysłała mi takowe wczoraj, a potem wracam do domu i może uda mi się zagruntować i podmalować jakiś nowy obraz. Poza tym nic się nie dzieje. Wczoraj dolar spadł poniżej 3 zł. Mój bufor finansowy zmalał o 25%.

Środa 29 grudnia 2004

Rano ciemno i mgła. Temperatura około 1 stopień. Może potem się rozpozodzi. Wczoraj jednak nie zacząłem malowania. Może dziś mi się to uda. Cały wczorajszy dzień zszedł na załatwianiu sprawunków i życiu towarzyskim. Około godziny 12 pojechałem z Puchalską do Panoramy Mokotów w nadziei kupienia terminarza, w którym sobota i niedziela byłyby na pełnych stronach tak jak inne dni, ale już chyba nikt takich terminarzy nie robi. Potem podjechaliśmy do VOBIS, gdzie kupiłem nowy czytnik do pamięci CompactFlash na USB2, dwie pamięci oraz

klawiaturę radiową z myszą, bo w tej jaką posiadam, starłem już niemal całkowicie litery O oraz I, a zanikają N i M, więc na inne zapewne nie trzeba będzie długo czekać. Jest podobna, więc może uda się ją podłączyć bezproblemowo i nie będzie wymagać zmiany przyzwyczajzeń. Poczekam z podłączeniem jej do momentu, aż do reszty zetrę litery na starej tak, że pisanie zacznie mi sprawiać jeszcze większą trudność niż sprawia. Podłączyłem wczoraj tylko czytnik i rzeczywiście działa bez porównania szybciej. Puchalska przyniosła flaki, które zjedliśmy potem na obiad. Około 18 poszła, a około 19 wpadli Bogdan z bratem, by zobaczyć nowy aparat. Tak właściwie minął cały wczorajszy dzień.

Czwartek 30 grudnia 2004

Rano ciemności, ale sucho. Temperatura około 1 stopień. Łeb boli i zażywałem proszki wczoraj przed snem i dziś około 6 rano. Rano głowa bolała na skutek włączenia w kawalerce nowego kaloryfera olejowego, który jeszcze się nie wyśmierdział. Wczoraj przed południem wyłączono kaloryfery w całym bloku, a może w całym osiedlu. Brakuje też ciepłej wody. Stan ten trwał przez całą noc do tej chwili i wczoraj od południa grzałem kaloryferami olejowymi, a w kawalerce przy pomocy klimatyzatora. Na noc wyłączyłem klimatyzator, aby nie szumiał, a poza tym obawiałem się, że temperatura zejdzie poniżej zera i coś może się w nim uszkodzić. Włączyłem na połowę mocy kaloryfer i spałem bez koldry przy zamkniętym oknie do godziny 4 rano, kiedy już nie byłem w stanie wytrzymać. Dałem kaloryfer na full i otwarłem okno. Teraz powtórnie włączyłem klimatyzator, a w pozostałych pokojach nadal grzeją kaloryfery olejowe. Trudno sobie wyobrazić jak jest w mieszkaniach tych, którzy nie są zaopatrzeni w awaryjne grzanie tak jak ja. U mnie temperatura nie uległa zasadniczym zmianom. Nie wiem jak by było, gdyby na dworze było -15. Wczoraj podmalowałem obraz, ale jeszcze nie wiem czy jest dostatecznie suchy, a poza tym jestem kompletnie niewyspany. Około godziny 10 przychodzi K., w celu ostatniego w tym roku sprzątanía. Mam nadzieję, że w jakimś przewidywalnym terminie ogrzewanie i ciepła woda wrócą do normy. Przypomina się Sylwester w czasach Gierka ,gdy zamrzły czy też popękały jakieś taśmociągi w elektrociepłowni. Dobrze, że na dworze nie ma mrozu. Inna rzecz, że w każdej chwili na skutek przecięcia linii

(wszyscy czymś dogrzewają), może wsiąść zasilanie elektryczne i wtedy zacznie się Armagedon.

Rano przyszła sprzątać K. z córką. Ja przewalałem się z kąta w kąta i odpisywałem na listy. Byłem zeszmacony i niewyspany. Potem, po ich wyjściu, pracowałem trochę nad nowym obrazem, ale panowały straszne ciemności i przeszkadzał mi ten brak komfortu, który zapewnia standardowe grzanie oraz stała dostawa ciepłej wody. Około godziny 16 wpadła Puchalska. Zamówiłem i zjedliśmy KFC i potem gadaliśmy chyba do godziny 20 lub dłużej. Potem odpowiedziałem jeszcze na jakiś mail (Łukasza) Banacha, ale nie dam już rady odpowiedzieć na bardzo obszerny, jak na niego, mail Dmochowskiego, bo już wylazi ze mnie niedospanie i zmęczenie i z trudnością kojarzę. Idę spać, ale muszę zmienić ogrzewanie nocne z klimatyzatora na kaloryfer olejowy. Przy ustawieniu na full i otwartym oknie, będzie miał okazję, by się wyśmierdzić. Ogrzewanie miało być włączone około godziny 18, bo tak głosiło zawiadomienie na klatce, ale do północy go nie włączono.

Piątek 31 grudnia 2004

Rano jak zwykle ciemności, ale sucho. Temperatura około 3 stopnie. Dziś zaczyna się trzecia doba grzania grzejnikami i klimatyzatorem. Dobrze, że nie ma mrozu, ale trudno sobie wyobrazić jak zimno musi być w tych mieszkaniach w których nie ma awaryjnego grzania. U mnie jest mniej więcej OK., ale są obszary zimniejsze (około komputera, w kuchni i łazience) i cieplejsze. Okazało się np., że w łazience, tej z natryskiem, cholernie ciągnie spod wanny gdzie murarz i K. musieli zostawić jakieś szczeliny i przy okazji wyjaśniło się skąd czasem zapierdala tam kapuśniakiem od sąsiadów. Będę musiał poprosić K., by jakoś temu zaradził, uszczelniając drzwiczki kontrolne u dołu wanny, bo z nich właśnie wieje lodowaty huragan. Może da się uszczelnić w środku wstrzeliwując jakąś masę izolacyjno-wypełniającą, czy coś innego. Trudno się tam dostać.

Wodę na mycie grzeję w kuchence kawalerki. Mimo, iż K. wczoraj sprzątała, narasta lawinowo zabrudzenie i zdeptanie podłogi w łazience. Taka mało istotna dla czystości dziedzina jak brak ogrzewania i ciepłej wody, natychmiast powoduje drobne zaburzenia, jak choćby sterta nie umytych

sztućców w zlewozmywaku etc.

Około godziny 11, włączono nareszcie ciepłą wodę i kaloryfery, Ogrzewanie jednak ścian zewnętrznych oraz podłóg i sufitów, które łączą mnie z zimniejszymi mieszkaniami sąsiadów, do temperatury jaka była przed awarią, potrwa pewnie przez całą dobę. Około godziny 17 co bardziej niecierpliwi zaczynają już strzelać. Ciekaw jestem, co się będzie działo około północy i jak długo potrwa. Około godziny 14 przespalem się jak zabity przez prawie całą godzinę. Jeśli o północy nie da się spać, będę oglądać jakieś filmy na video. Po południu (16:30-17:30) maluję trochę przy świetle elektrycznym.

Wtorek 1 lutego 2005

Rano ciemności. Temperatura nieco poniżej 0. Zaczęły ćmić krzyże, ale może jest to efekt kiepskiego spania, bo sprawdziła się wczorajsza przepowiednia i koszmarna senność minęła zaraz po położeniu się do łóżka, a około godziny 3:15, po wyjściu do WC, już nie mogłem powtórnie zasnąć i borykałem się do rana. Coś tam trochę zasnąłem przed godziną 6. Nie wiem czy ta senność w ciągu dnia, a raczej popołudnia i bezsenność w nocy, nie są ubocznym efektem pewnego rozregulowania trybu życia i posiłków o innej porze niż zwykle? Trzeba to poobserwować.

Nie wiem, czy brać się za dalsze przerabianie zamalowanego przedwczoraj obrazu, namalowanego tak, by spełnić (choćby w dopuszczalnej dla mnie części) idee Dmochowskiego, czy też olać sprawę i namalować na nim coś innego. Chyba tak uczynię. Takie zawsze są efekty, gdy próbuje się choć na moment popatrzeć cudzym okiem.

Nawiasem: wczoraj Dmochowski napisał, że Częstochowa zaczyna się powoli wycofywać z projektu Muzeum Beksińskiego. Miasto już wycofało się z 3.000.000 na 1.000.000, a niedługo może zostać z tego kilkanaście tysięcy. W końcu muszą myśleć o przyszłych wyborach. Dmochowskiemu nie podoba się też nowy kalendarz, jednym słowem zaczynają się nieporozumienia. Obym stał od tego jak najdalej, ale tak się niestety nie da. Jestem już w to umoczony, a na końcu i tak Dmochowski obwini (przed enigmatycznie pojmnowanym „światem” i władzami Częstochowy) o wszystko mnie, nawet gdy nie będzie o co obwiniać. Taka jest normalna

pragmatyka jego postępowania. Na razie sam przechodzi załamanie psychiczne i sądzę, że to właśnie stało się przyczyną.

Zawirowanie w kosmosie. Trzy razy Sanok. Co się u cholery dzieje? Najpierw telefon od niejakiego Skopińskiego, któremu przed dwoma laty sprzedałem obraz, że znowu chce coś kupić i powoływał się na to, że pochodzi ze Sanoka. Potem listonosz dostarczył przesyłkę poleconą ze Stowarzyszenia Przyjaciół Heleny Kosiny, a w niej oprawione portfolio skserowanych na kolor wycinków z prasy lokalnej (ile to musiało kosztować!), ale na końcu listu prośba o wsparcie i numer konta w banku. Na koniec jakaś dziewczyna, studentka z Warszawy, dzwoni z pozdrowieniami z Sanoka i pytaniem czy podpiszę jej album. Umówiłem się z nią na 17:30, ale co ja mam robić z tym pieprzonym Stowarzyszeniem? Nie jestem do licha Kulczykiem ani McDonalds i jeśli w dostępnym dla siebie zakresie pomagam finansowo, to konkretnym ludziom, których osobiście znam i o których wiem, że potrzebują pomocy finansowej, a nie jakiemuś stowarzyszeniu, choćby było imienia ciotki Kosinówniej. Dlaczego mam akurat im pomagać, skoro są wokół tacy, których osobiście znam i wiem, że tej pomocy potrzebują tysiąc razy bardziej. To ogólnopolskie żebractwo instytucji jest już wkurzające. Inne instytucje, starają się zorganizować aukcje, wysyłają kogoś do mnie po grafiki, a Ci po prostu dają numer konta. Zadzwoiłem do Banacha, by wy badał czego ode mnie oczekują, bo mogę dać jakieś dwie trzy grafiki, jeśli byłaby aukcja i ktoś musi po nie przyjechać, ale nie mogę posyłać kasy, bo mam ile mam, a to nie wystarczy na sponsoring tego typu. Niestety Banach na 3 dniowym zwolnieniu lekarskim. Zadzwoię więc w piątek lub sobotę.

Środa 2 lutego 2005

Rano ciemności ale już nie takie jak w grudniu i styczniu. Temperatura około 0. Krzyże lekko dają o sobie znać. Spałem w zasadzie dobrze, ale w bardo krótkich odcinkach, które wydawały mi się długie. Gdy położywszy się o północy, po raz pierwszy się obudziłem, to myślałem, że jest już co najmniej 2 lub 2:30, a było 0:40. Cała pozostała część nocy wyglądała tak samo, ale przynajmniej spałem. Dziś od rana wezmę się za malowanie. Może udałoby mi się odwiedzić biedną Puchalską około godziny

13-14. Potem zdążyłbym jeszcze wrócić do domu i podjechać na godzinę 17 do Awilly, gdzie i tak odczekam co najmniej przez pół godziny? Zjeść obiad w tej sytuacji mógłbym dopiero gdzieś w okolicach 18-19. A może jutro po wyjściu Skopińskiego wybrać się tam gdzieś około godziny 17 wraz z Grześkiem? Zobaczę jak dziś mi się ułoży, bo podmalowany wczoraj obraz jest suchy i można nad nim popracować, no i zadzwonię do szpitala, by wyczuć jak ona się dziś czuje.

Czwartek 3 lutego 2005

Skopiński przyszedł z tym samym kolegą, z którym byli przed trzema laty. Powiedziałem, że ceny obecnie wzrosły i obrazy są po 25.000. W końcu do wyboru dałem szerszy zestaw niż początkowo zamierzałem, w tym balon, który wisiał w dawnej sypialni i „Teklę” – jak ją nazywa Puchalska – która wisi nadal w pracowni, oraz obraz z architekturą i ptakiem-samolotem z kuchni, czyli trzy obrazy z zestawu zwierząt domowych. Kolega odpadł, bo upierał się na jeden z obrazów w kawalerce lub na obraz określany jako „faliczny”, który wisi w dawnej sypialni, ale Skopiński waha się nad balonem i „Teklą”. Ewentualnie jeszcze się skontaktuje. Na razie więc nie zmieniam układu „ofertowych” obrazów w pracowni.



Zdzisław Beksiński i Wiesław Banach w mieszkaniu artysty w Warszawie

Sobota 5 lutego 2005

Rano pochmurno, ale nie pada. Temperatura około -7 . Spałem dobrze. Codziennie przed snem morzy mnie cholerna senność, ale wczoraj na szczęście zaczęła się dopiero około godziny 22. Malowałem przy świetle elektrycznym, bo jakoś mniej mi się wtedy chciało spać. Dziś około godziny 12 ma przyjechać Barycki po podpisy na plakatach, a potem zapewne wyskoczę do Puchalskiej. W dniu 14 bm ma podobno wyjść ze szpitala. Oczywiście o ile wszystko dobrze pójdzie.

Umarł R. z sąsiedztwa. Ten alkoholik. Napisane jest na klepsydrze, że miał 59 lat. Oceniałem go na mniej, ale z mojej perspektywy... Potem rozmawiałem z sąsiadem w windzie i podobno w nocy miał zawał, ale odmówił zabrania go przez karetkę i podpisał w tym celu jakiś papier. Odszedł więc jednak honorowo. Przed dwoma chyba dniami, wracając skądś taryfą, widziałem karetkę reanimacyjną przed naszym wejściem, ale nie skojarzyłem o kogo idzie.

Niedziela 6 lutego 2005

Rano piękna pogoda. Temperatura około -13 . Spałem dobrze mimo tego, że wczoraj około godziny 18, po napadzie silnej senności położyłem się i film urwał mi się na godzinę. Jak widać nie zaszkodziło to potem w zaśnięciu i spaniu, więc nie będę na przyszłość walczyć ze sobą, ale też będę się starać, by drzemki organizować sobie możliwie wcześniej. Wczoraj straciłem cały dzień, bo najpierw dość długo trwało odpisywanie na mail mojej stałej korespondentki (jak zwykle poprawianie aliteracji), a potem do przybycia Baryckiego, zostało już za mało czasu, by brać się do malowania, potem podpisywałem, potem Barycki nakręcił ze mną krótką scenkę do zademonstrowania widzom w Kielcach, potem pojechałem taryfą do Puchalskiej, gdzie po pół godzinie przyszedł także jej syn i Włodek i gdzie trochę się zasiedziałem, bo przy okazji chciałem wypróbować dyktafon. Zanim wróciłem był już zmierzch. Zanim zrobiłem i zjadłem obiad, było już ciemno i w ten sposób szlag trafił cały dzień pracy. Byłem poza tym zmęczony. Muszę jakoś bardziej unormować to kiedy i co robię. Na maile odpowiadać będę nie rano, lecz wieczorem, co pozwoli mi nie tracić najlepszych godzin. Najlepszych do pracy.

Poniedziałek 7 lutego 2005

Rano piękna pogoda. Temperatura około -14 , ale szybko się ociepla. Biorę się od rana do malowania. Wczoraj około godziny 14 przerwałem pracę, bo wpadł po giełdzie fotograficznej Bogdan w celu sprawdzenia czy Canon 20D rzeczywiście daje widoczną na pierwszy rzut oka różnicę między zdjęciami JPEG i RAW i na tych drugich nie ma rozmycia. Zrobiliśmy szereg materiału w obu standardach do późniejszej analizy, ale wtedy przy okazji wyszło coś innego. Kilka zdjęć oświetlonego słońcem bloku w odległości ca 200-300 metrów (zrobionych na czasy 1/4000 lub 1/3200), wyszło raz ostrzej, a raz mniej ostro. Na ten efekt, ale w mniej systematycznych ujęciach, natrafiłem już poprzednio. Wg brata Bogdana, jest to efekt spowodowany uderzeniem lustra, ale wydaje mi się to mało prawdopodobne. Tym niemniej coś podobnego mam też chyba, ale nie sprawdzałem tego systematycznie na OLYMPUS E-300. Muszę zrobić na nim podobne testy. Jeśli to byłaby prawda, to dyskwalifikowałyby to w ogóle lustrzanki cyfrowe. W każdym razie, po wyjściu Bogdana było już za ciemno na dalszą pracę. Odpowiedziałem na korespondencję, a potem byłem już tak zmęczony (głównie oczy), że już nie pracowałem.

Korzystając z nieomal identycznego światła, zrobiłem w tym samym okresie jak wczoraj, te same testy na OLYMPUS E-300. Trzeba przyznać, że nie jest aż taki kiepski jak Canon 20D. Jest o odcień mniej rozmyty, zdjęcia są o odcień ostrzejsze, a na dodatek ewentualne odchyłki od standardu są w granicach niedostrzegalnych przez oko. W trakcie seryjnych zdjęć, kilkakrotnie jednak ponownie ustawiał ostrość, co trwało bardzo szybko, ale Canon tego nie robił, tym niemniej liczy się efekt. Nie robiłem prób na RAW, bo trudno będzie zdecydować, które zdjęcie na RAW ustawiło się ostrzej, a które mniej ostro, a całe to gadanie o RAW to chyba takie samo gadanie jak wszystko, co plecie brat Bogdana. Być może cytuję rozmaite opinie z list dyskusyjnych w internecie, ale te opinie są tak samo bezsensowne, jak opinie użytkowników, które zamieszcza Askey.

Rano, zapowiedziała się, a około 19:30 pojawiła, pani Niemojewska z Instytutu Hematologii po grafikę na aukcję. Przyszedł z nią syn Plewińskiego z zapytaniem, czy zechcę pozować mu do fotografii, jakie robi

malarzom i innym twórcom. Zgodziłem się. Porozmawialiśmy chwilę o aparatach, bo też robi cyfrowką, ale Nikonem 70. To zdaje się ostatnia lustrzanka, która nie miała filtra przeciw-szumowego. Ciekaw jestem jak będzie z najnowszym, droгим NIKONem z 12,5 megapikselową matrycą. Nadal brak o nim jakichkolwiek informacji. Zamówił go sobie Rosikoń, więc będę mógł go pobieżnie przetestować.

Wtorek 8 lutego 2005

Rano nadal piękna pogoda. Temperatura około -14 . Spałem w zasadzie dobrze, ale często wstawałem z sikaniem. Myślę, że taki efekt jest po pizzy. Gdy zamówię na obiad pizzę, to potem piję i piję do późnego wieczora. No nic. Biorę się od rana do malowania.

Posunąłem obraz do przodu i być może skończyłbym go, ale około południa K. przywiózł lustro do przedpokoju i zamontował je, a potem prosił mnie, bym w internecie wyszukał mu firmy produkujące lub sprzedające jakieś gryzarki do gałęzi, czy coś podobnego oraz jakieś rękawy, których nazwy zapomniałem. Chce robić brykiety, lub jakieś takie rękawy wypełnione wiórami i zmielonym drewnem do opalania. Ma zamiar utrzymywać się z tego, bo jest w kiepskiej sytuacji ekonomicznej. Gdy skończyliśmy, zapadał już zmrok.

Środa 9 lutego 2005

Nie chce się wierzyć oczom. Rano nadal bezchmurne niebo. Temperatura około -12 . Spałem znowu dobrze, mimo iż wczoraj o godzinie 20:30 byłem tak słaby i senny, że walnąłem na tapczan i spałem jak zabity przez godzinę, a ze snu wyrwał mnie telefon od Puchalskiej. Czyli drzemki popołudniowe nie mają znaczenia. Ta poprzednia bezsenność to była chyba kwestia pogody.

Czwartek 10 lutego 2005

Rano piękna pogoda, ale podobno w ciągu dnia już się skończy. Na szczęście wczoraj skończyłem obraz. Temperatura około -9 . Spałem dobrze, ale około godziny 4 lub 5 cholernie mnie rozboląła głowa tak, że brałem prochy, przymknąłem okno i leżałem na wznak, czekając aż przejdzie.

Nawet wtedy natychmiast zasnąłem. Dziś nie zaczynam żadnej roboty, bo na godzinę 11:30 umówiony jestem z Leżachowską.

Piątek 11 lutego 2005

Rano ciemności i siąpi deszcz. Temperatura około 2 stopnie. A więc wszystko wróciło do normy. Wczoraj pogoda wytrzymała do zachodu słońca. Spałem jednak dobrze. Między godziną 9 i 17 kurier ma dostarczyć mi aparat Canon S 70. Po jaką cholere to kupuję? Może po to, by mieć jakąś chwilową przyjemność. Wstrzymuję się od zainwestowania w programy do dźwięku, ale wczoraj wieczorem robiłem próby na tym programiku Cubasis i już nawet na nim daje się to i owo zrobić. Jeśli jednak bym coś kupował, to co? Cubase? Nie bardzo rozumiem to, co jest w internecie. To wszystko dla mnie nowość. Cubase 2 kosztuje około 1.000 USD i już podobno nie jest produkowane, a Cubase FX3 tylko 2.500 zł. Są jakieś inne programy tej firmy, takie jak chyba (może zapomniałem) WaveMixer, trzeba by zbudować nowy komputer z ogromną pamięcią i dużymi dyskami, ale zaczynam się obawiać, że włożę za wiele nowego do gęby, a przecież muszę malować, by mieć kasę, a to tak wygląda, że albo będę mieć kasę, której nie będzie na co wydać i kupować będę jakieś zabawki typu Canon S70, albo będę mieć studio nagrań i brak obrazów do sprzedania, bo czas pochłonie mi praca z dźwiękiem. Problem za krótkiej kołdry. Może jestem na to wszystko już za stary?

Sobota 12 lutego 2005

Rano pogodnie, ale podobno ma się potem zachmurzyć, a nawet sypać śnieg lub deszcz, bo temperatura też ma wzrosnąć. Temperatura rano około -2. Spałem dobrze. Dziś przyjedzie K. z żoną, by zamontować nową baterię nad wanną i nowy kran w umywalce. Potem – jak sam zaproponował – ona będzie sprzątać, a my moglibyśmy udać się po zakupy i nawet zrobiłem sobie sporą listę rzeczy, po które trzeba pojechać do dużych magazynów.

Aparat okazał się chyba bardzo dobrym nabytkiem i wczoraj sprawdzaliśmy go z Bogdanem. Wg Bogdana jego brat zlecił Roszczykowi budowę nowego komputera dla córki z ukierunkowaniem na dźwięk, więc po pierwsze szereg scrackowanych programów będę mógł dostać wprost

od niego, bo już je ma i używa do udźwiękowiania reklam, a po drugie w razie gdyby mi to podeszło, mogę zbudować, w oparciu o doświadczenie Roszczyka, inny komputer w miejsce tego podstawowego. To trochę wariacka idea, bo pogrążam się od nowa w czymś egzotycznym i rozrzędzę lub nawet zaniecham na jakiś czas malowanie, co da efekt za krótkiej koldry. No ale na razie niczego jeszcze nie ryzykuję.



Zdzisław Beksiński, Sanok 2002 r.

Niedziela 13 lutego 2005

Rano dość pogodnie. Temperatura poniżej 2 stopni. Krzyże zaczynają dawać o sobie znać i zaraz z rana wziąłem ibuprom. To chyba efekt uboczny wczorajszego przemęczenia robieniem sprawunków. Odwyłem już od chodzenia – krążyliśmy samochodem i chodziliśmy po magazynach od godziny 10:30 do godziny 15. Przedtem też chodziłem do MarcPolu, by kupić jajka, potem je gotowałem stojąc nad garnkiem. Jak na mnie było tego w sumie za wiele i chyba dzisiejsze krzyże są tego efektem. Pojechaliśmy po zakupu przed montowaniem baterii, bo czegoś tam brakowało, ale po powrocie okazało się, że tylko nad umywalką można zamontować nowy nabytek, bo bateria wannowa ma jakieś elementy wewnętrzne inne niż w poprzedniej (za długi gwint) i trzeba coś albo dokupić albo sprowadzić i poczekać na dostawę. Wyjaśni się to w poniedziałek. Na razie duża wanna jest odłączona.

Poniedziałek 14 lutego 2005

Rano pochmurno, ale na wchodzie przebija się słońce. Temperatura około 1 stopień. Spałem dobrze. Wczoraj wieczorem padła sieć kablowa i nie mam połączenia z internetem. Padła w trakcie, gdy podłączałem nowy hub dla USB 2 i musiałem w tym celu chwilowo odłączyć sieć z zasilania. Gdy skończyłem z hubem i wygrzebałem się spod stołu okazało się, że nie mam połączenia z siecią, mimo iż pamiętam, że gdy zaczynałem tą robotę, paliły się na modemie wszystkie światełka. Byłem przekonany, że to moja wina i coś rozłączyłem. Przez ponad godzinę szukałem przyczyny, aż w końcu zrezygnowany zatelefonowałem po godzinie 22 do AsterCity i dowiedziałem się, że w naszej dzielnicy lub w naszym bloku padła sieć kablowa i nie ma także sygnału telewizyjnego, ale technicy już nad tym pracują.

Wczoraj niewiele malowałem, bo okazało się, że warto dokupić jeszcze jedną lub nawet trzy pamięci z wtykiem do USB 2 oraz hub do jednoczesnego podłączenia co najmniej 4 pamięci lub innych urządzeń magazynujących. Najpierw chciałem pojechać do Media Markt i Saturna taryfą, ale ponieważ ustaliliśmy z Puchalską, że wpadnie do mnie, to zadzwoniłem z zapytaniem kiedy zamierza to uczynić, abym dał radę się wyrobić w czasie. Wtedy ona zaproponowała, że podwiezie mnie Włó-

dek. Dzięki temu w ogóle udało się rzecz załatwić, bo w Jankach już tych pamięci nie było, natomiast pan Włodek poddał by zadzwonić na Rondo Babka gdzie jest inny SATURN. Nie miałem wielkich nadziei, ale jak się okazało tam pamięci jeszcze były więc przez całą Warszawę pojechaliśmy na Rondo Babka, gdzie stoi olbrzymi magazyn ARKADIA, przy którym nawet Galeria Mokotów wydaje się mała. Nie miałem pojęcia, że taki kolos tam postawiono. SATURN stanowi zaledwie niewielki fragment jego powierzchni, a w parkingu podziemnym można się zgubić, bo koniec jego ginie na horyzoncie. Na szczęście kierując się planem i kolorami kondygnacji, odnaleźliśmy SATURN i dokonaliśmy zakupu. Szkoda, że sprowadzając się do Warszawy nie kupiłem tego mniejszego mieszkania na Inflanckiej, bo teraz miałbym cztery kroki do tego magazynu, gdzie jak się wydaje wszystko można znaleźć. Warszawa coraz bardziej oddala się od tego obrazu, jaki zapamiętałem z okresu życia Zosi, gdy poruszaliśmy się jeszcze po mieście stosunkowo często. Teraz jadę do miasta raz na jakiś czas, patrząc z niedowierzaniem na nowe wieżowce, które zmieniają wygląd dzielnicy zapamiętany przed kilku laty.

Wracając do domu, zabraliśmy po drodze Puchalską, która przyjechała do mnie trochę pogadać. Biedna, ciągle ma kłopoty z oddychaniem, ale lekarze zapewniają, że to się poprawi. Po jej wyjściu (przyjechał po nią Włodek) zabrałem się za montaż huba, no i w trakcie tego nastąpiła awaria sieci, która trwa do teraz.

Przez cały dzień nie miałem nawet szansy, by zbliżyć się do sztalug. Punktualnie o godzinie 11 pojawił się młodzieniec, który okazał się malarzem studiującym w Rzeszowie. Rozmawialiśmy miło. Do około 12:30 i gdy właśnie wychodził, pojawiła się panienka z Radomia. Po jej wyjściu, a była już chyba godzina 13:30, zrobiłem sobie spaghetti i zjadłem obiad. Rosi-koń przybył tym razem punktualnie. Od razu na początku zaferowałem mu obrazy w ramach corocznej opłaty i wybrał obraz wiszący w kuchni z ptakiem i katedrą. Ja go jakoś nie lubię z powodu tego komiksowego ptaka, więc chciałem w jego miejsce powiesić coś innego. Dużo gadaliśmy, ale zrobił fotografie tego obrazu i obrazu dla Dmochowskiego. Trwało to w sumie do 18:15. W międzyczasie, jeszcze przed południem, dzwonił K. i zapowiadał się na godzinę 15, ale potem nie przyszedł i nie dzwonił.

Zadzwońiem do niego po wyjściu Rosikononia i okazało się, że mieli mu ze sklepu dać znać, kiedy będzie ten element, ale jeśli byłyby jakieś czasowe obsuwy, to on na razie wstawi nad wannę to co było do tej pory, a na ten element poczekamy aż ściągną go z Niemiec. Jeśli by się jednak w ogóle nie dało tam zamontować tej nowej baterii, to myślę, że chyba powinni zwrócić mi forszę jaką za nią wybulilem. Wprowadzili nas bowiem w błąd.

Wtorek 15 lutego 2005

Rano pogodnie. Temperatura około -2 . Spałem dobrze, ale miałem kłopoty z prostatą czyli trudności z sikaniem. Może dziś będę mógł popracować nad obrazem – chociaż zapewne przyjedzie K., by przywieźć szafkę i ewentualnie zamontować baterię: starą lub nową.

K. zadzwonił i zapowiedział się około godziny 13. Przyjechał z obiema córkami i szybko wmontował nową baterię, tyle że za inne „smoczki” trzeba było dopłacić 350 zł. Przykleił też w trzech miejscach do ściany półeczkę-szafeczkę w przedpokoju, bo twierdził, że przykręcanie jej, będzie bardziej zawodne. Za 24 godziny ma być na mur.



*Zofia Beksińska, Tadeusz Turkowski, Zdzisław Beksiński, Wiesław Banach, Anna Turkowska
ostatnia wspólna wizyta małżeństwa Beksińskich w Sanoku, fot. Joanna Banach, 1998 r.*

Środa 16 lutego 2005

Rano ciemności. Pada śnieg. Temperatura około 0. Spałem dobrze, niewiele sikałem i zaczynam się zastanawiać, czy to nie efekt jakiegoś domowego preparatu z dyni, który produkuje w pastylkach jakiś znajomy farmaceuta Rosikonია. Biorę to od wczoraj niejako dodatkowo, nie odstawiając Prostatonin, ale bez najmniejszej wiary w jakąkolwiek skuteczność, ponieważ jednak Rosikoń to zachwalał i przyniósł przedwczoraj całą torebkę to postanowiłem spróbować. Wczoraj wieczorem jednak mało piłem i głównie w tym upatruję przyczynę mniejszych kłopotów z prostatą. Dziś na wieczór zapowiedział się Grzesiek, a około 20 ma przyjść Roszczyk, gdyż wysiadł mi UPS przy dużym komputerze i mam także kłopoty z nową klawiaturą, która jest jakby leniwa i niektóre znaki przy robieniu korekty, trzeba wklepywać po raz drugi.

Czwartek 17 lutego 2005

Rano ciemności i pada mokry śnieg. Temperatura około 0. W nocy prostata ponownie stanowiła problem, więc wczorajsza przelotna poprawa, wynikała po prostu z mniejszej ilości płynu po południu i wieczorem. Wczoraj męczyło mnie wieczorem pragnienie i piłem jak smok. Wczoraj Grzesiek odwołał wizytę, bo ma katar i obawiał się zarazić Puchalską, która miała przyjść, ale też odwołała, bo nie miała środka transportu. Na dodatek wieczorem, gdy o godzinie 21 zadzwoniłem do Roszczyka z pytaniem, kiedy przyjedzie, okazało się, że umawialiśmy się na czwartek czyli na dziś. Dziś idę do Leżachowskiej na godzinę 11:30. Potem jeszcze nie wiadomo, ale nie wiem czy brać się teraz rano za malowanie.

Piątek 18 lutego 2005

Rano ciemności, mimo iż wokół leży śnieg, który spadł w nocy. Temperatura poniżej 0. Z prostatą bez zmian. Od wczorajszego wieczoru, ząb, którym wczoraj zajmowała się Leżachowska, jest tkliwy i nieznacznie obolały. Chyba to normalne, bo dowierciła się do końca i wypełniła go na razie czymś (gutaperką?), co upchnęła też do końca tak, że nawet zabolalo. W nadchodzący czwartek ma go wypełniać. Roszczyk zabrał wczoraj niesprawny UPS i wychodząc do windy wywalil się, poślizgnąwszy na mokrej podłodze. Na szczęście chyba nic mu się nie stało. Trzymał UPS tak,

by nie walnąć nim o podłogę, coś podobnego jak ja ten monitor przed laty, gdy po upadku przed windą zarobiłem na wstrząs mózgu. W trakcie pobytu Roszczyka zatrzymałem za długo mocz i gdy w końcu poszedłem do WC nie mogłem zacząć sikać. Może spowodowane to było też nerwowym pośpiechem, bo chciałem uczyńić to szybko.

Sobota 19 lutego 2005

Rano ciemności. Temperatura poniżej -3 . Śnieg, który wczoraj padał delikatnie przez cały dzień, już nie pada, ale dla odmiany jest mroźno i chyba ślisko. Spałem dobrze i nawet rano nie czekałem aż włączy się radio, lecz to radio mnie obudziło. Biorę się od rana do malowania.

Niedziela 20 lutego 2005

Rano ciemności, ale nie pada śnieg. Temperatura poniżej -2 . Spałem dobrze i obudziło mnie radio. Jakość mego snu zależy chyba jednak od pogody. Wczoraj malowałem do godziny 13, bo potem przyszła Puchalska i zjedliśmy razem obiad czyli stereotypowo kurczaki z KFC, a po niej, około 16:30 przyszedł Nyczek. Wieczorem zacząłem oglądać jakieś nagrane dawniej filmy. Zapas nagrań dobija do końca i trzeba będzie ponownie zacząć zakreślanie i nagrywanie, ale czy rzeczywiście chce mi się to oglądać? Nyczek wczoraj po dziennikarsku zapytał, w jakim celu nadal maluję i właściwie nie umiałem mu na to pytanie odpowiedzieć, poza stwierdzeniem, że coś trzeba robić, bo nie robienie nic, jest gorsze do zniesienia od robienia czegokolwiek.

Poniedziałek 21 lutego 2005

Rano lekkie zachmurzenie. Temperatura poniżej -1 . Czuje się tak, że najchętniej włazłbym powtórnie do łóżka. W nocy męczyła mnie zgaga, ładowałem się Manti i sodą, potem nad ranem rozboląła dość silnie głowa. Wczoraj wieczorem przyszła Danusia i jak zwykle przyniosła jakieś chrupiące ciasteczka i sernik i winogrona i mandarynki i tylko mandarynkom nie dałem rady, resztę po jej wyjściu wbiłem w siebie, gapiąc się na jakiś thriller, no a konsekwencje pojawiły się w nocy. Może jednak mimo wszystko uda mi się dziś skończyć obraz.

